PRZEGLĄD POWSZECHNY

„BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO" *Ps 143.*

ROK XLVI. Tom 184.

PAŹDZIERNIK — LISTOPAD — GRUDZIEN

1929

KRAKÓW
DRUKARNIA „PRZEGLĄDU POWSZECHNEGO"

SPIS RZECZY NA KOŃCU TOMU.

Uniwersytet Batorego.

Wilno gotuje się do jubileuszowego obchodu.

Dni 9, 10 i 11 października zostały przeznaczone świętowaniu 350-lecia od założenia Akademji, której spadkobiercą w prostej linji jest dzisiejszy Uniwersytet imienia Stefana Batorego. Jednocześnie kończy się dziesięciolecie istnienia tej dzisiejszej uczelni, dźwigniętej z ruin przez wskrzeszoną z grobu Polskę. Jubileusz podwójny!

Uroczystość wileńska jest świętem kultury i nauki naszej, jest uroczystością całej Polski. Chodzi o uczczenie drugiej według starszeństwa uczelni wyższej w Rzeczypospolitej: pierwszą była akademja fundowana przez Jagiełłę w Krakowie, tą drugą — dzieło Batorego w Wilnie. Dwa płonące ogniska cywilizacji katolickiej na wschodzie Europy — z nich wileńskie najdalej na wschód i północ wysunięte, najbardziej eksponowane.

Przypomnijmy główne daty, niby słupy znaczące historję wileńskiej uczelni.

Już w r. 1565 myślał król Zygmunt August o założeniu kolegjum dla Jezuitów w Wilnie i czynił pierwsze o to starania u generała zakonu, O. Laineza. Rzecz narazie nie doszła do skutku. W trzy lata potem podejmuje ten projekt biskup wileński, Walerjan Protasewicz, i niebawem, dzięki jego hojności, myśl jego obleka się w ciało. We wrześniu 1569 pierwsi dwaj Jezuici przybywają z Brunsbergi do stolicy Litwy. Był to rok Unji lubelskiej, która połączyła Wielkie Księstwo z Koroną polską w nierozdzielną całość. W roku następnym, 1570, powstaje już kolegjum, na którego czele stoją tacy członkowie zakonu, jak OO. Warszewicki, Skarga

i Wujek. Rozpoczyna ono odrazu, normalnym podówczas trybem, wykłady filozofji, teologji i nauk wyzwolonych. Już więc w roku 1920 upłynęło 350 lat od chwili powstania nad Wilją wyższego katolickiego zakładu naukowego i zwłaszcza zakon mógł wtedy swój jubileusz obchodzić. Był to wszakże rok niespokojny, bo rok zmagań się Polski z nawałą bolszewicką, krótkich rządów litewskich, wreszcie czynu gen. Żeligowskiego.

Do godności uniwersytetu, mającego już prawo nadawania publicznie swym wychowankom stopni naukowych, zostało Kolegjum wileńskie OO. Jezuitów podniesione w r. 1578 przez króla Stefana Batorego, dyplomem erekcyjnym, datowanym we Lwowie 7 lipca tego roku. 25 sierpnia tegoż roku biskup Protasewicz, właściwy fundator Akademji, wystawił dokument, uposażający ją po książęcemu w gmachy, dobra ziemskie i dochody, który to dokument potwierdził król w dyplomie, noszącym datę 1 kwietnia 1579 r., podpisanym wszakże dopiero późną jesienią tegoż roku. Erekcja kanoniczna ze strony Kościoła nastąpiła 29 października 1579 r. w bulli Grzegorza XIII papieża, zaczynającej się od słów *Dum attenta.* Formalne i uroczyste zainaugurowanie Akademji nastąpiło dopiero w roku następnym, jak głosi dotąd napis na płycie marmurowej. Otwierał ją pierwszy jej rektor ks. Piotr Skarga. Jak widać z dat przytoczonych, jubileusz tegoroczny najlepiej nawiązuje się do daty papieskiej bulli erekcyjnej.

Historja wszechnicy wileńskiej rozpada się na kilka bardzo nierównych okresów. W p i e r w s z y m, najdłuższym, bo prawie 200 lat trwającym, aż do kasaty zakonu w r. 1773, pozostaje Akademja uczelnią prowadzoną przez Jezuitów. Do pierwotnych trzech wydziałów: teologji, filozofji i sztuk wyzwolonych, przybył od r. 1641 wydział czwarty — prawa. Do erekcji zamierzanego niejednokrotnie wydziału medycyny nigdy, niestety, za czasów jezuickich nie doszło.

Kiedy zakon został zniesiony, rozpoczął się dla uczelni wileńskiej okres d r u g i. Rozciągnęła nad nią swą jurysdykcję i opiekę świeżo powołana do życia Komisja Edukacyjna. Przekształcona przez nią Akademja otrzymała nazwę Szkoły Głównej litewskiej i pod tą nazwą przetrwała do

ostatniego rozbioru Polski r. 1795. Podzielona była na dwa kolegja: fizyczne (nauki przyrodnicze, zaczątki wydziału lekarskiego, matematyka) i moralne (teologja, nauki humanistyczne i prawo). Uczyli przeważnie ex-jezuici; ks. Poczobut, założyciel obserwatorjum astronomicznego, był tej szkoły głównym filarem i chlubą.

Trzeci okres w historji uczelni to okres pierwszych lat panowania rosyjskiego na Litwie. Nosi ona wtedy miano Głównej Szkoły wileńskiej, zatrzymując swój charakter uczelni polskiej; zresztą co do ustroju swego pozostaje prawie niezmienioną.

Czwarty świetny okres dla uczelni rozpoczyna się z rokiem 1803, kiedy to cesarz Aleksander I, aktami 4 kwietnia i 18 maja, podpisał nową konstytucję, rozszerzając samorząd Szkoły, nadając jej miano „cesarskiego Uniwersytetu". Podzielony na cztery wydziały: nauk przyrodniczych, medycyny, nauk moralnych i politycznych, literatury i sztuk pięknych, uposażony w zakłady wszelkie i pomoce naukowe, poddany nadzorowi księcia Adama Czartoryskiego, jako kuratora okręgu naukowego, Uniwersytet w tym okresie rozwijał się szybko, rósł w sławę ze swoich profesorów, jak obaj Śniadeccy, Grodeck, filozof Dzieduszycki. Były to czasy, kiedy na nim kształcili się nasi najwięksi poeci, Adam Mickiewicz, Juljusz Słowacki, czasy ożywienia młodzieży patrjotyzmem i hasłami doskonalenia się, w organizacjach Filomatów i Filaretów. Niestety, ten właśnie świetny okres wszechnicy wileńskiej był ostatnim okresem jej istnienia pod rządem zaborczym. Jako akt represji za udział młodzieży uniwersyteckiej w powstaniu listopadowem spadł na wileńską wszechnicę w r. 1832 ukaz Mikołaja I, zamykający ją zupełnie.

Rozpoczął się okres piąty, trwający 87 lat, okres pustej wyrwy w istnieniu sławnej *Almae Matris*. Dopiero odrodzona Polska przywróciła Wilnu jego największą chlubę — uczelnię wyższą. Powołał ją do życia dekret Naczelnego Wodza Wojsk polskich, Józefa Piłsudskiego, z dn. 20 sierpnia 1919 r., a wszystkie polskie uniwersytety złożyły się na to, by dostarczyć wskrzeszonemu Uniwersytetowi sił naukowych.

Przed dziesięciu zatem laty zainaugurowany został nowy, szósty okres w historji dzieła Batorego, okres, który oby był trwały i znaczył się coraz wspanialszym jego rozwojem. Ustrojowo wszechnica wileńska tem się odznacza, że posiada aż sześć pełnoprawnych wydziałów, mianowicie Wydziały: Humanistyczny, Teologiczny, Prawa i nauk społecznych, Matematyczno-przyrodniczy (łącznie ze Studjum Rolniczem), Lekarski (łącznie z farmacją), wreszcie jedyny w Polsce odrębny Wydział Sztuk Pięknych.

Łącząc się duchowo z całem społeczeństwem w jubileuszowym obchodzie, pozwalamy sobie wypowiedzieć parę okolicznościowych myśli.

Pierwsza dotyczy stosunku Wszechnicy Batorego do Kościoła katolickiego. Stosunek ten długo był jak najściślejszy — był on stosunkiem dziecięcia do swego rodzica. Czyż bowiem nie Kościół był właściwym twórcą tej uczelni, jak zresztą prawie wszystkich wyższych szkół w Europie w ubiegłych wiekach? Nikt nie może rozumnie rościć do Kościoła pretensji o to, że on, a nie kto inny wziął w swe ręce wyższą oświatę w kraju. Kościół zajął pustą nie obsadzoną przez nikogo placówkę. W szczególności na Litwie nikt nie myślał o organizowaniu wyższej oświaty poza organizacjami wyznaniowemi. Protestantyzm jednak, którego zasługi dla kultury narodowej lubią czasem historycy przeceniać, nie potrafił w Wilnie stworzyć poważniejszej szkoły, pomimo wielkich bogactw i politycznego wpływu swych wyznawców. Nie utrzymał długo nawet szkółki niższej. Uczelnię akademicką stworzyła gorliwość i hojność katolickiego biskupa. Równie nierozsądnym byłby zarzut, czyniony z tego, że Akademja stała się szkołą służącą przedewszystkiem interesom katolicyzmu, „reakcji katolickiej", jak się zwykło mówić. Była ona taką, jaką były wówczas wszystkie uczelnie Europy, kiedy mentalność świecka wcale nie była znaną. Akademja wileńska wszakże, oprócz teologji, dawała wykształcenie humanistyczne całym rzeszom świeckiej młodzieży według ówczesnej miary i ówczesnych zapotrzebowań. Że się walnie przyczyniła do upadku w kraju protestantyzmu, to jej wielka zasługa przed Bogiem i Kościołem, ale nie mniejsza — przed narodem. Bez niej, tak jak rzeczy stały

pod koniec szesnastego wieku, Litwa mogła się stać duchową kolonją protestanckich Niemiec, a jakie byłyby tego konsekwencje dla jej duchowego oblicza i samodzielności — łatwo chyba wywnioskować.

Po upadku zakonu, za Komisji Edukacyjnej, a jeszcze bardziej za Aleksandra I, ów pierwotny ścisły związek Akademji z katolicyzmem został rozluźniony. Nietylko przez to, że rozszerzono znacznie zakres nauk świeckich, co było rzeczą najsłuszniejszą, ale i przez to także, że samą teologję katolicką zepchnięto w kąt, czyniąc z niej zaledwie skromną sekcję nauk „moralno-politycznych", i wprowadzając do niej modnego podówczas ducha febronianizmu, tak rażąco kłócącego się z duchem prawdziwie katolickim. I jaki był z tego rezultat? Oto ówczesny Uniwersytet, tak świetnie służący narodowi pod innemi względami, wychował na swojej teologji zdrajców Kościoła w rodzaju Siemaszki i jego towarzyszów i przygotował tem pośrednio warunki dla mającej niebawem nastąpić rusyfikacji kraju. Zdaje się, że także kler łaciński byłby znacznie odporniejszym, gdyby mu w swoim czasie z katedr „imperatorskiego uniwersytetu" zaszczepiono więcej iście katolickiego, rzymskiego ducha.

Odrodzony w wolnej Polsce Uniwersytet przywrócił samodzielny Wydział teologiczny, jakby symbolizując tym sposobem zamiar utrzymania pierwotnego związku kultury narodowej z katolicyzmem. Bardzo ważnem byłoby zrozumienie, że Wszechnica Batorego wypełni swoje zadanie względem narodu i jego kultury zachodniej i będzie owem tej kultury „emporium ad Septentrionem", według wyrażenia króla Stefana, jeśli nie poprzestanie na symbolu, ale czerpać będzie soki ze skarbnicy ducha katolicyzmu.

Druga myśl dotyczy polskości Uniwersytetu.

Założony on był niegdyś jako najwyższa uczelnia Wielkiego Księstwa Litewskiego. Wiemy, że pojęcie „litewskości" jest w naszych czasach inne, niż za króla Stefana. Wtedy litewskości nie przeciwstawiano polskości — na samej Litwie. Akademja od pierwszej chwili swego istnienia była akademją polską. Była nią mimo, że język polski, jako wykładowy, zjawił się pono dopiero w uniwersytecie „cesarskim". Początkom akademji dla Litwy przyświecali Skarga i Wujek,

dwa największe światła na niebie piśmiennictwa polskiego. Nawet po utworzeniu odrębnej litewskiej prowincji jezuickiej, między nią a prowincją polską trwał ścisły związek, wymiana profesorów. Zresztą pamiętajmy czem to była owa prowincja litewska: dość powiedzieć, że do niej należała rezydencja Zakonu w samem sercu wspólnej Rzeczypospolitej, w Warszawie. O polskości Uniwersytetu z czasów, kiedy w nim wychowywali się Zanowie i Mickiewicze, nie potrzeba mówić.

Dziś znowu powstał on jako uczelnia polska, i nikt mu prawa być uczelnią polską nie powinien kwestjonować. Jest on i będzie zapewne stróżem i wychowawcą idei ścisłej duchowej łączności północnych naszych kresów z Polską, nowoczesnej postaci starej „idei Jagiellońskiej". Ale ta idea jedności duchowej nie jest identyczna z jednostajnością. „Polskość" w pojęciu ludzi z czasów Zygmunta Augusta i Stefana Batorego miała treść bardzo bogatą i urozmaiconą, wielce różną od tej, do jakiej zacieśnił to pojęcie nowożytny nacjonalizm. Wskrzeszony do nowego życia Uniwersytet wileński nie sprzeniewierzy się swemu zadaniu, jeśli pojęcie swojej polskości także rozszerzy w duchu dawnej tradycji. Wzbogaci tem duchowo Polskę. W Uniwersytecie wileńskim jest szczególnie miejsce na studja nad wspólną przeszłością Polski i Litwy, w nim miejsce na zrozumienie odrębnej fizjognomji i potrzeb tego właśnie kraju, w którym się znajduje.

Historja i polityka ostatnich czasów cuda porobiła z ziemiami dawnego Wielkiego Księstwa. Pokrajano dawną całość, przeciągnięto nowe graniczne kordony. Pole duchowych wpływów Uniwersytetu Batorego skurczono do skrawka ziemi wileńskiej. Naprzeciwko uczelni wileńskiej stanęły nowe uniwersytety w Kownie i Mińsku. Mimo to wszystko nie należy chyba uczelni Batorego rezygnować ze swych historycznych zadań, nie należy zacieśniać swój horyzont do widoku kraju od Święcian do Lidy. Nawet przy istnieniu obecnych granic politycznych, ambicje uniwersytetu winny sięgać dalej, duchową jego areną winna być Litwa dawna ze wszystkiemi jej ludami i osobliwościami. W Uniwersytecie wi-

leńskim niechaj każdy czuje się dobrze i w domu, komu nie jest obcą duchowa spuścizna po Ojcach.

Niechaj więc tegoroczny podwójny jubileusz *Almae Matris Vilnensis* stanie się zachętą do nowego rozwinięcia sił na chlubę nauki polskiej i kultury zachodniej. Niechaj Akademję Batorego wesprze cały naród żywą sympatją, życzliwością i pomocą. *Vivat, crescat et floreścat!*

Ks. Jan Urban T. J.

Dzisiejsze oblicze bolszewizmu rosyjskiego.

(Dokończenie)

V.

Mam przed sobą pracę poprostu ociekającą krwią. Jest to rękopis Zyrjanina Ignacego Mossega „Prawda o narodowościowej polityce sowieckiej". Rękopis ten, użyczony mi uprzejmie do przejrzenia, ukaże się zapewne wkrótce w druku. I wtedy niema słów dość gorących do polecenia, by go czytać, czytać i jeszcze raz czytać. Sprawa narodowościowa jest zawsze kamieniem probierczym szczerości zasad wolnościowych.

Chociaż nikt nie ma złudzenia, że dyktatura proletarjatu w Rosji ma cokolwiek wspólnego z wolnością, jednak ludzie nawet najprawdziwiej widzący stan rzeczy w tym kraju nie przypuszczają, by rzeczywistość była tak okropna. Z prasy bolszewickiej trudno jest się o tem poinformować. Czytając ich sprawozdania z życia republik sowieckich, nie widzimy nigdzie życia narodów. Są to zawsze te same szablonowe walki „średniaków" i „biedniaków" z „kułakami", „rajispołkomy", „sowiety", „prodnałog" (podatek w naturze), zasiewy, procent wypełnienia. I nikt nie przypuści, że gdzieś w Uzbekistanie (Turkiestanie) walka bajów z dechhanami jest nie czystą walką klasową warstwy wydziedziczonej z bogatszą, lecz walką zaciekłą patrjotów ze zdrajcami. Bolszewicy wszystko potrafią przekręcić: jeżeli znajdują się ludzie, zwalczający władzę sowiecką pomimo swego

ubóstwa, wtedy są to opętani *podkułacznicy* — pozostają pod wpływami kułaków. Jeżeli przeciwnicy komunizmu chcą powstrzymać uboższe elementy od zaprzedania się sowietom, udzielając im pomocy materjalnej i stosując zasadę miłości bliźniego, będzie to wytłumaczone tylko jako przekupstwo.

Że demoralizacja wniesiona przez bolszewizm opanowała także i porządniejszą część ludności, trzymającą się jeszcze wiary i obyczaju, dowodzą tego zaciekłe walki przy wyborach, kończące się często morderstwami. Ze strony komunistów zabójstw nie bywa — mają oni na swe usługi policję, sądy i OGPU.

Wszystkie sprawozdania z różnych republik brzmią nużąco, do znudzenia jednakowo, że nie można się nawet domyślić barwnej różnorodności krajów ZSSR pod tem szarem płótnem jednolitego centralizmu, jak pod całunem skazańca. Dyktatura proletarjatu jest systemem jeszcze bardziej zwartym i pedantycznie wypracowanym, niż biurokratyzm carski, w którym nie było tyle doktrynerstwa, zimnej rachuby, planowości i rozpaczliwej walki o własną skórę. Potrafi ona, pozornie robiąc ustępstwa kulturalne narodowościom, zetrzeć z nich doszczętnie indywidualność.

Krzyk mordowanych ludów znajduje wyraz w wydawnictwach emigracyjnych. Rządy republik, które ogłosiły swoją niepodległość (np. Aserbejdżan, Gruzja, Armenja) i zostały zawojowane na nowo, przebywają zagranicą i starają się przebić rozmyślną głuchotę mocarstw, poświęcających prawo, sprawiedliwość i miljony istnień ludzkich mirażom handlu z Rosją. Ludy Kaukazu wydają po francusku czasopismo *Prométhée*. Ale wydawnictwa te, niestety, za mało się rozchodzą. I dlatego taka książka, jaką napisał I. Mosseg jest wprost konieczna. Dlaczego dotąd nie ukazała się w druku, kiedy przy tolerancji naszego społeczeństwa i handlarskiej bezideowości wydawców ukazało się tyle książek o tendencji nikczemnej, trącącej zdradą stanu? Odpowiedź na to może dać tylko nasz wyjątkowy brak samozachowawczości.

Przytoczony wyżej rękopis daje obraz planowego tępienia ludów zabranych przez Rosję. Mocny instynkt zaborczy

Rosjan przetrwał carat i rewolucję. Od najdawniejszych czasów plan był jednakowy: podbijano kraj; tępiono przytem najwięcej ludności; rabowano ją do możliwych granic; przesiedlano (lub zsyłano) znaczną część ludności do dalszych, pustych krain; na miejsca opróżnione, często na zorane role i do gotowych budynków przenoszono kolonistów Wielkorosjan.

Trzeba dodać, że wobec pokrewieństw i zdecydowanych sympatji caratu dla Niemców, niektóre okolice były oddane po wytępieniu tubylców także Niemcom (kolonje nad Wołgą jeszcze od Katarzyny II, na Wołyniu, Kaukazie, Ukrainie, Krymie i t. d.)

W taki sposób przesiedlono w swoim czasie dalej na wschód cały, chociaż niewielki naród Koniów (plemię fińskie).

Męki ludów zabranych przewyższają wszelkie pojęcie. Dopiero w 1822 roku rząd carski wydał ukaz, zabraniający brać ludzi w krajach wschodnich w jasyr i sprzedawać do niewoli.

Bolszewicy z chwilą zastąpienia stanu względnie prawnego zupełnem bezprawiem rozhulali się głównie na terenie ludów zabranych. Wielu Rosjan w krajach zabranych, którzy ani myśleli zostać komunistami, natomiast oddawna zawistnie spoglądali na dobrobyt i zapobiegliwość tubylców, opowiedziało się za sowietami, żeby pod płaszczykiem haseł rewolucyjnych tępić i rabować ludność. *Czeka* więcej zrobiła dla kolonizacji wielkorosyjskiej, niż cały wiek caratu. Tubylca oskarżano o kontrrewolucję, zabijano lub odsyłano do więzienia, zaś mienie jego zagarniał „komunista". Kiedy przychodziły wojska białogwardzistów, „komunista" stawał po ich stronie, zkolei oskarżał tubylców o komunizm, tępił ich i rabował ich mienie.

Kiedy po okresie dzikiego niszczenia bolszewicy zatrzymali się na krawędzi przepaści i zaczęli organizować kraj na nowo, wtedy w okresie „komunizmu wojennego", popartego terorem, nakładali podatek w naturze na mniejszości narodowe znacznie większy, niż na Wielkorosjan. Ściągnąwszy z zapasów i ostatniego urodzaju osiem razy więcej, niż wynosiły ostatnie zbiory u jakichś nieszczęśliwych

Mordwinów, Czeremisów lub Baszkirów, bolszewicy przesyłali te zapasy do „gubernji głodujących" (t. j. centralnych, wielkorosyjskich). A mały narodek zostawał skazany na śmierć głodową.

Brojdo, b. prezes taszkienckiego „ispołkomu" pisze, że władze sowieckie robiły pogromy ludności miejscowej, zabijały wielu z niej, rosyjskich zaś bogaczy nie zaczepiały, a mienie tych ostatnich nawet ochraniały (*Żyzń Nacjonalnostiej,* 1921 r. N 16).

Za rządów komunistów ludność w Turkiestanie zmniejszyła się o 1.979.590 ludzi. Na tereny opustoszałe instytut kolonizacyjny postanowił przenieść z Wielkorosji 800—900 tys. ludzi w ciągu 10 lat.

Kałmucy zostali tak doszczętnie ograbieni, że 91.000 ludzi w 1921 roku umierało śmiercią głodową. Rosjanie kupowali od nich dzieci. Jeden kałmuk sprzedał syna za 5 pudów mąki. (*Żyzń Nac.* r. 1921 N 22).

W Dagiestanie do 1921 r. zniszczono 80 większych osad, a 50% budynków we wszystkich pozostałych.

W kraju Jakutów, pod pozorem wykrytego spisku, wymordowano i zesłano odrazu 7% ludności.

Według oficjalnych danych bolszewickich z 1924 roku Samojedów z 5—6 tysięcy pozostało 2.867 ludzi, Ostjaków z 20—25 tys. 786, Wogułów z 3—4 tys. 720 i t. d. Małe narody nie umieją i nie mogą się oprzeć, jak Ukraińcy lub liczniejsi Kirgizi, i wymierają w szybkiem tempie.

Narodowi Komów na Pieczorze odebrano część jeleni i oddano ludności rosyjskiej pod przykrywką komunizmu.

Ludom koczowniczym, myśliwskim i rybackim odebrano broń pod pretekstem możliwości powstania i nie dostarczano im narzędzi, przyrządów łowieckich, żelaza. Wywołano głód i masowe wymieranie ludności.

Że dzieje się to na korzyść ludności rosyjskiej, dowodem tego, że położenie włościan w gubernjach centralnych nie pogorszyło się, ale polepszyło. W 1916 r. żywego inwentarza było tam 27.2 miljony sztuk, a w r. 1924 31.2 miljony. Na krańcach wschodnich Rosji europejskiej w tym samym czasie inwentarz zmalał do 98%.

Prawie 80% ludności tatarskiej pozostało bez ziemi,

a znaczną jej część wyrzucono z półwyspu lub zmuszono wyemigrować do Turcji. Jednocześnie powstają tam ogromne *sowchozy* z kolonistami rosyjskimi. Sowchozy są doskonałym pretekstem do zagarniania ziemi na korzyść państwa i osadzania tam przybyszów Rosjan.

Na obszarze Niemców Nadwołżańskich ludność zmniejszyła się od 1919—1923 r. o 20.5% w Baszkirji o 22.1%, w Turkiestanie o 33%, ludność zaś rosyjska w tym czasie wzrosła tam kilkakrotnie.

W 1922 r. władze sowieckie wywiozły dzieci głodujących Baszkirów, Czuwaszów, Czeremisów i innych narodów do Rosji centralnej. Nie wróciły one nigdy do rodziców. Te, które nie wymarły w przytułkach sowieckich, poszły na pastwę rusyfikacji.

W 1921 r. prasa sowiecka pisała: „Kiedy weźmiemy do rąk niedawną mapę etnograficzną Rosji, to będziemy musieli zmienić na niej prawie wszystkie kolory i tam, gdzie byli np. Ormianie, wprowadzić zupełnie inny kolor, albo zostawić zupełnie puste miejsce".

Widzimy więc, że pod przykrywką komunizmu najwygodniej w świecie rozhulała się zaborczość rosyjska, podług tego samego planu, co dawniej, tylko z większą bezceremonjalnością i okrucieństwem. Czytając o antybolszewickiej działalności „kułaków", musimy przyjmować to z wielką ostrożnością; często są to ruchy opozycyjne patrjotów danego kraju, walczących o prawa ekonomiczne i gospodarcze swego narodu.

Jak dawniej carat tak teraz bolszewicy nie pozwalają, by jaka dzielnica wyprzedzała Wielkorosję. Np. delegat gruziński Naczaidze stwierdził na V zjeździe ZSSR, że w Gruzji produkcja wzrosła o 125%, ale zarobki podniesiono tylko o 26,6%. W Rosji zaś produkcja wyraża się w 94,4%, płace zaś wzrosły prawie o 38%.

Każda z republik i każdy z okręgów autonomicznych stwierdza na obu zjazdach to brak paszy (Białoruś), to brak środków do wykorzystania bogactw naturalnych (Aserbejdżan, Armenja), to niedostateczne zaopatrzenie w towary, ziarno siewne, maszyny rolnicze, narzędzia produkcji. Nieśmiało i nawiasem konstatuje się upośledzenie pewnych kra-

jów. Bolszewicy zagrabili bogatą Chiwę i Bucharę, pozostające za caratu tylko pod protektoratem Rosji; import bawełny w Chiwie za ich rządów upadł do 0, a z miljonów sztuk bydła zostało po najściu bolszewickiem 200.000 sztuk rogacizny, zaś 600.000 owiec i kóz.

Starając się wycisnąć jak najwięcej z krajów zabranych, bolszewicy krzywem okiem patrzą na noszenie baraniej czapki *papachy* w Uzbekistanie i na Kaukazie. W sprawozdaniu z objazdu Uzbekistanu wzdycha „towarzysz" nad takiem marnotrawstwem — ileż to skórek na eksport mógłby rząd sowiecki zagarnąć! I w Aserbejdżanie z powodu dziesięciolecia republiki „autonomicznej" wbrew woli ludności, przy szalonym sprzeciwie, posuniętym do zabójstw i ciężkich ekscesów, wprowadza się trzy dobrodziejstwa: zniesienie rodzimego alfabetu arabskiego, zasłony (czadry, parandży) i papachy. Przypomina się nam „europeizowanie" Rosji przez obcinanie bród i długich ubrań męskich. Niedaleko postąpiła Rosja od Piotra Wielkiego! Metoda pozostała niezmienna.

Prócz ruiny gospodarczej, bolszewicy kontynuują ucisk polityczny mniejszości. W zasadzie urzędy miejscowe każdej republiki powinny być obsadzone przez tubylców. Ale wszędzie są Rosjanie w przeważającej większości. Możnaby to tłumaczyć brakiem inteligencji u plemion mało-kulturalnych, którym i za caratu nie pozwalano otwierać szkół narodowych i drukować własnych książek. Ale — w kraju, gdzie rządzą robotnicy, wzięci od warsztatu i gdzie związki zawodowe pomagają profesorom układać programy naukowe jest to tylko drobna przeszkoda. Tu chodzi o utrzymanie wpływów rosyjskich, o ciągłą czujność, czy który naród nie poczyna sobie zbyt samodzielnie.

Dlatego wszędzie rozlegają się skargi na brak ludzi miejscowych w urzędach. Rosjanie pozwolili na używanie języków narodowych, aby przy pomocy ich łatwiej prowadzić agitację wśród mas, nie rozumiejących po rosyjsku. Atoli jak stwierdza Tadeusz Teslar w broszurze „Narody w sieci sowietów" (Warszawa, Strzelczyk i Kąsinowski 1927) reforma ta prześcignęła ich zamierzenia. Narody zabrane zaczęły się gwałtownie unaradawiać, chociażby w granicach

zakreślonych przez program sowiecki, pozostawiający dla życia umysłowego tak małą ilość dozwolonych tematów i kierunków pracy. Teraz nic już nie może wstrzymać tego rozpędu — ani przetrzymywanie maszyn drukarskich po parę lat dla małych ludów fińskich, zakładających swoje szkolnictwo, ani brak podręczników i odcięcie od literatur rodzimych (ormiańskiej, greckiej, rumuńskiej, polskiej, tureckiej i t. d.), ani rozmyślnie powstrzymywane tworzenie kadrów inteligencji. Skargi na niesprawiedliwy układ sieci szkolnej z uprzywilejowaniem Rosjan (np. na Krymie) i na zupełne zaniedbanie potrzeb kulturalnych mniejszości dają się słyszeć na każdym zjeździe sowietów, na każdej konferencji partyjnej.

Po 12 latach istnienia Baszkirji sowieckiej niema tam jeszcze ani jednej wyższej szkoły. Szkół narodowych jest wogóle za mało. Republiki autonomiczne zbyt szybkiem tempem zdążają do unarodowienia. A tymczasem cała administracja jest dotąd zupełnie zrusyfikowana. Z niemałem oburzeniem urzędnicy Rosjanie przyjmują wymaganie poznania języka miejscowego. Wszystkie wyższe zakłady specjalne są dotąd tylko rosyjskie i wychodzą stamtąd ludzie jeżeli nie rosyjskiego pochodzenia, to zrusyfikowani. W Rososzańskim pow. na Ukrainie agronomowie opuścili stanowiska z powodu ukrainizacji okręgu. Nie chcą oni uczyć się nowego języka bez kompensacji pieniężnej (*Ekonom. Żyzń.* 31. III. 1929).

Jak skonstatowano przy debatach na XIV Zjeździe RSSFR, w aparacie administracyjnym republik i obwodów autonomicznych musi być pewien ustalony procent ludności miejscowej. Ten procent jest — ale w zarządach, u samej góry, gdzie przecie dla samej nazwy i etykiety muszą figurować tubylcy — i na samym dole — wśród niższej służby, woźnych i t. d. Cała średnia warstwa urzędnicza, w której rękach spoczywa faktyczne wykonanie ustaw, składa się z Rosjan. Rosjanami też są specjaliści.

Zajmujący jest stosunek rządu do tego stanu rzeczy. Zalecając unarodowienie urzędów (wynaleziono na to nazwę *korenizacja* — zakorzenienie), Rząd zastrzega się, żeby nie traktowano tego zbyt mechanicznie. Nie należy np. zastę-

pować tubylcami — Rosjan, o ile ci znają miejscowy język i obyczaje. I cóż to za korenizacja, mówi referent zjazdu, jeżeli w urzędach jest nawet 50% nacjonałów, ale ci używają języka rosyjskiego! Nie, już lepsi są Rosjanie, znający język miejscowy! Dużo się też mówi o kursach języków miejscowych dla Rosjan. Ale jak dotąd komuniści wydelegowani z centrum sprawują w republikach autonomicznych swe rządy i decydujący wpływ Rosjan na mniejszości jest zawarowany.

Nieznaczne ustępstwa dla autonomji i kultury mniejszości wywołują szemrania rosyjskich szowinistów. W całem państwie jest Rosjan 68,700.000, ludzi zaś nie Rosjan — 68.450.000. Pomimo, że masa rosyjska jest kolosem wobec każdej malutkiej republiki lub obwodu, jednak na zjazdach rozlegały się głosy, wyrażające obawę, że element rosyjski będzie pokrzywdzony.

Na to odpowiedział Rykow na XIV zjeździe RFSFR: „Mnie z wami ukrzywdzić trudno. Pomyśleć tylko, że mała Białoruś może pokrzywdzić RFSFR, którą stanowi przeszło $^2/_3$ całego związku — przecież to warjacka anegdota!"

Wyraża się w tem zupełnie jasne zdanie sobie sprawy z przewagi Rosjan i z oparcia tej przewagi na liczebności, na sile fizycznej. Leży to głęboko w psychologji Rosjan. Przed wojną jakiś socjalny demokrata rosyjski zwalczał program federacyjny (uznawali go przed wojną anty-centraliści, socjaliści-rewolucjoniści, obecnie wytępieni) temi słowami: „Czyż może taka duża Rosja liczyć się z taką małą Armenją"! Gdyby było inaczej — byłaby to istotnie warjacka anegdota.

Dla chwilowych korzyści, jak za miskę soczewicy, ludy republik czasem sprzedają swe szczupłe prerogatywy. Np. same proszą, by niektóre przedsiębiorstwa republik autonomicznych zamienić na ogólno-państwowe, związkowe, bo z centrum łatwiej o pieniądze. Władza centralna jest przeładowana i sama woli zrzucić trochę kłopotów na organa lokalne. Ale brak dbałości o swą autonomiczność dowodzi tylko, jak słabem jest to poczucie narodowe sowieckiego chowu. Każdy szczery patrjota (np. Walidow w Baszkirji) musiał uciec albo został „wypisany na rozchód" (rozstrzelany).

Jeżeli rząd sowiecki zabrał się do „korenizacji", to zmu-

siło go do tego „ożywienie elementów nacjonalistycznych w republikach w ostatnim okresie“ (*Izwiestja* 12. II. r. b. art. „Walka z obcemi wpływami w literaturze narodowej“). Tamże piszą: „Dowiedzieliśmy się o znacznej popularności literatur narodowych w masach robotniczych. Cóż, kiedy te literatury bujnie przerastają ramki, zakreślone przez sowiety, nie dadzą się utrzymać w anemji i monotonji dozwolonych tematów (walka klasowa, odbudowa ekonomiczna, rewolucja światowa) i rozwiązań zgóry narzuconych i wciąż się „sprzeniewierzają dyktaturze proletarjatu, wypaczając linję klasową“. Dusza ludzka rośnie, jak sama chce i nie daje się tak ująć w karby, aby i w sferze życia wewnętrznego wypełniała plan pięcioletni.

W całym szeregu literatur (ukraińskiej, gruzińskiej, białoruskiej i t. d.) bolszewicy stwierdzają „prawe odchylenie“ nacjonalistyczne. Na Ukrainie istnieje nawet cały kierunek narodowy w literaturze nazwany „efremowszczyzna“ od prof. Efremowa. „W literaturach narodowych wyrósł antyproletarjacki front“ — konstatują bolszewicy.

Objawy te są bardzo ważne. To, o co się potknie bolszewizm — będzie to właśnie ruch narodów, którym odebrano niepodległość. Nieprawdą jest, że Rosjanie w republikach dali ziemię ludowi. Oni odbierali ją tubylcom, żeby dać swoim kolonistom. A u nas pod wpływem agitatorów wierzą, że rewolucja sowiecka da wzbogacić się chłopu! W Gruzji Ceretelli, w Baszkirji — Walidow przeprowadzili rewolucję narodową jednocześnie z socjalną. Jeden i drugi byli radykałami (Ceretelli jest znanym mieńszewikiem z zabarwieniem nacjonalistycznem. Kiedy przyszli bolszewicy to w Gruzji ziemi chłopom nie dali natomiast wielu odebrali.

Ten rozwój indywidualizmów narodowych, chociaż na wszelki sposób hamowany i tłumiony, doprowadzi raczej do żądania zupełnej samodzielności, niż do kultury międzynarodowej, jak spodziewają się bolszewicy. Wyzysk ekonomiczny krajów na korzyść centrum i ucisk narodowościowy— oto dwa powody niezadowolenia i ruchów iredentystycznych wszystkich narodów ZSSR. Rządy ludów, które ogłosiły swą niepodległość i zostały na nowo podbite, przebywają zagranicą. Ferment niezadowolenia jest i w kraju. Rząd sowiecki,

mając do czynienia z ciągłem niezadowoleniem ludności, które się wyraża w zemście nad komunistami i buntach miejscowych, musi starać się o załagodzenie tego niezadowolenia czyto na froncie gospodarczym, czyto kulturalnym. Ponieważ kulturalny mniej kosztuje, postanowili porobić ustępstwa mniejszościom na tem polu. Poczuli się zmuszonymi naprawdę zabrać się z bólem serca i wśród gwałtu szowinistów do „korenizacji", bo, jak stwierdzono na XIV zjeździe RFSFR „traktowanie korenizacji jako środka czasowego wywołuje rozdrażnienie".

Ohydna szarzyzna i teror bolszewizmu robią swoje. Żywa twórczość wyrywa się z pęt doktryny. Bolszewicy dalej ze zgrozą konstatują, że kierunek literatur narodowych wymyka się im z rąk, że wśród ludów zduszonych panuje idealizacja przeszłości, że istnieją kierunki orjentujące się na zachód i wzdychające do pełni kultury człowieczej i twórczości nieskrępowanej.

Ludy zduszone żyją w nadziei interwencji mocarstw. Ale, rzecz zajmująca: emigranci rosyjscy przyjmują na swój karb wszystkie opresje, które spadają właściwie na mniejszości i krzyczą o męczeństwie ludu rosyjskiego. Tymczasem interwencji przeciw bolszewikom nie chcą i nie propagują. Ze swym odwiecznym sprytem państwowym wyczuli oddawna, że komunizm robi narazie robotę pożyteczną dla plemienia rosyjskiego, tępiąc mniejsze narody i przygotowując obszary dla kolonizacji rosyjskiej. Rozumieją oni może, że interwencja będzie uwzględniała nietylko interesy Rosjan. I wzdrygając się przed rządami bolszewickiemi, przed rozbiciem religji, obyczajowości, nauki rosyjskiej, zatraceniem bezcennych wartości gospodarczych i duchowych, emigranci muszą w duchu przyznać, że imperjalizm rosyjski nie zboczył ani na chwilę ze swej drogi historycznej, mocno wytkniętej. Nawet socjalistyczne napozór sowchozy i kołchozy (kiedy posyła się kolonje czerwonoarmistów na Ural i Syberję, jako kulturträgerów) służą wciąż temuż celowi.

Dlaczego Pan Bóg opętał rozumy i dlaczego obałamuceni (o ile nie kupieni) zwolennicy Moskwy nie są w stanie dostrzec tego największego oszustwa świata — jest to niepojęte.

Zasady konstytucji i dekretów zamienili bolszewicy w „autonomicznych" okręgach i republikach w oręż prostego tępienia podbitych narodów. Wygłodziwszy narody przez wyciąganie od nich podatku w naturze na korzyść „ośrodków głodujących" (w Wielkorosji), potem na wolne miejsca przerzucali po 250—300 tysięcy ludzi z każdej centralnej gubernji!

Widzimy stąd, że zasady i hasła same przez się nic nie znaczą. Najszczytniejsze, najbardziej wolnościowe hasła zmieniają się w jarzmo straszliwe w rękach złych ludzi.

Zanim się będzie zmieniało konstytucje, zanim się będzie zmieniało ustrój socjalny — trzeba przedewszystkiem zmienić człowieka. Samookreślenie i autonomja narodów stały się środkiem uciemiężenia i zwielokrotnienia cierpień człowieka na ziemi w rękach ludzi, zaprzedanych złu.

VI.

W rękach ludzi zaprzedanych złu... Czy tak jest naprawdę? W prasie bolszewickiej z powodu ostatnich zjazdów był umieszczony szereg fotografij grup i poszczególnych delegatów. Uderza niesympatyczność wszystkich twarzy. Jakby na nich zastygła energiczna wola złego, uporczywość walki, nienawiść i drwina dla wszelkich istot nieklasowych.

W całej prasie sowieckiej niema słów miłości i poświęcenia. Wszelkie objawy życia są ujmowane w terminy niby naukowe, najczęściej różne nowotwory językowe *(chwostizm, korenizacja* i t. d.). W ten sposób ściera się z nich piętno emocjonalne. Typ bolszewika — to człowiek-doktryner, zabijający w sobie uczucia osobiste, to typ zmechanizowany użyteczności zbiorowej. Wychowany przez rewolucję, denuncjuje w bezgranicznem upodleniu i nieczułości, z dodatkiem fanatyzmu, najbliższą nawet rodzinę do OGPU. Ma w sobie zły, urągliwy śmiech dla „byłych ludzi" i objawów humanitarnych, zwanych „burżuazyjnością". Wypalono w nim doszczętnie dobroć. Nauczono go kierować się tylko nieludzkiemi hasłami rewolucji. A ta rewolucja obok karności partyjnej wytworzyła w nim potworne sobkostwo, rozluźniając węzły rodziny i przyjaźni, pozwalając mu dbać tylko o własne szczęście.

Twarze bolszewików są straszne przez rozumną praktyczność, a jednocześnie wszelki brak dobroci. Twarze ludzi bojujących — a zarazem odciętych na zawsze od świata duchowego, napiętnowane oderwaniem się od Boga.

Cała kultura i obyczajowość sowiecka jest napisana na tych twarzach. Zważmy, że zjazdy są tak wyreżyserowane, że nie odzywa się na nich żadna opozycja. Walkę z trockizmem nawet załatwiono poza zjazdami i wiecami, inscenizując tylko takie zebrania, które na pewno potępiały trockizm. Trafiają więc na zjazdy, jako delegaci, tylko ludzie swoi, pewni. Ci z „nacjonałów", których miejscowe sowiety dopuszczają do zjazdu, są to ludzie najgorsi, zdrajcy własnego narodu, potępieni przez lepszych ludzi w swoim narodzie. Wiemy dobrze, że i nasi renegaci, siedzący w Moskwie, są to wybierki polskości, typy gatunkowo najlichsze. Dlatego delegaci zjazdów — to galerja strasznych twarzy.

Społeczeństwo, oparte na planie naukowym, nie pielęgnuje w sobie uduchowienia i jasnych uczuć.

„Samokrytyka" odsłania nam obraz życia obyczajowego w sowietach. Przedewszystkiem indywidualność ludzką zabija system koszarowy — wspólne domy dla robotników, domy sowietów ze wspólną kuchnią (przy której odbywają się całe wojny i sceny gorszące). Panuje w nich brud, pijaństwo, awantury, rozpusta, gra w karty. Nie lepiej jest w oddzielnych mieszkaniach. System sowiecki zabił życie towarzyskie. Wszak w niektórych miejscowościach na wsi nakładano podatek na zebrania towarzyskie, a za takie uważano zejście się dla pogawędki dwóch lub trzech sąsiadów! Obawa denuncjacji, ostrożność w mowie nie stwarzają atmosfery przychylnej dla wizyt. Jeżeli nie stoi między ludźmi brak zaufania, przeszkadza zbliżeniu towarzyskiemu nędza. „Współczesne warunki życia trzymają w domu, a w domu jest nuda" — mówi artykuł „Rodzina i życie społeczne", (*Prawda* Nr. 54 r. b.).

Rodzina nie oparta na długoletniem przywiązaniu, rodzina zagrożona rozwodem i stworzona tylko w celach egoistycznych, nie jest terenem, dającym dość treści i zainteresowania. System sowiecki dąży do zabicia uczuć osobistych, by wytworzyć kosztem ich zbiorowe, a raczej tę martwotę żywszych uczuć, jaką widzimy u bolszewików. I ludzi ciągnie

z domu, szukają rozrywki tam, gdzie najtaniej — w klubach partyjnych, zawodowych i t. d.

O nich pisze *Rewolucja komunistyczna* Nr. 15 r. 1928 str. 80: „Braki roboty klubowej są tak wielkie i zasadnicze, że czasem unicestwiają całą rolę wychowawczo-kulturalną klubu, zamieniając go w wylęgarnię przyzwyczajeń niekulturalnych i ignorancji, chuliganerji i pijaństwa. Kluby bywają terenem takich zjawisk, że wymagają kwarantanny społecznej".

Co popycha obywateli Bolszewji do chuliganerji, pijaństwa, gry hazardownej, rozpusty i narkotyzowania się? Tej zimy wykryto w Rosji dwa tajne towarzystwa „Kabuki" w Moskwie i „Wiwo" w pow. Kaszyrskim. Były to stowarzyszenia założone w celu pijaństwa i rozpusty. Obu wytoczono procesy. Kiedy na sądzie pytano niektórych członków, nawet partyjników, czemu wstąpili do tych towarzystw, motywowali oni swój krok nudą. Nuda ich popycha do ekscesów. Niezliczone kluby, „Lenougołki," „Krasnyje ugołki", lokale partyjne, nawet książki, teatry i kina — wszystko to powtarza do umęczenia, nie do wytrzymania ciągle te same słowa, zmierzające do „ugruntowania światopoglądu".

Pijaństwo (buteleczki z wódką od komisarza Rykowa lud nazwał „rykówki") doszło do tak potwornych rozmiarów, że musiano założyć szereg instytucyj lekarskich dla leczenia alkoholików i nawet wynaleziono specjalne metody leczenia. Bolszewicy mają zamiar w pięcioletnim planie przeprowadzić zmniejszenie produkcji spirytusu, ale sami zastrzegają się w artykułach *Prawdy,* że akcja abstynencka nie uda się, o ile nie będzie stworzona odpowiednia ilość miejsc rozrywkowych, herbaciarni, teatrów, kin i t. d. Na tę akcję, nie będącą tak bardzo potrzebną dla partji, pewnie ZSSR poczeka dość długo.

Chęć znalezienia choć jakiejkolwiek rozrywki wypycha obywatela sowieckiego z domu. I obywatelkę sowiecką też. Ognisko rodzinne zanika. Kobieta-matka, która u nas z niechęcią rozstaje się z dzieckiem (czego dowodem małe powodzenie żłobków fabrycznych), w Bolszewji utyskuje na brak żłobków i ogródków dziecinnych, któreby jej pozwoliły spędzać czas poza domem, zrzuciwszy troskę o dziecko na kogo innego. Bolszewicy liczą bardzo na entuzjazm ko-

biet, którym dają równe prawa, nieraz stawiając je na czele różnych komitetów i sowietów. Ruch kobiecy na wschodzie (walka o zrzucenie czadry, parandży i zaniechanie kałymu — kupna żony) ma na celu zdobycie prozelitek dla partji komunistycznej.

Położenie kobiety przy pozornych zdobyczach (prawo polityczne) stało się tak okropnem, jak nigdy w Rosji. Na wschodzie zwalcza się życie haremowe, wielożeństwo, kałym. A tymczasem łatwość ślubów i rozwodów wprowadziła nietylko wielożeństwo, lecz bezład płciowy. Porzucona żona ma prawo do alimentów. Ale niechże ściągną alimenta sześć czy nawet tylko trzy żony robotnika lub urzędnika sowieckiego, a nawet komisarza! Kończy się na wyrzuceniu bezbronnego dziecka na bruk. Bandy dzieci bezdomnych i zdemoralizowanych, dzieci zbrodniczych, które się tępi masowo lub zamyka w obozach koncentracyjnych — oto wynik prawa małżeńskiego w Rosji.

Łatwość rozwodów pozwala na takie nadużycia na wsi: „kułakom" potrzebna jest sezonowa siła robocza. Kułak wydziela ze swego gospodarstwa możliwie najmniejszą działkę synowi — wprost na parę grzęd. Potem żeni syna z parobczarką. Tę ostatnią wyzyskuje się do ostatnich granic możliwości — wszak jest „na swojem". Potem syn rozwodzi się z nią. Ale alimenta z jego mikroskopijnej działki nie są nietylko zabezpieczeniem, ale nawet częściową zapłatą za czas pracy. Kobieta zostaje wyrzucona po wyzyskaniu.

Dokumentem obyczajowości sowieckiej jest umowa niejakiego Dorosa ze swą służącą (pracownicą domową, jak się tam mówi). Umowa jest zaopatrzona w pieczęcie urzędowe i podpisy związku zawodowego i opiewa: „Do obowiązków pracownicy należy: 1) sprzątać pokój, 2) gotować obiad, 3) wykonywać obowiązki żony, 4) ten punkt opuszczamy, 5) nie zdradzać mnie, 6) nie wymyślać, 7) nie palić, 8) zachowywać się przyzwoicie, 9) śpiewać i tańczyć po kolacji, 10) pić mocne trunki wolno tylko ze mną, 11) wymówić miejsce mam prawo, kiedy mi się spodoba, bez kompensacji". — Prawo kobiety w państwie rzekomej wolności...

Typ człowieka obniżył się do najniższych granic. Oprócz ciągłych denuncjacyj z jednej strony, a mordów z drugiej,

klęską nagminną stały się podpalania. *Izwiestja* 14. III. r. b. stwierdzają, że większa część pożarów jest dziełem zemsty lub chuliganerji. O poziomie ludzi skomunizowanych świadczy zarzut pełen oburzenia pod adresem części robotników, że uważają za bandytów budienowców, czerwonoarmistów, czerwonych partyzantów (*Prawda* Nr. 7 r. b.). Widocznie elementy te tak właśnie się przedstawiają.

Brak obowiązkowości i zainteresowania pracą zmusił rząd sowiecki do prowadzenia energicznej kampanji za przywróceniem dyscypliny pracy. Świadectwo urzędnikom sowieckim wystawia fakt podpisania przez wszystkie instancje pokwitowania, podsuniętego umyślnie: „w 1932 roku przyjęto 324 kg. powietrza, 121 rzeszoto wody i t. d." (*Izwiestja* 21. IV. r. b.)

Tak samo formalizm i niesprawiedliwość panuje w sądownictwie. I nieraz sprawy wygrywają ludzie bogatsi, zaś biedacy otrzymują za niepłacenie podatków cięższe kary od „kułaków". Wchodzą tu w grę najwidoczniej łapówki. W więzieniach nawet kryminalistom dzieje się tak źle, że ciągle słyszy się i czyta o strasznych wypadkach z więźniami. Naprzykład w miastach Rżew i Wysznij Wałoczek system zamykania w karcerach doprowadził więźniów do głodówek. Był też jeden wypadek, kiedy więzień sam się spalił.

Mroków tego życia nie może rozproszyć oświata. Po wymordowaniu i masowej ucieczce inteligencji zagranicę zostało mało sił naukowych. Łunaczarskij na zjeździe ZSSR przewiduje brak sił nauczycielskich dla wykonania pięcioletniego planu oświaty i zwalczenia analfabetyzmu. Całe okręgi pozbawione są książek, podręczników, pomocy naukowych. Na XIV zjeździe ZSSR konstatują, że tempo rozrostu instytucyj oświatowych w autonomicznych zjednoczeniach narodowych i dla mniejszości narodowych wyprzedza tempo rozrostu innych instytucyj. Tam oświata więcej leży ludziom na sercu, tam o nią naprawdę dbają, chociaż rząd sowiecki hamuje ją w miarę możności. Na Kaukazie stworzono siedm wyższych zakładów naukowych. Prasa sowiecka wytyka nienormalność tego zjawiska (w Rosji na 3000 ludności przypada 1 student, na Kaukazie na 700 1 student). Prócz tego, Kaukaz ma bogactwa mineralne i rolne i rzą-

dowi centralnemu potrzebni są specjaliści. Autor sowiecki kreśli zatem plan reorganizacji *wuzów* (wyższych zakładów naukowych) Kaukazu w ten sposób, by nauki humanistyczne, rodzima literatura, historja, krajoznawstwo i t. d., to wszystko, co związane jest z duchem narodu, zostało odsunięte i upośledzone, zaś wysunięta na pierwszy plan została wiedza techniczna, potrzebna Moskwie dla eksploatacji tego kraju. Wobec takiego kursu w stosunku do wuzów, mniejszości ratują się jak mogą. *Ekon. Żyźń* 24. III. r. b. konstatuje ze zgrozą, że w szkołach technicznych Armenji wykładają historję sztuki, historję matematyki u Arabów i t. d., nauki, związane ze wschodem i tradycją narodową Ormian. Na Uralu i wogóle w krajach zabranych przeważają szkoły techniczne. Nawet w niższem szkolnictwie mówi się o „politechnizmie".

Poziom szkół jest bardzo różny; w niektórych wykładają profesorowie zacofani pod względem naukowym. W instytucie chemiczno-technologicznym jest 26 katedr nieobsadzonych, wskutek czego zajęcia bardzo kuleją. Licznym profesorom, zwłaszcza Białorusinom i Ukraińcom, zarzuca się *nacjonalisticzeskij ukłon,* nieprawowierność, zbytnie przejęcie się dążeniami narodowemi. Zabrano się do „czyszczenia" profesorów, ale z tem było trudniej, na miejsce „wyczyszczonego" nie szedł żaden inny kolega. Stowarzyszenie naukowców „Warnitso", pomimo pozornej prawowierności to też ciężki orzech do zgryzienia. O specjalistów jest trudno. Nie można ich tak odrazu „wyczyścić" albo „wypisać na rozchód". Nastroje zdecydowanie antysowieckie panują wśród profesury i powstaje od czasu do czasu gwałt w prasie sowieckiej, że profesor Akademji Timiriaziewskiej bywa w cerkwi, albo, że jakiś uczony nie liczy się z leninizmem przy wydawaniu encyklopedji. Profesorowie „reakcyjni", którzy nie mogą zostać w centrum, bywają sprowadzani na kresy państwa. Bolszewicy z bólem serca muszą tolerować ten stan.

Zato uporczywą walkę prowadzą bolszewicy z niedobitkami inteligencji i żywiołami antysowieckiemi wśród akademików. Gdy „czyszczą" ich w jednej republice, to przenoszą się oni do drugiej. Nie puszczają ich do szkoły średniej — oni zdają jako eksterni (35% eksternów w Lenin-

gradzkim Uniwersytecie). Teraz postanowiono nie dopuszczać eksternów.

Do „wuzów" mają prawo wstępu ludzie uprzywilejowani: dzieci biedaków, chłopów i robotników, a wśród innych kategoryj — pracowników GPU i policji kryminalnej. Są to zaszczytne stanowiska w Rosji.

Nastroje wśród młodzieży również bardzo dużo kłopotu sprawiają *Narkomprosowi.* W białoruskim instytucie rolnictwa studenci mówią: „Potrzebny nam Ford a nie Marx". Jeszcze więcej przykrości wynika z tego, że propaganda antyreligijna w szkołach wytwarza wprost odwrotne nastroje. Bolszewicy boją się wpuszczać na uniwersytety absolwentów szkół średnich, gdyż tam nastroje antysowieckie są jeszcze silniejsze, niż w szkołach wyższych. W Leningradzie kilka szkół zamknięto z tego powodu, głównie szkół typu niemieckiego (Annenschule, Peterschule i t. d.). Rozklejano tam nawet antybolszewickie plakaty.

Prócz żywszych nastrojów prawosławnych, kwitnie również wśród młodzieży sekciarstwo (około 2 milj. osób w młodszym wieku należy do sekt). Istnieją też w szkołach organizacje konspiracyjne: „Precz z robotą społeczną", „Bojowy związek uczniów", „Grupa inteligencji szkolnej", „Czarna frakcja", „Grupa faszystów", „Czarny krzyż" i t. d.

Zimno się robi na myśl, że organizacje te zostały wykryte dzięki szpiegostwu kolegów, i na przypuszczenie, co się stało z nieszczęśliwą młodzieżą, skupiającą pod temi nazwami, czasem fantastyczno-romantycznemi, swój młody bunt i oburzenie na zło swego kraju.

Nauczycielstwo ludowe jest naogół antysowieckie (nic dziwnego — komentują *Izwiestja* 17. IV. r. b. — wszak 45% pochodzi z duchowieństwa, zaś 35% z „kułaków"). Zachowuje się potulnie, poniewierane przez rodziców, dzieci i wszystkie niższe urzędy. Jeżeli zdarzają się wśród nauczycieli „aktywni komuniści", wtedy, oczywiście, szczególny nacisk kładą oni na propagandę antyreligijną. Zajmującem jest, że na zebraniach rodzicielskich w sprawie reformy szkolnictwa, urządzonych ostatniej zimy, większość opowiedziała się przeciwko propagandzie bezbożnictwa. Przytaczano argumunty takie, jak: „religja — to rzecz prywatna", „nie trzeba

denerwować dziecka" i t. d., nie śmiejąc, oczywiście, wyrazić uczuć prawdziwych.

Nie mając zaufania do szkół średnich, bolszewicy starają się zapełnić wyższe szkoły uczniami „fakultetów robotniczych" *(rabfaki)*. Że ten element nie jest jednak przygotowany, dowodem tego oświadczenie Łunaczarskiego, że do wuzów trafia 13 tys. rabfakowców (*Prawda* 9. III. r. b.). Na zjeździe ZSSR znowuż stwierdzono, że kończy wuzy tylko cztery tysiące rabfakowców. Taki zatem ogromny procent zmuszeni są odsiać profesorowie.

Zapełnianie szkół wyższych rabfakowcami, a obecnie poddawanie nauki, programów i organizacyj wyższych uczelni pod obrady związków zawodowych i innych organizacyj proletarjatu, dzierżącego dyktaturę, niewątpliwie cofnie naukę rosyjską jeszcze znaczniej, niż to już się stało. Dopasowywanie każdej nauki do łoża Prokrustowego marksizmu wypaczy i ludzi, i myśl naukową. Już teraz prasa sowiecka robi wrażenie wrzasku papug, które nauczono kilku słów, a one je powtarzają do znudzenia.

VII.

Rosja stoi pod znakiem walki z Bogiem. Sumieniem Europy, sumieniem całego świata powinien wstrząsnąć krzyk człowieka wierzącego na zebraniu, roztrząsającem sprawę zamknięcia cerkwi: „Dajcie wolność duszy"!

Ani propaganda antyreligijna, ani represje administracyjne i prześladowania nie mogą zdusić wiary. *Izwiestja* 22. III. r. b. obliczają, że w szkołach Moskwy jest 42% wierzących, a na prowincji w niektórych szkołach jest aż 91% wierzących. W całem państwie jest 50 tysięcy czynnych świątyń, 25 tysięcy gmin sekciarskich, kilka tysięcy sekciarskich domów modlitwy, około 500 klasztorów (istnieją prócz tego niektóre ukryte klasztory), 350 tysięcy duchowieństwa świeckiego i 6 miljonów sekciarzy.

Naprożno bolszewicy starają się dowieść, że należą do gmin religijnych tylko żywioły „nepmańskie", kapitalistyczne, kułackie. Gminy religijne organizują pomoc dobroczynną dla swych członków — dla kogoby jej potrzebowali, mając

w swych szeregach samych bogaczy? Gminy religijne organizują również własną współdzielczość, nawet komuny, kołchozy, artele prowadzą działalność oświatową i t. d., chociaż nowe prawo o zrzeszeniach religijnych nie uważa ich za osoby prawne, a w myśl tego zabrania się im działalności gospodarczej i kulturalnej, wychodzącej poza ramy wykonywania kultu.

Nowe to prawo pozwala zarejestrować się, jako stowarzyszenie religijne, grupie najmniej 20 osób w wieku najmniej 18 lat. Stowarzyszenia religijne dzierżawią świątynie, a mogą też dzierżawić i inne budynki od sowietów miejscowych na odprawianie nabożeństw, ale takie umowy mogą być rozwiązane zwykłą drogą sądową.

Pomimo prześladowań i ograniczeń religja żywsza jest i silniejsza, niż kiedykolwiek w Rosji. Praca bezbożników spotyka najsilniejszy opór w republikach narodowych, gdyż silniej rozbudzony tam indywidualizm nie daje się zniwelować koszarowej tresurze bolszewizmu. A wszak w religji chodzi właśnie o doskonałość i zachowanie duszy indywidualnej, nie zaś roztopienie jej w jednorodnej masie. W Zabajkałach np. potajemnie otwierają zamknięte medresse (szkoły muzułmańskie). W Charkowie jest (podług bolszewickich danych) przeszło 46 tys. członków gmin religijnych. Niektóre dane czasopism sowieckich zdumiewają. Wiemy skądinąd, że cenzura zabrania drukować cokolwiek poza wydawnictwami sowieckiemi. Niejednokrotnie czytamy w prasie sowieckiej, że drukarnie odmawiają (otrzymawszy rozkaz oczywiście) przyjmowania druków „klerykalnych"! I tymczasem, widocznie dla zdoppingowania bezbożników, są cytowane dane, któreby świadczyły prawie o wolności słowa, czego wcale niema. Np. prasa sowiecka pisze, że na Ukrainie wydano 100.000 druków religijnych, 11 czasopism rozeszło się w miljonie egzemplarzy. Przez komorę celną (*Izwiestja* 22. III. r. b.) przeszło 10.000 książek religijnych. Przeszło, lecz czy doszło do rąk adresatów? Znany jest nam wypadek, że księdzu, który zamówił z Polski nieco książek religijnych, nietykających wcale regime'u bolszewickiego, doręczono tylko opaski, skonfiskowawszy ich zawartość. Wkrótce ten kapłan znalazł się sam w więzieniu.

Bucharin na ostatnim zjeździe bezbożników wyrażał ubolewanie, że do związku bezbożników należą sami prawie komuniści. A że jest ich więcej, niż bezbożników, więc mały to sukces.

W krótkich odstępach czasu dziennik sowiecki podaje liczbę bezbożników na 470 tys., Bucharin na 600 tys., zaś Jarosławski — prawie na miljon. Zwykłe bałamuctwo bolszewickie, których cyfrom o tyle nie można wierzyć, że warto je podawać, tylko mówiąc o zjawiskach dla nich niepożądanych, gdyż woleliby je zmniejszyć.

Sekciarzy jest bardzo dużo. Używają oni języków narodowych (zmuszając do tegoż szowinistów rosyjskich), śpiewają swe pieśni na melodje rewolucyjne, traktują dobrze nawróconych, co przyjemnie działa po chamstwie komunistów. Urządzają zabawy, koncerty, odczyty na tematy praktyczne, śpiewają chóralnie pieśni i wygłaszają krótkie kazania. Powodzenie tych zebrań jest ogromne — niejeden na nich wyczuwa z ulgą: Ach, jak mi dobrze, że nie stoję w tej chwili na stanowisku klasowem. — Sekt jest bardzo wiele: adwentyści, tołstowcy, sztundyści, mołokanie, staroobrzędowcy, ewangeliści i t. d. Bardzo duże powodzenie mają baptyści. Naogół sekciarze prowadzą życie porządne, trzeźwe i pracowite. To również działa na ludność zachęcająco.

Świeżo wydana konstytucja RSSFR przyznaje wszystkim wolność wyznań religijnych i propagandy antyreligijnej. Na zjeździe bezbożników Bucharin skłaniał się jakby do zaprzestania prześladowań religijnych, mówiąc: „Chodzi nie o to, żeby nacisnąć, lecz o to, żeby przekonać". Ale jednocześnie tak silnie podkreślano, że duchowieństwo popiera działalność antysowiecką, że związki religijne prowadzą zakonspirowaną agitację antybolszewicką, że nie oznacza to wszystko końca tępienia religji.

Bezbożnictwo i niemoralność z jednej strony, zaś wiara i prawo etyczne z drugiej muszą być z natury rzeczy z sobą w walce. W walce musi być zawsze królestwo Boga z królestwem szatana. Mimowoli przeciwnicy komunizmu, jako systemu życia, przeciwdziałają mu politycznie, chociaż duchowieństwo wszystkich wyznań w zasadzie powstrzymuje się

od udziału w polityce. Bolszewicy atoli przypisują wierzącym aktywność polityczną, której ci wcale nie rozwijają, żeby mieć podstawę do prześladowań. Powiadają oni, że na jednego aktywistę bezbożnika przypada 100 aktywistów wierzących.

Że częstokroć niechęć do bezbożnictwa łączy się z niechęcią do jego reprezentantów, dowodzi tego następujące zdarzenie: w Czycie na jednej z cerkwi umieszczono dość barokowy skrót odczytu religijnego, który miał się odbyć w niedzielę. Brzmiał on: 1) awjacja ducha; 2) industrjalizacja religji; 3) chemizacja życia cerkiewnego; 4) elektryfikacja stosunków cerkiewnych. Ktoś dopisał zaraz na afiszu: 5) wylewacja władzy sowieckiej.

Stosunek sowietów do sekciarzy był zrazu przychylny: rozbijali oni jedność Kościoła i cerkwi, dlatego byli pożądani. I sekciarze, spodziewając się poparcia, trzymali stronę sowietów. Ale teraz na zjeździe bezbożników, a i od dłuższego już czasu w prasie sowieckiej zajęto stanowisko wrogie wobec sekt. Są to elementy obce, brak im zupełnie „linji klasowej".

U nas w Polsce sekty wygrywają atuty socjalne, popierając komunizm albo dążenia najradykalniejsze. Niechże nasi polscy heretycy pamiętają, że braterstwo z bolszewikami jest niepewne i nietrwałe.

O katolikach za kordonem cicho i głucho. W przeciągu roku prawie ani wzmianki, z wyjątkiem notatki o zaaresztowaniu ks. Kelsza z kolonji niemieckich katolików na Krymie i artykułu przeciw pracy misyjnej naszych księży (z obelżywemi napaściami na zasłużonego ks. prał. Około-Kułaka). Ostatnio doszły wiadomości o uwięzieniu w Kijowie ks. Naskręckiego, dzielnego kapłana, pełniącego obowiązki administratora diecezji. Możemy przypuszczać, co tam się dzieje, jak żyją katolickie rzesze w mroku i rozpaczy, albo w męczeńskiej pogodzie i oczekiwaniu klęsk.

Zda się, słychać krzyk wierzącego Rosjanina, z głębi królestwa szatana: Dajcie wolność duszy! — Straszliwe bogoburcze przedsięwzięcie bolszewizmu, pomimo mądrze obmyślonych planów, nie może zwyciężyć. Porażka już jest widoczna. Nie podnieśli kraju ekonomicznie, obudzone narody

wbrew ich woli zatęskniły nietylko do własnej kultury, lecz i do niepodległości, zaś masy, agitowane dla zła, poczuły Boga.

VIII.

Zdawałoby się, że wszystko nakazuje najenergiczniej zwalczać u nas bolszewizm. Tymczasem propaganda antybolszewicka u nas jest całkiem zaniedbana. Zwłaszcza na fabrykach i w wojsku. Szerzeniu się bolszewizmu pomaga nasza karygodna tolerancja. Komunista polski z natury rzeczy jest zdrajcą państwa, nie mówiąc o tem, że uznaje zasady najpotworniejsze, najbardziej sprzeczne z etyką społeczeństw chrześcijańskich. Czy mogę podawać rękę temu, kto sprzedaję Ojczyznę? Wszak w chwili wojny znowu Koszutskie i Sochaccy pochowają się lub uciekną do wrogów. Wszak już teraz szereg socjalistów polskich komunizuje przy uprzejmej tolerancji swych towarzyszy. Niedaleko im do Moskwy.

Trzeba umieć odrąbać członki zgangrenowane i okazać nieugiętą wolę. Niema komunistów „ideowych". Są tylko zdrajcy. Niema komunizmu bez łączności z Moskwą. Dla komunisty nie powinno być miejsca w Polsce, w społeczeństwie, w towarzystwie, w warsztacie i biurze. Istnieje pewien rozsądek życiowy. Granice wyrozumiałości i przebaczenia nie sięgają poza granice instynktu samozachowawczego. Mogę tolerować czyjeś bezeceństwo i spodziewać się nawrócenia póty, aż ten ktoś z nożem zacznie podrzynać mi gardło. Wtedy pomimo wszelkiej chrześcijańskiej wyrozumiałości zaczynam się bronić, odpycham mordercę.

Wyjątkowy zanik instynktu samozachowawczego jest w nas. Nic nam nie sygnalizuje, że nóż zbliża się do naszego gardła. Dlatego z jednej strony usilna propaganda i twórcza praca społeczna wśród mas, z drugiej — bezwzględne potępienie opinji i bojkot zdrajców powinny być naszą bronią.

W Polsce niema w tej chwili pisma na wyrażenie tej opinji, że nie wolno dzielić komunistów na „ideowych" i „kupionych". Skoro jedni i drudzy wyrządzają tę samą krzywdę narodowi, powinni być jednakowo potępieni. Różne są pobudki mordercy z pasji i mordercy dla rabunku, a wsze-

lakoż obu spotyka kara i wyłączenie z obcowania społecznego.

W lekceważeniu niebezpieczeństwa komunistycznego utwierdzają często publiczność ludzie podejrzani. Jest to jeden ze sposobów odwrócenia uwagi od narastającego niebezpieczeństwa.

Od niebezpieczeństwa tego odwracają również naszą uwagę walki partyjne. Konsolidacja wewnętrzna społeczeństwa wpłynie natychmiast na wzmocnienie pozycji państwowej na froncie wewnętrznym.

Trucizna przesącza się wszystkiemi porami. Terenem podatnym są zwłaszcza obszary mniejszościowe. Wrogiej propagandzie zdążono przeciwstawić zaledwie pracę K. O. P., organizacji, która została istotnie dobrze postawiona. Natomiast ani jednej broszury popularnej, któraby mówiła o położeniu mniejszości w Rosji. Dotąd ani jednej! Sumienne i oparte na doświadczeniu i studjach prace Teslara (z których punktem widzenia niezawsze się można zgodzić) odpowiednie są tylko dla ludzi wykształconych.

Towarzystwa zawiązane specjalnie dla zwalczania bolszewizmu odczytują wśród tych, co mają iść do mas, ale słuchaczy tych odczytów wśród mas nie widać. Masy w dalszym ciągu są opanowane przez organizacje socjalistyczne, gdzie na skrajnem skrzydle już formują się zgangrenowane grupy, gotowe odpaść do komunizmu. Praca TUR (Tow. Uniwer. Robotn.) różni się tylko wytycznemi politycznemi od pracy rabfaków i komsomołu, nie różni się podłożem filozoficznem.

Pomimo dużej ilości prac o bolszewizmie, pisanych przeważnie przez naocznych świadków ku przestrodze rodaków, nieuświadomienie nasze jest dotąd ogromne. Czyta się książki z tego mętnego źródła, pełne brzydoty i pornografji (Erenburg). Czyta się czasopisma takie jak *Wiadomości Literackie*, gdzie ciągle się spotyka różne kwiatki ideologiczne, gdzie referuje się literaturę o Leninie, o, tak objektywnie! Nie chcemy rozumieć, że erenburgowskie nastawienie się do życia wnosi tyleż rozkładu, co świadoma ideologja bolszewicka! Dziwna bierność umysłowa, dziwny brak krytycyzmu są objawami choroby społecznej. I ta niesły-

chana łatwowierność albo ślepota doktrynerska („ponieważ to bądź co bądź pierwszy na świecie eksperyment socjalistyczny!"). Powtarza się lansowane przez wrogów i nieprawdziwe wiadomości, że jednak w Rosji proletarjatowi jest lepiej, wiadomości, którym zaprzecza materjał faktyczny z samej prasy sowieckiej. Już zatruci w lekkim stopniu bronią nieszkodliwości trucizny. Przesadza się np. wysoki stopień sztuki teatralnej, co dotyczy tylko pewnych innowacyj inscenizacyjnych, podczas gdy treść jest niska, usypiająco-jednostajna, doktrynerska i martwa przez swą programowość. Upatruje się dobre strony .w szkole bolszewickiej, która doprowadziła całe pokolenia do potwornej degradacji fizjologicznej i moralnej.

Powtarzanie takich pogłosek, poddawanych przez rozsiane tu i ówdzie jaczejki, przez umiejętnie, niewidocznie zorganizowaną propagandę jest wysoce szkodliwe.

Obok szanowania „ideowców" komunistów, niemało złego przynosi lansowany przez wrogie czynniki pogląd, że niema potrzeby przeciwstawiać się komunizmowi, gdyż podniesienie przemysłu i z nim dobrobytu mas samo go wytępi. Tymczasem już same, zresztą bardzo pobieżne i przypadkowe wystąpienia innych partyj robotniczych w związku ze stanowczą postawą rządu zmniejszyły w sposób widoczny komunizm za ostatni rok. Oczywiście, jest to również i przyczajenie się i trwanie w stanie zakonspirowanym, nie zniknięcie absolutne. Ale dawniej komunizm na fabrykach panoszył się całkiem otwarcie. A i teraz czyż wpuszczenienie komunistów do sejmu nie stwarza logicznej przesłanki do ulegalizowania ich partji?

Nie do przyjęcia jest interpretacja Konstytucji przez czynniki rządowe: w Polsce jest wolność przekonań. Wolno każdemu mieć przekonania komunistyczne, pociąga się do odpowiedzialności nie zato, lecz za działalność antypaństwową.

Wiemy, że komunizmem jest nieodmienny od socjalizmu program kollektywistyczny, lecz specjalne nastawienie polityczne prosowieckie, przyjmujące pomoc i współdziałanie z Rosją. Ze strony zaś Rosji bolszewickiej groźba nie ustaje, pomimo stosunków, jako tako uregulowanych. Nagonka na „Biełopolaków" w ich prasie trwa. Dyrektywy

zjazdów partji komunistycznej nakazują w Polsce akcję szpiegowską na korzyść sowietów, dezorganizowanie armji, podtrzymywanie fermentu i zaburzeń wśród mas, oderwanie Śląska od Polski, specjalne buntowanie mniejszości i t. d. Komunista w przekonaniu (któremu narazie nie dowiedziono stosunków z Moskwą) tylko szerząc tendencyjne i nakazane sobie wiadomości o sowietach, choćby nikogo nie organizował i nie brał w tej chwili judaszowych srebrników, działa tak samo na korzyść obcego mocarstwa. Wolność przekonań i wolność istnienia notorycznie komunistycznej księgarni „Książka",[1]) notorycznie komunistycznych druków, notorycznie komunistycznych związków robotniczych — czemże jest? Czy tak daleki krok od nich do organizowania zbrojnych manifestacyj, akcji dywersyjnej na kresach, zamachów terorystycznych? Wszak to tylko korzeń! Czyż nie jest nonsensem odcinać wciąż latorośle, zamiast wyrwać i spalić korzeń, z którego odrastają?

Czy można dopuścić istnienie pism, nauczających systemu zdrady, morderstwa, rabunku, podpalania, perwersji płciowej? Czy można dopuścić istnienia pism propagujących bolszewizm, czyli zorganizowaną zdradę państwową, wymierzoną przeciwko dobrobytowi, wolności i moralności ogółu?

Społeczeństwo uświadomione, kierowane nie kombinacjami sejmowo-partyjnemi, a zdrowym odruchem, dawno starłoby z siebie nieludzką hańbę zasiadania w sejmie dziesięciu sprzedawczyków, składających niewątpliwie wrogom raporty o naszem życiu, ocierających się o sprawy naszej armji, floty, o sprężyny całego organizmu państwowego. Instynkt samozachowawczy umilkł w nas. Ile to wróży o najbliższej przyszłości, chyba że pod ogromnym krzykiem sumienia wytrzeźwiałej inteligencji obudzi się znowu!

Ponieważ bolszewizm działa przez wprowadzanie rozkładu moralnego, wszelkie wyuzdane, pornograficzne książki, niezdrowa sensacja w prasie, krwawe wizje rewolucyjne, jednostronne i fałszywe oświetlanie kwestji społecznej, stwarza tu grunt podatny, na którym tylko siać... Tem bardziej,

[1]) Dzienniki doniosły już o rewizji w tej księgarni i o pochwyceniu wielce kompromitującego ją materjału.

że czasopisma najskrajniejsze, „nożobżuchowe" trafiają do najmłodszych.

W walce z przewrotem państwa europejskie stosują podobne sposoby, jakie stworzyła podstępna, wylęgająca się w mroku rewolucja: są niemi szpiegostwo i prowokacja. Przeciwstawiane są szpiegostwu i planowej akcji podziemnej komunizmu. Na tę formę walki idą ogromne fundusze. Utrzymywanie armji wywiadowczej i policyjnej obciąża budżet państwa i wynaturza moralnie tysiące ludzi.

Można wielokrotnie apoteozować Scherlock'a Holmes'a lub Arsin Lupin'a, a jednak wywiad i tropienie, maskowanie się i ściganie innych, nawet złych ludzi stwarza w społeczeństwie atmosferę niezdrową. Jeśli to konieczność, to jest to konieczność szkodliwa, demoralizująca. Wyobraźmy sobie „konfidenta" na fabryce belgijskiej lub rumuńskiej, dostarczającego za pieniądze wiadomości jakiejś „siguranza" (wydziałowi bezpieczeństwa). Po pewnym czasie, kiedy zabraknie prawdziwych komunistów, człowiek taki zaczyna agitować i sam ich stwarza, aby tych wyprodukowanych przez siebie przewrotowców posyłać do więzień, by nie ustawała robota. Znamy z najpotworniejszego w Europie systemu ochrannego w Rosji carskiej, jakie były skutki systemu szpiegowsko-prowokacyjnego, które wkońcu biegu rewolucji nie zahamowały.

Na terenie jednego z małych państw rozważano, czy lepiej za dziesięć tysięcy dolarów dać pomoc pewnej ilości bezrobotnych, czy lepiej „kupić" za te pieniądze członka komunistycznego konspiracyjnego komitetu centralnego w tym kraju? Dla działacza społecznego odpowiedź jest jasna. Ale dla administracji kraju zarażonego o tyle jest możliwe stosowanie tej pierwszej drogi (zwalczanie zła przez pomoc społeczną), o ile samo społeczeństwo wydobędzie ze siebie tyle sił i środków, że zwalczanie komunizmu (przyjmując, że rozwija się na podłożu nędzy i bezrobocia) wydoła jego postępom.

O ile akcja społeczna dla mas postępuje zbyt powoli, pozostaje konieczność najsmutniejsza: represja i izolacja dla części zarażonych obywateli, by uratować byt całego narodu. Trudno dopiero kopać studnię, gdy dom się pali.

Pomoc społeczna, ofiara całego narodu uchroniłaby nas od tego przeklętego *circulus vitiosus,* gdy tępiąc zło — nowe zło stwarzamy. Potrzebne są broszurki. Ale ważniejszy od nich jest chleb.

Bezrobocie u nas nie istnieje nawet w tak bardzo ostrej formie, jak w innych krajach. Trudno jest przeprowadzić obliczenie, ale wydaje się, że wystarczyłaby w zupełności wytężona pomoc wszystkich ludzi majętnych i rządzących większą własnością, którzyby zrobili ciężki, może nadludzki wysiłek, by uruchomić dość robót i przedsiębiorstw, stworzyć dość instytucyj dla zażegnania bezrobocia i nędzy.

Taka dobrowolna ofiara byłaby dotąd jedyną w dziejach świata, z wyjątkiem pierwszych chrześcijan i naszych obszarników w w XVIII, i podczas powstań znoszących dobrowolnie pańszczyznę. Ofiara taka nietylko zażegnałaby krwawą rewolucję i utratę wszystkiego, lecz działając w duchu Chrystusa dałaby początek Królestwu Bożemu.

Nad własnością zwłaszcza większą zawisły chmury. Przeżyliśmy tak potworne wywłaszczanie i takie tragedje pod bolszewikami, że zdaje się dość przekonywująca konieczność ofiar bardzo znacznych, nawet z dużej części fortuny dla uniknięcia zupełnej zagłady.

Uciszanie w społeczeństwie wrzenia żywiołów głodnych i bezrobotnych przez zaspakajanie ich potrzeb, przez dobrowolne ofiary dla nich jest najlepszą asekuracją większej własności. I inteligencja wielko-posiadająca, czyniąc je, utrzyma swe przewodnictwo organizacyjne.

Czy jest ono potrzebne? Dowiodły potrzeby tego wypadki w Rosji, gdy zniszczywszy większą własność, bolszewicy na gwałt starają się ją odbudować w innej postaci. Argumentem są organizacje, prowadzone przez samych robotników. Nawet elita robotnicza zawsze ciągnie wdół i pozostaje przy zadaniach najpraktyczniejszych, najbardziej materjalnych. Inteligencja dopiero przemaga to bezwładne ciążenie, porywając wgórę ku zadaniom, stawianym przez religję, narodowość, naukę i sztukę.

Ten pogląd na dobrowolną ofiarę warstw posiadających, jako na akt odkupienia, wyzwolenia i budownictwa jasnej *civitas Dei* (wywłaszczenie nie będzie tem samem), wydaje

się idealistyczną utopją autora pracy niniejszej. Ośmielam się jednak stawiać to twierdzenie, jako najpozytywniejszy, najrealniejszy program akcji społecznej. Dla wierzącego katolika będzie to całkiem zrozumiałem. Zbiorowa ofiara w wielkiej miłości poczęta przywoła taki przypływ siły duchowej, który może zmienić znaczną część oblicza globu.

I powtarzam, jest to najpewniejsza asekuracja przed jutrem niewiadomem i w niewiadomości swej groźnem.

Siły przeciwboże czują to wielkie znaczenie ofiary i zwalczają ją z wściekłością. Dlatego bolszewicy i ci, co idą przed nimi, nienawidzą wszelkiego pozoru działalności charytatywnej, daru z miłości, a uznają tylko chłodną, ustawową pomoc społeczną. Robotnicy naagitowani są przeciw „filantropji", ale instynktownie nie lubią i oficjalnej pomocy społecznej. Zato jak chętnie idą tam, gdzie wyciąga dłoń nie ustawa, lecz prawdziwy altruizm, gdzie im naprawdę dać umieją.

„Twarda jest ta mowa" — ale czyż nie wynika z boskich słów Mistrza z Nazaretu, które wkońcu muszą stać się ciałem na ziemi?

R. Bystrzyński.

Papieże o św. Augustynie.

W sierpniu 1930 roku upłynie piętnaście wieków od chwili śmierci Aureljusza Augustyna, biskupa Hippony. Pokolenia, żyjące po nim, lubią go przyrównywać do Platona i do Pawła z Tarsu, stawiając go w rzędzie ludzi, których czasy wydają zaledwie jednego na kilka stuleci.

Narody chrześcijańskie otrzymały w spadku po swych przodkach religji objawionej wielkie dziedzictwo, do którego należy wysoka etyka i zbiór prawd religijnych; do poznania tych prawd ludzkość przedtem nigdy nie doszła. Do tegoż dziedzictwa w szerszem znaczeniu zaliczamy również okazywanie poszanowania dla pewnych osób, które wybitnie przyczyniły się do uchrześcijanienia społeczeństw przez naukowe zgłębianie i rozwijanie objawionej prawdy, oraz zastosowywanie jej do życia praktycznego, zwłaszcza, jeśli to uznanie i cześć, oddawane takim osobom w ciągu wieków zostało potwierdzone przez Strażniczkę Objawienia, Stolicę Apostolską.

Otóż to drogocenne dziedzictwo przodków poczęto marnować od czasów reformacji religijnej w XVI wieku. Jednostki wyszydzały często lekkomyślnie świętość i przekonania narodów i wieków, oraz nazywały je błędami lub wytworami fantazji. Pracowano usilnie nad odświeżaniem poglądów zamierzchłej, przebrzmiałej pogańskiej starożytności, a starano się usunąć z pamięci ludzkiej i poniżyć dotychczas czczone chrześcijańskie wielkości, by następnie zastąpić je innemi, przedstawiającemi odmienny światopogląd. Rozpoczął się proces odchrześcijaniania społeczeństw. Papieże niejednokrotnie przestrzegali świat przed niebezpie-

czeństwem, grożącem wskutek tego trwałości cywilizacji chrześcijańskiej i dawali nauce katolickiej pewnych przewodników, którzy ją tworzyli i którzy nadal zapewniają jej posiadanie prawdy wśród zgiełku najrozmaitszych opinij i twierdzeń.

Augustyn należy właśnie do skromnej liczby wybitnych ludzi, których dzieła Kościół wiernym poleca. Zbierzmy wiązkę najważniejszych dokumentów papieskich, odnoszących się do oceny książek wielkiego biskupa Hippony i wyciągnijmy z nich wnioski.

Pierwszym papieżem, który przynajmniej pośrednio potwierdził dzieła św. Augustyna i jego samego wysoko cenił, był Inocenty I (401—417). Były to czasy szerzenia się w Kościele afrykańskim pelagjanizmu, godzącego w podstawy nauki katolickiej o łasce. W walce z błędami biskupi afrykańscy zbierali się na synody, gdzie w zwięzłych zdaniach wykładali wiernym zagrożone zasady wiary. Często odbywające się te synody wskazują, że niebezpieczeństwo było groźne. Augustyn wystąpił przeciw herezji w słowie i piśmie. Jego mowy jak i pisma stały się wkrótce sławnemi i spotkały się z ogólnem jak najlepszem przyjęciem w Kościele. Najważniejsze antypelagjańskie synody afrykańskie, Kartagiński (416) i Milewitański (416), kanony swoje zaczerpnęły z dzieł Augustyna; przesłano je następnie do Rzymu, gdzie papież Inocenty I zatwierdził je. Więc w sprawach wiary Kościół poczyna przemawiać językiem Augustyna, który ponadto kilkakrotnie pisał listy do wspomnianego papieża w kwestjach pelagjanizmu, oraz przesłał mu swą książkę *De natura et gratia,* na co w odpowiedzi otrzymał pochwały za swą naukową i pasterską działalność.

Po śmierci Inocentego I, Pelagjusz i Celestyn, *perturbatores omnium,* usiłowali podstępnie przekonać następcę jego na Stolicy Piotrowej, Zozyma (417—418), aby cofnął postanowienie swego poprzednika dotyczące ich, twierdząc, że głoszą naukę katolicką. Jednak Zozym z powodu interwencji biskupów Afryki decyzję Inocentego I utrzymał w mocy, potwierdzając pośrednio również stanowisko św. Augustyna.

Heretycy starali się pozyskać zwolenników wśród ogółu wiernych zapomocą pism, zawierających ich naukę. Nawet

do następcy Zozyma, Bonifacego I (418—423), wysłano dwa listy, zawierające apologję pelagjanizmu, z których jeden przesyłał Juljan, obrońca tej herezji, a drugi tenże Juljan wraz z 18 innymi biskupami. Bonifacy I o treści tych listów zawiadomił Augustyna, który na nie i na inne wyjątki z pism wspomnianego Juljana napisał cztery książki, zatytułowane *Contra duas epistolas pelagianorum ad Bonifatium ecclesiae Romanae episcopum.* To dzieło było cichą odpowiedzią papieża na postawione zarzuty.

Wysoka cześć i uznanie Stolicy Apostolskiej, okazywane św. Augustynowi za życia, stały się wyraźnem, obowiązującem prawem dla wszystkich wkrótce po jego śmierci. Bezpośrednim powodem wydania tego prawa były napaści zwolenników semipelagjanizmu na dzieła Augustyna, przedewszystkiem na *De dono perseverantiae* i *De praedestinatione.* W zapale walki nie szczędzono „Doktorowi łaski" niesprawiedliwych zarzutów i oskarżeń. Ataki na czystość nauki św. Augustyna wywołały energiczną obronę tej nauki i jej autora ze strony jego przyjaciół. Żyjący jeszcze wówczas współcześni mu biskupi Hilary i Prosper udali się do Rzymu i prosili papieża Celestyna I (423—432) o poskromienie krzywdzących Augustyna, a szkodliwych dla czystości wiary występów. Podróż ta nie była napróżno. Papież wysłał do biskupów Galji list (431), o wielkiej doniosłości dla ustalenia autorytetu św. Augustyna. Pismo to pochwala troski Hilarego i Prospera o należne Augustynowi poważanie, a semipelagjanizm określa jako nowinkarstwo, wprowadzające do Kościoła zamęt i niepokój. Nie można się spodziewać dobrych rezultatów z pracy, mającej za zadanie tylko burzyć stare fundamenty, jakgdyby prawda się starzała. Przyczyną lekceważenia i nieuszanowania przeszłości często jest powierzchowna jej znajomość. Surowe słowa Celestyna I do heretyków Marsylji nie do nich jednych zastosowaćby można: „Niechaj wiedzą wszyscy, co źle nauczają, że im bardziej wypada uczyć się, niż nauczać".

W drugiej części swego pisma wspomina papież o życiu Augustyna, którego nawrócenie się i wyjątkowo owocna działalność były powszechnie znane. Według listu był on człowiekiem wielkiej wiedzy, dzięki której był najlepszym

nauczycielem, dodajmy, że nietylko współczesnych sobie, ale i przyszłych pokoleń. Papież wspomina o jego wielkich zasługach dla Kościoła i podkreśla, że zawsze należał do jedności kościelnej i cieszył się uznaniem jego poprzedników, oraz ogólną czcią i miłością.

Dlatego Celestyn I żąda od biskupów Galji poskromienia mącicieli jedności chrześcijańskiej. Wyraża to w formie kategorycznego nakazu: *unde resistatur talibus, desinat incessere novitas, vitentur huiusmodi.* Wymierzono tu Augustynowi i jego nieprzyjaciołom czystą sprawiedliwość. Posądzać tego wielkiego Doktora Kościoła o zasadnicze herezje jest to wyrządzić mu krzywdę. Stąd też Prosper pisze,[1]) że list Celestyna I odbiera błądzącym wolność potępienia pism Augustyna.

Papież Gelazjusz I (492—496) znów potępił dążności heretyków, zmierzające do osłabienia powagi Augustyna, nazywając je *scelus,* oraz polecił wspomnianym biskupom czuwać, aby pod ich okiem tego rodzaju zbrodnie nie miały miejsca, iżby *musca morifura,* jak mówi, nie psuła wonnego olejku. Augustyn, według wyrażenia tego papieża jest *ecclesiasticorum lumen magistrorum.*[2])

Szczególnie ważnym jest list papieża Hormisdasa (514—523) do biskupa Possesora (z dn. 13 sierpnia 520 r.), który prosił papieża o radę w sprawie zamieszek, powstałych w Kościele konstantynopolitańskim. Przyczyną nieporozumień tam była książka Fausta z Riez, zawierająca błędy semipelagjanizmu. Otóż wielu czytelników gorszyło się z treści tej książki, inni natomiast bronili jej; stąd niepokój. Hormisdas autorytatywnie wyjaśnił, że pisma Fausta nie są w Kościele przyjęte, naukę zaś Chrystusa na temat przez nie poruszony to jest o łasce i o wolności woli, zawierają listy św. Pawła i dzieła Augustyna zwłaszcza *De perseverantia* i *De praedestinatione.* Więc w tym wypadku nauki Augustyna należało się trzymać jako nauki Kościoła.

---

[1]) *Liber contra collatorem,* c. XXI n. 58 porów. *Dictionnaire de Theologie Catholique.* Paris 1909, str. 2464.

[2]) List do biskupów w Picenum z dn. 1 list. 493 r. Mansi *Amp. Col.* t. VIII.

Nieco później Cezarjusz, arcybiskup z Arles w Galji, zwrócił się do papieża Feliksa IV (526—530) również w sprawach semipelagjanizmu, tam grasującego. Papież przesłał mu w odpowiedzi krótki zbiór prawd wiary, odrzucanych przez heretyków.

Treść tego pisma została następnie przyjęta na synodzie drugim w Orange (529), który historja uważa za najważniejszy z VI wieku, i ułożona w 25 kanonów. Badając te kanony widzimy, że 9 pierwszych wyraźnie pochodzi z dzieł Augustyna, a reszta jest raczej cytatami z tegoż samego źródła z małą domieszką innych Ojców Kościoła.

Postanowienia synodu w Orange zatwierdził następnie papież Bonifacy II (530—532), który, prócz tego w liście do wspomnianego arcybiskupa Cezarjusza (z dn. 25 stycznia 531 r.), daje pierwszeństwo Augustynowi wśród Ojców Kościoła, piszących o łasce.

Do wyliczonych dotychczas dokumentów późniejsze sądy papieży o Augustynie, „młocie heretyków", nic szczególnego nie dodały; są one mniej uroczyste, a bardziej ogólne.

Papież Jan II (532—535) w liście *Ad senatores,* cytując św. Augustyna, pisze, że ten ostatni jest wyrazicielem nauki Kościoła. Papież Agaton (678—681) na szóstym soborze powszechnym (680—681) nazywa św. Augustyna *prudentissimum veritatis praedicatorem.* Papież Hadrjan I (772—795) w liście do biskupów Hiszpanji 771 roku tytułuje go *egregius doctor.* Leon IX mówi o nim, że jest *beatus et catholicus doctor.* Urban V wielką zaletę św. Tomasza w tem widzi, że nie oddalił się on od swego wielkiego poprzednika, Augustyna.

Gdy w XVI wieku powstał spór pomiędzy teologami katolickimi w nauce o łasce i dla zażegnania go utworzono w Rzymie tak zwane „kongregacje", wówczas papież Klemens VIII polecił roztrząsnąć całą sprawę *ad normam doctrinae Augustini de gratia.* Wypowiedziano też powody, dlaczego nauka Augustyna ma być normą tutaj: po pierwsze dlatego, że polecanie i obrona tej nauki stała się w ciągu wieków jakby dziedzicznem prawem i obowiązkiem Rzymu,

powtóre, bo Kościół walczył i zwyciężył wrogów łaski pod wodzą Augustyna. [1])

W nowszych czasach papież Leon XIII w encyklice *o filozofji chrześcijańskiej* z dnia 8 sierpnia 1879 roku pisze, że w gronie Ojców i uczonych Kościoła palmę pierwszeństwa zdobył sobie Augustyn, dzięki tak wielkiemu talentowi, jak i dokładnej znajomości nauk świeckich i teologicznych. Zwalczając błędy, uchronił Augustyn od ruiny podstawy nauki wogóle. Encyklika z uniesieniem wspomina o mnóstwie zagadnień, poruszanych w dziełach „Wielkiego Doktora Kościoła". W filozofji niema prawie kwestji, którejby on nie dotknął. Rozprawiał o rozumie ludzkim, o woli i wolności woli, o czasie i przestrzeni, o naturze ciał; pisał też o religji i życiu wiecznem, o aniołach, o duszy ludzkiej, rozwiązywał problemat zła, rozwijał najszczytniejsze tajemnice wiary chrześcijańskiej i t. p.

W liście do biskupów Bawarji z dnia 22 grudnia 1887 r. Leon III poucza, że nowoczesne pozorne sprzeczności nauki z wiarą są rozwiązane między innemi i w dziele św. Augustyna *De civitate Dei.*

Wreszcie Pius X w liście do biskupa Nicolano z d. 15 marca 1909 roku zalicza Augustyna do największych ludzi, jacy kiedykolwiek w Kościele istnieli.

Biorąc pod uwagę wszystkie omówione dokumenty, zapytujemy, jaką powagę w rzeczach wiary przypisują one Augustynowi? Rozważmy kilka możliwości.

Najpierw, czy według nich autorytet „Doktora łaski" w nauce o łasce przewyższa powagę Stolicy Apostolskiej? Wiemy, że tak ongiś mniemano, ale niesłusznie. Albowiem cokolwiekby wykazała prosta analiza przytoczonych orzeczeń, to co do intencji Kościoła nie mamy żadnej wątpliwości. Papież Aleksander VIII, potępiając zdanie, według którego można nauczać wszystkiego, co ktoś jasno wyczyta w książkach Augustyna, nawet wbrew bullom papieskim, sprawę ostatecznie wyjaśnił. [2]) Nie, Kościół nigdy nie uważał dzieł Augustyna za dzieła Boże, lecz za ludzkie tylko.

---

[1]) Porów. Gotti, *Theologia scholastica-dogmatica,* t. I. qu. IV.

[2]) Denzinger, *Enchiridion Symbolorum,* 1320.

Podziw dla wielkości nie powinien zamienić się w kult bałwochwalczy.

Powtóre, czy może Kościół bezwzględnie wszystko, co napisał Augustyn o łasce, przyjął i jako dogmat ogłosił? I tu odpowiadamy przecząco, gdyż wymienione dokumenty nie upoważniają nas do dania odpowiedzi twierdzącej. Wyrażają się one przeważnie ogólnie, czasem tak, jak i o innych uczonych Kościoła, choć przypisują Augustynowi stanowisko wyjątkowe. W pewnych kwestjach Kościół istotnie używał języka Augustyna w wykładaniu prawd wiary, jednak to jeszcze za mało, aby twierdzić, że również w trudnych, subtelnych kwestjach, do dziś będących przedmiotem dyskusji teologów, Kościół uznał wywody Augustyna za pewne i za dogmat. Niejaką wskazówkę daje nam tutaj papież Pius VI w bulli *Auctorem fidei* z dnia 28 sierpnia 1794 roku, w której pochwala teorję o losie dzieci, zmarłych bez chrztu, przeciwną nauce Augustyna. Chlubą „Doktora łaski", jak mówi S. Deschamps, jest to, że Kościół zaczerpnął z dzieł Augustyna wszystko, co umieścił wśród artykułów wiary przeciw pelagjanom, choć to nie jest wszystko, co Augustyn przeciw tym heretykom napisał. [1])

Następnie, może Augustyn popełnił błędy w zasadniczych kwestjach wiary chrześcjańskiej? W nowszych czasach nie wahano się zarzucać mu jansenizmu i kalwinizmu, [2]) atoli niesłusznie i niesprawiedliwie. Wydaje się nam bowiem niemożliwem, aby Kościół walczył i zwyciężał heretyków pod wodzą notorycznego heretyka, aby polecał i zaszczytnie podawał za wzór katolickim teologom nieprzyjaciela prawdy. Przeciwnie sądzimy, że Stolica Apostolska jak w przeszłości tak i obecnie przed takiemi zarzutami św. Augustyna obroni. Dotychczasowa tradycja wymaga, aby „młot heretyków" był wolnym od posądzań o wielkie błędy przeciw wierze.

Najwyższy autorytet w Kościele bardzo rzadko zwykł był wydawać uroczysty sąd o osobach, a jeszcze rzadziej

---

[1]) Stef. Deschamps, *De haeresi Ianseniana,* lib. III. disp. I. c. V.
[2]) *Dictionnaire de Theologie Catholique,* t. I. str. 2469.

polecać ich naukę. Orzeczenia papieży o działalności naukowej Augustyna oznaczają, że rozwijała się ona w należytym kierunku i stwierdzają jej wielki wpływ na współczesnych i na potomnych. Atoli choć główną i charakterystyczną cechą dla tego wielkiego Ojca Kościoła była jego praca dla wiedzy, to jednak nie jedyną. Głębokie jego rozważania harmonijnie łączyły się z jego życiem osobistem i uzupełnione zostały przez organizację domów zakonnych.

Jakiem było życie osobiste Augustyna, Stolica Apostolska określiła, zaliczając go w poczet wybitnych świętych Kościoła; było ono poprostu heroiczną „służbą Bogu", [1]) jak o nim pisze czterdziestoletni jego przyjaciel i biograf Posydjusz. O wartości zaś jego domów zakonnych świadczy fakt, że jeszcze za jego życia wielu mieszkańców tych domów Kościół wybrał na biskupów; przyczynę tego podaje tenże Posydjusz: wychodzili z nich „mężowie święci i najuczeńsi". Domy jego stały się pierwowzorami domów zakładanych przez jego uczniów i dziś wylicza się dziesiątki zakonów, korzystających w ciągu 15 wieków z jego reguły. Wszystko to działo się pod okiem i za aprobatą papieży.

Tysiąc pięćset lat twórczy duch Augustyna żyje i działa w świecie chrześcijańskim. Czas zatarł już dawno ślady po błędach, przez niego zwalczanych, a, niestety, na ich miejsce wyrosły nowe. Na wschodzie, pogrążona w zastoju schizma, a na zachodzie rozbity i uwikłany w sprzecznościach protestantyzm. Wielu herezjarchów wielkiego biskupa Hippony uważało za swego i nie szczędziło mu pochwał. Lecz dla świata nie ich głos, ale głos nieugiętej strażniczki prawdy, Stolicy Apostolskiej, może być miarodajnym, który też, w tak niezwykły Augustyna jubileusz jest dla niego rzeczywistą chlubą.

---

[1]) *Vita S. Aurelii Augustini.* Str. 35. Mique P. L. 32.

Ks. Dr. Władysław Rosłan.

Kilka uwag o grobowcu Łokietka.

W szeregu licznych grobowców królewskich w katedrze wawelskiej najstarszym i najskromniejszym zarazem jest grobowiec Łokietka. Pod ostatnią arkadą lewej nawy, naprzeciw zakrystji, w pobliżu W. ołtarza i cudownego Krucyfiksu królowej Jadwigi, stoi, z szarego kamienia wzniesiony grobowiec tego króla, którego drobną postać „uzacniała dusza wielka, nagradzając wzrost niski, bohaterskiemi umysłu przymiotami“ (Długosz).

Jako zabytek sztuki, grobowiec Łokietka budzi wielkie zainteresowanie; w obecnym stanie składa się z dwóch części, t. j. z tumby, ustawionej na cokole i przykrytej silnie wystającym gzymsem (fig. 1.), oraz z baldachimu, sięgającego jednak tylko czasów ostatniej restauracji katedry w pierwszych latach obecnego stulecia. Boki tumby podzielone są arkadkami: krótsze na dwa, dłuższe na pięć pól. W każdej takiej arkadce stoją po dwie wypukło rzeźbione postacie: ze stron krótszych po 4 figurki duchownych, na południowym boku, zasłoniętym ścianką od prezbiterjum 10 postaci męskich, z widocznego północnego boku 10 figurek kobiecych. Postacie te mają tyle szczerego uczucia i tyle ekspresji, wyrażonych w postawach i naiwnych nieraz ruchach rąk, że patrząc na nie, zapomina się o znacznem ich zniszczeniu i pewnej nieudolności formy. Ową ekspresją z przed 5 stuleci starają się one do nas przemówić, wyjawiając znaczenie tego jakgdyby misterjum z kamienia, spowodowanego śmiercią ukochanego króla, którego posąg, w stroju koronacyjnym, wykuto ponad ich głowami, na wierzchniej płycie tumby.

Nie mam zamiaru dawać tutaj monografji grobowca Łokietka;[1]) pragnę poruszyć tylko kilka kwestyj, wysuwanych już niejednokrotnie przy różnych okazjach, w różnych pismach i pracach, a pozostających w związku z autentycznością posągu Łokietka, z materjałem grobowca, czasem jego powstania, środowiskiem artystycznem, z którego wyszedł jego twórca, oraz jego pierwotną postacią. Z kwestjami temi, spornemi i niejasnemi, zetknęłam się bliżej, zajmując się naszą rzeźbą gotycką i może uda mi się, na niektóre z nich przynajmniej, rzucić trochę światła.

Wątpliwości co do autentyczności posągu króla na grobowcu wysunął p. Lepszy w VII tomie Sprawozdań Komisji Hist. Szt.,[2]) uważając posąg ten, za XVII-wieczną, stiukową rekonstrukcję pierwotnej figury, może nawet zrobioną na jej zniszczonem jądrze. Analiza chemiczna, przeprowadzona na życzenie Komisji Hist. Szt. przez prof. Szajnochę,[3]) wykazała, że cała postać królewska wykonaną jest z wapienia; tem jednak nie została jeszcze stwierdzona przynależność tego posągu do wieku XIV-go, bo ostatecznie możliwem byłoby zastąpienie starego posągu późniejszą rzeźbą.

Ale w tę kwestję bliżej nie wchodzę, tem bardziej, że nigdzie nie udało mi się znaleźć prototypu tej figury; moje uwagi dotyczą przedewszystkiem tumby.

Nie mogę więc pominąć milczeniem jej odnowienia. Dokładna data restauracji nie jest nam znaną, w każdym razie jednak musiano jej dokonać po przymurowaniu w 2 poł. XVII w., do narożnego filaru ambitu szkarpy, przytykającej do wschodniego boku grobowca,[4]) gdyż odnowienie tumby ograniczono tylko do dwóch zawsze widocznych boków: zachodniego i północnego, podczas kiedy odsłonięty, dopiero

---

[1]) Artykuł ten został przedłożony na posiedzeniu Komisji Hist. Szt. Pol. Akademji Um. w dniu 28 lutego 1929 r. (patrz: Sprawozdania z czynności i posiedzeń Pol. Akademji Umiejętności t. XXXIV. N. 2.).

[2]) Komunikat p. Lepszego. Sprawozdania Komisji Hist. Szt. Pol. Ak. Um. t. VII szp. CCCLI.

[3]) Sprawozdania Kom. Hist. Szt. t. VIII. szp. CCLXXI.

[4]) Wojciechowski T. Kościół katedralny w Krakowie — Kraków 1900 p. 65/6.

w czasie ostatniej restauracji katedry, bok wschodni, zachował się nietknięty.

Na bokach tych, obok przekucia brzegów i powierzchn arkadek, oraz szat figurek, zauważyć można uzupełnienia ich braków sztuczną zaprawą, ulepianą na wbitym w miejscu uszkodzenia pręcie żelaznym i rozprowadzaną, dla niepoznaki cieniutką warstewką po najbliższych częściach. Szczególnie dobrze zaobserwować to można na twarzach figurek tych boków, gdyż nietrwała zaprawa po większej części odpadła, czyniąc powierzchnię ich nierówną i odsłaniając gwoździe w miejscu odkruszonego nosa (fig. 2. 6, 7). Właśnie te gwoździe — których brak na odkrytym obecnie boku wschodnim wskazuje na to, że na tamtych dwóch bokach są one późniejszym dodatkiem — mogły podsunąć Łuszczkiewiczowi [1]) myśl o wykonaniu ze stiuku całego grobowca. [2])

Odnośnie do kwestji datowania grobowca Łokietka istnieją w naszej literaturze naukowej dwie, różne hipotezy.

Według Wojciechowskiego [3]) grobowiec ten powstał za życia Łokietka, około r. 1320; według p. Kopery [4]), dopiero Kazimierz W. fundował pomnik ojcu, po jego śmierci, t. j. po r. 1333.

Przeciw powstaniu grobowca ok. r. 1320, przemawia nawet dalsza część hipotezy Wojciechowskiego, w której próbuje utożsamić architekta w tym właśnie roku rozpoczętej budowy katedry, z twórcą grobowca; na brak bowiem odpowiednich sił rzeźbiarskich w tej korporacji kamieniarskiej w pierwszych latach otwarcia fabryki katedralnej, wskazują tak skromne zworniki z r. 1322 w kaplicy S. Małgorzaty, [5]) oraz pozbawiona wszelkiej plastycznej dekoracji kaplica Marjacka, konsekrowana w r. 1331.

---

[1]) Łuszczkiewicz Wł. Rzeźba kamienna krakowska XIV w. — Kraków 1871 p. 12. — Tenże. Architektura najdawniejszych kościołów franciszkańskich. Sprawozdania Kom. Hist. Szt. t. IV p. 168.

[2]) Cokół i gzyms górny tumby kilkakrotnie, zdaje się, były wymieniane; o jednej takiej wymianie z r. 1838 dają nam wiadomość: Grabowski A. „Starożytnicze wiadomości". Kraków 1852 p. 20. i Ks. L. Łętowski. „Katedra na Wawelu". Kraków 1859 p. 71.

[3]) T. Wojciechowski. o. c. p. 68.

[4]) F. Kopera. Pomniki Krakowa. Kraków—Warszawa 1904 z. X. p. 76.

[5]) T. Wojciechowski. Kościół katedralny. p. 18. fig. 8.

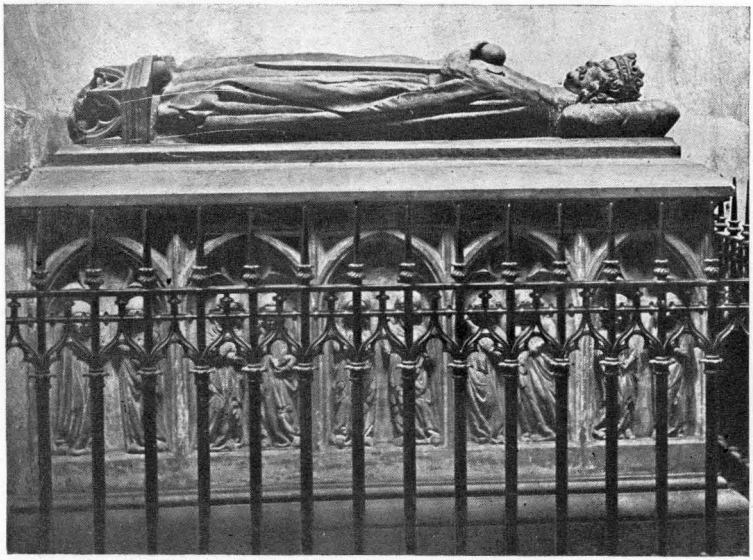


Fig. 1. Grobowiec Łokietka.
(Fot. J. Krieger Kraków).





Fig. 2 i 3. Figurki zach. boku grob. Łokietka.
(Fot. A. Misiążanka).





Fig. 4 i 5. Figurki wsch. boku grob. Łokietka (odlewy gipsowe).
(Fot. Muzeum Narod. Kraków).





Fig. 6 i 7. Figurki z półn. boku grob. Łokietka.
(Fot. A. Misiążanka).



Fig. 8. Z podwójnego grob. Marburskiego.
(Monatsh. f. Kunstw. VI. 1913. Taf. 16. Abb. 5).

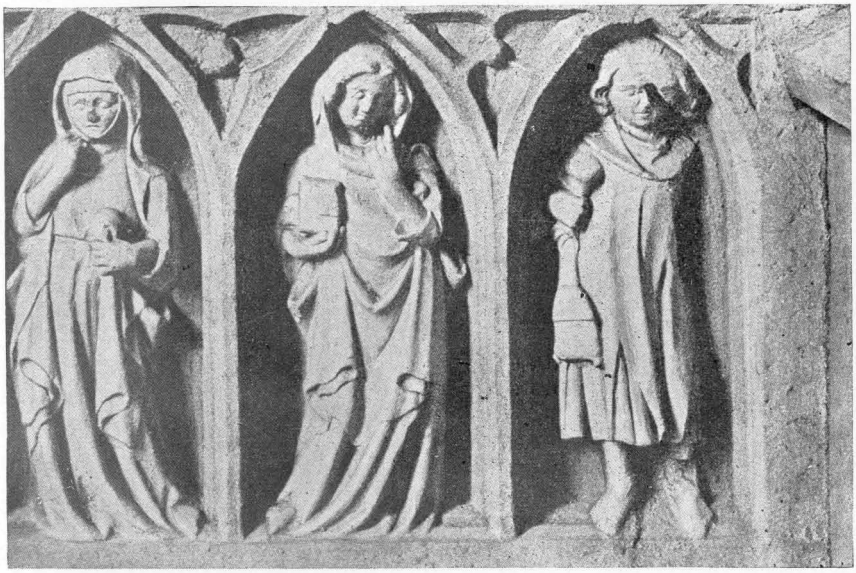


Fig. 9. Z grob. w Bielefeld.
(Dehio-Bezold, Denkmäler d. deutsch. Bildhauerkunst 14 Jhh. Taf. 6).

Dopiero z pewnemi analogjami do grobowca spotkać się można w prezbiterjum katedry, gdzie kompozycje na 6 zwornikach [1]) wykazują styl pokrewny figurkom tumby. Na zwornikach tych zauważyć można wszystkie ważniejsze cechy stylowe figurek z grobowca, a cechy te, jakkolwiek wspólne dla rzeźby XIV-wiecznej, u nas pojawiają się po raz pierwszy dopiero właśnie na tych zabytkach. Mam tu na myśli wygięcie w literę „S" postaci, duże dłonie, o grubych palcach, traktowanie włosów, jako falistych pasemek, względem siebie równoległych, ułożonych w dwa symetryczne pukle nad uszyma, widoczne u niektórych męskich postaci, oraz draperje szat, o swobodniejszym rzucie fałdów. Biorąc pod uwagę normalny tok budowy, zworniki te, jako znajdujące się na sklepieniu, musiały powstać stosunkowo najpóźniej, zatem w czasie około konsekracji prezbiterjum t. j. około r. 1346. Ku tej dacie więc raczej trzeba przesunąć czas powstania grobowca, uważając go razem z p. Koperą za fundację Kazimierza W., po śmierci ojca.

Z jakiego środowiska artystycznego wyszli twórcy naszego pomnika?

Czy szukać ich należałoby w Awinionie, pomiędzy rzeźbiarzami sarkofagów papieskich, jak to czyni p. Muczkowski, [2]) czy raczej we Wrocławiu, razem z Wojciechowskim, [3]) który za prototyp naszego grobowca uważa grobowiec ks. Henryka IV w tamtejszym kościele Ś. Krzyża i nie wyklucza wspólnego autorstwa obu tych pomników?

Analogij dla naszego we wrocławskim sarkofagu [4]) dopatruje się Wojciechowski nietyle na podstawie analizy stylistycznej, ile w czysto zewnętrznem podobieństwie formy i typu pomników. Jednak ten typ grobowców i architektoniczny podział boków tumby na szereg arkadek, wypełnionych rzeźbą figuralną, jest ogólnie rozpowszechnionym już od XIII w. na Zachodzie, a pewne podobieństwo w stylu fi-

[1]) T. Wojciechowski o. c. p. 52/3 fig. 15 i 16.

[2]) J. Muczkowski. Pomnik Kazimierza W. — Rocznik Krak. XIX. p. 139—140.

[3]) T. Wojciechowski o. c. p. 68—9.

[4]) Chr. Gündel, Das schlesische Tumbengrab im XIII Jhrh. — Studien z. deutschen Kunstgesch. H. 237. Strassburg 1926 — Taf. V—XI.

gurek obu grobowców stanowi również niewystarczającą podstawę do hipotezy o wykonaniu pomnika Łokietka przez twórców grobowca Henryka IV.

Pewnego podobieństwa wrocławskich figurek do naszych dopatrzyć się można w ożywionym rzucie draperji ich szat, w sposobie modelowania twarzy, oraz w wyrazie bólu, uzyskanym podobnemi gestami rąk, przez odpowiedni zakrój ust, podniesienie kącików brwi koło nosa i zaznaczenie brózd, żłobiących policzki wzdłuż, od oczu ku brodzie.

Natomiast wyraźnie różnią się od naszych figurki wrocławskie: smuklejszemi proporcjami, postawą bez śladu kontrapostu, układem w arkadkach pojedynczo, lub nawet dwuplanowo po trzy postacie (w jednej tylko arkadce stoją 2 figurki), oraz typem twarzy; bo gdy u wrocławskich figurek powraca jeden typ, na grobowcu Łokietka pod tym względem daje się zauważyć znaczne zróżnicowanie. Różnice te między obu dziełami dowodzą odmiennych indywidualizmów twórczych, których nie można podstawić w osobę jednego artysty.

Trzeba zatem szukać gdzie indziej jeszcze materjału porównawczego.

W pobliskich Czechach żadnych analogij dla naszego grobowcą nie znalazłam; zato w Hesji i w Westfalji znajdują się grobowce, których dotychczas nie brano pod uwagę przy omawianiu grobowca Łokietka. Są to grobowce landsgrafów heskich, znajdujące się w kościele S. Elżbiety w Marburgu,[1]) a mogą tu być wzięte pod uwagę dwa z nich: jeden landsgrafa Jana †1311, drugi podwójny Henryka †1308 i Ottona †1328. O istnieniu licznej korporacji kamieniarskiej w tej okolicy Niemiec, z pod której dłuta wyszły, w pierwszym rzędzie, oba wyżej wymienione pomniki, świadczy wiele innych zabytków, z pośród których dla nas najważniejszym jest podwójny grobowiec hr. Ottona III v. Ravensberg i żony jego Jadwigi w Neustädter-Kirche w Bielefeldzie.[2])

---

[1]) W. Pinder. Die deutsche Plastik I. d. Wildpark — Potsdam 1924 p. 109.

[2]) Burkhard Meier. Drei Kapitel dortmunder Plastik. — Monatsh. f. Kunstwiss. VI Jhrg. 1913 p. 64/6. — Zalicza tu figurki letnerów w obu powyżej wymienionych kościołach: w Marburgu i Bielefeldzie, oraz

Dla posągów zmarłych, na wyżej wspomnianych grobowcach niemieckich, doszukują się niektórzy uczeni pierwowzoru w tego rodzaju dziełach Jean Pepin de Huy, Niederlandczyka, pracującego w I ćwierci XIV w. w Paryżu, autora grobowców dla rodziny hr. Mahaut d' Artois, żony Ottona hr. Burgundji, [1]) a łączność tę dałoby się wytłumaczyć już wówczas dość silnemi wpływami francusko-niederlandzkiej sztuki na sąsiednie okolice Nadrenji, Westfalji i Hesji, oraz źródłowo stwierdzonemi stosunkami polityczno-handlowemi tych krajów. [2])

Odnośnie do pomnika Łokietka analogje istnieją w figurkach tumb tych grobowców. Ale o ile w zestawieniu stylistycznem figurek naszego grobowca z niemieckiemi widać pokrewny stopień rozwoju, o tyle pod względem wartości artystycznej zaznaczają się między niemi wyraźne różnice (fig. 8, [3]) 9).

O pokrewieństwie stylowem świadczy owo manieryczne wygięcie postaci w literę „S", już wprost przesadne u niektórych figurek niemieckich, lub traktowanie ich szczegółów jak np. włosów, w równolegle biegnące, faliste pasemka, u kilku postaci męskich uczesaniem zbliżone do naszych, o maleńkiej grzywce nad odkrytem czołem, z symetrycznie ułożonemi puklami nad uszyma. Wspólną również cechą stylistyczną tych zabytków jest sposób oddania dłoni, przeważnie b. dużych, płaskich, o grubych palcach, na naszych figurkach widoczny tylko u niektórych np. u duchownych, na krótszych bokach sarkofagu, gdyż nieudolna restauracja pół-

posągi w chórze katedry kolońskiej i figurki mensy tamtejszego W. ołtarza. — Również do tej grupy zaliczyć należałoby grobowiec Gotfryda v. Bergheim † 1335 w Stiftskirche w Münstereifel, publikowany u P. Clemen'a: Die Kunstdenkmäler der Rheinprovinz B. IV/2. Düsseldorf 1898. Taf. VI.

[1]) G. v. Bezold. Zwei Grabmäler aus der Frühzeit des 14 Jhrs. in S. Elisabethkirche in Marburg. — Mitteilungen aus dem Germ. Nationalmus. Jhrg. 1911 p. 14.

[2]) Ch. Dehaisnes. Histoire de l' art dans la Flandre, l' Artois et le Hainaut avant le XV siècle. Lille 1886 p. 579, 591, 595.

[3]) Drugi krótszy bok podwójnego grobowca marburskiego publikuje F. Küch Die Landsgrafendenkmäler in der Elisabethkirche zu Marburg. Zeitschr. des Vereins f. hessische Geschichte und Landeskunde. Neue Folge 26 B. Kassel 1903. Taf. III.

nocnego boku zniszczyła w większej części ślady pierwotnego wyglądu i nie zapobiegła dostatecznie niszczeniu zabytku w dalszym ciągu. Zwracają uwagę także podobne układy rąk np. podparcie głowy, albo złożenie dłoni na piersiach, to znów trzymanie książki na dłoni od spodu, albo ruch wskazujący ręki, lub wreszcie ułożenie obu rąk, opuszczonych przed sobą, jedna na drugiej.[1])

Przedewszystkiem jednak najwięcej podobieństwa wykazują draperje szat figurek. I tu i tam widać wzrastające jej znaczenie, dążenie artysty do oddania jej jak najplastyczniej i zamiłowanie nietylko w kontrastach światłocieniowych, lecz także w zestawieniu partyj fałdów płynnych, prostych lub diagonalnych, ze spiralami i licznemi załamaniami pod kątem. Tak u niemieckich, jak i u naszych figurek zauważyć można poszerzające je po bokach łałdy w kształcie uszu (u naszych bardzo nieudolnie oddane), powstałe przez podtrzymywanie powłóczystych płaszczów łokciem, lub dłonią; podobne ułożenie welonów na głowach niewiast, przerzuconych zazwyczaj z prawego na lewe ramię, oraz zakończenia szerokich rękawów szat zwierzchnich u figurek duchownych [2]) (fig. 2—9).

Natomiast różnice w wartości artystycznej tych grobowców — na niekorzyść naszego — zaznaczyły się przedewszystkiem w bardziej ozdobnym, architektonicznym podziale tumb niemieckich sarkofagów, w smuklejszych proporcjach tamtejszych figurek, oraz w ich rozmieszczeniu we wszystkich arkadkach pojedynczo, podczas gdy w grobowcu Łokietka dwie postacie, stojące po bokach każdej arkadki, zostawiają puste miejsce środkowe, podkreślające w jej kompozycji brak optycznego łącznika. Wyższą wartość mają także szaty tamtejszych figurek, oddające wiernie ówczesną modę, podczas gdy w draperjach na naszym grobowcu zau-

[1]) Przy analizie porównawczej posługiwałam się fotografjami poszczególnych figurek z obu marburskich grobowców, przesłanemi mi przez Seminarjum Hist. Szt. przy Uniwersytecie w Marburgu.

[2]) Grobowiec bielefeldzki znam z autopsji; podobieństwo figurek tego grobowca do postaci z tumby pomnika Łokietka jest w rzeczywistości jeszcze wyraźniejsze. Nie bez znaczenia również będzie fakt, że wypukłość reliefu na tumbach obu tych pomników jest jednaka, ok. 6 cm.

ważyć można pewne niekonsekwencje, świadczące o modelowaniu ich z pamięci, względnie posługiwaniu się gotowemi wzorami.

Z powyższego wynika, że i w tym wypadku nie można utożsamiać twórców grobowców niemieckich z rzeźbiarzami pomnika Łokietka; można jednak — jak sądzę — wysunąć hipotezę, że artyści grobowca Łokietka, a zwłaszcza jego tumby, mogli pochodzić z hesko-westfalskiego środowiska, pozostając do twórców pomników niemieckich w takim stosunku, jak czeladnik do mistrza.

Z drugiej strony, z powyższą grupą heskich grobowców łączy Pinder [1]) wrocławski grobowiec Henryka IV; tem więc możnaby teraz wytłumaczyć owe analogje między grobowcem Łokietka, a sarkofagiem wrocławskim, o których wyżej mówiłam, oraz możnaby przyjąć, że wszystkie wymienione grobowce tworzyły jedną grupę, której punktem wyjścia była Hesja.

Sprowadzenie do nas rzeźbiarzy z Hesji wydaje się tem bardziej możliwem, że w r. 1341 żeni się Kazimierz W. z Adelajdą, córką Henryka Żelaznego, landsgrafa heskiego, [2]) a wnuczką Ottona, którego posąg można oglądać na podwójnym grobowcu marburskim. Możnaby więc przyjąć, że jeszcze w tym samym roku, z pośród pracujących w Hesji kamieniarzy, przybyła do Krakowa korporacja, sprowadzona przez Kazimierza W., co właśnie schodziłoby się z późniejszem datowaniem naszego grobowca. [3])

Również daty niemieckich grobowców nie stoją na przeszkodzie powyższej hipotezie. Oba bowiem marburskie grobowce, datowane są przez Burkharda Meiera [4]) na podstawie

---

[1]) W. Pinder. Die deutsche Plastik I p. 108/9. — Innego zdania jest Gündel (Das schlesische Tumbengrab p. 39 i 41.), który skłonnym jest raczej szukać artysty dla pomnika Henryka IV wśród górnosaskiej korporacji zajętej na Śląsku w 2 poł. XIII w. budową grobowca dla hr. P. Własta i jego żony Marji w kościele Ś. Wincentego we Wrocławiu.

[2]) J. Dąbrowski. Dzieje Polski średniow. t. II. Kraków 1926 p. 34.

[3]) Od daty ślubu zbytnio oddalać się nie można, ze względu na późniejsze nieszczęśliwe pożycie Kazimierza z Adelajdą. Fakt ten jednak nie stoi na przeszkodzie hipotezie sprowadzenia z Hesji kamieniarzy jeszcze w r. 1341.

[4]) Burkhard Meier. Drei Kapitel dortmunder Plastik. Monatshefte f. Kunstwiss. VI Jhrg. 1913. p. 67.

analizy stylistyczno — porównawczej z innemi zabytkami, należącemi do tej grupy, na 30 lata XIV w., a zatem istniałyby już z chwilą sprowadzenia do Polski tamtejszych kamieniarzy; natomiast sarkofag bielefeldzki, wzniesiony około połowy tego stulecia, możnaby przyjąć, że był stawianym równocześnie z naszym, przez innych członków marburskiej korporacji.

„Terminus a quo" pomnika Łokietka byłby zatem ślub Kazimierza W. z Adelajdą Heską, czyli r. 1341.; do oznaczenia terminu „ad quem" przyczyni się hipoteza Wojciechowskiego, o przeniesieniu przed poświęceniem prezbiterjum katedry zwłok Łokietka, z pierwotnego miejsca na chórze na obecne.[1]) Ponieważ konsekracja ta odbyła się dopiero w pięć lat po zawarciu małżeństwa Kazimierza W., t. j. w r. 1346, wydaje się bardzo prawdopodobnem, że na ten czas postarano się wykończyć obecny grobowiec.

Za tym terminem przemawiają również wyżej wspomniane analogje, pomiędzy figurkami naszego grobowca, a zwornikami z chóru katedry, które zapewne rzeźbiono równocześnie z pomnikiem Łokietka, a które na pewno już musiały być ukończone na konsekracje chóru i W. ołtarza. — W ten sposób więc zamykałoby się koło moich dowodzeń.

Czy grobowiec Łokietka był jedynem dziełem, które po sobie zostawiła korporacja heska, sprowadzona przez Kazimierza W.? — Niewiadomo. Byłoby to dopiero kwestją do zbadania, czy reszta rzeźb katedry, powstałych między latami 1346 a 1364 t. j. konsekracją całej świątyni, albo np. grobowiec Bolesława Chrobrego w katedrze poznańskiej, nie wyszły przypadkiem z pod dłuta tych samych kamieniarzy.

Obecnie trzeba zastanowić się nad pierwotną postacią pomnika Łokietka.

Wojciechowski pisze o odkryciu koło grobowca, podczas restauracji katedry baz i trzonów dwóch filarków wapniowych, przy filarach tego przęsła;[2]) na podstawie tego odkrycia, jak również na podstawie wzmianki Długosza, który określił pomnik ten jako „sepulchrum alba petra per

[1]) T. Wojciechowski. Kościół katedralny p. 70.
[2]) T. Wojciechowski. o. c. p. 67.

sculpturas et testudinem adornatum,"[1]) dochodzi do przekonania, że nad grobowcem tym istniał baldachim wystawiony przez Kazimierza W. w jakiś czas zapewne, po przeniesieniu zwłok królewskich z chóru do obecnego grobowca, a więc np. może w r. 1367., po podwyższeniu dotacji ołtarza Ś. Władysława.[2])

P. Muczkowski natomiast, uważając pierwotny baldachim za współczesny z grobowcem, radby dla całego naszego pomnika — jak to już wyżej wspomniałam — widzieć pierwowzór w awinińskich, baldachimowych sarkofagach papieskich.[3]) Hipotezie tej jednak wydaje się przeciwnym fakt, że żaden z grobowców, należących do grupy heskowestfalskiej baldachimu nie posiada, a analiza stylistyczno-porównawcza tych pomników mogłaby zaprowadzić raczej do Flandrji lub Francji Pn. niż do południowych jej prowincyj, gdzie, jak wiadomo, przedewszystkiem przyjęła się forma grobowców „à cataphalque".[4])

Na tej więc podstawie możnaby przypuścić, że pierwotnie pomnik Łokietka pomyślanym i wykonanym był bez baldachimu, jak reszta w tej grupie grobowców zwłaszcza, że bazy filarków odkryte „tuż przy filarach nawy"[5]) wskazywałyby na brak łączności z tumbą i usprawiedliwiałyby późniejsze powstanie baldachimu. Nie jest bowiem wykluczonem, że kazał go dostawić dodatkowo jeszcze Kazimierz W. pod koniec swego panowania, np. może w r. 1367 — jak chce tego Wojciechowski[6]) — na wzór baldachimów nad słynnemi z piękności już wówczas sarkofagami papieskiemi. Przypuszczenie to wydaje się tem prawdopodobniejsze, że od czasu wstąpienia Urbana V na tron papieski,[7]) Kazimierz W. nawiązuje z Awinionem ściślejsze stosunki, o czem świadczy np. poselstwo z r. 1363. W roku tym posłowie polscy mogli oglądać w Awinionie zapewne już trzy wspaniałe grobowce

[1]) Długosz. Opera omnia XII p. 161.

[2]) T. Wojciechowski, o. c. p. 70.

[3]) J. Muczkowski. Pomnik Kazimierza W. — Rocz. krakowski XIX p. 139—140.

[4]) L. Courajod. Leçons à l'école du Louvre II p. 62.

[5]) T. Wojciechowski. Kość. katedralny p. 67.

[6]) Tenże l. c.

[7]) J. Dąbrowski. Dzieje Polski średniowiecznej t. II. p. 79.

poprzedników Urbana, t. j. Jana XXII (1316—34) i Benedykta XII (1334—42), stojące w Notre-Dame-des-Doms, oraz Innocentego VI (1352—62) z Villeneuve-les-Avignon. [1])

Do sarkofagów awiniońskich zatem należałoby odnieść tylko ideję samego baldachimu, dostawionego przypuszczalnie pod koniec panowania Kazimierza W., a nie cały grobowiec, gdyż w czasie jego budowy w latach 1341—46 istniał w Awinionie prawdopodobnie dopiero pomnik Jana XXII, zupełnie do naszego niepodobny.

Nakoniec poruszę jeszcze kwestję treści dekoracji na tumbie grobowca Łokietka.

Z pośród wszystkich przedstawień na tumbach średniowiecznych grobowców, najbardziej rozpowszechnionem i ulubionem, zwłaszcza w XIV w. było — jak wiadomo — wyobrażenie uroczystości pogrzebowych. [2]) Zależnie od otrzymanego zamówienia odtwarzał artysta w kamieniu bądź ceremonjał kościelny, poprzedzający pogrzeb, bądź sam orszak pogrzebowy. Z punktu widzenia ikonograficznego bardziej ciekawem, gdyż nasuwało artyście więcej możliwości w rozwiązaniu, było przedstawienie uroczystości kościelnych, poprzedzających sam pogrzeb.

Liturgja kościelna przewiduje obok zwykłych egzekwij, bardzo uroczysty ceremonjał, odprawiany tylko przy katafalku panującego, lub dygnitarzy duchownych, zwany „ad castrum doloris". [3]) Trumnę ustawia się zawsze głową ku W. ołtarzowi — jeśli zmarły był duchownym, natomiast jeśli był świeckim — przeciwnie, t. j., nogami w stronę ołtarza. Przy zwykłych egzekwjach, po mszy św., absolucje odprawia kapłan, ubrany w czarną kapę, w asyście diakona i akolitów z wodą święconą i kadzielnicą, zajmując miejsce w nogach zmarłego, mając po drugiej stronie katafalku, naprzeciw siebie subdiakona z krzyżem i dwóch akolitów z zapalonemi świecami.

Natomiast przy uroczystym ceremonjale „ad castrum

---

[1]) Steinmann. Die Zerstörung der Grabdenkmäler der Päpste von Avignon — Monatsh. f. Kunstwiss. XI. p. 154, 162/3.

[2]) E. Mâle. L' art religieux de la fin du moyen-âge en France, Paris 1922 p. 441.

[3]) Encyklopedja Kościelna. Warszawa 1910 t. 21—22 p. 233.

doloris", ustawia się duchowieństwo wokoło katafalku w innym porządku. Celebrującym jest biskup w asyście 4 innych biskupów, lub w razie ich nieobecności 4 prałatów, albo kanoników katedralnych. Najmłodszy z nich umieszcza się po prawej stronie w nogach zmarłego, drugi w głowie po lewej stronie, trzeci w nogach po lewej, najstarszy z prawej strony przy głowie; celebrujący zaś biskup staje pośrodku, w głowach, a nie w nogach, jak to miało miejsce przy zwykłych egzekwjach; asystę jego stanowi kapłan z księgą obrzędów i dwóch kleryków z kadzielnicą i wodą święconą. Subdiakon z krzyżem i akolici ze świecami ustawiają się jak zwykle po stronie przeciwnej katafalku.

Te właśnie obrzędy liturgiczne stały się dla artysty bogatem źródłem, z którego czerpał dla swych koncepcyj grobowcowych. Zależnie od okoliczności odtwarzał te obrzędy albo obszernie i szczegółowo, albo w sposób bardziej zwięzły, tak zresztą charakterystyczny dla sztuki tych czasów i tak zrozumiały dla ówczesnego społeczeństwa, przyzwyczajonego do tego rodzaju przedstawień.

Na tumbach omawianych, niemieckich grobowców niezbyt jasno uzewnętrzniły się pomysły artystów. Na marburskich sarkofagach biskup z klerykami, płaczkami i figurkami męskiemi i kobiecemi, oraz na bielefeldzkim same tylko postacie niewieście i męskie, nie tłumaczą się zbyt wyraźnie. Przypuścić jednak można, że są to orszaki pogrzebowe.

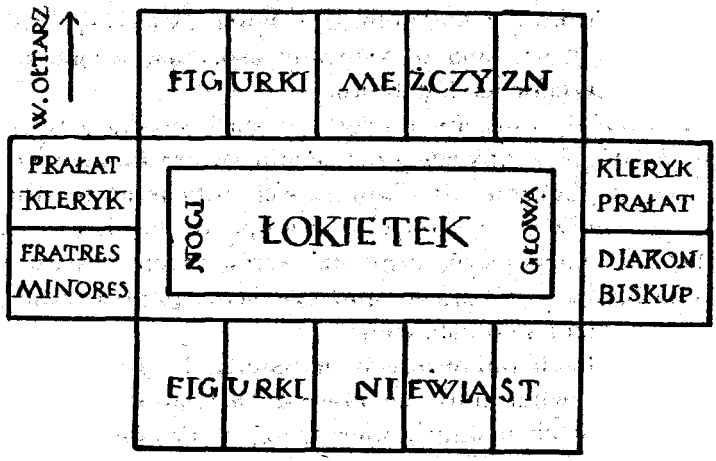
Zato uroczystości kościelne odtworzone zostały na grobowcu wrocławskim i krakowskim. Na sarkofagu Henryka IV.[1]) odtworzył artysta zwykłe ekzekwje, mimo celebry biskupa. W głowach tumby ustawił 2 akolitów ze świecami, a biskupa w asyście kleryków z kadzielnicą i wodą święconą, w nogach pomiędzy katafalkiem i W. ołtarzem; po bokach zajęli miejsca z jednej strony mnisi, z drugiej rodzina i dwór.

Natomiast na grobowcu Łokietka przedstawionym został wiernie według tradycji ceremonjał „ad castrum doloris".

Postać królewską na wierzchniej płycie zwrócono tak, jak ongiś na katafalku, nogami w stronę W. ołtarza; w na-

[1]) Ch. Gündel. Das schlesische Tumbengrab Taf. V i VI.

rożnikach ustawiło się duchowieństwo, w porządku przewidzianym w pontyfikale t. j. w nogach po prawej stronie dwóch „fratres minores", (fig. 5). jeden z prałatów w głowach po stronie lewej, (fig. 3.) drugi z tej strony w nogach, (fig. 4.) a celebrujący biskup w głowach od strony prawej. (fig. 2). Na skutek szczupłej powierzchni i zapewnie bardzo ścisłych instrukcyj, odrzucił artysta wszystkie zbędne szczegóły i osoby z ceremonjału: nie uwzględnił więc ani diakona



Schemat dekoracji grobowca Łokietka.

z krzyżem pomiędzy dwoma akolitami ze świecami, ani też kleryków z kadzielnicą i wodą święconą. Zadowolnił się tylko niezbędną asystą diakona z pontyfikałem przy biskupie i kleryków również z księgami liturgicznemi przy obu prałatach.

W ten sposób artysta wypełnił krótsze boki sarkofagu, pozostawiając dwa dłuższe świeckim świadkom uroczystości. Kogo jednak miał na myśli, odtwarzając te postacie? W każdym razie nie zwykłych płaczków i nie rodzinę.

Przedewszystkiem płaczkami na pogrzebach byli sami mężczyźni, zazwyczaj dworzanie i domownicy, niekiedy męscy członkowie rodziny zmarłego,[1]) którzy na tę uroczystość ubierali się zawsze w długie, czarne płaszcze z kapturami

[1]) L. Courajod. Quelques monuments de la sculpture bourguignonne au XV siècle. — Gazette des B—A. 57. Paris 1885 p. 395.

i szerokiemi rękawami [1]) i właśnie po tym kostjumie można i należy ich zawsze odróżniać od reszty figurek na grobowcach. Na naszej tumbie nie widać ani jednego w tym typie, jakkolwiek tak płaczkowie jak i ich kostjum znani byli u nas i stanowili niezbędne akcesorjum w uroczystościach pogrzebowych, o czem można się przekonać np. z minjatury 18 w „Legendzie o Ś. Jadwidze" wg. rękopisu ostrowskiego z r. 1353. oraz z opisu pogrzebu Kazimierza W. w kronice Janka z Czarnkowa. [2])

Również nie można przypuścić, żeby artysta, rzeźbiąc figurki tumby Łokietka miał na myśli jego rodzinę. Przedewszystkiem bowiem musiałby pamiętać o wdowie królewskiej Jadwidze i o Kazimierzu, wyróżniając ich z pośród reszty strojem, miejscem honorowem i odpowiedniem ugrupowaniem, jak to widać na grobowcu Henryka IV.

Tymczasem na naszej tumbie znalazł zastosowanie surowo w kościołach przestrzegany podział na część kobiecą na lewo od W. ołtarza i męską, po jego stronie prawej, gdyż na północnym boku sarkofagu — jak wiadomo — wyrzeźbiono same niewiasty, a na południowym samych mężczyzn. Tem prawdopodobniejszem staje się więc przypuszczenie, które dotychczas utrzymywało się w naszej literaturze naukowej, [3]) że artysta uwiecznił tu wszystkie stany niepocieszone po śmierci króla, który według świadectwa kronikarza w Roczniku Małopolskim „in magnam tocius Polonie desolacionem et tristiciam gentis decubuit". [4])

Na tem kończę tych kilka uwag o sarkofagu Łokietka, który wzniesiony w trakcie gotyckiej budowy katedry, był wraz z nią niemym świadkiem wszystkich zmiennych losów

---

[1]) L. Courajod. l. c.; E Mâle, L' art religieux de la fin du moyen âge en France. Paris 1922 p. 451.

[2]) Monumenta Poloniae Historica II. p. 646. ...„incedebant familiares regis defuncti, plus quam quadringenti, omnes nigra veste induti, planctum et ululatum maximum facientes"...

[3]) Wł. Łuszczkiewicz. Rzeźba kamienna. Kraków 1871 p. 12.; J. Muczkowski. Historja rzeźby. Rocz. krak. VI p. 161.; F. Kopera Pomniki Krakowa z. X p. 76.

[4]) Monumenta Pol. Hist. III p. 196/7.

naszej Ojczyzny. „Jest ten grobowiec — pisze Łętowski [1]) — dziwnie piękny dla prostoty swojej. Mile się nań patrzy, bo wszystko jest po nim w miarę i do miary. Nie jest to sztuka jak w Jagiellończykowym, ani wspaniałość Kazimierzowego, ale całość zupełna, a skromna i schludna... Przy tym grobowcu każdy stanie, bo sędziwość to oblicze ojców naszych a ma go piękne".

Anna Misiążanka.

---

[1]) Ks. L. Łętowski. Katedra na Wawelu p. 71.

Jerzy Kryżanicz a Polska.

Skomplikowana i wielostronna, imponująca prawdziwem bogactwem duchowem i zarazem budząca mimowolne współczucie przez swój głęboki tragizm wewnętrzny, postać Jerzego Kryżanicza wielokrotnie już była przedmiotem różnych charakterystyk i ocen ze strony historyków.[1]) Cały moralny kształt tego bezspornie wybitnego człowieka jest tak czysty i piękny, że trudno pisać o nim, nie czując w sobie zarazem nieświadomej i mimowolnej sympatji ku niemu. Badacz obojętny łatwo się staje zapalonym wielbicielem, i to wyraźnie nam tłumaczy, dlaczego w przeważnej liczbie prac o działalności chorwackiego misjonarza widnieje jakaś dziwna dwoistość: z jednej strony prawie wszystkie krytyki przenika miłość i uznanie, z drugiej — autor, wczuwający się w duszę Kryżanicza, zwykle urabia jego obraz podług własnego przekonania, wyciskając na jego charakterze piętno swej osobowości. Wiele prac o Kryżaniczu maluje nietyle jego obraz, ile obraz swych autorów, rysy ich ideałów, przekonań i poglądów. Badacza w tej dziedzinie, prócz niezwykłej łatwości przybrania tonu wielbiciela, czeka również drugie niebezpieczeństwo. Polega ono na tem: postać Kryżanicza jest tak wybitna i swoista, że bardzo łatwo ulec pokusie niezestawiania jej z ogólnem życiem ówczesnem, a przeciwnie, przeciwstawienia genjalnego Chorwata zwykłym warunkom jego otoczenia. Słowem, chęć wszechstronnego oświetlenia postaci Kryżanicza niektórzy często, niestety, realizują w kierunku

[1]) Cały rozdział poświęcił mu O. Paweł Pierling T. J. w swojej książce La Russie et le Saint-Siège, tom IV, Paris, str. 1—39.

najmniejszego sprzeciwu: uważają go nie za wytwór ówczesnego okresu, lecz za niezmiernie rzadki wyjątek, uwypuklają go kosztem otoczenia, to zaś ostatnie nielitościwie poniżają jedynie poto, by osiągnąć efekt zewnętrzny trafnego zestawienia dwóch niepodobnych do siebie kontrastów.

W pewnej mierze taka przesada jest dopuszczalna. Zbyt bowiem trudno nietylko ocenić wielostronną postać pierwszego słowianofila, lecz nawet choćby zreasumować dostrzegalne wyniki całej jego działalności społecznej i naukowej. Historyk, misjonarz, filozof, panslawista, filolog, teolog i teoretyk państwowości, Kryżanicz był do tego stopnia swoisty i żywy w każdej dziedzinie, do której się zabierał, że wyprowadzenie ogólnego wniosku o nim jest rzeczą nader skomplikowaną. Zdania o nim w większości wypadków przeczą jedne drugim i prawie wszystkie wpadają w krańcowość taką lub inną, siląc się o dokładne zobrazowanie go w formie krótkiej, może i pięknej, lecz prawie zawsze niedostatecznej

Rzecz znamienna, że większość badaczy - niesłowian uważa Kryżanicza przedewszystkiem za krzewiciela idei unijnych. Stosunek zaś uczonych słowiańskich, zwłaszcza rosyjskich, jest dwojaki: większość upatruje w nim *par excellence* pierwszego zwiastuna wczesnego panslawizmu, mniejszość — tylko misjonarza, ukrytego pod maską słowianofila, jakby wilka w owczej skórze.

Być może najbliższym prawdy jest historyk rosyjski, prof. Szmurło, który w szeregu prac[1]) dał poznać Kryżanicza, malując go jako szczerego idealistę, człowieka o wyraźnie zarysowanej umysłowości, historjozofa, w którego myślach budowa logiczna góruje nad znajomością stosunków realnych i życia faktycznego. W tej rozbieżności ideału abstrakcyjnego z warunkami zwykłemi i rzeczywistością właśnie kryje się, zdaniem Szmurły, źródło tragizmu Kryżanicza. Należy zauważyć, że według zdania uczonego ro-

[1]) Zbiornik „Rossiją i Italja" t. III, Petersb. 1911 r. Jurij Križanicz 1616—1683); Panslavisto o missionario? Roma 1926; Le Saint-Siège et l'Orient orthodoxe russe 1609—1654, Prague 1929, str. 138—173. Tam również bibljografja.

ryjskiego w zespole idej wielkiego Chorwata panslawizm wyraźnie górował nad unjonizmem [1]).

Twarde i bogate w przygody życie młodego chorwackiego kapłana, który się kształcił w Rzymie, przebywał w Polsce, został zesłany przez rząd moskiewski na Syberję i wreszcie umarł w armji Sobieskiego pod Wiedniem, również ulegało różnym ocenom. Główne dzieło jego życia, dzięki swej dwoistości — jednoczesnemu dążeniu do Unji i do zbudowania jedynego mocarstwa słowiańskiego — wielu wydawało się dziwnem i niejednakowo je oceniano. Dla badaczy, uważających Kryżanicza przedewszystkiem za misjonarza, jego idea słowiańska wydawała się oczywiście albo zbytecznym balastem, lub błędem wprawdzie wybitnego, lecz niesfornego umysłu, nieraz zaś wprost zręcznem udawaniem. Ostatnie zdanie przez jakiś czas utrzymywało się wśród tych, którzy, sądząc o przeszłości podług warunków życia obecnego, są skłonni do myślenia że wielkie ideje w chwili swego powstania i w ustach swego twórcy mogą być tylko środkiem do innego celu, nie zaś czemś zupełnie samodzielnem.

Ci zaś, którzy woleli widzieć w genjalnym Chorwacie wyłącznie ojca słowianofilstwa, zazwyczaj jakby pobłażliwie wybaczali mu katolicyzm, zapominając, że Kryżanicz był stale mu wierny, choć łatwo mógłby uzyskać w Rosji wybitne stanowisko, gdyby się wyrzekł „herezji łacińskiej", przystał do stronnictwa greckiego na dworze moskiewskim i począł oczerniać katolicyzm. Podobnych przykładów było dosyć przed Kryżaniczem i po nim. W pierwszej połowie XVII wieku, gdy wpływ stronnictwa greckiego niezwykle się wzmocnił z objęciem tronu przez grekofilską dynastję Romanowych, Kryżanicz oczywiście mógł łatwo „nawrócić się"; wówczas z pewnością nietylko nie zesłanoby go na Sy-

[1]) Szmurło powiada (Le Saint-Siège, str. 162): „Dość się zagłębić w jego dzieła... by się przekonać, że bolała go nie schizma, lecz świadomość, iż jego drodzy bracia odeszli od prawdy. Powtarzam, Unja kościelna była dlań sama przez się nie celem, lecz potężnym środkiem, niezbędnym dla osiągnięcia celu. Gdyby zaś taka Unja, po zapewnieniu narodom słowiańskim potęgi politycznej, również skupiła ich przy wspólnym ołtarzu, to on, jako człowiek głęboko wierzący, podwójnieby chyba z tego się cieszył".

berję, lecz w Moskwie zrobiłby karjerę, a kto wie, możeby został kanonizowany po śmierci.

Lecz tego Kryżanicz nie uczynił. Być może, a nawet z pewnością miał dużo pokus i chwiejności. Wszak historja przekazała nam jego słowa, że on „nie jest aż tak dalece opornym łacinnikiem, by się nie zgodzić na przyłączenie do świętego Kościoła moskiewskiego". Szczególnie ciężko musiało być Kryżaniczowi, gdy sobór moskiewski w r. 1667 uchwalił nie chrzcić ponownie katolików, przyjmujących prawosławie — z tego powodu Kryżanicz nawet napisał osobne dzieło teologiczne „ob świetom kreszczeniu". Wszakże chwiejność ustąpiła i Kryżanicz pozostał nadal katolikiem, w czem się kryje niemały powód do jego uwielbienia: bo gdyby odstąpił od swej wiary, toby obecnie po upływie stuleci nie wydawał się nam ani tak czystym, ani tak ciekawym. Tego zaś zwykle nie doceniają, trzeba więc szczególnie wyraźnie podkreślić wierność chorwackiego misjonarza swemu Kościołowi, którego był wysłańcem. Kryżanicz niezawsze podzielał zapatrywania Kongregacji Propagandy. Jego pogląd na dzieło Unji tworzy dziwną mieszaninę naiwności i genjalnej przezorności i przeczucia na trzysta lat naprzód współczesnego nam irenizmu. W wielu wypadkach oddala się on nietylko od ówczesnych poglądów, lecz i od prawdy, jednakże mimo wszystkie swe błędy Kryżanicz był zawsze konsekwentnym, głęboko religijnym człowiekiem i dobrym katolikiem. Jako taki umiał godzić w sobie katolicyzm z ideą panslawizmu, przytem nietylko w słowach lecz także przykładem osobistym: zasadniczo określił zadanie Słowiańszczyzny, t. j. dokonał tego, czego nie potrafili dokonać słowianofile rosyjscy, wykazał intuicję lepszą, niż naprzykład Chomiakow i Aksakow. Nie Słowianie zachodni mają przyjąć prawosławie i przejąć się duchem „Wschodu", lecz przeciwnie wschodnie plemiona słowiańskie powinny połączyć się z Rzymem, tem samem zjednoczyć się ze swymi braćmi zachodnimi, stać się „Europą", wżyć się w „powszechność". Było to myślą przewodnią Kryżanicza, słowianofile zaś, niestety, byli zdania wręcz przeciwnego. Jest całkiem zroumiałe, że gdyby Kryżanicz przyjął prawosławie, toby cały jego system panslawizmu uległ spaczeniu lub zmarł

zaraz po swem narodzeniu. Katolicyzm Kryżanicza ożywiał jego poglądy polityczne i kulturalne. Tylko dzięki swej przynależności do Kościoła rzymskiego mógł on pojąć ideę słowiańską; jedynie dlatego była mu ona dostępna, że odczuł wyższość powszechności nad nacjonalizmem. Wszak Kryżanicz głosił nie ideę rozszerzenia Moskwy, lecz przeciwnie, ideę Sławji, w której Moskwa miała się roztopić, stając się zarazem podstawą nowego cesarstwa słowiańskiego. Pomysł ten jest zwykłem zastosowaniem poglądów religijnych Kryżanicza do sfery politycznej: bo wszak wyrażając się, że „Kościół powszechny, katolicki nie zamyka się w samym tylko Kościele rzymskim", faktycznie miał na myśli ideał powszechności, zjednoczenie wszystkich obrządków, zjednoczenie, któreby się oparło na fundamencie Kościoła rzymskiego. Nie uszczuplał on powszechności Kościoła, wyłączając z niego katolicyzm, przeciwnie, rozszerzał ją, dołączając do Kościoła łacińskiego również prawowierne Kościoły innych języków. Tu zachodzi zupełna analogja z poglądami politycznemi Kryżanicza, można więc stwierdzić z całą pewnością, że jego program kulturalny był jedynie wykładnią jego programu religijnego.

Kryżanicz popełnił wiele błędów: był naiwny w wyborze sposobów, jego pogląd na Unję niezawsze jest słuszny, często zanadto jest arbitralny względem obu wyznań, jednakże łączy w sobie zarazem wierność dla katolicyzmu i miłość do słowiaństwa. Z tego względu zasługuje na miano nie tyle wielkiego poprzednika, ile wielkiego mistrza, którego przykład nic nie stracił na swej wartości i mocy zarówno dla przeszłości, jak i czasów obecnych.

Większość badaczy wyróżnia postać Kryżanicza z otaczającej go sfery, przedstawiając jego przekonania jako pewien rażący wyjątek od zasady ogólnej. Nawet badacze rosyjscy, rozumiejący Kryżanicza pełniej i lepiej, również i oni nie oparli się pokusie przeciwstawiania go ówczesnemu katolickiemu zachodowi, zwłaszcza zaś awangardzie katolicyzmu na Wschodzie — Polsce. Malują Kryżanicza jako niezwykle jasne piętno na bardzo ciemnem tle, tego zaś „tła" jakkolwiek całkiem nie potępiają, jednakże bardzo ostro je sądzą. Zachodzi tu znana skłonność ludzka do

myślenia kategorjami przeciwstawień, do odróżniania światła od cieni w taki sposób, by wyraźnie widoczny był kontrast, nie zaś realna, prawdziwie istniejąca gradacja półcieni, niedostrzegalnie przechodzących jeden w drugi. Oczywiście nie jest to słuszne, bo taka metoda jest raczej piękną, czarowną grą, zadanie zaś poważnego historyka wszak znacznie się różni od zadania wprawnego teatralnego reżysera, doświadczonego w wywoływaniu wspaniałych efektów.

Ani Zachód, ani Watykan, będący ośrodkiem, gdzie się zbiegały wszelkie wiadomości o Rosji, nie miały jednolitego poglądu na Moskwę, znając ją jedynie częściowo w stopniu mniejszym lub większym. Tym różnym stopniom znajomości faktów rzeczywistych odpowiada również całe mnóstwo różnych poglądów na zadanie historyczne, możliwy wpływ i przyszłe losy państwa moskiewskiego. Trzeba tu zauważyć, że cały swój pogląd na Rosję Kryżanicz czerpał właśnie z dostępnych mu i bliskich źródeł; na podstawie zebranych w ten sposób lub otrzymanych już w stanie gotowym materjałów powstała jego ideologja, która więc faktycznie była wytworem ówczesnej sfery katolickiej. Pewna bezspornie istniejąca rozbieżność poglądów Kryżanicza i Kongregacji de Propaganda Fide po pierwsze nie była tak wielka, dotyczyła przytem nie rzeczy istotnych, tylko drugorzędnych, po drugie rozbieżność ta powstała z tej prostej przyczyny, że wiedza Kryżanicza była mniej dokładna i zupełna od wiadomości posiadanych w Watykanie. Rzecz znamienna, że historja daje nam tego przykład bardzo realny: tam, gdzie Kryżanicz odbiegał od ówczesnej taktyki Propagandy, poczynał fatalnie się mylić i stawać się rażąco krótkowzrocznym. Wspaniałym przykładem takiej krótkowzroczności jest plan chorwackiego misjonarza wciągnięcia cara moskiewskiego do wojny z Turcją, po wybuchu zaś wojny przekonania go, że Rosja nie zdoła odnieść zwycięstwa bez pomocy Zachodu, którą znowu można otrzymać jedynie za cenę unji kościelnej. Oczywiście Propaganda, orjentująca się dobrze w sytuacji, uznała taki plan jedynie za szkodliwą mrzonkę.

Przeciwnie tam, gdzie poglądy Kryżanicza zgadzały się z poglądami Rzymu lub nawet je uzupełniały, tam zawsze miał on słuszność. Jako przykład może posłużyć już wspo-

mniane wyżej pojęcie słowiaństwa, które genjalnie ulepszyło i dopełniło teorję Antoniego Possewina, wyłożoną w książce „Moscovia" (Wilno, 1585).

Na Zachodzie niektóre poglądy były bardziej rozpowszechnione i znane, inne mniej; przyczem te ostatnie przenikały przez pierwsze, a nieraz je całkiem wypierały. Miasta niemieckie, prowadzące handel z Nowogrodem, już nie mówiąc o Bułgarach, Grekach i słowianach południowych, miały zupełnie inne pojęcie o Moskwie, niż np. Hiszpani lub Francuzi. Jednolitego, wspólnego wszystkim zapatrywania na Moskwę nie było podówczas, przeto również Kryżanicza nie można uważać za jakiś wyjątek, lecz tylko za wyraziciela jednego z istniejących wówczas kierunków pojęciowych.

Zestawiając ideje Kryżanicza z poglądami, panującemi wówczas w krajach bardziej oddalonych od Moskwy, chyba tylko z pewnem naciąganiem możnaby przeciwstawiać go Zachodowi. Gdyby zaś nawet to przeciwstawienie było wewnętrznie uzasadnione, to zgoła bezpodstawnem będzie przeciwstawianie Kryżanicza Polsce, społeczeństwu polskiemu i polskiej akcji unijnej. Czyniący to w większości wypadków używają następującego sposobu: zamiary Kryżanicza, które wciąż były tylko pobożnemi pragnieniami i dlatego nie napotykały sprzeciwu ze strony życia praktycznego, zestawiają z rzeczywistością historyczną, dobieraną przytem dość tendencyjnie, oświetlaną błędnie i jednostronnie. Nie dziw więc, że samo takie zestawienie świadczy na niekorzyść faktów. W wyniku powstaje gra kontrastów, nietylko nie odzwierciedlająca nam wiernie przeszłości historycznej, lecz przeciwnie, utrudniająca jej zrozumienie.

Na większość dowodzeń o istnieniu „sporu" pomiędzy Kryżaniczem a Polską trzeba patrzeć bardzo, bardzo sceptycznie i nie dawać im wiary bez uprzedniej, przytem bardzo starannej analizy. Niema oczywiście potrzeby podkreślać osobno, że analiza ta powinna być rzeczowa, że nie powinna mieć na względzie poniżania lub oczerniania wielkiego Chorwata, byłoby to bowiem krańcowością przeciwną, jeszcze bardziej niesłuszną i szkodliwą.

Obaczmyż tedy, czy rzeczywiście poglądy Kryżanicza

w dziedzinie zarówno panslawizmu jak i idej unijnych różniły się od idej i poglądów wówczas panujących w Polsce. Jeżeli ta rozbieżność poglądów rzeczywiście istniała, to na czem polegała; komu późniejsze stulecia przyznały słuszność i jaką doniosłość miał błąd strony przeciwnej? By odpowiedzieć na wszystkie te pytania, trzeba porównać ze sobą poglądy Zachodu, Rzymu, Polski i Kryżanicza na Rosję pierwszej połowy XVII w., oraz zestawić otrzymany w ten sposób obraz z rzeczywistym stanem politycznym i kulturalnym Moskwy ówczesnej.

Jak Europa siedmnastego stulecia wyobrażała sobie ówczesną Rosję? Nie można oczywiście przeczyć, że pewne koła, zwłaszcza koła Watykanu, a w szczególności Kongregacja Propagandy znały faktyczny stan rzeczy w Moskwie chyba o wiele lepiej, niż dyplomacja urzędowa wielu rządów europejskich. Możliwe również, że związek przyczynowy poszczególnych zjawisk zapewne niezawsze był wyraźny i dla najbardziej uświadomionych kół watykańskich.

Jak wiadomo, Ruś moskiewska zawsze chętniej utrzymywała stosunki z krajami protestanckiemi, niż z katolickiemi. Powodem tego był częściowo wpływ Greków, częściowo dzieje „czasu smutnego". Tylko szczególny wpływ dworu Saint-Germain w dziedzinie polityki bliskiego Wschodu pobudził „Moskowję" w r. 1667—1668 do wysłania osobnego poselstwa do króla Ludwika XIV. Do tego czasu car Aleksy Michajłowicz, człowiek naogół dość postępowy, chętnie zapraszał Anglików, Holendrów i Niemców, natomiast zabronił pod grozą surowej kary sprowadzać do Rosji Francuzów. Na carskiem utrzymaniu był tylko jeden rodowity Francuz, Jean de Gravès, zmuszony przez cara do przyjęcia prawosławia. Urząd poselski, prowadzący korespondencję dyplomatyczną z państwami obcemi, nie posiadał tłumacza francuskiego, jako niepotrzebnego. Społeczeństwo rosyjskie również zachowywało się zupełnie obojętnie względem Francji. Bibljoteka bojara Artamona Matwiejewa zawierała tylko trzy książki w języku francuskim, a z pięciuset tomów Sylwestra Miedwiediewa nie było ani jednego francuskiego. Nawet ci nieliczni dyplomaci rosyjscy, którzy przez jakiś

czas mieszkali w Paryżu, nie mieli wcale ochoty do poznania Francji i jej kultury.

Dopiero z chwilą tego poselstwa przerywa się mur pomiędzy światem romańskim a Moskwą, które poczynają wzajemnie się sobą interesować, więc rok 1668 jest pod tym względem przełomowy. Lecz działo się to wszystko już po Kryżaniczu, my zaś przytoczyliśmy ten krótki opis początku rosyjsko-francuskich stosunków przyjaznych jedynie poto, by lepiej określić owe źródła, skąd Europa czerpała wiadomości o Rosji.

Źródłem wieści o Rosji dla ówczesnego społeczeństwa europejskiego były zazwyczaj, prócz wiadomości pochodzących z Polski, opowiadania kupców angielskich i niemieckich, handlujących z Moskwą drogą północną lub przez Nowogród. Ponadto w wiekach XVI i XVII do Persji i Armenji udawano się z Europy nietylko przez Małą Azję i Konstantynopol, lecz również przez Rosję, wjeżdżając do niej z północy i zachodu. Za panowania Iwana Groźnego tą właśnie drogą jeździli kupcy angielscy, potem posłowie cesarscy, oraz dyplomaci polscy i holenderscy. W okresie od r. 1600 do 1610 tą drogą wyruszali również zakonnicy Karmelici. Głównym powodem wyboru tej drogi było po pierwsze, że ona szła po lądzie, po drugie ta okoliczność, że Turcja wciąż prowadziła bardzo dużo wojen, przytem droga przez nią była długa i niebezpieczna. Niektórzy podróżnicy opisywali swe wrażenia z podróży, ich więc książki były głównem źródłem wiadomości o mało znanym kraju tajemniczych moskowitów. Najpoczytniejszemi książkami tego rodzaju były pamiętniki podróży Olafa Wielkiego, Herbersteina, Possewina i Paulo Giovio; na północy zaś pamiętnik Kotoszychina, a raczej dorywcze z niego wiadomości. Trzeba pamiętać, że wszyscy ci autorzy z wyjątkiem Kotoszychina do czasów Kryżanicza znacznie się zestarzeli, opisywali bowiem Rosję nie z początku wieku XVII lecz z wieku XVI, te zaś dwa stulecia znacznie się różniły. Pragnąc wreszcie sobie dobrze wyobrazić zakres wiedzy ówczesnej Europy o Rosji, należy do tych źródeł podstawowych: opowiadań kupców i przestarzałych opisów podróży, dodać również szereg nawpółmitycznych legend i fantastycznych opowia-

dań o dalekiej Moskowji, które oczywiście nietylko nie odsłaniały rzeczywistego oblicza Rosji, lecz przeciwnie, odtworzenie go czyniły prawie niemożliwem.

Oczywiście te wiadomości, nawet bezpośrednio pochodzące z Rosji, niezawsze były wiarogodne. Najlepszym tego przykładem był Kotoszychin. Jak wiadomo, ten bardzo ciekawy, dziwny człowiek (urodził się w r. 1630, umarł w r. 1667) pochodził z moskiewskiej klasy urzędniczej. Od maleństwa pracował w Prykazie poselskim, instytucji pełniącej zadanie współczesnego ministerstwa spraw zagranicznych. Poczynając od roku 1658 Kotoszychin kilkakrotnie był zagranicą, przeważnie w Szwecji i Polsce. W Dorpacie Kotoszychina spotkała duża nieprzyjemność: w korespondencji urzędowej przekręcił tytuł carski, za co ukarano go chłostą. Od r. 1663, kryjąc w sercu urazę, Kotoszychin zostaje szpiegiem posła szwedzkiego Ebersa. Potem, po kłótni z wojewodą Dołgorukim, Kotoszychin ucieka do Szwecji, gdzie pisze swą bardzo wartościową książkę „O Rosji za panowania Aleksego Michajłowicza". W r. 1666 Kotoszychin, będąc pijanym, pokłócił się ze swym gospodarzem, którego potem zamordował. Sąd skazał Kotoszychina na śmierć i rzeczywiście go stracono po przyjęciu przezeń przed samą śmiercią protestantyzmu.

Chociaż dokonany przez Kotoszychina opis instytucyj, trybu życia i obyczajów Rusi Moskiewskiej naogół był prawdziwy, jednak w czwartym i trzynastym rozdziałach swego dzieła autor być może przesadza w opisie stron ujemnych Rusi: obżarstwa, pijaństwa, nadużywania władzy rodzicielskiej, bicia przez mężów żon i zmuszania ich do przyjmowania postrzyżyn zakonnych, otruć, bojaźni cudzoziemców i t. d. W następstwie czytelnik urabiał sobie zbyt jednostronny pogląd na Rosję, jako na kraj nawpół barbarzyński i prawdziwie dziki, choć w rzeczywistości stała ona na poziomie niewiele niższym od przeciętnego poziomu krajów Europy zachodniej. Z książki Kotoszychina czuć wyraźnie, że pisze renegat, w dodatku taki, który za doznaną obrazę na wszelki sposób pragnie się zemścić nad swym krzywdzicielem. Ze swych przekonań i orjentacji umysłowej Kotoszychin był człowiekiem nawskroś zachodnim, jego więc dzieło

jest nietyle bezstronnym opisem, ile raczej rozmyślną, przytem bardzo zaciętą polemiką. Dla nas ta praca jest bardzo cennem źródłem poznania życia i ustroju Rusi Moskiewskiej XVII stulecia; ludzi zaś ówczesnych książka ta oczywiście nietyle pouczała o Rosji, ile uprzedzała do niej. Trzeba zaś pamiętać, że dzieło Kotoszychina, choćby nawet uchodziło za źródło, z którego rząd i społeczeństwo szwedzkie zasięgały zdania o Rosji, wszakże z pewnością nie było znane szerszemu ogółowi zaraz po swem napisaniu; w każdym razie jego wpływ ograniczał się tylko do krajów północnych.

Znakomity jezuita, Antoni Possewin, w swej szeroko znanej książce „Moscovia" dopuszcza się innego rodzaju krańcowości. Należy pamiętać, że, jak to już zaznaczyłem, jego dzieło dla wieku XVII już było znacznie przestarzałe, bo jego obserwacje sięgały zaledwo roku 1590, resztę zaś jego życia (do r. 1611) wypełniło dużo prac, nie mających bezpośredniej łączności z Rosją.

Jak wiadomo, Possewin niejednokrotnie miał możność przyjrzenia się zbliska Rosji z drugiej połowy XVI wieku. W końcu roku 1578 udaje się on do Sztokholmu z polecenia papieża Grzegorza XIII i tam nawraca na katolicyzm króla Jana III, oraz pisze swe „Responsiones ad nobilissimi et regii viri septentrionalis interrogationes, qui de salutis aeternae comparandae ratione ac de vera Ecclesia cupiebat institui". W roku 1578 Possewin znowu jedzie do Szwecji, mając dla siebie nominację nietylko na nuncjusza przy Janie III, lecz również na wikarjusza apostolskiego Moskwy, Liwonji, Rusi, Węgier, Pomorza i Saksonji. Gdy nie doszły do skutku ani pertraktacje Szwecji z Rzymem, ani przewrót polityczny, Possewin w r. 1580 opuszcza Sztokholm i prawie wyłącznie poświęca się sprawom moskiewskim. W tem dopomaga mu okoliczność, że car Iwan Groźny udał się z prośbą do papieża Grzegorza XIII o pośrednictwo pomiędzy Moskwą a Stefanem Batorym. Korzystając z tej sposobności, Watykan powziął myśl nietylko pojednania stron wojujących, lecz też zachęcenia ich do utworzenia ligi przeciw Turkom i w miarę możności doprowadzenia również do zjednoczenia Kościołów. Dla dokonania tego tak skompliko-

wanego zadania wybrano Possewina, który w r. 1581 w tym celu wyjechał z Rzymu wraz z posłami ruskimi. Possewin zdołał doprowadzić do rozejmu między Iwanem a Batorym i zaraz potem w r. 1582 pojechał do Moskwy, pragnąc nawrócić cara na katolicyzm, lecz spotkał go zawód. Potem wraca do Rzymu w towarzystwie posła Iwana Groźnego, lecz wkrótce znowu jedzie do Polski w różnych sprawach politycznych. Dalsza działalność niestrudzonego Possewina upływa wpobliżu Rosji, nieraz nawet w pośredniej z nią łączności. Przez jakiś czas zamierza nawet oddać się sprawie nawrócenia na katolicyzm Mołdawji i Wołoszczyzny i zjednoczenia z Rzymem cerkwi prawosławnej na ziemiach litewsko-ruskich, więc nawiązuje kontakt z księciem Konstantym Ostrogskim. Possewin był mocno przekonany, że realizacja unji cerkwi zachodnio-ruskiej w znacznym stopniu utoruje drogę również do zjednoczenia Moskwy. Gdy po śmierci Iwana Groźnego Batory zamierza najpierw owładnąć Moskwą, by potem wyruszyć na Turków, Possewin w tem mu gorliwie dopomaga, lecz napotyka na bardzo stanowczy opór Grzegorza XIII, który zabrania mu przyjeżdżać w tej sprawie do Rzymu i każe pozostać w kolegjum jezuickiem w Brunsberdze. Z chwilą wstąpienia na tron papieski Sykstusa V stosunek Kurji do popieranych przez Possewina zamiarów Polski ulega pewnej zmianie; Possewin otrzymał wezwanie do Rzymu, gdzie, sądząc ze wszystkiego, zyskuje częściowe uznanie papieża, który wszakże decyduje się jeszcze na jedną próbę pogodzenia Polski z Moskwą. W końcu 1586 r. Possewin znowu wyrusza z misją dyplomatyczną do Warszawy i Moskwy, lecz nagła śmierć Batorego, oraz intrygi Habsburgów, wysuwających swego kandydata do tronu polskiego, sprawiły, że odwołano go zpowrotem do Rzymu.

Niesłusznie byłoby przypuszczać, że Possewin patrzał na Rosję wyłącznie oczami Polski, zwłaszcza oczami Batorego. Przeciwnie — i Polska i Moskwa, i Iwan Groźny, i Batory, byli dlań tylko narzędziami, jeśli zaś kiedy przychylał się do którego z nich, to jedynie dlatego, że to sprzyjało jego planom. Byłoby mylnem uważać Possewina za popleczника idei Batorego; bliższym prawdy będzie raczej pogląd

przeciwny: Batory może nieraz ulegał wpływom Possewina. Nie trzeba wszakże zapominać, że dużo swych poglądów Possewin nabył w Polsce, zwłaszcza przekonanie o zadaniu Słowiańszczyzny. Właśnie to przekonanie Polska za pośrednictwem Possewina przekazała Kryżaniczowi, jednakże tego byłoby za mało. Książka Possewina świadczy o jego szerokich wiadomościach i zawiera mnóstwo cennych uwag, wszakże idea zjednoczenia Słowian w takiej postaci, jaką przybrała ona u Kryżanicza, była mu prawie zupełnie obcą. Naogół wartość Słowiańszczyzny, jako takiej, nie wydawała się Possewinowi zbyt duża; pod tym względem Batory raczej zbliża się do Kryżanicza niż do Possewina. W oczach wybitnego kapłana-dyplomaty wartość Słowiańszczyzny, zatem Moskwy i Polski, tkwi nie w niej samej, lecz w tem zadaniu, które on wyznacza jej w dziele nawrócenia świata na katolicyzm. Oczywiście jego gradacja pojęć w gruncie rzeczy była słuszna, lecz miała postać zanadto suchą i nieraz bardzo ostrą. Na Rosję Possewin patrzy nie jako na ośrodek słowiaństwa, lecz tylko jako na peryferję Polski, choć bardzo ważną, lecz tylko peryferję, którą Polska może i powinna wchłonąć. Moskwa u Possewina nie występuje na pierwszym planie; wręcz przeciwnie, cała budowa jego projektu jest skierowana przeciwko Rosji, co jednak nie znaczy, by Possewin działał tylko na korzyść Polski.

Książki Possewina i Herbersteina [1]) były dobrze znane

---

[1]) O Rosji prócz wspomnianych książek istniała na Zachodzie literatura dość bogata i nieraz bardzo fantastyczna. Z najpoważniejszych tego rodzaju książek wymieniamy niektóre, które posłużyły za podstawę do niniejszego rozdziału. Są to: „Podróż do Moskowji" barona A. Meyerberga i Horacego Wilhelma Calvucci, posłów ces. Leopolda do cara Aleksego w r. 1661"; „Opis podróży do Moskwy posła cesarza rzymskiego Mikołaja Warkocza dnia 22 lipca 1593 r."; „Raport o Moskowji Jana Pernsteina, posła ces. Maksymiljana II przy tronie moskiewskim"; „Powstanie i rozwój Moskowji", książka Daniela księcia z Buchowa, który dwukrotnie był posłem przy Iwanie Groźnym; „Dziennik generała Patryka Gordona 1655—1684 r."; „Dziennik drugiej wyprawy Stefana Batorego na Rosję (1580)" Jana Zborowskiego i Łukasza Działyńskiego (przełożono w Moskwie w 1897 r.); „Wiljam Perri: Przejazd przez Rosję poselstwa perskiego w latach 1599—1600", z angielskiego przełożył W. Sokołow, Moskwa 1900 r.

na Zachodzie, przyjmowano je bezkrytycznie, więc Europa, patrząc na Rosję oczami wspomnianych autorów, szczerze uważała Moskowję za kraj nawpół dziki, będący nietyle podmiotem, ile przedmiotem polityki międzynarodowej. Tkwiła w tym poglądzie tradycja rycerzy teutońskich, w ten właśnie sposób patrzących na Rosję.

Jednakże takie zapatrywanie na początku wieku siedmnastego poczynało ustępować, nie można przeto uważać go za ogólne; przeciwnie, należy podkreślić szereg poważnych wyjątków. Po pierwsze, inaczej zapatrywała się Polska — jej poglądy naszkicujemy szczegółowo dalej. Wyjątek tworzyli również kupcy niemieccy i angielscy, którzy często zamieszkiwali nietylko u granic Rosji, lecz również w samej Moskwie, w jej „niemieckiej słobodzie", oni również, jak i Polacy, poznali Moskowję praktycznie. Nietyle z wyrachowania, ile instynktownie ciążyli ku Rosji ujarzmieni przez Turków Słowianie południowi. Wśród nich krążyło podanie, podtrzymywane oczywiście przez Greków, że naród żółty (czyli rosyjski), według tłumaczeń znawców, naród moskiewski, wypędzi Turków ze świętej Zofji. Małżeństwo cara moskiewskiego z Zofją Paleolog jedynie umocniło to podanie. Wyjątkiem czwartym niepodzielania w w. XVII poglądów Possewina była sama Kurja rzymska.

Należy pamiętać, że początek wieku XVII szczególnie się odznaczył wielkiem zainteresowaniem się Słowianami; zdawało się, że marzenie Grzegorza XIII, Klemensa VIII i Pawła V dojdą do skutku. Urban VIII właśnie wówczas wyrzekł owe znakomite słowa: „O mei Rutheni, per vos ego Orientem spero convertendum". Kurja rzymska ze szczególniejszą uwagą słuchała wieści dochodzących z Polski, obserwowała pracę unickiego metropolity Rutskiego, starającego się o urzeczywistnienie Unji powszechnej, popierała wydawnictwo książek w „języku illiryjskim" i t. d. Dobre orjentowanie się Kurji w sprawach wschodnich uwidocznia się choćby stąd, że przybyły do Rzymu mianujący się synem Wasyla Szujskiego awanturnik, Timoszka Akundinow, został zdemaskowany o wiele prędzej, niż Europa w sto lat później poznała się na rzekomej księżnie Tarakanowej. Ani Possewin, ani Herberstein, którzy byli prawie jedynemi źró-

dłami wiedzy dla Kryżanicza i Europy o Rosji, oczywiście nie byli wyłącznymi informatorami Watykanu. Stolica Święta posiadała dużo wiadomości świeższych, dokładniejszych — przypuszczalne pojęcie o stopniu tych wiadomości możemy urobić sobie z referatu, wygłoszonego w Pradze dn. 11 kwietnia 1927 r. przez znanego badacza archiwum watykańskiego prof. Szmurłę.[1]) Zgodnie ze świadectwem tego uczonego, materjał „ruski" Kongregacji Rozkrzewiania Wiary tworzą zwłaszcza 275 tomów protokółów posiedzeń Kongregacji, 1000 tomów jego akt otrzymanych, 800 tomów akt otrzymanych, lecz nie roztrząsanych przez Kongregację, 400 tomów akt wysłanych, 161 tom spraw „partykularnych", rozpatrywanych przez specjalne komisje i wreszcie 120 tomów Miscelaneów. Już samo to wyliczenie świadczy, jak bogatemi były wiadomości Watykanu o sprawach ruskich. Nic dziwnego, że właśnie okres drugiej połowy XVI w. i cały wiek XVII znalazły szczególne odbicie w aktach Kongregacji Propagandy. Moc wiadomości dostarczała korespondencja z powodu Unji; raporty nuncjusza w Polsce i misjonarzy były bezpośredniemi źródłami, z których Kurja czerpała wiadomości o Rusi, ale wśród nich wiele było rzeczy dotyczących także Rosji, czyli Moskwy.

Rzym nie ulegał mniemaniu ogólnemu, nie dopuszczał się żadnej krańcowości i uważał „Moskowitów" nie tyle za heretyków, jak za odszczepieńców. Więc w miarę potrzeby świadomie popierał ideę Rutskiego, spełniał życzenie Iwana Groźnego, współczuł z Władysławem i t. d. — to wszystko jednak czynił w zakresie ściśle określonym i bardzo wyraźnym. Odwołanie Possewina z Polski właśnie wówczas, gdy ten zapalony do swych wspólnych z Batorym planów chciał się zapędzić za daleko w swej nazbyt pośpiesznej polityce, świadczy najlepiej, że taktyka Rzymu w sprawie rosyjskiej była nie oportunistyczna, lecz ściśle zasadnicza. Słuszne i wstrzemięźliwe stanowisko Watykanu tłumaczy się tem, że on umiał odpowiednio zestawiać i wzajemnie neutralizować poglądy wyłącznie informowanej, niezawsze jednak bezstronnej w sprawach rosyjskich Polski

[1]) Tezy tego referatu wydrukowano w pierwszej księdze „Pamiętnika Rosyjskiego Koła Historycznego w Pradze" w r. 1927 str. 44—45.

z poglądami strony przeciwnej i osób niezainteresowanych. Nie ulega wątpliwości, że w kwestji słowiańskiej Rzym należycie doceniał możliwe zadanie Słowian, jednakże na wzór Possewina nie uważał ich za narzędzie, ani też na wzór Kryżanicza w pierwszym okresie jego życia nie uważał ich jedynie za cel jako taki.

Taki był obraz ogólny zapatrywań Europy na Rosję. Obraz dość wielobarwny i trzeba przyznać niezawsze prawdziwy— rzecz zrozumiała, że koła Kurji bynajmniej nie ujawniały posiadanych materjałów wobec osób niepowołanych. Nie wiedział o nich również Kryżanicz. Oczywiście jego poglądy ułożyły się tak a nie inaczej przeważnie dlatego, że urodził się i wzrósł w środowisku chorwackiem, tam zaś, jak nadmieniłem, stosunek do Moskwy był romantyczny. Ten właśnie romantyzm jest zarazem wartością i wadą Kryżanicza. Gdyby go nie miał, toby ten młody misjonarz uniknął wielu błędów, lecz pozostałby wówczas jedynie zwykłym kaznodzieją, pozbawionym trwającego w przeciągu stuleci uroku, tak charakterystycznego dla całej jego postaci.

Dużo wiadomości o Rosji Kryżanicz zaczerpnął z Polski, najpierw pośrednio, Polska bowiem była głównem źródłem wiadomości o Rosji dla Europy, potem bezpośrednio podczas swego pobytu w Polsce. Czego jednak od Polski mógł się nauczyć? Polska wiedziała wiele rzeczy o Moskwie z doświadczenia, podczas gdy Rzymowi znane były one jedynie z relacji i na odległość. Kryżanicz więc miał czego od niej się nauczyć. Zobaczmy jak się zapatrywała na Rosję Polska.

Każdy sąd historyczny, pragnący uchodzić za naukowy lub choćby poważny, winien być starannie oczyszczony od wszelkich anachronizmów — szczególnie ważne znaczenie ma to wówczas, gdy pragniemy odtworzyć obraz życia duchowego danego okresu. Przeto w ocenie stosunku Polski do Moskwy za czasów Kryżanicza trzeba odrzucić wszystko, co w umysłach obu narodów nagromadziło się z chwilą smutnego faktu podziału Polski, zwłaszcza zaś dużo poglądów Duchińskiego. Polaków i Rosjan XVII stulecia nie łączyła zażyła przyjaźń, przeciwnie — panowała atmosfera

niezgody i kłótni, wszakże nie było ani nienawiści, ani uprzedzeń; nie było odrazy uciśnionych do swych ciemiężców. Polska i Moskwa rywalizowały ze sobą w dziedzinie przewagi wojennej i politycznej; ich spory czasem się zaostrzały, to znowu łagodniały; nieraz prowadziły do ostrego zatargu, lecz nigdy nie miały charakteru pogardy, wciąż się utrzymując w poczuciu wzajemnej równości. Rozwijający się w Moskwie skomplikowany proces historyczny — wogóle życie ideowe i polityczne społeczeństwa moskiewskiego były dobrze znane w Polsce; wypadki zaś na Rusi południowej były w znacznej mierze jej przeżyciem własnem. Nie mogło być tam lekceważenia, gdzie częstokroć krzyżowano oręż, gdzie nietylko zwyciężano, lecz też doznawano porażek. Polacy znali Rosjan jako wcale niezłych dyplomatów; ze swej strony Polska nieraz prowadziła z Moskwą rywalizację dyplomatyczną, więc mogła dobrze ocenić uzdolnienie państwowe Rosjan.

Podobnie jak Rzym, Polska — oczywiście w najbardziej wykształconych kołach swego społeczeństwa — uważała prawosławnych nie tyle za heretyków, jak raczej za schizmatyków-dyzunitów. W swej tolerancji względem nich Polska nieraz posuwała się nawet znacznie dalej od Rzymu, bez czego nie byłby możliwy bliski stosunek sąsiedzki — przypomnijmy choćby, że Iwan Groźny pretendował do tronu polskiego, a Zygmunt i Władysław do moskiewskiego. Władysław, rozpoczynając wyprawę przeciwko Moskwie, prosi Rzym o pozwolenie ewentualnie przyjęcia korony z rąk choćby biskupa obrządku wschodniego, jeśli nie całkiem schizmatyckiego.[1]) Przykład Pseudo-Dymitra wyraźnie świadczy, co trzeba czynić i na jakie pójść ustępstwa dla osiągnięcia zgody z Rosjanami. Zygmunt wszystko zważył roztropnie. Trzeba zaś pamiętać, że uczynił to nie z samych względów politycznych, lecz poprostu dlatego, że dzięki swemu światłemu rozumowi zdawał sobie wyraźnie sprawę, iż różnica obrządków jest rzeczą drugorzędną i ponieważ uważał prawosławie jakkolwiek za schizmę, lecz w każdym razie za część Kościoła powszechnego. W odpowiedzi odmownej Bellarmina na zabiegi Władysława czuć więcej taktu,

[1]) Szmurło „Le Saint Siège..." str. 3—35.

niż przewagi surowej zasady: Bellarmin chce podkreślić różnicę, istniejącą między katolicyzmem a prawosławiem dla usunięcia w ten sposób zgorszenia. Wszakże sam papież Paweł V wykazał więcej, niż Bellarmin, wyrozumiałości i ostatecznie drogą nieurzędową poparł Władysława wbrew Bellarminowi jak to wyraźnie widać z instrukcyj, udzielonych przez kardynała Borghese nuncjuszowi w Polsce Diotallevi. [1])

Z niemniejszą tolerancją względem Rosjan odnosili się również przedstawiciele polskiego duchowieństwa katolickiego, zwłaszcza ci, którzy pracowali nad zjednoczeniem Kościołów. Metropolita Rutski, szerząc myśl o konieczności wprowadzenia „Unji powszechnej" i zwołania soboru wspólnego z dyzunitami, tem samem świadczy wobec historji o swej tolerancji względem prawosławnych — w owem rozumieniu doniosłości dzieła zjednoczenia Kościołów on i Kryżanicz bardzo zbliżają się do siebie.

Między kulturą rosyjską i polską nie istniała wyraźna linja graniczna, lecz obie niedostrzegalnie przechodziły jedna w drugą — Ruś Litewska i Małoruś pośredniczyły pomiędzy Warszawą a Moskwą. Pod wpływem tego przyrodzonego pokrewieństwa Polska katolicka dobrze rozumiała moc i słabość Moskwy i należycie się orjentowała w jej życiu duchowem. Chociaż Polacy XVII stulecia może czasem patrzyli zgóry na Moskwę, należy jednak pamiętać, że pogląd ten nie był, podobnie do poglądów Zachodu, apriorycznу, lecz powstał wskutek stronienia Rosjan od ówczesnej kultury łacińskiej. Znowuż Moskwa, uważając kulturę grecką za jedynie słuszną, podobnież patrzała na Polskę, lecz trzeba zauważyć, że od tej ogólnej zasady było dużo wyjątków. Polacy, oczywiście bardziej przywiązani do swej ojczyzny niż do innych krajów, mimo to posiadali pewne poczucie słowiańskie. Odczuwając wogóle wartość jedności kulturalnej i politycznej obu pokrewnych plemion, mimo to pod względem religijnym podzielali zdanie Possewina: najpierw jedność religijna, potem polityczna. Przytem trzeba zauważyć, że Ruś nieinaczej patrzała na Słowian zachod-

[1]) Szmurło „Le Saint Siège", str. 23 i uwagi.

nich: jej plan kulturalny był w gruncie rzeczy zupełnie podobny do założeń Possewina i Polski, z tą oczywiście różnicą, że za religję prawdziwą Rosjanie uważali prawosławie. Istota rzeczy była ta sama tu i tam, jest więc zrozumiałe, że Kryżanicz tragicznie się poróżnił z obu stronami.

Podczas gdy Europa posiadała fantastyczny naogół pogląd na Rosję, Polska, obca myśli o zasadniczej niezgodności Wschodu z Zachodem, kosztem ciężkiej próby życiowej, zdołała uniknąć błędów Europy — słuszny pogląd Rzymu na Rosję w znacznym stopniu zależał właśnie od tej próby Polski. W jej stosunku do Moskwy nie było ani sentymentu, ani uprzedzenia, było tylko należyte rozumienie schizmy i właściwa gradacja pojęć. Nietylko w kwestji panslawizmu Polska stała na gruncie trzeźwego realizmu: to samo było również w sprawie Unji kościelnej. Podczas gdy u wielu jeszcze przez długi czas po w. XVII daje się odczuć w poglądach na Słowian pewien odcień romantyzmu — pragnienie „poprzez stepy ruskie szerzenia na Wschodzie światła wiary Chrystusowej", w Polsce te pojęcia przybierają kształty realne. Strona romantyczna akcji unijnej znacznie zbladła od czasów Pseudo-Dymitra, choć Zygmunt III może jeszcze ją podzielał, lecz Władysław miał jej znacznie mniej. Św. Józafat Kuncewicz i metropolita Rutski poświęcają się dziełu Unji. Ich praca jest zapewne mniej efektowna, niż szerokie plany Batorego, jest zato bardziej trzeźwą i realną. Obaj rozumieją, że akcja unijna na ruskich terenach Polski będzie skuteczniejsza niż w Moskwie, widzą wyraźnie, że powodzenie tu jest możliwe i realne, jeśli zaś je uda się osiągnąć, to tem samem jego wielkiemu wpływowi ulegnie Moskwa. Zaczynają od rzeczy mniejszej, lecz całkiem realnej. Kryżanicz zaś chce zacząć odrazu od rzeczy największej. Jego błąd a słuszność stanowiska Polski, zwłaszcza stanowiska Rutskiego, najlepiej się ujawnia z przeglądu kierunków ideowych Rusi moskiewskiej.

Obraz życia duchowego Rusi moskiewskiej XV stulecia jest względnie prosty: silny wpływ grecki i znacznie słabszy tatarski, z Zachodu i Bułgarji przedostaje się racjonalizm w postaci herezyj, koniec tego wieku mocno się zabarwia oczekiwaniem Sądu Ostatecznego w związku ze spodziewa-

nym w nocy z dnia 24 na 25 marca 1492 r. końcem świata.[1]) Gdy te oczekiwania się nie ziściły, w umysłach inteligencji rosyjskiej nastąpił zwrot w kierunku sekularyzacji, słowem rok 1492 znaczył dla Rosji tyleż, co rok 1000 dla katolików, kiedy to Zachód się zawiódł na oczekiwaniu końca świata i powtórnego przyjścia Chrystusa.

W w. XVI można dostrzec trzy kierunki, łączące to stulecie z dziejami zarówno okresu poprzedniego, jak i następnego. Temi kierunkami były: po pierwsze, dążność do jedności duchowej państwa Moskiewskiego i utwierdzenie staroświeczczyzny jako podstawy duchowego rozwoju społeczeństwa; powtóre, dążność do wyzwolenia się od wpływu Bizancjum i zarazem udostępnienia wpływu zachodniego, który odrazu się ujawnił w postaci herezyj racjonalistycznych; po trzecie, kierunek o charakterze mistycznym, pochodzący z Bizancjum, który się odzwierciedlił przeważnie w nauce tak zw. „starców zawołżańskich".

Podczas gdy w w. XVI dostrzegamy tylko trzy zasadnicze sprzeczne ze sobą kierunki, to w w. XVII jest ich już cztery. Pokrótce można je określić jako: 1) filozachodni, 2) łaciński, 3) grecki i 4) narodowo-ruski; ten ostatni dzielił się na dwa stronnictwa: umiarkowanie konserwatywne, do którego należeli przeważnie szlachta i bojarowie, i skrajne, jednoczące mieszczan i częściowo włościan, do niego również należeli wszyscy staroobrzędowcy. Stronnictwo narodowo ruskie trzymało się poglądu, urobionego przez szlachtę w w. XVI w walce ze stojącymi u steru rządu bojarami i zwalczało stronnictwa postępowe.

Stronnictwa postępowe wyłoniły się z rządzącej klasy bojarsko-szlacheckiej. Stronnictwo filozachodnie domagało się reform w duchu zachodnio-europejskim. Przeciwko niemu powstawało liczniejsze stronnictwo greckie, które przy poparciu umiarkowanego skrzydła stronnictwa narodowo-ruskiego poprawiło księgi liturgiczne. Stanowisko pośrednie pomiędzy stronnictwami postępowemi zajęło stronnictwo ła-

[1]) Podług wyliczeń greckich i ruskich teologów w nocy z dnia 24 na 25 marca 1492 r. upływało równo 7000 lat od stworzenia świata. Mnóstwo proroctw przepowiadało nastanie właśnie w tym dniu Sądu Ostatecznego.

cińskie, opierające się na kulturze południowo-ruskiej. Ono wyłoniło ze swego grona szereg ludzi wybitnych i wszechstronnie wykształconych, prowadzących walkę z partyjnictwem. Pod koniec w. XVII stronnictwo łacińskie przeważyło nad innemi, wnosząc na Ruś Moskiewską umiarkowany europeizm w postaci oświaty scholastycznej: zorganizowało w Moskwie poważne szkoły średnią i wyższą, przeniosło tu z Rusi Południowo-Zachodniej literaturę naukową i zwalczało z jednej strony w obronie prawosławia wyznania zachodnie, z drugiej — orjentację narodowo-ruską i z trzeciej — krańcowości wpływów greckich.

W ten sposób na początku drugiej połowy wieku XVII poglądy Kryżanicza o konieczności zjednoczenia wszystkich Słowian nie mogły znaleźć w Rosji żadnego oddźwięku. Jedynym wyjątkiem, przytem bardzo wątpliwym, była chyba grupa staroobrzędowców, wyznających, mimo prześladowań ze strony rządu, teorję „Moskwa — trzeci Rzym". Jednakże Kryżanicz po swym przyjeździe do Rosji stanął w obronie poprawionych ksiąg liturgicznych, słowem mimowoli poparł stronnictwo greckie, a tem samem zraził do siebie jedyne, wprawdzie słabe, lecz dość liczne stronnictwo, któreby może go zrozumiało. W świetle tego rozproszkowania życia ideowego Rosji staje się zrozumiałą również względna obojętność Polski dla sprawy słowiańskiej, choćby bardzo była przychylna tej sprawie, jednakże w Rosji nie znalazłaby oddźwięku. Kryżanicz zaś tego nie uwzględnił i nie zrozumiał.

Literalnie to samo trzeba powiedzieć również o poglądach Moskwy na możliwość zjednoczenia Kościołów. Wyraźna tendencja filokatolicka od czasów okresu kijowskiego z pewnością w Rosji istniała. Podtrzymywał ją swego czasu metropolita Izydor, później Mikołaj Niemczyn, również nie był jej stanowczym przeciwnikiem Maksymiljan Grek. Jednakże właśnie owe czasy, w których Krzyżanicz przebywał w Rosji, były najmniej odpowiednie dla szerzenia idei Unji. Żadnych planów na szerszą skalę wówczas nie było można przeprowadzić, bo one wprost nie miały oparcia; praca wówczas była możliwa tylko w takim zakresie, w jakim prowadzili ją w Polsce Kuncewicz i Rutski.

Trzeba pamiętać, że właśnie Polska przez swój najazd w okresie „smutnego czasu" obaliła wszystkie nadzieje misyjne konserwatywnych zwolenników teorji „Moskwa—trzeci Rzym". W pewnej mierze ta teorja przygotowała drogę dla idei unijnych, lecz z drugiej strony decydujące znaczenie miała tu okoliczność, że cara obrano z grekofilskiego domu Romanowych, wpływ bowiem Greków urósł do tego stopnia, że wreszcie spowodował rozdwojenie w samej cerkwi prawosławnej.

Oczywiście najbardziej przeciwni zjednoczeniu Rosji z Rzymem byli Grecy. Kryżanicz, jak nadmieniłem, po przybyciu do Rosji napisał książkę „Obliczenije na sołowieczskuju czełobitniu", stając odrazu przez ten swój występ przeciwko staroobrzędowcom po stronie stronnictwa greckiego, gdy zaś się dowiedziano, że on nikogo nie reprezentuje, ale wygłasza tylko swe własne przekonania, wynik był tragiczny i prosty: Kryżanicza zesłano na Syberję, gdzie musiał w zimnym Tobolsku przebyć lat piętnaście.

Idee panują nad własnymi swymi apostołami. Decydują o ich życiu; ich powodzenie jest zarazem powodzeniem tego, którego można uważać za ich twórcę. Upadek idei jest często rozbiciem się duszy ludzkiej. Powodzenie idei zależy od zrozumienia, jakie znajduje ona dla siebie wśród otoczenia, i od zgody z warunkami czasu, w jakim się zrodziła. Więc również upadek idei bywa nieraz wątpliwy, historja bowiem czasem dopiero po upływie wieków stwierdza, że miał słuszność właśnie ten, o którym wszyscy ludzie współcześni myśleli, że się myli. Zdarza się to wówczas, gdy umysł genjalny, myśląc o przyszłości, tworzy idee za wcześnie, wcześniej, niż inni mogą je zrozumieć. Jednakże również w tym wypadku tragizm niezrozumiałej jednostki naprawdę jest pozorny tylko, przechodzi bowiem w aureolę, wprawdzie smutną, lecz aureolę, wieńczącą dopiero po śmierci tego, komu ma służyć. Ta aureola raczej idei, niż jednostki, kryje w sobie głęboką, wielką sprawiedliwość historji — rehabilitację pokrzywdzonych i moralne wynagrodzenie ducha tych ludzi, których za życia nie zrozumiano.

Tragizm życia Kryżanicza polegał na tem, że on za

wcześnie się urodził. Prof. Szmurło powiada:[1]) „W w. XVII o religji i narodowości myślano nierozdzielnie. W Moskwie idea słowiańska Kryżanicza ściągnęła na się podejrzenie, bo swej myśli narodowej przydał on odcień religijny, niemożliwy do przyjęcia dla prawosławnych; w Rzymie zaś utracił on grunt pod nogami z tego względu, że jego ideał religijny posiadał tendencję zanadto narodową... Kryżanicz odłączył się od jednych i nie mógł przystać do drugich. W rzeczywistości był obcy jednym i drugim. Mimo to służył bezinteresownie i Słowiańszczyźnie i Kościołowi Rzymskiemu..." Ten pogląd jest słuszny; trzeba tylko dodać, że wielkość tragizmu Kryżanicza decyduje o szczytności i świetności jego aureoli. Historja wszakże przyznaje genjalnemu Chorwatowi słuszność nie zupełnie, lecz tylko częściowo i powoli.

Jak wiemy, program Kryżanicza składał się z dwóch części, które pokrótce można sformułować w ten sposób: 1) konieczność unji kościelnej, 2) konieczność zjednoczenia Słowian.

Konieczność unji nie ulegała dla Kryżanicza żadnej wątpliwości, uważał on ją za całkiem zrozumiałą, wynikającą nieodzownie z nauki Chrystusowej. Chciał kierować się zasadą przechodzenia od rzeczy większej do mniejszej, od realizacji powszechnego zjednoczenia Słowian z Kościołem Rzymskim; błędom Wschodu pragnął przeciwstawić szereg ściśle logicznych dowodów, rozumiał jednakową wartość obrządków.

Jego idea zjednoczenia Słowian polegała na zrozumieniu ich wartości, pragnieniu współdziałania w nawróceniu świata na chrystjanizm i na uczuciu miłości wzajemnej współbraci.

Obie te ideje łączyły się w jedną nietyle jednością bezspornej prawdy filozoficznej i historjozoficznej, ile jednością wyraźnej postaci Kryżanicza. Za sposób urzeczywistnienia obu idei, niejako za pomost między niemi, Kryżanicz uważa przesłanki ujemne — konieczność walki z islamem, potem zaś, „gdy się okaże, że siły samego państwa Moskiewskiego są na to za słabe, przekonania go, że pomocy od Europy

[1]) Op. cit. str. 163—164.

może się spodziewać tylko za cenę zawarcia unji religijnej z Rzymem" — to strona polityczna zapatrywań Kryżanicza. Przesłanką zaś dodatnią, łączącą obie strony jego zdania, było zupełne przekonanie o konieczności wejścia całej Słowiańszczyzny do powszechności świata katolickiego — tu właśnie tkwi uzasadnienie kulturalnej myśli Kryżanicza. Właśnię pod tym względem był on przodkiem nietylko genjalnego Włodzimierza Sołowjowa, lecz też papieża Leona XIII. Nie można wszakże zapominać, że również papież Paweł V kierował się takiemiż ideami.

W Polsce Kryżanicz dużo się nauczył. Najpierw zaprasza go do niej chełmski biskup unicki Terlecki, jednak trafia nie do niego, lecz do łacińskiego biskupa smoleńskiego, Parczewskiego, u którego jednak nie znalazł pomocy do kontynuowania swoich ulubionych studjów, ani do urzeczywistnienia swego marzenia nawracania Moskwy. Opuściwszy Parczewskiego, zbliża się do unickiego arcybiskupa smoleńskiego, którym był wtedy Andrzej Zołotoj i w pewnym klasztorze poznaje O. Skuminowicza, prawosławnego archimandrytę, który przyjął unję. Stamtąd udaje się Kryżaniczowi wyjechać w roku 1647 wraz z poselstwem polskiem do Rosji, gdzie pozostaje w ciągu dwóch miesięcy.

Po swym powtórnym wyjeździe do Rosji w roku 1659 i ośmnastoletnim pobycie zrazu w Moskwie, potem na wygnaniu, wzbogacony doświadczeniem życiowem Kryżanicz znów wraca do Polski, gdzie w Wilnie wstępuje do zakonu ks. Dominikanów. Potem, po burzliwych zatargach z własnym zakonem, będąc w drodze do Miasta Wiecznego w r. 1682, mimo odwołania go do Rzymu, wstępuje jako kapelan do armji Jana Sobieskiego, idącej na odsiecz wiedeńską, i pada na polu bitwy pod murami stolicy austrjackiej.

Zatem duża część jego życia była związana z Polską: mieszkał w niej i pracował, nie godził się z Parczewskim i odwrotnie ściśle się porozumiał z Terleckim i Skuminowiczem, nie ulega też żadnej wątpliwości, że w Polsce i od Polski dużo się nauczył. [1])

[1]) Dowodem tego, że Kryżanicz nie mógł nie ulec wpływowi Polski, jest choćby jego „Besida ko Czirkasom...", do której materjał zebrał w Polsce.

Zwłaszcza ważnem jest pytanie: czy może być mowa o sporze pomiędzy Kryżaniczem a Polską, jeśli zaś tak, to na czem on polegał?

W obu częściach swego ujęcia religijnego ideje Kryżanicza doczekały się historycznego usprawiedliwienia, lecz takież ujęcie miała również Polska i właśnie dzięki jej wpływom dojrzały młodzieńcze ideje Kryżanicza. Proponowany przez Kryżanicza sposób realizacji Unji — „powrót do jedności Kościoła prawosławnego, jako całości, przeciwstawienie błędom dyzunitów kształtnego systemu ściśle logicznych dowodów, zrozumienie równości obrządków" — temu wszystkiemu późniejsze stulecia przyznały słuszność i właśnie ze względu na te ideje Kryżanicza trzeba uważać za jednego z praojców współczesnego nam irenizmu względem Wschodu. Encykliki „Praeclara Orientalium dignitas" i „Mortalium animos" są najlepszem uwieńczeniem grobu chorwackiego misjonarza. Nie należy do istoty rzeczy, że w swoim czasie, gdy Moskwa nie mogła zrozumieć idei Kryżanicza, jego projekt nie był ani aktualny ani trafny. Wówczas, w warunkach danego okresu mylił się Kryżanicz, a słuszność mieli Polska i Rutski. Wszakże jego omyłka kryła w sobie genjalną wizję przyszłości, historja zaś przyznała mu słuszność, choć również całkowicie usprawiedliwiła Rutskiego, który przez swą działalność utorował drogę dla przyszłości. Tu nie było żadnej istotnej rozbieżności pomiędzy Polską a Kryżaniczem, bo jedna i drugi współpracowali dla tejże sprawy, choć nie w ten sam sposób. Nie było też tragizmu Kryżanicza jako katolika-unjonisty, bo nie wyrzekł się on swej wiary, a jego idea zyskała uznanie przyszłych pokoleń. Tragizm osobisty Kryżanicza nie jest tragizmem Unji.

Z częścią drugą zasad Kryżanicza — z jego koncepcją panslawizmu jest nieco inaczej. Podkreślał on wciąż wartość Słowian — również doceniała ją Polska, rozumiejąca wyraźnie w osobie swych najlepszych jednostek całą doniosłość i możliwe zadanie plemienia słowiańskiego, nie mogła zaś czynnie ujawniać swych przekonań jedynie dlatego, że Moskwa XVII stulecia nie posiadała żadnej grupy ludzi, mogących choćby w małym stopniu przychylnie zareagować na podobny apel. Kryżanicza i Władysława do akcji słowiań-

skiej pobudzało zrozumienie konieczności współpracy w nawracaniu świata. Więc i tu nie było wielkiej rozbieżności, lecz tylko nieznaczna. Lecz właśnie tu się zaczyna osobisty tragizm Kryżanicza, ponieważ jego idei nie spełniono i ponieważ ani Moskwa, ani Polska ich nie oceniły. Czemu do tego doszło?

Odpowiedź wyraźna: dlatego, że mylną i złudną była przesłanka, łącząca obie części projektu Kryżanicza: religijną i kulturalną. Projekt pobudzenia do wyprawy przeciwko Turkom, a potem przekonania, że dla jej powodzenia jest niezbędna Unja, był zgoła nierealny i pochodził z niedostatecznej znajomości rzeczywistych warunków. Więc ideje Kryżanicza nie znalazły uznania nietylko w Polsce, lecz również w Rzymie i Moskwie, wskutek czego Kryżanicz pozostał osamotniony. Osamotnienie to było dlań tragiczne. W świecie zaś idei ten osobisty tragizm Kryżanicza oznaczał nietyle upadek wogóle panslawizmu, bo za czasów Kryżanicza istniał on już w Polsce w innej postaci, później zaś znowu w innej formie odrodził się według teorji słowianofilów — a tylko upadek projektu wczesnego panslawizmu, zawód tej drogi, po której pragnął iść Kryżanicz. Tu również niema niezgody pomiędzy nim a Polską, tylko brak należytego zrozumienia przezeń historycznego doświadczenia Polski.

Historja w jednakowej mierze dowiodła słuszności i szczerości idej, któremi się kierowali Polska i Kryżanicz. Błędy nieuchronne przy realizacji każdej wielkiej sprawy, nie plamią czystości intencji ani jednej, ani drugiej strony. Któż to wie, jak oddziałało na młodego misjonarza, jego poznanie polskiego życia duchowego, czy nie zawdzięcza on swej stałości w wierze właśnie tej wiedzy i przykładowi? W każdym razie śmierć Kryżanicza w szeregach wojska polskiego na zawsze związała jego pamięć z Polską.

Dr. Walery Wiliński.

Przegląd piśmiennictwa.

Ks. Henryk Pinard de la Boullaye. T. J.: Chrystus wobec historji. Konferencje wielkopostne, wygłoszone w katedrze Notre Dame de Paris w r. 1929. Przetłumaczyła z francuskiego H. Lutostańska. Nakładem Wydawnictwa Księży Jezuitów. Kraków, 1929. Str. 200.

Niezgodność poglądów na osobę Chrystusa i Jego dzieje jest tak uderzającą w współczesnym nam świecie, iż umysły bardziej chwiejne stają nieraz wobec dylematu, że albo objawienie chrześcijańskie jest zwodniczą ułudą, albo w najlepszym razie jest faktem tak nieokreślonym, iż każdy człowiek może je sobie dowolnie tłumaczyć. Stajemy wobec niesłychanie doniosłego problemu, czy Chrystus istniał, a jeśli tak, to co sądzić należy o Jego osobie i posłannictwie. Od odpowiedzi zaś na to pytanie zależy cały światopogląd. Kwestję tę zasadniczą, dzielącą umysły i serca ludzi, można rozważać podwójnie. Najpierw przez prostą negację, płynącą z przesłanek filozofji materjalistycznej czy pozytywistycznej, która zgóry odrzuca wszelką możliwość cudu, czyli interwencji Bożej w dziejach świata, i wówczas Chrystus albo nie istniał, albo co najwyżej był zwyczajnym człowiekiem. Obok tej nawskróś apriorystycznej metody rozwiązania tak doniosłego problemu istnieje metoda druga: sumiennego historycznego badania, z pominięciem wszelkich zgóry powziętych uprzedzeń. Jedynie ta metoda jest prawdziwie naukową.

Nią właśnie posługuje się w swych rozważaniach ks. Pinard. Abstrahując zupełnie od objawienia i nauki Kościoła, bez odnoszenia się nawet do tekstu czterech Ewangelji usiłuje ustalić, na podstawie historycznych świadectw, zaczerpniętych wśród ludzi Chrystusowi współczesnych, najważniejsze zdarzenia z Jego życia, oraz główne kontury Jego nauki. W tym celu analizuje najpierw fakt, jakim było wzburzenie wśród grecko-rzymskiego świata wywołane fermentem zjawienia się Chrystusa i Jego nauki. Dalej z objektywnym krytycyzmem, opartym na zasadach porównawczej metody, bada świadectwo kościołów chrześcijańskich odnośnie do ich Założyciela, a więc rozbiera poniesione przez chrześcijan ofiary, analizuje uderzający wśród wyznawców Chry-

stusa kult tradycji, oraz jednozgodność ich świadectwa. Specjalną konferencję poświęca Pawłowi z Tarsu, jako wybitnemu świadkowi Chrystusa, oceniając z niezwykłą wnikliwością wartość zeznań tego nawróconego Żyda.

Zbadawszy gruntownie treść i jakość współczesnych świadectw o Chrystusie, przechodzi dopiero autor do udowodnienia wartości Ewangelij, jako historycznego źródła. Zestawiając zgodność opowiadania, archaizm i jednolitość stylu, zgodność podanych szczegółów z dziejami powszechnemi, analizując wreszcie niezwykłą i jedyną w swoim rodzaju kontrolę, jaką otaczano zawsze ewangelje — dochodzi do wniosku, iż wprawdzie ewangelje nie są „naukowym życiorysem" w nowoczesnem tego słowa znaczeniu, są raczej „streszczeniem katechezy", opowiadają jednak prawdziwe historyczne zdarzenia. W ostatniej wreszcie konferencji wykazuje ks. Pinard w świetnej polemice niedorzeczność hipotezy skażenia ewangelicznej tradycji.

Wynikiem, do którego dochodzi autor w obecnym cyklu konferencyj, jest naukowe stwierdzenie faktu, iż ewangelje podają nam autentyczne dzieje człowieka, który wyznał, że jest Bogiem i którego uznano za Boga.

Praca świetna, świadcząca o niezwykłej erudycji uczonego i wnikliwości wytrawnego psychologa. Czyta się ją z rosnącem zajęciem i coraz głębszym podziwem. W polskiej literaturze naukowo-religijnej zapełnia dotkliwą lukę. Można ją dać w ręce każdemu niedowiarkowi, czy wątpiącemu, a każdy inteligentny katolik powinien się bezwzględnie zapoznać z tą książką, która ugruntuje w nim i pogłębi rozumowe przesłanki wiary.

Ks. E. Kosibowicz.

Dr. Arnold Rademacher: Religion und Leben. Ein Beitrag zur Lösung des christlichen Kulturproblems. — Zweite verbesserte Auflage. 8° str. 236. Herder, Freiburg 1929.

Nasz miesięcznik już przy pierwszem wydaniu tej książki zamieścił obszerniejszą o niej recenzję, zalecając głębsze zastanowienie się nad szeregiem aktualnych zagadnień, które autor nietylko śmiało porusza ale przedewszystkiem oryginalnie oświetla.

„Zasadniczy stosunek religji i życia" — „Faktyczny rozdział religji i życia" — „Skutki tego rozdziału dla chrześcijańskiej kultury" — „Zespolenie religji i życia jako zadanie" — „Religijno-mistyczny typ życia" — „Religijno-aktywistyczny typ życia" — „Kultura świecka i świętość" — oto jak brzmią tytuły głównych rozdziałów książki Rademachera. Dla współczesnego katolika przedstawiają one ogromną wartość i zainteresowanie. A przez współczesny katolicyzm rozumiem przedewszystkiem tę jego szlachetną tendencję, która dąży do stworzenia wielkiej syntezy życiowej i umysłowej. Syntezy, któraby wchłonęła w siebie całość

przebogatego życia ludzkiego, indywidualnego i społecznego, następnie wspaniałą kulturę świecką, a wszystko to prześwietliła objawioną nauką Chrystusa. Byłaby to synteza o większym rozmachu niż *civitas Dei* Augustyna, rozleglejsza niż suma św. Tomasza.

Dzieło Rademachera możnaby uważać za jednego z przesłańców, który wskazuje drogi, któremiby należało zmierzać do harmonijnego pogodzenia skłóconych elementów, jakiemi są dzisiaj życie, kultura, religja, — by następnie wytworzyć z nich jedną wielką, wspaniałą kulturę chrześcijańską.

Ks. J. Andrasz.

Ks. Feliks Hortyński: Życie w świetle nauki i objawienia. Nakładem *Wiadomości Katolickich.* Kraków, 1929. Str. 245.

Na dziełko to składa się szereg artykułów z zakresu filozofji przyrody, drukowanych przez autora w latach 1919—1927, głównie na łamach *Przeglądu Powszechnego.* Obecnie artykuły te zostały przez p. t. Wydawcę umiejętnie powiązane tak, iż stanowią sympatyczną całość. Gruntowność treści łączy się z jasnością wykładu i właśnie te zalety zapewniały stale artykułom ś. p. autora wzięcie i uznanie w szerokich warstwach polskiej inteligencji, one też stanowią wartość i obecnej książki.

Autor omawia kolejno problem życia, jego pojęcie, genezę; przechodzi i charakteryzuje gruntownie ważniejsze teorje o pochodzeniu życia, by im przeciwstawić ostatecznie dogmat katolicki, pokrywający się z wynikami prawdziwej nauki. Rozdział specjalny poświęcono teorji ewolucji, cechuje go jasność pojęć i spokojna rzeczowa ocena dobrych i ujemnych stron tak często nadużywanej teorji. W dwóch obszernych końcowych rozdziałach znajdziemy gruntowny opis teoryj naukowych na temat powstania ziemi, oraz przyszłego końca wszechświata w zestawieniu z nauką Pisma Świętego.

Z pobieżnego przeglądu treści jasno wynika, ile aktualnych i zawsze umysł ludzki zaciekawiających tematów poruszył autor w swej pracy. Należy się szczera wdzięczność *Wiadomościom Katolickim* za wydanie tej zewszechmiar interesującej książki.

E. K.

Dr. Rudolf Allers: Das Werden der sittlichen Person. Wesen und Erziehung des Charakters. Herder, Freiburg im Breisgau 1929. Str. VIII+316.

Do literatury o kształceniu charakteru przybywa nam w powyższej książce nowy, cenny przyczynek, tem ciekawszy, że autorem jej jest lekarz, docent psychjatrji na uniwersytecie wiedeńskim. Zamiarem jego było napisać głębszą pracę, przeznaczoną dla wychowawców, nauczycieli, rodziców, duszpasterzy i lekarzy, która opierając się na zasadach katolickiego poglądu

na świat i filozofji chrześcijańskiej, powiązałaby z niemi wyniki pozytywnych badań nowoczesnych nad duchowem życiem człowieka.

Punktem wyjścia jest dla autora pytanie, na czem polega istota charakteru i jakie są warunki jego rozwoju? Zagadnienie to omawia szczegółowo i wszechstronnie, wykazując związek, który zachodzi pomiędzy charakterem a sposobem postępowania między człowiekiem a jego naturą oraz światem zewnętrznym. Poszczególne z czynników, które wpływają na kształcenie się charakteru, poddaje bliższej analizie, przyczem silnie podkreśla znaczenie środowiska, w jakiem dziecko obraca się od najwcześniejszych lat życia.

O ile początkowe, ściśle teoretyczne, rozdziały mogą się niejednemu z czytelników wydawać trudniejsze, o tyle dalsze dostarczają sporo zajmującego i praktycznego materjału, wychodzącego nawet poza ścisłe ramy studjum o charakterze. Zastajemy tu analizę popędów, wrodzonych skłonności, wpływów naturalnych i postronnych, z dołączeniem uwag dla wychowawców. Szereg ustępów poświęconych jest rozpatrywaniu ideału i jego znaczenia przy wyrabianiu charakteru, rozróżnieniu prawdziwych i fałszywych ideałów. Niemało miejsca zajmują objaśnienia o życiu dziecka i specyficznych tegoż właściwościach. Osobno uwzględnia autor zagadnienie dzieci upośledzonych, nerwowych, zaniedbanych. Poruszona jest sprawa wychowania seksualnego, różnice płci, występujące u chłopców i dziewcząt, oraz potrzeba odpowiednich metod wychowawczych; wspomnieć tu możemy, że koedukację uważa autor za metodę chybioną, nawet niezależnie od racyj, jakie możnaby podać ze strony moralnej (str. 223). Ostatnia część zawiera wskazówki o poznaniu siebie i samowychowaniu, które, zdaniem autora, wymaga również kierownictwa lub przynajmniej życzliwej rady osób kompetentnych, do jakich w pierwszym rzędzie zalicza duszpasterza, a obok niego lekarza.

Tak przedstawia się w streszczeniu bogata i różnorodna zawartość tej pracy, która w naukowych swych wynikach staje się zarazem apologją pedagogiki chrześcijańskiej. Wychowawcom, duchowieństwu i tym wszystkim, których interesują wymienione zagadnienia, wyświadczy ona prawdziwą przysługę.

Ks. St. Podoleński.

Louis Ponnelle et Louis Bordet: Saint Philippe Néri et la Société Romaine de son temps. Paris. Bloud et Gay. 1929, str. LXXII i 560 w dużem 8°.

Chociaż hagjografja współczesna przyzwyczaiła nas już do prawdziwych rewelacyj w dziedzinie poglądów na dzieje sług Bożych, ile razy pojawi się w tym zakresie nowe, a rzeczywiście udane dzieło, tyle razy ogarnia nowy podziw na widok, co potrafi dokazać sumienne i metodyczne studjum, natchnione gorą-

cem umiłowaniem badanego przedmiotu. Jak pokłady tynku, schodzące ze starych fresków pod ręką odnawiającego artysty, tak pod piórem nowych żywotopisarzy spadają z postaci Świętych całe warstwy patyny, równie fałszywie jak nieumiejętnie nałożonej przez dawną, banalną hagjografję. Ale też rezultat tej trudnej pracy hojnie wynagradza włożone w nią trudy. Bo zamiast konwencjonalnych szablonów, stają przed naszemi oczyma postacie kipiące najrealniejszem życiem, pełne łask Bożych, ale pełne też rysów czysto ludzkich, przedziwnie nadprzyrodzone, ale wydatne rzeźbą przyrodzonego charakteru, podniesione nad ziemię zupełnem oddaniem się Bogu, ale zrośnięte z pewnem miejscem i czasem tysiącem odbieranych i wywieranych wpływów.

Takiego dzieła rekonstrukcji historycznej podjęło się dla wielkiego założyciela Oratorjanów dwóch młodych księży francuskich. Zrazu pracowali wspólnie, potem, gdy śmierć zabrała przedwcześnie głównego autora, drugi z ogromnym pietyzmem i talentem dokończył jego pracy. A praca to była istotnie olbrzymia. Odszukano, najstaranniej przesortowano i roztrząśnięto wszystkie możliwe źródła, odnoszące się nietylko do św. Filipa, ale do osób z nim związanych; zbadano najdokładniej przez lokalne studja całe zewnętrzne ramy, wśród których rozwijało się życie Świętego tak w Florencji, jak w Rzymie; narysowano wspaniale i ogromnie szeroko całe tło, na jakiem występuje żywot świętego Apostoła Rzymu, a wreszcie na tem tle nakreślono obraz wielkiego Reformatora tak żywy, konkretny a psychologicznie prawdziwy, że, czytając, odnosi się wrażenie jakiejś bezpośredniej intuicji ponad czas i przestrzeń. Zamykając książkę, zna się św. Filipa do głębi, nietylko jego cnoty i przedziwne tajemnice jego mistycznych wzlotów do Boga, ale każdą jego słabostkę i oryginalność, jego ewolucję wewnętrzną, zdolności, wiedzę, sposoby myślenia i działania, gusty i wszystkie chyba czynne w jego duszy sprężyny. A obok tej świetnej charakterystyki głównego bohatera, pełna jest książka subtelnych, czasem niemiłosiernie realistycznych wizerunków wybitnych osobistości z tych 60 lat, które św. Filip spędził w Rzymie, także papieży.

Z dzieła księży Ponnelle i Bordet można mnóstwo się nauczyć — ks. Biskup Baudrillart nazywa je słusznie w przedmowie *une oevre magistrale* — ale na to trzeba je przeczytać, a to przeczytanie nie jest łatwem zadaniem. Nie można bowiem powiedzieć inaczej, tylko, że rzecz jest niestety za długa. Pojmuje się, żal było autorom każdej okruszyny zebranego z takim trudem materjału, ale nie możnaby się też dziwić, gdyby niejednemu czytelnikowi zabrakło odwagi wobec 600 zgórą ogromnych stron drobnego druku i 2000 przeszło przypisków. To jedna szkoda. A druga jest ta, że uwielbienie dla św. Filipa i jego dzieła trochę zamyka oczy autorom na zasługi innych, jemu współczesnych.

Specjalnie mało docenione jest dzieło Tow. Jezusowego i kilka razy napotyka się o niem sąd nieobjektywny.

To jednak są, wobec ogromnych zalet, drobniutkie usterki. Faktem jest, że dzieło to kreśli wspaniale wizerunek jednego z najciekawszych i najwybitniejszych pionierów katolickiego odrodzenia w w. XVI. Ktokolwiek będzie odtąd pisał, nietylko o św. Filipie i jego dziele, ale o jego czasach, bez tej znakomitej książki obejść się nie potrafi. Dodają jej uroku i ceny cztery pięknie wykonane rotograwurowe reprodukcje najdawniejszych portretów Świętego.

Ks. Jan Rostworowski.

J. Pfitzner: Besiedlungs- Verfassungs- und Vervaltungsgeschichte des Breslauer Bistumlandes. I. Teil: Bis zum Beginne der böhmischen Herrschaft. Reichenberg i. B., str. XVI+422.

Dzieje uposażenia biskupstwa wrocławskiego zasługują na baczną uwagę historyków, ponieważ część jego dóbr, tworząca zwarty kompleks terytorjalny koło Nissy i Otmuchowa na pograniczu ziemi opawskiej, usamodzielniła się zczasem jako niezależne państewko, podlegając narówni z innemi piastowskiemi księstewkami na Śląsku jedynie zwierzchniej władzy pana lennego t. j. króla czeskiego. Jest to właściwie jedyny wypadek samorodnego, organicznego powstania państewka duchownego na ziemiach polskich; suwerenne władztwo biskupa krakowskiego na Siewierzu doszło do skutku drogą kupna księstwa siewierskiego przez Zbigniewa Oleśnickiego, zaś patrimonjum biskupa warmińskiego wytworzyło się w zupełnie odmiennych warunkach w obrębie państwa krzyżackiego, poza głównym obszarem zasiedlenia polskiego. Tym poniekąd unikatem w historji majątku kościelnego w Polsce zajął się ostatnio uczony niemiecki, znawca dziejów Śląska, J. Pfitzner, opracowując ten temat gruntownie w omawianem dziele, którego tom pierwszy doprowadzony został do czasów przyłączenia krainy śląskiej do korony czeskiej. Autor przedstawia obszernie rozwój uposażenia biskupiego, a w szczególności kasztelanji otmuchowskiej i ziemi niskiej na tle stosunków między biskupami wrocławskimi a książętami śląskimi, śledzi stopniowy wzrost wolności i immunitetu kościelnego, ukoronowany po długich i zaciętych walkach kościelno-politycznych wielkim przywilejem z r. 1290. Przywilej ten, nadający posiadłościom biskupstwa wrocławskiego pełne prawo książęce, nie wyłączał ich z ram państwowości świeckiej, jednakże wskutek słabości rozdrobnionych księstewek śląskich stał się on faktycznie dla zwartego terytorjum dóbr biskupich koło Nissy podstawą do zupełnego wyemancypowania się z pod zwierzchnictwa książęcego. Następnie opisuje autor szczegółowo stosunki prawno-ustrojowe, administracyjne, gospodarcze, społeczne i narodowościowe w obrębie pań-

stwa biskupiego, szkoda tylko, że nie umie się ustrzec nacjonalistycznej tendencyjności. Również opanowanie literatury historycznej polskiej nie jest wystarczające, dlatego dla wyjaśnienia trudniejszych zagadnień szuka autor nieraz niepotrzebnie dalekich analogij w stosunkach niemieckich, zamiast znaleźć lepsze w bliższych etnograficznie i kulturalnie urządzeniach polskich. Mimo te błędy i usterki przedstawia się praca J. Pfitznera bardzo poważnie, to też polska opinja naukowa będzie oczekiwać z zainteresowaniem na ukazanie się dalszego tomu, chociaż dotyczyć on już będzie bardziej czeskiej, jak polskiej historji.

Dr. M. Niwiński.

Walerjan Charkiewicz: Z m i e r z c h U n j i k o ś c i e l n e j na Litwie i Białorusi. Słonim. Nakł. grupy ziemian. Skład główny w księg. św. Wojciecha w Wilnie. Str. 158.

Książka powstała z wielu artykułów, ogłaszanych w różnych pismach, w tej liczbie i w naszem. W sposób lekki, feljetonowy autor wywołuje epizody tragedji, jaka się rozegrała na ziemiach litewsko-białoruskich w pierwszej połowie ubiegłego stulecia, kiedy to garść zaprzańców religijnych i narodowych, z biskupem Siemaszką na czele, grzebali unję kościelną z Rzymem, gotując jednocześnie grunt pod rusyfikację kraju. Chociaż drukowana w Wilnie, książka p. Charkiewicza podaje Słonim jako miejsce wydania, finansowali ją bowiem ziemianie z tego zakątka kraju, zakątka gdzie się znajdują i słynne Żyrowice, niegdyś za Unji centrum życia katolickiego, a za Siemaszki kuźnia projektów wrogich Kościołowi i polskości. Książkę p. Charkiewicza gorąco polecamy wszystkim interesującym się historją Unji, naszym dorobkiem kulturalnym na kresach i pracującym nad odbudową zburzonej brutalnie przeszłości.

Ks. J. Urban.

Stan. Małachowski-Łempicki: W y k a z p o l s k i c h l ó ż wolnomularskich oraz ich członków w latach 1738—1821. Nakł. Polskiej Akademji Umiejętności. Kraków 1929. Str. 320.

Masonerja polska dotąd miała tylko jednego historyka: ks. Stan. Załęskiego T. J. Jego wszakże książka „O Masonji w Polsce" oparta na paru tylko archiwach, wówczas dostępnych, nie może być uważana za historję wolnomularstwa u nas kompletną i wyczerpującą. Przed p. Małachowskim-Łempickim stanęły otworem wszystkie archiwa z Archiwum akt dawnych w Warszawie na czele, więc rozporządzał materjałem obfitym i pierwszorzędnym. Nie napisał wszakże historji wolnomularstwa, lecz ograniczył się do mozolnego zestawienia lóż, jakie istniały na ziemiach polskich aż do czasu kasaty masonerji przez ces. Aleksandra I (podaje ich 316), i nazwisk masonów (których wyliczył aż 5748). Te dwa wy-

kazy poprzedzone zostały krótkim zarysem historji masonerji w Polsce i jej organizacji (str. 4—29). Publikacja ta odda niewątpliwie niejedną usługę historykom. Pod adresem autora możnaby skierować propozycję, by zajął się opracowaniem prawdziwej historji masonerji w Polsce.

Ks. J. Urbán.

Święty Franciszek z Assyżu. Zbiór odczytów wygłaszanych w r. 1927 staraniem Naukowego Instytutu Katolickiego i Towarzystwa Dante Alighieri w Krakowie. Spółki Wydawniczej. Str. XV+248.

Wszystkich odczytów wraz z przedmową G. K. Chestertona jest dziesięć.

Ks. Konstanty Michalski wyjaśnia zagadnienie wpływu św. Franciszka poprzez św. Bonawenturę i innych mistyków franciszkańskich na genezę *Boskiej Komedji* Dantego, podając jako wybitny rys akcji *Boskiej Komedji* potrójną drogę, wskazaną przez św. Bonawenturę: via purgativa, illuminativa, unitiva. Franciszek Bielak zajmuje się wyszukaniem motywów franciszkańskich w literaturze polskiej; przyczem zaznaczyć trzeba, że mimo, iż zakon franciszkański, jak to wykazuje znów inny odczyt Jana Dąbrowskiego: „Ruch franciszkański w odrodzeniu Polski w XIII i XIV w., za ostatnich Piastowiczów i Ludwika węgierskiego pierwsze grał skrzypce, między Assyżem a Wawelem ustawiczne zawiązywały się nici, wpływ motywów franciszkańskich na literaturę polską coraz wyraźniejszy zaczyna się dopiero ukazywać w wieku XIX i to za podnietą obcą, mianowicie Fryderyka Ozanama, profesora Sorbony, znanego powszechnie założyciela Konferencyj św. Wincentego. Oczywiście w wywodach Franciszka Bielaka możnaby się o wiele rzeczy sprzeczać, naprzykład czy ujmowanie psychiki świętych w powieściach p. Kossak-Szczuckiej jest „niewątpliwie wynikiem rozpowszechnienia się idej fanciszkańskich", czy „miłosne spojrzenie" na świat u Jana Wiktora ma jakiś związek z literaturą franciszkańską, czy postać Szmida w powieści Goetla „Z dnia na dzień" nosi na sobie rysy „franciszkańskiego stosunku do spraw świata", czy to raczej nie objaw wogóle odrodzenia religijnego w literaturze pięknej, opartego wprost na Ewangelji i osobistych doznaniach religijnych bez jakiegokolwiek kontaktu z poezją czy mistyką franciszkańską. Wpływologja wiele rzeczy objaśnia, ale naciągnięta prowadzi do zaciemnienia.

Mieczysław Brahmer w odczycie: „Św. Franciszek z Assyżu w współczesnej literaturze francuskiej" charakteryzuje próbę nawrotu poezji, powieści i sztuki scenicznej francuskiej do motywów religijnych wogóle; Władysław Folkierski mówi o naturyzmie Jana Jakóba Rousseau a pojmowaniu stosunku człowieka do przyrody św. Franciszka z Assyżu; zestawienie dość drastyczne, co nawet samego autora żenuje. Tadeusz Szydłowski zajmuje się architekturą kościołów franciszkańskich w Polsce, Roman Dybow-

ski książką Chestertona o św. Franciszku, wreszcie Stanisław Wędkiewicz we wspaniałym odczycie: „Ideały franciszkańskie a kryzys t. zw. Kultury zachodniej" wskazuje, jak nauka chrześcijańska, a w szczególności Kościoła katolickiego, w społeczeństwach europejskich, wstrząśniętych grą nienawistnych sobie nacjonalizmów, zżeranych materjalizmem u góry, a od dołu podgryzanych fermentem socjalnym, może przynieść pokój społeczny i międzynarodowy i wyzwolenie z materjalistycznego upodlenia.

Oczywiście 10 odczytów, choćby samych profesorów uniwersytetu, nie może nam dać całokształtu wpływów franciszkańskich na kulturę zachodnią, zostaje nieuwzględniona choćby cała historja ściśle kościelna; powyższe jednak odczyty przeciętnemu czytelnikowi olbrzymie rozszerzają horyzonty na znaczenie, jakie odegrał w dziejach zakon franciszkański.

Ks. J. Godaczewski.

O. Pius od imienia Marji: Żywot św. Pawła od Krzyża założyciela zgromadzenia OO. Pasjonistów. Przekład z trzeciego wydania włoskiego. Kraków 1929. 8°, str. 245. Nakładem OO. Pasjonistów z Przasnysza.

Do licznych zgromadzeń zakonnych, które po wojnie osiedliły się w Polsce, należą również członkowie Zgromadzenia św. Krzyża i Męki P. N. Jezusa Chrystusa, krótko OO. Pasjoniści, od łacińskiego słowa Passio czyli Męka. Dotychczas mają jedną siedzibę w Przasnyszu, diecezja płocka, dokąd przybyli w r. 1923 i osiedli w starożytnym klasztorze, zbudowanym jeszcze przez Pawła Kostkę, rodzonego brata św. Stanisława. Musieli jednak i klasztor i należący do niego kościół w stylu gotycko-nadwiślańskim odbudować, gdyż uległy bardzo wielkiemu zniszczeniu w czasie wojny światowej.

Żeby zaznajomić katolickie społeczeństwo w Polsce — dla którego chcą pracować i modlić się — z powstaniem swojego zakonu, jego celami, a poczęści i z historją, wydali świeżo dość obszerny życiorys swojego założyciela, św. Pawła od Krzyża. Jest to przekład z włoskiego, dokonany przez K. Jełowickiego. Jeślibyśmy zapytali o główne cechy niniejszej biografji, to trzeba powiedzieć, że O. Pius od im. Marji pisał ją z wielką prostotą, czasami z naiwnością, ale miłą, z serdecznem przywiązaniem do św. Patrjarchy-fundatora i z szczerą chęcią zbudowania czytelnika.

Ks. J. Andrasz.

Stefan S. Komornicki: Muzeum książąt Czartoryskich w Krakowie. Str. VIII+72. Kraków 1929. V-y tom wydawnictwa: Muzea Polskie, pod redakcją dra Feliksa Kopery. Nakładem drukarni Narodowej.

Książka, która winna znaleźć się w rękach każdego, komu kultura wogóle, a przedewszystkiem nasza, ojczysta leży na sercu.

Wspomniawszy we wstępie, mimochodem, o tych zbiorach Puławskich, które dziś mają dla nas wartość li tylko pamiątkowo-historyczną sentymentalizmu w epoce „Nowej Heloizy" i „Malwiny", pan Stefan Komornicki podaje 312 opisów i reprodukcji najcenniejszych okazów artystycznych, wybranych z pośród 5.600 przedmiotów z jakich składa się całość Muzeum.

A posiada ono takie perły, jak, w dziale malarstwa: portret Cecylji Gallerani Leonarda da Vinci Nr. 55; portret młodej osoby Rafaela Nr. 56; krajobraz Rembrandta Nr. 76; szkic do portretu damy Van Dycka Nr. 73; minjatury: Goyi Nr. 166 i Isabey'a Nr. 168. W działach emaljerstwa i ceramiki: portret Leonarda Limosina Nr. 229; patera Bernarda Palissy Nr. 279; misa włoska *mezza maiolica* Nr. 269. W dziale tkactwa: dywan perski Nr. 176 i dwa wschodnie *Polenteppiche* Nr. 177, 180.

Wymieniłem tylko niektóre z najcenniejszych, ale i między resztą, podanych w książce, zabytków jest jeszcze wiele takich, które mogłyby być chlubą każdej pierwszorzędnej kolekcji.

Autor opanował najzupełniej swój przedmiot i orjentuje się w nim z całą swobodą. Zdradzając wyjątkową erudycję, daleki od tego, by na niej jakikolwiek położyć nacisk, w niewielu słowach zamyka niezwykle bogate wskazówki. Zaopatruje każdy z poszczególnych działów w odpowiedni wstęp, który służyć może za wzór, jak należy jasno i z precyzją, gruntownie i umiejętnie wprowadzać w historję sztuki nieobytego z nią należycie, czytelnika. W ten sposób szerokim kołom uprzystępnia głębsze poznanie skarbów najstarszego i najbogatszego z Polskich muzeów, czem społeczeństwu naszemu oddaje nieocenioną przysługę.

Pracę swą nazywa pan Komornicki, we wstępie: „skromnem upamiętnieniem pięćdziesięciolecia" Muzeum Książąt Czartoryskich w Krakowie: zastrzec należy, iż nie można było uczcić tej chwili w sposób odpowiedniejszy i ująć w bardziej szlachetną formę.

Do podniesienia wartości książki przyczynia się w znacznej mierze strona zewnętrzna, mogąca iść o lepsze z publikacjami zagranicznemi tego rodzaju. Przyzwyczaiła nas, zresztą, do tego, od lat pięciu „Drukarnia Narodowa", wydając w tak strojnej szacie miesięcznik: „Sztuki Piękne".

Ks. Józef Tuszowski.

Wiktor Piotrowicz: Z zagadnień wyznaniowych w Polsce. Wilno. 1929. Bibljoteka „Źródeł mocy". Str. 210.

Z zagadnieniami wyznaniowemi autor miał sposobność dobrze zaznajomić się, pozostając na stanowiskach urzędowych w Ministerstwie Wyznań i w Województwie wileńskiem. Zajmują go przeważnie zagadnienia wyznaniowe na naszych kresach wschodnich, poruszał je w szeregu artykułów w rozmaitych dzienni-

kach i te artykuły właśnie zebrał w jedną książkę. Stąd niektóre jej rozdziały straciły już swą aktualność. Autor te ważne zagadnienia omawia nie ze stanowiska wyznaniowego, np. katolickiego, lecz pod kątem widzenia państwowym. Katolicyzmem zajmuje się niewiele, uważając stosunek z nim za unormowany już przez konkordat. Pewne rozdziały, dotyczące drobnych grup wyznaniowych, jak karaimów, muzułmanów, staroobrzędowców, mają znaczenie jedynie informacji o tych ciekawych zabytkach naszej historji. Natomiast wielce aktualną jest sprawa prawosławia, któremu też najwięcej uwagi poświęca. Odnosi się do niego życzliwie, pragnie jak najszybszego uregulowania jego położenia prawnego, nawiązania ustroju cerkwi w Polsce do form, jakie posiadała za dawnej Rzeczypospolitej, przywrócenia pewnych jej osobliwości lokalnych i t. d. Dla idei Unji kościelnej na kresach autor nie ma dostatecznego zrozumienia, ostro krytykuje dotychczasowe próby, nie umie wszakże sformułować ściśle swoich zapatrywań. Może to zagadnienie nastręczyłoby najwięcej materji do dyskusji, która zresztą toczy się dotąd żywo na łamach dzienników wileńskich. Książka p. Piotrowicza, mimo swej nieco zbyt publicystycznej lekkości i powierzchowności, jest pożyteczną z tego względu, że porusza problemy, należące do najważniejszych w życiu politycznem odrodzonej Polski i Kościoła.

Ks. J. Urban.

Ks. Dr. A. Niemancewicz: Bolszewizm a wychowanie. Lublin. 1929 roku. Nakład autora (skład główny u Gebethnera i Wolffa). Str. 114.

Jak wynika z tytułu i podziału niniejszej pracy, autor ma zamiar oświetlić bardziej zasadniczo stosunek bolszewizmu do wychowania, ponieważ drugą część książki poświęcił wykładowi chrześcijańskiej nauki o wychowaniu młodzieży, trzecią zaś zestawieniu jej z prawodawstwem bolszewickiem. Jak przedstawia się to prawodawstwo w obecnej Rosji sowieckiej, wyjaśnia nam pierwsza, najobszerniejsza i zarazem najciekawsza część, która, naszem zdaniem, stanowi właściwą wartość książki. Autor bowiem nietylko opiera się na dokumentach prawa, literatury i prasy bolszewickiej, ale miał sposobność zapoznać się na miejscu z istotnym stanem rzeczy; aż do roku 1925 pracował bowiem w Rosji nad wychowaniem młodzieży i uwięziony za tę działalność przez bolszewików, został dopiero drogą wymiany wybawiony przez Rząd polski. W części tej rozwija autor naprzód doktrynę bolszewicką o religji i moralności, oraz pokazuje, jak wyglądało stopniowe wprowadzanie jej w życie. Następnie przytacza szczegóły tamtejszego prawodawstwa w zakresie moralnego i religijnego wychowania młodzieży, od r. 1917 do początku 1928 roku, ilustrując je licznemi uzupełnieniami, wyjętemi z pism i literatury

bolszewickiej. Zestawienie to, przejrzyste i zwięzłe, poparte wskazaniem odpowiednich źródeł, a tu i ówdzie faktami, jest rzeczywiście pouczające, tak, że dla niego samego warto zapoznać się bliżej z tą książką. (Cena 2 zł.).

Ks. St. Podoleński.

Pamiętnik Kursu Duszpasterskiego, urządzonego w Krakowie w dniach od 5 do 9 listopada 1928 r. Kraków, nakł. Związku kapłanów „Unitas" w Krakowie. Str. XX+371.

Książka powyższa jest zbiorem, *in extenso,* wszystkich referatów, wygłoszonych na Kursie Duszpasterskim, odbytym przy wielkiej liczbie uczestników z całej Polski w Krakowie, w listopadzie 1928 r. Kursy duszpasterskie mają duże znaczenie dla kapłana, ponieważ dają mu w krótkim czasie znajomość potrzeb i prądów współczesnych, oraz tych środków i metod, które na podstawie doświadczenia okazały się najszczęśliwszemi. Zapoznanie się z niemi, jak w zwięzłej ale głęboko ujętej przedmowie do niniejszej książki pisze wydawca jej, ks. Dr. St. Domasik, zabezpiecza duszpasterza przed popadnięciem w rutynę i szablon, przed stosowaniem środków przestarzałych, nieodpowiednich dla dzisiejszych czasów i ludzi.

Materjał Kursu krakowskiego rozłożono na dwie grupy: jedną, dotyczącą pracy parafjalnej, drugą, obejmującą zagadnienia natury moralnej, obyczajowej. Pierwsza grupa zawierała następujące tematy: o kontakcie z parafjanami, sposobach ożywienia praktyk religijnych w parafji, o duszpasterstwie stanowem wśród mężczyzn, kobiet i młodzieży, o bractwach, o domach, bibljotekach i czytelniach parafjalnych, o społecznej pracy duszpasterza, o organizacji parafji w Niemczech, o apostolstwie świeckich. Referaty drugiej grupy skupiły się koło zagadnień moralności płciowej, w związku z małżeństwem i wychowaniem: o sposobie poruszania kwestyj płciowych przy nauczaniu religji w szkole, o wychowaniu młodzieży do życia małżeńskiego, o egzaminie przedślubnym nowożeńców, o prawie moralnem w życiu małżeńskiem, o traktowaniu przy konfesjonale sprawy nadużyć małżeńskich, o poruszaniu moralności płciowej na ambonie, o zwalczaniu niemoralności w modzie, widowiskach i druku, o przeciwdziałaniu moralności niezależnej.

Jak widać z powyższego wykazu, na Kursie poruszono same problemy aktualne, a niektóre wogóle trudne i rzadko dotykane. Zbiór ich będzie więc bezwątpienia bardzo pożądany dla księży, oddających się pracy duszpasterskiej i wychowawczej, i należy się prawdziwa wdzięczność krakowskiej „Unitas" za jego wydanie. (Cena książki 6 zł. dla uczestników Kursu, a 7 zł. dla innych, z dołączeniem 60 gr. na porto, o ile sprowadzą ją od Wydawców Kraków ul. Poselska 7; w handlu księgarskim 8 zł.)

Ks. St. Podoleński.

Ks. Bp. Karol Józef Fischer: Kazania i przemówienia przygodne i różne, t. I, ogólnego zbioru kazań, t. V. str. 476. Nakł. autora, Kraków, 1929.

Latami całemi zbierał się materjał w tece dostojnego Autora, nim doczekał się publikacji w tomie pierwszym obecnego wydania. Materjał nader obfity, podzielony na 7 działów. Pierwszy dział: kapłaństwo i hierarchja kościelna, obejmuje kazania o święceniach kapłańskich, na prymicje, jubileusze, konsekracje i intronizacje biskupie. Cały cykl poświęcony jest Papieżowi Piusowi XI. z okazji jego wyboru i koronacji. Drugi dział: kościół i dzwony, obejmuje kazania przy poświęceniu kamieni węgielnych pod domy boże, samych kościołów, oraz dzwonów. Dział III: to przemówienia z okazji kanonicznej wizytacji biskupiej; dział IV: zakony żeńskie, zawiera mowy na obłóczyny i profesje zakonnic. Dział V: przemowy ślubne przy błogosławieństwie związków małżeńskich. Dział VI: niektóre sprawy i obchody narodowe, mieści w sobie szereg przemówień przy otwarciu instytucyj dobroczynnych i naukowych, wreszcie dział VII: mowy pogrzebowe.

Możnaby wślad za temi mowami czy kazaniami pójść w tropy dostojnego Autora i nakreślić charakterystykę jego dobrego i gorącego serca, które tak szeroki zakreśliło sobie zasięg działania i dla każdej sprawy miało ciepłe słowo zachęty i podpory. Możnaby na podstawie tej peregrynacji za Autorem nakreślić już sylwetkę jego życia, choćby się go już skądinąd nie znało. Ale homiletów obchodzą przedewszystkiem same jego kazania opracowane pieczołowicie, z uwydatnieniem wszystkich drobnych rysów danej uroczystości, a tak jasno i poprostu, iż rzeczywiście sprawda się na nich powiedzenie św. Augustyna: *Optimus docendi modus est, quo fit, ut qui audit verum audiat et quod audit intelligat.*

Ks. J. Godaczewski.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Nakładem Polskiej Akademji Umiejętności, Kraków:

Przegląd Historji Sztuki. Rocznik I, zeszyt 1—2.
Regulamin P. A. U. Str. 38.
Bulletin international de l'Academie... (Classe de Philologie, d'Histoire et de Philosophie. Janvier—Mars 1929; Classe des Sciences mathematiques, Juin 1929; Serie—Botanique Octobre—Decembre 1928; Serie—Zoologie Octobre—Decembre 1928).
Sprawozdanie Komisji fizjograficznej. Tom 36.
Jan Otrębski: Z badań nad infiksem nosowym. Str. 68.
Tad. Seweryn: Pokucka majolika ludowa. Str. 106.
Ludomir Sedlaczek: Dregowiczanie. Studjum antropologiczne. Str. 53.
Konrad Górski: Grzegorz Paweł z Brzezin. Monografja z dziejów polskiej literatury arjańskiej XVI w. Str. 296.

Nakładem różnych.

Ks. Dr. M. Sieniatycki: Zarys dogmatyki katolickiej. Tom II. O Bogu Stworzycielu i Odkupicielu. Kraków 1929, nakł. autora. Str. 368.

Podręcznik bibljotekarski dla kierowników bibljotek wojskowych. Warszawa 1929, Wojskowy Instytut naukowo-wydawniczy. Str. X + 321 + XX.

Stan. Mackiewicz: Dziś i jutro (Broszura polityczna). Nakł. „Słowa", Wilno, str. 205.

Dr. Linus Bopp: Liturgische Erziehung. Herder, Fryburg, str. 124.

Roczniki Towarzystwa Naukowego w Toruniu. Rocznik 35. Toruń, 1929, str. 461 z licznemi tablicami.

Biuletyny Spółdzielczego Instytutu naukowego. Rok II zesz. 2. Warszawa 1929.

Ks. Ant. Około-Kułak: Szkice misyjno-wschodnie. Warszawa, nakł. Towarzystwa misyjnego, 1929, str. 43.

A. Weryha: Walka z masonerją. Warszawa, Katolickie Towarzystwo Wydawnicze, ul. Podwale 4, str. 40.

O. Atanazy Fic, Dominikanin: Ofiara Baranka paschalnego na Górze Garizim. Odbitka z „Ateneum Kapłańskiego", Włocławek 1929, str. 8.

Tenże: Za Jordan i do Arabji skalistej. Odbitka z „Ateneum Kapłańskiego", Włocławek 1929, str. 70.

Wrotny-Klimowiczowa: Kraina pustego grobu. Warszawa, nakład Domu pracy katolickiej, 1929, str. 132.

Aleksander Kossowski: Arjanie polscy w Lublinie a sprawa Jana Kokota. Odb. z „Pamiętnika Lubelskiego", str. 17.

Helena de Franqueville d'Abancourt: Grafika książkowa Józefa Mehoffera. Kraków. nakł. Drukarni Uniw. Jag., str. 64.

Wojsko na Powszechnej Wystawie Krajowej w Poznaniu. Tekst i liczne artystyczne reprodukcje. Główna Księgarnia Wojskowa str. 56 in 4°.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Wrześniowe zjazdy w Poznaniu. Decydująca faza w rozwoju „Akcji katolickiej" w Polsce. — Po jubileuszu emancypacji katolików angielskich

Poznań, już dzięki samej Powszechnej Wystawie Krajowej będący wielką w tym roku atrakcją, nadawał się znakomicie na przeróżne zjazdy krajowe i międzynarodowe. Odbyła się też ich wielka ilość: zjazdów gospodarczych, handlowych, naukowych, sportowych. Pierwsza połowa września była czasem kilku zjazdów o religijnem i kościelnem znaczeniu. Mianowicie odbyły się w tym czasie: ogólno-polski Zjazd Katolickich Związków Polek, zjazd Zjednoczenia Młodzieży polskiej, pierwszy polski Kongres Muzyczno-liturgiczny; ponadto miał miejsce doroczny, dziesiąty zrzędu Zjazd katolicki archidiecezji gnieźnieńsko-poznańskiej; wreszcie w tymże czasie obradowała w Poznaniu Komisja Prawna Episkopatu Polski.

Nie będziemy streszczać przebiegu tych zjazdów ani przyjętych na nich rezolucyj, podanych przez dzienniki. W szczególności Kongres liturgiczno-muzyczny, jako pierwsze w Polsce tego rodzaju zebranie, zasługuje na obszerniejsze omówienie, lecz znajdzie się ono na łamach naszego pisma przy innej sposobności. W tej chwili chcemy zanotować tylko uchwały Zjazdu Katolickich Polek i Zjednoczenia Młodzieży, ważne dla rozwoju tak zwanej Akcji katolickiej w naszym kraju.

W sprawie Akcji katolickiej, tak gorąco polecanej przez obecnego Ojca św. Piusa XI, panuje — mimo niejednokrotnych urzędowych wyjaśnień i istnienia nawet specjalnych podręczników — jeszcze niemało niejasności. Naprzykład: czy organizację tę pojmować jako zrzeszenie świeckiej elity katolicyzmu, a zatem stosunkowo nieliczne, co wynikałoby

z pojęcia Akcji jako udziału świeckich w pracy apostolskiej Kościoła, czy też wciągać do niej masy bodajby umiejących tylko pacierz codzienny, a zatem mogących stanowić nietyle podmiot, co przedmiot apostolstwa katolickiego? Czy pojmować ją jako organizację nową obok dotychczas istniejących przeróżnych związków katolickich, wyznaczając jej zatem odrębne, przez tamte związki nieuwzględniane zadania, czy uważać może Akcję katolicką za organizację nadrzędną, mającą kierować działalnością związków innych, a może za proste zestawienie i zrzeszenie dotychczasowych organizacyj, za Związek związków? Czy ustrój akcji katolickiej oprzeć na zasadzie wszechstanowości, do tych samych kół wciągając wiernych różnej płci, wieku, wykształcenia, czy też przeciwnie różniczkować koła nie według zasady terytorjalnej — przynależności do jednej parafji, ale według płci, zawodu i t. d.? Wobec tych niejasności nic dziwnego, że organizowanie Akcji katolickiej, nazywanej u nas Ligą katolicką, nie bardzo się posuwało naprzód. Zwłaszcza, gdy pojmowano Ligę jako organizację nową, nie znajdowano do niej dość świeżych sił, zwłaszcza z pośród inteligencji; w parafjach wiejskich kończyło się niekiedy na zapisaniu członków, jak do bractwa, i na wybraniu prezydjum.

Otóż ustalanie się pojęć o istocie Akcji katolickiej posunęło się naprzód w Poznaniu dzięki wejściu do niej, jako części składowych, dwóch potężnych związków. Najpierw zgłosiło swój akces Zjednoczenie Związków młodzieży, szeregujące w sobie około 120 tysięcy młodzieży obojga płci; następnie istniejące w większych ośrodkach kraju Związki katolickie Polek, zjednoczywszy się w organizację jedną, przystąpiły także do Akcji. W ten sposób przechyliła się szala — jak się zdaje — na stronę pojęcia Akcji katolickiej jako Związku związków, nie zaś nowego współrzędnego do dawnych stowarzyszenia. Pozostanię więc tylko wciągnąć do tej unji inne istniejące a nie przyłączone jeszcze organizacje, względnie utworzyć organizacje nowe z elementów katolickich dotąd nie zrzeszonych i te do Akcji katolickiej wcielić. Stąd zaś wyniknie, że poszczególne wchodzące w skład Akcji stowarzyszenia pozostaną przy swoich celach i środkach, centralny zaś zarząd Akcji, składający się chyba z delegatów poszczególnych stowarzyszeń, otrzyma charakter jedynie organu pewnej koordynacji działalności różnych katolickich zrzeszeń i prowadzenia ich ewidencji przy zupełnej autonomji wewnętrznego zarządu samych stowarzyszeń. Taki ustrój posiada *Azione Cattolica* we Włoszech, jak to czytelnikom naszego pisma wiadomo z artykułu p. M. Niwińskiego w zeszycie majowym b. r. Wobec tego spodziewać się należy także reorganizacji tych „lig", które w Polsce

powstały na innej podstawie, mianowicie parafjalnej a wszechstanowej. Dlatego uchwały poznańskie uznać można za decydującą fazę w rozwoju w Polsce Akcji katolickiej, od której tyle sobie obiecuje Pius XI. Dalszą pracę nad jej organizacją Najprzew. księża Biskupi na swojem zebraniu „komisji prawnej" powierzyli doświadczonemu organizatorowi i działaczowi społecznemu, ks. Infułatowi St. Adamskiemu z Poznania, co jest niemałym zadatkiem powodzenia dzieła.

Jeżeli organizacja Akcji katolickiej pójdzie w takim kierunku, jak dopiero co zakreśliliśmy, poszczególne stowarzyszenia pozostaną tem, czem były dotąd, będą jednak musiały, wchodząc w skład Akcji katolickiej, przejąć się głębiej temi wskazaniami, które Akcji katolickiej daje Stolica Święta. Zostały one w zastosowaniu do naszych warunków przypomniane w niedawnym liście Sekretarza Stanu, kard. Gasparri'ego do J. Em. ks. Kardynała Prymasa Polski. Dają się wszystkie te wskazania sprowadzić do trzech punktów. Po pierwsze, Akcja katolicka nie powinna mieć żadnego charakteru politycznego, ani wiązać się z jakiemś jednem stronnictwem, chociażby katolickiem ono było, lub jakiejś partji się wysługiwać. Po drugie, ma być pojęta jako współudział ludzi świeckich w apostolskiej misji Kościoła, to jest dążyć do ukształtowania nietylko prywatnego, ale i publicznego życia według zasad wiary katolickiej, inaczej mówiąc do zapewnienia panowania Chrystusa-Króla w rodzinach, instytucjach publicznych, prawodawstwie, polityce. Po trzecie, do tych celów Akcja przygotowuje swych członków przez gruntowne kształcenie ich umysłów w zasadach religji objawionej, zwłaszcza zasad, które mają być urzeczywistnione w życiu publicznem i przez wyrabianie środkami nadprzyrodzonemi ich charakterów. Otóż na ten zwłaszcza ostatni punkt, w szczególności na kształcenie się w zasadach katolickich, należy położyć wielki nacisk. Stowarzyszenia, w skład Akcji katolickiej wchodzące, nie odpowiedziałyby swemu charakterowi członków Akcji, gdyby ograniczały się jedne do pielęgnowania tylko dewocyjnych praktyk, drugie do akcji zewnętrznej, społecznej czy dobroczynnej, inne jeszcze do organizowania rozrywek i sportów. Wszystkie one, z tytułu swej przynależności do Akcji katolickiej, o b o w i ą z a n e s ą s t a ć s i ę t a k ż e s z k o ł ą d l a s w y c h c z ł o n k ó w. Szkołą prawdziwie obywatelską w duchu katolickim. Bez tego „apostolska" ich misja nie da się urzeczywistnić; zamiast niej zrodzi się powierzchowna dewocja, bez wpływu na bieg publicznego życia; nie wytworzą się zastępy obywateli, umiejących na wszystko patrzeć po Bożemu i po katolicku, albo jeśli gdzie zerwie się kto do czynu, to narażo-

nym będzie na pomyłki, może na „gorliwość nie według roztropności", na przesadę kompromitującą sprawę katolicka.

A trzeba tu wyznać, że katolickiej szkoły w naszych organizacjach jest za mało. Sprawdzianem może tu być nasze piśmiennictwo religijne. Podczas gdy popyt na książki, służące prywatnej dewocji, jest niemal zadawalniający, i stąd i produkcja takich dzieł (przeważnie, niestety, przekładów) jest znaczna, to dzieła traktujące o dogmatach Kościoła, a tem bardziej o zasadach katolickich w zakresie moralności publicznej, socjologji, życia państwowego i t. p. mało są poszukiwane, a wydane — skazane są na próchnienie na półkach księgarskich. Stąd nic dziwnego, że chociaż stowarzyszeń katolickich posiadamy, Bogu dzięki, dosyć, katolików jednak prawdziwie oświeconych, o zasadach jasnych i stałych, nawet wśród „pobożnej" części inteligencji naszej jest stanowczo za mało. I to jest jednem z głównych niedomagań naszego społeczeństwa i jedną z poważnych trosk o przyszłość naszego katolicyzmu. Usunięcie tego niedomagania położyłbym w naszej dobie na czele najpilniejszych zadań wszystkich stowarzyszeń, związków, organizacyj. Uważałbym zatem to samo za zadanie bezpośrednie Akcji katolickiej.

W Anglji i Islandji obchodzono w tym roku 100-letni jubileusz emancypacji politycznej katolików. 13 kwietnia 1829 r. parlament angielski, uchwalając wniesiony przez Wellingtona bill, uchylił bezprawie, jakiemu katolicy w zjednoczonych królestwach Anglji, Szkocji i Irlandji ulegali od czasów Reformacji. Wiadomo, że byli oni pozbawieni najelementarniejszych praw obywatelskich, nietylko prawa głosowania i wybieralności do ciał prawodawczych i samorządowych, ale nawet prawa utrzymywania własnych szkół, prawa własności do ziemi, zmuszeni do opłacania dziesięcin na rzecz wyznania angielskiego, nękani karami za wykonywanie kultu katolickiego, uznanego urzędowo za „zabobon", szykanowani do tego stopnia, że nie wolno im było posiadać konia wartości przechodzącej pewną określoną kwotę. Blisko 300-letni okres prześladowania katolicyzmu zrodził setki męczenników, a dziesiątki tysięcy wyznawców i wygnańców z ojczyzny. Sto lat temu poczucie sprawiedliwości odniosło w sumieniu społeczeństwa angielskiego zwycięstwo nad protestanckim fanatyzmem. Katolicyzm odżył, odetchnął wolno i na nowo rozwijać się począł. Nie mówiąc o Irlandji, gdzie nigdy nie zdołano zniszczyć hierarchji katolickiej, w Anglji i Szkocji, gdzie przed 100 laty istniały tylko niewielkie grupy katolików, rządzonych przez paru wikarjuszów apostolskich, powstała za Piusa IX i następnych papieży prawidłowa hierarchja kościelna, licząca obecnie już

pięć prowincyj kościelnych z 22 biskupstwami i około 3 miljonami wiernych. Irlandja posiada 28 biskupstw i wiernych około 4 miljonów. W r. 1908 w stolicy Anglji mógł się już odbyć międzynarodowy Kongres Eucharystyczny. Słusznie więc dzień wyzwolenia z pod ucisku legalnego uważają katolicy angielscy jakby za narodzenie się powtórne katolicyzmu w ich kraju.

Obchody jubileuszowe odbywały się w różnych miastach w ciągu lata, punkt kulminacyjny jednak osiągnęły w ostatnim miesiącu: 8 września w Liwerpoolu, gdzie zebrało się do 400 tysięcy uczestników i w Londynie, gdzie od 13 do 16 września odbywał się w Albert hall kongres katolicki, połączony z wspaniałą „cichą" procesją i uroczystościami kościelnemi. Procesja z 20 tysiącami mężczyzn wyruszyła z katedry w Southwark (południowa dzielnica Londynu), do katedry w Westminster (w północnej dzielnicy), krocząc w milczeniu temiż ulicami i przez most na Tamizie, które jeszcze w r. 1780 były świadkami poważnych rozruchów pod wodzą lorda Gordona przeciwko katolikom i parlamentowi, który zamierzał uchwalić na ich korzyść pewne ustępstwa.

Jubileusz był dla katolików angielskich nietylko radosnem wspomnieniem wyzwolenia. Dostarczył on sposobności do policzenia własnych sił, do zwrócenia na siebie uwagi całego kraju, zmuszonego liczyć się z katolicyzmem jako wielce poważnym czynnikiem w życiu narodu. Mimo billu z r. 1829 i późniejszych jego uzupełnień, katolicy dotąd nie we wszystkich prawach są zrównani z resztą współobywateli. Najbardziej odczuwają oni niesprawiedliwość w dziedzinie szkolnictwa, podczas bowiem gdy inne szkoły prywatne są bogato subwencjonowane przez państwo i samorządy, szkolnictwo katolickie, obejmujące samych szkół początkowych ponad 1100 z 10 tysiącami nauczycieli i 360 tysiącami dzieci, pozbawione jest takich zasiłków. W ten sposób katolicy obciążeni są podwójnym ciężarem szkolnym, płacąc jednocześnie podatek na szkoły państwowe, z których nie korzystają, i utrzymując swoje własne szkolnictwo. Wywalczenie sobie sprawiedliwości pod tym względem stawia katolicyzm angielski na czoło aktualnych swych wymagań i jest dobrej myśli, że sprawiedliwość ta będzie mu wymierzona.

Na pochwałę katolików angielskich trzeba to powiedzieć, że stanowią oni jeden z najbardziej uświadomionych swoich zasad i praw i najbardziej solidarnych odłamów Kościoła katolickiego. Zwłaszcza konwertyci z anglikanizmu, których przeciętna roczna cyfra dosięga 12 tysięcy,

w tem wielu byłych duchownych anglikańskich, stanowią żywioł zewszechmiar dodatni, światły i konsekwentny. Dlatego Kościół w Anglji, rozpoczynając drugie stulecie swojej wolnej egzystencji, patrzy z wielką otuchą w przyszłość.

Ks. Jan Urban T. J.

Sprawa małżeństwa i rodziny na ostatnim Kongresie katolików niemieckich.

W malowniczem mieście Fryburgu w Breisgau odbył się w ostatnich dniach sierpnia b. r. 68-my zrzędu ogólnokrajowy Kongres katolików niemieckich. Biuro lokalnego Komitetu przygotowawczego — na którego czele stał znany wydawca, Dr. H. Herder — urzędowało pracowicie nad rozwiązaniem tysięcznych trudności, złączonych z tego rodzaju uroczystościami. Trzeba było zapewnić miejsce przedstawicielom hierarchji kościelnej, rządu Rzeszy i niektórych państw związkowych, gościom zagranicznym. Dla pomieszczenia ogólnych zebrań publicznych wystawioną halę na 7.000 miejsc siedzących i nie mniej chyba stojących; sekcje Kongresu obradowały w różnych salach miasta.

Tematem Zjazdu była k w e s t j a m a ł ż e ń s t w a i r o d z i n y, jako jedno z zagadnień najbardziej dziś aktualnych, zwłaszcza w Niemczech powojennych. Wybierając ten temat, dano dowód — jak powiedział na zebraniu powitalnem prezydent państwa Baden Dr. Schmitt — „że katolicyzm trzyma rękę na pulsie życia współczesnego, razem z niem czuje i działa".

Uroczyste otwarcie Kongresu nastąpiło dnia 28 sierpnia, w obecności nuncjusza papieskiego, E. Pacelli. Wypełniły je przemówienia powitalne, oraz część muzykalno-wokalna, której sensacją był chór mieszany, złożony z 800 osób. Następnego dnia rano odprawiona została uroczysta, pontyfikalna msza święta, po południu zaś, w hali kongresowej, odbyło się pierwsze zabranie publiczne. Na trybunę wstąpił, witany oklaskami, były kanclerz Rzeszy, Dr. Wilhelm Marx — obrany prezesem Zjazdu — i nakreślił program obrad. Wyraziwszy radość z powodu jubileuszu Ojca św., rozwiązania kwestji rzymskiej, zawarcia konkordatu z Prusami, przeszedł do właściwego tematu. Mowa tego wybitnego męża stanu zasługuje, ze względu na jej treść i pewne akcenty, na obszerniejsze streszczenie.

Kongresy katolickie, mówił Marx, zajmują się stale ważniejszemi zagadnieniami bieżącemi, do takich zaś należy dziś rodzina. „Widzimy bowiem, że małżeństwo, podstawa rodziny, wystawione jest na największe niebezpieczeństwo, tem samem zaś zachwiane są w swych fundamentach rodzina, a z nią społeczeństwo". Roz-

wody rosną w liczbę, a niestety wielu domaga się jeszcze ich ułatwienia, niepomni, że „rodzina stanowi przecież dla państwa rękojmię jego istnienia i rozwoju". Katolicy muszą więc zabrać głos w tej sprawie, „jeśli bowiem chrześcijaństwo nie przyniesie ratunku i ocalenia, to narody pójdą ku niechybnej zgubie". Drugiem nieodłącznem od poprzedniego zagadnieniem, jest sprawa dzieci i ich wychowania. Stosunki szkolne w Niemczech ułożyły się obecnie pod względem religijnym lepiej, „ale chrześcijańscy rodzice nie powinni się oddawać niebezpiecznemu złudzeniu. Stoimy ciągle jeszcze w ogniu. Kwestję szkolną możemy tak długo uważać za załatwioną pomyślnie, jak długo katolicy jednomyślnie i stanowczo bronić będą chrześcijańskiego w niej wychowania". Ostatnie debaty w sprawie konkordatu z Prusami dowiodły, że w tej mierze panują u wielu błędne przekonania. „Wbrew nim musimy stać z całą stanowczością przy bronionych przez nas zawsze zasadach: Kościół katolicki nie sługą państwa! Owszem, w sprawach duchowych i moralnych jest czynnikiem potężniejszym, niż państwo, jak to przyznał nawet Mussolini. Zakładamy najsilniejszy protest przeciw usiłowaniom, któreby chciały poniżyć Kościół do roli czysto prywatnej instytucji. Podnosimy również niemniej silny protest przeciw twierdzeniu, jakoby szkoła była sprawą wyłącznie państwową, nie mającą żadnej styczności z Kościołem. Każdy rząd, który chciałby spróbować przywłaszczyć sobie monopol państwowy w szkole, zęby sobie połamie!"

Nie wystarczy jednak zabezpieczenie wychowania w szkole— ciągnął dalej Marx — poza nią grożą bowiem dziś młodzieży rozliczne inne niebezpieczeństwa: ze strony socjalizmu, pornografji, kina, niewłaściwego uświadamiania. Są to wszystko sprawy, które obchodzą nietylko katolickie społeczeństwo. Niebezpieczeństwo wspomniane zagraża „chrześcijaństwu wogóle, chrześcijańskiej wierze i chrześcijańskiej moralności. Obrona przed niemi może mieć widoki powodzenia jedynie pod tym warunkiem, że odłoży się na bok wszelkie waśnie wyznaniowe i że chrześcijańscy rodzice, bez względu na wyznanie, do jakiego należą, podadzą sobie ręce, by wspólnemi siłami wznieść mur obronny dokoła wiary i duszy swych dzieci".

Jasno i silnie postawił więc rzecz b. kanclerz państwa, a niemilknące oklaski świadczyły, że trafił do przekonania słuchaczy.

Referaty następnych mowców były, można powiedzieć, rozprowadzeniem nakreślonego tu planu. Dwa z nich poświęcono wyjaśnieniu znaczenia małżeństwa i rodziny. O sakramentalnym charakterze małżeństwa i nadprzyrodzonej godności rodziny chrześcijańskiej przemawiał Dr. K. Adam, profesor uniwersytetu w Tübingen. Wykład jego był zręcznem ujęciem całości nauki katolickiej w tej materji, oraz płynących stąd wniosków o obowiązkach małżonków względem sie-

bie i dzieci. Uzupełnieniem jego był referat pani M. Hessberger o znaczeniu chrześcijańskiego małżeństwa i rodziny dla jednostek, społeczeństw i ludzkości.

Po wyjaśnieniu istoty i celów małżeństwa i rodziny, wypadało przejść do zbadania stanu tych instytucyj w chwili obecnej, do wskazania grożących im niebezpieczeństw i obmyślenia środków ochronnych. Niebezpieczeństwa te, których smutne następstwa tak głęboko odbiły się dziś na rodzinie niemieckiej, płyną z dwóch różnych poglądów na świat: skrajnego indywidualizmu i komunizmu. Rozwinięciem tej myśli zajął się Dr. J. Schnippenkötter. Prąd indywidualistyczny idzie dziś głównie z Ameryki; reprezentuje go zwłaszcza Lindsay, który pochodzenie małżeństwa, rodziny i praw, niemi rządzących, wyprowadza od ludzi, a przytem głosi ewolucję praw moralnych, idącą po linji pożytku osobistego lub społecznego. Centrum drugiego niebezpieczeństwa znajduje się w bolszewizmie rosyjskim, który celowo niemal dąży do rozbicia rodziny, a z którym w bliskiem pokrewieństwie pozostaje u nas socjalizm, starający się w całej swej akcji wychowawczej nad młodzieżą obejść się zupełnie bez Boga. Bliższych szczegółów o tej ostatniej akcji, zorganizowanej w socjalistycznem „Towarzystwie przyjaciół dzieci" i czerwonem harcerstwie, udzielił w osobnym referacie dyr. H. Schuster. Zobrazował on silny rozwój tego ruchu i jego niebezpieczeństwa, widoczne już dziś na młodzieży, biorącej udział w obozach letnich, urządzanych przez socjalistów (t. zw. Kinderrepubliken). W obozach tych, które w r. 1928 zgromadziły około 8.000 młodzieży, nietylko pominięte jest zupełnie wychowanie religijne, ale dzieją się również — z powodu ciągłego wspólnego przebywania z sobą chłopców i dziewcząt, w strojach kąpielowych — wykroczenia przeciw moralności, tak że nawet niektórzy rodzice socjaliści nie chcą tam posyłać dzieci. Analizując przyczyny powodzenia akcji socjalistycznej, wezwał mowca katolików, aby nie zadawalali się tylko jej zwalczaniem, lecz przystąpili sami do czynnej pracy, organizowali podobne instytucje i zbierali na ten cel fundusze.

Nie poprzestając na wskazaniu ideowych przeciwników, zajęto się również społecznemi i gospodarczemi czynnikami, grożącemi dziś chrześcijańskiej rodzinie. Zestawieniem ich zajął się J. Gockeln. Dzisiejsza niepewność egzystencji, zubożenie, brak mieszkań, w szczególności utrudnianie znalezienia ich ojcom licznych rodzin — wszystko to są czynniki, które w wysokim stopniu przeszkadzają życiu i rozwojowi rodziny. Obecny ruch ludnościowy, malejąca przedewszystkiem liczba urodzin, ma poczęści także tu swe źródło i jest świadectwem, że współczesne stosunki w życiu gospodarczem są nastawione indywidualistycznie, a nie sprzyjają rodzinie, zwłaszcza licznej. Poprawa niedomagań powyższych musi więc zająć ważne miejsce w progra-

mie akcji katolickiej. — Ażeby pokazać, jak bardzo warunki zawodu i pracy mogą utrudniać życie rodzinne, wziął inny referent, H. Carls, konkretny przykład pracowników hotelowych i restauracyjnych. Wykazał słuchaczom, jak ciężko tym ludziom spełnić obowiązki religijne, zawrzeć małżeństwo i zajmować się rzeczywiście dziećmi; opowiedział przytem szereg interesujących szczegółów z życia katolickiej organizacji tej gałęzi pracowników i przedstawił wysiłki, czynione w celu zneutralizowania ujemnych stron zawodu.

Praktyczny przedmiot obrad Zjazdu, wymagający nieustannego apelu do energji i działania, spowodował wstawienie osobnego referatu, o ożywieniu akcji katolików świeckich. Wygłosił go radca J. Scherer, który wskazał na rozległe pole, jakie dla akcji katolickiej otwiera dziś sprawa obrony chrześcijańskiego małżeństwa i rodziny. „Apostolską działalnością — wołał — jest wytrwałe i gorliwe pielęgnowanie życia rodzinnego, poszanowanie sakramentalnej godności i nierozerwalności małżeństwa, obrona chrześcijańskiego prawa małżeńskiego i rodzicielskiego, wychowanie dzieci w duchu katolickim".

Z pośród pozostałych przemówień — poza odczytem o religijnem wychowaniu młodzieży w szkołach zawodowych — wspomnieć trzeba referat profesora uniwersytetu, Dra J. Bleyer'a o prawach mniejszości narodowych w dziedzinie wychowania. „Do świętych praw rodziców — mówił — należy danie im tej możności, aby ich dzieci mogły zachować swą mowę ojczystą, aby wprowadzenie i pouczanie ich o prawdach wiary było im udzielane w tradycyjnych słowach i formułach domu rodzicielskiego. Najgorszym wrogiem tego świętego prawa jest pogański nacjonalizm dni dzisiejszych... Musi się więc szukać środków i dróg, aby katolickie zasady, dotyczące praw mniejszości, stały się wspólną własnością wszystkich katolików i aby przedewszystkiem u duchowieństwa katolickiego w całym świecie przyjął się rzeczywiście katolicki pogląd na tę kwestję i aby ten pogląd został wcielony w czyn. „Sprawozdawca niemiecki o obradach Kongresu dodaje tu od siebie, że „niemiecki Zjazd katolicki żądał tu pełnego uznania katolickich zasad co do praw mniejszości" i że zebrani dawali niejednokrotnie w ciągu odczytu spontaniczny wyraz swej zgody na wywody mowcy.

Ne zebraniach plenarnych i sekcyjnych Kongresu przesunęły się zatem podstawowe problemy, związane z chrześcijańskiem małżeństwem i rodziną. Ujęcie ich w całość, dające jasny pogląd na rzecz, i zredagowanie rezolucyj było owocem żmudnej pracy sekcyj, które obradowały przez cały ten czas w różnych punktach miasta. Sekcyj tych było sześć i obejmowały następujące działy: 1) etyczno-religijne zadania rodziny, 2) duszpasterz a rodzina, 3) praca oświatowa na tem polu, 4) rodzina a stosunki gospodarcze, 5) społeczno-charytatywne zagadnienia, 6) prawo-

dawstwo a rodzina; ta ostatnia grupa stanowiła przedmiot szczególniejszego zainteresowania przedstawicieli rządów.

W niedzielę, dn. 1 września, nastąpiło zakończenie Zjazdu. Napływ uczestników był ogromny; przy pięknej pogodzie miasto wyglądało jak jeden wielki obóz. Rano nuncjusz Pacelli odprawił na wolnem powietrzu uroczystą mszę św., w obecności jakich 80.000 ludzi. Las sztandarów powiewał, tysiące katolickich akademików korporantów utrzymywało szpaler, a następnie wzięło udział w manifestacyjnym pochodzie, podobnie jak związki katolickich robotników. Potem nastąpiło ostatnie ogólne zebranie w hali. Zabrał tu głos sam Nuncjusz Ap., wzywając katolików do jednolitego frontu i solidarnego czynu, oraz podkreślając potrzebę zgodnego współdziałania Kościoła i państwa. O kulturalnem posłannictwie katolików w społeczeństwie wygłosił referat przywódca niemieckiego Centrum, ks. prałat Kaas, poczem po kilku innych przemówieniach prezes, W. Marx, zamknął Kongres.

Tak wyglądał ostatni Zjazd katolików niemieckich. Aktualny jego temat ściągnął również licznych przedstawicieli rządu Rzeszy i poszczególnych krajów związkowych, którzy przybyciem swem dali do poznania, że cenią sobie tę pracę katolików dla dobra państwa i przykładają duże do niej znaczenie. Byli obecni, oprócz W. Marxa: ministrowie Rzeszy, v. Guérard, Stegerwald, Wirth, bawarski prezydent ministrów Held, prezydent państwa Baden, Schmitt, pruski - minister Schmidt, wirtemberski minister Beyerle, heski minister Kirnberger. Prezydent Rzeszy, Hindenburg, nadesłał depeszę gratulacyjną.

Jest rzeczą symptomatyczną dla ostatnich kilku lat, że zagadnienia małżeństwa i rodziny wysuwają się w nich na czoło zainteresowań. Coraz namacalniej przekonują się wszyscy, że od poziomu tych instytucyj zawisł los społeczeństw i krajów. Coraz więcej pisze się na ten temat i radzi, nietylko u katolików. Oczywiście w sferach katolickich poświęca się tej sprawie z rosnącą troską. Włoski, francuski, a ostatnio niemiecki Kongres katolicki zajmują się całe problemami małżeństwa, rodziny, wychowania. A to wszystko dzieje się w czasie, kiedy w katolickiej Polsce Komisja Kodyfikacyjna przygotowała projekt, umożliwiający burzenie małżeństwa i rodziny.

Ks. St. Podoleński T. J.

Międzynarodowy Kongres Bibljotek w Rzymie.

(Wystawy i wydawnictwa).

Bardzo udatną i naprawdę interesującą częścią Kongresu były wystawy. Pierwotnie projektowano w włoskich kołach bibljotekarskich urządzenie całego ich szeregu; każda z nich

obrazowałaby tradycje artystyczne i kulturalne jednej z dzielnic włoskich. W Palerno miała być np. wystawa przedmiotów, związanych z kulturą arabsko-normandzką, w Neapolu bizantyńska i aragońska, w Florencji wystawa starej książki włoskiej, w Medjolanie książki nowoczesnej, w Turynie wystawa, związana z historją zjednoczenia dzisiejszego królestwa, w Genui miano dać obraz rozwoju potęgi morskiej Włoch i t. d. Obszerny ten program został wykonany tylko częściowo i niezbyt systematycznie, niemniej bardzo interesująco. Wystawy książek dały to wrażenie, które dają wogóle Włochy: przedstawiono w nich naocznie nawarstwienia kulturalne i składniki, z których powstał ów jedyny w swoim rodzaju, urok tego starego, a wiecznie słonecznego młodością kraju. Wystawa w Neapolu przypomniała głównie starożytność rzymską i wczesne średniowiecze, Monte Cassino dało posmak owej przedziwnej kultury, poprzedzającej złoty wiek średniowiecza, wiek XIII, Watykan ze swoją stałą wystawą klejnotów książkowych i nowoczesnym katalogiem, opartym na wzorach amerykańskich, uprzytomnił odwieczność i żywotność, a zarazem uniwersalność Kościoła, Florencja pokazała splendor i luksus Renesansu, Modena wysiłek naukowy humanizmu, Bolonja starą, a tak bujną, kulturę muzyczną rozśpiewanego narodu, Wenecja nakoniec ze swą wystawą *Sto najpiękniejszych opraw włoskich* była ukoronowaniem tego wspaniałego przeglądu i stwierdzeniem raz jeszcze, że we wszelkich dziedzinach życia królem niepodzielnym w tym błogosławionym kraju był artyzm.

Niepodobna w krótkim przeglądzie opisać, a nawet zanotować, wszystkich interesujących eksponatów, które pokazano nam na wystawach. Trzeba ograniczyć się do krótkiego scharakteryzowania każdej z nich i zwrócenia uwagi na rzeczy najważniejsze.

Neapol urządził swą wystawę łącznie z wystawą Sycylji, do której chyba nikt z uczestników Kongresu nie miał odwagi dotrzeć w tej porze roku. Nazwana Wystawą książki południowych Włoch i Sycylji miała charakter regjonalny. Regjonalizm ten jednak na tym terenie jest szczególnie interesujący. Na czele eksponatów znajdowały się wytwory miejscowe: fresk z napisami z Pompei, kawałek starożytnego tynku z Pozzuoli z napisami po grecku i po łacinie, dwie sławne tabliczki woskowe, znalezione w r. 1875 w domu bankiera L. Caeciliusa Jucunda w Pompei, zawierające notatki bankierskie z I w. po Chr., a pod względem paleograficznym ciekawe, jako doskonały przykład starożytnej kursywy wielkoliterowej, szereg papirusów, rozwiniętych i nierozwiniętych, pochodzących z epokowego znaleziska w Herkulanum (w r. 1752—4), wśród nich jeden, doskonale zachowany, z czasów na przełomie starożytności w erę chrześcijańską (pisany między r. 31 przed Chr., a 79 po Chr.) z opisem bitwy pod Actium, a paleograficznie stanowiący przejście od pisma kapitalnego w rzymską kursywę starszą, starożytne pióra trzcinowe

i kałamarze. Ciekawa maszyna Piaggiego do rozwijania papirusów (których neapolitańska Bibljoteka Narodowa posiada aż 1814!) świadczy o stosunku czasów nowszych do bezcennych pamiątek przeszłości. — W czasy wczesnego średniowiecza wprowadzają palimpsesty pergaminowe z V wieku, m. i. sławny Lukan, pochodzące z północnowłoskiego opactwa Bobbio, w którem znalazło się po jego założeniu wiele skarbów rękopiśmiennych z Vivarium Casiodora. Obok nich znajdują się „nowe" papirusy, jeden z VI w., pochodzący z Neapolu, zawierający kościelny akt prawny — dowód, jak długo utrzymał się równoległe użytek papirusu i pergaminu. Z wieku VII lub VIII pochodzi pięknie zdobiona biblja, grająca żywemi barwami, z inicjałami zdobnemi arabeskami i zwierzętami, której twórca podpisał się *Danila scriptor*, a miał być z pochodzenia Gotem. Bogactwo wystawy stanowi długi szereg kodeksów, pisanych pięknem, artystycznem pismem benewentańskiem: pielęgnowane od IX w. szczególnie przez mnichów z Monte Cassino i La Cava stanowi chlubę starej kultury artystycznej południowej Italji. Następuje długi szereg wspaniałych iluminowanych rękopisów na pergaminie od XII aż do XV w., związanych z dziejami tej prowincji bądź osobą kopisty, bądź właściciela (wiele z nich należało do bibljoteki królów aragońskich), bądź w jakikolwiek inny sposób. Kilka jest szczególnie charakterystycznych dla historji kultury południowej Italji: psałterz z XI w. z przekładem arabskim, słynna longobardzka księga praw z XI w pisana w Monte Cassino, z minjaturami, przedstawiającemi królów longobardzkich, władców karolińskich, oraz książąt Benewentu i Neapolu, obszerny autograf św. Tomasza z Akwinu, (wszakżeż nieopodal Neapolu leży Aquino i miejsce urodzenia wielkiego świętego i genjalnego filozofa, Roccasecca), dalej rękopis jego „Summy", pisany dla kardynała Jana aragońskiego, syna króla Ferdynanda z portretem autora, wspaniały, dwa wieki obejmujący kodeks z herbami pierwszych rodzin, których członkowie wpisali się do Kolegjum św. Marty w Neapolu i wiele, wiele innych. Nie wszystkie te wspaniałości zrodziły się na południu, kilka pochodzi z Francji, Flandrji i i.; ale stanowią część Państwowej Bibljoteki Neapolitańskiej, pochodzą z klasztorów tej prowincji, tak, że inicjatorzy wystawy nie mieli odwagi, jak wyznali, wyrzec się pokazania ich oczom cudzoziemców.

Druki wystawione obejmują bogaty szereg inkunabułów neapolitańskich, poczynając od wydania Aureliusa Victora, drukowanego prawdopodobnie w r. 1470 przez Riesingera, który wprowadził druk do Neapolu. Wśród unikatów i rzadkości znajduje się też sławny inkunabuł kalabryjski z r. 1475, drukowany czcionkami hebrajskiemi (Rabbi Salomon Jarco: Commentarius in Pentatheucum). Dla czasów nowszych, od w. XVI do XIX wystawiono w pewnym, niezbyt zresztą systematycznym wyborze to przedewszystkiem, co może mieć wartość regjonalną dla historji i historji

kultury, wydobyto różne wydawnictwa, ilustrujące ginący już dziś malowniczy folklor neapolitański. Historję umysłowości uwydatniają bardzo liczne i cenne autografy całych utworów poetyckich i muzycznych, wśród nich takich znakomitości, jak Ariosto, Tasso, Salvator Rosa, Leopardi, Pergolesi, Rossini, Verdi. Osobne miejsce zajęło kilka pierwszorzędnych skarbów bibljotecznych: trzy kodeksy pisane srebrem i złotem na purpurowym pergaminie (wśród nich sławny Ewangeljarz rossaneński z VI w.) i trzy rotuły (zwoje), zwane „Exultet", które zawierają tekst modlitw przy poświęceniu świecy paschalnej i zdobne są minjaturami, malowanemi w kierunku odwrotnym, niż litery; w czasie odczytywania modlitw, kapłan rozwijał zwój, a lud zgromadzony u stóp ambony, mógł oglądać kolejno ukazujące mu się obrazy. Najsławniejszy z wystawionych (Exultet di Salerno) z wieku XII ma 19 minjatur w stylu bizantyńskim.

Wystawa sycylijska zgromadziła kilkanaście rękopisów, pochodzących głównie z Bibljoteki uniwersyteckiej w Messynie, z których starsze reprezentują zdobniczo styl, nazwany przez twórcę wystawy, Besellego, bizantyńsko-sycylijskim; piękny jest najstarszy z nich z VIII w., pisany elegancką uncjałą, ciekawe są rękopisy w dialekcie sycylijskim z w. XIII i XIV, z których szczególnie „La Rebellamentu di Sichilia" posiada wielką wartość historyczną i językową. Zgromadzone na wystawie druki ilustrują mało znaną historję tej sztuki na wyspie. Z 25 inkunabułów sycylijskich zgromadzono 17, prócz tego szereg druków z XVI, XVII i XVIII w. Poza Messyną i Palerno pojawił się druk w innych miastach dopiero w XVII w.; niektóre wydały po jednym druku wogóle. Niezwykła jest historja druku w Catanji, gdzie publiczna drukarnia pojawiła się dopiero w w. XVII, ale już w r. 1563 i 1568 wyszły trzy druki prywatne Józefa Cumii, który wydał własne utwory: wiersze i pisma prawnicze.

Uzupełnieniem wystaw neapolitańskich była wizyta uczestników Kongresu w bibljotece Oratorjum św. Filipa Nereusza, gdzie po przemowie bibljotekarza, O. Bellucci, pokazano im znów ciekawe rękopisy i zbiór opraw, wśród nich kilku o typie Canevari.

Wycieczka do Monte Cassino, sławnego opactwa założonego przez św. Benedykta, które obchodzi w tym roku 1400-letni jubileusz istnienia, które w drugiej połowie VIII wieku stało się ośrodkiem studjów naukowych, a rozkwitło powtórnie w w. XI, miała niezwykły urok. Niestety prawie nic nie pozostało z dawnego gmachu. Dzisiejsze budynki, położone wspaniale na szczycie odosobnionej góry, z której roztacza się widok na szeroką dolinę i otaczające ją łańcuchy górskie pochodzą najwcześniej z w. XVII; a choć bardzo malownicze i efektowne, nie mają nic wspólnego z odległą epoką złotego wieku opactwa. Przenosi doń bibljoteka i archiwum, które wśród 800 swych kodeksów pergaminowych, liczą dwieście kilkadziesiąt z wieku IX do XIII, pisa-

nych owem właściwem mnichom tutejszym pięknem pismem benewentańskiem. Niewielka wystawa części skarbów tej bibljoteki okazuje prócz nich m. i. rękopisy od wieku VI, niektóre z minjaturami w stylu bizantyńskim (np. Paulus Diaconus z X w.), inne ciekawe z różnych względów, jak np. Rabanus Maurus z w. XI z postaciami zwierząt, malowanemi przedziwnie, jak inny rękopis z XI w. ze szkicami minjatur, nie wypełnionemi barwą, jak rękopisy muzyczne ze znakami neumatycznemi (które poprzedziły nasze nuty). Jest tu także „exultet", jest sławny własnoręczny list św. Tomasza z Akwinu do św. Bernarda.

Do serji wystaw reprospektywnych należała wystawa historji Rzymu, urządzona w Rzymie, w Palazzo Margherita. Zgromadzone skarby bibljofilskie miały mówić o Rzymie, o jego cywilizacji starożytnej i chrześcijańskiej, o jego chwale, panującej przez wieki. Wystawa była podzielona na trzy sekcje: książki i paleografji, topografji Rzymu i wreszcie historji Rzymu w epoce zjednoczenia i odrodzenia Włoch, zwanej przez Włochów zmartwychwstaniem (Risorgimento). Pierwsza z nich miała przypomnieć te światłe umysły, które rozniosły blaski cywilizacji po świecie, zdobytym niegdyś przez armje starożytnej Romy, miała przypomnieć tych, co przez cierpliwą pracę uratowali z zapomnienia świadectwa dawnej kultury i tych którzy stworzyli nową cywilizację, opartą na zasobie starożytnych, uszlachetnioną powiewem Chrześcijaństwa. Trzy działy tej sekcji obejmowały: 1. autorów łacińskich w najdawniejszych kodeksach, znajdujących się w bibljotekach włoskich i w pięknych rękopisach iluminowanych z czasów Odrodzenia, 2. autorów łacińskich w pierwszych wydaniach rzymskich z w. XV, 3. Dantego, Petrarkę i Boccaccia, jako reprezentantów ducha italskiego, który wskrzesił wspaniałość sztuki klasycznej. W pierwszym z tych oddziałów podziwialiśmy szereg kodeksów z w. V-go i późniejszych, zawierających dzieła autorów klasycznych i wczesno-chrześcijańskich ze sławnym Wirgiljuszem medycejskim z V w. z Laurenziany we Florencji i również sławnym św. Augustynem z VI w., przechowanym w Bibljotece Narodowej Wiktora Emanuela w Rzymie. Wśród kodeksów iluminacyjnych wysunęły się na pierwszy plan: Liwjusz z Bibljoteki Narodowej w Florencji, Pandekta z minjaturami Boccardina z tejże Bibljoteki, wspaniały Wirgiljusz z Laurenziany.

W oddziale druków zaczęto od najstarszej książki, drukowanej we Włoszech (Cicerona: De oratore, druk w Subiaco, w r. 1465) i od Listów Cicerona z r. 1467, pierwszej książki, drukowanej w Rzymie, poczem okazano szereg wspaniałych wydań dzieł klasyków, dokonanych przez Sweynheima i Pannartza, którzy wprowadzili druk do Italji, przez Lignamina, Udalryka Hana, Lauera, Herolda, Silbera i i. Większość egzemplarzy tych pierwszych druków jest jeszcze zdobna w malowane ręcznie inicjały. Najcenniejszy z nich — Witruwjusz z r. 1486 — pełen

notat i rysunków G. B. Sangalla. W oddziale, poświęconym trzem luminarzom umysłowym trecenta, wystawiono 20 rękopisów dantejskich, w tem najcenniejszy z portretem Dantego z bibljoteki Riccardich i drugi z minjaturami Giotta z weneckiej Marciany, dalej szereg cennych pierwszych wydań nieśmiertelnego poety, obok zaś tego kodeks z Laurenziany, zawierający szereg własnoręcznych listów Petrarki, dwa egzemplarze „Triumfów" jeden iluminowany przez Attavantego, drugi przez Benozzo Gozzoli, autografy Boccaccia, podstawowy rękopis „Decamerona" t. zw. Manelli i w. i.

Druga sekcja wystawy zgromadziła mnóstwo dzieł artystów, chwytających obraz wiecznej Romy pędzlem, czy ołówkiem, czy rylcem; wśród nich królował sławny szkicownik G. Sangalla i rysunki Baltazara Peruzzi z bibljoteki komunalnej w Sienie, cenne rękopisy z Laurenziany, jak „Cosmographia quaedam Antonini Augusti" z X w., „Le miracole de Roma" z XIII z historją Troji i Rzymu, pisaną najstarszym dialektem rzymskim, albo „Graphia aureae urbis Romae" z w. XIV. Najświetniejsi artyści włoscy i obcy na przestrzeni pięciu wieków idą w tym szeregu duchów, wziętych w niewolę przez majestat Rzymu: a wspaniałe dowody tego zachwytu mogliśmy, również z zachwytem, oglądać na wystawie. Dawne przewodniki po Rzymie i opisy wiecznego miasta dopełniały wystawy, budząc specjalnie zainteresowanie podróżników, jakimi byliśmy wszyscy.

Trzecia sekcja wystawy objęła kawał historji włoskiej od końca XVIII w., aż do czasów najnowszych, od audjencji reprezentantów rządu republiki francuskiej na dworze papieskim, aż do faszystowskiego marszu na Rzym i uroczystości na cześć nieznanego żołnierza. Udział Rzymu w tych dziejach przedstawiły ilustracje, druki ulotne, portrety, autografy, okazy numizmatyczne, afisze, które rozmieszczono w chronologicznym porządku wypadków.

Do rzędu wystaw historycznych w Rzymie należała też mała lecz dobrana wystawa dawnych opraw urządzona w Zamku św. Anioła z inicjatywy Tow. Przyjaciół Zamku. Eksponaty, zostały użyczone przez znakomite rodziny rzymskie, przez opactwa w Monte Cassino, Grottaferrata, Trisulti. Zwracała uwagę bizantyńska oprawa z XIII w. jedwabna błękitna, haftowana srebrem, szereg opraw weneckich Aldów z XVI w., ładna oprawa z XVII w. z superexlibrisem kardynała Colonny, oryginalna oprawa z XVIII w. z klasztoru św. Michała, inna z tegoż wieku z filigranami srebrnemi. *Clou* wystawy stanowił zbiór opraw z superexlibrisami papieży, o różnej zresztą wartości artystycznej: nader ciekawa była oprawa z czerwonej skóry z bibljoteki Piusa II (w. XV), a bardzo piękna ze zbiorów Leona X.

Historyczne bibljoteki rzymskie postarały się o okazanie swych skarbów, każda zosobna, urządzając specjalne wystawy, lub oprowadzając uczestników Kongresu po stałych swych wysta-

wach. A więc zwiedzaliśmy bibljoteki z wieku XVII: Angelica i Casanatense, bibljotekę z w. XV (Vallicelliana) i wreszcie najstarszą papieską, której pierwsze ślady istnienia giną niemal wśród dziejów pierwszych wieków chrześcijaństwa. W *Casanatense* widzieliśmy wśród innych Kanony apostolskie z VIII w., pisane pismem uncjalnem, piękne rękopisy perskie, wydania Boskiej Komedji z XV w. z drzeworytami, drzeworyty z starej weneckiej książki ksylograficznej, włoskie i francuskie oprawy. *Vallicelliana* wystawiła kilka kodeksów cennych przez swą starożytność i wewnętrzną wartość: Biblję Alkuina z VIII w., Św. Augustyna z VII, inkunabuły, autografy świętych i erudytów: Filipa Nereusza, Karola Boromeusza, kardynała Baroniusza i i., a wśród opraw wspaniałego Groliera, w którego okładkach kryje się niemniej rzadkie dzieło: Nowy Testament po grecku, drukowany w Paryżu w r. 1550 w sławnej oficynie Roberta Estienne.

Zbyt znane jest znaczenie i bezcenna wartość Bibljoteki Watykańskiej, by podkreślać tutaj, z jakiem uczuciem zaciekawienia i czci zarazem znaleźliśmy się w jej murach. Po raz pierwszy oglądali uczestnicy Kongresu wspaniałą salę bibljoteczną, pochodzącą z czasów Sykstusa V, podczas audjencji papieskiej. W bogatych renesansowych ścianach mieszczą się niezrównane rękopiśmienne skarby Bibljoteki (a posiada ona ogromną ilość 60.000 tomów rękopisów), ukryte niemal niewidocznie w zamkniętych ozdobnych szafkach wzdłuż ścian. Gdy po raz drugi znaleźliśmy się w tej sali, już przy właściwem zwiedzaniu Bibljoteki, mogliśmy oglądać najciekawsze z tych skarbów, wyłożone w gablotkach na stałej wystawie. A więc sławne rękopisy, pisane pismem rzymskiem: Wirgiljusz „Augusteus" z w. III lub IV, jeden z kilku na świecie przykładów „capitalis quadrata" Wirgiljusz „Vaticanus" z IV w. pisany rustiką z ilustracjami o typie jeszcze klasycznym, Wirgiljusz „Romanus" z w. V pisany rustiką, z „portretem" poety przy pulpicie, na którym leży księga, kodeks już średniowieczny, liczne przykłady uncjały, m. i. najstarszy na świecie palimpsest z IV w. (Cicerona „De Republica"), różne kodeksy greckie, zdobione wspaniałą bizantyńską minjaturą, szereg kodeksów pisanych t. zw. pismami narodowemi, a więc np. ewangeljasz anglosaski z VIII w. z oryginalnemi inicjałami, martyrologjum z XII w. pismem benewentańskiem, a z późniejszych luksusowych kodeksów: wspaniały mszał ze szkoły umbryjskiej z XV w., brewjarz iluminowany Macieja Korwina, z minjaturami Attawantego i jego szkoły, a dalej ilustracja Boticellego do Piekła Dantego, Krzysztofa Landino: *Disputationes camaldulensae* z r. 1470 z przepysznym, uwydatniającym drapieżny profil, portretem Federiga da Montefeltre, księcia Urbino, toczącego dysputę ze swym krewnym, w otwartem na błękit nieba, oknie; rękopis z r. 1617, zawierający „Dworzanina" Baltazara Castiglione z ilustracją, porywającą grą barw, przedstawiająca dwór księcia Gwidobalda,

kilka innych ilustrowanych rękopisów z XVII w., dalej takie pierwszorzędne autografy, jak św. Tomasza z Akwinu, Tassa, Petrarki, autograf poezyj Michała Anioła ze szkicami architektonicznemi, własnoręczne listy herezjarchów: Henryka VIII i Marcina Lutra i wiele innych eksponatów, z których każdy niemal ma swą ciekawą historję i bogatą literaturę.

Bibljoteka Watykańska nie jest martwym zabytkiem przeszłości; w ostatnich czasach jeszcze wzmaga się jej żywotność. Zbiory jej ciągle wzrastają, ilość nowych nabytków rękopiśmiennych w ostatnich latach jest większa, niż w jakiejkolwiek innej bibljotece. Zainteresowano się też bardziej także jej zasobem książkowym, który nie jest szczególnie wielki, ale cenny. Naukowe opracowanie zbiorów i publikacja cenniejszych objektów zaczęła się już za czasów Leona XIII. Zasługi to czcigodnego kardynała Ehrle, który przed wojną kierował przez kilkadziesiąt lat bibljoteką, jak i dzisiejszego papieża, który przez czas pewien, jako Ms. Ratti prowadził bibljotekę i za którego zaczęto opracowywać nowoczesny katalog książek. Dziś ojciec św. otacza bibljotekę wzmożonem staraniem. Na pomieszczenie wzrastających zbiorów przeznaczył dawną galerję Bramantego, która służyła jakiś czas za stajnię. Nowoczesne urządzenia, żelazne półki wzorowej konstrukcji amerykańskiej zostały wprowadzone też w części dawnego magazynu bibljotecznego. Nakoniec rozpoczęto zupełny katalog książek z wydatną pomocą fundacji Carneggiego. Olbrzymia ta praca obliczona jest na lat 20. Obok niezbyt wielkiej, odznaczającej się szlachetną prostotą, czytelni i obok sal, przeznaczonych na bibljotekę poddręczną, jedną z największych i najlepiej urządzonych (widzieliśmy w niej z przyjemnością dobrze zaopatrzony dział polski), pokazano nam biuro katalogowe, w którem znalazły się teraz nowoczesne szafki z katalogiem będącym kopją katalogu amerykańskiej Bibljoteki Kongresu i który służy jako podstawa do uzgodnienia z zasobem książkowym *Vaticany*. Tak więc, jak wiele rzeczy w Rzymie, tak i Bibljoteka Watykańska i najnowsze w niej prace świadczą wielkim głosem o światowem znaczeniu kultury chrześcijańskiej i uniwersalności, poprzez wieki, Kościoła Powszechnego.

Ramy Wystawy starej książki włoskiej, urządzonej we Florencji, odpowiedziały godnie jej treści. Znalazła się ta wystawa w potrójnej ślicznej oprawie. Najszerszem okolem było dla niej samo miasto-klejnot nad Arnem i jego tradycje złotej epoki sztuki, bliższem tłem był pałac Medyceuszów (palazzo Riccardi) z kaplicą, zawierającą nieporównany fresk Benozza Gozzoli, a bezpośredniem otoczeniem były ściany pięknej sali Łukasza Giordano i sąsiadującej z nią *Biblioteca Riccardiana*. Eksponaty pochodziły prawie wyłącznie z zasobnych książnic florenckich, a były to okazy druków włoskich od czasów najdawniejszych, od pierwszego druku włoskiego z Subiaco (De ora-

tore Cicerona z r. 1465) aż do XVIII w., aż do wytworów znakomitego typografa parmeńskiego, Bodoniego. Wystawione egzemplarze należą do najpiękniej zachowanych, albo do wydań luksusowych; dość powiedzieć, że znalazło się na wystawie blisko pięćdziesiąt druków na pergaminie. Obok pierwszych druków różnych miast i różnych oficyn drukarskich jest dużo okazów nader rzadkich jak np. list Amerigo Vespucci o odkryciu Ameryki (druk florencki ca 1505), a nawet unikaty, jak np. Il Libro delle Sfera Datiego, drukowana przez Jana, syna Piotra, z Moguncji około r. 1472; obok druków łacińskich są pierwsze druki włoskie czcionką grecką (Gramatyka Lascarisa, Milano, 1476), arabską (Horologium breve, Fano, 1514) hebrajską (sławna Biblja Soncina 1488). Z luksusowych druków, tłoczonych na pergaminie, zdobnych minjaturami, umieszczono na czele florenckie wydanie Boskiej Komedji z r. 1481, egzemplarz ofiarowany przez komentatora Landino Signorji florenckiej i drugi egzemplarz, zdobny sztychami według rysunków Boticellego. Z inkunabułów greckich wspaniale iluminowany egzemplarz pierwszego wydania Homera, należący ongiś do Wawrzyńca Wspaniałego, Antologja grecka, dedykowana przez Lascarisa, jako wydawcę, Piotrowi Medyceuszowi, prześliczny egzemplarz Argonautyki Apolloniusa rodyjskiego (Florentiae 1496). Od tych druków ozdobnych i zdobionych techniką, obcą sztuce typograficznej, oko przechodzi z satysfakcją do skromnych napozór, drobnych rozmiarami, a tak pełnych smaku druków weneckich, przedewszystkiem Aldów, oraz do innych, kokietujących czytelnika wartościami samego druku, lub związanego z nim ściśle drzeworytu czy sztychu (np. cenna książka Epistolae et Evangelii volgari hystoriade, Venetia, per Zuane Antonio et fradeli da Sabio, ad instantia de Nicolo et Domenego dal Jesus fradeli, 1512). Kulturalno-historycznie ciekawe są druki wzorów kaligraficznych i wzorów do haftu z XVI w., a więc o charakterze czysto użytkowym.

By skończyć z wystawą w pałacu Riccardi dodaję, że obok niej wystawiła bibljoteka Riccardiana inne cenne *cimelia*. Były tam i papirusy i „ostraka" i kodeks uncjalny (Pandecta Justiniana) i cudne rękopisy perskie, a z bogatych kodeksów XIV i XV wieku jeden z minjaturami ze szkoły Giotta, inny ze szkoły Benozza Gozzoli (Eneida) szereg rękopisów Dantejskich, sławny kodeks z portretami Petrarki i Laury, a dalej autografy takie, jak Boccaccia, Poliziana, Machiavella, Savonaroli, Celliniego, Pica de Mirandole. Zwiedziliśmy też we Florencji sławną Laurenzianę, utworzoną ze zbiorów Kuźmy Medyceusza i Wawrzyńca Wspaniałego. Bezcenne skarby znajdują się w salach, z których jedna — projektowana przez Michała Anioła — zachowała do dziś wygląd pierwotny: długie szeregi pulpitów z kodeksami stoją tam dziś, jak stały w XVI w. Rozmach i piękno,

szeroki gest i artyzm, zbytek i hojność Renesansu objawiły się nam na wystawie włoskich druków we Florencji.

Inny charakter miała wystawa w Modenie, również związana ściśle z epoką Odrodzenia. Modena chlubi się posiadaniem niezbyt wielkiej, ale bardzo cennej bibljoteki (Estense), której główny zrąb stanowią zbiory książąt z domu Este, zapalonych i światłych bibljofilów (głównie Alfonsa II w wieku XVI i Franciszka IV w wieku XIX) i gdzie pracował taki Muratori, Zaccaria, Tiraboschi. Pobliska Parma zaś posiada bibljotekę (Palatina), w której byli czynni najuczeńsi bibljotekarze włoscy wieku XVIII i XIX (Paciaudi, Affo, Pezzana). Tradycje ich podtrzymuje dyrektor bibljoteki Estów, Domenico Fava, który urządził tam wzorową stałą wystawę precjozów tej książnicy, ułożonych chronologicznie i dających bardzo pouczający przegląd rozwoju sztuk, związanych z wytwórstwem księgi. Zaczynając od rękopisów iluminowanych, ułożonych według szkół, poprzez iluminowane druki, przechodzi się do bogatego zbioru książek włoskich z drzeworytami, ułożonych według okolic, gdzie powstały, a potem do przeglądu ksiąg, zdobnych miedziorytami, ułożonych według krajów. Osobne miejsce zajmują artystyczne oprawy, również rozmieszczone, o ile możności, chronologicznie i regjonalnie. Dodatkowo urządzono małą wystawę, ilustrującą początki druku w dawnem księstwie Modeny i Reggio. Mimo silnej pokusy nie mogę wdawać w szczegóły, by nie przedłużać i tak już za długich opisów, nużących dla tych, co je czytają a nie mogli, niestety, widzieć własnemi oczyma i chłonąć własną duszą tych czarów, które przed nami roztoczono na wystawach włoskich. Zaznaczam tylko, jako osobliwość wystawy, ciekawy dla historyków kultury i literatury zbiór pierwszych wydań francuskich romansów rycerskich, a co do reszty muszę odesłać do doskonałego katalogu z r. 1925, ilustrowanego bogato, z obszernemi opisami i literaturą. Specjalnie na cześć Kongresu urządził dyr. Fava Wystawę pierwszych klasyków greckich i rzymskich wydań ograniczoną do w. XV. Była ona przypomnieniem naukowego wysiłku Włoch Odrodzenia, tych Włoch, które tyle starań włożyły w zgromadzenie, odczytanie krytyczne wydanie i naukowy komentarz klasycznych tekstów. Zasługę Italji na tem polu potwierdza i historja druku. Z wystawionych inkunabułów (wiele z nich to okazy nadzwyczaj rzadkie i cenne) dwa tylko powstały poza granicami ojczyzny Petrarki. Z pośród miast miast włoskich liczebnie prym dzierży tu Wenecja (po niej Rzym), a artystycznie królują wenecjanie Manucjusze (Aldy) i francuz z pochodzenia, w Wenecji osiadły, pełen elegancji, Mikołaj Jenson. Chronologicznie pierwsi są Niemcy, którzy wogóle druk wprowadzili do Italji: Conradus Sweynheym i Arnoldus Pannartz. Komplet ich druków z pierwszej siedziby, z Subiaco, w liczbie 3 (czwarty istniał, ale do naszych czasów nie doszedł ani jeden egzemplarz) znajduje się na wystawie. O rozmachu naukowym

humanistów, o żywej rywalizacji drukarzy, z których niejeden sam był uczonym, świadczy występujący wyraźnie na wystawie fakt wydawania jednego i tego samego dzieła przez kilku drukarzy w tym samym roku, niemal jednocześnie. — O zasobności i wartości bibljotek prowincji Emilia, która podlega inspektoratowi bibljotecznemu w małej ale żywej kulturalnie Modenie, świadczy to, że one tylko dostarczyły eksponatów na wystawę. Fakt ten z dumą podkreślają inicjatorzy wystawy.

Urządzenie wystawy muzycznej w Bolonji, która zgromadziła eksponaty z całych Włoch, miało też swoje lokalne i historyczne uzasadnienie. Bolonja leży w centrum prowincji, mającej silne tradycje muzyczne i gdzie muzyka była z zamiłowaniem uprawiana. O kilka kilometrów od miasta leży Nonantola, której szkoła klasztorna w średniowieczu — jedna z pierwszych — pielęgnowała teorję muzyczną z powodzeniem. W Bolonji wyszły w XV w. trzy ważne traktaty teoretyczne muzyczne. W samem mieście znajduje się najlepszy włoski zbiór osobliwości muzycznych, które bibljoteka Liceum Muzycznego zawdzięcza gorliwości bibljografa muzyki G. M. Martiniego, a długi szereg znakomitych muzyków, których wydała prowincja Emilia, zamykają dwa nazwiska o światowej sławie: Rossini i Verdi. Wystawę urządzono również i tu w historycznym budynku: Archiginnasio, dawnej siedzibie uniwersytetu (najstarszego uniwersytetu świata), przerobionej w XVI w. w stylu odrodzenia, a rękopiśmienna część wystawy znajdowała się w sali, pamiętnej tem, że w niej Donizetti dyrygował wykonaniem *Stabat Mater* Rossiniego. Wystawa była ciekawa nietylko dla historyków muzyki, których kilku, i to wybitnych, brało udział w Kongresie. Wśród średniowiecznych kodeksów ze znakami neumatycznemi najciekawszy był Wirgiljusz *Laurentianus*, jako przykład udziału muzyki w kulturze klasycznej, *Liber Choralis* z w. XI, którego używał, jak się zdaje Gwido Monaco, *Musicae laudes in missa* (w. XII) z klasztoru w Nonantoli, wreszcie sławny kodeks *Squarcialupi* z XV w., zwany biblją Nowej sztuki (ars nuova), zawierający utwory szeregu kompozytorów, których portrety wyzierają z poważnych ornamentów inicjałów. Partytury dram muzycznych, wystawianych na dworach książęcych w XVII wieku, partytury oper z XVIII i z początków XIX w., dziś zapomnianych, z których niejedna stanowiła część repertuaru teatrów polskich, autografy znakomitych muzyków, dopełniają zbioru. Pierwszy druk muzyczny z r. 1501 (z weneckiej oficyny Petrucciego) rozpoczyna długi szereg zarówno drukowanych utworów muzycznych, jak i teoretycznych traktatów, wśród nich wiele unikatów i rzadkości (np. *Madrigali d'amore* przez Menon Tuttovalle). Madrygały, motety, utwory kościelne, różne „szkoły" na lutnię na violę, na tiorbę i gitarę, na inne instrumenty muzyczne o obcych nam dzisiaj nazwach, szereg traktatów teoretycznych o muzyce (pierwszy drukowany we Włoszech

Gaffaria Franchino z r. 1480) z ciekawemi ilustracjami, inne wydawnictwa interesujące z różnych względów jak pierwsze drukowane dzieło Palestriny, jak muzyka Piotra Vinci do sonetów Wiktorji Colonna, dają wyobrażenie o ruchliwem życiu muzycznem Renesansu włoskiego. Wiek XVII i XVIII przynosi charakterystyczne okazy, związane z życiem dworskiem, z uroczystościami, gdzie balet i muzyka stanowiły część integralną. Każdy prawie utwór muzyczny z tej epoki dedykowany jest komuś przez kompozytora, najczęściej osobom możnym i wpływowym; maluje to jasno zależne i trudne stanowisko ówczesnych muzyków, od czego nie byli wolni i najznakomitsi, dziś podziwiani przez nas, mistrze. Wśród tych dedykacyj z radością znaleźliśmy szereg „poloników"; najstarszy z tych, które zauważyłam, to *Selva dei varii passagi secondo l'uso moderno...* dedykowana przez kompozytora Francesco Taegio Rognoni, dyrektora orkiestry książęcej w Medjolanie, „alla Sacra Maestá del Re di Polonia" t. j. Zygmuntowi III w r. 1620. Drugi egzemplarz tego druku ma znajdować się w Gotha. W trzy lata poźniej inny kompozytor, Caccini, dedukuje swój utwór *Liberazione di Rugiero dall isola d'Alcina* Władysławowi Zygmuntowi, księciu polskiemu, t. j. Władysławowi IV. Inną dedykację królowi polskiemu spotykamy w r. 1721. Inne dwa polonica ze stosunków polsko-włoskich: na wydanych w r. 1598 w Medjolanie madrygałach na pięć głosów podpisuje się kompozytor, Biffi, „maestro di capella dell'ilustrissimo et reverendissimo sig. Cardinal Andrea Battorio" t. j. Andrzeja Batorego, synowca króla Stefana, wychowanego w Polsce, a na wydanym w r. 1634 dramacie muzycznym *Il S. Alessio* S. Landiego znajduje się w tytule wiadomość, że utwór ten był przedstawiony z polecenia kardynała Barberiniego księciu polskiemu Aleksandrowi Karolowi (t. j. synowi Zygmunta III, zmarłemu w wieku młodzieńczym).

W Wenecji spotkaliśmy znowu wystawy dwojakiego rodzaju: jedną regjonalną, drugą o znaczeniu ogólniejszem. Pierwsza - to stała wystawa cimeljów sławnej bibljoteki Marciana, świeżo otwarta w odnowionej wielkiej sali reprezentacyjnej. I tu, jak wszędzie, bogactwo nadzwyczajne rękopisów, druków, opraw. Tem jednak różni się ta wystawa od innych, że na wielu eksponatach znać piętno Wschodu, Bizancjum. Odzywa się tu więc echo i historji Wenecji, tego łącznika kulturalnego między Wschodem a Zachodem, jak i ślad pochodzenia Bibljoteki, ufundowanej przez kardynała Bessariona, Greka. Akt fundacyjny z przeznaczoną nań teczką skórzaną o typie wschodnim, przypomina fakt ten wymownie. Pięć opraw metalowych bizantyńskich z w. IX—XII, zdobnych w emalję i drogie kamienie, 17 rękopisów, zdobnych minjaturą bizantyńską, wśród nich Psałterz z w. X Bazylego II z portretem tego władcy i przepiękną kartą, podzieloną na sześć obrazów, przedstawiających życie Dawida, wielka biblja z w. XII,

pisana dla kościoła św. Marka, wykazująca silny wpływ stylu bizantyńskiego, to wszystko harmonizuje przedziwnie z kościołem św. Marka, który widać tuż naprzeciw z okien wielkiej sali. A ze wspaniałym gmachem renesansowym, który Sansowino stworzył dla Bibljoteki, harmonizuje zbiór inkunabułów i druków XVI w., w pierwszym rzędzie weneckich. M. i. obok druków zdobionych ręcznie, ładne okazy druków, gdzie kontur ornamentu został odbity drzeworytem, a potem ręcznie barwiony. Zbiór rękopisów iluminowanych weneckich, dwa małe arcydzieła wykonane dla Macieja Korwina: *livres d'heures*, jedna zdobiony przez Atavantego, druga, dzieło pracowni w Budzie, gdzie pracowali artyści włoscy i flamandzcy, ciekawe rękopisy perskie, a wreszcie sławny kodeks Grimani, arcydzieło flamandzkiej minjatury, to dalsze skarby weneckiej Marciany. Szczególnie interesująca i całkiem odmienna od dotychczasowych była urządzona również w Marcianie na cześć Kongresu Wystawa stu najpiękniejszych opraw włoskich. W chronologicznym układzie dawała przegląd historji oprawy włoskiej w wybranych, świetnych wartością artystyczną, przykładach. Od metalowych i kościanych opraw epoki romańskiej, (piękny okaz: Graduał z Nonantoli), na których bizantyńska surowość postaci ludzkich łączy się z wdziękiem ornamentu włoskiego, poprzez oprawy drewniane z grzbietem ze skóry, przyczem na deskach oprawy znajduje się ornament malowany nieraz przez sławnych artystów, jak Lorenzetti (eksponat z Archiwum państwowego w Siennie) albo złocone, jak w statutach partji Gwelfów z Florencji i poprzez oprawy skórzane ze ślepym wyciskiem (piękne okazy: Biblia Hebraica z Biblj. Komunalnej w Imoli, oryginalna oprawa w czerwoną skórę z białemi wyciskami z Archiwum państw. w Sienne) poprzez dworskie oprawy w aksamit lub adamaszek z ozdobami metalowemi i kościelne z takiemiż ozdobami na skórze, służącemi zarazem do wzmocnienia deski na wielkich kodeksach, dochodzimy do opraw ze skóry tłoczonej ze złoceniem, które wyszły z Neapolu, Florencji i Wenecji i w których artyści włoscy, a szczególnie introligatorzy weneccy rozwinęli niebywałą pomysłowość i artyzm. Grupa opraw północno-włoskich tego typu na wystawie jest jednym cudem. Nie można było zupełnie zdecydować się, które z wystawionych okazów są najpiękniejsze. Obok pełnej umiaru, lekko złoconej oprawy o koncentrycznym gwiaździstym ornamencie (Aug. Nimphi in metaphysica Averoys z Biblj. Komunalnej w Imoli), bogata i ozdobna z kameą na tle czerwonem pośrodku (Regola di S. Augustino z Museo Correr), obok weneckiej oprawy z prześliczną „wyklejką" na wewnętrznej stronie okładek (Ciceronis Apophtegmata z Riccardiany), wspaniały okaz również wenecki z ornamentem o typie wschodnim w skórę tłoczoną głęboko, bogato złoconą i barwioną na kolor czerwony i granatowy z lwem św Marka pośrodku (Comissione ducale di

Antonio Meno a Lorenzo Gabriel, Museo Correr), obok dyskretnych aldinów z charakterystycznym medaljonem pośrodku, oryginalna oprawa w skórę zieloną, inkrustowaną czerwoną i żółtą z ornamentem architektonicznym dla jednego z książąt sabaudzkich.

Z opraw Włoch środkowych najpiękniejsza jest oprawa z drobnemi tłokami, wykonana dla króla Macieja Korwina (z Bibl. Estense), obok niej przepiękne oprawy dwóch atlasów żeglarskich z Riccardiany, całe w drobne tłoki, tworzące koronkowy niemal ornament (katalog nr. 61, 62), a interesująca jest oryginalna oprawa dzieł Salustjusza z Bibljoteki Nar. w Neapolu, zupełnie asymetryczna z widokiem miasta Messyny. Z opraw XVII i XVIII w., w których zaznacza się już upadek sztuki introligatorskiej, spotyka się kilka okazów jeszcze godnych uwagi, jak bardzo gustowna oprawa, przypisana Monferriniemu, dla dworu w Modenie (Garimberti, L'idea di un principe z *Estense*) i jak małe cacko lśniące i błyszczące z białej skóry, barwionej i posypanej miką (Calendario per la Corte z Museo Civico w Turynie).

Po właściwem zakończeniu Kongresu urządzono jeszcze uroczystości w Medjolanie; z historycznych bibljotek tamtejszych, które nam pokazano, sławna Ambrosiana ma do tej chwili wystawę cimeljów geograficznych z bezcennym „Codice Atlantico" Leonarda da Vinci na czele, urządzoną przed dwoma laty z okazji kongresu geografów (jest tam między innemi kilka rękopisów dzieła Marcina Polaka), a bogata Biblioteca Braidense (Brera), posiadająca znakomity zbiór autografów, urządziła z okazji Kongresu wystawę swoich cimeljów, która ma pozostać na stałe. Z rękopisów jej zasługuje na uwagę Ewangeljarz z IX w. pismem karolińskiem, iluminowany mszał benedyktyński z XII w. bardzo ciekawy rękopis z XIII w. zawierający historję świętą wierszem w dialekcie medjolańskim z minjaturami nieznanego mistrza lombardzkiego, przedstawiającemi sceny o zacięciu rodzajowem, Geografia Berlinghierego, kodeks z XV w., który należał do Wawrzyńca Medyceusza, pisany piękną minuskułą humanistyczną z portretem autora i właściciela, z minjaturami szkoły florenckiej i prawdopodobnie Atavantego, Legenda o Jozafacie z pięknemi minjaturami lombardzkiemi, *Le séjours d'honneur* przez St.-Gelais (Paris, Verard, ca 1498) z drzeworytami subtelnie iluminowanemi barwą i złotem, i takiż mszał kartuzki, Ferrara, 1503. Z druków wspomnę tylko o książce ksylograficznej, jedynej, jaką bibljoteka posiada w miejsce sześciu, wywiezionych przez Napoleona I do Paryża (*Apocalypsis* ca 1450) i wspaniałym egzemplarzu na pergaminie Biblji łacińskiej Fusta i Schoeffera (1462). Szereg inkunabułów i rzadkich druków z drzeworytami poprzedza zbiór druków medjolańskich i lombardzkich. Wystawione oprawy są nieliczne, lecz cenne: oprawa z w. XV, tłoczona wypukło, aldiny, z tych jedna z pierwszych lat XVI w.

z medaljonem, przedstawiającym Orfeusza (chwilowo na wystawie w Wenecji), oryginalna, pełna prostoty oprawa wenecka (Plutarch, Venezia 1525), cztery oprawy, więcej oryginalne, niż piękne, należące do kardynała Durini (podwójne okładki, z których górna ażurowa skórzana, oraz ażurowa ze sznurów, tworzących siatkę, robota medjolańska, wiek XVII), autentyczny Grolier, kilka innych cennych opraw francuskich i wreszcie eksponat niezwykły: pudło na przechowywanie dokumentu, z odpowiednią wypukłością na pieczęć, obciągnięte czerwoną skórą, ręcznie nacinaną w ozdobny ornament, otaczający herby Sforzów i Zenonich, piękna robota medjolańska z końca XV w.

Tak wyglądała na wystawach książki dawna Italja. Dzisiejsza na polu artystycznem nie dotrzymuję jej kroku. Wystawa współczesnej oprawy w Zamku św. Anioła (coprawda urządzona nie przez Komitet Kongresu) była mniej, niż skromna: pomysłowość introligatorów nie wyszła daleko poza ramy wzorów, przekazanych przez przeszłość. Wystawa współczesnej książki włoskiej (od czasów Bodoniego do dziś) urządzona w Rzymie w Palazzo Minerva, stanowiąca drugą część wystawy historycznej księgi włoskiej, objęła przegląd druków XIX w. typowe wydania klasyków jak Monti, Foscolo, Manzoni, Leopardi, polityków Mazziniego, Cavoura, Mussoliniego i nowych poetów: Carducciego, Pascolego i d'Annunzia. Głównie położono nacisk na nowe prądy w wytwórstwie książki, na zdobycze techniczne i artystyczne. Naogół jednak, mimo wielu pięknych okazów, nowoczesna typografja i nowoczesne introligatorstwo włoskie nie doszło jeszcze do tej wyżyny, na której znajdują się te sztuki w Europie Zachodniej i Środkowej.

Z nowoczesnego bibljotekarstwa włoskiego pokazano nam dobrze wyposażoną i urządzoną Bibljotekę miejską w Medjolanie, która stanowi ośrodek bibljotek szkolnych, nie posiada jednakowoż własnego gmachu, mieszcząc się w niezupełnie odpowiednich ubikacjach parterowych i suterenowych Zamku Sforzów, oraz przedstawiono próbkę działalności i urządzeń bibljoteki dziecięcej w formie pokazu na dziedzińcu Pałaców dożów w Wenecji. Prowadzona przez organizację kobiet faszystowskich ta forma oświaty pozaszkolnej naśladuje najlepsze wzory zagraniczne. Zwiedzaliśmy również budujący się gmach Centralnej Bibljoteki Narodowej we Florencji, w którym w obecności uczestników kongresu uroczyście otwarto wykończoną salę im. Dantego, okrągłą o pięknej architekturze pseudoklasycznej, przeznaczoną na czytelnię rękopisów. Plany imponującego gmachu były zatwierdzone na kilka lat przed wojną. Magazyn, częściowo przerobiony z gmachów poklasztornych, a w pewnej części oddany już do użytku ma mieć urządzenia zupełnie nowoczesne. Rozkład biur i czytelń, będących jeszcze przeważnie w stanie surowych murów, budzi pewne wątpliwości co do swej celowości. Naogół uderza w pla-

nach szeroki gest, prawie rozrzutność w poświęceniu miejsca dla wymagań architektonicznych; piękne korytarze, obszerne hale i dziedzińce nadają budynkowi charakter gmachu reprezentacyjnego raczej, niż użytkowego. Dodaję, że powstała już także myśl budowy w Medjolanie nowoczesnego gmachu dla przyszłej wielkiej bibljoteki oświatowej według wzorów amerykańskich.

Najważniejszą z wystaw kongresowych miała być Międzynarodowa wystawa bibljotek i urządzeń bibljotecznych. Nie wzbudziła ona szerszego zainteresowania, poza kołami bibljotekarskiemi, a jedną z przyczyn było zapewne dość niefortunne jej umieszczenie w odległym od centrum miasta *Palazzo dei Belle Arti* i to n. b. w dość słabo oświetlonych ubikacjach suterenowych. Sekcje różnych krajów wypadły dość niejednolicie. Najokazalej wystąpiły Stany Zjednoczone i Niemcy, obszerne były działy francuski i włoski, najskromniej przedstawiały się Hiszpanja, Indje, Palestyna, a Rosja Sowiecka wystawiła zaledwo parę bardzo niepięknych druków. Wystawa Stanów Zjednoczonych dała pogląd na znakomity rozwój bibljotekarstwa oświatowego, przedstawiając nietylko plany, fotografje i wykresy, ale i próby wzorowych urządzeń bibljotecznych, wzory katalogów i nawet model jednej z bibljotek publicznych. Na wystawie stale urzędował ktoś z Amerykanów, udzielając objaśnień. (Wśród wystawionych książek dla dzieci znajduje się efektownie wydany Kelly'go „The trompeter of Cracov" z ilustracjami p. Anieli Prószyńskiej). Doskonale był urządzony dział niemiecki. Mapy i wykresy statystyczne odznaczały się wielką przejrzystością M. i. wystawiono wielką tablicę statystyczną bibljotek naukowych Rzeszy z podaniem cyfr czytelnictwa, budżetu, ilości tomów w stosunku do ilości mieszkańców danej miejscowości i t. p. (n. b. Gdańsk zaliczono w tych zestawieniach do miast niemieckich). Dużą poglądowością odznaczała się wielka fotografja złożona, ilustrująca rozkład czynności w *Preussische Staatsbibliotek*. Ciekawa była wystawa niemieckiego związku bibljotekarzy oświatowych, a charakter propagandowy na terenie Włoch miał osobny dział, zatytułowany: „Italja w bibljotekach niemieckich". Nie brakło broszur z opisem bibljotek niemieckich, które rozdawano zwiedzającym. Francja wystawiła przedewszystkiem urządzenia bibljoteczne, jak żelazne szafy na książki, szafy katalogowe, a nawet meble. Wśród wydawnictw bibljotekarskich i bibljofilskich francuskich znajdowały się również bardzo piękne druki Polskiego Towarzystwa przyjaciół książki w Paryżu. Podobnie i w dziale włoskim przeważały urządzenia techniczne (wśród nich dobry model photostatu, aparatu do zdjęć fotograficznych rękopisów, druków i rycin). Większość wystawców ograniczyła się do map, wykresów, fotografij i wydawnictw. W liczbie takich wystawców była i Polska. Dział polski został urządzony dzięki energji kierowników delegacji polskiej i hr. Józefa Michałowskiego, bibljo-

tekarza Stacji naukowej polskiej w Rzymie, który wywalczył dla nas miejsce na wystawie i to korzystne, przy samem wejściu, i wydobył skrzynię z eksponatami z urzędu celnego. W braku odpowiedniej służby na miejscu poważni dyrektorowie naszych bibljotek ofiarnie zajmowali się sami urządzeniem działu, i stojąc na drabinach, osobiście przybijali eksponaty. Ostatecznie dział polski przedstawiał się korzystnie i estetycznie, nie gorzej np. od Szwajcarji, Austrji, krajów skandynawskich, Japonji. Wystawiono fotografje i wydawnictwa Bibljoteki Uniwersyteckiej i Wróblewskich w Wilnie, Uniwersyteckiej, Centralnej Wojskowej, rapperswilskiej i Krasińskich w Warszawie, oraz Jagiellońskiej w Krakowie, która wystawiła nadto interesujące plany nowego gmachu. Nie nadeszły, niestety, na czas eksponaty bibljotek lwowskich i poznańskich, oprócz niewielu druków poznańskich. Wystawiono też w dziale polskim przez czas trwania kongresu monumentalne nasze wydawnictwa bibljograficzne w pięknych oprawach, wypożyczone uprzejmie przez Bibljotekę Polską w Rzymie, co ogromnie przyczyniało się do podniesienia wyglądu wystawy. Natomiast w porównaniu do innych krajów bardzo brakowało w dziale polskim map i wykresów, dających pogląd na całość bibljotekarstwa w Polsce. Szkoda, że nie znalazły się w Rzymie dublety efektownych eksponatów z tego zakresu z P. W. K. w Poznaniu.

Całość wystawy w *Accademia dei belle arti* dawała mniej, niż można było się spodziewać, ale uprzytomniła jeszcze raz (na przykładzie Stanów Zjednoczonych i Niemiec) ogromne znaczenie dobrej organizacji takich pokazów dla propagandy kraju na terenie międzynarodowym. Podobna nauka daje się wyciągnąć z ogólnego wrażenia, jakie sprawił Kongres. Międzynarodowe zjazdy, to przedewszystkiem ogniowa próba i to nietylko dla gospodarzy, ale i dla tych, którzy przyjeżdżają. Indywidualna korzyść uczestników jak i korzyść dla postępu nauki, czy organizacji zawodowej, jest przeważnie o wiele mniejsza, niż wartość wrażenia, jakie wywiera poziom i organizacja przedstawicieli danego kraju na obcych. Nie są to rzeczy małej wagi. Popsuć sobie międzynarodową reputację, choćby na ograniczonym terenie, jakim jest bibljotekarstwo, łatwo, naprawić — trudniej. Zdaje się, że na Kongresie Bibljotek grupa polska przeszła próbę nienajgorzej.

Jeszcze słówko o wydawnictwach zjazdowych. Wydawnictw bibljofilskich, luksusowych, w które tak obfitują nasze zjazdy bibljotekarskie, a zwłaszcza bibljofilskie, było zaledwie parę i to w tak niewielkiej liczbie egzemplarzy, że nie miałam sposobności nawet widzieć ich zbliska. Teksty, dotyczące Kongresu, były powielane poprostu na maszynie. Natomiast zostały ofiarowane uczestnikom zjazdu, wydane starannie, w jednolitych okładkach, katalogi wystaw specjalnych urządzonych z racji Kongresu, niektóre z ilustracjami. Szczególnie starannie został opracowany przez dyr. Fava

katalog wystawy *di edicioni principi* w Modenie, wydany przez inspektorat bibljoteczny prowincji Emilia i nie należący właściwie do Kongresu katalog nowourządzonej wystawy cimeljów bibljoteki Brera w Medjolanie, opracowany przez dyr. hr. Gnoli. Ponadto związki bibljotekarzy niektórych krajów, bądź też sami autorowie referatów, postarali się o przygotowanie i rozdanie uczestnikom zjazdu drukowanych streszczeń, bądź nawet opracowań *in extenso*. Tak postąpili amerykanie, dając swe ważniejsze referaty *in extenso* po angielsku i w streszczeniu francuskiem i włoskiem, tak postąpili skandynawowie, dając swe referaty w językach rozpowszechnionych w Europie, wszystkie drukowane jednolicie i w jednakowych okładkach (zdaje się odbitki z *Nordisk Tidskrift för Bok-och biblioteksväsen*), tak też postąpili Czesi, ofiarowując zjazdowi obszerną broszurę, zawierającą ich czołowe referaty i bibljografję przekładów dzieł włoskich na język czeski. Niemcy rozrzucili obficie na wystawie broszury z opisem swych bibljotek, Duńczycy wydali ładnie broszurkę informacyjną *The Libraries of Denmark*, Amerykanie rozdawali nawet dawniej wydaną broszurę o Bibljotece Kongresu. Niektóre czasopisma poświęciły Kongresowi specjalne numery (*Nordik Tidskrift, Accademie e bibljoteche d'Italia, Literarisches Zentralblatt* i i.), a wydawnictwo Hoepli ofiarowało tym uczestnikom, którzy mieli odwagę dotrzeć aż do Medjolanu, książkę, nie należącą wprawdzie do wydawnictw kongresowych, ale b. cenną: najnowsze wydanie słownika skrótów paleograficznych Cappellego. Z Polski, o ile wiem, ofiarowano tylko wydaną przez Ministerstwo Oświaty *Statystykę druków za pierwszy kwartał 1929 r.*, referat Al. Birkenmajera z planami przyszłego gmachu Bibljoteki Jagiellońskiej, katalog Ameisenowej minjatur włoskich w Bibljotece Jag. i pewną ilość numerów czasopisma *Petit Courrier de France et de Pologne*, wydawanego w Krakowie i w Grenoble. Oprócz ostatniego i nadpisów francuskich w statystyce — wszystko w języku polskim. Szkoda, że tym razem Polska nie postarała się o własne wydawnictwa w obcych językach, a przedewszystkiem o druk referatów kongresowych tak, jak to zrobili inni. Można było przeznaczyć na to, bez straty dla nauki, a z korzyścią dla propagandy kulturalnej, część funduszów, zużytych na niektóre wydawnictwa, które ukazały się z okazji zjazdu bibljotekarzy polskich w Poznaniu. Ale... stało się. Teraz nadrobić to przeoczenie byłoby chyba trudno. A w każdym razie, jeśliby miało się je nadrobić, to trzeba to zrobić zaraz. *)

Na zakończenie jedno spostrzeżenie ze stosunków bibljotekarskich we Włoszech, spostrzeżenie, obchodzące coprawda

*) W imię słuszności dodaję jednak, że trzy druki, tłoczone w Polsce, a zwłaszcza oba krakowskie, odznaczają się bardzo wysokim poziomem i stanowiły na Kongresie dowód dojrzałości naszej sztuki typograficznej.

tylko połowę rodu ludzkiego, choć podobno „większą“ połowę. Oto wśród nazwisk bibljotekarzy włoskich w bibljotekach państwowych nawet na wyższych stanowiskach, wśród referentów sekcji włoskiej, można było zauważyć sporo nazwisk kobiecych. Dużo mówi się o antyfeminizmie Włochów w ogólności, a obecnego kierownika rządu włoskiego w szczególności. Widocznie jednak nie jest tak źle. Może lepiej, niż u nas.

Dr. Zofja Ciechanowska.

Uwaga: W pierwszej części sprawozdania z Kongresu (*Przegląd Powsz.* wrzesień 1929) na str. 341 zostało pominięte stwierdzenie, że w grupie spraw technicznych omawiano również kwestję budynków bibljotecznych, a sprawę kształcenia bibljotekarzy zaliczono, z powodu wypuszczenia paru wierszy przy łamaniu do tejże grupy, zamiast do grupy spraw zawodowych.

REDAKTOR I WYDAWCA: *KS. JAN URBAN T. J.*

Druk ukończono dnia 2 października 1929 r.

O misję religijną Polski na Kresach wschodnich.

W pierwszych latach po odzyskaniu przez Polskę niepodległości mało kto z nas posiadał jakikolwiek konkretny plan odnośnie do zagadnień wyznaniowych na wschodnich rubieżach. Polska odzyskiwała szmat ziemi, niegdyś do niej należącej, z ludnością wyznania prawosławnego, której dziadowie jeszcze byli przeważnie katolikami, unitami. Długi czas granice od wschodu nie były ustalone, toczył się o nie bój zawzięty ze szczęściem zmiennem; ostatecznie traktat ryski granice te wytyczył, a dokonany spis ludności znalazł w Rzeczypospolitej około trzech miljonów wyznawców dysydenckiego Kościoła wschodniego.[1]) Stanowi to mniej więcej $10^1/_2\%$ wszystkiej ludności Państwa Polskiego. W niektórych województwach, jak wołyńskie i poleskie, prawosławna ludność stanowi przygniatającą większość. Kwestja ustosunkowania się katolickiego narodu, jakim jest naród polski, do tej akatolickiej masy narzuca się sama przez się i domaga się poważnego zastanowienia się i rozstrzygnięcia. Kwestja ta w dodatku tem bardziej nie jest czysto akademicką, ponieważ w granicach państwa posiadamy drugą zwartą grupę wyznaniową, plemiennie z tamtą ściśle związaną, mianowicie grupę Rusinów w b. Galicji, dochodzącą do trzech i pół miljona, a pozostających w jedności kościelnej, chociaż nie

[1]) Niekiedy, nawet przez publicystów, którzy winniby posiadać dokładny obraz stanu prawosławia w Polsce, bywa podawana liczba prawosławnych 4 miljony. Jest to cyfra tendencyjnie przesadzona. Zob. *Przegl. Powsz.*, luty 1929, str. 246 i nn.

obrządkowej z nami. Oczywiście możnaby całą tę kwestję wyznaniową uważać za nieistniejącą, nie troszcząc się wcale o to, kto jaką w państwie wyznaje religję i pozostawiając wszystko *in statu quo*. Tak, naprzykład, czyni u nas zwykle prasa radykalna różnych odcieni, która oburza się, ilekroć ktoś wspomni o jakiejś misji religijnej Polski na wschodzie. Jednakże i ona — wymieniona prasa — nie umie utrzymać tego stanowiska konsekwentnie, bo nie oburza się na propagandę wszelkiego sekciarstwa nawet wśród katolików, owszem bierze je w obronę, ilekroć sposobność do tego nadarzy się. Snać dopuszcza wolną propagandę wszelkich wierzeń i wolną konkurencję wszystkich Kościołów; jeżeli od dobrodziejstwa tej zasady wyklucza katolicyzm, to czyni to jedynie wskutek swego specyficznie wrogiego stanowiska właśnie względem katolicyzmu. Nic dziwnego chyba, że katolicka, religijna część narodu polskiego ma prawo nie popełniać tej niekonsekwencji i ma prawo, owszem — obowiązek postawienia sobie pytania: jak się ustosunkować religijnie względem tych miljonów współobywateli, którzy wyznają Chrystusa, nie należą jednak do Jego prawdziwego Kościoła.

Że w pierwszych latach wolności politycznej nie postawiono sobie na serjo tego pytania, to łatwo da się wytłumaczyć. Chaotyczność stosunków na wschodnich kresach, zaabsorbowanie umysłów sprawami polityki bieżącej, utrwalanie materjalnego zrębu państwowości, brak przygotowanych sił do jakiejkolwiek akcji religijnej nazewnątrz — oto okoliczności, które wcale nie sprzyjały podjęciu poważnej akcji misyjnej, a nawet obmyśleniu konkretnego programu na przyszłość. Na kresach ograniczono się do odebrania pewnej liczby świątyń (bynajmniej nie wszystkich), które niegdyś katolickie, przemocą były Kościołowi wydarte i na cele kultu obcego oddane. Katolicyzm częściowo dźwigał się z ruiny, do jakiej przywieść go usiłowały rządy carskiej Rosji. Co do zdobyczy dusz, to pominąwszy pewną liczbę jednostkowych nawróceń, nie czyniono ze strony katolickiej prawie nic, jakby w oczekiwaniu, że prawosławie w Polsce samo się rozpadnie i wyznawcy jego tłumnie zwrócą się do Kościoła, kiedy stosunki w kraju uporządkują się i utrwalą.

O ile wiem, tylko w paru parafjach Lubelszczyzny zarządzone były zaraz w pierwszym roku niepodległości misje ludowe w celu ułatwienia przyjęcia katolicyzmu tym, którzy się wahali, jakby stojąc na rozdrożu. Pewne poczynania w kierunku przypomnienia prawosławnym niedawnej unji były podjęte na Podlasiu i Wołyniu ze strony przedstawicieli cerkwi unickiej z Galicji, zdawałoby się najbardziej i z natury rzeczy do takiej akcji powołanych. Poczynania te jednak, zresztą nader skromne, nie mogły mieć powodzenia w atmosferze wzajemnej niechęci, jaką wytworzyła waśń narodowościowa we wschodniej Galicji jeszcze przed wojną, a która spotęgowała się, kiedy tworzono bez udziału Polski traktat brzeski, a potem w ogniu walki orężnej o Lwów i Małopolskę wschodnią. Jeżeli wtedy myślano u nas cokolwiek o prawosławiu, to myśl ta przybierała przedewszystkiem ten wyraz: „tylko nie taka unja, jak w Galicji!" Zresztą podświadomie, jeżeli nie wyraźnie, tliła optymistyczna nadzieja, że prawosławni łatwo przejdą na łaciński obrządek, co będzie nawróceniem gruntowniejszem i pewniejszem.

Po kilku latach stosunki się jako tako wyklarowały i utrwaliły. Ale utrwaliło się wraz z niemi prawosławie w Polsce. Popowracali na opuszczone podczas wojny placówki duchowni prawosławni, uchodzący teraz z Rosji przed prześladowaniem bezbożnego bolszewizmu. Powróciły także masy ludu, wysiedlonego przez uchodzącą przed Niemcami Rosję. Powstała hierarchja cerkiewna, którą rząd polski uznał i uposażył, czego mu zresztą nie można brać za złe. Osiągnięto dla tej hierarchji tak zwaną autokefalję, to jest usamodzielniono Cerkiew prawosławną w Polsce w stosunku do Moskwy, co było także posunięciem ze stanowiska państwowego koniecznem. Przy pomocy państwa dokonywa się dalsza konsolidacja Cerkwi w Polsce przez utworzenie teologji prawosławnej na Uniwersytecie warszawskim, reorganizację seminarjów duchownych; wypracowywa się (zresztą powoli) statut, mający ostatecznie uregulować położenie prawne Cerkwi w państwie i stosunek jej do rządu. Te wszystkie posunięcia, ze stanowiska państwowości polskiej usprawiedliwione, sprawiają i ten skutek, że Cerkiew prawosławna, w Rosji tak srodze poniżona, rozbita i zdemo-

ralizowana, w Polsce cementuje się w jeden blok zwarty, podnosi się i organizuje, rośnie w powagę w oczach własnych wyznawców. Żeby nikt nie posądził nas, że my się tem martwimy, dodaję, że nawet ze stanowiska katolickiego wolimy mieć do czynienia z prawosławiem silniejszem, lepiej zorganizowanem, z klerem bardziej wykształconym i moralniejszym, niż z mnóstwem sekt, z ciemnotą i chaosem. Ten drugi stan może ułatwiałby nawracanie jednostek na katolicyzm, mimo to z zasady należy nawet w obcem wyznaniu cenić więcej ład i porządek, które są pierwiastkami dodatniemi i katolickiemi i inowiercom, pozostającym w swem wyznaniu w dobrej wierze, dają więcej środków do utrzymania się na pewnym poziomie życia religijnego i moralnego, niż cerkiew znajdująca się w upadku, rozbiciu, toczona przez sekciarstwo albo niemoralność swych ministrów.

Nie smucąc się bynajmniej dokonywującą się w pewnej mierze konsolidacją prawosławia w Polsce, musimy jednak stwierdzić, że ta konsolidacja zmniejsza szanse licznych nawróceń jednostkowych albo grupami z prawosławia na katolicyzm. Rzecz oczywista będą one i nadal się trafiały, wywoływane przez okoliczności życiowe, zwłaszcza przy zawieraniu małżeństw, jak zresztą trafiają się także odstępstwa od katolicyzmu. Będzie to zwykły ruch międzywyznaniowy, właściwy wszystkim środowiskom mieszanym w krajach, gdzie istnieje wolność religijna. Nie można jednak takich nawróceń uważać za coś równoznacznego z poważną akcją Kościoła w kierunku nawrócenia prawosławnych. Przed katolicyzmem w Polsce problem akcji misyjnej wśród prawosławnych staje dopiero obecnie w całej swej powadze, ujawniając zarazem całą trudność przedsięwzięcia.

Dla katolików najbardziej miarodajnemi pod tym względem muszą być wskazania Stolicy Apostolskiej. Są one powszechnie znane. Począwszy od smutnego odpadnięcia greckiego Wschodu od jedności katolickiej, papieże nigdy nie ustawali w nawoływaniu go do powrotu do tej jedności i nie szczędzili żadnych wysiłków, by tego celu dopiąć. Przyczem było stałą zasadą Rzymu, że się wschodnich dysydentów wzywa tylko do jedności wiary i do uznania papieża za widomą Głowę Kościoła z pozostawieniem im w całości tych

odrębnych obrządków zewnętrznych i osobliwości w karności kościelnej, które są właściwe wschodnim kościołom, pochodzą z głębokiej starożytności i doskonale godzą się z wszystkiem, co w wierze katolickiej jest istotnem. Wiadomo jak ta sprawa pozyskania dla Kościoła odłączonego Wschodu z zachowaniem dlań obrządku rodzimego leżała na sercu kilku ostatnim następcom św. Piotra do obecnego Ojca św. włącznie. Utworzenie odrębnej Kongregacji dla Kościoła Wschodniego, potem — osobnej przy niej Komisji dla Rosji, założenie Instytutu Wschodniego, wreszcie Rosyjskiego Kolegjum w Rzymie mówią same za siebie.

Jeżeli u nas, w pierwszych latach naszej wolności, nie robiono nic w kierunku urzeczywistnienia tych wskazań, to widzieliśmy już dlaczego tak było. Długo jednak taka inercja trwać nie mogła, i domagania się przezwyciężenia jej wyszły na ten raz z dołu, od samych wiernych. Na Podlasiu bowiem, gdzie po wypadkach 1875 r. zdawało się zanikła wszelka myśl wskrzeszenia pogrzebionej Unji, bo masy ludności broniące się przed narzucanem im prawosławiem przeszły na obrządek łaciński, ujawniły się pewne choć nieliczne grupy wśród prawosławnych, które zapragnęły powrotu do wiary ojców, ale z zachowaniem rodzimego wschodniego obrządku. Słowem zapragnęły wskrzeszenia unji. Fakt tem stwierdził niejednokrotnie Ks. Biskup podlaski. Można się na te domagania zapatrywać tak lub inaczej, trzeba jednak stwierdzić — mniejsza o to, czy to stwierdzenie przyjmie kto za uznanie czy przyganę — że ze strony polskiego duchowieństwa nie było w tym kierunku ani żadnej agitacji, ani wielkiego zapału. Kiedy jednak prośby o unję, czy jak to zaczęto nazywać — o katolicyzm słowiańskiego obrządku, doszły do władz kościelnych, czy wolno było ich nie wysłuchać? Byłoby to nietylko niezgodne z pragnieniami ludu, ale i Stolicy Apostolskiej; nadto byłoby to wprost niezrozumiałem i nielogicznem, by w czasach, kiedy się nie przeciwdziała zakładaniu egzotycznych sekt i schizm narodowych, miało się postawić *veto* domaganiom się chociażby niewielkiej grupy ludzi, pragnących wyznawać wiarę katolicką w tej postaci, w jakiej ją wyznawali przed pół wiekiem ich ojcowie.

Taka jest geneza owego obrządku katolicko-słowiańskiego, który się począł organizować na wschodnich Kresach byłego zaboru rosyjskiego. Spełniając prośby paru grup byłych unitów, Ks. Biskup Przeździecki porozumiał się w jesieni 1923 r. ze Stolicą Apostolską i otrzymał upoważnienie do erygowania pod swoją jurysdykcją parafij z obrządkiem wschodnim, i rzeczywiście kilka takich parafij powstało na Podlasiu już w ciągu roku 1924. Kiedy podobne możliwości ujawniły się także w innych wschodnich diecezjach, analogiczne uprawnienia uzyskali w Rzymie Ks. Biskupi wileński, piński i łucki, pod których duchowną opieką i władzą poczęły także powstawać ośrodki katolicko-słowiańskie. Takich „parafij" w obecnej chwili we wszystkich czterech wymienionych diecezjach istnieje około 30-u, mniej lub więcej zorganizowanych, przeważnie jednak nielicznych i walczących z trudnościami zarówno materjalnej, jak i duchowej natury, o których wspomniemy później.

Od dawnej, skasowanej na tych terenach unji, jako też od Cerkwi unickiej w wschodniej Małopolsce odróżniają się te grupy tem, że cały układ i sposób odprawiania nabożeństwa pozostaje w nich ten sam, jaki istnieje w Cerkwi prawosławnej z dodaniem tylko modlitwy za papieża i katolickiego biskupa, podczas gdy unja dawna, jako też galicyjska wprowadziła z biegiem czasu pewne zmiany liturgiczne, mianowicie w dodatkowych nabożeństwach i administrowaniu sakramentów, zbliżające ją bardziej do Kościoła łacińskiego. Druga różnica polega na tem, że nowe ośrodki katolicko-słowiańskie na Kresach nie posiadają własnej, jak w Galicji, hierarchji biskupiej, lecz pozostają pod jurysdykcją biskupów łacińskich. Te dwie różnice wytworzyły pewną sytuację, która może się komuś wydać paradoksalną, mianowicie, że obrządek wschodni zachowuje większą czystość i stoi dalej od wpływów łacińskich pod kierownictwem właśnie łacińskich biskupów, niżeli w odrębnej organizacji unickiej w Małopolsce. Odpowiada to zresztą wskazówkom Stolicy Apostolskiej, polecającej unikać w zewnętrznym kulcie i zwyczajach nowo powstających ośrodków unickich wszystkiego, coby mogło odstręczać od nich prawosławnych,

nasuwając im podejrzenia, jakoby zjednoczenie z Kościołem rzymskim dążyło do latynizacji i wynarodowienia.

Wymienione dwie cechy nowych ośrodków katolicko-słowiańskich — zależność ich od biskupów łacińskich i większy puryzm liturgiczny — obok napomkniętych powyżej okoliczności natury politycznej, spowodowały, że w obsłudze ich pominięto prawie zupełnie pomoc ze strony kleru ruskiego diecezyj galicyjskich, gdy zaś stworzenie odrębnego duchowieństwa nie mogło być dziełem jednej chwili, obsługa nowych parafij była powierzona nieomal wyłącznie księżom, którzy byli dotąd duchownymi prawosławnymi a prawie równocześnie z powstawaniem tych neo-unickich parafij poczęli zgłaszać swoje przystąpienie do Kościoła katolickiego. Były wypadki, że oni właśnie pociągali za sobą część swoich byłych parafjan i tworzyli te nowe placówki katolickie. Obok nich stanęło do tej pracy kilku kapłanów, którzy dla niej przeszli z obrządku łacińskiego na wschodni, jako też byli wzywani poszczególni zakonnicy z ruskich galicyjskich zgromadzeń OO. Bazyljanów i Redemptorystów, wreszcie Ks. Jezuici polscy — zaraz od początku akcji — przy hojnem poparciu hr. Pusłowskich, dali początek w Albertynie pod Słonimem nowej, wschodniej gałęzi swego zakonu, zakładając nowicjat, który coraz piękniej się rozwija. Objęli także kilka placówek duszpasterskiej pracy. Ponadto idea pracy katolickiej nad prawosławnymi natchnęła grono pań i panien polskich w Warszawie do założenia poświęconego tej pracy zgromadzenia żeńskiego, które też rzeczywiście powstało przed dwoma laty pod nazwą Sióstr Misjonarek od Najśw. Serca Jezusowego. Dom macierzysty, dzięki przychylności J. E. ks. metropolity Jałbrzykowskiego, założony został w Wilnie, gdzie się bujnie rozwija i skąd siostry rozchodzą się na inne placówki, zakładając ochrony dla dzieci i pracownie robót. Dla wykształcenia kapłanów katolicko-słowiańskiego obrządku, oprócz wzmiankowanego nowicjatu w Albertynie i domów studjów jezuickich, J. E. ks. Biskup łucki Szelążek w roku 1928 założył odrębne seminarjum w Dubnie; ponadto w tymże obrządku wychowuje się i kształci część alumnów Instytutu misyjnego w Lublinie, pozostającego pod zarządem J. E. ks. metropolity mohylewskiego Roppa.

Oto w ogólnych zarysach stan obecny owej akcji katolicko-słowiańskiej, zapoczątkowanej przed pięciu laty dopiero, a mogącej wykazać się już poważnemi r e z u l t a t a m i. Czy te rezultaty można zaaprobować w całości i bez zastrzeżeń? Niestety, nie. Dwa przedewszystkiem s m u t n e objawy zaciemniły czystość obrazu. Pierwszym z nich były dezercje księży, nawróconych z prawosławia. Niektórzy z nich, czy to zawiedzeni w swoich rachubach na awans lub korzyści materjalne, czy z innych powodów — niech ich Bóg sądzi — zdradzili pokładane w nich zaufanie Kościoła i powrócili do Cerkwi prawosławnej, w której zresztą nie spotkali się z radosnem przyjęciem, otrzymując lekceważącą nazwę ptaków wędrownych — *pierielotów*. Ich ucieczka z unji, którą tylko co zachwalali, wprowadziła dezorjentację wśród wiernych, których część także odpadła od jedności kościelnej, a wśród kleru łacińskiego i społeczeństwa polskiego posiała nieufność do konwertytów-księży wogóle, nawet tych, którzy nie dali się pociągnąć złemu przykładowi i przy Kościele pozostali. Rzecz oczywista, że okazywana tym ostatnim nieufność nie ułatwia im pracy, lecz trudności, skądinąd niemałe, powiększa i do pracy zniechęca.

Podobnie przykrem zjawiskiem jest niestałość w wierze niektórych przyłączonych do unji grup ludności. W rzeczywistości niektóre z nich przyjęły unję bez rozważenia doniosłości swego kroku. Odnosi się to do tych parafij, które zwróciły się do konsystorza katolickiego o unickiego księdza z powodu chwilowych zatargów z władzą duchowną prawosławną lub chwilowego nieobsadzenia przez nią jakiejś cerkwi. Traktowały ten swój krok jakby przejście z pod jednej władzy pod drugą w obrębie tegoż Kościoła, kiedy zaś ze strony prawosławnej ustąpiono ich żądaniom, lub w inny sposób zaagitowano, cofały niedawne swe oświadczenia za księdzem unickim. Tu i owdzie, gdzie także cerkiew przeszła we władanie unitów, jak w Dokudowie na Podlasiu, lub w Żabczu na Wołyniu, powstały walki o posiadanie świątyni między tymi, co unji pozostali wierni, a tymi, co ją znowu opuścili. Takie zajścia, rzecz oczywista, dyskredytowały całą akcję: prawosławnym dostarczały sposobności do oskarżania misjonarzy unji, iż wciągają do niej wiernych

podstępnie, katolików usposabiały zbyt pesymistycznie co do wartości wszystkich tych nawróceń na obrządek słowiański; prasie ruskiej we wschodniej Małopolsce dawały okazję do cierpkich uwag pod adresem Polaków, którzy zabrali się do „nieswojej roboty", usuwając od niej kler unicki z Galicji, a w rezultacie z zadania włożonego na siebie wywiązać się nie umieją. Pomienione smutne fakty wywołały większą ostrożność w przyjmowaniu prawosławnych na łono Kościoła katolickiego; od pewnego czasu nie słychać o masowych nawróceniach całych wsi czy parafij; co do duchownych prawosławnych, to pod wpływem poczynionych także gdzieindziej doświadczeń, wyszła nawet w tym roku instrukcja z Komisji rzymskiej pro Russia, zastrzegająca decyzję ich przyjmowania do Kościoła Stolicy św., względnie jej delegatom w odnośnych krajach.

W ogniu tych doświadczeń smutnych wytrzymały jednakże próbę zarówno liczne jednostki, jak i skupienia ludności, przyłączone z prawosławia do katolicko-słowiańskiego obrządku. Oczyścił się on przeważnie z niepewnych żywiołów i wszedł w okres głębszego katolickiego uświadomienia i względnej stabilizacji. Praca misyjna poszła raczej w głąb, zamiast rozlewać się wszerz, ale powierzchownie.

Wypada teraz zapytać, jak naogół odnosi się do całej tej sprawy społeczeństwo katolickie. Oczywiście może tu być mowa jedynie o tej jego części, której stanowisko takie czy inne może zaważyć na szali dalszych wypadków. Można pytanie sformułować inaczej: jak się na tę sprawę zapatruje prasa polska, boć ona albo jest wyrazicielką opinji ogółu, albo ją tworzy, a jest łatwiejsza do zbadania, niż wewnętrzne zapatrywania i nastroje zbiorowe.

Pominiemy prasę, redagowaną przez przedstawicieli Kościoła, której stanowisko zasadnicze łatwo zgóry odgadnąć, a które z zewnętrznych jej wynurzeń możnaby przeciętnie określić jako powściągliwie życzliwe. Życzliwe, boć przecie któż z prawdziwych sług i synów Kościoła mógłby wrogo się odnosić do akcji, mającej na celu sprowadzenie dysydentów do jedności kościelnej? Życzliwe wszakże powściągliwie, bez entuzjazmu, raz z powodu bliższych, bezpośrednich trosk za mało licznego duchowieństwa

łacińskiego o stan własnego obrządku, powtóre z powodu wymienionych powyżej smutnych doświadczeń z nowym nabytkiem katolicko-słowiańskim, wreszcie pod wpływem pewnych rozważań, mniej płynących z ducha katolicyzmu, a podnoszonych przez prasę świecką. Jeden raz tylko pewien organ diecezjalny umieścił artykuł, podający wprost w wątpliwość celowość całej katolicko-słowiańskiej akcji. Co się tyczy duchowieństwa polsko-łacińskiego na Kresach, które ma możność ujawnienia w czynie swego stosunku do tej akcji, to obok życzliwych dla niej całą duszą kapłanów, istnieją i tacy, co trzymają się od niej na uboczu, z pewnem wyczekiwaniem i rezerwą, a księża wschodniego obrządku uskarżają się niekiedy na brak czynnego poparcia ze strony łacińskich konfratrów.

Przejdźmy do prasy świeckiej. Prasa lewicowa, z socjalistyczną na czele, albo zagadnieniem katolicyzacji Kresów wschodnich wcale nie zajmuje się, albo jeśli o próbach w tym kierunku podejmowanych wspomina, to wypowiada wyraźną do nich niechęć. Zrozumiałe to jest ze względu na zasadniczy stosunek radykalnych menerów lewicowych do religji i spraw Kościoła katolickiego. Wspomnieliśmy, że ci panowie raczej gotowi są popierać wszystkie poczynania sekciarskie, dążące do osłabienia katolicyzmu. Na łamach prasy umiarkowanej i prawicowej kwestja wskrzeszenia unji na kresach wschodnich zjawia się czasem, nie była wszakże dotąd omawiana wyczerpująco i głęboko. Zrazu pewna nieufność, aż do przestrzegania przed „niebezpieczną robotą", później obojętne notowanie faktów, podawanych przeważnie przez Katolicką Agencję Prasową — oto wszystko, co można powiedzieć o prasie stołecznej i prasie miast, dalej położonych od terenów, na których powstają ośrodki unickie. Nic więc dziwnego, jeżeli w ogromnej większości katolicy polscy albo o tej akcji wcale nie wiedzą, albo nie orjentują się, o co chodzi, albo traktują ją, jako coś dalekiego, egzotycznego.

Omawianemu zagadnieniu najwięcej uwagi poświęca prasa wileńska i to różnych odcieni, zarówno narodowo-demokratyczny *Dziennik,* jak demokratyczny *Kurjer,* ziemiańskie *Słowo,* wreszcie *Przegląd Wileński,* reprezentujący

zapatrywania tak zw. „krajowe", uosobione w p. Ludwiku Abramowiczu. Zainteresowanie dzienników wileńskich tą sprawą jest zrozumiałe, skoro jest to najpoważniejsza prasa na terytorjum istniejącej niegdyś unji, której tradycje dotąd nie zupełnie wygasły. Otóż stosunek tej prasy do prób wskrzeszenia unji, chociaż rozmaicie motywowany, naogół jest raczej niechętny, niż życzliwy.

A zatem jeden z dzienników, hołdując ideologji nacjonalistycznej, przestrzega przed wskrzeszaniem unji, jako przed imprezą szkodliwą dla narodu polskiego. Unja, zamiast zbliżać ludność ruską czy białoruską do polskości, utrwala między niemi przedział, stając się wyznaniem narodowem owych grup niepolskich, a pozostającem pod opieką Kościoła katolickiego i jego władz najwyższych. Unja to narzędzie nacjonalizmów obcych. Przy nawracaniu prawosławnych na obrządek łaciński wciąga się ich w orbitę wpływów polskich, czego się nie osiąga, pozostawiając im obrządek wschodni. Misją kulturalną Polski na wschodzie jest krzewienie tam cywilizacji łacińskiej; sprzeniewierza się ona temu zadaniu, podtrzymując obrządek wschodni, tak ściśle związany z cywilizacją inną -- bizantyńską czy turańską. W historji unja okazała się tworem nietrwałym, który też legł pod ciosami zaborcy, podczas gdy Kościół łaciński oparł się wszelkim uderzeniom, zaś upadek unji pozbawił Polskę miljonów jej synów, zasilił narodowość wrogą. Słowem, unja w przeszłości była błędem ze strony polskiej, błędem, którego nie należy więcej powtarzać.

Inny dziennik staje na gruncie rozważań państwowej natury. W zasadzie jest przychylnym wielkiej idei zjednoczenia Kościołów, sądzi jednak, że gdy narazie niema dostatecznych danych, by można było spodziewać się gremialnego przyłączenia się prawosławia do katolicyzmu, zaniechać należy odrywania od niego cząstek, jako systemu, który drażni tylko prawosławną większość i zbliżenie się jej do Kościoła opóźnia. W Cerkwi prawosławnej na naszych Kresach upatruje ów dziennik czynnik dodatni, ostoję przeciwko sunącemu od Wschodu bolszewizmowi, należy przeto w interesie państwa czynnik ów wzmacniać, opiekować się nim, przywiązać go do państwowości polskiej. W celu utrzy-

mania jedności Cerkwi radzi przeciwdziałać dążeniom w niej odśrodkowym, jak tendencjom do zdemokratyzowania Cerkwi i uwzględnienia w niej żądań narodowościowych ukraińskich i białoruskich.

Inny jeszcze głos byłby raczej za poparciem tych dążeń i przywróceniem prawosławiu w Polsce jego dawnych lokalnych osobliwości liturgicznych i obyczajowych, co oddaliłoby je od prawosławia moskiewskiego i związało ściślej z Polską. Ostatnie dwie koncepcje zgadzają się z pierwszą w tem, że unję brzeską uważają za błąd historyczny i nieszczęście, którego nie należy wskrzeszać. Raczej z prawosławia uczynić coś w rodzaju religji upaństwowionej. Dodajmy jeszcze tutaj podejrzenia, padające ze strony ukraińskiej i białoruskiej, a częściowo rosyjskiej, że organizowanie obrządku katolicko-słowiańskiego jest podstępną taktyką i narzędziem w celu spolonizowania kresowej ludności — a będziemy mieli prawie wszystkie odmiany sądów prasy, a zapewne i sądów społeczeństwa o wszczętej przed kilku laty akcji unijnej na Kresach.

Przytoczyliśmy te sądy głównie w tym celu, aby dać obraz rzeczywistych w a r u n k ó w, w jakich wskrzeszenie unji się dokonywa, a t m o s f e r y, w jakiej się ona rozwija. Są one przeważnie n i e p o m y ś l n e. Trudno więc powstrzymać się od paru nad owemi sądami refleksyj.

Najpierw co się tyczy przeszłości, to owo dzieło, uznane za jedno z największych w dziejach Polski: Unja brzeska stała się drzewem pochyłem, na które skaczą wszystkie dziennikarskie kozy. A zdaje mi się, że te surowe oceny aktu z r. 1596, te jego potępienia nie tyle płyną z prawdziwego naukowego przekonania, jak raczej są fabrykowane na użytek pewnych postulatów własnej ideologji. Najpierw co do przypisywania brzeskiej unji nam, Polakom, to dużo jest w tem nieścisłości. Prawdę mówiąc, nie zdobyliśmy wielkiego tytułu do chluby, jeśli to było dzieło wielkie i pożyteczne, i nie potrzebujemy się bić w piersi i żałować za grzechy, jeśli było ono historyczną pomyłką. Rzecz w tem, że nie my, ale kto inny był twórcą owej unji. Dokonywała się ona w Rzeczypospolitej polskiej, autorami jej byli przeważnie ludzie z polskiem poczuciem państwowem, jeśli

chcemy — patrjoci polscy, w rodzaju biskupów Pocieja i Terleckiego, a potem św. Józafata Kuncewicza i metropolity Rutskiego i stąd można się wyrażać o Unji brzeskiej, jako o dziele poniekąd polskiem — ale bądź co bądź wymienieni byli to ludzie, których nie możemy bez zastrzeżeń uważać za swoich, za Polaków w spółczesnem nam znaczeniu słowa, bo byli to ludzie świadomi swej odrębności plemiennej i szukający dobra przedewszystkiem swoich bliższych współplemieńców i współwyznawców. Myśl o unji zrodziła się i dojrzała w umysłach samych biskupów ruskich, przez lat kilka omawiali ją oni na swoich naradach prowadzonych w głębokiej tajemnicy; unji chcieli oni nie dlatego, by do niej byli pchani przez rząd Rzeczypospolitej, lub zachęcani przez społeczeństwo polskie, ale ponieważ w niej upatrywali jedyny środek do wydobycia Cerkwi z anarchji, chaosu i moralnego upadku, w jakim się znajdowała w drugiej połowie szesnastego wieku. Ze strony polskiej, ze strony katolików łacińskich, mamy do zanotowania parę książek Skargi, Herbesta, w których odszczepieństwo kościelne było zwalczane argumentami teologicznemi i historyczno-politycznemi, mamy przychylne poparcie zabiegów o unję ze strony biskupów łacińskich Solikowskiego ze Lwowa i Maciejowskiego z Łucka, mamy wreszcie opiekę ze strony Zygmunta III i kanclerza Zamoyskiego, lecz tego wszystkiego może za mało, byśmy mogli powiedzieć: „my stworzyliśmy unję brzeską". Zwłaszcza, jeśli się weźmie pod uwagę, że sejmy polskie nie miały stanowczej odwagi poprzeć zawartej unji całą powagą Rzeczypospolitej, owszem traktowały sprawy unickie niechętnie, jako kłopotliwe; że dalej Władysław IV dał takąż opiekę wskrzeszonej pokątnie hierarchji dyzunickiej, jaką jego ojciec otoczył unję; że wreszcie unja nigdy nie doczekała się zrównania w prawach z obrządkiem łacińskim, czego dowody mamy w niedopuszczeniu biskupów unickich do senatu, w gorszących sporach sufraganów łacińskich z metropolitą unickim o precedencję. Jeżeli będziemy upatrywali błąd naszych ojców w tem, że wogóle dopuścili do zawarcia unji brzeskiej przez episkopat ruski — bo zaprawdę odpowiedzialność chyba za to tylko spada na

nich — to trzeba przyznać, że potem dużo oni uczynili, by okazać, że tego „błędu" żałują.

Czy w istocie był to błąd szkodliwy? Żeby to pytanie rozstrzygnąć, musielibyśmy wiedzieć jak wyglądałyby dalsze dzieje Cerkwi ruskiej i stosunki między ludnością ruską a państwowością polską bez unji. Ale tu weszlibyśmy na grząski grunt dowolnych przypuszczeń, boć owe „byłoby tak, gdyby nie to", owa dziedzina tak zwanych „futuribiljów" to dziedzina wiedzy jedynie Bożej. Co byłoby bez unji? Prawdopodobnie szlachta ruska stałaby się polską, jaką stała się i przy unji, a lud pozostałby w odszczepieństwie. Taka sytuacja pozostawiałaby nadal możliwość mieszania się do spraw polskich czynnikom obcym, Moskwie carskiej i patrjarszej, jak mieszały się te czynniki do naszych spraw z tytułu pozostania pewnej tylko części Rusinów przy dyzunji. Nawracanie ludu na obrządek łaciński, gdyby do tego doszło, dałoby chyba powód do jeszcze silniejszych oskarżeń Polski o gwałcenie sumień, niż z powodu tolerowania unji z obrządkiem rodzimym. Czy wogóle latynizacja była do pomyślenia, jeśli wprowadzenie unji napotkało u ludu na tyle trudności? Widzimy, że na jedno pytanie można odpowiedzieć kilku pytaniami, niemniej kłopotliwemi, jak pierwsze.

Zresztą jeżeli unja była „błędem", czy można go było uniknąć i czy Polsce wolno było to zrobić? Przypuśćmy, że Skargowie, piszący książki „O jedności Kościoła Bożego", byli to „fanatycy", pozbawieni zmysłu państwowego; przypuśćmy, że „fanatykiem" był Zygmunt III, ale co powiedzieć o kanclerzu Zamoyskim, owym trzeźwym i najwybitniejszym mężu stanu szesnastego stulecia, a przecież unja i w nim znalazła gorącego opiekuna i orędownika! Chyba widział w niej zdarzenie politycznie doniosłe dla Polski. I może błąd zawierał się nie w tem, że rząd Rzeczypospolitej inicjatywę biskupów ruskich przyjął i w początkach poparł, lecz raczej w tem, że następnie polityka rządu i sejmów nie poszła konsekwentnie po tej samej linji, że nie przeszkodzono wskrzeszeniu hierarchji dyzunickiej, a przez to rozbiciu narodu ruskiego na dwa wrogie obozy, że na unję

patrzano jako na coś mniej wartościowego i praw równych z obrządkiem łacińskim jej nie przyznano.

Jeden z szan. publicystów wileńskich, przestrzegając przed powtórzeniem „błędu" unji brzeskiej, mniema, że obecne prawosławie w Polsce, nie drażnione przez propagandę na rzecz katolicko-wschodniego obrządku, przyhołubione przez państwo polskie, stanie się skłonnem do pogodzenia się gremialnie z Kościołem katolickim. Lecz, czyż byłoby to czem innem, jak nową unją brzeską? Wszak wtedy nie zakładano żadnych parafij słowiańskich pod władzą biskupów polskich, wtedy Cerkiew nie mogła skarżyć się na prozelityzm ze strony katolików, bo jeśli traciła wielu swych wyznawców, to raczej na rzecz protestantyzmu, który zresztą czynił znaczne szczerby i w Kościele łacińskim. I wtedy to biskupi ruscy gremialnie zwrócili się w imieniu swych kościołów do papieża i króla z gotowością uznania zwierzchnictwa Kościoła katolickiego. Czyż to nie było tem samem, czego ów publicysta, którego mam na myśli, każe się spodziewać po dzisiejszych biskupach prawosławnych, potępiając jednocześnie unję brzeską? Sądzimy, że w naszych czasach ani on, gdyby o podobnej sprawie decydował, ani nikt w rządzie, chociażby dla Kościoła najbardziej nieprzychylny, nie odrzuciłby podobnej gotowości ze strony prawosławnej hierarchji, gdyby gotowość do unji w niej się objawiła, ani nie śmiałby takiemu aktowi przeszkodzić. Przecież — jeżeli można użyć porównania z rzeczy mniejszych — nie stawia się zasadniczo przeszkód innej unji w odwrotnym kierunku, to jest unji z prawosławiem odrywających się od katolicyzmu grup w rodzaju Huszny, lub unitów na Łemkowszczyźnie.

Unja brzeska w Polsce — żalą się jedni — była pomostem do latynizacji i wynarodowienia na rzecz polskości i ten cel w znacznej mierze osiągnęła. Unja brzeska nie spełniła pokładanych w niej przez Polskę nadziei i upadając pod ciosem prześladowania pociągnęła miljony Polaków do apostazji nietylko religijnej, ale i narodowej — taki akt oskarżenia formułują drudzy. Z pierwszymi — są nimi prawosławni — nie będę się tu rozprawiał. Drugim natomiast — są nimi nasi narodowcy — zwrócę uwagę, że popełniają

niekonsekwencję, bo sądząc, iż przez upadek unji straciła polskość wiele ze stanu swego posiadania, tem samem unitów uważają za Polaków, a ponieważ Polakami ich ojcowie w chwili zawierania unji brzeskiej nie byli, przeto chyba uczyniła ich Polakami potępiana dzisiaj unja. Jak tam było z polskością unitów, zwłaszcza mas ludowych, za czasów Siemaszki, dużoby o tem było do mówienia; rzecz w tem, że w oskarżeniach należy być logicznym. Można unji zazarzucać, że była złem narzędziem polonizacji (czy dyzunja była lepszem?), ale w takim razie nie należy mówić o postradaniu „Polaków" na rzecz prawosławia i rosyjskości.

Ale w tym zarzucie tkwi jeszcze błąd inny, ważniejszy. Bo oto wartość katolicyzmu mierzy się jedynie usługami, oddawanemi przezeń polskości. Unja jest szkodliwa, bo albo wcale, albo zbyt mało polonizuje. Obrządek łaciński jest pod tym względem korzystniejszy i on tylko zasługuje na poparcie. Katolicyzm a polskość są synonimami na naszych Kresach — takie i tym podobne zdania wychodzą z ust i z pod piór dość często albo wyraźnie, albo spowite w zawiłe dowodzenia. Zapewne są one konsekwentne ze stanowiska integralnego nacjonalizmu, ale trzeba z całym naciskiem stwierdzić, że taki nacjonalizm nie ma nic wspólnego z uniwersalnością katolicką. Przeniesiony na grunt religijny, tworzyłby dla Kościoła sytuację bez wyjścia, bo nakładałby nań zadania wręcz sprzeczne. Wszak, jeśli nacjonalizm polski ma prawo domagać się od Kościoła, by służył interesom polskości przedewszystkiem, to chyba ma prawo domagać się od Kościoła tego samego na swoją korzyść nacjonalizm ruski, litewski i każdy inny. Proszę sobie wystawić sytuację Kościoła na terenach, gdzie się zderzają nacjonalizmy sprzeczne, walczące o pomnożenie każdy swego stanu posiadania! Jeżeli gdziekolwiek duchowieństwo ulegało takim wymaganiom polityki nacjonalistycznej, to zaiste zapoznawało ducha swego Kościoła, przynosiło mu więcej szkody, niż pożytku, w rezultacie ostatecznym nawet własnemu narodowi szkodziło.

W szczególności misyj katolickich nie wolno pojmować jako funkcji żadnego narodowego imperjalizmu. Wszelkie objawy takiego imperjalizmu podcinają w korzeniu skutecz-

ność misji, wywołują odpór ze strony w ten sposób nawracanych. Odnosi się to nawet do misyj w dziewiczych kulturalnie głębiach Afryki, tem bardziej do poczynań katolickich wśród ludów o rozwiniętej już, lub budzącej się świadomości narodowej. Dlatego i u nas nie wolno wprzęgać katolicyzmu do żadnej roboty nacjonalistycznej, bez względu na to o jakim nacjonalizmie mowa. A to dotyczy zarówno obrządku łacińskiego, jak i każdego innego. Polskiemu księdzu może być miłem, jako Polakowi, wyobrażanie sobie postępów polskiego języka, kultury, patrjotyzmu wśród „mniejszości" narodowych; skoro jednak wybiera się do tych mniejszości z ewangelją, z nawoływaniem do jedności kościelnej, musi iść do nich bez żadnych celów ubocznych, zaborczych, lecz jedynie tylko mając na oku pozyskanie ich dla wiary, którą uznaje za prawdziwą. Dlatego też obowiązany jest przemawiać do nich w tym języku, w jakim oni z nim rozmawiać zechcą, w jakim jego praca będzie dla religji pożyteczniejsza. Zatem pojmowanie naszego katolickiego powołania na wschodzie, jako szerzenia polskości jest nie do przyjęcia. Inna rzecz, jeśli ta ludność, innemi drogami do polskości zbliżona, sama od Kościoła tego się domaga, by ją w tym języku obsługiwano i za polską uważano. Bo Kościół, jak nie może stawać się sługą żadnych imperjalizmów, tak nie jest też powołany specjalnie do obrony tej czy innej narodowości wbrew tendencjom, nurtującym w niej samej. On dąży do celów nadprzyrodzonych — do dania społeczeństwom Chrystusa, Jego prawa sprawiedliwości i zgody, słowem do budowania królestwa Bożego na ziemi. Jeśli przytem przynosi korzyści jakiemuś narodowi w znaczeniu pomnożenia jego stanu posiadania, to osiąga się to ubocznie mocą szczególnych warunków historycznych, nie zaś mocą posłannictwa Chrystusowego. Ci z narodowców, którzy krzywem okiem patrzą na obrządek katolicko-słowiański, jako na narzędzie nieprzydatne do wzbogacenia polskości na Kresach, niechaj wezmą pod uwagę, że nawet w łacińskim obrządku, na wypadek jego znaczniejszych zdobyczy wśród prawosławnej ludności, niechybnie powstanie kwestja językowa w miarę budzenia się odrębnej świadomości narodowej u mniejszości kresowych i kwestję

tę Kościół katolicki na pewno rozwiąże według swoich zasad, jak będzie uważał za korzystniejsze dla religji, nie zaś według pobocznych podszeptów takiego czy innego nacjonalizmu.

Tutaj trzeba odrazu dodać, że jak niekatolickiem jest podporządkowywanie poczynań misyjnych wymaganiom nacjonalizmu polskiego, tak podobnie dalekiem jest od ducha katolickości robienie z unji odrazu jakiegoś narodowego Kościoła białoruskiego, rosyjskiego lub ukraińskiego z wojowniczą postawą wobec polskości i łacińskiego obrządku.

To, co się powiedziało o podporządkowywaniu misji katolickiej interesom narodowościowym, można zastosować do innego wymagania, by misja religijna Polski służyła koniecznie szerzeniu kultury czy cywilizacji „łacińskiej". Nie wdając się w dochodzenia czem jest właściwie owa „łacińska cywilizacja", należy przypomnieć, iż Kościół katolicki, jako wszechświatowy, nie może się identyfikować z żadnym poszczególnym typem kulturalnym, lecz ma za zadanie przesycić wszystkie takie typy jednym Chrystusowym duchem. Zresztą, jeśli pod mianem cywilizacji łacińskiej mamy rozumieć udział jakiegoś narodu w dorobku kulturalnym Europy, w jej nauce, sztuce, ustroju społecznym i prawnym, to trudno się dopatrzeć niemożliwości pogodzenia z nią bizantyjskiej formy liturgji czy słowiańskiego języka w nabożeństwie. Minęły bowiem dawno te czasy, kiedy obrządek i język liturgiczny stanowiły o przynależności do tej czy innej grupy kulturalnej i były najważniejszym środkiem łączności takich grup.

Stwierdziliśmy dotąd fakt wskrzeszenia na Kresach wschodnich unji kościelnej pod nazwą katolicko-słowiańskiego obrządku. Skonstatowaliśmy jednocześnie skromne narazie rozmiary i wyniki tego ruchu. Widzieliśmy trudności jego zarówno wewnętrzne, jak i pochodzące z atmosfery niewiary i niechęci do tego przedsięwzięcia i roztrząsnęliśmy nieuzasadnione zarówno skargi, jak pretensje do unji. Nie możemy zakończyć artykułu bez postawienia pewnych horoskopów na przyszłość i bez apelu do katolickiej części narodu.

Czy unja kościelna na naszych wschodnich kresach ma widoki rozwoju? Odpowiadam, że zależeć to będzie od wielu czynników nadprzyrodzonych i naturalnych. Pod czynnikami nadprzyrodzonemi rozumiem wolę i łaskę Bożą; i tych, jako katolik, jestem pewien. Jeżeli Chrystus jedność swoich wyznawców uczynił przedmiotem swojej arcykapłańskiej modlitwy do Ojca niebieskiego, to niewątpliwie Jego wolą, jakoby w testamencie przekazaną, jest praca nad przywróceniem owej jedności wszędzie, gdzie ona została rozdarta. Tak rozumie swe posłannictwo Kościół powszechny, stróż i spadkobierca Chrystusowego ducha, i dlatego nie przestaje nawoływać odpadłych od jedności katolickiej dysydentów, by do niej powrócili. Pracując nad sprowadzeniem odłączonego Wschodu do Stolicy Piotrowej, Kościół nie narzuca unifikacji obrządkowej, bo i bez niej istotna jedność Kościoła i wiary jest możliwa. Pozostawia powracającym ich liturgję i uprawnione zwyczaje. Słowem żąda od nich tej formy katolicyzmu, czyli należenia do powszechnej jedności, jaką u nas zwykliśmy nazywać „unją". Skoro „tak Bóg chce" i chce Kościół, to ufajmy, że takiemu dziełu Bóg będzie błogosławił, łask swych nie skąpiąc, byle tego dzieła ludzie nie psuli, lecz je jedni życzliwie poparli, drudzy dlań pracy i ofiar nie poskąpili.

Zatem rozchodzi się o stworzenie dlań warunków naturalnych. Opatrzność przywróciła nam wolność polityczną i tem zachęciła do podjęcia owego posłannictwa, którego w swoim czasie dostatecznie Polska nie spełniła, chociaż spełniać zaczęła. Na pierwszy plan chodzi o wytworzenie dla naszej misji religijnej i kulturalnej na wschodzie życzliwej atmosfery. Należy porzucić zgóry robione podejrzenia, nie narzucać Kościołowi obcych mu zadań. Należy patrzeć na tę sprawę śmiałem okiem nadprzyrodzonej wiary i dać pierwszeństwo interesom Bożym przed małostkowem pojmowaniem interesów doczesnych. Utyskujemy na brak programów w naszem życiu politycznem, na brak przewodniej myśli, śmiałego czynu. Zwłaszcza wszyscy powtarzamy, że na Kresach wschodnich żyjemy z dnia na dzień, na nic stanowczego nie umiejąc się zdecydować. Czy nie byłoby taką godną Polski przewodnią ideą, taką śmiałą my-

ślą — wytknięcie sobie za zadanie pozyskania prawosławia dla jedności kościelnej? I niktby — broń Boże — nie żądał od rządu Rzeczypospolitej prześladowania prawosławnych, pozbawiania ich praw obywatelskich lub mienia. Nie drogą presji państwowej dążylibyśmy do celu, lecz wypełniając nakaz Chrystusowy: „idźcie, n a u c z a j c i e wszystkie narody". Chodzi o to, aby tym nakazem przejęło się jeszcze głębiej, niż dotąd, nasze duchowieństwo, społeczeństwo zaś katolickie aby poparło kapłanów i misjonarzy swą solidarnością myślenia, a rząd — zaufaniem do akcji kościelnej i nie przeszkadzaniem jej przynajmniej.

Metody akcji misyjnej na naszym wschodzie, po dotychczasowych doświadczeniach, będą się niechybnie doskonaliły. Dopomoże do tego nawet krytyka, byleby życzliwa, której akcja katolicka chętnie powinna wysłuchiwać. Gdy ktoś doradza pracować nad przybliżeniem gremialnego pojednania naszego prawosławia z Kościołem, to oczywiście przypomina coś, co jest i naszem najgorętszem pragnieniem. Praca w tym kierunku winna być szczególnie u nas podjęta w postaci poważnych *sine ira et studio* badań nad różnicami dzielącemi prawosławie od nas i nad przeszłością Kościoła, jak również w postaci popularnej literatury, rozpraszającej uprzedzenia do Kościoła katolickiego, wiekami nagromadzone. Czy są jakie inne sposoby oddziaływania katolickiego na prawosławie narazie nie widzę. Przyszłość może je wyłoni i wskaże.

Oczyszczając grunt pod upragnione połączenie masowe, nie może jednak Kościół zaniechać jednostkowych nawróceń ani tworzenia grup nawróconych. Nie może, bo gdy głosi prawdę katolicką, nie wolno mu jednocześnie odtrącać od siebie tych, co tę prawdę uznają i na gremialny powrót do niej swych braci czekać nie zechcą. Wynika to z natury przekonań religijnych wogóle i dlatego jest krzyczącą niekonsekwencją czynić z tego zarzut specjalnie katolicyzmowi. Organizowanie zaś unickich parafij staje się konsekwentną koniecznością nawróceń jednostkowych, a przytem daje prawosławnym żywy dowód, że Kościół katolicki w istocie pragnie i umie uszanować odrębności rytualne wschodnie i na-

wołując dysydentów do jedności, nie zmierza do ich latynizacji ani wynarodowienia.

Poparcie życzliwe poczynań Kościoła względem naszych prawosławnych współobywateli staje się jednym z ważnych obowiązków katolickiego społeczeństwa i opinji publicznej. Warto, aby o tem więcej myślano, mówiono i pisano. Prawda, że tyle innych wielkich zagadnień czeka w Polsce na rozwiązanie, ale może dobrze będzie pamiętać na słowa: *Szukajcie naprzód Królestwa Bożego i sprawiedliwości jego, a reszta będzie wam przydana.*

Ks. Jan Urban T. J.

Na marginesie I-go Zjazdu Polaków z Zagranicy.

Jednym z najbardziej charakterystycznych rysów w życiu naszego narodu po uzyskaniu niepodległości stał się fakt, że odrodzona Rzeczpospolita nie objęła swemi granicami wszystkich Polaków. Okazało się w momencie zespalania byłych trzech zaborów, że Polska stała się większa, że przerosła dotychczasowe pojęcia etnograficzne czy historyczne. W okresie niewoli bowiem narosła niespodziewanie nowa dzielnica polska, różna zasadniczo od trzech pozostałych, gdyż granice jej przekraczają wszelkie sztuczne i naturalne tamy i barjery, sięgnęły do oceanu Atlantyckiego i Spokojnego, dotarły nieomal do obydwóch biegunów i równika. Zjawiskiem tem, rozszerzającem w nieznany nam dotychczas sposób pojęcie Ojczyzny — stały się skupienia polskie zagranicą.

Otóż, faktem jest, że bardzo znaczna liczba naszych braci, gdyż w chwili obecnej niemal 7 miljonów, zmuszona jest do przebywania poza granicami Rzeczypospolitej w dwudziestu kilku państwach nietylko kontynentu europejskiego, ale i krajów zaoceanicznych.

Co spowodowało takie rozproszenie się nas po świecie? Gdzie szukać należy przyczyn tego faktu, że po uzyskaniu niepodległości co czwarty Polak nie korzysta z dobrodziejstw własnego państwa, zmuszony do przebywania na obczyźnie?

Przyczyn jest tych zasadniczo dwie. Pierwsza z nich to traktaty powojenne — druga to emigracja. Traktaty powojenne — nakreślając granice odrodzonego Państwa Pol-

skiego — pozostawiły sporo naszych braci w państwach ościennych. Są to mniejszości polskie w Niemczech, Czechosłowacji, Rumunji, Republikach Sowieckich, na Litwie, na Łotwie oraz w Estonji, w ogólnej liczbie ponad 2 miljony. Jest to ludność osiadła na ziemiach etnograficznie i historycznie polskich, które zrządzeniem losu w obecnym momencie historycznym zostały wciągnięte w orbitę wpływów innych państw.

Druga przyczyna tego zjawiska — emigracja — datuje się niemal od rozbiorów Polski, gdyż już wówczas przemoc zaborców wygnała z kraju pierwsze zastępy tułaczów. Był to początek emigracji politycznej, którą zasilały nieustannie późniejsze wypadki polityczne, rozgrywające się na ziemiach polskich przez cały wiek XIX i początek XX.

Równolegle z tą emigracją już w drugiej połowie XIX w. rozpoczyna się z Polski nierównie liczniejsza emigracja gospodarcza, wychodźctwo dobrowolne, zarobkowe, spowodowane nędzą wsi i jej przeludnieniem, słabym rozwojem przemysłu i niskiemi zarobkami robotników fabrycznych. Wychodźctwo to, w poszukiwaniu znośniejszych warunków bytu rośnie z roku na rok, nie ograniczając się już do kontynentu europejskiego. Przekracza ono morza i oceany, przenika do Ameryki, gdzie w dziewiczych puszczach Brazylji i innych krajów Ameryki Południowej pragnie chłop polski zaspokoić swój głód ziemi, a robotnik wychodźca ima się najcięższej pracy na ziemi czy pod ziemią, byleby zarobić na chleb codzienny.

Ta fala emigracyjna doprowadziła do tego, że dziś mamy koło 5 miljonów wychodźców. Biorą oni żywy i znaczny udział w życiu społeczeństw, w których przebywają, są częściami składowemi machin państwowych republik zachodnich czy amerykańskich. Dobrobyt, potęga i rozkwit Stanów Zjednoczonych A. P., pochód cywilizacji i kultury w głąb dziewiczych lasów Brazylji, odbudowa zrównanych z ziemią w czasie wojny światowej departamentów wschodniej Francji, kwitnący stan rolnictwa w Niemczech — toć tego wszystkiego dokonano w znacznej, jeśli nie w przeważnej mierze dzięki niezmożonej, wytrwałej pracy naszych braci - emigrantów.

Uzyskanie niepodległości nie zahamowało procesu emi-

gracyjnego, gdyż zahamować go nie mogło. Wielki, blisko półmiljonowy przyrost naturalny ludności w ciągu roku oraz ciężkie warunki gospodarcze, w jakich znalazła się Polska bezpośrednio po wojnie — każą nam przypuszczać, że sporo jeszcze czasu upłynie, nim ten olbrzymi przyrost rąk roboczych znajdzie w kraju naturalne warsztaty pracy. Wskazuje na to bilans pierwszego 10-lecia niepodległości, z którego wynika, że w ciągu tego czasu opuściło kraj ojczysty przeszło miljon osób, z czego 500 tysięcy emigrowało za ocean, reszta zaś osiadła w państwach europejskich, w pierwszym rzędzie we Francji. O reemigracji zaś masowej do kraju w chwili obecnej nawet marzyć nie można.

A więc realne warunki życiowe, w jakich znalazła się Polska Niepodległa, postawiły nas wobec tragicznego zagadnienia: 7 miljonów braci naszych musi przebywać poza własnym organizmem państwowym, przyczem liczbę ich powiększa z roku na rok — i powiększać nie przestanie w latach najbliższych — blisko 150-tysięczna armja wychodźców, szukających chleba, własnych warsztatów pracy, znośniejszych warunków bytowania, możliwości rozwoju. W ten sposób tracimy bezpowrotnie ten bezcenny, olbrzymi kapitał, jakim jest te sto kilkadziesiąt tysięcy ludzi zdrowych, pełnych inicjatywy i zapału, niezmordowanych tytanów pracy, budzących niekłamany zachwyt i podziw cudzoziemców.

Stan taki nie mógł trwać zbyt długo. Z jednej strony bowiem trzeba było dać wszystkim Polakom zagranicznym jakiś głębszy cel całej ich pracy narodowej, jakiś istotny sens ich życiu zbiorowemu. Przedtem tym jedynym celem, któremu poświęcano wszystko, było uzyskanie niepodległości. Z chwilą powstania Państwa Polskiego wyłoniło się pytanie: co dalej? Niestety, pierwsze 10 lat niepodległości na to pytanie nie udzieliło żadnej odpowiedzi. Zbyt zajęci byliśmy naszemi wewnętrznemi kłopotami tu w kraju, aby myśleć o tem, że tam gdzieś na świecie, w odległych o tysiące kilometrów wsiach i miastach biją miljony serc polskich, które męczą się w poszukiwaniu nowych form bytu, nowych metod pracy, nie mogąc znaleźć pozytywnej odpowiedzi na pytanie: co dalej? Poza tem te 7 miljonów Polaków poza granicami państwa — toć to olbrzymi rezerwuar ludzki, to ol-

brzymia potęga, to niezmierzone poprostu zasoby energji potencjalnej, którą w odpowiednich warunkach można zużytkować dla pożytku Rzeczypospolitej. Należało więc nareszcie pomyśleć o nawiązaniu ścisłej łączności pomiędzy Polonją Zagraniczną a Macierzą.

Chodziło tu przedewszystkiem o stworzenie nowej ideologji dla skupień polskich zagranicą, ideologji, któraby stała się bodźcem do dalszego wytrwania i do zachowania poczucia świadomości narodowej. Poza tem chodziło o wytworzenie takich form organizacyjnych, któreby pozwoliły naszym skupieniom zagranicznym współpracować z krajem, a to przez utrzymywanie stałej łączności kulturalno-narodowej z Macierzą.

Konieczność dokonania tych prac stawała się coraz bardziej palącą wobec świadomej i planowej akcji wynaradawiania, jaką rządy poszczególnych państw rozpoczęły niemal na wszystkich terenach, zamieszkiwanych przez Polaków. Należało więc jak najszybciej przyjąć tę narzuconą walkę i przejść do ofensywy.

* * *

Inicjatywę zwołania I-go Zjazdu Polaków z Zagranicy wysunął na jesieni 1925 r. Związek Obrony Kresów Zachodnich, jasno zdając sobie sprawę z ogromu niebezpieczeństw, które wynikały z braku stałego kontaktu między środowiskami zagranicznemi polskiemi a krajem. Celem zrealizowania tej myśli powołano do życia Komitet Organizacyjny Zjazdu.

Stworzono go w drodze porozumienia trzech organizacyj społecznych w kraju, mających za zadanie utrzymywanie łączności wśród Polaków zagranicą, a mianowicie: Związku Obrony Kresów Zachodnich, Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego i Towarzystwa imienia Adama Mickiewicza.

Komitet musiał przedewszystkiem ustalić cele, zasady i sposoby organizacji Zjazdu. Natrafiono tu odrazu na poważne trudności i zasadnicze różnice zdań. Wysuwano nawet koncepcję, aby zwołać równolegle dwa Zjazdy — jeden mniejszościowy, drugi emigracyjny — a to ze względu na

różne formy i warunki życiowe poszczególnych środowisk polskich zagranicą. Ostatecznie jednak zgodzono się na zwołanie jednego Zjazdu ze względu na konieczność zamanifestowania łączności duchowej wszystkich Polaków bez względu na granice i państwa zamieszkania. Jako główny cel Zjazdu ustalono zbliżenie kulturalne z krajem ojczystym. Jeśli bowiem pod kątem widzenia prac kulturalno-oświatowych spojrzymy na życie Polonji Zagranicznej, to zaobserwujemy, że wszędzie bez wyjątku istnieją mniejsze lub większe trudności do zaspokojenia tych potrzeb. Tak samo, gdy chodzi o stronę gospodarczą, istnieją duże analogje pomiędzy poszczególnemi środowiskami, gdyż niemal wszędzie zagranicą Polacy są elementem proletarjatu miejskiego lub wiejskiego.

Komitet Organizacyjny stanął na stanowisku, że Zjazd ma być nietylko zamanifestowaniem duchowej łączności, ale że równocześnie winien on sprecyzować warunki bytu i wszelkie najżywotniejsze potrzeby Polaków z Zagranicy, oraz ustalić formę stałej łączności z krajem.

Jedną z największych trudności było ustalenie zasad ordynacji wyborczej na Zjazd. Trzeba było bowiem wyszukać takie formy, któreby pogodziły zasadę powszechności wyborów z zasadą proporcjonalności, bez zmajoryzowania Zjazdu przez najliczniejsze skupienia polskie na niekorzyść słabszych, ale twórczych i ważnych. Zasady te po dłuższej dyskusji ustalono w sposób następujący:

„Jako jednostkę terytorjalną, z której następują wybory na Zjazd przyjmuje się w zasadzie państwo. Wyjątek stanowi Rzesza Niemiecka, gdzie Polacy zamieszkują oddzielne terytorja na Wschodzie, jako autochtoni, a inne części państwa — jako emigranci. Z państwa niemieckiego wybiera się zatem delegatów oddzielnie:

a) ze Śląska Opolskiego, *b)* z Mazowsza Pruskiego *c)* z Warmji i Powiśla, *d)* z Pogranicza (na Zachodzie od Pomorza i Poznańskiego), *e)* ze środkowych i zachodnich części państwa.

Każde terytorjum z liczbą Polaków od 5 do 100 tysięcy ma prawo wysłać na Zjazd trzech delegatów. Z terytorjów o liczbie Polaków większej wybiera się: trzech delegatów na pierwsze 100 tysięcy, a po jednym delegacie na

każde dalsze sto tysięcy. Terytorja z liczbą ludności polskiej do 5 tysięcy wysyłają po jednym delegacie.

W zasadzie wybiera lub powołuje delegatów w każdem państwie Związek Polaków, w niem istniejący, a łączący ogół ludności polskiej na podstawie wspólności narodowej i kulturalnej.

W tych krajach, gdzie ludność polska jest zorganizowana słabo, albo też nie ma jeszcze żadnej organizacji, Komitet Organizacyjny I-go Zjazdu wyszuka jednostki czynniejsze, pracujące społecznie i narodowo, i poruczy im, na podstawie wzajemnego porozumienia, przeprowadzenie wyboru delegatów z uwzględnieniem miejscowych stosunków i możliwości.

W takich krajach, które posiadają organizacje ludności polskiej, ale w których Polacy nie mają Związku Ogólnego — wyboru delegatów dokonywują najliczniejsze organizacje kulturalno-oświatowe, gospodarcze i zawodowe polskie".

Obliczono, że zgodnie z temi zasadami przybędzie na I-szy Zjazd Polaków z Zagranicy, którego termin wyznaczono na dzień 3 maja 1927 r., 120 delegatów. Następnie jednak, wskutek specjalnych próśb poszczególnych terenów, które wykazywały, że zostały niedocenione — liczbę delegatów powiększono do 134.

Cele Zjazdu sprecyzował Komitet Organizacyjny w odezwie, którą wydał do wszystkich środowisk polskich zagranicą:

„Celem tego Zjazdu jest nawiązanie stałej łączności kulturalnej Was, Polaków na obczyźnie, między sobą i z krajem ojczystym bez naruszenia obowiązków Waszych w stosunku do państwa, w którego granicach współżyjecie z miejscowem społeczeństwem.

Zjazd rozważy, w jaką formę ma być ujęta łączność Wasza z krajem i współpraca, w jaki sposób najkorzystniej dla siebie i Polski macie być rzecznikami Rzeczypospolitej i obrońcami Jej interesów".

Odezwa ta spotkała się z gorącem uznaniem wszystkich zagranicznych środowisk polskich, które w Zjeździe tak pojętym widziały nareszcie możliwość realizacji swych najśmielszych nadziei i projektów.

Wszystko było na jak najlepszej drodze. Niespodziewa-

nie w momencie przedzjazdowym, wskutek wysunięcia całego szerego objekcyj, wątpliwości, a nawet utrudnień przez ówczesnego Prezesa Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego, nastąpiło rozbicie Komitetu Organizacyjnego Zjazdu przez wystąpienie delegatów P. T. E. z Komitetu — i Zjazd został w ostatniej chwili odwołany. Komitet Organizacyjny wydał komunikat, w którym wyjaśnił powody odroczenia terminu Zjazdu, stwierdził jednak, że w dalszym ciągu — mimo powstałych trudności — będzie akcję rozpoczętą prowadził nadal i wezwał wszystkie środowiska polskie zagranicą do ścisłej współpracy w realizowaniu Zjazdu.

W kraju Komitet organizacyjny rozpoczął starania, mające na celu uzgodnienie poglądów w sprawie Zjazdu wszystkich miarodajnych czynników. Praca ta trwała dość długo. Dopiero w marcu 1929 r. odbyło się zebranie Komitetu Organizacyjnego — na którem po przeprowadzeniu zmian personalnych — zatwierdzono zasady, plan i program Zjazdu, opracowane jeszcze w r. 1927 oraz ustalono, że Zjazd odbędzie się w nowym terminie w dniu 14 lipca 1929 r. w Warszawie, Poznaniu i Krakowie. Protektorat nad Zjazdem raczyli objąć: Pan Prezydent Rzeczypospolitej Prof. Dr. Ignacy Mościcki, Pierwszy Marszałek Polski Józef Piłsudski oraz J. E. Ks. Kardynał Prymas August Hlond.

Egzekutywą Komitetu Organizacyjnego, dla sprężystego kierowania akcją przygotowawczą, był Komitet Wykonawczy w składzie: Przewodniczący Marszałek Senatu Prof. Dr. J. Szymański, Vice-Prezesi: Pp. Roman Kutyłowski i Wacław Gawroński, Członkowie: Pp. Michał Pankiewicz, Stefan Szwedowski, Stefan Lenartowicz, Adam Stebelski, Por. Apolonjusz Zarychta.

Dział Programowy rozpoczęła opracowywać Komisja Programowa pod przewodnictwem p. Adama Stebelskiego. Całokształt spraw organizacyjnych przekazano Komisji Organizacyjnej z p. Stefanem Szwedowskim jako przewodniczącym na czele. Komisja Organizacyjna podzieliła się na kilka sekcyj, które objęły poszczególne działy pracy. Były to sekcje: Komunikacyjna, Kwaterunkowa, Aprowizacyjna, Lokalów Zjazdowych, Łączności oraz Prasy i Propagandy. Prócz tego z inicjatywy Komisji powołano do życia Stołeczny

Komitet Przyjęcia Delegatów Zjazdowych, w skład którego weszli przedstawiciele organizacyj społecznych stolicy. Komitet ten zajął się opracowaniem programu pobytu delegatów w Warszawie i wszelkich uroczystości z tem związanych. Program pobytu uczestników Zjazdu w Poznaniu i Krakowie opracowała Komisja Organizacyjna w porozumieniu z Panem Prezydentem miasta Poznania — Ratajskim i Prezydentem miasta Krakowa — Rollem.

Praca w Komitecie Wykonawczym oraz w obydwu Komisjach, Programowej i Organizacyjnej była prowadzona celowo, systematycznie i z niesłabnącą energją. To też stwierdzić należy objektywnie, że jeśli I-szy Zjazd Polaków z Zagranicy udał się pod każdym względem, to jest to zasługa organizatorów, którzy w swych celowo prowadzonych pracach przygotowawczych potrafili wszystko zgóry przewidzieć oraz opracowali program Zjazdu w najdrobniejszych szczegółach.

Ogromnem ułatwieniem w pracach Komitetu Organizacyjnego było poparcie najwyższych dostojników państwowych z Panem Prezydentem Rzplitej na czele, współpraca rządu i czynników samorządowych, wreszcie pomoc organizacyj społecznych w kraju, które z całem oddaniem dokładały wszelkich starań, aby Zjazd wypadł pod każdym względem imponująco.

Komitet Organizacyjny natychmiast po swej rekonstrukcji w marcu r. 1929 wysłał do wszystkich środowisk polskich zagranicą zaproszenia na Zjazd, załączając nową odezwę, szczegółowy program obrad oraz pobytu delegatów w Polsce, ordynację wyborczą, regulaminy i t. p.

Entuzjastyczne zgłoszenia, które zaczęły napływać do Warszawy, świadczyły, że wszystkie środowiska polskie zagranicą stoją niewzruszenie na platformie łączności duchowej wszystkich Polaków bez względu na granice państw, w których zamieszkują. Tylko w Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich sprawa ta wyglądała inaczej. Na tem tle zdarzył się bardzo charakterystyczny incydent.

Polskie organizacje komunistyczne w Rosji, na Ukrainie i na Białorusi Sowieckiej postanowiły, zapewne na rozkaz zgóry, wykorzystać moment Zjazdu, aby przeprowadzić pro-

pagandę haseł komunistycznych i wyraźnie zaakcentować swój zasadniczo wrogi stosunek do Państwa Polskiego. Na terenie Z. S. R. R. rozpoczęto na szeroką skalę zakrojoną akcję zbierania funduszów na wyjazd oraz wyborów delegatów na Zjazd Warszawski, przyczem — jak to stwierdzała miejscowa prasa — na wszystkich zgromadzeniach wyborczych podkreślano dobitnie, że jedynem zadaniem delegacji komunistycznej będzie przeciwstawienie się zasadniczej idei Zjazdu, t. j. idei łączności narodowej wszystkich Polaków na świecie.

Po dokładnem zbadaniu wytworzonej sytuacji Komitet Organizacyjny Zjazdu wystosował do polskich organizacyj komunistycznych w Z. S. R. R. pismo treści następującej:

„Stosownie do przepisów obowiązującej na I-szy Zjazd Polaków z Zagranicy ordynacji wyborczej Komitet Organizacyjny przewidział dla przedstawicieli Polaków, zamieszkałych na terytorjum Z. S. R. R., 14 mandatów.

Z głosów prasy komunistycznej w Z. S. R. R. *(Orka, Sierp* i *Trybuna Radziecka)* dowiadujemy się, że sposób i zasady wyborów delegacji na Zjazd w Warszawie nie idą po linji, przyjętej przez organizatorów i inicjatorów Zjazdu, albowiem przeczą zasadzie swobodnego wypowiedzenia się ogółu ludności polskiej w wyłonieniu reprezentacji. Prócz tego zaś istnieje zasadnicza rozbieżność ideologiczna, co do celów Zjazdu, między organizatorami wyborów delegacji z Z. S. R. R., a Komitetem Organizacyjnym i wszystkiemi innemi, poza Rosją, skupieniami polskiemi, co jasno wynika ze sposobu ujęcia znaczenia Zjazdu przez wspomniane wyżej pisma, stwierdzające, że delegaci z Z. S. R. R. mają przeciwstawić się hasłu duchowej jedności wszystkich Polaków zagranicznych.

Te względy zmuszają nas do stwierdzenia, że udział w Zjeździe delegatów, wybieranych przez Wszechrosyjski Komitet, jest niemożliwy i niecelowy.

Ubolewamy, że powyższe okoliczności nie pozwolą wziąć udziału w Zjeździe reprezentantom ogółu Polaków, zamieszkałych w Rosji Sowieckiej".

Tak więc przyjazdowi delegacji z Z. S. R. R. stanęła na przeszkodzie decyzja Komitetu Organizacyjnego, który

nie mógł dopuścić do tej ewentualności, aby z trybuny I-go Zjazdu Polaków z Zagranicy padały słowa propagandy komunistycznej, słowa wrogie w stosunku do państwa polskiego, a inspirowane z zewnątrz. To było powodem nieobecności na Zjeździe delegacji z Z. S. R. R.

Z zupełnie odmiennych powodów nie mogła przybyć do Warszawy delegacja Polaków z Litwy Kowieńskiej. Mimo poczynionych interwencyj w Związku Mniejszości Narodowych w Niemczech oraz w poselstwie litewskiem w Berlinie, rząd litewski nie zgodził się na przyjazd delegacji Polaków z Litwy Kowieńskiej do Warszawy.

Sprawa obesłania Zjazdu przez pozostałe — poza Rosją i Litwą — środowiska polskie zagranicą przedstawiała się zupełnie pomyślnie. W ostatniej jednak chwili zaszło pewne nieporozumienie odnośnie do części delegacji ze Stanów Zjednoczonych A. P. Mianowicie część organizacyj polskich z tego terenu, ze Zjednoczeniem Rzymsko-Katolickiem na czele z nieznanych bliżej powodów — odmówiła udziału w Zjeździe. Decyzja ta zapadła tak późno, że było zupełnem niepodobieństwem wyjaśnić ewentualne różnice poglądów i uzgodnić stanowiska czynników zainteresowanych. Zabiegi i starania Komitetu Organizacyjnego w kierunku zmiany tego stanowiska, czynione za łaskawem pośrednictwem J. Em. Ks. Kardynała Prymasa Hlonda nie zdołały już naprawić tego stanu rzeczy wobec spóźnionej pory i ta część wychodźtwa w Zjeździe udziału nie wzięła.

Poza tem nie przybył jeszcze delegat Sekcyj Polskich przy C. G. T. we Francji, nie uzasadniwszy również swej nieobecności. Reszta delegacji ludności polskiej we Francji stawiła się w komplecie.

Okazało się ostatecznie, że frekwencja mimo to była bardzo duża, gdyż na Zjazd przybyło 102 delegatów, reprezentujących środowiska polskie z 18-tu państw, a mianowicie: z Argentyny, Austrji, Belgji, Brazylji, Czechosłowacji, Chin, Estonji, Danji, Francji, Holandji, Jugosławji, Kanady, Łotwy, Rzeszy Niemieckiej, Rumunji, Szwajcarji, Stanów Zjednoczonych A. P. i z Węgier. Prócz tego przybyła delegacja z w. m. Gdańska, uczestnicząca w Zjeździe na prawach gości. Z pośród przybyłych delegatów było 8 księży: Ks. Wła-

dysław Zakrzewski (Argentyna), Ks. Jan Rzymełka (Brazylja), Ks. Czesław Garstecki (Francja), Ks. Miszewski (Gdańsk), Ks. Sławomir Cęcek (Jugosławja), Ks. Józef Solski (Kanada), Ks. Dr. Bolesław Domański (Niemcy) oraz Ks. Wincenty Danek (Węgry).

* * *

Zjazd odbył się, jak wiadomo, w Warszawie w dniach od 14 do 18 lipca r. b., poczem uczestnicy Zjazdu wyjechali na dwa dni do Poznania, gdzie zwiedzili P.W.K., a następnie do Krakowa, gdzie w dniu 21 lipca r. b. Zjazd został rozwiązany.

W pierwszym dniu Zjazdu, t. j. 14 lipca r. b., odprawione zostało uroczyste nabożeństwo przez J. E. Ks. Kardynała Kakowskiego, poczem złożono wieńce na Grobie Nieznanego Żołnierza. Następnie w sali Sejmu dokonano uroczystego otwarcia Zjazdu w obecności najwyższych dostojników z Panem Prezydentem Rzeczypospolitej na czele.

Pracami Zjazdu kierowało Prezydjum w składzie: przewodniczący — Jarosław Hilpiszewski (Łotwa); wice-przewodniczący — Stanisław Sierakowski (Niemcy); Kazimierz Kowalski (Stany Zjednoczone A. P.); Stefan Rejer (Francja); Leon Wolf (Czechosłowacja); sekretarze — Jan Grabski (Brazylja) i Grzegorz Szymonowicz (Rumunja).

Po południu odbyło się drugie plenarne posiedzenie, na którem wygłoszono referaty: Antoni Anusz „Dorobek 10-lecia Niepodległości a Polacy z Zagranicy", Michał Pankiewicz „Polska a emigracja", Stefan Lenartowicz „Zagadnienie mniejszości polskich w Europie".

Wieczorem uczestnicy Zjazdu byli przyjęci na Zamku Królewskim przez Pana Prezydenta Rzplitej, a następnie udali się na przedstawienie galowe do Opery.

W dniu 15 lipca r. b. od rana rozpoczęły obradować Komisje Zjazdu: Główna — pod przewodnictwem Prezydjum Zjazdu, Kulturalno-Oświatowa — przewodniczący p. Kowalski (Stany Zjednoczone A. P.), zastępca p. Baczewski (Niemcy), sekretarz p. Maciszewski (Brazylja); Społeczna — przewodniczący p. Rejer (Francja), sekretarz p. Rozwadowski; Gospodarcza — przewodniczący p. Chobot (Czechosłowacja), sekretarz p. Wójcik; Organizacyjna — przewodniczący Ks. Domański (Niemcy), sekretarz p. Paprocki.

Komisje obradowały bardzo intensywnie przez 3 dni, przyczem obrady odbywały się rano i po południu. System prac w Komisjach był tego rodzaju, że na początku wygłaszano referaty informacyjne z różnych terenów, zgłoszone na Zjazd przez poszczególne delegacje, a następnie referaty merytoryczne, opracowane przez specjalistów w kraju. Ogółem wygłoszono około 60 referatów. Po wysłuchaniu referatów zgłaszano wnioski, nad któremi toczyły się dyskusje. Największe zainteresowanie budziły obrady Komisji Organizacyjnej, która rozważała wniosek p. Katelbacha (Niemcy) co do utworzenia stałego Biura Zjazdu Polaków z Zagranicy, jako instytucji, mającej koordynować wysiłki poszczególnych skupień polskich zagranicą w zakresie współpracy z krajem.

W przerwach między obradami odbywały się różnego rodzaju atrakcje, jak zwiedzanie miasta i okolic, zebrania towarzyskie, urządzane przez organizacje społeczne, jak Związek Obrony Kresów Zachodnich, Polskie Towarzystwo Emigracyjne, Instytut Badań Spraw Narodowościowych oraz Instytut Emigracyjny. 17 lipca r. b. odbył się w Dolinie Szwajcarskiej wielki bankiet na 300 osób.

Miłą niespodzianką była nieprzewidziana w programie pobytu wizyta w Belwederze, dokąd delegaci zostali specjalnie zaproszeni przez Pana Marszałka Piłsudskiego i gdzie spędzili pełną wrażeń godzinę.

W dniu 18 lipca odbyło się III plenarne posiedzenie Zjazdu w Sali Senatu.

Przewodniczący poszczególnych Komisyj składali sprawozdania z prac komisyjnych i przedkładali wnioski do przyjęcia, które zostały jednomyślnie przyjęte. W zwięzłej formie wnioski te ujmowały całokształt zagadnień, interesujących środowiska polskie zagranicą. Tak więc znalazły w nich wyczerpujące omówienie sprawy: wychowania przedszkolnego i szkolnictwa polskiego zagranicą, pracy kulturalnej pozaszkolnej, wychowania fizycznego wśród młodzieży, opieki duszpasterskiej i popierania rozwoju religijnego wśród Polaków na obczyźnie, łączności narodowo-kulturalnej z krajem ojczystym, utworzenia Muzeum Polonji Zagranicznej, zorganizowania Opieki społecznej nad wychodźctwem, po-

wołania do życia polskich instytucyj finansowych zagranicą, popierania ruchu współdzielczego, asekuracji społecznej, zorganizowania Towarzystwa Kultury Narodowej, kierunku dalszej akcji organizacyjnej Polaków zagranicą i wiele innych.

Zjazd uczcił pamięć jednego z najbardziej zasłużonych działaczów na polu opieki kulturalnej nad Polakami zagranicą, ś. p. Antoniego Osuchowskiego, oraz założył kategoryczny protest przeciwko gnębieniu ludności polskiej na Litwie Kowieńskiej i w Republikach Sowieckich.

Najważniejszą enuncjacją była niewątpliwie deklaracja ogólna, uchwalona na Zjeździe przez aklamację, a zawierająca podstawy ideowe i polityczne wszystkich zagranicznych środowisk polskich. Deklaracja ta brzmi jak następuje:

„I-szy Zjazd Polaków z Zagranicy, zebrany w Wolnej Polsce po upływie 10-ciolecia Jej Niepodległego Bytu, chyląc głowę przed Sztandarem Rzplitej, wyraża hołd i gorącą wdzięczność wszystkim tym pokoleniom, które od czasu Konfederacji Barskiej, poprzez powstania, aż do epopei legjonowej, obrony Lwowa, powstań Śląskich i wojny 1920 r., ani na chwilę nie pogodziły się z utratą niepodległości i nie zaprzestały walki o wyzwolenie Narodu.

Zjazd wyraża przekonanie, że Traktat Wersalski zdobyty wysiłkiem i ofiarnością społeczeństw, wywalczony przez miljony żołnierzy świata, wśród których od pierwszych strzałów czynny i świadomy udział brał żołnierz polski bez jakiegokolwiek przymusu państwowego, jest podstawą, na której ma rozwinąć się zgodne współżycie narodów.

Zjazd stwierdza, że Polacy z Zagranicy, połączeni nierozerwalnemi więzami krwi, kultury i historji z Macierzą, stanowią jedną wielką rodzinę duchową wszędzie, niezależnie od tego, gdzie los im przebywać każe. Obowiązki jednak wobec własnej Ojczyzny powinny się godzić z lojalnością wobec Państwa zamieszkania, które ze swej strony ma obowiązek zagwarantować prawo swobodnego rozwoju naszego polskiego życia kulturalnego.

Biorąc udział we wspólnym pochodzie cywilizacyjnym w atmosferze pokoju i zgody, okupionej czterema latami największej z wojen świata Polacy z Zagranicy, rozwijając swój dorobek pracy polskiej lub też broniąc swych praw

narodowych i szczytnych haseł demokratyzmu — są jednocześnie i czynnikiem pokoju świata powojennego".

Niesłychanie ważnym momentem było przyjęcie wniosku Komisji Organizacyjnej Zjazdu o powołaniu do życia stałej Rady Organizacyjnej Polaków z Zagranicy, złożonej z 18 członków, wybieranych przez Zjazdy zwyczajne z uwzględnieniem następujących grup: *a)* emigracji zamorskiej, *b)* emigracji kontynentalnej, *c)* mniejszości polskich z Europy, *d)* społecznych czynników krajowych, zajmujących się sprawami Polaków z Zagranicy. Rada jest stałym organem, który w okresie między Zjazdami utrzymuje łączność między poszczególnemi środowiskami polskiemi zagranicą i prowadzi systematyczną pracę w kierunku zespalania Polaków z Zagranicy z Macierzą.

Podstawy organizacyjne dał Radzie uchwalony na Zjeździe Statut, który w ten sposób sprecyzował jej zadania:

a) wykonanie uchwał Zjazdów,

b) opracowywanie i przygotowywanie strony organizacyjnej Zjazdów Polaków z Zagranicy,

c) systematyczne zbieranie wszelkich danych i informacyj o życiu i potrzebach Polaków z Zagranicy, celem wykorzystania ich w praktycznych poczynaniach,

d) ułatwienie, wzmacnianie i nawiązywanie kontaktu Polonji Zagranicznej z władzami publicznemi i organizacjami społecznemi w kraju,

e) inicjowanie i współdziałanie w nawiązywaniu bezpośrednio współpracy między poszczególnemi polskiemi środowiskami zagranicą,

f) przyczynienie się do popularyzacji i wzmożenia prac organizacyj społecznych, istniejących w Polsce dla współdziałania i pomocy Polakom zagranicznym oraz dążenie do koordynacji wysiłków w tej mierze,

g) ułatwienie współpracy gospodarczej środowisk polskich zagranicą między sobą i z Macierzą.

Aby móc realizować te zadania, Rada Organizacyjna posiada własne Biuro z Dyrektorem na czele, utrzymuje bezpośredni kontakt z instytucjami naczelnemi skupień polskich zagranicą, jak również z organizacjami społecznemi tego typu w Polsce, zwołuje konferencje, organizuje zebra-

nia, odczyty, wydaje własny miesięczny biuletyn informacyjny *Polacy Zagranicą.*

Wkońcu jednomyślnie dokonano wyboru Rady Organizacyjnej, w skład której weszli: Marszałek Senatu Prof. Dr. J. Szymański, A. Lisiewicz, M. Pankiewicz, St. Szwedowski, St. Lenartowicz, St. Klimowicz, J. Kaczmarek, L. Krzywicki, St. Paprocki, J. Grabski, S. Rejer, K. Cieślak, Wł. Krawczewski, J. Kohn, St. Sierakowski, L. Wolf, J. Wilpiszewski, G. Szymonowicz.

* * *

W dniu 20 lipca r. b. odbyło się konstytucyjne posiedzenie Rady Organizacyjnej w obecności przedstawicieli rządu i Kurji Prymasowskiej. Do Prezydjum Rady powołano: na Prezesa — dotychczasowego Prezesa Komitetu Organizacyjnego, Marszałka Senatu Prof. Dra J. Szymańskiego, z kraju — A. Lisiewicza, M. Pankiewicza, St. Szwedowskiego, z zagranicy — J. Kaczmarka (Niemcy) i St. Klimowicza (Francja), trzeci mandat zarezerwowano dla przedstawiciela środowisk polskich w Stanach Zjednoczonych A. P. Na tem samem posiedzeniu Rada uchwaliła preliminarz budżetowy na czas do dnia 1 stycznia 1930 r. Najbliższe posiedzenie Rady odbędzie się w grudniu r. b. w Warszawie.

Uzyskawszy w ten sposób podstawę organizacyjną i finansową, Rada przystąpiła do pracy. W pierwszej fazie nastąpiła organizacja wewnętrzna biura. Ogólny kierunek prac ujął w swe ręce Dyrektor Biura, p. Stefan Lenartowicz, referat zaoceaniczny powierzono p. Bohdanowi Pawłowiczowi, referat kontynentalny — p. Kazimierzowi Zieleniewskiemu.

Rozpoczęto równocześnie opracowywanie Pamiętnika I-go Zjazdu Polaków z Zagranicy — redakcję jego objął p. Adam Stebelski.

Uporządkowano poza tem cały materjał zjazdowy, posegregowano uchwały, protokóły i referaty. Następnie biuro zajęło się wykonaniem i realizowaniem uchwał Zjazdu. Na wstępie, nawiązując do jednej z uchwał, biuro zwróciło się z apelem do wszystkich organizacyj na obczyźnie, aby nawiązały ścisły kontakt z Radą. Inicjatywa ta, w połączeniu z rozgłosem Zjazdu, którego echa rozeszły się po całym

świecie, spowodowała, że cały szereg nieobecnych na Zjeździe stowarzyszeń polskich zgłosił akces do współpracy z Radą. W międzyczasie Dyr. Lenartowicz odbył pierwszą podróż wizytacyjną do Szwajcarji i Austrji, gdzie zetknął się bezpośrednio z miejscowemi organizacjami polskiemi.

* * *

Pierwszy Zjazd Polaków z Zagranicy przez sam fakt powołania do życia Rady Organizacyjnej położył duże zasługi nietylko dla Polonji Zagranicznej, ale i dla kraju. Stworzono w ten sposób podwalinę pod zjednoczenie wszystkich Polaków zagranicą w jedną organizacyjną całość, co było poprostu nakazem chwili. Nie ulega wątpliwości, że od tego Zjazdu rozpocznie się proces konsolidacyjny skupisk polskich zagranicą, dziś tak często, niestety, skłóconych wewnętrznie i rozbitych, a przez to niezdolnych do twórczej pozytywnej pracy. Już pierwsze objawy tego procesu ukazują się na horyzoncie życia Polonji Zagranicznej. Rada Organizacyjna ma tutaj wdzięczne pole do działania i dołoży wszelkich starań, aby zasada jednolitego frontu polskiego na poszczególnych terenach zagranicą została jak najszybciej wprowadzona w życie.

Ale to będzie dopiero wstępem do prac dalszych. Trzymając rękę na pulsie życia kulturalno-oświatowego wszystkich polskich środowisk zagranicznych, Rada Organizacyjna ma obowiązek nietylko pomagać tym terenom, które przedstawią jej swe bolączki. Musi ona sama występować z inicjatywą tam, gdzie tej inicjatywy brak, musi przyczyniać się do wytwarzania wszędzie takiej atmosfery, aby każdy Polak był dumny ze swej przynależności do Narodu Polskieg o aby nie było ani jednego wypadku, że ktoś, wyrwany z Polski i rzucony na obczyznę traci kontakt z krajem i zrywają się wszelkie więzy, łączące go z Macierzą. Bardzo ważną rolę odgrywa w tem sprawa opieki duszpasterskiej, którą też Rada, w ścisłem porozumieniu z Kurją Prymasowską, wysuwa na czoło swych prac.

Wiele szkody przynosi np. Państwu Polskiemu wroga propaganda. Bezpośredni kontakt Rady Organizacyjnej z naczelnemi organizacjami polskiemi w dwudziestu kilku pań-

stwach europejskich i zaoceanicznych stwarza olbrzymie możliwości przeciwdziałania tej wrogiej akcji. Przy sprawnem działaniu wszystkich kółek tej machiny organizacyjnej, można każdej wrogiej propagandzie skutecznie przeciwdziałać, można rozwinąć własną propagandę, zwłaszcza wówczas, gdy rzeczywiście mamy się czem pochwalić przed światem, można wytworzyć prądy przychylne dla Polski, a to znaczy bardzo wiele.

Weźmy następnie kwestję założenia instytucyj finansowych polskich zagranicą. W chwili obecnej oszczędności naszych rodaków zagranicą, a są to oszczędności poważne, składane są naogół w bankach cudzoziemskich. Z chwilą powstania solidnych polskich instytucyj finansowych zagranicą, każdy z naszych braci będzie na pewno wolał złożyć w nich swe oszczędności, zwłaszcza gdy będzie uświadomiony, że jego ciężko zapracowany pieniądz przyczyni się do wzmożenia tętna życia gospodarczego w Polsce przez poczynienie niezbędnych inwestycyj, jak np. osuszenie Polesia, uprzemysłowienie i elektryfikację kraju, budowę nowych szos i nowych linij kolejowych, akcję budowlaną, rozbudowę floty handlowej polskiej i t. p.

Wiemy poza tem, że rok rocznie emigruje z Polski około 150.000 ludności. Otóż nie jest rzeczą obojętną, czy te 150.000 rozproszy się bezładnie po świecie, czy też zostanie skierowane w jedno miejsce i jakie? Rada Organizacyjna, w porozumieniu z zainteresowanemi czynnikami, winna opracować wytyczne polityki emigracyjnej i planowo koncentrować tę żywą siłę polską tam, gdzie są najlepsze widoki rozwojowe na przyszłość. Emigracja nastręcza mnóstwo pierwszorzędnych zagadnień do rozstrzygnięcia. Dla przykładu wskażmy na stosunki nasze z Niemcami. Otóż obecnie od lat kilku prowadzimy z Rzeszą Niemiecką wojnę gospodarczą, a równocześnie cała armja naszych wychodźców sezonowych zasila życie ekonomiczne Niemiec. Stanu tego w żadnym wypadku nie można uważać za normalny. Przykładów takich możnaby przytoczyć sporo.

Rada Organizacyjna staje się w tych warunkach ogniskiem, skupiającem wszystkie bolączki środowisk polskich zagranicą, ogniskiem narastającej z roku na rok poza gra-

nicami Rzeczypospolitej — Nowej Polski, świadomej w pełni swej duchowej łączności z Macierzą. Teraz, gdy w statutowe formy, uchwalone na Zjeździe, życie zaczyna wlewać powoli swoją treść, tylko od dobrej woli i energji środowisk polskich zagranicą oraz czynników krajowych zależy, aby te ogromne możliwości, jakie powstały z chwilą utworzenia Rady Organizacyjnej — nie zostały zaprzepaszczone.

Harmonijna bowiem współpraca wszystkich czynników zainteresowanych może już wkrótce zacząć dawać obu stronom błogosławione rezultaty, natomiast wszelkie rozdźwięki odrazu zniweczą jakiekolwiek twórcze poczynania.

Wysoki poziom ideowy I-go Zjazdu oraz bardzo przychylne ustosunkowanie się doń najwyższych w Państwie czynników dają jednak całkowitą gwarancję, że poczęta w podniosłej atmosferze braterskiej praca nad zespalaniem z krajem ojczystym 7-mio miljonowej rzeszy naszych rodaków zagranicą rozwijać się będzie jak najpomyślniej.

Praca ta, której wyników nie można chwili obecnej nawet w przybliżeniu przewidzieć, to budowa Polski Mocarstwowej, to budowa Większej Rzeczypospolitej, przekraczającej zwycięsko wszelkie słupy graniczne, bo opartej o poczucie jedności duchowej wszystkich Polaków na świecie.

C. Z.

Sztuki piękne w życiu.

Jesteśmy dziś świadkami wielkiego zwrotu upodobań i zapotrzebowań szerokich mas społeczeństwa w dziedzinie sztuk pięknych. Do niedawna jeszcze, bo do czasu wybuchu wojny światowej, punkt ciężkości zainteresowań naszych i wszelkiego wysiłku krytycznego spoczywał na twórczości malarskiej „nieużytkowej", ale jedynie zamykającej cel swój w samej sobie — powiedzmy ściślej: na obrazie sztalugowym. Za upodobaniem ogółu podążały indywidualności twórcze. Nawet w pracowniach koryfeuszów polskiego malarstwa rósł i rozrastał się duch twórczy, myśl, pomysł, portret, sceny rodzajowe, folklor, krajobraz i wreszcie martwa natura — a w pałacach sztuki święciły triumfy najpotężniejsze wizje ducha Wyspiańskiego i Malczewskiego, widniały bezcenne dowody artystycznego spojrzenia w przyrodę i wielkiego jej umiłowania, a więc pejsaże Chełmońskiego, Wyczółkowskiego, Fałata i Stanisławskiego. Jeśli spojrzymy wstecz, w czasy rozciągające się poza temi filarami romantyzmu czy impresjonizmu polskiego, uderzy nas monumentalne malarstwo historyczne Matejki, zastanowią nas grozą przejmujące, malowane kredą dzieje naszej martyrologji w okresie powstania styczniowego — smutne karty albumu Artura Grottgera. Niewola i ciągła myśl o niej, ciągła tęsknota za naszą potęgą minionych wieków, za nowym czynem zbrojnym, za buntem przeciw przemocy i gwałcicielom praw wolnego żywota, musiały obudzić reakcję nietylko w poezji, ale i w malarstwie i wspomniane dokumenty tej właśnie reakcji przechowujemy dziś w muzeach, galerjach i — sercach.

Taka twórczość była naturalnym i logicznym odruchem. Dziś, gdy uzyskaliśmy niezawisłość polityczną, gdy istniejemy nietylko jako naród, wczoraj jeszcze niewolny i nieszczęsny, oparty jedynie na potędze wiary w odzyskanie wolności, — ale żyjemy jako państwo zbudowane na własnej armji i własnym skarbie, a co najważniejsza na skarbie i armji niezłomnego narodowego ducha, dziś tedy życie polskie wolne, niezawisłe, domaga się równowagi swoich wysiłków twórczych z takiemi samemi wartościami ościennych państw, a nawet domaga się zmierzenia ducha swego z duchem wielkich mocarstw. Chcemy — i musimy — dorównać im nietylko na polach marsowych, nietylko na morzach i pod błękitami, nietylko na giełdzie, ale i na Parnasie. Literatura i teatr polski stają rycersko w szranki z zawodnikami zagranicznymi. Życie domaga się także podobnej równowagi w sztuce plastycznej. Powiedziałem: życie — a więc nietylko ambicja poszczególnych indywidualności. Życie, to znaczy przedewszystkiem wymogi i warunki dnia codziennego i upodobania całego społeczeństwa przy wypełnianiu tych warunków i przy zaspakajaniu tęsknot i myśli. Doba powojenna domaga się pewnej ofiary artysty z jego ambicji indywidualnej na rzecz kultu zbiorowości, domaga się usługi muz dla dobra ogółu, dla dobra nieubłaganej prozy życia.

Sztuki plastyczne związane są z życiem trzema zasadniczemi węzłami. Przedewszystkiem szeroka i głęboka myśl twórcza może być wypowiedziana w majestatycznych wizjach o temacie historycznym, historjozoficznym, religijnym lub społecznym. Powtóre malarstwo portretowe zawsze miało, ma i będzie mieć swoje przywileje w życiu. Wreszcie wymogi i potrzeby nasze upominają się o swoje prawo do piękna i zdobywają je — zatem przemysł artystyczny powoli, ale konsekwentnie wchodzi w nasz dom. Ten właśnie trzeci węzeł łączy najsilniej współczesne życie ze sztuką, spaja z nią najszersze terytorja naszej pracy i naszych upodobań.

Jakież są powody supremacji przemysłu artystycznego nad malarstwem sztalugowem?

Chcąc to zagadnienie przynajmniej w części rozwiązać, musimy oświetlić stosunki jakie w sferach artystycznych panowały przed wojną europejską i w czasie jej trwania.

Przed rokiem 1914 prawie każdy dobry obraz znalazł rozmiłowanego w plastyce nabywcę. Jeśli dzieła nie zakupiło jakieś muzeum, zakupił najczęściej któryś z licznych mecenasów sztuki lub choćby tylko z zamożnych miłośników. W czasie wojny przyszedł gwałtowny i z godziny na godzinę nawet nie dający się obliczyć spadek waluty. W promieniu upodobań szlachetnych mecenasów i miłośników sztuki namnożyły się bezliku takie jednostki, które za bardzo nieraz obfity, ale zawsze lichy i z każdą chwilą lichszy pieniądz kupowały obrazy — a to przedewszystkiem i przeważnie wyobrażające akt, architekturę, pejsaż lub martwą naturę. Bez najmniejszego zamiłowania dla piękna, bez żadnego znawstwa i krytycznego spojrzenia, ignoranci i duchowe liliputy traciły wprost głowę w pogoni za malowanem płótnem, lub kartonem — najpierw dlatego, że podobnoć obraz, to była naówczas „świetna lokata kapitału" i wierzono, że kiedyś za nastaniem stałej waluty — będzie go można znowu wymienić na złoto, a powtóre kupowano te malowane płótna przez snobizm. Pieniądz płynął jak woda. Kto go miał dużo, mógł sobie ściany domu obwiesić obrazami, byleby było ich jak najwięcej i byle błyszczały „dobremi nazwiskami" i złoconemi ramami. Więc owe „dobre nazwiska" zaczęły odtąd na wyścigi fabrykować sztalugowe lichoty, aby tylko jak najprędzej i jak najwięcej „towaru" sprzedać. I zaczął się formalny wyścig za obrazem, jarmark na obrazy, a nawet tandeta. I to było nieszczęściem sztuki polskiej w tych kilku latach wojny, i to musiało się stać przekleństwem zarówno dla ślepych nabywców jak i dla zaślepionych w sprzedaży artystów.

Przyszedł czas ustalonej waluty, i przyszedł czas oczekiwanego zbytu „towaru", czas powrotnej zamiany obrazu na złoto. Niestety — „towaru" tego było już na rynkach zbytu za dużo i był lichy, więc musiał gwałtownie spadać w cenie, a wkońcu nie znalazłszy nabywcy — wracał do „swojej galerji". Stąd dziś przesyt obrazami sztalugowemi i stąd dziś ta niechęć u społeczeństwa do wszystkiego, co jest malowanym krajobrazem, aktem, czy martwą naturą — choćby i w najbogaciej złoconych ramach.

Rzut oka na te stosunki nie byłby kompletny, gdybyśmy zapomnieli i o tych szlachetnych, którzy zawsze — a więc przed wojną i w czasie wojny śledzili twórczość, czuwali nad talentami i wykupowali co lepsze dzieła sztuki. Zachodzi jednak kolosalna różnica między tymi, a tamtymi. Ci — nazwijmy ich mecenasami — kochali sztukę, umieli się nią rozkoszować i wiedzieli doskonale co, kiedy, od kogo, i dlaczego kupują i nigdy w tem kupnie nie spieszyli się. A tamci — *profanum vulgus* — w gonitwie za czem bądź, tracili zmysły i połykali to „co bądź", aż się niem zadławili. Pierwsi, nabywszy raz upatrzone i ukochane dzieło sztuki, nie pozbyli się go już nigdy — za żadną cenę. Drudzy zaś utworzyli formalną, urzędową giełdę i frymarczyli mniej lub więcej poronionemi malowidłami, choć niekiedy zabłąkało się tam i dzieło sztuki. Przyszedł krach, runęła giełda, ale zostało — jak powiedziałem — nieszczęście. Społeczeństwo polskie przeludnione więc dziś „nouveauriche'ami", przeładowane różnogatunkowemi i różnowartościowemi malowidłami, choruje już na przesyt. Źle na tem wychodzą — oczywiście — w pierwszym rzędzie artyści, cierpi na tem samo społeczeństwo i straty wielkie ponosi sztuka.

Jednak tęsknota za pięknem nie zamarła. W wąskie dotychczas koryto, którem płynął anemiczny strumień polskiego przemysłu artystycznego, uderzyć musiały nowe źródła pomysłów twórczych. Koryto się pogłębiło i rozszerzyło, a jego wielkie wody zasilają dziś coraz szersze przestrzenie naszego życia.

Nie wolno zapominać, że tym tęsknotom za pięknem w życiu codziennem sprzyja bardzo następująca jeszcze okoliczność. Doskonałe wyroby przemysłu artystycznego są stosunkowo tańsze od przeciętnie dobrego obrazu. Każdy z miłośników sztuki chętniej dziś nabędzie piękny okaz tekstylny (kilim lub batik) lub ceramikę, chętniej kupi książkę, gdzie grafika użytkowa więcej mu powie i otworzy szerszy kąt zainteresowań jego, niż grafika obrazkowa, lub przeciętnej wartości, banalne, malowane płótno. O nabyciu drogich dzieł i arcydzieł trudno myśleć przy dzisiejszych pensjach i zarobkach uczciwego człowieka.

Pojęcie „przemysł" jest bardzo rozciągłe. Przemysłem, jak wiemy, jest wszelka praca ludzka pozostająca w ciągłości, a mająca na celu zysk, praca zarówno materjalna (t. j. nad materjałami surowymi, nad wydobywaniem, wyrabianiem i przetwarzaniem ich zapomocą narzędzi i warsztatów), jak też przemysłem jest praca niematerjalna (t. j. urzędy, twórczość). Przemysł artystyczny jest zatem połączeniem, spokrewnieniem pierwszej kategorji z drugą: pracą fizyczną, ściślej mówiąc: warsztatową, idącą za popędem ducha twórczego. Z pod tego pojęcia wyłączyć więc należy pracę czysto fizyczną, która jest rzemiosłem bezdusznem, i pracą czysto twórczą, duchową, wyzwoloną, która nie ma na celu zysku, ale jedynie wypowiedzenie się i zaspokojenie wewnętrzne artysty.

Mylnem i nieistotnem jest tak powszechne dziś nazywanie przemysłu artystycznego — sztuką stosowaną. Znaczy to, że tylko ten właśnie rodzaj sztuki ma w życiu zastosowanie, a wiemy przecież, że każdy rodzaj sztuki może być w życiu jakoś i do czegoś „stosowany". Do tego „ustosunkowania się" do życia ma prawo zarówno malarstwo sztalugowe, jak rzeźba i przemysł artystyczny.

Zainteresowanie się przemysłem artystycznym nie jest tylko wypadkową naszych pragnień i dążeń kulturalnych ostatnich momentów doby obecnej. Pewne objawy budzącego się w tym kierunku ruchu systematycznego, ruchu kultywowanego przedewszystkiem w szkolnictwie, widzimy już w ostatnich dziesiątkach lat ubiegłego stulecia. Po wojnie zwrócono większą uwagę na ten stosunek przemysłu artystycznego do życia — i to dla powodów wyżej naszkicowanych.

Do roku mniej więcej 1900 nauka w zakresie przemysłu artystycznego opiera się głównie na zasadzie kopiowania motywów klasycznych, zbiorów muzealnych. Dopiero pierwsze lata XX w. przynoszą zasadniczy zwrot: zarzucono kopje, a zwrócono młodego artystę do prób samodzielnego komponowania na wzorach wziętych bezpośrednio z natury. Anglja, Szwajcarja i Ameryka (Cook, Walter Crane, Tadde) były pierwszemi z państw, które położyły główny nacisk na tej właśnie, wyżej wspomnianej zasadzie samodzielnego, in-

dywidualnego pomysłu. Za niemi poszedł Wiedeń, który przy swoim *Kunstgeverbemuseum* założył *Kunstgeverbeschule,* poszła też za niemi i Polska (wówczas jeszcze Galicja), gdzie na ten właśnie system rozwijania i kultywowania sił twórczych w przemyśle artystycznym pierwszy Antoni Stefanowicz zwrócił uwagę. Na gruncie krakowskim walczy około r. 1905 pod tymi hasłami Jan Raszka, obecny dyrektor państwowej szkoły przemysłu artystycznego i sztuk zdobniczych w Krakowie, — a walczy przedewszystkiem o samodzielną szkołę przemysłu artystycznego. W tym celu prowadzi w r. 1907 eksperymentalny roczny kurs nauczycielski, agituje i wreszcie ogłasza prace teoretyczne w duchu zreorganizowania i usamodzielnienia krakowskiej szkoły przemysłu artystycznego, pozostającej dotychczas w ramach Wyższej Szkoły Przemysłowej. Udaje mu się wreszcie po profesorze Lachnerze, Bunschu i Barabaszu wprowadzić na grunt nasz te nowe, a zagranicą już dawno znane metody nauczania, patrzenia, oceniania i wyzyskiwania tej gałęzi sztuk plastycznych. Jak wielkie było wówczas poczucie i zrozumienie doniosłości przemysłu artystycznego, dowodzi fakt, że dn. 5 lipca 1914 r. udało się p. Raszce, przy wydatnej współpracy prof. Wiesława Zarzyckiego, ideał nowej szkoły zrealizować dla Krakowa: została bowiem wreszcie nowa metoda nauczania zatwierdzoną, udokumentowaną i udekretowaną przez ówczesny rząd austrjacki. W tym czasie więc powstała pierwsza na ziemiach polskich szkoła przemysłu artystycznego o charakterze wyższych szkół średnich, a z organizacją akademicką, wzorowaną na metodach nauczania i prądach nowego systemu wiejących z Zachodu.

Dalsze koleje krakowskiej szkoły są zmienne. W czasie wojny była ona zamkniętą, i dopiero od r. 1918 została uruchomioną, a w r. 1921 przez rząd polski usamodzielnioną. Tajemnica nauczania — wszelka metoda zawsze się udoskonala — polega dzisiaj na rozpoczęciu pracy nie od prób samodzielnego komponowania, ani nie od wzorowania się na motywach wziętych z natury, ale od pracy na warsztacie. System ten ma na celu utrzymanie młodej siły twórczej przy przemyśle, uchronienie jej od tak łatwego w obliczu przyrody i w bezpośredniem zetknięciu się z nią, rozmi-

łowania się w obrazie. Nowej bowiem pedagogji idzie w pierwszym rzędzie i przedewszystkiem o to, aby przyszły artysta, twórca dzieł w przemyśle artystycznym, poznał i ukochał rzemiosło, poznał materjał i nauczył się rozróżniać i rozpoznawać co i w jakim materjale można i należy wykonać — słowem, aby od samego początku swego zawodu zmuszony był nabywać kulturę artystyczną i nauczył się ją w praktyce wyzyskiwać.

Ten system nauki, naszkicowany tu w najogólniejszych konturach, okazał się w zastosowaniu praktycznem najszczęśliwszym, gdyż na jego zrębie oparły się dziś już wszystkie polskie szkoły przemysłu artystycznego: w pierwszym rzędzie warszawska, a dalej — lwowska i poznańska. Na takiej zasadzie, na takich fundamentach zbudowana nauka musiała wydać imponujące rezultaty zarówno w szkole jak i w samodzielnych pracowniach młodych artystów. Przemysł artystyczny odniósł świetne zwycięstwo nad współczesnem malarstwem sztalugowem, zwłaszcza tem, którego celem tematycznym był krajobraz, akt lub martwa natura. A zamiast dowodów na tę supremację przemysłu artystycznego, dość wspomnieć sukcesy krakowskiej państwowej szkoły przemysłu artystycznego i sztuk zdobniczych na międzynarodowej wystawie sztuk dekoracyjnych w Paryżu w r. 1925, dalej na wielkiej wystawie tejże uczelni w krakowskiem Towarzystwie Sztuk Pięknych w r. 1926 i wreszcie na Powszechnej Wystawie Krajowej w Poznaniu. Te trzy wielkie ekspozycje są najwymowniejszym probierzem i dowodem zamiłowań i zapotrzebowań artystycznych w życiu szerokich, jak najszerszych mas społeczeństwa nietylko polskiego, gdyż nasz przemysł artystyczny był przedmiotem podziwu także i znawców zagranicznych. Zainteresowanie się ogółu metodą nauczania i imponującemi jej owocami było tak wielkie, że od czasu najświetniejszych wystaw dzieł sztuki z epoki Malczewskiego i Wyspiańskiego, nie pamiętano takiego entuzjazmu i takiego zbliżenia się życia do sztuki i sztuki do życia, jak właśnie podczas trwania wspomnianych powyżej wystaw. Wskutek tego i popyt na eksponaty tekstylne, ceramiczne, graficzne czy wreszcie zamknięte w dziedzinie sztuki kościelnej lub meblarstwa był tak wielki, jakiego w merkan-

tylizmie produktów artystycznych nie notowano od dziesiątek lat.

Wobec tej, tak wybitnie rzucającej się w oczy przewagi przemysłu artystycznego nad malarstwem sztalugowem w dobie obecnej — przewagi zapowiadającej zbliżanie się jakiegoś nowego, epokowego stylu — nasuwa się logiczna myśl, coraz częściej i coraz głośniej wypowiadana dziś i z coraz większym uporem i z coraz silniejszą konsekwencją rozwijana i udoskonalana: myśl połączenia dotychczasowej Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie z istniejącą wielką państwową szkołą przemysłu artystycznego i sztuk zdobniczych w Krakowie. Ta myśl fuzji dwóch uczelni o przyszłym charakterze jednej państwowej szkoły najwyższej, jest dziś tem bardziej realna, że popiera ją szczęśliwy przykład połączenia podobnego w warszawskiej Szkole Sztuk Pięknych nowego typu, gdzie kurs malarstwa sztalugowego jest tylko jednym z wydziałów. Ta myśl — to dziś najaktualniejszy problem polskiego szkolnictwa artystycznego, idący po linji wymogów i potrzeb życia, a powtóre sprzyjający szczupłej skali budżetu ministerstwa oświaty, — problem jednak wymagający głębokiego jeszcze przemyślenia i opracowania. Po zrealizowaniu tej myśli otworzą się niezawodnie drogi polskiego genjuszu i połączą z drogami codziennego życia w jeden szeroki, a nigdy nie kończący się gościniec naszych umiłowań estetycznych.

Antoni Waśkowski.

Ukraina w poezji Słowackiego.

I.

Juljusz Słowacki, urodzony i wychowany na Rusi, wbrew twierdzeniu większości krytyków, znał bezpośrednio kraj, język i literaturę ludową ukraińską. Otoczony od młodości dumkami, śpiewanemi przez matkę, egzaltowaną miłośniczkę muzyki i śpiewu ukraińskiego,[1]) chłonąc opowieści i dumy lirników, przysiadłych na progu wierzchowieckim — już w pierwszych swoich utworach idzie śladami i pod wpływem szkoły ukraińskiej, wyswobodzając się coraz to bardziej i coraz oryginalniej wprowadzając Ruś do swojej poezji. Początkowo treść osnuta na tle *quasi*-historji i konfliktów ukraińskich, prościej — reprodukcja współczesnej mu lektury Zaleskich i Goszczyńskich, przechodzi później w tło, porównania krajobrazowe — pionestetyki i pierwiastek piękna — by u schyłku życia i twórczości zagrać typowym mistycyzmem, wizją białych rumaków Wernyhory, wsiąknąć i przesiąknąć nietylko twórczość, ale istotę człowieka, wyzierać niemal z każdego arabesku słowa, wplątać się nieoddzielnie w myśli, ideje, obrazowania i ekspresje poety, jak wąż wygryzać serce i płakać „Snem Srebrnym" nad śmiercią Ukrainy.

Okres pierwszy, młodzieńczość: dom rozbrzmiany muzyką i pieśnią ludową — wieczory dumek,[2]) prośby p. Bécu do Odyńca[3]) o coraz to nowe teksty i nuty — Wierzchówka[4])

[1]) T. Pini, *Młodość Słowackiego*, opis wieczorów u p. Bécu.
[2]) F. Hoesick, *Życie J. Słowackiego*, Kraków 1896.
[3]) Listy do Odyńca p. Bécu.
[4]) T. Pini, *Młodość Słowackiego* l. c.

z legendami i baśniami służby, zwyczajnemi do dziś dnia jeszcze w każdym dworze — piekarnia — gdzie zapewne nie same kolędy rozbrzmiewały, ale i wieczornice musiały rozsadzać ściany — dumy i dumki przeróżne, szczodiwki, haiłki i tysiące innych pieśni obrzędowych, zwyczajów i wyobrażeń ludu, zabobonów świata fantastycznego, realnego dla każdego wieśniaka, a cóż dopiero Ukraińca. Znał Słowacki te pieśni napamięć [1]) i zajmował się niemi nawet w późniejszych latach, na obczyźnie. [2]) Musiał je słyszeć niejednokrotnie rozdzwaniające mroki stepu, wałęsające się po łąkach w fujarce pastuszej i tętencie koniuchów, zaklęte w struny lir i teorbany dziadów wędrownych, których niesamowite postacie niezawodnie widywał na tle równi stepu i wzgórków mogilnych, tak w okolicy Wierzchówki, jak w drodze do Odessy. Schodzili się do dworu zgarbieni.

Zasiadali rzędem w sieni
Lub na dziedzińcu pod drzewem,
I tam sobie lirnym śpiewem
Jak kawki, bywało gwarzą.
Aż pan dziecko wyśle z groszem,
Z pełnym obwarzanków koszem;
To dziecinie błogosławią,
Obrazkiem nieraz obdarzą,
Albo coś o przodkach prawią
Dziwne i ciemne powieści,
Co się potem śnią w nocy dziecięciu.
To, bywało, że czterdzieści
Dziadów, o wiosny poczęciu,
Schodziło się nam do domu.
Mój ojciec — niech mu Bóg świeci
Polecał nie lada komu
Karmić te dawnych stuleci
Chodzące żywe kroniki,
Ale zawsze nas, chłopczyki,
Posyłał. [3])

Tych kilka faktów przekonuje już dostatecznie o bez-

[1]) *Pamiętnik* J. Słowackiego

[2]) J. Słowacki, *Listy.*

[3]) *Sen Srebrny Salomei*, akt IV. w. 20—29. Wszystkie cytaty wedle wydania Dzieł J. Słowackiego przez B. Gubrynowicza i W. Hahna, t. I.—X. Lwów 1910.

pośredniej styczności Słowackiego z krajem, ludem i pieśnią Ukrainy. [1])

Pozostaje jeszcze wyświetlenie lektury i wpływów literackich, jakie oddziałały na pierwsze utwory Juljusza Słowackiego. Przedewszystkiem wysunąć należy, ogólne wówczas hasło nawrotu do źródeł poezji ludowej, odpowiednie pisma i artykuły, [2]) przykłady literatury zagranicznej, [3]) ostatnie nowości księgarskie o wybitnem piętnie prowincjonalno-ludowem, [4]) a wreszcie towarzystwo przyjaciół Mickiewicza, z Odyńcem na czele. Od młodości marzący o sławie poetyckiej, chwytający ostatnie objawienia ducha nowoczesnego, podążał razem z innymi naprzód, owszem, wybiegał nawet, przeto i w tym kierunku obojętnym pozostać nie mógł. Pomimo towarzystwa zaśniedziałych konserwatystów pseudoklasycyzmu, Koźmiana i Osińskiego, potrafił wyzwolić się z pęt przesądu, skąpać w falach wyklinanej i wyśmiewanej poezji nowatorstwa, sięgnąć do wszelkich znanych mu źródeł romantyzmu. Mickiewicz nie potrafił nigdy — poza chwilowemi wybuchami — oswobodzić się z pęt klasycyzmu, u Słowackiego nie znajdujemy ani fidjaszowskiej Grażyny, ani wirgiljuszowskiego Pana Tadeusza. Najbardziej klasyczne tematy owieje ironją romantyczną, porwie arjostycznym wichrem i zbyronizuje; w najbardziej pseudoklasyczne formy wleje nową treść i zmieni uświęcony charakter utworu nie do poznania.

Jedną z najpierwszych cech poezji młodzieńczej Słowackiego, jest właśnie ludowość. *Duma ukraińska*, *Piosnka dziewczyny kozackiej* i *Żmija* otwierają i zamykają poniekąd ów pierwszy okres ludowości. [5]) Utwory te posiadają barwę

[1]) Mówię Ukrainy w znaczeniu etnograficznem, bo całe Podole, Wołyń i Zaporoże, o wspólnej kulturze duchowej i pniu plemiennym, na nią się składa, a okolice Bohu leżą w najbliższem geograficznem sąsiedztwie rdzennej Siczy.

[2]) Artykuły w *Pamiętniku warszawskim* i *Dzienniku wiedeńskim* prace Brodzińskiego, Czarnockiego, Chodakowskiego, Szyrmy i innych.

[3]) Romantyzm angielski: Percy, Macferson; niemiecki: Uland, Bürger, Tiech.

[4]) Mickiewicza *Ballady*, utwory Zalewskiego, Goszczyńskiego, Malczewskiego, Zana, Odyńca, Witwickiego i innych.

[5]) Nie należy łączyć tego okresu z okresem twórczości, kończącym się nieco później. Powyższego określenia użyliśmy dla zaznaczenia wspól-

lokalną, cechującą zresztą całą poezję Słowackiego. Pochodzi to stąd, że „Słowacki uważał wschodnie, podolskie i ukraińskie ziemie, za swą ściślejszą niejako ojczyznę",[1]) ubierały mu się w tęczę najpierwszych i najserdeczniejszych wspomnień, wyrastały w jakiś kraj zaczarowany, widziany niegdyś, a którego wrota zamknięto mu raz na zawsze. Swoją drogą działała i moda literacka. Każdy ówczesny wybitniejszy poeta musiał być przedstawicielem swojej prowincji i powiatu. Takimi w Polsce byli Mickiewicz i Zaleski, w Anglji Moor i Lakiści. Słowacki mógł być i został przedstawicielem Rusi od Dniepru do Prypeci. Na tem kończy się właściwie bezpośredni stosunek Słowackiego do ziem kresowych.

W utworach owego okresu nie widzimy jeszcze zapatrywań młodego poety na literaturę ludową, kwestję ukraińską, ustosunkowania się wzajemnego. Ukraina jest dla niego terenem eksploatacyjnym tematów i dekoracji poetycznej — niczem więcej. Korespondencji z tych czasów nie posiadamy. Skąpa wzmianka z podróży odeskiej[2]) nawodzi na zamiłowanie w pieśniach ludowych, podobnie jak u matki; potwierdzają to w zupełności listy z zagranicy.[3]) Tam też dopiero rozpoczyna się zarysowywać stosunek Słowackiego do Ukrainy.

Podobnie w okresie paryskim jak w genewskim zajmował się Słowacki tematami ukraińskiemi. Na lata 1831, 1832 przypada ukończenie *Żmiji, Króla Ladawy* i *Dumy o Wacławie Rzewuskim;* w owym czasie zajmuje się zbiorkiem Sowińskiego[4]) porównuje dumę o Potockim z zapamiętanym przez siebie tekstem.[5]) Rozbudzona nostalgja poczyna działać i po raz pierwszy usiłuje Słowacki odtworzyć widziany niegdyś krajobraz i widzianych ludzi w *Królu Ladawy.*[6])

---

nej cechy, jaką posiadają utwory z tych lat — a mianowicie: treści osnutej na tle życia ludu ukraińskiego.

[1]) E. Dubanowicz, *Ksiądz Marek,* str. 228.

[2]) *Pamiętnik* J. Słowackiego.

[3]) *Listy*: Paryż, 20 października 1831 i Genewa, 7 marca 1835.

[4]) *Listy*: Paryż 20 paźdź. 1831 r. i 7 marca 1835.

[5]) *Listy*: Paryż, 20 paźdz. 1831 r.

[6]) *Król Ladawy*, Wstęp, w. 71—76.

Tam też składa swoje *credo* ludowościowe po raz pierwszy: „Piśmiennictwo narodowe, idąc za duchem czasu poczęło odnajdywać te dźwięki rozpaczy i smutku, które były niegdyś cechą pieśni ludu ukraińskiego, tych Kozaków zaporoskich, tak sławnych z wojen przeciwko Turkom i walczących czasem nawet przeciwko Polsce. Jego pieśni, w których łzy przeplatane są z narzekaniem, rozlegają się jeszcze nad smutnemi brzegami Donu. Poezja tych ludów zastępuje w naszem piśmiennictwie owe pieśni Trubadurów i Truwerów, tak sławnych we Francji, i Minnensingerów w Niemczech; one staną się podwaliną literatury przyszłości. [1])

Tak ludowym Słowacki nigdy już więcej nie był, jednak sentyment do poezji ukraińskiej zachował na zawsze: wzmagało się natomiast coraz bardziej jego umiłowanie Ukrainy. Przyrodę, stanowiącą dotąd jedynie materjał dekoracyjny i malarski, poczyna odczuwać coraz więcej i wyraźniej. Krajobraz stepu po raz pierwszy nabiera życia i poczyna pulsować krwią w *Dumie o Wacławie Rzewuskim.* Widzimy tu już cząstkę jestestwa poety, zagrzebaną i zaprzepaszczoną w stepie ukraińskiej nocy. Tematy schodzą na drugi plan, tło zaczyna dominować. Wprawdzie w tym samym czasie zajmuje się Mazepą, (zresztą pod wpływem Byrona) jednak w ostatecznej redakcji pozostanie jedynie parę słów, mających bezpośrednią styczność z poezją ludową. Okres genewski wydaje *Balladynę,* opartą na pierwiastku fantastycznym ludowym, nie ukraińskim już, ale słowiańskim, pomieszanym z reminiscencjami lektur obcych i własnych, tudzież *Kordjana* i *Horsztyńskiego.* W dwu ostatnich utworach niema nic ludowego, jedynie akcja „Horsztyńskiego" toczy się na pograniczu Litwy i Białorusi. W *Balladynie* znajdujemy nowe zapatrywania na poezję ludową. Z całego utworu przebija uśmiech politowania nad prymitywizmem i wyobraźnią poezji ludowej, wcielony najdoskonalej w postaci Grabca. Mimo to i wówczas dumki ukraińskie nie schodzą z myśli Słowackiemu, a w jednym z listów, porównuje marzenia swoje do trumny Hryciowej. [2])

Po podróży wschodniej, rozkołysana fala tęsknoty wy-

[1]) *Król Ladawy,* rozdział II. w. 90–100.

[2]) *Listy,* Genewa 7 marca 1835 r.

wołuje wizję kraju ojczystego, najwspanialej wytryskującą w oktawie IV pieśni *Podróży na Wschód*. Ziemie ruskie stały się dlań krainą mitycznych snów i pragnień, tęsknota ku nim przepala go i zżera, widzi i słyszy, co więcej, odczuwa przez nie: „Boże, kto Ciebie nie czuł w Ukrainy błękitnych polach"... Jest to bezpośredni krok do apoteozy Ukrainy w postaci Wernyhory, który staje się wcieleniem wieszczego i szamanowskiego ideału. Będzie się odtąd plątał przez cykl całych dziesięciu lat, aż do śmierci poety. Na ten okres przypada głównie działanie nostalgji i wywoływane nią wizje wspomnień, lektura i towarzystwo Goszczyńskiego. Stosunek Słowackiego do Ukrainy w tym czasie objawia się przeważnie w języku niepokalanie wprzód czystym, a obecnie dzierzganym suto rusycyzmami; następnie owem przeniknięciem wprost stepami i mogiłami Ukrainy, coraz to częstszemi tematami z historji Rusi, wprowadzeniem całego szeregu postaci z ludu ukraińskiego, wreszcie apoteozą tej ziemi — apoteozą, na jaką nikt się ze szkoły ukraińskiej nie zdobył— przez usta Pafnucego w *Śnie srebrnym Salomei:* „Ach, Ukrainy nie będzie, ach, dumy w grobach ucichną"...[1])

Słowacki czuł wówczas jak rodowity lirnik, prawdziwy poeta stepowy. Pojęcie Ukrainy przeszło nową ewolucję. Dawno przestała ona być tematem, nie była już rodzinnym krajem wspomnień, sprawdzianem piękna i pryzmatem wizji, oblekła się natomiast w żywe ciało organizmu, zdeptane brutalnie przez bunt szlachecki. Słowacki odważył się na to, na co mało który Polak ówczesny, a właściwie żadenby nie śmiał. Zaleski idealizował jakąś fantastyczną ziemię, paziującą Rzeczypospolitej, wyśpiewywał niezaistniałych nigdy Kozaków-romantyków, zrodzonych i na pewno realnie żyjących w nim samym; Malczewski i Czajkowski opiewali czar kraju i ludu poddańczego, Goszczyński przerażał krwawą nocą. Tylko Słowacki pojął ją tak, jak ją pojmowali śpiewacy ludowi, i wyśpiewał ból ginącej sławy kozackiego „ćwietu": „ach, dumy w grobach ucichną"...

Wizje Ukrainy mieszają się z wspomnieniami Krzemieńca i wspomnieniami wierzchowieckiego dworu; lud ze

[1]) Akt III, w. 583—587.

szlachtą kresową, poezja ludowa z fantazją; ścisłej granicy wyznaczyć się nie da. Widzieliśmy stosunek Słowackiego do Ukrainy, podobny w odniesieniu do wspomnień rodzinnych, złożonych w *Złotej Czaszce*. Ma ona woń piekarni przedwigilijnej staropolskiego dworu i myszkę miodu szlacheckiego. We wszystkiem czuć kresy i trudno sobie wyobrazić, by dziać się to miało np. na zachodzie, w Poznańskiem. Marzone w dzieciństwie baszty krzemienieckiego zamku [1]) przeniosły się kędyś na stepy i stanął u wrót Zawisza. „Tęcza z myśli" uniosła się nad ruinami.

„Na ukraińskim polu czystym zamek stoi" opiewa ostatni swój rapsod ukrainny. [2]) Nigdy może bardziej dla niego kochaną nie była nigdy bardziej osobistą, jak w tych strofach. Step wydął się, urósł i zamieciony mistycznemi wiatrami, stanął oko w oko z ojczyzną Homera.

Stosunek Słowackiego do poezji ludowej uległ w tym czasie nowej, zasadniczej przemianie. Rozmowa Pamfila z chłopem [3]) nie przyznaje już bynajmniej takiego dominującego stanowiska pieśni ludowej jak w *Królu Ladawy*, ale też dalekim jest od zlekceważenia surowca przyszłej literatury: „To są tak nazywane nonsensy, z których kiedyś ułoży się Illjada". — I koniec. Surowa ruda do przetopienia, nawet nie diament do oszlifowania. Dopiero lira żebracka Wernyhory rozdźwięczy mu się prawdziwą poezją.

Tematy ukraińskie pojawiają się na nowo, w zmienionej tylko formie. Nie stanowią już one jedynie treści utworu, ale są osią, około której wszystko się obraca, podłożem, z którego wyszły najwspanialsze palmy mistycyzmu polskiego. To są osnową całych tragedyj, jak *Sen Srebrny Salomei*, to pojawiają się dłuższemi i krótszemi epizodami, jak w *Samuelu Zborowskim*. Stosunek Słowackiego do ludu ukraińskiego nawskroś demokratyczny, nie widać szowinistycznego traktowania chłopa-burłaka. Niedoli chłopskiej, naocznie widzianej, [4]) nie porusza nigdy. Za wielkim był indywidualistą, by sprawy społeczne, nie dotyczące go bezpośrednio,

[1]) *Balladyna*, przedmowa, w. 47—58.
[2]) *Zawisza Czarny*, w. 484.
[3]) Fragment dramatu *Beniowski*, w. 265—269. II Fragment w. 114—122.
[4]) Do autora „Irydjona" list drugi w 154—160.

mieszać do przedziwnej tkanki swej poezji — co jest słusznem poniekąd. Poeta powinien to tylko poruszać, z czem zostaje w jakiejkolwiek styczności, fizycznej lub duchowej. Sprawy, choćby najaktualniejsze i najwznioślejsze, o ile nie wypływają ze wzruszeń osobistych, nie powinny być poruszane; nie będzie to bowiem żadną poezją, która jest niczem innem, jak emanacją reakcji na pewne struny uczuciowe twórcy.

Tak przedstawia się stosunek Słowackiego do Ukrainy. Pokusiliśmy się o ten temat, nieopracowany zupełnie, zaledwie gdzie niegdzie poruszony, i to przeważnie zajmujący się wpływem ukraińskiej poezji ludowej na poszczególne utwory. Uważamy za rzecz o wiele ciekawszą i pożyteczniejszą, nakreślenie duchowego związku pomiędzy autorem a przedmiotem jego twórczości, jakim w danym wypadku jest Ukraina. Poznaliśmy stopniowo fazy rozwoju, w jakim pozostawał Słowacki i jego poezja wobec problemu Ukrainy. Początkowo widz bierny, obcy zupełnie ziemi, na której wychował się i zbierał pierwsze perły wrażeń, poczyna się do oddalonej — w miarę upływu czasu i przestrzeni — przywiązywać coraz to mocniej, stając się wkońcu wieszczem i mogilnym lirnikiem ginącej. Daleki zawiew stepu upoił go i rozszalał, napełnił wspomnieniami młodości. Wziął ową Ukrainę, jak kraszankę Wielkanocną, zakręcił w słońcu, aż rozbłysła opętanemi barwami i rozśpiewała się jak szklanna harmonijka. Porwały go wichry i niosły z kurhanu na kurhan, grały pogrzebne liry i zaglądały w oczy upiory przerażenia, że zginie. Zdawało się, że rapsody Słowackiego będą ostatnią wenedyjską harfą wielkiej poezji ukrainnej w polskim języku. A oto po stu latach jeszcze dźwięczy, i owszem, nawet rozdzwania się na nowo;[1]) koń biały przyniósł Wernyhorę aż do wawelskich szkarpów. Nikt jednak tak głęboko nie pojął tych dum namogilnych i nie wsłuchał się tak w poezję stepu, jak autor *Zawiszy*.

Jakiekolwiek pobudki mogły zaważyć w czasach młodzieńczej twórczości, później stosunek jego do Ukrainy stał się szczerym i zupełnie pozbawionym wszelkiej sztuczności i literackości. Dziwnym i niewytłumaczonym sposobem,

[1]) Sienkiewicz, *Trylogja*. Wyspiański, *Wesele*. Współcześnie cała twórczość J. Iwaszkiewicza przesiąknięta Ukrainą.

w dalszych latach, przejął się tak Słowacki ideą Ukrainy, że przypisać to musimy jedynie jego chorobliwej i egzaltowanej naturze, żyjącej więcej w świecie poetycznych przywidzeń i urojeń, jak realnej rzeczywistości. Jak na to jednak nader wierne rysy odtworzył, żywsze i prawdziwsze, niż w pierwszych swoich ukraińsko-kozackich utworach. Nie widzimy w jego postaciach sztuczności, są to charaktery tak dobre, jak każda inna z jego postaci, tylko napiętnowane ową rozpaczą i smutkiem, lub zaporoskim gestem Sawy. Realniejszych chłopów — nie pokazała nam cała współczesna literatura. Słowacki dał syntezę życia kresowego i krajobrazu Ukrainy; dał jęk ludu od lat zrywającego nałożone pęta; wyśpiewał jak nikt — za wyjątkiem rapsodów ludowych — Ukrainę. W ogniach bengalskich mistycyzmu ukazał stepy usiane kurhanami, wyczarował z pod ziemi rakietę, rozsypał w gwiazdy i zgasnął. Poezja tylko pozostała i z białym koniem Wernyhory tętni między kurhanami budząc ze snu umarłe — pod mogiłami spoczywające — liry.

II.

W pierwszym okresie twórczości (1826—1832) zajmują Słowackiego żywo tematy ukraińskie. Prawie niema wiersza, któryby o strunę ukraińską nie potrącał. Jeśli nie temat wzięty z życia Ukrainy, to przynajmniej akcja umiejscowiona na niem, lub choćby dwoma słowami ta ziemia wspomniana.[1]) Tak mamy *Dumę ukraińską, Piosnkę dziewczyny kozackiej* i *Żmiję* — poezje osnute na tle życia kozaczego. *Bielecki* i *Duma o Wacławie Rzewuskim* — umieszczone na ziemiach ruskich w pierwszym wypadku koło Brzeżan, zgodnie z podaniem, w drugim, na prawdziwym stepie klasycznej Ukrainy i historycznych dumek Zaleskiego; już same tematy wymagały odpowiedniego tła. Ale co widzimy jeszcze, to zajęcie się w *Mindowem* historją ruską (stosunki rusko-litewskie), pod koniec życia tak silnie działającą na Słowackiego. Tak samo w *Królu Ladawy* temat i tło, mające później zmartwychwstać *Beniowskim* i *Złotą Czaszką*. Temat i tło Ukrainy były nieodłącznemi akcesorjami ówczesnej poezji Słowackiego. Jak przedstawiają się bliżej, zobaczymy w szczegółowym rozbio-

[1]) Pieśń legjonu litewskiego: „na Ruś! na Ruś! dalej, dalej".

rze. Wszędzie, nawet w tak obcych tematach jak *Marja Stuart*, znajdziemy jakieś reminiscencje ojczystych stron poety. Słowacki nie zdawał sobie z tego sprawy, jak dalece jego poezja przesiąkła ziemią ukraińską. Poruszał tematy ukraińskie, bo były w modzie i znał folklor ukraiński najlepiej. Uważał je za coś specjalnie patrjotycznego, swojskiego, w znaczeniu polskiem. Później dopiero rozwinie się u niego poczucie odrębności szczepowej i zrozumie, jak nikt inny z Polaków, duszę Ukrainy — ziemi i człowieka. Wówczas dopiero widzialną mu się stanie tragedja stepu. Narazie jest tylko skarbnicą tematu i barwnych tęcz, wymalowanych pendzlem fantazji w obrazy.

Rozpatrzmy się teraz w nich szczegółowo. Dwa najwcześniejsze utwory Słowackiego, poza tytułem, prawie nic z ludowością dum ruskich nie mają wspólnego. Dramat Ruńki jest typowo romantyczny, literacki, wraz z całym arsenałem Tatarów, porwania, napadu i t. d. Czuć na wiorstę Malczewskiego i Zaleskiego w ujęciu sytuacji, konstrukcji i poglądach. Jedynie niektóre wiersze przypominają dumy ludowe np.:

I już koń powraca wrony
Zadyszany, zapieniony,
Grzywa z wiatrem rozigrana —
Wbiegł pod zamek wojewody.
Koniu! gdzie to Ruńko młody,
Gdzieś ty podział swego pana? [1])

jest jakby echem ludowej dumy o Nyczaju: [2])

Biży koniu dorohoju,
Zełenoju dibrowoju,
Tam udar ty kopytamy
Pred naszymy worotamy.
Deś ty koniu diuw Iwana,
Moho syna, swoho pana?

Jak widzimy opis prawie dosłownie przetłumaczony. [3])

[1]) *Duma ukraińska* w 154–160.

[2]) Czubiński, *Trudy*, t. V, str. 941.

[3]) Podobnie jak... M. Maksymowycz, *Ukrainśky narodni Pisny*. Nie ulega też wątpliwości, że Słowacki znał *Janusza* Zaleskiego, korzystał jednak wprost z pieśni ludowej; samo porównanie tekstu wystarczy:

Wichrzy jak zamieć, w kłąb zgięta szyja,
Wpadł do taboru, zarżał radośnie,
Patrzcie, no patrzcie, to koń Januszal
Syn czehryńskiego poległ starostyl

Podobnie jak u Słowackiego, kończy się opisem pogrzebu duma ludowa „O Fedori bezrodnomu". Ton smutku pokrewny melodjom narodowym ukraińskim i niektóre porównania np.: „W cichem szczęściu dnie twe płyną, jak daleka Dniepru woda". Koń wrony, typowy w ukraińskich pieśniach, brzoza na mogile i t. d. Sama kompozycja odbiega zupełnie dumek. „Na tle reminiscencji różnych powstał pomysł jak najprostszy i do atmosfery romansowej domu dostosowany".[1]) Słowackiego zaprząta przedewszystkiem wątek akcji i melodja, tło gubi się; prócz drobnego opisu stepu, tudzież paru wzmianek mogiły, jedynie barwny obraz Rufika pędzącego szlakiem stepowym:

Rzucił Kozak szlak stepowy,
Wziął się w prawo na bezdroże,
Między krzaki i parowy,
Gdzie Dniepr więzi ciasne łoże.
Wyprężony w szybkim biegu
Śmiga koń po krętym brzegu,
Po manowcach i w gęstwinie,
To się mignie, to znów ginie,
Tak, jak płomień z pod ogniska,
Ze szkarłatu czapka błyska.[2])

Jedno jedyne miejsce woniące burzanami i łaskocące kolcami bodjaków stepowych. Jest to najświetnietszy ustęp w całej dumce.

Pieśń ludowa w owym czasie była dla Słowackiego materjałem znanym, ale obcym i bezużytecznym. Jego nieokiełzana fantazja nie mogła zadowolić się prymitywizmem ludu, a wyczarowywać zeń szklanych kopuł poezji jeszcze nie umiał. Zaleski był mu mistrzem w korzystaniu z folklorystycznych materjałów; Malczewski, Beatryczą wiodącą w ziemię smutku i tęsknoty. *Duma* była odtworzeniem, transkrypcją wrażeń[3]) literackich, umiejscowiona na Ukrainie, ale nietylko, „by modzie stało się zadość".[4]) Cały ówczesny kierunek literacki popychał do ludowości — Słowacki zaś, jakiż inny lud, prócz ukraińskiego, znał podówczas?

[1]) J. Kleiner, *J. Słowacki.* T. I. str. 118.

[2]) *Duma ukraińska* w. 120—130.

[3]) Chlebowski, *J. Słowacki* str. 178 (Sto lat myśli polskiej).

[4]) Kleiner, *op. c.* T. I, str. 119 streszcza dumę a potem: „By się modzie stało zadość, rzecz dzieje się na Ukrainie".

Jakież inne pieśni lepiej od dumek? — Nic dziwnego zatem, że bohaterem został Kozak, a akcja rozegrała się na Przydnieprzu. W „Dumkę" włożył wiele uczuć osobistych, jest ona, jak cała poezja Słowackiego, subjektywną. Uczucia Ruńka były poniekąd własnemi i tem można tłumaczyć, że „we Wrocławiu 1848 r. pytał się o Ruńka i powiedział: Jabym go teraz chciał przeczytać". [1]) Tak potraktował Słowacki w jednym z pierwszych swoich utworów temat ukraiński. Na stepy rzucił bohatera-Kozaka, włożywszy weń swe serce i, nieszczęśliwego w miłości, przykrył falą Dniepru.

Piosnka dziewczyny kozackiej odbiegła zupełnie tak od dumek ludowych, jak całej twórczości ukraińskiej. Dziewczyna zawodząca nad mogiłą kochanka, przypomina mocno Marylę mickiewiczowską nad kurhankiem. Pomysł sentymentalny, daleki od groźnych scen śmierci i surowego zawodzenia płaczek ludowych; nie wyszła jeszcze z ludu dziewczyna, któraby codzień chodziła po kwiaty na grób kochanka. Typ berżerki. Jedynie historja miłości zbrodniarza „zlekka oparta o świat kozacki", [2]) ale tak samo dobrze mogłaby się scena odegrać np. w Kalabrji czy Albanji. Zmodyfikujmy powiedzenie prof. Kleinera „kozacki" — na ludowy. Przypuścić można z Małeckim, [3]) że w owym 46-funtowym tłumoku poezyj, zagubionym podczas przejazdu przez Niemcy, musiało się znajdować więcej podobnych utworów, osnutych na tle ludowo-ukraińskiem, czyniących zadość ówczesnym kierunkom i smakowi warszawskiemu. W *Piosnce* tej użył Słowacki motywu ludowego zawodzeń pośmiertnych do osnowy treści; sentymentalizując i zmieniając charakter zasadniczy, rzucił pomysł na tło mogiły stepowej i nie westchnąwszy nawet z dziewczyną, poszedł dalej. Mamy surowiznę tematu, nieprzetrawioną i nieprzeżytą w wyobraźni poetyckiej, niezabarwioną żadnym uczuciowym zakwasem, ociosaną, jak znaleziony na drodze kamień przez sumiennego rzeźbiarza, chwili czasu nie trwoniącego nadaremno. Nie we wszystko jednak wkłada się swego ducha.

---

[1]) Dopisek matki Słowackiego (w Hahna „Objaśnieniach do utworów J. Słowackiego").

[2]) J. Kleiner, *op. c.* T. I, 62.

[3]) J. Małecki, *J. Słowacki,* przypisek do str. 68.

W *Mindowem* porusza Słowacki historję starej Rusi. Walki książąt halickich z Litwinami, obietnicę papieską zwierzchnictwa nad wszystkiemi krajami, „które w dalsze lata zagarniesz mieczem Rusi u Towtwiła brata, lub zyskasz na Danielu, książęciu Halicza". [1]) Ciekawe, że wszelkie usiłowania Mindowego zmierzają do powstrzymania najazdu ruskiego, utrzymywania stosunków z państwem ruskiem, natomiast ani jednej wzmianki o Polsce. Również północnej, wielkoruskiej historji, nie poruszał jeszcze Słowacki. Widocznie musiał znać najlepiej małoruskie dzieje, w historykach rosyjskich rozczytuje się dopiero pod koniec życia. *Mindowe* jest pierwszem ogniwem w łańcuchu ruskich tematów historycznych. Ruś śpi przysypana ziemią, popiołem wieków. Mogiły jeszcze nie przemówiły. Łańcuchy żórawi nie miały skąd przynosić ducha poetowego na usokolone stepy, a cóż dopiero wgryźć się w skrzynię wieków, przypieczętowaną kronikami. Nie umie jeszcze zaglądać do jej wnętrza, nawet przez szparę dum. Słyszymy jakiś głuchy podźwięk nieoczyszczonej rudy, z której niebawem wykuje złote podkowy rumaka Rzewuskiego. Potrzeba było lat długich. Tymczasem Słowacki uromantycznia stepy, za przykładem innych.

Na podstawie skąpej notatki historycznej, mniej pieśni ruskiej o panu Brzeżańskim, [2]) rzuca na tło modrzewiowej cerkiewki zapadłej, cichej wsi podolskiej, straszną tragedję nie mającego już drogi powrotu renegata. Prócz faktu, że akcja poematu rozwija się na Rusi, nieopisanej nawet nigdzie, nic Bieleckiego z tematami ukraińskiemi nie łączy. Opisy przyrody i okolicy ogólnikowe, nic nie wskazuje nawet cienia kraju, w którym wznosi się fantastycznie wprost urządzony zamek wojewody, lekko odrysowany w *Żmiji*. — *Kozaki* świecący pochodniami — napad Tatarów — i wszystko. Podobnie nic ukraińskiego niema w *Kuliku*, a jednak czuje się, że pędzi przez wschodnie rubieże Polski. Jakiś niepokój wiecznie krwią płynącej ziemi, „kresy" w znaczeniu XVII w.

---

[1]) *Mindowe*, akt I w. 191—194.

[2]) J. Schmitt, *Nasze pieśni ludowe*. — J. Pietrzycki, *Bielecki, Pieśń ruska w starej Brzeżańszczyźnie*.

czuć ze strof tych poematów. Wieje z nich coś nieuchwytnie u k r a i n n e g o, nie ukraińskiego, kozackiego, ruskiego. Mamy w nich pierwociny owej mistycznej ziemi, tak bliskiej nam, a nieokreślenie leżącej, na której Zawisza trąbił w mury zamkowe Sanockich.

Inaczej w *Żmiji*. Tam strzęp jakiejś tradycji ludowej łączy w łańcuch dziwaczny z całym kramem pieśni, dum, powieści i legend ukraińskich, wątków zapamiętanych, postaci najdziwaczniejszych, wywodzących rodowód z dziesięciu conajmniej autorów i krajów, podszyty widzianym niegdyś obrazem, przez szkła oddalenia rozjarzonym jak wigilijna choinka. Rozwija się step, lat kilka temu przemierzony w błysku Bohdanowych pochodni, okrzyku czarnomorców z dum ludowych i przedziwnej feerji konglomeratu wszelkich dostępnych Słowackiemu źródeł, zmieszanych i przetworzonych w genjalnej wyobraźni na zamek równy szklanej górze i cuda wnętrza nieustępujące opowieściom z „Tysiąca i jednej nocy". Dusza Słowackiego objawiła się tu barwnym meteorem fantazji, przesiąkła wszystko, rozśpiewała i wypoetyczniła w fatamorganę Zaporoża.

Na Ukrainie „Lud dotąd pokazuje wał ogromny, wałem Żmiji nazwany" [1]) i t. d. bierze Słowacki za punkt wyjścia. I wierzmy mu, że żadnych innych źródeł do postaci *Żmiji* nie miał. Natomiast reminiscencje są tak silne, że właściwie nich jedynie złożony cały poemat; reminiscencje literackie i wspomnienia osobiste. Zajmiemy się wprzód pierwszemi, a mianowicie dumą ludową *O Samoili Kuszki.* [2])

Pieśń pierwsza (Odplitie hałeri iz Trapezonta w Krim): opis galery Ałhana, hulającego sobie na okręcie, brańców kozaków, Turków, a między nimi jednego zbisurmanionego Polaka. W pieśni drugiej (Son Ałhona Paszy) widzi kniaź trapezuntski bunt swych galer i pogrom wojska przez Kuszkę. Klucznik, ów Polak sturczony, tłumaczy mu, że trzeba uważać na niewolników i rozciąga nad nimi surowy dozór. Tymczasem okręt kieruje się w stronę Kozłowa, gdzie „do diwky Sandżakowni na zalieti pospiszały". Pieśń trzecia (Pyr

[1]) *Żmija.* Objaśnienia autora.

[2]) M. M a k s y m o w y c z, *Sbornik ukrainskych Piseń.* Kijów, 1849 r.

w horodi Kozłowi): dziewczyna podejmuje Turków, Paszę wiedzie do komnat i spaja drogiem winem, a dla wojska wyprawia na rynku biesiadę. Ałhan Pasza, wysławszy szpiegów i przekonawszy się, że wszystko na okręcie w porządku, pozwala na podochocenie; wszyscy bawią się do rana. Straż spita winem wali się z nóg, a (IV P. Pryhotowłenie hałeri k'pobihu) hetman Kuszka, uwolniwszy się z więzów, otwiera Kozakom kajdany, każąc je jednak, dla niepoznaki, do północy zachować. Pasza wraca z wojskiem a zobaczywszy pobieżnym rzutem oka, że wszyscy skuci, udaje się na spoczynek. Piąta pieśń (Oswobożdenie hałeri oť Turkow). O północy Kozacy uwolnieni z kajdan rzucają się, wycinają w pień całą załogę, janczarów topią w morzu i ćwiartują Ałhana. Jedynie klucznika każe hetman zachować przy życiu. W pieśni szóstej (Pławanie hałery k' dniprowskomu łymanu. — Płacz Sandżakowni. — Pozdrawłenie Ałhana Paszy dziewczyna zawodzi nad brzegiem morza, czemu Pasza tak wcześnie odjeżdża; tymczasem okręt odpływa do Bosforu. Klucznik budzi się i prosi o życie, co uzyskawszy, służy radą i pomaga do zdobycia siedmiu armat w Carogrodzie. Pieśń siódma (Pribbitie hałeri k' kozakom, k' ostrowu Tendri): powracający okręt przyjmują Kozacy strzałami armatniemi, nie chcąc dopuścić do brzegu. Wówczas hetman wyjmuje czerwoną chorągiew, zanurza w wodzie i pokłoniwszy się trzy razy, oznajmia co zacz. Galera wjeżdża na Limany. Podział łupów w pieśni ósmej (Podił dobyczy. — Pozdrawłeni Samoiła Kuszki. Pomyczka po nem) i uczta zwycięskich Kozaków. Duma kończy się wspomnieniem, że choć hetman leży pochowany w Kijowie, „słowo ne umre, nie polaże" i modlitwą za wojsko kozackie.

Oto sucha treść dumy historycznej ludu, dawno powstałej, jak świadczy jej staro-ruski język, a jeszcze w 1848 r. śpiewanej na Ukrainie.[1]) Możliwe, że Słowacki mógł ją słyszeć śpiewaną przez jakiegoś wędrownego dziada i tylko jakieś mgliste wspomnienie mu pozostało. Porównajmy teraz ze *Żmiją*.

Na czarnem tle nocy rozbłysły dwie łuny: „To płonie

[1]) M. Maksymowycz, *op. c.*, wstęp.

Białogród — Trebizont się pali". Tymczasem w Synope cicho i rozkosznie zabawia się Basza w swoim haremie z Zulemą. Nagły napad rozłącza ich, jak w dumie ludowej, obraca miasto w perzynę a kozacy odpływają na rabunek Carogrodu, analogicznie do dumy ludowej. Hetman wydaje Perę na łup Kozaków, poczem następuje podział zdobyczy, podobnie jak w dumie ludowej; dla siebie żąda Żmija cegieł z zamku sułtana, by Kozacy wznieśli mogiłę, w której by śnił o swoich wyprawach. Jest to jakby echem zakończenia dumy o Kuszce, że choć hetman martwy „słowo ne umre, ne polaże" — u Słowackiego: czyn. Dalej widzimy walkę na okręcie Baszy, analogiczną z opisem ludowym; krótką wzmiankę „Hałeru na pożar spuskały" rozprowadza Słowacki we wspaniały obraz spalenia utkwionego na mieliźnie okrętu. Galera Kuszki i czajki Żmiji powracają nad brzegi ojczyste, w obu wypadkach przywitane z warowni strzałami.

Jak widzimy, wypadki następują prawie identycznie. Wyruszenie Kozaków na czarnomorską wyprawę, scena w Kozłowie a Synope, Zulema i Sandżakiwna, Żmija, pogromca galer tureckich, a hetman Kuszka — sturczony Polak i skozaczony Turek, wyprawa na Carogród i powrót pomiędzy ostrowy, walka na okręcie, strzały z warowni nadbrzeżnej, zanurzenie we falach obrazu a chorągwi it. d. i t. d. Samo już porównanie treści wystarcza do przypuszczenia, że Słowacki musiał znać powyższą dumę; porównywanie poszczególnych wierszy nie wyjaśnia bliżej wzajemnej zależności utworów, która ograniczyła się do zapożyczenia ogólnego tła. Przypuścić nie można, by Słowacki korzystał z poezji ludowej parafrazując poszczególne ustępy. Przedstawiała ona tylko surowy materjał dla świetnego bukietu jego fantazji. Jedynie główną osnowę mógł zaczerpnąć i pewne motywy, powyżej właśnie, po raz pierwszy zestawiono. [1])

[1]) Jedyny W. Maślak *(Żmija)* wspomniał o tej dumie, ale bardzo niewyraźnie i chaotycznie. Przypuszcza nadto, tylko analogję, intuicję przypadkową w odczuciu dum ludowych u Słowackiego: „Intuicja poety, którą posługuje się on w podchwytywaniu charakterystycznych szczegółów, dotyczących zwyczajów i obyczajów siczowych kozaczyzny, nie różni się od artyzmu pieśni teorbanistów i kobziarzy, co

Z przykładu tego widać sposób w jaki Słowacki korzystał z rzeczy ludowych. Były mu pewnym, gotowym wątkiem, który ubierał w zupełnie nową i oryginalną szatę, co więcej, zmieniał go i dorzeźbiał wedle własnej potrzeby, tutaj jeszcze dosyć nieumiejętnie, idąc krok w krok niemal za prymitywem ludowej pieśni. Później do zupełnej niepoznaki przerabiał teksty pierwotne a raczej korzystał z pewnych momentów, cech pojedynczych. Reminiscencja działała na Słowackiego niesłychanie silnie. Widzimy niemal w każdym poemacie ślady lektur, tak samo wszędzie niemal można odnaleźć ślady ludowości, tylko są tak rozproszkowane, że krytykom wyhodowanym na ciele Zaleskiego i Goszczyńskiego trudno spostrzec te gwiazdki śniegowe, zabłąkane pomiędzy złomy brylantowego lodu fantazji. Dopiero niesłychanie przenikliwe badanie przy dokładnej i fachowej znajomości etnografji może wykazać, jak dalece świat ludowy nie był obcy poezji Słowackiego. Prócz powyższej dumy złożył się na *Żmiję* cały szereg wrażeń z pobytu na Ukrainie i współczesnej literatury. Podróż do Odessy — Wierzchówka — Zaleski — Malczewski — Goszczyński — Grądzki Bauplan. — Oto główne źródła do *Żmiji*.

Była to rakieta fantazji, wytrysła na tle wszystkich powyższych reminiscencji. Ze wspomnień osobistych pozostało

---

w swych bezimiennych, czysto ludowych pieśniach dali wyraz rozmiłowaniu w bohaterskich czynach i w podziwie dla rycersko-żołnierskiego życia takiego kwiatu Ukrainy, jaką była Sicz" (str. 19).

„Ton tych pieśni (o dawnych kozackich czasach) nie różni się prawie niczem od dotyczących rapsodów w *Żmiji*. Jedna z tych pieśni np. opiewa ucieczkę hetmana S. Kiszki (sic) z tureckiej niewoli, a jeden z jej epizodów przedstawia zniszczenie galery tureckiej z taką samą ekspresją, jakiej użył Słowacki w pieśni piątej. Znakomitym dowodem na tę okoliczność, że Słowacki pojął i zrozumiał usposobienie ukraińskiego ludu jest ta ballada, którą śpiewają Kozacy w Pieśni drugiej" *(Rusałka)*. Cytuje na str. 22 bez podania źródła dumy o S. Kuszce.

Tyle co do W. Maślaka. Widocznie musiał mu wpaść w ręce mało znany drugi tomik Maksymowycza *Sbornyk ukraińskich piseń*, Kijów 1849; powszechnie cytują pierwszy, obszerniejszy, gdzie jednakowoż dumy tej niema: *Ukraińsky narodny pisny*, Moskwa 1834 i *Małorosijskie pisni*, Moskwa 1827. Poza tem w całej bibljografji Słowackiego ani jednej wzmianki o powyższej dumie.

przedewszystkiem tło, krajobraz. Widział Słowacki, czy nie widział Dniepru, dał w każdym razie pyszny i barwny opis, i tak jak nie robi mu się zarzutów co do orjentalnych tematów przed podróżą na wschód, nie powinno to wpływać ujemnie na ocenę krajobrazu w *Żmiji*. Widział podolskie rzeki, jary, mogiły, step, kurhany, wsie, cerkwie, słobody i futory, wschody i zachody słońca, księżyca, noce i południa, tabuny koni i trzody, rozmaite zwierzęta, ptactwo, w pierwszym rzędzie typowe sokoły, wieśniaków, kozaków i dziadów wędrownych — dlaczegóż więc te opisy mają być sztuczne, nienaturalne, z książki jedynie czerpane? Trudno rozstrzygnąć polemikę Bełzy z p. Zdziarskim [1]) i orzec, czy widział Słowacki polowanie na sumaka, czy też nie, skoro żadnej wzmianki o tem nie mamy, ale przypuścić można, że na pewno w o g ó l e widział polowania, przebywając dłuższy czas w Wierzchówce. W ten sposób, dopełnione literackiemi reminiscencjami i fantazją, powstały opisy Dniepru, Ukrainy, wsi, polowania i t. d.

Opisy te, wykończone zupełnie pod względem malarskim, niedaleko odeszły od takiego np. obrazu Ruńka, pędzącego stepem. Oto obraz Żmiji:

Z tętentem konia leci przez wrzosy,
Bielą się wzbite tumany rosy,
Z pod kobyt konia spłoszone wrony
Stadem się zbiły, siadły na krzyżu,
W burzanie miga kołpak czerwony,
Stalowa zbroja... Pieśń II, w. 1—7.

Dokładność obserwacji pogłębiona, brak jeszcze przejęcia się poezją stepu. Jakże inaczej opisze kiedyś ten moment w pochodzie wojska opodal futoru Sawy! Inne opisy chłodne jak sprawozdanie dziennikarskie, np. początek V-ej Pieśni:

Wrócił syn stepów wyprawą dumny.
Jakże mu piękne zdają się chaty!
Róża je polna ubiera w kwiaty,
Malw różnobarwnych drżące kolumny
Aż ponad strzechy rosną i kwitną.
Ówdzie spróchniałe skrzypiąc żórawie
Sięgają w studni wodę błękitną;

[1]) W. B e ł z a, *„Żmija" J. Słowackiego,* Lwów 1909.

Tam Zaporożec napawa konia,
Śpiewając dziką pieśń o wyprawie,
I gwarząc z echem, wraca przez błonia,
Kiedy wieczorna zabłyśnie gwiazda.
Na śpiew szczekaniem pies się odwoła.
Chaty wiszące w parowach sioła,
Jako jaskółcze czernieją gniazda...

Pieśń V, w. 1—14.

Jedynie tam gdzie poezja wkracza w świat fantazji, mamy wizje cudowne zaczarowanych zamków, ogrodów i wysp:

Na ostrowach rosły głogi
I samotna róża bladła.
Zapienione skalne progi
Mgliły błękit wód zwierciadła.
Gdzie zarastał gaj odludny
Jednym słowem, jednym rankiem
Wzniosła z wyspy zamek cudny
I obwiodła złotym gankiem
Z koralowej zamek cegły...

Pieśń II, w. 65—68 i 113—117.

A u jego stóp „słychać tylko burze w głębi Dniepru i szum piasków". Wspaniałe są natomiast opisy Czarnego Morza i łowów. Dosięgnął w nich Słowacki zawrotnej wysokości, barwy i dźwięki połączone w jeden rytm poezji; skrzy się wszystko i gra dalekiemi dzwonami, omamia rusałczana poezja. Ale gdy przeżegnać złote fantomy chłodnym, krzyżowym wzrokiem — prysną i z poza cudnej tęczy słów wyjrzy szare pustkowie duszy. Prawdziwej poezji Ukrainy Słowacki jeszcze nie odczuwał.

Pod wpływem poetycznego stylu ukraińskich dum ludowych powstają takie określenia, jak np.: „Bez życia sześciu kozaków padło i sześć ogarów i sześć sokołów" — ludowa poezja operuje zawsze pewnemi określonemi liczbami o magicznem znaczeniu, najczęściej trzy, dziewięć i dwanaście. Porównanie „galery mają oczy sokoła", tak często w ukraińskich pieśniach spotykane, dalej wzmianki o wkładaniu pieniądza umarłym w usta, dotąd jeszcze praktykowane na Rusi, zwyczaj zawodzenia płaczek na pogrzebie, niektóre fragmenty „Rusałki",[1]) (zresztą nieodrodnej córki

[1]) W. Bełza, *op. c.* zestawia poszczególne oderwane słowa i zdania Słowackiego z podobnemi w rozmaitych pieśniach ludowych. Wpływologja mocno przesadzona.

Loreley [1]) wraz z jej końcem) a więc np. wzmianka o czarnem oku kochanki, urocznem według ukraińskich wyobrażeń ludowych i nieodłącznem w każdej pieśni miłosnej żądanie złożenia pewnej daniny od kochanka, powtarzające się stale w legendach ludowych, wiara, że przeżegnanie rozpędza złe duchy, obraz sokoła siedzącego na krzyżu z nastrzępionemi piórami i t. d.

Świat fantastyczny, wzorowany bardziej na mickiewiczowskich Świteziankach, niż topielicach, martwicach i innych tym podobnych zjawach fantazji ludowej. Opis wnętrza zamku tchnie naiwnością bajek dziecinnych — tak sobie wyobraża lud zaklęte pałace. „Któryż to kozak o czarach nie śni?" Tym wierszem, w którym widzimy dokładne odczucie poetycznego zakątka duszy chłopa ukraińskiego i zrozumienie jego psychy fantastycznie zabobonnej, klasycznie greckiej, homeryckiej, można zapieczętować dokument stwierdzający niezbicie istnienie rzetelnie ludowych pierwiastków w *Żmiji*, o czem dotąd powątpiewano. Nie myślimy grzebać, czy taki a taki szczegół lub obraz już przedtem pojawił się w druku, ktoś go użył czy nie, stwierdzamy tylko dwa fakty: bezpośrednią znajomość Rusi i folkloru, dalej — istnienie pewnych pierwiastków ludowych w *Żmiji*. Wystarczy samo za siebie.

Inne powody napisania: „Słowacki chce dać kwintesencję artyzmu swego — i kwintesencję romantyzmu" — mówi Kleiner. [2]) Romantyzm polski zaczął się pod znakiem fantastyczności ludowej, ludowość tedy ma również wycisnąć piętno na *Żmiji*. Z małemi wyjątkami zwrócono się do Ukrainy, ale w twórczości szkoły ukraińskiej była tendencja w kreśleniu postaci, albo polonofilizm, albo koliszczyzna. Nie dano pełni obrazu życia na Ukrainie. Fakt, że pomysłem, treścią

[1]) Motyw wabienia w toń wodną przez topielice, powszechny wierzeniom ludowym. Jedną z najpiękniejszych legend jest nadreńska „Loreley" o tyle bliższa Rusałki Słowackiego od „Świtezianki", że nie zadowala się jedną ofiarą, ale natychmiast śpiewem stara się o dalsze. Sposób uwiedzenia hetmana i technika wzorowana raczej na nadreńskiem podaniu, niż ludowych ukraińskich legendach. Por. Loreley, *Monatschrift f. d. Gesch. Westdeutschland*. V. 1879 i W. Golther, *Die Jungfrau mit den goldenen Haaren*. Stud. zu Liter. Gesch. Hamburg. 1903.

[2]) Kleiner, *op. c.* I, str. 125.

i kolorytem *Żmija* wypełnia właśnie tę lukę, jakiej nie zapełnili poeci szkoły ukraińskiej.[1]) W *Żmiji* mamy już dokładny i wszechstronny obraz kozaczyzny i jej życia. Widzimy kozaków w domu i na wojnie, na polowaniu i w walce, słyszymy ich pieśni, poznajemy zabobony, kraj, który zamieszkują.[2]) W samej rzeczy, skłoniły Słowackiego do napisania poematu powyższe przyczyny, moda i ambicja, nie żadne przywiązanie i sentyment ku Siczy. Wykorzystuje umiejętnie kraj, ze wszystkiemi jego właściwościami, dla celów artystycznych, z poszczególnych cząstek tka fantazję koronki romantycznej, otęczonej bengalsko poezją słowa i przecudnemi, zdala stepem zalatującymi akordami, ale nie widzimy odczucia Ukrainy i jej piękna; spostrzec a zrozumieć — to całkiem co innego. Bawi się tu Słowacki jeszcze jak bańką mydlaną lub świecącym kryształem i pod coraz to innym kątem ogląda grę załamania świateł. W późniejszych latach będzie niósł w drżącej dłoni, jak drogocenne kamienie, cząstkę własnej, zaprzepaszczonej w kurhanie duszy. Tymczasem na *Żmiji* skończy się faza tematów ukraińskich. W innych utworach Ukraina będzie już tylko tłem lub pierwiastkiem, sprawdzającym piękno. Dopiero w długich lat dziesięć poczną wykluwać się różne motywy ruskie i snuć po strofach *Beniowskiego.* Całego utworu, zaczerpniętego z podania, historji czy życia Ukrainy ludowo-kozaczej, mieć nie będziemy już nigdy.

Wspomnienia osobiste Podola, tak mistrzowsko złożone w *Złotej Czaszce* Strażnika krzemienieckiego, po raz pierwszy znajdujemy w *Królu Ladawy.* Nigdzie przedtem kraj snów dziecinnych, pierwsze zapamiętane wrażenia, piękno ziemi, nie zostały uprzytomnione. Czuje się opisy, nie przypomnienie serdeczne. Jeden jedyny raz, w obrazie, który Nick roztacza przed nami, widzimy typową chatę wiejską, podolską, serdecznie odczutą przez Słowackiego.

Przed daleką drogą
Powrócę jeszcze myślą w rodziców mieszkanie
Widzę tam, w końcu sioła, tę chatę ubogą,
Zczerniałe dymem ściany i obraz na ścianie;

---

[1]) W. Maślak, *op. c.* str. 9.

[2]) M. Kriedl, *J. Słowackiego powieści poetyckie* str. XXVI.

A przy obrazie lampa, pies wrót chaty strzeże,
Nad chatą dąb spróchniałe podnosi konary.
O Boże! widzę, widzę — tam mój ojciec stary
Na progu pług naprawia i mówi pacierze.
Oto matka ze łzami usiadła do przędzy,
Śpiewa pieśń, jak przy mojej kołysce śpiewała... [1])

Obraz to typowo swojski, daleki mrocznym wyspiarzom mglistego Albionu. Ten chłop stary naprawiający sochę, ta matka przy kołowrotku, pies przed progiem, obrazy na poczerniałej od dymu ścianie — oto chaty włościańskie, w jakich zatrzyma się zczasem Beniowski i spocznie Salomea. Zdawałoby się, więcej takich opisów w *Królu Ladawy* — urywek nie mógł objąć zamierzonej całości. Oprócz opisu Zofjówki, dworów i pałaców, strojów wieśniaczych — nic więcej fragment nie zawiera. Mamy tu we wszystkiem wierne echo podróży do Odessy, nawet ten bieg po stepie Rzewuskiego z dwunastoma śpiewającymi kozakami na białych koniach, powtórzony z takiem mistrzowstwem w *Dumie* znajduje swe źródło w kawaleryjskiej jeździe dwóch młodzieńców: „Wkrótce z Zenonem (Michalskim) przedsięwzięliśmy podróż do Odessy. Prawdziwie, że jak warjaci wyjechaliśmy z Wierzchówki — jechaliśmy, jak na spacer, ładnym Zenona kabrjoletem, cztery konie w krakowskiej ładnej uprzęży, furman jego także po krakowsku bogato ubrany i kozak za nami... Tak jadąc, zdawało się, że jedziemy szukać awantur". [2]) Powieść zawiera opisy szlacheckiego życia Podola. Treść, jak wynika ze wstępu, miała być obszerniejsza: „Mam zamiar rzucić na scenę Polaków-szlachciców, Polaków-poddanych, Polaków-kozaków. Nie zabraknie opisów miejsc malowniczych i krajobrazów. Podole i Ukraina przedstawiają obszerne pole dla pisarza. Tam znajdują się owe łąki, które wolałbym nazwać stepami, tak cudownie opisanemi przez Coopera; tam na szczęście, bohater może iść dzień cały nie spotkawszy ani jednej chaty, ani jednego żyjącego człowieka". [3]) Miał rozegrać się na tem tle jakiś romans awanturniczy czy dramat, bohater Słowac-

[1]) *Marja Stuart*, akt IV w. 262—269.
[2]) Pamiętnik J. Słowackiego. R. X.
[3]) *Król Ladawy*, rozdz. I w. 130—137.

kiego miał zlatywać stepy po mazepińsku. „300 mil w dwadzieścia cztery godziny, na koniu mającym wyborny instynkt w znajdywaniu swej drogi i nadzwyczajne szczęście niespotkania ani jednego miasta, ani jednej wioski w czasie swego szybkiego przelotu" z Warszawy, jak ironizuje geografję Byrona.[1]) Może tu już po raz pierwszy zaświtał temat Gruszczyniecki, kiedy to mówił „z wielkim Sawą, który twierdzi, że się urodził przed wiekami i nigdy nie umrze".[2])

Tą powieścią przypomniał sobie Słowacki widziane krajobrazy stron ojczystych i zatęsknił do nich na obczyźnie. Poczynał się proces ukrainizacji duszy Słowackiego. Zrazu przesiąkał ironicznym uśmiechem nad życiem dworów podolskich, które raz jeszcze zmartwychwstać miało w *Fantazym*, równie pobłażliwie patrzącym na „Dąb Wernyhory" jak parodję pseudo-klasyczną „Dumy Padury", sztuczną sielankę na poczekaniu. Tutaj już zaczątek tych sług wiernych, gotujących co wieczór przez lat dwadzieścia jajecznicę dla nieobecnego pana, geometrów, proboszczów i całego szeregu postaci widzianych i znanych mu osobiście. Życie szlachty podolskiej uchwycił z satyrycznej strony i lekko tarł po grzbiecie. Nie miłował jeszcze tego minionego kawału życia, jak żaków krzemienieckich i cały dworek p. Strażnika. Jak nie przemówiło jeszcze do niego życie podolskie, tak nie przemówił jeszcze step ukraiński. W dotychczasowych utworach, jak widzieliśmy, był dekoracją. Dopiero po r. 1832 w Paryżu „nocą zobaczył kraj miły, rodzony, gdy księżyc się wznosił na stepach czerwony. W noc nawet i ślepy, poznałby te stepy, po kwiatów rodzinnych zapachów. A niwa mu do stóp kłaniała się złota i marzył...[3])

Pierwszy to raz zawiało w poezji Słowackiego od stepów ukraińskich, i dreszcz mógł przejąć czytelnika. Odrazu narzuca się wyczucie, już nie opis stepu. Słów kilka zawiera więcej — niż niejedna strofka ze *Żmiji*. Rewelatorstwo poezji tu się dopiero zaczyna. *Duma o Wacławie Rzewuskim* nie jest już wierszem, poematem, jest — poezją. Zo-

---

[1]) *Ibid.*, rozdz. I w. 150—160.
[2]) *Ibid.*, rozdz. V w. 107—108.
[3]) *Duma o Wacławie Rzewuskim*, w. 29—34.

baczymy, jak cudnie przerobił motyw z *Króla Ladawy*: „Kozak, ulubieniec ladawskiego pana, poeta ludowy, Oreł, przesyła panu przezemnie piosnkę, której pan żądałeś dla swoich kozaków. — Wspaniale! To zakończenie zwrotki Ura ha! jak piorun rozlegać się będzie w stepach. Cóż to dla mnie za rozkosz przebiegać stepy na moim Solimanie z moimi dwunastoma kozakami na białych koniach, którzy chórem będą mi śpiewać swoimi dzikimi głosami ten hymn stepowy". [1])

Wspomnienie osobiste piorunująco odżywa. Zdaje się, że ten pęd, dopiero teraz, po pięciu latach, zaczyna wirować w głowie Słowackiego. Nie wystarczała mu notatka w pamiętniku, nie wystarczał małoznaczący opis w powieści, trzeba go było zamknąć w strofy:

Więc Emir w stepowe zapuszcza się szlaki
A za nim na koniach buńczuczne Kozaki,
W czerwieni i bieli po stepach płynęli,
Po smutnych kurhanach przeszłości.
I cały ten szereg błyszczący od stali,
Zrównanym galopem, jak morze się fali.

Duma, w. 65—70.

Ciekawe, że podobne przeżycia podobnie oddziałały na dwóch mistrzów: Mickiewicza i Słowackiego. Pod wrażeniem szalonej przejażdżki pisze Mickiewicz jeden z najkrwistszych poematów, *Farysa*. Słowacki wyrzuca ze siebie — trudno to inaczej określić — drugiego, co „po morzach wędrował i siedmiokroć na koniu przeleciał step Gazy", aż opamiętał się u wrót swego domu. Trudno o piękniejsze zamknięcie pierwszego okresu poezji, zarazem okresu poezji ukraińskiej. „Tą dumą, niekiedy uderzającą w ton ludowy, niby zawodzenia tęskne po śmierci bohatera, żegnał Słowacki swą poezję ukraińską". [2]) Poemat ten należy właściwościami swemi już do następnej epoki. Sterczy, jak słup graniczny, samotny w swym przebłysku odczucia tajemnic Ukrainy. Ani dotąd, ani przez osiem lat później, nie wzniesie się Słowacki do *Dumy o Wacławie Rzewuskim*. Wylęgło w niej pierwsze pospieszone ziarno, mające później dopiero

[1]) *Król Ladawy*, rozdz. VI w. 62—71.
[2]) J. Kleiner. *op. c.*, tom I, str. 198.

wybujać w złote kłosy. Wraz z Emirem poezja ukraińska usnęła cicho w kurhanie, zostawiając po sobie smugę dźwięku rozkutych podków arabskiego bachmata. Nigdy już odtąd nie wyjedzie tak uroczyście, w asystencji kozaków na białych koniach, w czerwieni, z teorbanami przewieszonemi przez plecy, jak dróżba weselna z sioła do sioła. Inaczej step zagada i inaczej zapachną mu kwiaty snem srebrnym spowite. To młodzieńcze zapałem, a dojrzałe zrozumieniem zakończenie poezji stepowej, stanowi wspaniały pomnik w twórczości Słowackiego. Jest jak rakieta żywego ognia pośród lamp elekrycznych i różnokolorowych soczewek. Zrywa się, pędzi przed smugą świetlistą i gaśnie z trzaskiem, zostawiając w ciemnościach oślnione oczy.

Tak zakończył Słowacki sabbatem ognistym swój okres ukrainny. Okres ten — kopalnia motywów i obrazów, błysnął na dnie szybu brylantem czystej wody — i wymarł. Słowacki — sztygar, rozmiłowuje się w swoich poszukiwaniach, zaczyna poznawać kopalnię, odczuwać i zżywać się z nią. Dopiero w trzecim okresie zobaczymy tego poszukiwacza diamentów, jak już nie dla zysku, sławy i bogactwa poezji, ale własnego zadowolenia pocznie przesypywać przez palce tęczę drogich kamieni, wydartą z wnętrza ziemi. Już nie ułamki, jak teraz, wydobędzie, ale bryły całe i pocznie je młotem bić w słońcu, aby tem większą tęczę gwiazd rozsypanych pochwycić. Okres ten był dla niego odwaleniem nawierzchni, a *Duma o Wacławie Rzewuskim* — pierwszym znalezionym diamentem.

(Dalszy ciąg nastąpi)

Adrjan Czermiński.

Doktór nieszczęśliwych.[1])

Fryderyk Józef Haas (po rosyjsku Fiedor Pietrowicz Gaaz) urodził się 24 sierpnia 1780 r. w miasteczku Münstereifel niedaleko Kolonji z rodziny bardzo pobożnej. Jeden z jego braci został kapłanem katolickim, siostra zakonnicą, sam zaś Fryderyk Józef udał się do Wiednia, by tam się poświęcić studjom lekarskim. Po ukończeniu wydziału lekarskiego Haas w 1803 r. po raz pierwszy przyjechał do Rosji, gdzie niezadługo, bo już w 1806 r. przyjął obowiązek naczelnego lekarza w Szpitalu Pawłowskim w Moskwie. W r. 1809 i następnym Dr. Haas aż dwa razy jedzie na Kaukaz, gdzie u stóp Maszuka bada wody mineralne, a w Essentukach odnajduje znane źródło siarkowo-borowi-

[1]) Za źródło do niniejszego szkicu służyła mi przedewszystkiem pamięć z mojej pracy poprzedniej nad zbieraniem materjału do obszerniejszej biografji. Przez sześć bowiem zgórą lat zbierałem wszelkie wiadomości, jakie tylko gdzie mogłem znaleźć o tej pięknej postaci Dra Haasa, do czego mię nieraz zachęcał bardzo, wtedy w Petersburgu razem ze mną uwielbiający doktora nieszczęśliwych, Ks. Jan Wasilewski, obecny rektor seminarjum duchownego w Pińsku, i w czem mi chętnie pomagał niedawno zmarły senator i publicysta rosyjski Anatolij Fiedorowicz Koni, któremu pierwszemu trzeba zawdzięczać wydobycie imienia świętego doktora z niepamięci najpierw przez liczne odczyty, następnie przez obszerne studjum po rosyjsku pod tytułem: *F. P. Gaaz.* Niestety, pisząc obecnie, dzieła tego pod ręką nie miałem, posługiwałem się tylko krótkiemi wiadomościami, skreślonemi przez tegoż autora w *Słowniku Encyklopedycznym* Brokhausa i Efrona w tomie VII, Petersburg 1892, na stronach 742—744 pod tytułem „Gaaz".

W ten sposób przez siedem prawie lat nagromadziłem spory materjał w postaci odpisów protokołów i innych urzędowych dokumentów i korespondencyj, związanych z życiem i pracą Dra Haasa i przechowy-

nowe. Swoje podróże i badania opisał w doskonałej książce pod tytułem: *Ma visite aux eaux d'Alexandre en 1809 et 1810.* Podczas wojny francusko-rosyjskiej Haas wyjechał do kraju ojczystego, lecz już w roku 1813 znowu powrócił do Rosji z zamiarem pozostania tutaj na zawsze, i faktycznie odtąd aż do swojej śmierci Dr Haas był stałym mieszkańcem, i od 1820 roku zarazem wybitnym, bardzo lubianym i słynnym lekarzem Moskwy.

W 1829 r. w Moskwie został otwarty Komitet opieki nad więzieniami, do którego książę D. W. Golicyn, ówczesny jenerał-gubernator moskiewski, powołał również i Dra Haasa. Zderzenie to wywarło wielki wpływ na całe życie i działalność naszego doktora. Oddając się bowiem odtąd z miłością i nieustającą energją trosce o więźniów, Haas porzucał stopniowo lekarską praktykę, rozdał wszystkie środki, jakie dotychczas posiadał, i, zapominając zupełnie o sobie, cały swój czas i wszystkie siły oddał na usługę „nieszczęśliwym", jak on z ludem rosyjskim zwykł był nazywać więźniów.

Stan więzień w Rosji przed wprowadzeniem komitetów opieki był opłakany. Nawet po miastach stołecznych, jak w Petersburgu lub Moskwie, zwykle ciemne, wilgotne, zimne

---

wanych w urzędach więziennych i zdrowia publicznego w Moskwie, następnie odpisy rozmaitych artykułów i wspomnień z gazet i czasopism, wydawanych w zeszłem stuleciu w Moskwie, Petersburgu i Rydze, miałem również wszystkie przez Haasa samego napisane książki i broszurki, jego portret i kilka listów w oryginale, jakie mi zaofiarował prezes towarzystwa imienia Dra Haasa w Moskwie, następnie broszurkę w języku łotewskim pod tytułem: *Rosyjski Franciszek — Doktór Haas.*

Wszystkie te materjały zostały mi zabrane podczas rewizji w 1921 r. przez petersburską czerezwyczajkę i nieco później umieszczone w archiwum rewolucyjnem, stworzonem przy Instytucie Smolnym w Petersburgu.

Nieraz słyszałem o cudach, jakoby zdziałanych przez świętego doktora, lecz ponieważ nigdzie na to dowodów lub świadectw na piśmie nie znalazłem, przeto o nich zupełnie nie wspominam, przez co jednak nie chcę zgóry w danym wypadku zaprzeczać możliwości podobnych faktów. I zgodnie z dekretem papieża Urbana VIII zaznaczam, że, używając słowa *święty*, czynię to w znaczeniu zwykłej mowy potocznej i nie mam wcale na myśli uprzedzać oficjalnego sądu Kościoła, do którego tylko samego należy prawo ogłaszania tego tytułu w jego sensie prawdziwym i zupełnym.

i przedewszystkiem bardzo brudne lokale więzienne były przepełnione nad miarę aresztantami, bez względu na ich wiek lub rodzaj przestępstwa. Niezawsze przestrzegano rozdzielania kobiet od mężczyzn, często również dzieci i dłużnicy siedzieli razem z prostytutkami lub zatwardziałymi zbrodniarzami. Wszyscy oni byli nawpół głodni i nadzy, pozbawieni wszelkiej prawie opieki i pomocy lekarskiej. Były to zarazem szkoły wzajemnego nauczania rozpusty i zbrodni, gdzie panowały rozpacz lub złość okrutna, do której poskromienia trzeba było nieraz używać surowych środków, jak naprzykład przykucia do ciężkich krzeseł i kłód, albo wkładania naszyjników z ostremi szpilkami, nie pozwalającemi się położyć.

Pochód skazanych na Sybir odbywał się podówczas z użyciem żelaznego pręta, przesuniętego przez ręczne obręcze skutych po dwóch aresztantów. Połączeni zupełnie przypadkiem, bez względu na wzrost, siły, zdrowie lub rodzaj winy, zsyłani od 8 do 12 ludzi na każdym pręcie posuwali się między etapami, z przekleństwem ciągnąc za sobą osłabionych, chorych i nawet umarłych. Stan więzień po etapach tak zwanych *pieresylnych*, skąd więźniów wysyłano dalej, był jeszcze gorszy, niż więzień zwykłych.

Dr Haas zrozumiał wysokie zadanie komitetu opieki nad więzieniami i całem sercem oddał się pracy. Przez dwadzieścia trzy lata dzień w dzień słowem i czynem walczył on z nie mającem granic okrucieństwem, które karę zamieniało na mękę. Bronił obrazu bożego w człowieku, którego rysy potrafił odnaleźć nawet w najbardziej zatwardziałych przestępcach. Przedsięwzięta przez niego walka o usunięcie pręta po długich prośbach, tłumaczeniach i żądaniach, przy poparciu wreszcie księcia Golicyna, skończyła się względnem zwycięstwem, pozwolono wszystkich pędzonych z 22 gubernij przez Moskwę (a było ich około 10.000 rocznie) wysyłać nie na prętach, lecz w kajdanach. I chociaż w r. 1844 po śmierci ks. Golicyna obrońcy pręta zwyciężyli znowu, faktycznie jednak do śmierci Haasa na skutek jego próśb i ofiar nikt z Moskwy na pręcie nie odszedł. Ponieważ rząd na kajdany dla przekucia zesłańców pieniędzy nie dawał, Dr Haas sam stale dostarcza zrobionych na jego za-

mówienie znacznie dłuższych i lżejszych kajdan, na które pieniądzę do kasy komitetu więziennego również przez niego stale wpływały od „nieznanego dobroczyńcy".

Następnie Haas prosi i znowu ze skutkiem, aby nie golono głów kobietom, oraz wszystkim wysyłanym na Sybir, a w zwykłych więzieniach chorym na kołtun.

Dalej środkami jakiegoś kupca Rachmanowa, widocznie swego przyjaciela, Haas przebudowuje większą część moskiewskiego więzienia dla zesłańców, aby w ten sposób możliwie ulżyć i polepszyć tutaj ich pobyt; wreszcie po długich walkach z komitetem i po kilkakrotnych ofiarach od „nieznanego dobroczyńcy" wystarał się o obszycie skórą, suknem lub płótnem ręcznych i nożnych pierścieni kajdanów. Trzeba zauważyć, że wkrótce potem, mianowicie w 1836 roku, ten przepis był rozciągnięty przez rząd do wszystkich przesyłanych więźniów w Rosji.

Na kilka dni przed odejściem każdej partji z Moskwy Haas zawierał osobiście znajomość z aresztantami i ich potrzebami, zmuszał często w swojej obecności poprawiać lub przerabiać ich kajdany, śledził za ich zdrowiem i wszystkich tych, którzy byli chorzy, słabi, lub potrzebowali pociechy duchowej, stanowczo zatrzymywał na pewien czas w Moskwie, pomimo stałych nieporozumień i przeszkód ze strony władz więziennych, protestujących przeciwko nieporządkowi, jaki się wytwarzał w przygowanych już zgóry poszczególnych spisach odchodzących w dalekie kraje *(statiejnyj spisok)*. Do katolików wzywał Haas kapłana katolickiego, aby przed swojem odejściem mogli pojednać się z Bogiem i nabrać otuchy na dalsze życie, jakie dla nich musiało być odtąd pokutą.

Odchodzących obdzielał rozmaitemi darami i prowizją, błogosławiąc przytem znakiem krzyża i całując tych, którzy według niego *haf es nich bös' gemeint*. Często szedł razem z partją aresztantów kilka wiorst za miasto ku wielkiemu zdumieniu mieszkańców Moskwy, widzących jak wśród szarych skutych ludzi maszerował znany lekarz w czarnym surducie z przypiętym na piersiach krzyżem zasługi. Następnie żegnał się jeszcze raz z każdym zosobna, rozdawał wszystkim napisaną przez siebie pouczającą książeczkę *ABC*

cnoty chrześcijańskiej, w tej samej książeczce kazał składać podpisy pod wydrukowanym tekstem, że „odtąd nie będę więcej kłamał, kradł, złorzeczył lub innych brzydkich jakich uczynków popełniał", i wracał później do domu, dręczony myślą — jak pewnego razu pisał do władz w oficjalnem sprawozdaniu — „o Aniele Bożym, który prowadzi także swój poszczególny spis".

Na tem jednak nie kończyła się zwykle troska doktora o tych co odeszli. Korespondował on z nimi dalej, zdaleka spełniał ich prośby, odwiedzał ich krewnych, wysyłał im wreszcie pieniądze i książki. Aresztanci poczęli nazywać go „świętym doktorem", a za nimi cała Moskwa. Zesłani zaś rozpytywali później z wielką serdecznością o niego osoby odwiedzające Syberję i na swój rachunek w Nerczyńsku na cześć świętego doktora wystawili piękną ikonę.

Pewien wyższy urzędnik, który objeżdżał Sybir już po śmierci Haasa, opowiadał później, jak w pewnej miejscowości podczas pożegnania się z zesłanymi przystąpił do niego jakiś staruszek i klęcząc pytał ze łzami w oczach: „czy żyje jeszcze w Moskwie Fiedor Pietrowicz, święty doktór?"

Lecz również i ci aresztanci, którzy pozostawali w Moskwie, korzystali z wielkiej dobroci doktora. Mianowicie w 1834 r. Haas wymógł na rządzie ustanowienie z byłych dyrektorów komitetów więziennych nowych urzędników, coś w rodzaju adwokatów *(sprawszczyki)*, którzy musieli sprawdzać sprawy aresztantów i w razie potrzeby ich bronić. I gdy zapał tych nowych obrońców nieszczęśliwych wkrótce ostygł, Haas sam za wszystkich spełniał ich obowiązki: dowiadując się o sprawach niecierpiących zwłoki, prosząc o ich przyśpieszenie, jeżdżąc po sądach, kancelarjach i biurach policyjnych, nie zważając na dalekie przestrzenie miasta i złą nieraz pogodę.

W ciągu kilku lat Haas zebrał ogromne sumy dla zaopatrzenia przesyłanych więźniów w koszule, a niepełnoletnich nawet w kożuchy. Następnie w ciągu dwudziestu lat corocznie składał specjalne ofiary na kupno pasów dla aresztantów, cierpiących na rupturę. Wreszcie święty doktór był energicznym obrońcą wszystkich tych, którzy według niego zostali zasądzeni niewinnie, albo dla wyjątkowych po-

wodów zasługiwali na miłosierdzie. W księgach moskiewskiego komitetu więziennego zapisano aż 142 wnioski i zarazem prośby Dra Haasa o wystaranie się przepatrzenia sprawy na nowo lub zmniejszenia kary. W kłopotach i troskach tego rodzaju Haas nie zniechęcał się żadnemi trudnościami; gorąco rozprawiał z metropolitą Filaretem, stawiając mu nawet pewnego razu przed oczy sąd boży; w sprawach więźniów pisał listy nawet do cara Mikołaja i do króla pruskiego, brata rosyjskiej cesarzowej Aleksandry Fiedorówny. Kiedy zaś pewnego razu cesarz Mikołaj I osobiście zwiedzał więzienie, Haas na klęczkach błagał go o ułaskawienie 70-letniego starca, skazanego na Sybir, a zatrzymanego przez niego z powodu choroby i niedołęstwa, i tak długo i usilnie prosił, aż wzruszony cesarz prośbę wysłuchał.

Będąc przekonanym, że wielu więźniów zostało złoczyńcami wskutek braku religijnego wychowania, Haas szczególniej się starał o oświatę religijną dla więźniów. W tym celu namówił swego przyjaciela, petersburskiego kupca Meriliza, do wielkiej ofiary, mianowicie do kupienia 100.000 egzemplarzy Pisma św. i innych religijnych książek dla więźniów. Sam również często kupował wielkie partje książek, które potem wysyłał na Sybir.

Pomiędzy aresztantami wielu było włościan, wysyłanych na rozkaz ich panów. Czasami szli oni razem z dziećmi, najczęściej jednak rodziny pozostawiano, rodzice zaś na Sybir wędrowali sami. Z wielkim zapałem i niejednokrotnie błagał Haas komitet więzienny, by poczynił kroki celem zniesienia 315 i 322 paragrafów XIV tomu Zbioru Praw, pozwalających panom skazywać swoich ludzi na Sybir.

Skuteczniejszemi były starania Haasa o wykupienie pozostawionych dzieci, oraz zabiegi, by na przyszłość panowie nie odłączali małoletnich od rodziców. Komitet opieki częściowo za pieniądze F. W. Samarina, pozostawione testamentem dla Haasa, częściowo znowu za inne, wpłacone przez Haasa od „pewnych dobroczyńców", w latach 1830—1853 wywykupił 74 osoby i ze skutkiem się starał o bezpłatne wypuszczenie na wolność dzieci w przeszło 200 wypadkach. Następnie na wniosek swego doktora komitet więzienny

od roku 1830 corocznie udzielał ze swoich środków pewną kwotę na „wykupienie" niezamożnych dłużników, a od roku 1832 zbierał również kapitał dla niesienia pomocy rodzinom biednych aresztantów.

Jako naczelny lekarz więzienny, Haas okazywał niezwykłą troskę o chorych, którzy leczyli się w szpitalu więziennym, jakim podówczas był oddział Starego Jekatierininskiego Szpitala. Chorych odwiedzał kilkakrotnie dziennie; długo z każdym rozmawiał o stanie choroby, o stanie duchowym i o pozostałych w domu; stanowczo zabraniał, aby w szpitalu ktoś kłamał. Schwytanym na kłamstwie lub nieszczerości kazał płacić karę pieniężną do specjalnej puszki na korzyść biednych w szpitalu. Nie wolno było też używać brzydkich słów ani przeklinać. Nie otrzymawszy zatwierdzenia od władz ułożonego przez siebie dla służby szpitalnej statutu trzeźwości, Haas faktycznie ten statut wprowadził w życie.

Korzystając z tymczasowego pobytu więźniów w wolnym gmachu państwowym przy Pokrowce w Moskwie, Haas podczas gdy gmach opuszczali aresztanci, począł przyjmować tam wszystkich bezdomnych i chorych z ulicy. Stopniowo najpierw po licznych trudnościach i skargach, potem po gorących prośbach i łzach przed jenerał-gubernatorem, żądającym natychmiastowego oczyszczenia gmachu, Haas dopiął milczącej zgody i uprawnienia swej nowej instytucji. W ten sposób, bez oficjalnego zatwierdzenia, dzięki tylko uporowi „świętego doktora", powstał szpital policyjny w Moskwie, nazywany przez lud do ostatnich dni szpitalem „Gazowskim". Nieco później po zaprowadzeniu lepszej gospodarki miasta to dzieło Haasa otrzymało mocną organizację i do czasów bolszewickich istniało jako szpital imienia cesarza Aleksandra III.

Przy tym właśnie szpitalu w niedużem mieszkaniu z bardzo ubogiem umeblowaniem wśród książek i instrumentów astronomicznych żył swe ostatnie lata i umarł zupełnie ubogi Dr Haas. W tem samem mieszkaniu od wczesnego ranka po półgodzinnem klęczeniu przed krucyfiksem, który stale stał na biurku doktora — Bóg sam tylko wie, jakie Haas z Nim rozmowy prowadził i co Mu polecał — przyjmował on chorych, rozdając biednym bezpłatnie le-

karstwa i dzieląc się z nimi swojem ostatniem mieniem, jakie jeszcze posiadał. Często widziano chorych, wychodzących z pokoju świętego doktora ze łzami w oczach, a z banknotem w ręku. Często również kazał Haas obdarowanymi udawać się od niego do kapłana. Wieczorem zaś często do późnej nocy patrzał na gwiazdy i w niebo, którego odblask stale nosił w swych oczach cudownych i dobrych.

Oczy świętego doktora były również czyste. Wszystko, co mogło splamić czystość lub skromność, nie miało łaski w tych oczach. Pewien przyjaciel Haasa posiadał wielki drogi obraz, lecz obrażający uczucie skromności, który podczas wizyty pokazał doktorowi. Doktór patrzał nic nie mówiąc, potem żegnając przyjaciela, ku wielkiemu tego zdziwieniu prosił odsprzedać mu obraz. Zaskoczony przyjaciel nie mógł odmówić i po krótkiej walce z sobą ofiarował obraz doktorowi jako dar. Skrzętnie owinąwszy w draperje wiózł Dr Haas swój nowy dar do domu. Po pewnym jednak czasie poprzedni właściciel zatęsknił za obrazem i pojechał go zobaczyć do Haasa. W czasie rozmowy gość niespokojnie oglądał ściany pokoju i nie widząc tu nigdzie obrazu przypuszczał, że jest on w drugim pokoju. Haas zauważył niepokój gościa i poprosił go wnet do drugiego pokoju. Gdy jednak przyjaciel i tu obrazu nie znalazł, nie mógł dłużej powstrzymać swego zdenerwowania i prędko zapytał Haasa: „A, gdzie jest obraz, który podarowałem doktorowi?“ — „Tam“ — odrzekł spokojnie Haas i ruchem ręki wskazał na piec.

Jedynem zdaje się upiększeniem jego mieszkania był piękny duży obraz Matki Boskiej, który jeszcze przed swoją śmiercią Haas kazał zawiesić w kościele jako swój dar osobisty.

Popularność świętego doktora wśród mieszkańców Moskwy była tak wielką, że w 1848 roku w czasie epidemji cholery hrabia Zakrzewski prosił go, by przy rozjazdach po mieście w swoim znanym powszechnie staromodnym powozie zatrzymywał się na placach i uspakajał lud, który go chętnie słuchał i bez zastrzeżeń wierzył „swemu doktorowi“. W tym samym czasie, aby zapewnić kolegów lekarzy, iż dotykanie się chorych na cholerę nie grozi żadnem nie-

bezpieczeństwem, 70-letni Haas publicznie położył się do wanny, z której przed chwilą wyjęto umierającego na cholerę i pozostał w niej przez pół godziny.

Innym razem w szpitalu leżała młoda dziewczyna, której twarz i ciało zniszczyła straszna choroba, napełniając pokój, gdzie była chora, przykrą wonią, tak iż nikt w tym pokoju nie mógł wytrzymać nawet pięciu minut — i oto znowu święty doktór odwiedza chorą, pociesza ją i pozostaje przy jej łóżku przez całe trzy godziny...

Oryginalny w ubraniu, które zawsze było jednakowe, mianowicie czarny surdut, krótkie spodnie, czarne pończochy i trzewiki ze sprzążkami, oryginalny również co do sposobu mówienia, zawsze obrazowego i bardzo żywego, Haas żył w zupełnej samotności, całkowicie oddany uczynkom miłosierdzia, nie bojąc się trudów, ani szyderstw ze strony otaczających go współpracowników, ani też kancelaryjnych zaczepek ze strony władz administracyjnych. Hasło świętego doktora, niejednokrotnie powtórzone w jego książeczce pośmiertnej pod tytułem *Appel aux femmes*, — „spieszcie się czynić dobrze" było programem całego jego życia.

Nikt dobrze nie wiedział, gdzie i co jadał Dr Haas, niezawsze bowiem miał u siebie służącego.

Jako dobry i zawsze otwarty katolik, przeto „dziwak" i „fanatyk" w oczach jednych, „święty" w oczach innych, Haas odważnie mówił wszystkim prawdę.

Nigdy nie chciał dać się sfotografować, podstępem jeno pewnego razu artysta, schowany za kotarami, nakreślił dokładny portret świętego doktora, kiedy ten, siedząc wśród przyjaciół, opowiadał o swych nieszczęśliwych, co on robił zwykle długo i chętnie, by w ten sposób coś dla nich otrzymać.

Wysokiego wzrostu, sangwinik, z dobremi zamyślonemi niebieskiej barwy oczyma, w znoszonem ubraniu i pocerowanych pończochach, Haas był zawsze pogodny, w dobrem usposobieniu, zawsze w ruchu i nigdy nie chorował, aż pierwsza i ostatnia choroba go złamała. 16 sierpnia 1853 r. umarł, żegnając przedtem ze wzruszeniem i z prośbą o modlitwę wszystkich, kto tylko przychodził do niego przez stale na jego życzenie otwarte drzwi; i wkrótce potem przy

udziale kilkutysięcznych tłumów ludu został pogrzebany na Wwiedzieńskim katolickim cmentarzu w Moskwie. Skromny gustowny pomnik, wystawiony przez przyjaciół, zdobi jego mogiłę, drugi podobny wystawiło mu miasto przed szpitalem, gdzie Dr Haas żył i pracował.

Bolszewicy nie ruszyli żadnego, owszem mówili niedawno o postawieniu innego większego pomnika, czem jeszcze raz zaprzeczyli zdrowej logice — odrzucają bowiem Mistrza i Jego naukę, jednocześnie uwielbiając ucznia, który przed wizerunkiem tego Mistrza umiał codziennie uklęknąć i naukę Jego w czyn wcielić...

Ks. Dr. A. Petrani.

Problem Żydów wschodnich w powieściach J. J. Tharaud.

(Ciąg dalszy [1])

Na zakończenie obrazów Palestyny dzisiejszej przedstawia nam autor jednego ze swych osobistych znajomych, dawnego swego ucznia, Józefa Birnbauma, który niespodziewanie zgłasza się do niego w Jerozolimie. W młodości biedny uczeń Jesziby, wzbogacony potem nagle w Ameryce, uległ i on fantastycznemu porywowi swej rasy i przybył do ziemi przodków. Ale jakiż inny, niż jego ojcowie i dziadowie! Rodzony jego dziad, który tak samo przybył tu przed laty trzydziestu, zaaklimatyzował się rychło w starej Jerozolimie, ożenił się z młodziutką dziewczyną, miał z nią dziecko i po bogobojnej śmierci, spoczął w dolinie Jozafata. Jakże daleko Jakóbowi od tego spokoju ducha, który cechował jego dziada i od sztucznego entuzjazmu dzisiejszych syonistów. Cud odzyskanej Palestyny, widziany zbliska, blednie w jego oczach; sceptycznie ocenia wysiłki współwyznawców. Nie wierzy w to, by ziemia palestyńska miała specjalnie urodzajnie wpłynąć na ducha żydowskiego. Sądzi przeciwnie, że nowi przybysze, którzy dumni są z wybudowania banalnego miasta nadmorskiego Tel-Awiw, gdzie nie myśli się już o Mesjaszu, gdzie „szczęścia oczekuje się od eukaliptusów, światła elektrycznego i komfortu angielskiego", że ci nowi przybysze zabijają to, co w żydostwie jest najistotniejszem. A więc szuka tej duszy żydowskiej, błądząc po nierównych

[1]) Zob. *Przegl. Powszechny*, nr. 547—8, str. 88—104.

uliczkach Jerozolimy, której symbolem staje się dla niego niespodziewana miłość.

Sceptycyzm jednak podgryza także i osobiste jego uczucia. Mógłby, jak dziad, ożenić się z młodem dziewczęciem ze swej rodziny, które zdołał pokochać, znając je ledwo z widzenia. Ale nie czyni tego: nie chce wpływać gwałtownie na los istoty ludzkiej, wyrywając ją z przeznaczonego dla niej koliska i obawia się, że ten kwiat ziemi judzkiej, przeniesiony na grunt Ameryki straci cały swój urok. Wyjeżdża więc sam — i rozczarowany.

Dla autora jest Jakób Birnbaum symbolem dzisiejszego świata żydowskiego. Podobnie jak Jakób, świat ten uwierzył przez czas krótki w fantastyczny sen Herzla i miał słuszność, że uwierzył. Gdyż entuzjazm i nadzieja, to jedyne rzeczy, mające wartość. Jednak szalona idea zgromadzenia całego żydostwa w ciasnej krainie — jest niemożliwa do ziszczenia. Żydzi pozostaną nadal rozproszeni, ale odporność ich rasy nie pozwoli im rozpłynąć się wśród innych narodów. Stan ten nie zmieni się, gdyż zgromadzenie się żydów w jednej krainie, odebrałoby im te olbrzymie korzyści, jakie czerpią właśnie ze swego rozproszenia po całym świecie. Ale w sercu zachowają zawsze miłość Syjonu. I właśnie te pragnienia, pełne nostalgji, te aspiracje, których nie mogą i *nie chcą* Żydzi sami zrealizować, ta walka rzeczywistości i marzenia, ten wieczny niepokój, to — zdaniem autora — cała poezja Izraela.

Książka następna, nosząca tytuł: *Gdy Izrael jest królem,* jest szkicem historycznym z niedawnych lat, a tematem jej rewolucja bolszewicka na Węgrzech i udział w niej Żydów. Opowieść ujęta jest znowu w formę osobistych wspomnień. Autor opowiadania, znający Węgry przedwojenne z dłuższego pobytu, przyjeżdża do tego okrojonego kraju po wojnie i na podstawie opowiadań świadków, stojących blisko osobistości kierowniczych, oraz na podstawie drukowanych dokumentów i osobistej znajomości terenu, odtwarza przebieg wypadków. Rzecz, nosząca cechę żywej bezpośredniości, zajmuje bardzo i ze względu na temat i ze względu na tak niedawną, a plastycznie odtworzoną przeszłość. Szczególnie zajmująca jest dla nas, Polaków z Mało-

polski, jako bliskich sąsiadów Węgier, związanych z nimi wielu wypadkami politycznemi w ciągu ubiegłej setki lat; interesuje żywo opis ostatnich wydarzeń, od wybuchu wojny do jej zakończenia i upadku Austrji, które my witaliśmy jako wyzwolenie, a które dla nich przez nieszczęśliwy obrót losu stało się wyrokiem ciężkiej klęski. Przypuszczam jednak, że i dla czytelników francuskich może być zajmująca ta książka, ukazująca niejedną ze sprężyn Wielkiej wojny, wprowadzająca w wewnętrzne sprawy przeciwników naszej sojuszniczki i przedstawiająca udział Francuzów w likwidowaniu wojennych i powojennych spraw węgierskich. Przez owo wspomniane ujęcie subjektywne, przez zdolność dalej syntetycznego ujmowania różnorodności zjawisk w dobrze ustosunkowane architektonicznie zarysy, przez umiejętność plastycznego kreślenia sylwetek ludzi, niejednokrotnie znanych sobie osobiście, od których zależał. bieg wypadków i dar wnikania w wewnętrzne pobudki ich działań, wreszcie przez sugestywne zaznaczenie w niewielu rysach krajobrazowego tła i sentyment, zabarwiający wyraźnie niektóre postaci i ich czyny — jest książka nie suchą rozprawą naukową ale dziełem sztuki.

Opowieść swą zaczyna autor od wspomnienia: jako młody chłopak, ledwo po opuszczeniu uniwersytetu, przyjeżdża do Budapesztu, by w tem obcem mieście, pełnić przez kilka lat obowiązki lektora języka francuskiego, t. j., jak mówi, czynić wysiłki zmierzające do wzbudzenia w umysłach synów obcego narodu przeświadczenia, że jest godne kochania, to, co sami kochamy. Przy tym pierwszym przyjeździe do stolicy naddunajskiej wita go twarz obca, silna, odpychająca: jest to portret Bismarka, wiszący na ścianie nędznego pokoiku, który służył mu za pierwszą kwaterę. Ta twarz, z którą obcował przez cztery lata, odpychała go i pociągała zarazem; jej widok uleczył go z wielu szlachetnych złudzeń. I oto, gdy po dwudziestu latach powracał znów do Budapesztu, wspomnienie tej twarzy złączyło się w jego myślach z innem wspomnieniem: jest niem widok żałobnego pochodu delegatów węgierskich, którzy w sztywnem milczeniu kładli swój podpis na akcie traktatu w Trianon, traktatu, pozbawiającego ich ojczyznę $^2/_3$ części terytorjum i naj-

bogatszych okolic. Po tym nastrojowym wstępie wprowadza autor czytelnika na wzgórze starej Budy, by zapuścić się marzeniem w głąb historji. I chociaż w poprzednim rozdziale kazał się domyślać, że pośrednim sprawcą tragedji Węgier była twarda pięść Bismarka, tak tu stwierdza przecież nieśmiało, „że, być może, tam w Trianon zapomniano o wielkim wysiłku, jaki w ciągu wieków zrobiły te stare okopy Zachodu, broniąc chrześcijaństwa przed najeźdźcami z Azji..." Lecz był i trzeci czynnik, który wpłynął na ukształtowanie się dzisiejszego losu Węgier. Autor przedstawia go symbolicznie, kreśląc przed nami widok domu Orczich. Jest to wielki dom dochodowy, zbudowany w Peszcie, przez jednego z magnatów w XVIII w., który zczasem stał się prawdziwem ghetto w sercu stolicy. Przeszli przez nie ci wszyscy żydzi, którzy przybywając nieustannie ze wsi węgierskiej, zasilanej emigracją żydowską z pobliskich krajów, jak Polska i Ukraina, nieznacznie i powoli opanowali na Węgrzech zajęcia, które dają potęgę rzeczywistą. Banki, przemysł i wielki handel dostały się w ręce Izraela. Wolne zawody, pogardzane przez szlachtę, zasilały się również żydami, a równocześnie na wsi przechodziły majątki szlachty, osłabionej finansowo po zniesieniu poddaństwa, a nie chcącej zrezygnować z dotychczasowej stopy życia, w ręce żydów-wierzycieli, lub niesumiennych dzierżawców. Współżycie było, mimo wszystko, dobre. Szybki rozwój stolicy pochlebiał Węgrom; „byli wdzięczni tym przybyszom, którzy wnieśli do ich życia rozum praktyczny i aktywność, których Węgrom brak... a gościnne przyjmowanie tych mieszkańców wschodu... zadawalniało wrodzoną szlachetność" tego narodu. „Żydzi ze swej strony, szczęśliwi, że znaleźli gościnę, która im wielce ułatwiła wstęp do innych krajów zachodnich, wysilali się, by być bardziej węgierscy od samych Węgrów, przyjmowali ich język, ich obyczaje, ich uczucia, ich patrjotyzm wreszcie z przesadnym zapałem, jaki wnoszą do wszystkiego. Wielu zresztą robiło to szczerze". Ale to porozumienie między Madziarami i żydami było tylko pozorne, trwało dzięki sprzyjającym okolicznościom, dzięki zręczności jednej strony i iluzjom drugiej. Pod niem kryły się ciągłe tarcia i nienawiść. Zdano sobie sprawę z tego wówczas dopiero,

gdy na Węgry spadły nieszczęścia a w Budapeszcie rozegrała się tragedja społeczna, której prologiem było zamordowanie hr. Tiszy.

Sylwetka tego wybitnego męża stanu Węgier przedwojennych i jego roli w czasie wojny jest dla autora pretekstem do odmalowania początku, tła i bliższych przyczyn wypadków późniejszych. Tisza występuje, jako człowiek nieugiętego charakteru, zrównoważony, krzepki, o nieco ciasnym umyśle, którego losem było ciągłe nieporozumienie z własnem społeczeństwem. Jako przewidujący polityk podtrzymuje unję Węgier z Austrją, wbrew nastrojom w narodzie; po zamachu na następcę tronu austrjackiego w Sarajewie wszelkiemi siłami stara się powstrzymać wybuch wojny, mimo, że ma wszystkich przeciw sobie: i Radę koronną i władców sprzymierzonych krajów i wreszcie swój naród, prący do wojny ze znienawidzonym sąsiadem słowiańskim. Gdy wojna została wypowiedziana cieszy się chwilowo popularnością, gdyż nikt nie wie o jego prawdziwej roli. Ale, by nie wprowadzać zamętu w opinji, milczy. Milczy jednak i nadal i wówczas, gdy wraz z niepowodzeniem na froncie i żywiołowem pragnieniem pokoju, powszechna nienawiść zwraca się przeciw niemu, jako domniemanemu sprawcy wojny. Milczy nawet wtedy, gdy ginie zamordowany bez sądu we własnem mieszkaniu, w oczach żony. Ten czyn podstępny i brutalny jest pierwszem dziełem nowego rządu, który utworzył się w Budapeszcie z chwilą wybuchu rewolucji 30 października 1918 r. Odmalowawszy przedstawiciela dawnego rządu węgierskiego w barwach, które mogą być sympatyczne dla czytelnika z krajów Ententy, kreśli autor zkolei sylwetki tych, którzy stworzyli nowy *regime*. Na czele ich stoi hr. Michał Karolyi, magnat ambitny, niespokojny wichrzyciel, skłonny do przesady w każdym kierunku. Upośledzony fizycznie, prześladowany niepowodzeniem zarówno w grze w karty, jak i w grze życia, płonie gorączkową, niezdrową żądzą odznaczenia się i zwrócenia na siebie uwagi. Stąd płynie ostentacyjne głoszenie poglądów, sprzecznych z poglądami świata, w którym się obracał: w dziedzinie społecznej głosi poglądy radykalne, w dziedzinie polityki przeciwstawia się ostro Austrji, sympatyzuje z Francją.

Tego człowieka przeciwstawia autor Tiszy i ukazuje go w otoczeniu własnego dworu, złożonego z radykałów różnych gatunków, w wielkiej części żydów, których koło jego osoby skupiły stopniowo nadzieje bądź przewrotów społecznych, bądź pokoju za wszelką cenę, bądź poprostu jałmużny.

W miarę, jak opinja publiczna przekonywała się, że Węgry poświęcają się dla Niemiec, rosła popularność Karolyego. Im bliższe były kraje trójprzymierza, a z niemi i Węgry, ostatecznej klęski wojennej, tem bardziej zdawało się, że Karolyi uratuje jeszcze to, co do uratowania pozostało. Rada Narodowa, którą utworzył Karolyi z przyjaciółmi zażądała abdykacji króla Karola i proklamowała republikę. Wśród radości z powodu odzyskanej niepodległości zapomniano w Budapeszcie o klęsce poniesionej na polach walki i oddawano się złudzeniom co do zamiarów Koalicji względem Węgier. Koalicja jednakowoż w osobie generała Franchet d'Esperay przypomniała Węgrom, że przez kilkadziesiąt lat polityka ich szła na pasku polityki Niemiec, i narzuciła twarde warunki zawieszenia broni; równocześnie narodowości, podlegające państwu węgierskiemu, zażądały swobody; wojska czeskie, serbskie i rumuńskie zaczęły posuwać się w głąb kraju, niezdolnego stawić im oporu, gdyż wojsko rozbroił i zdezorganizował w myśl haseł pacyfizmu sam rząd Karolyego. W tej rozpaczliwej sytuacji występuje na widownię trzeci rząd: rząd bolszewicki, złożony w większości swej z żydów, przeważnie bardzo marnych figur. Początek swój zawdzięczał on agitacji, prowadzonej za pieniądze sowieckie przez Belę Kuna, przed wojną marnego reporterzynę, oszusta i drobnego defraudanta, wykształconego w czasie wojny przez bolszewików rosyjskich na agitatora. „Po dynastji Arpadów, po św. Stefanie i jego synach — mówi autor — po dynastji andegaweńskiej, po Hunyadych i Habsburgach zapanował na Węgrzech król izraelski". Opis panowania tego rządu, obcego pod każdym względem społeczeństwu i narzuconego mu siłą, nie przedstawia dla nas nic nowego.

Rewolucja bolszewicka na Węgrzech to słabsza kopia rewolucji w Rosji. Te same metody, ci sami ludzie, jako sprężyny i ci sami, jako wykonawcy, te same wreszcie opła-

kane skutki gospodarcze i kulturalne. Jedynie nie występowano oficjalnie przeciw religji w kraju, gdzie zarówno katolicy, jak luteranie i kalwini, są bardzo przywiązani do wiary. Odmalowawszy obraz rewolucji w mieście, przenosi autor czytelnika na wieś węgierską. Po pełnym liryzmu opisie krajobrazu i życia pasterskiego „puszty", zabarwionym osobistemi wspomnieniami, przedstawia straszliwą działalność oddziałów karnych, złożonych z okrutnych „chłopców Lenina" pod dowództwem galicyjskiego żyda Tibora Szamuely.

Koniec rządów bolszewickich zbliżał się jednakowoż nieuchronnie. Rząd kontr-rewolucyjny, utworzony w Szeged, z pomocą oficerów francuskich, nie okazał się wprawdzie zdolny do czynu; natomiast kres bolszewizmowi na Węgrzech położyła inwazja rumuńska, której zdezorganizowana armja Beli Kuhna, mimo wskrzeszonej na gwałt ostrej dyscypliny, nie mogła się przeciwstawić.

Clou opowiadania znajduje się, jak zwykle u Tharaudów, na końcu. Jest niem symboliczny dialog chrześcijanina z żydem, dialog przez to głęboko dramatyczny, że nie mający końca. Po eksperymencie bolszewickim i odwecie, jaki za to nieszczęście wzięli zkolei Węgrzy na Żydach, zapanowała między obu stronami otwarta walka. Argumenty, wysuwane przez obie strony, mogą częściowo być zastosowane do nowoczesnych stosunków między chrześcijanami, a Żydami wogóle. Węgier w owym symbolicznym dialogu zarzuca żydowi przedewszystkiem niewdzięczność i hipokryzję. Naród węgierski przyjął przybyszów, wierząc naiwnie, że zdoła ich zasymilować; przybieranie nazwisk i zewnętrznej obyczajowości węgierskiej wprowadzało w błąd. Przybysze opanowali wszystkie zawody, przynoszące szybki zysk i dające potęgę: przy ciężkiej pracy nie było ich widać. Podniesienie kultury materjalnej nie wyrównywa strat, jakie dzięki tym obcym, poniosło życie duchowe. Miasto idei Zachodu wprowadzili ich karykaturę, bo mózg ich z natury, poza ich świadomością, przekształca myśli, które się w nim osiedlają. Umysłowość ich próżna, przesadna, erotyczna i niegłęboka niezdolna jest do pracy prawdziwie twórczej. Wielka wojna wykazała, jak fałszywym był ich rzekomy patrjotyzm.

Stosunek strat chrześcijan i żydów dowodzi tego najjaśniej. A w dniu klęski „podjęli próbę zniszczenia ze szczętem naszej cywilizacji i zaprowadzili bolszewizm, o którym w najlepszym razie można powiedzieć, że u jednych jest on ostatnią wybujałością ducha mesjanistycznego, a u innych brutalną wolą narzucenia panowania Izraela wszystkim narodom świata".

Na te argumenty żyd odpowiada z twarzą bojaźliwą, lecz zarazem szyderczą, stwierdzając, że większość narodu węgierskiego z różnych względów potrzebuje żydów i wcale ich nie nienawidzi. Wrogami ich jest jedynie próżnująca szlachta i nieśmiałe drobnomieszczaństwo. Te warstwy zrobiłyby lepiej, by zamiast napadać na Żydów, zabrały się do pracy. Przewagę Żydów przypisuje ich większej energji i subtelności. Nieuczciwość ich nie jest większa, niż nieuczciwość chrześcijan, tylko, oparta na większej wyobraźni, daje lepsze rezultaty. Rewolucja byłaby i bez Żydów wybuchła, jako rezultat klęski wojennej. Zresztą przyznaje żyd, że jego ziomkowie rzucają się z pasją na wszelkie nowe i błyskotliwe ideje. Ale z drugiej strony posiadają zdolność przystosowania się do okoliczności. W społeczeństwach zdrowych wydają Disraelich, w czasach burzliwych — Trockich lub zwykłych Kunów.

Ten argument to właśnie broń, która obraca się przeciw żydowi. Otóż to właśnie jest to, czego chrześcijanin nie może wybaczyć żydowi. „Wy pracujecie — mówi — we wszystkich krajach na zło lub na dobro, troszcząc się jedynie o to, by zadośćuczynić instynktom, które tkwią w waszej krwi". Nawet ochrzczeni i naturalizowani mogą dochować wierności nowej religji i nowej ojczyźnie; ale nie mogą pójść dalej. Są największymi nacjonalistami w świecie. Zgodzicie się więc na to — mówią Węgrzy do Żydów — że przyjmując was pomiędzy sobą, nie możemy oddawać w wasze ręce naszych losów. Jesteśmy może mniej subtelni i mniej aktywni niż wy. Mało nam jednak zależy na tem, byśmy przez was stali się podobni do reszty Europy. Chcemy być sobą.

Tym silnym słowom umie żyd przeciwstawić tylko ostrzeżenie, by pozbywając się Żydów, nie powtórzono smu-

tnego — zdaniem jego — doświadczenia Hiszpanji, która do dziś — jak sądzi — cierpi z powodu wygnania swych Żydów, oraz stwierdzenie, że prześladowanie konsoliduje odrębność duchową Żydów. Zniszczyć ich nie można: są w życiu Europy czynnikiem podniecającym, solą, trucizną. Społeczeństwa chrześcijańskie powinny starać się uchronić przed wadami Żydów, a wyzyskać ich zalety.

Jakby na potwierdzenie tego zrezygnowanego, ale do pewnego stopnia i trzeźwego poglądu, przedstawia autor w ostatnim rozdziale obraz gromady Żydów, zamieszkałych w wagonach na stacji budapeszteńskiej, których rząd węgierski napróżno usiłował wysiedlić, gdyż rządy krajów sąsiednich odsyłały ich zpowrotem. W ciasnocie, w nędzy, żyjący tylko dzięki zasiłkom Alliance Israelite, ludzie ci zachowują dziwną aktywność, rozpęd, radość życia. Wszędzie czują się dobrze. Dziś tu, jutro tam: są u siebie wszędzie i nigdzie. „Turek na wzgórzu Budy — szepce z rozpaczą chrześcijanin, — nie był bardziej niebezpieczny, niż ten żyd rozczochrany, siedzący na swojej walizie. W ostatniem natarciu Azji zostaliśmy zwyciężeni".

Tym akordem pesymizmu kończy się książka o panowaniu Izraela na Węgrzech.

O ile autor, choć starał się usprawiedliwić postępowanie Żydów, wżywał się tu raczej w duszę Węgier, dla których czuje widocznie szczery sentyment, o tyle w ostatniej książce *Mała historja Żydów,* uczucie jego zdaje się, przeciwnie przechylać silniej w kierunku wiecznego narodu. Książka ta jest ujęciem historji żydostwa w Europie w niewielu silnych skrótach, skoncentrowaniem jej około kilku postaci i wydarzeń.

Celem autora jest, jak sam mówi w przedmowie, nie opowiadanie o wszystkich perypetjach narodu żydowskiego od czasów Abrahama, lecz tylko opowieść o tem, jakie okoliczności zmusiły Żydów do prowadzenia odrębnego i zamkniętego życia w ghetto, oraz opowieść o tragedjach duchowych, jakie rozgrywały się w małych, odciętych od świata gminach żydowskich.

Dwie księgi zadecydowały o losie Żydów. Pierwsza z nich to Tora (pięcioksiąg Mojżesza), ów piękny poemat

pasterski i wojenny, epopeja życia nomadów. Drugi — to Talmud, kodeks praw, zbiór — jak wyraża się autor — artykułów dziennikarskich, pisanych przez rabinów w ciągu tysiąca lat, pełen dziwacznej kazuistyki, bezsensownej dialektyki, wszelkiego rodzaju przesady, ale zarazem niepozbawiony czasem szlachetnego natchnienia, poczucia prawa, wyższego, niż poczucie prawne w prawie rzymskiem i niekiedy nawet akcentów chrystusowych. Księga ta, choć wyszła z Tory, różni się od niej niezmiernie. Abstrakcja, rozumowanie, argumentowanie, dialektyka, dzieląca włos każdy na cztery części, subtylizowanie, posunięte do absurdu — to jej cechy znamienne. Pachnie ta księga olejem i lampą, a nie stepem i życiem swobodnem. Nie jest to piękna opowieść, której słucha się z otwartemi ustami pod namiotem, ale księga, którą się czyta w dusznej izbie z czołem, opartem na dłoni i wyrywając sobie włosy z brody — które się przechowuje starannie potem między kartkami książki, jako dowód wytężonej pracy umysłowej! — Dla tych dwóch ksiąg Żydzi odosobnili się w ghetto: chcieli w ten sposób uchronić świętą Torę od wszelkiej profanacji i w ten sposób chcieli zachować możność wypełniania swobodnie tysiąca drobiazgowych przepisów rytualnych, jakie nakazywał Talmud. Wszędzie, gdzie się znaleźli, tworzyli sobie zamkniętą ojczyznę. I to im pozwoliło, mimo braku własnego terytorjum, przetrwać, jako naród, jeżeli narodem nazwiemy grupę osobników, którzy w ten sam sposób żyją, myślą, tego samego pragną i te same mają nadzieje.

Za główną przyczynę niechęci, a nawet nienawiści innych ludów względem Żydów uważa autor właśnie owo odosobnienie i tajemniczość, którą się otaczali. Wzbudzało to nieufność i podejrzenia. Zczasem narzucono przymusowo Żydom odosobnienie, które oni obrali sobie początkowo dobrowolnie. Żydzi zarzucają papiestwu dwulicowość, twierdząc, że, choć traktowało Żydów przychylnie na swem terytorjum, dbało zarazem o podtrzymanie otaczającej ich atmosfery podejrzliwości. Autor przypomina jednak, że pierwszymi, którzy wydawali zarządzenia, mające na celu odosobnienie Żydów, byli muzułmanie.

Druga przyczyna niechęci do Żydów — to ich zajmowanie się handlem złota, które dawało i daje im bogactwo, a budzi zazdrość i apetyty. Zajęciu temu oddawali się z początku dobrowolnie i z radością. Instynkt rasowy, rodzaj zdolności umysłowych, rozproszenie po całym świecie, zakazy papieskie, które broniły chrześcijanom zajmowania się lichwą — to wszystko sprzyjało temu kierunkowi działalności Żydów. W posiadaniu złota widzieli z jednej strony środek, ułatwiający sytuację w razie prześladowań, a z drugiej strony siłę, która da im panowanie nad innemi narodami, co było zawsze jawnym, lub ukrytym celem narodu, uważającego się za wybrany. Zczasem lichwa stała się niejako przymusowem zajęciem Żydów, gdy zamknięto im dostęp do innych rodzajów pracy.

Ograniczenia, narzucane Żydom, nie osiągnęły celu, spowodowały jeszcze silniejsze ich odosobnienie, dały im właściwą ojczyznę, którem było ghetto. Zkolei przystępuje autor do rozpatrzenia dramatów, jakie wstrząsały tą brudną, ale kochaną przez jej synów „ojczyzną". Najbardziej rzuca się w oczy stosunek ghetta do otoczenia chrześcijańskiego, czy muzułmańskiego, i owe, tak głośno przez Żydów okrzyczane, ich prześladowanie. Autor podkreśla jednak słusznie, że prześladowanie nie dotykało wyłącznie Żydów, ale wogóle innowierców, i to zarówno z jednej, jak i z drugiej strony. Następnie dola Żydów nie była wcale najgorsza w porównaniu z dolą innych warstw ludności, w porównaniu np. z dolą chłopów. Ilość Żydów, którzy zginęli w ciągu pięciu — lub sześciuset lat w sporadycznie wybuchających prześladowaniach, jest znikoma w porównaniu do ilości tych biedaków, którzy ginęli masowo w nieustannych wojnach i zatargach narodu z narodem, kraiku z kraikiem, zamku z zamkiem. (Autor zapomina tu dodać, że Kościół zwalczał energicznie i do pewnego stopnia skutecznie tę plagę średniowiecza). Istotniejszą tragedją ghetta wydaje się autorowi sprawa nawróconych żydów: prawie z reguły bywali oni w stosunku do ghetta renegatami, zdradzającymi tajemnice i słabe strony swych byłych współwyznawców. Najgłębsze jednak tragedje zachodziły w łonie samego ghetta, niezależnie od wpływów zewnętrznych. Były to konflikty podważające same funda-

menty myśli hebrajskiej. Większość żydów poddawała się coprawda ślepo rabinom, powracając z radością, po całym dniu przebywania wśród obcych, do rzeźwiącego źródła przepisów rytualnych. Ale znajdowały się jednostki, którym nie wystarczała ta religja formalistyczna i bezmyślna. Powstały w łonie ghetta dwie reakcje o wprost przeciwnym podłożu; przez nie usiłował Izrael wyzwolić się z dusznego jarzma rabinów i Talmudu. Jedna z nich — to odruch racjonalistyczny, odruch inteligencji, bunt rozumu. Druga to poryw mistyczny wyobraźni i serca. Obie nastąpiły niemal równocześnie, w wieku XIII. Ale nie skończyły się w tym wieku. Dwa te prądy trwają poprzez całą historję umysłowości żydowskiej i wzajemna ich walka w ciągu wieków i aż do dnia dzisiejszego stanowi właściwy temat *Małej historji Żydów*.

Prąd racjonalistyczny zapoczątkował Mojżesz Majmonides, który usiłował pogodzić Talmud z filozofją Arystotelesa i stworzyć z tego chaosu, jaki stanowi owa dziwaczna księga, system skończony i logicznie rozbudowany. Uczniowie jego, idąc coraz dalej w kierunku racjonalistycznym, odrzucali stopniowo praktyki kultu. Spotkali się jednak z żywą opozycją; w świecie rabinów doszło do rozłamu, wyklinano się wzajemnie, a nawet znalazł się przeciwnik Majmonidesa, który odwołał się do Inkwizycji. W owych jednak czasach, u schyłku średniowiecza, gdy wraz z upadkiem wspaniałego rozkwitu cywilizacji średniowiecznej, nastąpił moralny upadek i z nim nietolerancja religijna — w owych czasach, mówi autor, lepszą przysługę oddawała żydostwu stara, choć pełna zabobonów, religijność, niż zimny, czysto racjonalistyczny system, pozbawiony pierwiastków, działających na uczucie, wyobraźnię i wolę. W wierności dawnej tradycji znalazł ten lud, niezdolny do dumy i buntu (co autor uważa za bardzo poważny brak, mówiąc, że najpiękniejsza w świecie rezygnacja nie warta jest jednego krzyku rewolty), siłę do przetrwania prób. Ale to zacofanie rabinów przetrwało i nadal. Mimo, że humanizm, mało troszczący się o sprawy religijne, poganizujący, a zainteresowany nauką arabską, którą poznawał za pośrednictwem hebrajszczyzny, sprzyjał Żydom; mimo, że Refor-

macja z początku była przyjazna Żydom, od których zapożyczyła obficie krytykę religji katolickiej — w ghetto żydowskiem stosunki nie zmieniły się wcale, a obskurantyzm zwalczał skutecznie wszelkie próby swobody umysłowej. Że tak się działo nawet w Holandji, dokąd schroniła się umysłowa elita Żydów, hiszpańscy marrani i gdzie gminy żydowskie posiadały wszelką swobodę rozwoju, dowodzi autor na jaskrawym przykładzie Uriela Acosty, prześladowanego przez okrutny i bezmyślny fanatyzm współwyznawców. Doznane męki moralne i upokorzenia doprowadzają wkońcu tego szlachetnego bojownika, zwalczającego ciasnotę i bezmyślność więzów talmudycznych, do samobójstwa. Podobny los byłby może spotkał w parę lat później Spinozę, gdyby nie był, po wyklęciu go przez rabinów, usunął się zupełnie z ich oczu. Tak więc wysiłek w kierunku wyzwolenia duchowego, zapoczątkowany przez Majmonidesa, spełznął na niczem. Prześladowania, których Żydzi doznali od innych, mówi autor, nie uczyniły ich ani trochę wyrozumialszymi i mniej twardymi wobec własnych braci, którzy usiłowali wyłamać się z pod gniotącego ich twardego jarzma.

Żydostwo poszło inną drogą, niż wskazana przez racjonalizm Majmonidesa, by przeciwstawić się temu, co w Prawie było zbyt suchem i zbyt formalistycznem. Tą drogą była mistyka Kabały. Istniała wśród Żydów od dawnych czasów tradycja, złożona z wszelkiego rodzaju pomysłów, zapożyczonych z Egiptu, z Chaldei, z Babilonji, Persji, Grecji; była tam i magja i astrologja, fizyka i metafizyka, medycyna i chiromancja, wysoka spekulacja i fantazja szaleńcza. Te różne elementy, przekazywane tajemnie z pokolenia w pokolenie, zebrał w jedno i wzbogacił własnemi pomysłami niejaki Mojżesz z Leonu, który w wieku XIII napisał księgę p. t. *Sepher ha Zohar* (Księga wspaniałości), przypisując jej autorstwo dawnemu mędrcowi Ben Jochai. Mistyfikacja się udała i Zohar miał szalone powodzenie. Był to dla religijnej wyobraźni jak gdyby romans fantastyczny, w którym każde słowo Biblji nabierało specjalnego, tajnego, mistycznego znaczenia, w którym nawet każda litera alfabetu hebrajskiego miała własną mistyczną moc. Kto posiadł znajomość niezliczonych kombinacyj tych liter, będących zara-

zem cyframi, mógł posiadać — tak wierzyli — olbrzymią tajną władzę na ziemi i w niebie. Przestrzeń między niebem a ziemią zaludniła się tłumem demonów i światłych duchów, których mogła stwarzać modlitwa najbiedniejszego nawet żyda. Nie naruszając w niczem przepisów rytualnych i tradycyjnej pobożności, dawała Kabała obfity karm wyobraźni i w dusznym światku otwarła okna na nieskończoność. Tem się tłumaczy jej powodzenie.

Kombinacje cyfr kabalistycznych miały przepowiedzieć datę przyjścia Mesjasza, tego ciągle oczekiwanego wybawiciela Żydów z doczesnej przedewszystkiem niedoli i dawcę przyszłego panowania nad innemi narodami, oraz wszelkich, ziemskich przedewszystkiem rozkoszy. Od czasu do czasu różni komentatorzy Kabały zapowiadali zbliżający się termin pojawienia się Mesjasza i zwykle wtedy znajdował się osobnik, który czuł się powołanym do tej roli i dokoła którego powstawało „delirjum nadziei". Najbardziej charakterystycznym z tych niedoszłych mesjaszów był Sabbatai Cwi w wieku XVII, który po życiu, pełnem przygód i bynajmniej nie świętem, skończył na odstępstwie, i mając do wyboru śmierć lub turban, przeszedł na wiarę mahometańską i w służbę turecką, a mimo to ma podobno i dziś cichych wyznawców, a za życia wywołał bajeczny entuzjazm wśród Żydów całego świata. Autor opowiada barwnie życie tego człowieka o bujnej fantazji i szalonem zuchwalstwie, który żył w przekonaniu, że jest Bogiem i dla zamanifestowania swego posłannictwa popełniał takie niesłychane w pojęciu Żydów bluźnierstwa, jak wymówienie publicznie świętego imienia Jehowy, jak wzięcie ślubu z ...Torą (zresztą wkrótce potem ożenił się z ziemską narzeczoną, piękną i awanturniczą żydówką z Polski, a po niej miał dalsze trzy żony), wkońcu zaś ogłosił się publicznie Mesjaszem i Bogiem. — Historja Sabbatai Cwi i jego kultu maluje dobrze, zdaniem autora, ową stronę entuzjastyczną duszy żydowskiej, skłonnej do wiary w dziwy, w realizację fantastycznych snów, która przeciwstawia się pierwiastkom krytycyzmu, scholastycyzmu i oschłości, wprowadzonym w mentalność Żydów przez wieki wychowania talmudycznego.

Myśl Majmonidesa zdołał wprowadzić w życie dopiero w XVIII w. Moses Mendelsohn, który roztaczał swą działalność w Berlinie. Ani genjalny, ani nawet specjalnie utalentowany, sukces swój zawdzięczał temu, że zainteresował się szczerze wszystkiemi prądami umysłowemi współczesnego świata, zrywając z separatyzmem żydowskim. Odrzucał w księgach świętych cały balast późniejszy, usiłując odnaleźć pierwotnego ducha mozaizmu i sądził, że można równocześnie być dobrym żydem i oświeconym europejczykiem. Przetłumaczył Biblję na język niemiecki, dając w ten sposób sposobność wejścia w kontakt z życiem umysłowem Europy tysiącom swych młodych współwyznawców. Uczniowie jego jednak poszli dalej, niż on, dążąc do zatarcia wszelkich różnic, dzielących ich od chrześcijan i przestając właściwie być żydami. Centrum tego ruchu stał się salon berliński pięknej Henrietty Herz, który doprowadził jego bywalców do zupełnego indyferentyzmu religijnego i moralnego, osłoniętego często pokrywką chrztu, przyjętego dla względów formalnych, zupełnego zerwania z żydostwem. Zerwanie więc z prawodawstwem żydowskiem — dodaje nasz autor — doprowadza w praktyce do zerwania z religją żydowską wogóle. Bo, jak to zauważył Mendelsohn, jest wiara żydowska nie religją objawioną, lecz prawodawstwem objawionem. Po odrzuceniu tegoż, pozostaje nieokreślony deizm, który ulatnia się szybko, przechodząc w zupełny indyferentyzm. Zachowanie zaś drobiazgowych przepisów religijnych żydowskich możliwe jest tylko w obrębie ghetta. Z chwilą, gdy ono przestaje istnieć, znika rytuał, a wraz z nim religja żydowska. I oto z końcem XVIII w. istnienie ghetta zostało zagrożone poważniej, niż dotychczas i tym razem nie przez ograniczenia i prześladowania z zewnątrz, ale wprost przeciwnie przez ...osiągniętą swobodę.

Swobodę tę, to jest zrównanie w prawach obywatelskich, przyniosła Żydom rewolucja francuska, przynajmniej teoretycznie. Wobec tego, że po upadku Napoleona prawa te, szczególnie w Niemczech, zostały znowu ograniczone, Żydzi oświeceni uważali za jedną z przyczyn tych ograniczeń zacofanie współwyznawców i ich niechęć zbliżenia się do cywilizacji Zachodu i rozpoczęli gwałtowną agitację w kie-

runku unowocześnienia religji żydowskiej. Usuwając szereg właściwych Żydom wierzeń i przepisów, usiłowali stworzyć nową religję, będącą nieudolną kopją albo katolicyzmu, albo protestantyzmu. Jednak masy żydowskie nie dały się pociągnąć tym hasłom reformy, a ich głosiciele sami przeważnie poszli dalej konsekwentnie w obranym przez siebie kierunku i masowo porzucali judaizm, przechodząc na wiarę katolicką, lub protestantyzm. Bardziej liberalnymi, niż sami liberalni żydzi, okazali się chrześcijanie po rewolucyjnym roku 1848. Wszędzie w Europie zrównano ostatecznie Żydów w prawach politycznych z chrześcijanami, nie żądając od nich zmiany dawnych obyczajów.

Równocześnie z usiłowaniami Mendelsohna zmodernizowania Izraelitów i zbliżenia ich do cywilizacji zachodniej, powstał w „samem sercu żydostwa" wśród licznych jego mas w Europie wschodniej prąd inny, który odsunął te masy od świata chrześcijańskiego może dalej niż kiedykolwiek. Przed relacją o tym nowym kierunku autor kreśli krótko historję Żydów w Polsce i na Rusi, podnosząc słusznie tolerancję polską i opiekę, jaką otaczali Żydów możnowładcy polscy. W tych warunkach Żydzi w Polsce mogli rozwijać swobodnie swoją indywidualność i osiągnęli w XVI w., obok szerokiej autonomji politycznej, wysoki poziom umysłowy i szersze wykształcenie, nieograniczone wyłącznie do Tory, Talmudu i Kabały, jak w sąsiednich Niemczech. W XVII w. stosunki się zmieniły. Liczni emigranci żydowscy, którzy uciekli z Niemiec w okresie wojny trzydziestoletniej przynieśli, obok żargonu, ubóstwo materjalne i umysłowe. Warunki polityczne w Polsce i pogromy Chmielnickiego sprowadziły ruinę materjalną, a z nią i umysłową również u Żydów, osiadłych zdawna w naszym kraju. Bezduszny scholastycyzm zapanował wśród rabinów, a wśród szerszych kół z jednej strony przesadna asceza, z drugiej libertynizm, odrzucający najprostsze zasady moralności. Zjawił się wówczas człowiek, zwany Becht, albo Balchem, który zdołał pogodzić sprzeczne kierunki i zadowolić dążenia współczesnych. Nie odrzucając przepisów Talmudu, przyjmując z Kabały wierzenia o wpływie modlitwy człowieka na dzieła Stwórcy, odrzucając zarówno skrajną ascezę, jak libertynizm

moralny, stworzył religję, nacechowaną serdecznością, nadzieją i radością i zyskał rychło licznych zwolenników, którzy nazwali się Chasydami, pobożnymi; odróżniali się oni od swych współwyznawców również zewnętrznie, przez tak dobrze u nas znane pejsy i chałat i przez sposób modlenia się, głośno i kiwając się wtył i wprzód. Twórca chasydyzmu stworzył nowy „klimat duchowy" w żydostwie, temperaturę gorącą i namiętną, która przetrwała do dziś w synagogach na wschodzie Europy. Miejsce świętej obawy wobec Boga zajęła poufałość, posunięta do dalekich granic. Pogwarki, palenie, jedzenie i picie, nawet upijanie się, spanie w synagogach nie rażą nikogo. W dodatku zamiast Talmudu, zaczęto z większym zapałem studjować Zohar, kabałę, a wiara w cuda i cadyków-cudotwórców, następców Balchema, jest do dziś powszechna i nieprawdopodobnie silna wśród większości żydów wschodnio-europejskich.

W sposób żywy i barwny opowiada autor o swych wrażeniach, jakie odniósł, obserwując Żydów w Krakowie, we Lwowie, w Wilnie i w Berdyczowie i w miasteczkach, których nazw trudno doszukać się na mapach. Wszędzie zauważył z jednej strony nędzę, z drugiej niezmierną ruchliwość i przedsiębiorczość, która każe Żydom trudnić się równocześnie mnóstwem różnych przygodnych zajęć, w których dla zdobycia paru groszy zużywają więcej sił i energji, niżby potrzeba w tym celu przy regularnej pracy w jednym zawodzie. Zdaniem autora, taki typ żyda z ghetta, dochodzącego do fortuny życiowej beztroską i sprytem, przedstawia doskonale Charlie Chaplin i jego filmy.

W te zatęchłe podwórka ghetta przeniknął jednak, dziwnym sposobem, nie wyjaśnionym przez autora, promień zachodnio europejskiej cywilizacji, a przedostawał się głównie w szeregi tych, którzy byli powołani w pierwszym rzędzie do strzeżenia tradycyj żydowskich, w szeregi kandydatów rabinackich, uczniów jesziby. Autor przypomina w jaki sposób uczniowie ci przyswajali sobie zakazaną wiedzę co opisał już w *Róży Saronu* i konstatuje, podobnie, jak w owej powieści, że ta upragniona cywilizacja zachodnia nie dała szczęścia tym, co zdołali do niej dotrzeć w wielkich miastach Europy. Nie zadowoliła przedewszystkiem z po-

wodu swego realizmu tych, co byli wychowani w atmosferze duchowej zupełnie irrealnej. Żydostwo przy tem doświadczeniu okazało się nietylko wyznaniem religijnem, jak sądził Mendelsohn, ale czemś więcej ponadto: rasą, sposobem myślenia, sposobem ujmowania życia, czemś, co Żydzi oddychają stale i poza synagogą i czego nie mogą odrzucić, nie przestając równocześnie być Żydami. Jako naturalny wynik tej konstatacji był nowy prąd, zapoczątkowany przez powieściopisarza Smoleńskiego i redaktorów czasopisma *Haszahar* (Jutrzenka), prąd, zdążający do pogłębienia świadomości żydowskiej, przedewszystkiem przez studjum historji Żydów i języka hebrajskiego. Pogromy w Rosji, po zamordowaniu Aleksandra II-go, osłabiając prądy asymilacyjne, umocniły ten prąd narodowy żydowski. Dalszą jego konsekwencją była myśl zdobycia własnego terytorjum. Pierwszy głosił ją w 1860 r. Mojżesz Hess, Żyd niemiecki, zwolennik Marksa, dla którego zjednoczenie Żydów miało być odskocznią dla zapanowania nad światem ich idei, podjął ją w roku 1882 Leo Pinsker, lekarz z Odessy, a nakoniec spopularyzował wśród szerokich rzesz żydowskich dziennikarz paryski Teodor Herzl, właściwy twórca syjonizmu. Projekty Herzla, odrzucone przez dyplomację europejską, znalazły niespodziewanie realizację dzięki Wojnie Światowej i spekulacjom polityki angielskiej. Deklaracja Balfoura stworzyła wprawdzie nie państwo żydowskie, lecz tylko *home* narodowy żydowski w Palestynie, rodzaj azylu dla żydów. Nie mogąc uzyskać więcej, syjoniści przyjęli narazie to, co im dawano i rozpoczęli pracę.

Ziemia, wykupiona przez Fundusz Narodowy żydowski, jest własnością Izraela, a koloniści są niejako tylko dzierżawcami terenu, który uprawiają. Autor zwiedzał osobiście kolonje żydowskie, zorganizowane na najrozmaitszych zasadach, od kooperatywy poczynając, a kończąc na skrajnym komunizmie. Oceniając z praktycznego punktu widzenia wyniki dotychczasowych prac żydowskich w Palestynie, wypowiada Tharaud pewne zastrzeżenia. Przeciwstawia się tu wprawdzie, jak sam mówi, usprawiedliwiając swe stanowisko, głośnemu koncertowi literatury propagandowej, w której przeważa fałszywy sentymentalizm, przesada wschodnia i źle

umieszczona ambicja, ale sądzi, że wskazywanie na trudności wykonania jakiegoś pomysłu, nie jest wcale jego umniejszaniem. A trudności tych jest wiele. Pierwsza, najbardziej rzucająca się w oczy — to ubóstwo kraju, mały obszar ziemi zdatnej pod uprawę, skąpa roślinność, brak wody. Obszar ten, wogóle skąpo uposażony przez los, nadto po wielowiekowem zaniedbaniu, wymaga olbrzymich wysiłków, by mógł być dostatecznie wyzyskany. Dla wykonania tego niewdzięcznego zadania, trzebaby licznej i odpornej ludności wiejskiej, zdolnej do bardzo ciężkiej pracy w niezbyt sprzyjającym klimacie. Autor pyta z niedowierzaniem, czy Żydzi zdołają wyprodukować tego rodzaju ludność i sądzi, że stosunki mogą pozostać nadal takie, jak obecnie, to znaczy, że w większości kolonji zarówno dawniejszych, założonych przez *Przyjaciół Syjonu*, jak i późniejszych, założonych przez syjonistów, pracują na roli właściwie robotnicy arabscy. W takim razie większość ludności pozostałaby, jak dotychczas, arabską, a syjoniści nie doprowadziliby do zamierzonego przez siebie celu: odrodzenia żydostwa przez anteuszowe zetknięcie się z Ziemią.

Trudność dalsza — to kwestja kapitału. — W każdą kolonizację trzeba włożyć olbrzymi kapitał wprzód, nim zacznie ona coś przynosić. Ponieważ Żydzi nie posiadają państwa, muszą zwracać się po fundusze do osób prywatnych. Wymaga to ciągłej, niestrudzonej propagandy, ciągłego budzenia na nowo zapału, bo i najhojniejsi znużą się wkońcu ciągłem dawaniem. — Przytem nie wszędzie Żydzi witają równie chętnie ideę palestyńską. Żydzi amerykańscy, a zwłaszcza nowojorscy, zachowujący jeszcze tradycję związku z ghettem wschodnio-europejskiem, najwięcej dostarczają funduszów dla Palestyny. Natomiast zdawna osiedli Żydzi zachodniej Europy, pozostali w większości wierni ideałom Mendelsohna, a nawet poszli dalej, niż on, porzucając zupełnie praktyki religijne. Zdaniem ich Herzl mocno przesadził, pisząc o antysemickich nastrojach Europy. Agresywne i separatystyczne stanowisko syjonistów uważają oni raczej za niebezpieczne, gdyż potwierdza tezę antysemitów o niezdolności żyda do asymilacji. Syjonizm, twierdzą, nie przyczynia się do wzbogacenia dorobku duchowego Żydów; trudno oczekiwać do-

datnich rezultatów sztucznego powrotu do odrębnej kultury, dziś, gdy wszelkie formy cywilizacyjne zdążają do unifikacji. Nie można spodziewać się, by inteligencja żydowska dokonała cudów na jałowym gruncie Wschodu, raczej trzeba się obawiać, że grozi jej tam wyjałowienie. Los jej związany jest z Zachodem, w którym posiada głos dostatecznie wybitny. Nie zyska nic na wygrywaniu solo w Palestynie. Kolonizacja Palestyny nie jest wreszcie wcale rozwiązaniem kwestji żydowskiej. Kraj ten, jak wiadomo, może pomieścić nieznaczną stosunkowo ilość Żydów; ważniejsze jednak jest to, że stosunkowo bardzo mało Żydów decyduje się na emigrację; nawet zwolennicy tego kierunku ograniczają się często tylko do pięknych słów i gestów i to do tego stopnia, że nawet przyjęła się żartobliwa definicja: syjonista jest to żyd, który chciałby drugiego żyda wysłać do Palestyny.

Autor nie chce rozstrzygać sprawy między Żydami syjonistami i antysyjonistami, zwraca jednak uwagę na ważny a nie brany w rachubę fakt, który, od czasów Herzla, zmienił znacznie wygląd zagadnienia. Faktem tym jest upadek caratu i rewolucja rosyjska. Emigracja do Ziemi świętej miała znaczenie przedewszystkiem dla licznych mas żydowskich w Rosji, którym działo się tam przeważnie źle. Dziś położenie Żydów w Rosji, jest zdaniem autora, szczególnie pomyślne, o tyle, o ile wogóle czyjekolwiek położenie może być pomyślne w tym kraju. Nie podlegają tam już prawom wyjątkowym, lecz przeciwnie wielu zdołało uzyskać stanowisko uprzywilejowane. Ci z nich, którzy dziś jeszcze nic nie osiągnęli, mogą spodziewać się wszystkiego jutro. Przytem wielu z nich chętnie podstawia Trzecią Międzynarodówkę w miejsce legendarnego królestwa Mesjasza. Kto wie jednak, dodaje autor, czy mimo wszystko Herzl nie okaże się przewidującym prorokiem? W razie, gdyby w Rosji zbudziła się zwycięska reakcja przeciw obecnym rządom, może ziemia przodków stać się dla mas Żydów rosyjskich jedynem miejscem schronienia.

Autor nie chce bawić się w proroka i nie wypowiada swego zdania co do przyszłości syjonizmu; porównywuje tylko ten ruch do chwili, w której Żydzi rzucili się na rozkaz Mojżesza w Morze Czerwone. Przejdą je, czy zatoną,

przyszłość okaże. My możemy być tylko widzami. Stwierdza autor jedno niewątpliwe zwycięstwo syjonistów: jest niem wskrzeszenie do życia języka narodowego, owej więzi niezbędnej dla każdego ludu; dzieło to dokonane zostało na terenie Palestyny w krótkim ciągu czasu lat dziesięciu. Koroną tej zdobyczy intelektualnej ma być uniwersytet hebrajski, zainaugurowany w roku 1924. Syjoniści wierzą, że zakwitnie w nim odwieczny duch Izraela, który skieruje ludzkość na nowe drogi. Ma być nim idea sprawiedliwości i równości zupełnej. W ten sposób, pisze autor, dwa prądy napozór sprzeczne łączą się w jednej myśli: międzynarodowość według przepisu Moskwy i nacjonalizm palestyński. Komuniści w Rosji i syjoniści w Palestynie pracują w jednym kierunku. Łączy ich jedna idea, właściwa Żydom od wieków: idea władztwa nad narodami i prowadzenia ich do celu, który oni uważają za dobry. Już dziś, mówi autor obrazowo, biedny żydek, zegarmistrz w Jerozolimie, powiedział do kogoś: „Czemuż panu nie miałoby się tu podobać? Wszak to stolica świata!"

Bolszewizm i syjonizm, mesjanizm narodowy i mesjanizm społeczny, Lenin i Herzl, czy to jedyne drogi, przed któremi stoi umysłowość żydowska? pyta patetycznie Tharaud w końcowym rozdziale swej książki. W odpowiedzi wskazuje na tych Żydów zachodniej Europy, który może nawet nie tak dawno opuścili ghetto, a już zdążyli zająć wybitne miejsce w hierarchji umysłowej, wybitniejsze nawet, niżby im się należało w stosunku do ich liczebności. Rzecz to pewna, że nie wszystkie zainteresowania Izraela skierowane są wyłącznie ku Jerozolimie i ku Moskwie. Z drugiej strony i to rzecz pewna, żyd, choćby najbardziej oderwany od środowiska swych przodków i od synagogi, nie przestaje być żydem. Autor uważa, że byłoby to nawet niesprawiedliwością dla żyda i dla jego rasy, gdyby dać mu inną nazwę. Pod tym względem synowie Mendelsohna długi czas łudzili się sami. Sądzili, że im bardziej zbliżą się do cywilizacji zachodniej, tem bardziej zatrze się ich charakter etniczny. Była nawet w tej skwapliwości porzucania swych właściwości narodowych pewna niewdzięczność względem własnej rasy i pewien rys, mało szlachetny, tem bardziej, że działo

się to w czasach, gdy właśnie inne jednostki rasowe zaczęły silniej podkreślać swą indywidualność.

Od kilku lat nastąpiła pod tym względem radykalna zmiana, wyczuwalna zresztą już i przed wojną. Porzucając pokorną postawę, Żyd zaczął z dumą głosić swą żydowskość. Nie dzieje się to tylko u syjonistów. Nawet antysyjoniści, nawet bardzo lojalni obywatele kraju, w którym zamieszkują, rozwijają swe żydostwo w najrozmaitszych formach, czyto w formie odrodzenia religijnego, czy działalności literackiej i artystycznej o cechach wyraźnie hebrajskich, czy w nowym sposobie bycia towarzyskiego. I jest w tem wszystkiem przesada, która może być równie przykra, jak zbytnia pokora dawniejsza. Sami Żydzi zdają sobie z tego sprawę, jak świadczą przytoczone słowa jednego z wybitniejszych ich przedstawicieli. Autor przyznaje, że Żydzi są w trudnem położeniu: czy zapierają się swego pochodzenia, czy je zaznaczają, czyni się im z tego zarzut. Wina to jednak samych Żydów, a raczej tego, że w umysłowości tej rasy jest właściwy pewien brak miary, wschodnia przesada. Nowa ta postawa Żydów grozi stworzeniem silniejszych przeciwstawieństw między Żydami i chrześcijanami, niż były kiedykolwiek. Niektórzy Żydzi obawiają się tego. Autor życzy im, by się mylili i by Izrael znalazł nakoniec równowagę, której mu stale brakuje.

Narazie jeden fakt jest niewątpliwy. Wyznawca Mendelsohna nie czuje się dobrze w otaczającej atmosferze, czuje, że różni się od chrześcijan. Skąd pochodzi to odosobnienie? pyta autor. Nie tłumaczy go dostatecznie różnica religji i to tembardziéj w czasach, gdy tylu zarówno chrześcijan, jak żydów wyzbyło się swej wiary. Sprzeczność interesów, zwłaszcza gospodarczych także nie jest wystarczającym powodem tego odosobnienia, jakie otacza żyda we wszystkich klasach społecznych, jak również nie tłumaczą go dostatecznie zakorzenione przesądy i atawizmy. Właściwą przyczyną jest co innego. Jest nią sam charakter żydowski. Żydzi posiadają z natury pewne wady, które wszyscy znamy, które sami Żydzi znają najlepiej, wyśmiewając się z nich w swojem gronie. Wiedzą, że w świecie, który byłby ukształtowany na ich obraz i podobieństwo, nie byłoby zbyt miło,

że sami nie mieliby ochoty żyć. Wady te wypływają z ich rasy, czy też z warunków, w jakich przyszło im żyć. Niezależnie jednak od tego, jaka jest ich geneza, czy znikną zupełnie? Doświadczenie wieków, mówi autor, mogłoby usposobić sceptycznie, ale nie byłoby ani rozsądnie, ani sprawiedliwie, ani szlachetnie nie wierzyć w działanie życia.

Oto jest mniej więcej treść sześciu książek braci Tharaud, poświęconych Żydom. Staraliśmy się iść, o ile możności wiernie, za myślą, a niekiedy nawet za słowami autorów, nie komentując prawie wcale ich poglądów, i zachowując kilka uwag dopiero na zakończenie.

Dokończenie nastąpi)

Dr. Zofja Ciechanowska.

Przegląd piśmiennictwa.

Roman Dyboski, prof. Uniw. Jagiel.: O Anglji i Anglikach. Warszawa. 1929. Str. VIII + 269.

Każdy z dwudziestu szkiców, składających się na nowy album rysunków z współczesnego życia angielskiego w książce prof. Dyboskiego „O Anglji i Anglikach" ukazał się już był przedtem, w ciągu lat 1924—1928, jako samodzielny artykuł, czyto w poważnych dziennikach czy w naszych nielicznych miesięcznikach, które z konieczności muszą u nas przyjmować na siebie w pewnym zakresie rolę poważniejszego dziennikarstwa. Przytem prawie wszystkie szkice są artykułami okolicznościowemi, związanemi czyto ze zgonem jakiejś wybitnej osobistości politycznej czy literackiej, czy też z jakąś rocznicą instytucji czy człowieka w Anglji zasłużonego. Już to samo wyznacza ogólny typ tych szkiców. Jest to klasa dziennikarska, stwierdźmy odrazu: wysoka klasa dziennikarska.

Gruntowna znajomość omawianego przedmiotu, osiągnięta tak przez studjum kultury angielskiej w literaturze i historji, jak przez obcowanie ze zjawiskami na powierzchni życia dzisiejszego wskutek corocznych w Anglji pobytów, pozwala prof. Dyboskiemu na wybór najważniejszych i najciekawszych dla nas tematów i najlepszy wybór materjałów, potrzebnych do ich opracowania. Ogromne oczytanie w powszechnej literaturze sprawia, iż z łatwością znajduje autor punkty porównania dla omawianego problemu wśród literatur czy zjawisk społecznych innych skupień narodowych; przytem nie są te cytaty i zestawienia zbyt trudne ani zbyt dalekie dla wykształconego czytelnika szkiców prof. Dybowskiego. Żywość stylu, pod którą czuć doskonale werwę oratorską, zbliża temat z życia angielskiego, w dzisiejszych warunkach jeszcze często odległy dla naszej polskiej znajomości i nie pozwala się nam znudzić, jak to przecież z łatwością staćby się mogło właśnie z powodu tej odległości. Centralnie umieszczone i kulminujące co do wartości, polityczne sylwetki trzech „lordów": Cur-

zona, Milnera i lorda Oxford, zwłaszcza ta środkowa, mogą śmiało służyć jako wzór, jak pisać artykuł dziennikarski o wysokim stylu. A rzecz to ważna. Skalą dziennikarstwa bowiem mierzy się kultura narodu. Dziennik przeciętny jest przez styl swoich zasadniczych artykułów szkołą kultury narodowej — treść szkoły poznaje się po nauczycielach właśnie, nie po budynku, nawet nie po uposażeniu w tak dzisiaj modne „pomoce szkolne". W zrozumieniu idei posłanniczej dziennikarstwa lord Northcliffe, twórca dzisiejszej formy dziennikarstwa angielskiego, założył w Londynie wielką szkołę dziennikarstwa, gdzie pracują, jako wykładcy, najlepsi pisarze współcześni, wśród nich wybijający się dzisiaj na pierwszy plan powieściopisarz Somerset Maugham.

Do tej samej serji wzorowych „artykułów" należy też i zarys: „Angielskich mężów stanu naszych dni": Balfoura, Lloyda George'a, Winstona Churchilla, [1]) Stanleya Baldwina i MacDonalda, z pominięciem A. Chamberlaina, którego może niesłusznie obniża aż do „zaledwie cienia swego wielkiego ojca J. Chamberlaina". Czytając te sylwetki, ma się ochotę spodziewać, że prof. Dyboski skreśli dla nas kiedyś historję przemian politycznych Anglji XIX wieku w postaci szeregu portretów piórem jej najwybitniejszych mężów. Byłoby to podwójnie korzystne: i jako nauka doskonałej formy dziennikarskiej i jako nauka o treści poczynań politycznych państwa, oddawna już tak potężnego, wstępującego prawdopodobnie w sferę jeszcze potężniejszych wpływów a opartego zawsze o tradycję — tę tradycję zatem poznać powinny szerokie warstwy i u nas. Ostatni artykuł „Dwa głosy o przyszłości Wielkiej Brytanji", streszczający dwa dzieła rozbieżne w założeniach a zgodne w konkluzji „konieczności myślenia o nowoczesnych problemach w kategorjach ekonomicznych" (książki prof. Zinnerna i filozofa F. C. S. Schillera z Oxfordu), wskazuje na wielkość zagadnień, które już samemi swemi rozmiarami i głębokością przyciągają do siebie obserwatora. Poucza nas ten szkic, iż nam poprostu nie wolno nie znać tych problemów, bo choć tylko pośrednio, ale potężnie na nas działają. Świeża podróż premjera Anglji do Stanów Zjednoczonych, jest tylko jednem z ogniw myśli, zawartych w omawianych przez prof. Dyboskiego książkach.

Prawdziwie wdzięcznym trzeba być prof. Dyboskiemu, że umożliwił korzystanie szerszej publiczności ze szkicu o „Zagadnieniu szkoły powszechnej i średniej w Anglji", przeniósłszy ją z czytanego tylko w obrębie sfer nauczycielskich *Przeglądu Pedagogicznego* do zbioru szkiców. Sprawa „reformy" naszej od

[1]) Może zbyt ostro nazywa go prof. Dyboski „wulgarnym", bo ten nasz termin jest jednostronny i nie obejmuje znaczeń, jakie mu autor chce podsunąć.

r. 1918 wciąż „reformowanej" szkoły staje się z dnia na dzień bardziej piekącą — szkic zaś prof. Dyboskiego daje doskonałe perspektywy, na których postawiony nasz dzisiejszy system wykazuje dosadnie niekształtność swoich zasadniczych linij.

Dziennikarstwo ma jednak swoje niebezpieczeństwa. Jednem z nich jest związanie z chwilą. O ile artykuł może być syntezą działalności polityka czy artysty, zakończonej przez jego zgon, to artykuł taki nie traci naturalnie na wartości w chwili przedruku w książce. O ile jednak ta działalność nie została zakończona, a owszem rozwija się i posuwa dalej, to artykuł taki blednie. Już i w politycznych szkicach tej serji zaszło pewne postarzenie się wobec niepohamowanego pędu wypadków politycznych doby obecnej. Na str. 166 pisze autor: „Program powojenny (Lloyda George'a).... germanofilstwo i walka dyplomatyczna z Francją już dziś nie jest i zapewne nigdy więcej w tej formie stać się nie może programem W. Brytanji" — to „dziś" z r. 1927 wygląda inaczej po konferencji haskiej z 1929 r. Tak samo nie sprawdza się obawa o rozwój komunizmu w Anglji wyrażona w zakończeniu tegoż szkicu (str. 174) choć autor wyraża ją bez głębokiego się nią przejęcia; a wreszcie naodwrót ciężkie ekonomicznie dni dzisiejsze u nas nie uprawniają do uwierzenia w optymistyczny nastrój zdania, którem zamyka się cała książka o: „nowej fazie życia odrodzonej Polski, w jaką wstąpiliśmy od maja 1926 r.", (nb. zdania, dodanego *ex post*, bo artykuł pochodzi z kwietnia 1926 r.)

W szeregu literackich szkiców artykuł o skończonej całości jednego dzieła, jakiem jest szkic o „św. Joannie" Bernarda Shawa i syntetyczne wspomnienia o Meredithie (w stulecie urodzin) i o Hardym (z okazji zgonu powieściopisarza) są bardzo dobre w zwięzłem ujęciu najważniejszych utworów. Znać w tych ostatnich szkicach umiłowanie okresu późnych wiktorjan, którzy oddziaływali na prof. Dyboskiego w czasie jego pierwszych studjów nad anglistyką. Czy czasem nie tu tryska źródło pesymizmu (poza wpływami „szkoły krakowskiej"), z jakim autor traktuje stosunki powojenne, zwłaszcza u nas? Czy to nie jest refleks tragicznego pesymizmu owych wiktorjan (Bardy'ego najwięcej), którzy po wieku iluzji o niepowstrzymanej w pędzie, wszechstronnej ewolucji człowieka, moralnej i fizycznej, przedewszystkiem jego władz umysłowych, znaleźli się w zaułku bez wyjścia, noszącym nazwę brzmiącą: agnostycyzm? Te szkice są — z tego czy innego powodu — bardzo dobre, natomiast artykuł o Sir J. Barriem, zbyt jednostronnie oświetla wielkiego dramaturga jako h u m o r y s t ę — wszak między 1924 a rokiem obecnym jest wspaniały dramat *Mary Rose* zaliczany obok *Św. Joanny* Shawa i *Strife* Galworthy'ego do największych dramatycznych rzeczy Anglji. Tak samo trudno się zgodzić na nazwanie „epilogiem Sagi

o Forsyte'ach" powieści Galsworthy'ego *The White Monkey,* skoro od r. 1923 wyszły już dalsze dwie powieści, przedstawiające dole i niedole młodszych, powojennych Forsyte'ów *(The Silver Spoon* i *Swan Song)* tworzące nową trylogję: *A Modern Comedy.* Pewne uproszczenie widziałbym też w definicji, stanowiącej końcową pointę pierwszego szkicu o Chestertonie, iż jest to, *„ioculator Dei*—wesołek Boży", po jego wielkiej książce: *A Man who was Christ.* Niezupełnie może zadowolić pierwszy szkic o „Wpływach włoskich w literaturze angielskiej" — pomija tu autor postać Machiavelli'ego, tak charakterystyczną jako światopogląd dla elżbietanów, nie wspomina o W. S. Landorze, który część poważną życia we Włoszech spędził i w swych pięknych dialogach tematy włoskie poruszał. Trzeba też może sprostować twierdzenie autora, o ostracyzmie towarzyskim w stosunku do małżonków Browningów, iż nie było o nim mowy (jak nie było i w stosunku do Shelleya, którym się nikt absolutnie w Anglji wtedy nie interesował, poza jego rodziną), boć małżeństwo ich było małżeństwem legalnem między 40-letnią kobietą a 34-letnim mężczyzną, jedynie zawartem pocichu wbrew woli ojca, niezupełnie, zdaje się, normalnego umysłowo. Cytowane wiersze z utworu *De Gustibus* (str. II) odnoszą się prawdopodobnie do stosunku do Włoch jego żony, nie samego Browninga, który swój pogląd wyraża w tęsknocie do krajobrazu angielskiego (str. I). Przy sposobności prostuję pewien *slip of memory:* przekład „Boskiej Komedji" przez F. H. Cary'ego, jest pisany białym wierszem nie prozą.

Do polemiki wyzywa szkic „Juljusz Cezar a dzień dzisiejszy". Prof. Dyboski nie jest zupełnie zdecydowany co do istotnej idei tego dramatu; nie uważa go ani za „historjozoficzną abstrakcję" cezaryzmu, tak ze względu na „zbyt wybitną dramatyczność genjuszu Shakespeare'a", dla którego „przedmiotem natchnień są zawsze żywe osobistości ludzkie", jak ze względu na przedstawienie Cezara z ułomnościami starego wieku (ma to dowodzić, że Shakespeare bałwochwalcą cezaryzmu nie był). Z drugiej strony jednak nie jest to tylko „ludzka tragedja Brutusa". Ostatecznie dochodzi autor do konkluzji, że „fatalizm tragiczny sprawy dramatycznej... leży w niej samej". „Juljusz Cezar" jest nietylko tragedją samych jego (Brutusa) złudzeń demokratycznych, jest nietylko tragedją jakiegoś nad-Kiereńskiego, lecz jest tragedją kiereńszczyzny, jako ideologji — bardzo wzniosłej, szlachetnej i poetyckiej, ale kiereńszczyzny. „Mimo wszystko zatem mamy tu do czynienia z historjozofją, nie cezaryzmu, lecz innej siły politycznej, którą prof. Dyboski chrzci, ze zbyt wielkim dla Kiereńskiego zaszczytem, jego mianem, a więc ideologji doktrynerstwa demokracji, w przypadku Brutusa szczerej — to widać z dramatu — w przypadku Kiereńskiego pozującej, a patrzącej zezem na Napoleona. Ujęcie takie płynie z duszy prof. Dyboskiego, który

przeżywa, jak to kilkakrotnie powtarza, tragedję swoich iluzyj demokratycznych. Co do mnie, muszę się przyznać, że do grupy rozpaczających o przyszłość demokratyzmu nie należę. Zdając sobie sprawę, że demokratyzm nigdy nie może osiągnąć jakiegoś idealnego, trwałego stanu doskonałości, uważam dzisiejszy stan ogólno-europejski za wynik właśnie „ekonomicznych" przejść (w nawiązaniu do ostatniego szkicu zbioru), jakim uległa Europa w czasie wojny, za skutki choroby, trawiącej nas przez tamte straszne lata, skutki przejawiające się zarówno w nierozumnych próbach dyktatur, jak w chwiejnych nieustalonych formach „fizjologicznego" życia młodziuteńkich parlamentarnych organizmów. Niemniej jednak demokratyzm jest formą polityczną najlepszą, a w prawdziwym demokratyzmie znajdzie się zawsze miejsce dla ludzi wielkich, jak choćby szkice o politykach angielskich świadczą. Szkoda, że w szkicu o „Ben Jonsonie" prof. Dyboski nie wspomniał o ciekawej charakterystyce Cezara jako politycznego intryganta w jego „Katylinie".

Doskonałe, barwne, wesołe są szkice XIV i XV: recenzja książki K. Czapka o Anglji, która, jeżeli nie jest jeszcze na nasz język przełożona, powinna się pokazać czem prędzej w polskiem tłumaczeniu — i „Rozmowy między Sławą a Młodością" wprowadzające poprzez karykatury sławnego Beerbohma, w sposób niefrasobliwy polskiego czytelnika w zetknięcie z nowoczesnym światem sztuki i literatury w Anglji. Jest to prawdziwie piękny *essay*. [1])

Andrzej Trefiak.

---

[1]) Przy sposobności dwie uwagi techniczne. Trzebaby raz ustalić, czy się odmienia czy nie, nazwiska cudzoziemskie — wobec nieustalenia bowiem spotykamy na jednej stronie zwroty jak „nauczyciel Oskara Wilde" lub „rymy Tomasza Moore", a na drugiej „polityka Lloyd George'a" lub „fundacja Cravena", nie mówiąc już o stałej odmianie nazwisk: Byron, Milton, Scott, Pater i t. d. — Drugi szczegół to kwestja tytułów. Angielskie życie posiada mnóstwo swoistych powiedzeń, które często właśnie używane w tytułach zawierają w swojej aluzji istotną treść — sądziłbym, że takie zwroty należy przy tytułach wyjaśniać. Czytelnik szkiców z życia angielskiego interesuje się widać tem życiem, skoro bierze tomik ten do ręki, dobrze jest więc przy sposobności zbliżyć go do tego życia. Należy mu zatem wyjaśnić, że „Laodycejczyk" oznacza człowieka, który nie był „ani zimny ani gorący ale letni", i jest karcony zato w liście św. Pawła do mieszkańców Laodycei; należałoby także wytłumaczyć, że „The Admirable Crichton" odnosi się do bardzo młodo zmarłego, podobno genjalnego humanisty i równocześnie rycerza, którego Szkocja przeciwstawiła jego rówieśnikowi Filipowi Sidneyowi w Anglji i zrobiła zeń w XVI wieku narodową chwałę, ośmieszoną później przez pokolenia następne. „The Defendant" oznacza oskarżonego, nie obrońcę, według pięknej formuły sądownictwa angielskiego, które przed wydaniem wyroku nie widzi w oskarżonym winy, i nazywa go „broniącym się" — w zbiorku Chestertona są to właśnie oskarżane przez opinję publiczną różne zjawiska społeczne, jak np. romans kolportażowy i t. d.

Ks. Dr. Eustachy Jełowicki: Studja nad amerykanizmem. I. Izaak Hecker i jego doktryna. Lwów, Gubrynowicz, 1929, str. 160, in. 8⁰.

Amerykanizm, jako prąd duchowy i jako system należy wprawdzie do przeszłości, ale, że dotąd dają się spostrzec dość wyraźne ślady jego wpływu i że w genealogji pewnych współczesnych kierunków myśli zajmuje on nader ważne miejsce, bardzo pożądane było specjalne studjum, wyjaśniające jego genezę i naturę. Studjum to przeprowadza ks. Dr. Jełowicki w dwóch częściach, stanowiących każda dla siebie odrębną całość. Część pierwsza, która w tej chwili leży przed nami, zawiera opis życia ks. Heckera, zestawienie, oraz krytyczną ocenę jego systemu; część druga, która ma się ukazać w niedalekiej przyszłości, ma zobrazować dalsze koleje amerykanizmu i rozmaite przeobrażenia, którym uległ. O wydanej świeżo części pierwszej możemy powiedzieć z najżywszą przyjemnością, że to jest najlepsza praca w tym przedmiocie, jaka ukazała się nietylko w Polsce, ale — o ile nam wiadomo — i zagranicą. Niełatwy, bo wielorako skomplikowany problem duchowej ewolucji i poglądów głośnego założyciela Paulistów nabiera pod piórem Autora takiej przejrzystości i całkowitości, że daje możność wyrobienia sobie na ten ciekawy moment dziejów współczesnej myśli religijnej, głębokiego i zupełnego poglądu.

W wątek mistrzowskiej analizy ks. D-ra Jełowickiego, zapuszczać się tu nie możemy, bo trzebaby znaczną jej część powtórzyć, a i tak nie byłoby łatwo dać o niej dokładne pojęcie. Pragniemy natomiast podnieść kilka, zupełnie niepospolitych jej przymiotów. I tak, pomijając już bardzo dużą erudycję i oczytanie, uderza w tej rozprawie pewna dziwnie dojrzała i wytrawna miara. Z całkowitem opanowaniem przedmiotu, nigdzie nie daje się Autor unieść, czyto mniej potrzebnym dygresjom, czy jakimkolwiek przesadnym sądom. Z całej pracy przebija spokój i wyrobienie myślowe zupełnie dojrzałego uczonego. Powtóre czuć ustawicznie pod całem tem studjum silne podstawy zdrowych i jasno zarysowanych teologicznych i filozoficznych pojęć. Nic chwiejnego i zamazanego. Zasady katolickie, z któremi Autor poglądy ks. Heckera zestawia, mają nawet w subtelniejszych kwestjach całkiem jasno i pewną ręką zarysowane kontury. Wreszcie język spokojny, poważny, wolny od jakiejkolwiek maniery, a zdolny do oddania nawet skomplikowanych zagadnień i delikatnych odcieni. Wogóle ma ta rozprawa tyle pierwszorzędnych zalet, że życzyć należy, by ona była początkiem nietylko zapowiedzianej już serji, ale całego szeregu innych podobnych studjów. Nauka polska wyszłaby na tem jak najlepiej. Wypadałoby tylko aby nakładca powierzał wydanie dalszych dzieł Szan. Autora takiej drukarni, która dałaby rękojmię staranniejszego wykonania i lepszej korekty. Ta ostatnia bowiem pozostawia niestety bardzo wiele do życzenia.

Ks. J. Rostworowski.

Emil Ludwig: Syn człowieczy. Przełożył Paweł Hulka-Laskowski. Wydawnictwo „Renaissance".

„Książka Ludwiga jest jednym z objawów budzących się tęsknot religijnych świata powojennego". Tak pisze w swojem Słowie tłumacz książki. Być może, ale w jakiem znaczeniu „objawów"? Może tylko w tem, że autor to budzenie się tęsknot religijnych po wojnie spostrzegł u innych, że zauważył, iż u wielu tęsknoty te doprowadzają do Osoby Jezusa i dlatego owego Jezusa uznał za przedmiot godny swoich zainteresowań literackich. Bo sama książka Ludwiga bynajmniej żadnych tęsknot, któreby można pełnem prawem nazwać religijnemi, nie zdradza.

Autor zamierzył „mówić tylko o Jezusie człowieku, nie o Chrystusie Zbawicielu", jak sam zaznacza w przedmowie. Dlaczego takie rozróżnienie i jak je autor przeprowadził? Czy tylko abstrahował od zbawczego dzieła Chrystusa, od boskości Jego osoby, nie zaprzeczając im i nie zwalczając, ale ograniczając się do opisu ludzkich czynów Jezusa? Byłoby i to wolno, gdyby to było możliwe. Ale autor, chociaż się zastrzega, że „nie jest jego zamiarem odbierać wiarę w boskość Chrystusa tym, którzy w nim (może w niej?) żyją", tak jednak przedstawia ludzką stronę postaci Jezusa, iż dla bóstwa Jego miejsca wcale nie zostawia. Powiada, że „ani jednym palcem nie dotyka teologji", ale zaraz dodaje, że „przyszła ona później", że później dopiero włożono w postać Jezusa wszystko to, co dzisiaj wiarę stanowi. Pan Ludwig (*recte* Levinsohn) całem opowiadaniem swojem, całem przedstawieniem swojem postaci Jezusowej walczy przeciwko wierze w Jego bóstwo. Przedstawia nam naiwnego marzyciela, poetę, któremu tylko ludzie i okoliczności podsunęły, że może jest Mesjaszem, który też w obronie tej uzurpacji wszedł w zatarg z władzami Synagogi i uczonymi w Piśmie, dla siebie katastrofalny, który zresztą idąc na mękę jeszcze nie był pewny swego posłannictwa i na krzyżu tylko jeden z łotrów podtrzymał resztki jego przypuszczeń o sobie, co zresztą nie uchroniło go od okrzyku rozpaczy przed skonaniem. Czy nie jest to zwalczaniem wiary w Chrystusa? Czy taki zawiedziony marzyciel i uzurpator może stać się przedmiotem kultu dla tych, co tak go sobie przedstawiają? A choćby tylko nauczycielem prawdziwej religijności? Dalibóg, zbyt skromne wymagania stawiają tacy ludzie w rodzaju Ludwiga i jego polskiego chwalcy, Hulki-Laskowskiego swojej „religijności"!

Kreacja Ludwiga jest jedną z setek w racjonalistycznej walce z chrześcijaństwem. Z wyjątkiem może walorów literackich, niczem się nie różni od elukubracyj owych sentymentalnych racjonalistów, począwszy od Venturiniego, skończywszy na Renanie. Metoda „odtwarzania" postaci Chrystusa naogół ta sama. Dowolnie obchodzi się z tekstami ewangelicznemi, wciągając do swego opowiadania te, które mu się podobają, odrzucając inne,

jako włączone do Ewangelji później, nie dlatego jakoby to „włączenie" było udowodnionem naukowo, ale dlatego, że te teksty nie dają się wtłoczyć w ramki czysto racjonalistycznej koncepcji postaci Jezusa. Po cudach prześlizgiwa się autor z lekkiem sercem: wspomni naprzykład o podniesieniu córeczki Jaira, bo ona „tylko spała", a nie wspomni wcale o wskrzeszeniu syna wdowy z Naim, nie mówiąc już o Łazarzu. Zdarzenia, które kłopotały jeszcze Renana, nie sprawiają żadnego zmartwienia Ludwigowi, — idąc łatwiejszą drogą, pomija je milczeniem.

Wartości naukowej książka Ludwiga nie posiada żadnej. P. Hulka-Laskowski zalicza ją do dzieł, w których „do zdobyczy wiedzy specjalnej przyłącza się intuicja artysty". „Wiedzą specjalna" Ludwiga ogranicza się do znanego powszechnie tła historycznego, na jakiem wystąpił Jezus; samą postać Jezusową stworzyła jedynie „intuicja" niewierzącego, posiłkując się tylko dowolnie okruchami źródeł historycznych. Jest to taka „intuicja poetycka", o jakiej pisał kiedyś Plato, żądając wypędzenia poetów z wzorowych republik, jako pomniejszycieli i fałszerzy prawdy. Jeżeli poeta przyznaje się w ten czy inny sposób (samym rodzajem literackim, w jakim swe dzieło umieszcza), to zaiste zasługuje na względy, owszem można mu być wdzięcznym za wytwór jego wyobraźni, ale jeżeli chce, jak w naszym wypadku p. Ludwig, aby płód jego „intuicji", *recte* płód wyobraźni i racjonalistycznego wstrętu do nadprzyrodzoności, uznanym był za historyczną postać, to usiłuje wprowadzić czytelników w błąd i zaiste zasługuje na potępienie.

Książki Ludwiga nie można polecić nikomu, jak nie poleca się trucizny. Przez to jednak nie chcemy powiedzieć, że dla nikogo nawet przypadkiem, książka ta nie będzie pożyteczną. Podobno w swoim czasie niejedna pensjonarka, przechodząca „kryzys wiary", nawracała się przy czytaniu „Jezusa" Renana i... szła do spowiedzi. Może coś podobnego sprawi tu i owdzie książka Ludwiga. Bo są ludzie, o „budzących się tęsknotach religijnych", których książka, traktująca o postaci Jezusa, napisana pięknym językiem, ukołysze szumem samych słów. Treści, logiki, myśli przewodniej w niej nie szukają, bo inteligencja ich trochę na to za mała, a wymagania religijne niewybredne. Sama w sobie książka Ludwiga jest książką antychrześcijańską, przytem podstępną a płytką.

Ks. J. Urban.

Max Pribilla: Um kirchliche Einheit. Herder, Freiburg i Br. 1929. Str. 332.

Świat chrześcijański przedstawia widok rozdarcia, z jakiem nie może się pogodzić ani oswoić sumienie. żadnego prawdziwie religijnego człowieka. Czyż bowiem Ewangelja nie przekazuje nam modlitwy Boskiego Założyciela chrześcijaństwa, aby wszyscy, któ-

rzy w Niego uwierzą, byli jedno. Stąd za rzecz naturalną należy poczytać, że nawet wśród tych, co jedność chrześcijaństwa w różnych czasach potargali, odzywa się ustawicznie jakaś po niej nostalgja. I stąd nieledwie od początku schizm i herezyj snują się poprzez historję usiłowania, by zburzoną jedność w jakiś sposób odbudować. Takie próby zwłaszcza w naszych czasach są ustawiczne, w czasach ułatwionych stosunków i komunikacji między narodami, czasach intelektualnego oddziaływania jednych krajów na drugie, w czasach Ligi narodów i międzynarodowych zjazdów. Właśnie próbom przywrócenia jedności kościelnej, podejmowanym w ostatnich dziesiątkach lat, poświęca swą obszerną książkę ks. Max Pribilla, jezuita, współredaktor znanego pisma *Stimmen der Zeit*.

Po zanalizowaniu religijnych i psychologicznych źródeł owych prób, poświęca obszerny rozdział (zatytułowany: Stockholm) temu prądowi we współczesnym protestantyzmie, który zjednoczenie rozbitego na sekty chrześcijaństwa pragnąłby osiągnąć na platformie możliwie szerokiej: indyferentyzmu co do dogmatów, a porozumienia się co do życia chrześcijańskiego. Ten prąd, po wielu uprzednich mniejszych zjazdach, doprowadził do konferencji „praktycznego chrześcijaństwa" w Stockholmie w r. 1925. Rezultaty wszakże tego zjazdu dowodnie pokazały, że nawet w zakresie praktycznego życia niepodobna się porozumieć i znaleźć stałe i obowiązujące wszystkich normy bez uprzedniego rozwiązania wielu dogmatycznych zagadnień, np. o bóstwie Chrystusa Pana.

Stąd w protestantyzmie zaznacza się inny także prąd unjonistyczny, usiłujący wytworzyć jedność kościołów na podstawie porozumienia się w rzeczach dotyczących wiary i ustroju Kościoła. Wyrazem tego prądu była konferencja w Lozannie 1927 roku, stąd tytuł drugiego rozdziału książki. Ale i ta konferencja właściwie skończyła się fiaskiem.

W trzecim rozdziale (Rzym) autor przedstawia powody dlaczego Kościół katolicki stoi na uboczu od tych dwóch prądów i żadnego udziału w zwoływanych przez protestantów konferencjach nie bierze, co wywołuje także wśród nich zgorszenie. Kościół katolicki najbardziej ze wszystkich pragnie zjednoczenia wszystkich chrześcijan, pewny wszakże posiadania prawdy objawionej, nie może dopiero poszukiwać jej drogą jakichś przetargów i kompromisów. Katolicki punkt widzenia ostatnio został jasno określony w encyklice Piusa XI *Mortalium animos*. Natomiast pewna współpraca katolików z dyssydentami w zakresie urzeczywistnienia chrześcijańskich zasad w życiu publicznem jest możliwa i dopuszczalna.

Książka Pribilli nie jest tylko polemicznem roztrząsaniem. Oparta ona na ogromnym materjale źródłowym: czytelnik jest wprowadzony w różne przygotowawcze roboty, wymianę koresp on-

dencji, nawet między akatolikami a Stolicą św. Jest to więc rzecz bardzo pouczająca i poważna, a dla każdego, kto się interesuje zagadnieniem zjednoczenia Kościołów, wprost niezbędna. U nas także, skąd w konferencjach protestanckich biorą udział przedstawiciele nietylko polskiego protestantyzmu, ale także cerkwi prawosławnej.

Ks. J. Urban.

Fryderyk Lama: Ojciec Święty. Żywot i czyny Papieża Piusa XI. Przełożył z niem. Marceli Tarnowski. Instytut Wydawniczy „Renaissance". Str. 299.

Książka p. Lamy, katolickiego publicysty w Bawarji, należy do najlepszych, poświęconych postaci Piusa XI. Powstała, jak i inne w tym roku, z okazji jubileuszu kapłańskiego Ojca św. Autor nie pisał swej rzeczy na podstawie jakiejś osobistej obserwacji działalności Mgra Ratti i Piusa XI, stąd styl jego opowiadania jest nieco suchy i bezbarwny, natomiast skrzętnie zbierał cokolwiek o Papieżu pisano w swoim czasie i dlatego książka jego odźwierciedla wszechstronnie czyny Piusa XI na stanowisku dyplomatycznem w Warszawie i na Stolicy św. Piotra. Pobyt Mgra Ratti w naszym kraju uwypuklony, chociaż autor musiał pisząc dla swych ziomków, podkreślać neutralność warszawskiego nuncjusza w sprawie plebiscytu na Śląsku. W książce znajdujemy pożyteczne zestawienie wszystkich encyklik Piusa XI. Kończy się książka na układach lateraneńskich. Przekład polski dobry, chociaż tu i owdzie zdradza u tłumacza brak znajomości terminologji, dotyczącej rzeczy kościelnych.

Szkoda, że książka o Piusie XI wyszła nakładem firmy „Renaissance", tak dalekiej całą swą działalnością od literatury katolickiej. Jeżeli bowiem przy książce o Papieżu, mającej aprobatę kościelną, ogłasza się takie rzeczy jak „Syn Człowieczy" Ludwiga i „Sługa Boży" Frenssena, to wygląda to na podejście mniej zorjentowanych czytelników, mogących wziąć i te utwory za katolickie i godne polecenia. Dlatego, polecając książkę Lamy, przestrzegamy przed innemi wydawnictwami tejże firmy.

Ks. J. Urban.

Marjan Pachucki: Papież Pius XI. Żywot i rządy. Nakł. Księgarni św. Wojciecha. Str. 123.

Wiele wyszło książek o Piusie XI zagranicą i u nas. W Polsce prócz licznych artykułów, umieszczanych w czasopismach *Przeglądu Powszechnego* i *Przeglądu Katolickiego*, wyszły osobne broszury jak ks. Andrasza, ks. Jana Gnatowskiego, J. Dubowika, Kl. Jędrzejewskiego, ks. T. Zakrzewskiego, omawiające osobę, działalność naukową, ściśle kościelną i dyplomatyczną don Achillesa Rattiego. Książka Marjana Pachuckiego należy do najpoważniejszych tego rodzaju publikacyj. Opierając się na wszystkich

poprzednich źródłach, ujmuje autor nietylko fragmenty w pełną żywotu całość, ale ponadto podaje zwięzłą charakterystykę działalności Piusa XI jako papieża, tak w zasadniczych posunięciach jego polityki, jak i w wewnętrznych rządach Kościołem. Wszystko jest uwzględnione i Rok święty i muzyka kościelna i feminizm, uczczenie wielkich mężów, kanonizacje, nauczanie w szkole i w seminarjach, cały rozdział poświęcony jest działalności misyjnej papieża, pracy nad utrwaleniem pokoju, wogóle poruszone i omawiane są, przynajmniej schematycznie, wszystkie kwestje, do których papież Pius XI. rękę przyłożył. Książkę zdobi pięć pięknych ilustracyj. *Ks. J. Godaczewski.*

Opuscula et textus historiam Ecclesiae eiusque vitam atque doctrinam illustrantia. — Series scholastica, edita curantibus M. Grabmann et Fr. Pelster S. I. Monasterii, Typis Aschendorff.

Dowodem ciągłego wzrostu zainteresowania się naukowych sfer filozofją i teologją średniowiecza są mnożące się wydawnictwa traktatów i dzieł filozofów i teologów scholastycznych. Niezrównaną wartość w tym względzie posiadają: „Beiträge zur Geschichte der Philosophie des Mittelalters", oraz „Les philosophes belges". Nie każdego jednak stać na te wydawnictwa. Do użytku szkolnego, zwłaszcza do lektury seminaryjnej trzeba wydawnictw małych, niedrogich. Starają się tej potrzebie zaradzić dwaj wielcy znawcy filozofji i teologji średniowiecza: Marcin Grabmann i Franciszek Pelster T. J. przy pomocy finansowej firmy Aschendorffa z Monasteru. Kierują oni wydawnictwem, w którem ukazują się małe tomiki od 16 do 64 stron objętości, zawierające jakiś traktat średniowieczny, poprzedzony wstępem objaśniającym.

Mamy przed sobą następujące tomiki tego pożytecznego wydawnictwa: Fasc. IV. Gabrielis Biel: Quaestiones de iustificatione, quas edidit Carolus Feckes. Fasc. V. Thomae de Sutton O. P.: Quaestiones de reali distinctione inter essentiam et esse, edidit primum Franciscus Pelster S. I. Fasc. VI. Durandi de S. Porciano O.P.: Quaestio de natura cognitionis et Disputatio cum anonymo quodam nec non Determinatio Hervei Natalis O. P., edidit Josephus Koch. Fasc. VII.: Liber de sex principiis Gilberto Porretano ascriptus, edidit Albanus Heyse O. F. M.

Choć wydawcy przestrzegają, że nie chodzi im o dostarczenie tekstu, ustalonego użyciem całego aparatu krytycznego, — do tego bowiem w niektórych wypadkach jeszcze za daleko, — atoli zaznaczają, że przy pomocy rękopisów podają tekst „dość dokładny, któryby wystarczył do czasu opracowania wydania krytycznego". Dają więc, co można dać narazie. Nie wątpimy, że wydawnictwo to odda usługi także polskiej młodzieży seminaryjnej i uniwersyteckiej. *Ks. Fr. Kwiatkowski.*

Platon: Rzeczpospolita. Przełożył, wstępem i objaśnieniami zaopatrzył Stan. Lisiecki. Wyd. Polskiej Akademji Umiejętności. Kraków. 1929.

Swoim przekładem *Polityji* Platona zapełnił p. Lisiecki wielki brak w naszem piśmiennictwie. Przekład bowiem Bronikowskiego z przed 50 przeszło lat nie był zachęcający do czytania, a przytem nie do znalezienia gdzieindziej, jak w dużych bibljotekach. Tymczasem „Rzeczpospolita" należy do tych nieśmiertelnych utworów, które po wszystkie czasy zapładniają i zapładniać będą myśl polityków, społeczników, filozofów. Wstęp p. Lisieckiego mieści analizę treści *Polityji* i uwagi o jej budowie i myśli przewodniej.

J. U.

Wrotny-Klimowiczowa: Kraina pustego grobu. Nakładem Domu prasy katolickiej. Warszawa. 1929. Str. 132.

„Krainą pustego grobu" jest Palestyna, posiadająca ten jedyny na ziemi grób, z którego Złożony doń z martwych powstał. Pewna niewiasta polska, głęboko wierząca i kochająca Chrystusa, zwiedziła tę ziemię i na każdym kroku jakby widziała ślady Boskiego Wędrowca. W niedużej książeczce odtworzyła Jego życie, tak jak jej musiało się przedstawiać w modlitewnych rozmyślaniach. Otrzymaliśmy cały szereg obrazków ewangelicznych, przeplatanych refleksjami, zastosowaniami życiowemi i westchnieniami pobożnemi. Książeczkę tę z korzyścią przeczytają pobożne dusze.

J. U.

Bibljoteczka sportowa, Nr. 1—7. Wyd. Głównej Księgarni Wojskowej. Warszawa (Nowy Świat 69). R. 1928/9.

Do zakresu wydawnictw Gł. Księgarni Wojskowej należy, obok prac natury czysto wojskowej, także dział przysposobienia wojskowego, wychowania fizycznego i sportu. Ukazała się już pewna ilość poważniejszych nawet prac w tej materji — parę z nich mieliśmy sposobność omówić w naszem piśmie — z popularniejszych zaś wspomnieć wypada „Bibljoteczkę sportową", której dotychczas wyszło kilka tomików. Broszury w zgrabnym formacie 17 × 12, każda w odmiennej, dostosowanej do treści i barwnej okładce, naogół z licznemi ilustracjami, tanie przytem (numer 75 gr.), nadają się do szerszego rozpowszechnienia wśród amatorów sportu. Pierwszy tomik daje ogólne informacje o sporcie: jego pojęcie, momenty wchodzące w grę, czynnik umysłowy i estetyczny, stosunek jego do zbiorowości, życia rodzinnego, Kościoła, wojny i pokoju. Następne tomiki, napisane przez wybitnych sportowców i znawców, poświęcone są poszczególnym gałęziom sportu, podają ich technikę i przepisy. Tomik drugi mówi o boksie, trzeci o sprzęcie narciarskim, czwarty (nr. 4—5) napisany przez Wład. Pytlasińskiego, o walce zapaśniczej, piąty (nr. 6—7) o żeglarstwie. Dalsze zapowiedziane są w najbliższej przyszłości.

S.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Nakł. Wydawnictwa Ks. Jezuitów, Kraków.

Ks. R. J. Meyer: Człowiek w całej swej prawdzie. Przeł. z ang. ks. K. Libiński T. J. („Bibljoteka Życia Wewn." t. 27). Str. 300.

Ks. Dr. Karol Pieper: Św. Paweł. Misjonarska indywidualność i działalność Apostoła narodów. Zpolszczył ks. J. Korzonkiewicz. Str. 325.

Paweł Bureau: Rozprzężenie obyczajów. Studjum socjologiczne. przełożyła z franc. M. M. Str. 495.

Ks. W. Szmyd T. J.: Kary kościelne. Str. 192.

O. Prosper Baudot T. J.: Kontemplacje ewangeliczne. Przełożył z franc. Ks. J. Andrasz T. J. („Biblj. Życia Wewn." t. 22 i 23). Str. 478+509.

Ks. J. Tuszowski T. J.: Egzorty domowe. Str. 319.

Nakładem Officina Marietti, Torino, Italia.

Ger. M. Paris O. P.: Tractatus de Ecclesia Christi. Ad usum studentium theolog. fund. Str. 254.

A. M. Schembri Ord. S. Aug.: De Sacramentis Vol. I. Str. 174.

Th. Regattieri O. P. T.: L'Evangile Eucharistique. Exhortations pour les heures d'adoration. Str. 216.

Gn. Schlössinger O. P.: Meditationes de sanctis Ordinibus. Pro exercitiis spir. iuxta Pontificale R. Str. 233.

J. Lacau S. C. J.: L'Indulgence de la Portiuncule. Str. 40. Petit Guide en Voie d'Union à Dieu. Str. 40.

Nakładem różnych.

Jędrzej Giertych: My, nowe pokolenie! O harcerskiej służbie Polsce. Warszawa 1929, skład główny w Księgarni „Ossolineum", str. 188.

Ks. Dr. Stan. Narajewski: Odczyty z zakresu etyki ogólnej. Cz. I. Lwów, nakł. autora, 1929, str. 169.

Artur Oppman (Or-Ot): Moja Warszawa. Obrazki z niedawnych lat. Warszawa. „Księgarnia Polska" Tow. Pol. Mac. Szk. 1929. str. 142.

Stan. Małachowski: Zawisza Czarny. Szkic do wykładu popularnego. Warszawa, nakł. jak wyżej, str. 35.

Louis Tred. Rouquette: Der Geist über den Einöden. Pioniere im Norden Kanadas. Herder, Freiburg i Br. 1929, str. 165.

Matka Marja Józefa (Józefa Karska) i Matka Marja Marcelina (Marcelina Darowska). Krótkie życiorysy. Nakł. Zgrom. Sióstr Niepok. Pocz. N. P. M., Jazłowiec 1929, str. 204 i 222. Druga część także osobno.

Ks. Włodz. Jasiński: Pamiętnik diecezjalnego Kongresu Eucharystycznego w Łodzi. Nakł. Komitetu K. E. Łódź 1929, str. 312.

Alma Mater Wilnensis. Czasopismo akademickie, zeszyt 8. Wyd. Zrzeszenia Kół naukowych U. S. B. Str. 172 in 4^0.

Stefan Kubica: Die deutsche Sprache des Florianer Psalters. Poznań, druk Uniwer., 1929, str. 71.

Ks. Fr. Kwiatkowski T. J.: Kazanie na Zjeździe katolickim w Poznaniu. Ks. św. Wojciecha, str. 12.

Wal. Charkiewicz: Bez steru i busoli. Sylwetka księdza prof. M. Bobrowskiego. Wilno 1929, str. 60.

Tenże: Ostatnie lata Alumnatu papieskiego w Wilnie. Wilno 1929, str. 28.

Ks. Stan. Szurek: Kościół a radjo. Lwów 1929, str. 28.

Felicja Żurowska: Królewicz umiera. Sztuka w 5 aktach. (Teatr dla młodzieży męskiej N. 34). Nakł. „Ostoji", Poznań 1928, str. 96.

Dr. med. Wł. Lindeman: Iperyt. Warszawa, Wojskowy Instytut naukowo-wydawniczy, 1929, str. XI+322 z dodaniem atlasu.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Z działalności naszych Towarzystw naukowych.

Miarą poziomu kulturalnego każdego narodu jest jego dorobek na polu nauki. Ten zaś najłatwiej śledzić na działalności Towarzystw naukowych, bez których w nowszych czasach nie obchodzi się żaden kraj choćby jako tako cywilizowany. Nauka jest to domena, gdzie jednostka, sobie pozostawiona, nie znajdzie ani atmosfery, ani środków umożliwiających naukową pracę i dopiero zrzeszenie miłośników i przyjaciół nauki atmosferę przyjazną wytwarza i środków dostarcza. Dlatego rozglądnięcie się w działalności naszych Towarzystw naukowych będzie zarazem poniekąd obrazem udziału Polski w twórczem pomnażaniu nauki.

Polska Akademja Umiejętności wyłoniła się w roku 1873 z Towarzystwa Naukowego Krakowskiego. Zorganizowana jest w trzy Wydziały: filologiczny, historyczno-filozoficzny i matematyczno-przyrodniczy. Na czele każdego Wydziału stoi dyrektor wraz z sekretarzem, na czele Akademji jako całości, Zarząd, składający się z prezesa, wiceprezesa, sekretarza generalnego, dyrektorów i sekretarzy Wydziałów i delegata Walnego Zgromadzenia członków Akademji. W skład Wydziałów wchodzą wyłącznie członkowie Akademji, pochodzący z wyboru. Dzielą się oni na członków czynnych krajowych i zagranicznych, oraz członków korespondentów krajowych i zagranicznych. Każdy Wydział liczy po 27 członków czynnych krajowych, 27 zagranicznych, 32 korespondentów krajowych i 14 korespondentów zagranicznych — razem 100 członków. Zasadnicza różnica między członkami czynnymi i korespondentami polega na tem, iż członkowie korespondenci nie mają głosu w sprawach administracyjnych, wskutek czego nie mogą brać udziału w zebraniach, poświęconych tej właśnie dziedzinie. Organem wykonawczym Zarządu, powołanym

do kierowania sprawami Akademji tak natury naukowej, jak i czysto administracyjnej, jest prezes i sekretarz generalny.

W obrębie każdego Wydziału istnieje szereg komisyj. Składają się one już nie wyłącznie z członków Akademji, lecz także z uczonych, powołanych z poza Akademji. I tak przy Wydziale filologicznym istnieje 5 komisyj stałych: historji sztuki, historji literatury polskiej, językowa, filologiczna i orjentalistyczna. Wydział historyczno-filozoficzny posiada 4 komisje stałe: prawniczą, historji filozofji w Polsce, historyczną, historji wojskowej i osobno zorganizowany Komitet Ekspedycji Rzymskiej. Wydział matematyczno-przyrodniczy posiada 2 komisje stałe: fizjograficzną i nauk matematyczno-przyrodniczych.

Obok tych komisyj stałych w łonie poszczególnych Wydziałów, istnieją jeszcze komisje wspólne, złożone z członków różnych Wydziałów i Komitety. Liczba ich nie jest stała, wzrasta w miarę, jak nowe zadania i prace mnożą się z każdym niemal rokiem. Dotąd istnieją następujące: komisja Atlasu historycznego Polski, antropologji i prehistorji, etnograficzna, geograficzna, komitet Bibljoteki pisarzów polskich, Encyklopedji Polskiej, wydania Corpus vasorum antiquorum w Polsce, Słownika łaciny średniowiecznej w Polsce, historji Śląska do końca XIV w., komitet dla wydania źródeł do dziejów życia umysłowego w Polsce w dobie humanizmu. W stadjum tworzenia znajduje się komisja dla badań nad historją oświaty i szkolnictwa w Polsce.

Osobną jednostkę organizacyjną w łonie Akademji stanowią Polskie Komitety Narodowe Unij Międzynarodowych, których celem jest organizacja ścisłej współpracy naukowej Polski z zagranicą, oraz reprezentacja naukowa wobec zagranicy. Są to komitety: Unji Astronomicznej, Biologicznej, Chemji czystej i stosowanej, Unji Fizycznej, Unji Geodezyjno-Geofizycznej, Unji Geograficznej, Unji Matematycznej — wreszcie polskie komitety centralnych organizacyj międzynarodowej współpracy w dziedzinie nauk humanistycznych i przyrodniczych: Union Académique Internationale i Conseil des Recherches.

Tak przedstawia się organizacja Polskiej Akademji Umiejętności. Cele jej i zadania określa wyraźnie § 5 Statutu. Według niego jest Polska Akademja Umiejętności sercem, regulującem tętno polskiej pracy naukowej, i mózgiem, koordynującym i wiodącym po świadomie obranym torze polską twórczość naukową.

W dziedzinie działalności naukowej Akademji należy rozróżnić dwie sfery — wewnętrzną, polegającą na odbywaniu posiedzeń naukowych i niejako zewnętrzną, przejawiającą się w działalności wydawniczej. Ponieważ zaś w każdej dziedzinie naukowej twórczość nosi dwoisty charakter — konstrukcyjny, polegający na tworzeniu czysto naukowem i wydawniczy, zmierzający do ogłoszenia drukiem nieznanych dotąd materjałów — przeto i w wydawnictwach Akademji znać wyraźnie ten rozdział. Jedna

ich grupa, Rozprawy wszystkich trzech Wydziałów, mieści w sobie wyłącznie prace konstrukcyjne, inne wydawnictwa Wydziałów, zwłaszcza zaś komitetów lub komisyj, niejednokrotnie przedstawiają charakter mieszany, lub są poświęcone wyłącznie działowi wydawniczemu.

Nie potrzeba tu chyba wspominać o niezmiernie wielkiej wartości naukowej wydawnictw Polskiej Akademji Umiejętności. Każdy, kto choćby tylko pobieżnie zetknął się z rzeczywistością pracy naukowej, wie dobrze z własnego doświadczenia, iż niemal w każdej dziedzinie zagadnień naukowych trzeba sięgać po literaturę do wydawnictw Akademji. Trudno tu wymieniać wszystkie, z konieczności trzeba się ograniczyć do najznaczniejszych, a przedewszystkiem tych, które pociągną i zaciekawią szersze koła czytelników. Do tej grupy należą przepięknie wydane publikacje Komisji historji sztuki (9 tomów Sprawozdań i 4 tomy Prac, Przegląd historji sztuki, ukazujący się perjodycznie), następnie Bibljoteka przekładów literatury starożytnej, mieszcząca między innemi dzieła Sofoklesa w tłumaczeniu K. Morawskiego i Eurypidesa w przekładzie Kasprowicza, Bibljoteka Pisarzów Polskich (dziś już 82 tomy), Prace Komisji etnograficznej, Bibljografja Polska Estreichera.

Bilans wydawniczy Polskiej Akademji Umiejętności przedstawia cyfry rzeczywiście imponujące.

W wydawnictwach wydziału filologicznego ukazały się dotychczas 63 tomy Rozpraw, 82 tomy Bibljoteki Pisarzów Polskich, 15 zeszytów Prac Komisji językowej, 12 tomów Archiwum Komisji literackiej, 12 tomów Prac Komisji orjentalistycznej, wypełniających godnie bolesną lukę w naszej literaturze naukowej — by wymienić tylko najważniejsze publikacje.

Wydział historyczno-filozoficzny wydał dotychczas 67 tomów Rozpraw, oraz cały szereg niezmiernie ważnych publikacyj źródłowych, Monumenta Poloniae Historica, zaczęte przez Bielowskiego, dzisiaj już do VI tomu wydane, 4 tomy Monumenta Poloniae Vaticana, 22 tomy Scriptores rerum Polonicarum, 19 tomów Monumenta medii aevi historica, 14 tomów Acta historica, 13 tomów Archiwum Komisji historycznej i 9 Komisji prawniczej, wkońcu 12 tomów Starodawnych Prawa Polskiego Pomników.

Wydział matematyczno-przyrodniczy posiada 46 tomów Rozpraw, rozdzielonych w dwie serje: A — obejmującą nauki matematyczno-przyrodnicze i B — poświęconą naukom biologicznym. Komisja fizjograficzna wydała dotychczas 63 tomy swoich Sprawozdań, Komisja archeologiczno-antropologiczna może pochlubić się 18 tomami Zbioru materjałów, 14 tomami Materjałów, Komisja etnograficzna wydała dotychczas 11 zeszytów Prac.

Ponadto cały szereg dzieł wydano osobno. Tutaj trzeba przedewszystkiem wymienić ważny dział Podręczników, zawierających podstawowe dzieła z zakresu nauk humanistycznych i przy-

rodniczych, dalej Balzera pomnikową Genealogję Piastów, Tarnowskiego monografję o Krasińskim i t. d.

O ile dla spełnienia swoich żądań i dążeń wobec społeczeństwa ma Akademja na usługi swe wydawnictwa, o tyle w stosunku do zagranicy nie zacieśnia się jedynie do współpracy i reprezentacji — z jednej strony pragnie Polakom, przebywającym na studjach poza granicami Polski, przyjść z pomocą w twórczości naukowej, z drugiej zaś stale i możliwie dokładnie i wyczerpująco stara się informować miarodajne czynniki zagraniczne o postępie pracy naukowej w wszelkich dziedzinach w Polsce. Cel ten spełnia przez dwie Stacje naukowe — Stację naukową i Bibljotekę Polską w Rzymie, oraz Stację naukową i Bibljotekę Polską w Paryżu. Aby zaś jak najszerzej uprzystępnić polską twórczość naukową licznemu gronu uczonych zagranicznych, wydaje Akademja specjalny Biuletyn wszystkich trzech Wydziałów. Biuletyn ten, redagowany wyłącznie w obcych językach, przedewszystkiem francuskim, angielskim, niemieckim niekiedy i włoskim, zawiera streszczenia prac i referatów, przedstawianych Akademji.

Osobne miejsce w kreśleniu działalności Akademji trzeba poświęcić wymianie wydawnictw w kraju i zagranicą. Wydawnictwa te rozchodzą się na cały świat — poza Europę do Ameryki, Azji i Australji. Z przeszło 500 instytucjami naukowemi zagranicznemi całego świata pozostaje Akademja w wymianie wydawnictw. Jeżeli zaś chodzi o wymianę krajową, to poza wszystkiemi instytucjami naukowemi otrzymują wszelkie zakłady średnie w Polsce Sprawozdania z posiedzeń Akademji. W ten sposób szeroki ogół społeczeństwa może się stale bardzo szybko zaznajamiać z wynikami prac naukowych Akademji.

Dla tem sprawniejszego spełniania swych zadań posiada Akademja 3 instytuty: bibljotekę, muzeum archeologiczne i muzeum fizjograficzne. I bibljoteka i muzea służą nietylko celom archiwalno-muzealnym, są przedewszystkiem warsztatem pracy dla uczonych polskich i zagranicznych. Bibljoteka mieści w sobie też dział archiwalny. Obok dzieł naukowych nowych znajdują się tam prawdziwe bibljograficzne rzadkości, białe kruki krajowego i zagranicznego pochodzenia, oraz znaczna ilość dokumentów i rękopisów od wieków średnich aż do doby niemal współczesnej. Muzeum archeologiczne, zawierające przeszło 35.000 okazów, mieści w sobie zabytki, które niejednokrotnie są unikatami nietylko w zbiorach krajowych, ale i zagranicznych. Na szczególne wymienienie zasługuje posąg Światowida, rysunki z epoki paleolitycznej na kości rena i mamuta, największy na całym świecie zbiór ceramiki malowanej neolitycznej — t. zw. ceramika bilczańska, oraz skarb ryżanowski, zawierający srebrne i złote przedmioty pochodzenia scytyjskiego. Niemniej wspaniale przedstawia się muzeum fizjograficzne, posiadające również bezcenne wprost okazy i unikaty, liczące przeszło 700.000 okazów przyrodniczych

krajowych i zagranicznych. Dzieli się ono na 3 działy: botaniczny, geologiczny i zoologiczny. W dziale botanicznym godzi się wymienić największy zielnik roślin europejskich w Polsce, liczący około 200.000 okazów, który jest podstawą pomnikowego wydawnictwa Flora Polska. Wśród roślin kopalnianych znajduje się najwspanialszy na świecie i najlepiej zachowany okaz palmy skamieniałej. W dziale zoologicznym na szczególną uwagę zasługują: największy w Polsce zbiór owadów i motyli, oraz wspaniały zbiór ptaków krajowych, pochodzący z daru znanego ornitologa, hr. Wodzickiego. Wśród zabytków kopalnianych tego działu trzeba wspomnieć o mamucie, nosorożcu i niedźwiedziu jaskiniowym.

Towarzystwo Naukowe w Poznaniu. Początkiem swoim sięga ono głęboko w wiek XIX. Powstało w roku 1857, by przed przemocą i brutalnym uciskiem pruskim zabezpieczyć i ochronić ducha narodowego, a to przedewszystkiem drogą pielęgnowania i strzeżenia czystości języka i pieczy nad jego rozwojem. Nawiązywało w tem do znakomitych tradycyj dawnego Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Warszawie, istniejącego w latach 1800—1832, przyczem w organizacji Towarzystwa nie brak analogij z Czeską Maticą.

Aby spełniać swój cel, nie mogło Towarzystwo ograniczyć swego grona do szczupłej liczby uczonych, tak jak to uczyniły Towarzystwa Naukowe Warszawskie i Lwowskie, rozwijające się już w innych warunkach i na innym gruncie, do których dostęp jest możliwy jedynie drogą wyboru przez dotychczasowych członków. Towarzystwo poznańskie stało otworem dla każdego, kto chciał je wspierać swoją pracą, lub pomocą materjalną. Pierwotna organizacja Towarzystwa uległa dość daleko idącym reformom w latach 1920—1923. Wprawdzie zatrzymano dawny podział Towarzystwa na wydziały, ale zmieniono ich nazwy i wprowadzono nowe. Dzisiaj istnieją i są czynne: wydział teologiczny, historyczno-literacki, lekarski oraz prawniczo-ekonomiczny. Równocześnie utworzono szereg komisyj, mających się składać wyłącznie z osób naukowo pracujących, którym wyznaczono działalność przedewszystkiem naukowo-wydawniczą. Są to: komisja teologiczna, filologiczna, filozoficzna, historyczna, lekarska, nauk społecznych, matematyczno-przyrodnicza, archeologiczna, historji sztuki.

Bogaty plon pracy naukowej Towarzystwa mieści się w Rocznikach, wydawanych od r. 1857 i w wydawnictwach poszczególnych wydziałów i komisyj. Roczniki, obejmujące prace wszystkich trzech wydziałów, dostarczają długiego szeregu niekiedy niezmiernie cennych rozpraw w wszystkich dziedzinach twórczości naukowej, przedewszystkiem jednak historji. Szczególnie bogato przedstawia się w nich historja Kościoła polskiego, zwłaszcza archidiecezji gnieźnieńskiej. Wymienić tu wypada długi szereg prac ks. Stanisława Kozierowskiego, jego badania nazw topogra-

ficznych Wielkopolski, prace monograficzne o poszczególnych rodach rycerskich, osiedlonych w Wielkopolsce, prof. Semkowicza monografję o rodzie Awdańców; z dawniejszych autorów Łebińskiego Militaria, cenne prace z zakresu zagadnień pomorsko-pruskich W. Kętrzyńskiego, rozprawy Jarochowskiego, ks. Łukowskiego i ks. Korytkowskiego.

Nie brak jednak i prac z innych działów nauki w Rocznikach — szereg rozpraw filologicznych i literackich, przyrodniczych, matematycznych, technicznych, bogate materjały archeologiczne, fizjograficzne świadczą, że zacieśnienie się do nauk historycznych nie leżało w intencjach Roczników.

Od roku 1917 zaczynają się też ukazywać wydawnictwa poszczególnych wydziałów, potem komisyj. Komisja teologiczna, prócz publikacji źródeł historycznych w postaci aktów wizytacyj kościelnych, poświęca też swoje wydawnictwa pracom konstrukcyjnym z zakresu historji ustroju i dogmatów Kościoła. Komisja historyczna idzie podobnym torem. Ogłasza zabytki źródłowe (korespondencja ks. J. Poniatowskiego z Francją w opracowaniu prof. Skałkowskiego, Akta poznańskie radzieckie w opracowaniu dyr. Kaczmarczyka), a nadto wydaje Prace, poświęcone jak dotąd przeważnie zagadnieniom dziejów starożytnych i średniowiecznych. Czynną działalność rozwijają również inne wydziały i komisje.

Wśród dzieł osobno wydanych wymienić wypadnie pięciotomowy Kodeks dyplomatyczny Wielkopolski, obejmujący materjał dokumentalny do roku 1400, czterotomową pracę Bogusławskiego Dzieje Słowiańszczyzny północno-zachodniej do połowy XIII wieku. Trudno też pominąć milczeniem zasługę Towarzystwa przy doprowadzeniu do wydania arcybiskupa Łaskiego Księgi uposażeń archidiecezji gnieźnieńskiej.

Towarzystwo Naukowe Poznańskie posiada też bogate zbiory naukowe, zgrupowane w Bibljotece, zbiorach artystycznych, prehistorycznych i przyrodniczych. Zbiory muzealne Towarzystwa mają być złączone z zbiorami Muzeum Wielkopolskiego.

Bibljoteka obejmuje około 55.000 dzieł. Niema w niej wiele starych rękopisów lub pergaminów, znajdują się jednak niezmiernie cenne i rzadkie druki nietylko polskie, ale i zagraniczne.

Zbiory artystyczne składają się z obrazów, minjatur, rycin, rysunków i rzeźb. Reprezentowani są w nich malarze, niekiedy bardzo wybitni, szkół włoskich, niemieckich, hiszpańskich, angielskich, malarze austrjaccy, niderlandzcy. Dla nas najciekawszy jest dział sztuki polskiej, sięgający nieprzerwanem niemal pasmem od Bacciarellego, Norblina, Orłowskich przez Grottgera, Rodakowskiego, Matejkę do Kossaka i Malczewskiego. Również zbiór minjatur przedstawia się pięknie, a w niektórych okazach posiada wysoce artystyczną wartość.

Zbiory prehistoryczne mieszczą w sobie niekiedy przedmioty bardzo cenne, będące rzadkościami nietylko w muzeach

polskich, ale i zagranicznych. Z zbiorów tych wymienić trzeba bogate znaleziska t. zw. skarbów bronzowych, wykopaliska kultury przedłużyckiej i łużyckiej, zabytki z cmentarzyska ciałopalnego w Siemianicach, cenny brakteat złoty pochodzenia skandynawskiego, oraz bogate zbiory ceramiki grodziskowej.

Muzeum przyrodnicze dzieli się na działy: botaniczny, zoologiczny i paleontologiczny.

Towarzystwo Naukowe w Toruniu powstało w roku 1875 dla „zbierania i przechowywania wszelkich pamiątek i zabytków krajowych, mianowicie do przeszłości ziem polskich się odnoszących, i przedmiotów naukowych oraz pielęgnowania nauk i umiejętności w języku polskim". Początkowo ziemie pruskie należały do zasięgu Towarzystwa Naukowego Poznańskiego, jednakże „odległość od Poznania, nadto potrzeba łączenia się ściślejszego inteligencji polskiej na kresach, najdawniej i najwięcej zagrożonych" doprowadziły do powstania odrębnego Towarzystwa Naukowego w Toruniu. Organizacja Towarzystwa polega na podziale na trzy wydziały: historyczno-archeologiczny, teologiczny i lekarsko-przyrodniczy. Dokładny obraz całej naukowej działalności Towarzystwa dają jego wydawnictwa — 35 tomów Roczników, 21 tomów Fontes i 6 tomów Zapisek. Roczniki zawierają większe prace konstrukcyjne, Fontes poświęcone są wyłącznie publikacjom źródeł, Zapiski zaś mieszczą w sobie mniejsze rozprawy, materjały i recenzje.

Z rozpraw, pomieszczonych w Rocznikach, trzeba przedewszystkiem wymienić obszerne Dzieje Prus Królewskich ks. Kujota i tegoż autora badania nad powstaniem parafij w ziemiach pomorskich, długi szereg prac ks. Alfonsa Mańkowskiego, W. Kętrzyńskiego, monografje językowe prof. Nitscha. Bogaty materjał źródłowy zawierają Fontes, mieszczące przedewszystkiem zabytki źródłowe do historji kościelnej Pomorza w postaci aktów wizytacyj archidiakonatu pomorskiego, kościołów diecezji chełmińskiej i pomorskiej, zabytków historji kościelnej okręgu lemborskiego i bytowskiego.

Zbiory bibljoteczne Towarzystwa nie tworzą odrębnej całości, złączone są z Miejską Książnicą im. Mikołaja Kopernika w Toruniu.

Towarzystwo Naukowe w Płocku powstało w roku 1907, nawiązując do tradycji dawnego Towarzystwa Naukowego, istniejącego w Płocku w latach 1820—1830. Celem jego jest „krzewienie nauki i oświaty, oraz gromadzenie danych naukowych fizjograficznych, statystycznych, historycznych, dotyczących Mazowsza Płockiego". Działalność naukowo-wydawnicza w pierwszych latach istnienia Towarzystwa była osłabiona przez inne, bardziej aktualne wówczas, wysiłki i starania, przez które jednak położyło Towarzystwo niejednokrotnie większe zasługi dla sprawy kultury i oświaty w Polsce, niżby to się dało uczynić drogą pu-

blikacji wydawnictw. Dzięki staraniom Towarzystwa zdołano uchronić od kasacji 27 bibljotek i domów ludowych Macierzy Szkolnej, zamkniętej w innych połaciach zaboru rosyjskiego postanowieniem rządu. Niemałe też zasługi zjednało sobie Towarzystwo pracą kulturalno-oświatową przez urządzanie odczytów, wystaw, organizowanie wycieczek archeologicznych i krajoznawczych, wydawanie przewodników i t. d. Szczególny tytuł do wdzięczności zyskało Towarzystwo przez ochronienie zbiorów i skarbów Płocka przed rabunkowemi zakusami okupantów niemieckich. Jednakże praca naukowa, choć narazie zepchnięta na plan dalszy, nie zanikła. Owocem jej są rozprawy z dziedziny historji, archeologji, fizjografji, antropologji, drukowane niestety nie w wydawnictwach Towarzystwa.

Po ostatecznem ustaleniu się stosunków w odrodzonem Państwie Polskiem Towarzystwo, nie zaniedbując swej dawnej kulturalno-oświatowej działalności, coraz wydatniej przystępuje do pracy w dziedzinie naukowo-wydawniczej. Program ten, wyraźnie skrystalizowany, polega na „pogłębieniu i rozszerzeniu pracy w wydziałach; rozpoczęciu na większą skalę ruchu wydawniczego, a przedewszystkiem przystąpieniu do wydawania Roczników Płockich; wydaniu wypisów do nauki historji polskiej na tle dziejów Mazowsza, wydawaniu prac monograficznych, dotyczących Mazowsza Płockiego i wydawnictwie przewodnika po Płocku, Katedrze Płockiej i planu miasta Płocka".

Do tych zamierzeń możnaby jeszcze dorzucić pewne *pia desideria*, które niezmiernie wielką stałyby się pomocą dla pracowników naukowych, mianowicie wydanie katalogu archiwum kapitulnego, bibljoteki kapitulnej i co cenniejszych dzieł bibljoteki Seminarjum Duchownego.

Zbiory Towarzystwa zgromadzone są w Bibljotece, liczącej przeszło 35.000 tomów, oraz w Muzeum, pragnącem zabytkami swemi przedstawić wszechstronnie Mazowsze Płockie, a składającem się z działów: geologicznego, flory i fauny, prehistorji, etnografji, działu historyczno-kulturalnego i wojny światowej.

Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Przemyślu powstało w roku 1909. Pragnie ono „stworzyć polskie ognisko naukowe, szerzyć poznanie i poszanowanie dla polskich pamiątek historycznych, zwłaszcza Przemyśla i okolicy, konserwować dzieła sztuki i kultury na ziemiach polskich". Cele Towarzystwa wskazują wyraźnie, iż działalność jego rozpada się na dwie sfery — jedną naukową, drugą konserwatorską w znaczeniu chronienia wszelkich zabytków od zniszczenia przez gromadzenie ich w własnych zbiorach, lub przez pomoc w opiece nad niemi. Konserwatorską działalność rozwija Towarzystwo bardzo żywą — zamek przemyski, klasztor franciszkański, klasztor i kościół św. Anny w Jarosławiu, kościół w Uhercach, w których konserwacji Towarzystwo nie szczędziło trudów i zabiegów, świadczą o tem dowodnie.

Druga droga konserwacji, to gromadzenie własnych zbiorów, skupionych w Muzeum narodowem ziemi przemyskiej. Zbiory te są dzisiaj dosyć bogate i różnorodne. Stanowią je zabytki sztuki, archeologji i prehistorji, materjały antropologiczne, etnograficzne i fizjograficzne. Obok nich istnieje archiwum, zawierające akty, rękopisy i listy, oraz bibljoteka.

Działalność naukowa Towarzystwa znajduje swój wyraz w organie Towarzystwa, Roczniku Przemyskim, którego dotychczas ukazało się 7 tomów. Mieszczą się w nich przedewszystkiem prace, związane z ziemią przemyską i jej sąsiedniemi okolicami, np. prof. Dąbkowskiego Stosunki kościelne w ziemi sanockiej, lub tegoż autora Fryderyk Jacimirski, miecznik sanocki; Smółki Katalog rękopisów archiwum magistrackiego i praca o herbie miasta Przemyśla; Bochnaka monografja o warownym klasztorze Karmelitanek Bosych w Starym Zagórzu. Nię brak jednak też prac, wykraczających tematem swoim daleko poza granice ziemi przemyskiej. Takiemi są monografje W. Dobrowolskiej o młodości Jerzego i Krzysztofa Zbaraskich, Barycza o Piotrze Kmicie, lub Rawicza o indygenacie w Polsce za czasów Stanisława Augusta.

Towarzystwo Naukowe we Lwowie powstało w roku 1920 w drodze przekształcenia Towarzystwa dla popierania nauki polskiej, założonego w roku 1901. Po swojej macierzystej organizacji oddziedziczyło Towarzystwo Naukowe wspaniały rzeczywiście dorobek naukowy, zawarty w 64 tomach publikacyj, z których przedewszystkiem wymienić należy: 9 tomów Archiwum naukowego i 8 tomów Prac naukowych z działu historyczno-filologicznego, 2 tomy Archiwum i 2 tomy Prac z działu matematyczno-przyrodniczego, 4 tomy Studjów nad historją prawa polskiego, 5 tomów Zabytków piśmiennictwa polskiego, 1 tom Zabytków dziejowych, wkońcu dwutomową Księgę pamiątkową ku czci B. Orzechowicza, zawierającą kilkadziesiąt rozpraw wysokiej naukowej wartości. Aby wspomnieć tylko najważniejsze z prac, pomieszczonych w tych wydawnictwach, trzeba wymienić obszerne dzieło prof. Balzera o skarbcu i archiwum koronnem w dobie przedjagiellońskiej, tegoż autora Królestwo Polskie 1295—1370, prof. Abrahama Organizacja Kościoła łacińskiego na Rusi, prof. Dąbkowskiego Prawo polskie prywatne.

Nowoutworzone Towarzystwo Naukowe za cel powzięło sobie „pracę nad rozwojem i postępem nauki we wszystkich gałęziach wiedzy ludzkiej". W organizacji swej wzorowało się Towarzystwo na ustroju Polskiej Akademji Umiejętności. Członkowie Towarzystwa, pochodzący wyłącznie z wyboru, dzielą się na czynnych miejscowych, lub zamiejscowych i przybranych. W łonie Towarzystwa istnieją trzy wydziały: filologiczny, historyczno-filozoficzny i matematyczno-przyrodniczy. Wydział filologiczny i historyczno-filozoficzny może liczyć najwyżej po 20 członków czynnych

miejscowych i zamiejscowych, natomiast na wydziale matematyczno-przyrodniczym ilość członków może dojść do 30. Liczba członków przybranych nie jest ograniczona.

W działalności wydawniczej nawiązało Towarzystwo Naukowe Lwowskie do tradycyj dawnego Towarzystwa dla popierania nauki polskiej. Jednak dawny podział Archiwum na dział I-historyczno-filologiczny i dział II-matematyczno-przyrodniczy nie dał się już wobec zmienionej organizacji i liczby wydziałów utrzymać. Obecnie dział I odpowiada publikacjom wydziału filologicznego, dział II publikacjom wydziału historyczno-filozoficznego, dział III wydziału matematyczno-przyrodniczego. Zaniechało wprawdzie Towarzystwo wydawania prac, pomnożyło jednak dawne działy wydawnicze nowym: Pracami sekcji historji sztuki i kultury.

Działalność naukowa i wydawnicza Towarzystwa Naukowego Lwowskiego godnie reprezentuje te wysokie tradycje, które stały u jego kolebki. Sprawozdania Towarzystwa, ukazujące się obecnie 3 razy na rok, wyraźnie świadczą o tem, że we wszystkich trzech wydziałach wre usilna i wydatna praca naukowa, a intensywności jej i różnorodności odpowiada też działalność wydawnicza. Ogólny bilans wydawniczy Towarzystwa w tym krótkim, bo zaledwie ośmioletnim, okresie istnienia wykazuje poważne cyfry: trzy tomy Archiwum działu filologicznego, cztery tomy Archiwum działu matematyczno-przyrodniczego, sześć tomów Studjów nad historją prawa polskiego, dwa tomy Zabytków dziejowych, jeden tom Prac sekcji historji sztuki i kultury, wkońcu w bliskiej przyszłości mający się ukazać XXIII tom pomnikowego wydawnictwa Akta grodzkie i ziemskie.

Wydawnictwa te zawierają cały szereg prac, niekiedy podstawowych, o wysokiej wartości naukowej. Należą do nich obszerne dzieło prof. Abrahama Zawarcie małżeństwa w pierwotnem prawie polskiem, prof. Balzera Narzas w systemie danin książęcych pierwotnej Polski. Wśród wydawnictw źródłowych godzi się wymienić najstarszą księgę wsi Trześniowa z epoki 1419—1609 w opracowaniu H. Polaczkówny i pięknie wydany w opracowaniu tejże autorki arsenalski rękopis Klejnotów Długosza, Stemmata Polonica, oraz Akta Konsystorza Lwowskiego w opracowaniu W. Rolnego. Nie brak cennych prac i w dziale matematyczno-przyrodniczym, a między niemi znajdzie się niejedna, mogąca pociągnąć i zainteresować szersze koła czytelników, np. praca Bednarskiego, przedstawiająca dzieje okulistyki w Polsce.

(Dokończenie nastąpi).

Dr. S. Mikucki

REDAKTOR I WYDAWCA: *KS. JAN URBAN T. J.*

Druk ukończono dnia 31 października 1929 r.

Pius XI a Rosja dysydencka.

Jubileuszowy rok, z okazji pięćdziesięciolecia kapłaństwa Ojca świętego Piusa XI, zmierza ku końcowi. Punktem szczytowym jego będzie dzień 21 grudnia, kiedy właśnie upłynie pół wieku od chwili, w której młody lombardzki ksiądz, Achilles Ratti, złożył po raz pierwszy Najświętszą Eucharystji Ofiarę w kościele *San Carlo al Corso* w Rzymie. Utrzymuje się przekonanie, iż w tymże dniu, w roku bieżącym, przed tymże ołtarzem odprawi Pius XI swoje sekundycje.

Kto śledził w urzędowym dzienniku Watykanu, *Osservatore Romano*, wszystko, co w jakikolwiek sposób z tegorocznym jubileuszem wiązało się, mógł ocenić jak ten rok uwydatnił na nowo ścisłą łączność katolickiego świata ze Stolicą Piotrową. Wszak nie było ani jednego kraju w żadnej z pięciu części świata, a w tych krajach nie było żadnej znaczniejszej grupy wiernych Chrystusowych, klasy, stanu, wieku, któreby nie wysłały do Wspólnego Ojca rzeszy swych przedstawicieli. A jeśli, nie oni sami mogli się udać do Rzymu, to przynajmniej płynęły tam ich modlitwy, adresy, skromne dary. I kto czytał owe kilkaset przemów, które w tym roku wygłosił Watykański Jubilat do przesuwających się przez Jego siedzibę pielgrzymek, mógł się przekonać jak żaden z zakątków świata nie jest obcy temu Najwyższemu Pasterzowi owiec Chrystusowych, jak oko Jego śledzi i zna wszystkie ich ścieżki na pustyni życia, jak serce Jego bije dla wszystkich ojcowskiem uczuciem. Dzięki Jego

śmiałej decyzji ojczysta Jego Italja w roku tym otrzymała uznanie praw Kościoła przez państwowość dotąd mu wrogą, — kilka krajów otrzymało konkordaty, — męczeński Meksyk względne uspokojenie, — inne narody katolickie usłyszały z ust powszechnego Nauczyciela wskazówki i przestrogi na te potrzeby, jakie z sobą niesie chwila współczesna. Polska nie była w Città del Vaticano ani z hołdami ostatnią, ani najchłodniej przyjętą. Powtarzalibyśmy rzeczy zbyt znane, gdybyśmy opowiadali o tegorocznych naszych do Rzymu pielgrzymkach, o „akademjach papieskich" po całym kraju urządzanych, o tych ciepłych akcentach, jakie polscy pątnicy łowili w słowach Piusa XI, w jego wspomnieniach z czasów, kiedy był z nami, kiedy stał się „polskim biskupem".

Podobno tylko z jednego kraju na kuli ziemskiej nie mógł oglądać przy sobie swych synów: z Rosji. Jest ona, jak nigdy jeszcze nie była w tym stopniu „więzieniem narodów", w sposób wyjątkowy — więzieniem katolików. Z poza murów kaźni mogły się wznosić jedynie ciche szepty ku Niebu za Ojca świętego, a On mógł odpowiadać zdaleka jedynie modlitwą, współczuciem. Ta połać świata, nad którą od lat dwunastu panuje krwawa bolszewicka gwiazda, połać stanowiąca szóstą część suszy naszego globu — w sercu Piusa XI zajmuje także dużo miejsca. Myśl tego „Papieża misyj" obejmuje nietylko pozostałych tam a cierpiących prześladowanie półtora miljona katolików, lecz także owe 140 miljonów dusz, albo zupełnie imienia Chrystusa nie znających, albo ze znamieniem Jego błąkających się poza prawdziwym Kościołem. „I tych potrzeba, abym przywiódł" — powtarza sobie Pius XI za Tym, który go „najwyższym pasterzem postanowić raczył". W jednem ze swych przemówień tak się odezwał Ojciec święty: „Codziennie, bez wyjątku, od dłuższego czasu, od początku, wystawiamy sobie podczas mszy św. Rosję, wszystkich jej kapłanów, wszystkich jej wyznawców wiary, wszystkich wierzących, i katolików i tych, co nimi nie są. Nie dość powiedzieliśmy: udajemy się z Panem Jezusem podczas każdej mszy do Rosji. On codziennie wędruje z Nami od Mińska do Władywostoku, od Tyflisu do wysp Sołowieckich: błogosławimy, mo-

dlimy się, kochamy, spodziewamy się razem, przedewszystkiem cierpimy z nimi, ze wszystkimi". [1])

Z tych modlitw, miłości, współczucia u człowieka szerokiego gestu, odważnych decyzyj, jakim jest Pius XI, rodzić się muszą czyny. Dla ulżenia doli katolików, w państwie antychrysta cierpiących, robił wszystko, co leżało w Jego mocy: przypomnijmy sobie historję ś. p. księdza Budkiewicza i arcybiskupa Cieplaka. Myśl Papieża wszakże poprzez te chwile dzisiejszej mizerji patrzy w lepszą przyszłość i dla tej lepszej przyszłości przygotowuje warunki. I kiedy tam — poprzez kordony — nie doleci może wiadomość o tem, co Pius XI zdziałał i działa dla przyszłego odrodzenia religijnego Rosji, a przynajmniej o tem nie można tam ani mówić ani pisać, uprzytomnijmy sobie to wszystko w Polsce, czyniąc tym z musu głuchym i niemym sąsiedzką i braterską wyrękę. Będzie to zarazem hołdem dla Najdostojniejszego Jubilata od naszego skromnego pisma.

Pozwolę sobie wywołać wspomnienie spotkania przed dziesięciu laty ówczesnego Wizytatora Apostolskiego w Polsce, Mgra Ratti. W czasie Zielonych Świąt r. 1919 odbywała się w Janowie na Podlasiu instalacja wznowionej po 50 latach kapituły diecezjalnej. Na tę uroczystość przybył przedstawiciel Benedykta XV, chętnie jak wiadomo zwiedzający rozmaite zakątki naszego kraju, by poznać jego tradycje, zwyczaje, wiarę i pobożność ludu. Ja — niegdyś chwilowo misjonarz między unitami — przybyłem teraz do Janowa, by patrzeć na triumf katolicyzmu, na plon krwi, która wsiąkła w ziemię niedalekiego Pratulina i Drelowa. Janów był także pewnego dnia widownią katuszy, kiedy to w czasie nieszporów w łacińskim kościele tuż przed jego drzwiami katowano unitów: zespoliły się wtedy dwa chóry — jeden jęczących pod nahajkami przed katedrą, drugi ich braci w świątyni, którym psalmy Dawidowe zamieniły się w jęk i szlochanie na głos bitych unitów. Mgr Ratti przybył do tego cichego prowincjonalnego miasteczka po oczytaniu się

[1]) Cytowane w artykule O. de Belloy'a T. J. w *Orientalia Christiana* Nr. 55, wrzesień-październik 1929, str. 9.

w martyrologjum unitów podlaskich. Wiedział, że znajduje się w kraju męczenników, mógł być pewnym, że wśród starców, których bielejące głowy przetykały wielotysięczny tłum wieśniaczy, w kościele zgromadzony, znajdują się jeszcze wyznawcy, co niegdyś setki nahajów otrzymali, po więzieniach włóczeni, ojcowizny pozbawieni, w orenburskie stepy pędzeni byli. Inni, młodsi, to synowie i wnuki owych bohaterów wiary, których nazwisk nie ustaliła jeszcze historja, których wszakże imiona są złotem zapisane w księdze Bożej. Znając tę krwawą ale chlubną przeszłość kraju, widząc w oczach zebranej prostoty łzy szczęścia z odzyskanej wolności wierzenia, jak wierzyli ich ojcowie i pewnej dumy z zasługi tych ojców swoich dla Kościoła, wstąpił Przedstawiciel Ojca św. na ambonę, ustawioną na owym pamiętnym katedralnym placu, aby temu ludowi za jego stałość w wierze świętej imieniem Kościoła podziękować i w imieniu Najwyższego Pasterza błogosławieństwa udzielić. Był to wzruszający moment, podczas którego rozległy się łkania radości i szczęścia. Nie śmiem przypuszczać, by ktoś z nas obecnych miał wtedy oczy suche; jestem pewny, że miał je zwilżone od wzruszenia sam Błogosławiący ludowi Wysłaniec papieża.

I śmiem wyrazić przekonanie, że tam, w Janowie podlaskim, jeśli nie po raz pierwszy zrodziło się, to przynajmniej wzmocniło się owo szczególne zainteresowanie się Mgra Ratti zagadnieniem dysydenckiego Wschodu i unją jego ze Stolicą Piotrową, jakie niebawem uwydatni się w działalności Papieża Piusa XI. Widział On, co z narodu, przed wiekami także stroniącego od prawdziwej owczarni Chrystusowej, ciemnego, zabobonnego, nawpół pogańskiego, potrafiło uczynić zjednoczenie z Rzymem: tchnęło weń nowego ducha, z dawnych odszczepieńców uczyniło lud wyznawców i męczenników, cenną cząstkę mistycznego Ciała Chrystusowego. Odgaduję, że wtedy zwrócił się wzrok Mgra Ratti na najbliższych tego ludu sąsiadów, pozostających jeszcze poza jednością kościelną i na dalszych ich pobratymców, na niezmierzonych Rosji obszarach, i zapytał siebie: czy i z nich kiedyś nie będą wyznawcy i męczennicy prawdziwej Chrystusowej wiary? Zapewne z głębi serca powtórzył

słowa Arcykapłana Jezusa: „Ojcze, spraw, aby wszyscy byli jedno". I ta modlitwa przywarła na zawsze do ust Piusa XI.

„Papież misyjny" jest papieżem, marzącym o unji kościelnej odłączonego Wschodu, a przedewszystkiem największego jego odłamu — Rosji. Przebiegnijmy niedługie siedm lat jego pontyfikatu: ileż ujrzymy w ich przebiegu dowodów, że ta sprawa jest ulubionym tematem jego zainteresowań, przedmiotem jego trosk i wysiłków!

Już w pierwszej swej encyklice *Ubi arcano*, w której wziął za hasło swego pontyfikatu słowa *pax Christi in regno Christi*, znalazł miejsce na zwrócenie się także do ludów, które „nie są z tej owczarni", wypowiadając pragnienie, aby i one znalazły się w prawdziwym Kościele Chrystusowym i pracowały wspólnie nad urzeczywistnieniem Królestwa Bożego na ziemi. Czy nie zwracały się Jego myśl i serce, gdy ten ustęp pisał, przedewszystkiem do „prawosławnych" na Wschód? Zwłaszcza, gdy w tejże encyklice przenosi się w duchu do Polski, do Częstochowy, oddając pokłon Królowej naszego narodu w Jej cudownym obrazie; czy nie stanęły mu w pamięci miljony dysydentów na naszych kresach, a jeszcze liczniejsze miljony za naszemi wschodniemi rubieżami?

W następnym roku, 1923, przypada trzechsetna rocznica męczeńskiej śmierci Apostoła Unji, św. Józafata Kuncewicza. Pius XI ogłasza encyklikę *Ecclesiam Dei*, poświęconą temu wielkiemu mężowi. Podnosząc w niej piękność tego obrządku, który go wydał, zapewnia o szczególnej pieczołowitości, jaką go Kościół rzymski otacza, odłączonym synom znowu rzuca wezwanie, aby śladem Józafata do Kościoła przyszli, a katolikom w Józafacie ukazuje do naśladowania wzór miłości do błądzących, nie cofającej się nawet przed ofiarą krwi. Do biskupa łuckiego, który zarządził obchód jubileuszowy we Włodzimierzu Wołyńskim, nadsyła Pius XI osobne brewe z błogosławieństwem dla zamierzonego zjazdu.

W r. 1924, wciąż myśląc o dysydenckim wschodzie, Ojciec św. wzywa zakony łacińskie, aby pewną ilość swych członków poświęciły dziełu zjednoczenia Kościołów; zachęca, by ci, co na tym zagonie Bożej niwy zechcą pracować, przyjęli obrządek wschodni, zakładali osobne domy, poświęcone

studjowaniu rzeczy wschodnich, przygotowywaniu się gruntownemu do pracy misyjnej w przyszłości. Za tym głosem idą Benedyktyni, zakładając osobny priorat unijny w Amay nad Mozą w Belgji; u nas Jezuici zakładają swą wschodnią placówkę w Albertynie, w pobliżu owych Żyrowic, gdzie niegdyś św. Józafat pracował nad unją, a skąd potem wychodziła akcja dążąca do... jej wytępienia.

W tymże roku przypadła kolej na zwoływany perjodycznie kongres unjonistyczny w Velehradzie na Morawach. Pierwszy taki kongres miał miejsce w r. 1907 i od tego czasu owe poczynania nazywano „ruchem welehradzkim". Nie wszystkim on się podobał. Dopatrywano się w nim akcji panslawistycznej, a na taką akcję podejrzliwie patrzano w Wiedniu i Budapeszcie. Inni, pomimo, że zjazdom tym patronowali wysocy dostojnicy Kościoła, podejrzywali je, że są skłonne do jakichś ustępstw doktrynalnych na rzecz schizmy — i trzeba było aż w druku bronić dobrej ich sławy i ustalać właściwe ich znaczenie. Zjazd roku 1924, pierwszy większy po wojnie światowej, odbył się już za rządów Kościołem Piusa XI. I oto na ten zjazd przybywa z polecenia Ojca św. przedstawiciel Stolicy św. w Czechosłowacji, Mgr Marmaggi, dzisiejszy nuncjusz apostolski u nas, i nadchodzi błogosławieństwo Ojca św. dla zjazdu. Uchwały na nim powzięte znajdują też pełne uznanie Stolicy Apostolskiej, jak świadczy o tem dłuższy ustęp, poświęcony im w alokucji na Konsystorzu grudniowym, umieszczający je między najważniejszemi wydarzeniami w Kościele w ciągu roku. Podobna zachęta towarzyszyła także następnym zjazdom: r. 1925 w Lublanie i 1927 znowu w Velehradzie.

Z okazji 1600-lecia Soboru Nicejskiego Ojciec św. zwraca swą myśl do Wschodu, gdzie się odbywały pierwsze sobory powszechne chrześcijaństwa, i dla okazania życzliwości Stolicy św. do wschodnich obrządków poleca urządzić, chyba po raz pierwszy w ciągu historji, 14 listopada 1925 r. uroczystą celebrę wschodnią w bazylice św. Piotra; celebrują biskupi różnych unickich narodowości, — Ojciec św. także bierze w tem nabożeństwie czynny udział.

W lutym 1927 r. korzysta z jubileuszu śmierci św. Cyryla, Apostoła Słowian, by ogłosić list do biskupów czesko-

słowackich, poświęcony przeważnie dziełu pociągnięcia odłączonych narodów słowiańskich do jedności kościelnej.

W tymże roku wyszła także słynna encyklika *Mortalium animos,* wywołana usiłowaniami protestantów zbudowania jakiejś jedności podzielonego chrześcijaństwa, ale nie na fundamencie, położonym przez Chrystusa, nie na św. Piotrze i jego następcach, lecz na platformie kompromisu między rozmaitemi wyznaniami chrześcijańskiemi. Pius XI przypomina, że jeden jest tylko prawdziwy Kościół Chrystusowy, i że prawdziwe zjednoczenie może nastąpić jedynie przez powrót błądzących do niego, przez złączenie się ich we wspólnej nieuszczuplonej przez kompromisy wierze i miłości. Encyklika ta, przypominająca naukę katolicką o istocie Kościoła, łatwo zrozumieć jak jest ważną także dla akcji pociągnięcia Wschodu do Stolicy Piotrowej.

W rok potem, 8 września 1928, ukazuje się nowa encyklika, *Rerum Orientalium,* skierowana do całego świata katolickiego, ale poświęcona wyłącznie sprawie wschodniej. Streściwszy wszystko, co Stolica św. i Kościół zachodni uczyniły w ciągu wieków dla zażegnania rozdwojenia wschodniego, wskazuje Ojciec św. co w ostatnich czasach zrobionem zostało dla poznania odłączonego Wschodu i przygotowania pracowników, mających się poświęcić akcji unijnej. Wiąże się to wszystko z Instytutem Wschodnim w Rzymie. Założony przez papieża Benedykta XV, przy Piusie XI przechodzi ów Instytut fazy coraz to bujniejszego rozwoju. Prowadzenie jego już w r. 1922 zostało powierzone zakonowi Jezuitów, lecz tak, że rektora i profesorów tego zakładu, powołanych przez generała zakonu, zatwierdza sam papież. Niebawem Instytut został przeniesiony z poprzedniego niewygodnie położonego lokalu do gmachu Instytutu Biblijnego, a przed dwoma laty, dzięki hojności paru osób, zakupiony został dlań osobny gmach obok bazyliki M. Boskiej Większej *(Maria Maggiore)* na Eskwilinie, gdzie też została urządzona bogata specjalna bibljoteka. Wykłady i prace naukowe w Instytucie obejmują także teologję Kościoła wschodniego, liturgję wschodnią, archeologję, historję kościelną. Oprócz pracy szkolnej Instytut rozwija akcję wydawniczą, publikując w swych *Orientalia Christiana* prace zarówno,

dotyczące współczesnego stanu kwestji wschodniej, jak i rezultaty naukowych badań nad przeszłością. Tego wydawnictwa nazbierało się już około sześćdziesiąt tomów. Na czele Instytutu stoi Mgr Michel d'Herbigny T. J. Śmiała jego misja do Rosji w celu odbudowania nieistniejącej już tam hierarchji katolickiej — to nowy dowód pamięci o tym kraju Piusa XI.

W encyklice *Rerum Orientalium* zachęca Ojciec św. wszystkich biskupów do dwóch rzeczy: 1) aby do Instytutu wschodniego wysyłali wybranych alumnów, którzy po ukończeniu tego zakładu będą mogli zająć się orjentalistyką kościelną w swoich diecezjach; 2) aby w seminarjach duchownych wprowadzili wykłady, zaznajamiające ogół kandydatów do stanu duchownego ze sprawami wschodniemi, z teologją, liturgją i życiem Kościołów wschodnich.

Ten spis aktów Piusa XI, odnoszących się do kwestji unijnej na Wschodzie, byłby niepełny, gdybyśmy nie wspomnieli o trosce Papieża o obsługę duchowną emigrantów Rosjan, rozproszonych po całej Europie, a zbliżających się do Kościoła katolickiego, — o upoważnieniu naszych ks. biskupów na kresach wschodnich do wznawiania parafij obrządku wschodniego dla ludności, przechodzącej na katolicyzm z prawosławia, — o założeniu i otwarciu w tym roku w Rzymie osobnego kolegjum dla Rosjan, by przygotować kapłanów i misjonarzy dla nieszczęsnego kraju, — o otwarciu innych zakładów z podobnym celem, jak w Lille — seminarjum św. Bazylego, albo przytułków dla dzieci emigrantów, jak w Namur w Belgji, w Gdańsku, Berlinie i gdzie indziej, — o całym szeregu zarządzeń, wydanych za pośrednictwem św. Kongregacji dla spraw Kościoła Wschodniego i powołanej do życia osobnej komisji *pro Russia,* — wreszcie o różnych przemówieniach ojcowskich do wychowanków Instytutu wschodniego.

Zaiste jest to wykaz bogaty, jak na siedem zaledwie lat sterowania łodzią Piotrową. O ile chodzi wogóle o sprawy Kościoła wschodniego, to jest on mocno skrócony. Cytowany już przez nas O. Belloy daje wykaz 88 „aktów", t. j. encyklik, bull, dekretów, przemówień i zarządzeń Piusa XI, dotyczących Kościołów wschodnich, a wyliczone akty na-

zywa tylko „główniejszemi". Z bliżej nas obchodzących wymieńmy jeszcze żywe zajęcie, z jakiem Ojciec święty śledzi sprawy Kościoła unickiego w Małopolsce, w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie, w Rumunji i innych krajach. O zarządzeniach, dotyczących tych Kościołów, mieliśmy nieraz sposobność pisać w naszem czasopiśmie. W ostatnich dniach wyrazem stosunku Piusa XI do nich była konferencja w Rzymie wszystkich biskupów ruskich z Polski, Czech, Jugosławji i Ameryki, audjencja ich w Watykanie, założenie przez Ojca św. nowego kolegjum ruskiego, im. św. Józafata, w Rzymie. Zwracając swój wzrok ku odłączonym braciom wschodnim, nie może Ojciec św. nie odnosić się ze szczególną życzliwością do tych ich pobratymców, którzy do wspólności wiary w Kościele prawdziwym już należą.

Czy wysiłki Piusa XI, dążące do zjednoczenia całego Wschodu z Kościołem katolickim, doczekają się realizacji? A może jest to tylko marzenie szlachetne, utopja nierealna i niezisziczalna?

Gdyby Pius XI patrzył na dzieje jedynie po ludzku, zaiste nie znalazłby zachęty do swoich usiłowań. Jako namiestnik wszakże Tego, który pragnie, „aby wszyscy ludzie byli zbawieni i do poznania prawdy przyszli", „ma nadzieję przeciwko nadziei", na Boga i Jego łaskę licząc. Dzieło jedności kościelnej jest trudne i nie na godziny obliczone, bo nie odrabia się w ciągu godzin zła, nagromadzonego przez wieki. Powodzenie trudnych dzieł, po pomocy Bożej, zawdzięcza się zwykle wytrwaniu w pracy nad niemi. Utopja? Pius XI właśnie, w tym roku jubileuszowym, osiągnął i urzeczywistnił coś, co powszechnie miano za utopję: rozwiązał „kwestję rzymską". Oby pozwolił mu Bóg urzeczywistnić, a przynajmniej znacznie ku urzeczywistnieniu przybliżyć „utopję" inną, Chrystusową, „aby była jedna owczarnia i jeden pasterz". „Czasy i godziny" są w rękach Bożych i owoc ludzkich wysiłków dojrzewa nieraz, kiedy się go najmniej ludzie spodziewają. We właściwym dniu wzbudza Bóg opatrznościowych ludzi, którzy zbierają plony wcześniejszych posiewów. Ufajmy, że ręka Piusa XI nie napróżno rzuca ziarno na stepowe rozłogi odłączonego Wschodu.

Ale z tej wielkiej niwy chyba najpierw winny dojrzeć do żniwa bliższe Rzymowi i bliższe nam zagony — naszych kresów wschodnich. Przez ich katolicyzację prowadzi naturalna droga do nawrócenia Rosji. O religijnem zadaniu Polski na tych kresach pisałem tutaj miesiąc temu — obecnie powtarzam: zrozumienie kwestji wschodniej według ducha Kościoła katolickiego i współpraca nad odnowieniem unji jest narodowym obowiązkiem Polski. Dlatego, kiedy obchodzimy jubileusz Papieża, sądzę, że zapewnienie o gotowości spełnienia tej opatrznościowej misji będzie najmilszym Ojcu świętemu podarunkiem od nas. Będzie to wyraz naszego przywiązania do Kościoła i miłości do jego obecnego Sternika, tak nam drogiego Piusa XI.

Ks. Jan Urban T. J.

Apostoł czci Bożego Serca.

(Z powodu beatyfikacji W. O. Klaudjusza de la Colombière).

Wspaniale rozpoczęty potężnem katolickiem odrodzeniem, w ostatniej ćwierci swych lat zaczął wiek XVII chylić się szybko do głębokiego religijnego upadku. Przez czas jakiś mogły jeszcze łudzić przeciwne pozory: Kościół w katolickich krajach nietylko zachowywał, ale rozszerzał swój stan posiadania; rosły w liczbę i zasobność przeróżne zakony; przekwitający już barok pokrywał mnóstwem okazałych świątyń najdalsze nawet zakątki europejskich krajów — ale duch wiary i pobożności chrześcijańskiej zanikał widomie. Jansenizm roznosił już po żyłach Kościoła straszliwy jad swej nienawiści i pychy, gallikanizm dochodził w teorji i w praktyce do ostatecznego sformułowania tych zasad, które przerobione później na febronjanizm i józefinizm, przez dwa blisko wieki ściskały Kościół duszącą obręczą, gdzie niegdzie podnosiła już głowę fałszywa mistyka i chorobliwy iluminizm, w Angji zaczynały już wytwarzać się te kierunki myśli, które potem rozwinięte w pełny system „filozofji oświecenia", przeciągnęły po całej Europie mroźnym, suchym wiatrem, wnosząc we wszystkie dziedziny chrześcijańskiego życia nieobliczalne w swych następstwach, spustoszenie.

Ale oprócz tych, dających się ściśle określić, zgubnych prądów lub ich niebezpieczeństw, było jeszcze w atmosferze duchowej schyłku XVII wieku pewne nieuchwytne, ale szeroko rozpanoszone zło, grożące katolickiemu życiu bardzo

ciężką niemocą. Był to jakiś dziwny fałsz, podniesiony nieomal do godności zasady, jakaś oficjalna obłuda, ukrywająca pod sztuczną, na efekt tylko obliczoną pozą, wewnętrzną, zgniliznę, były to tendencyjnie przybierane pozory tradycyjnego chrześcijaństwa, bez jego treści i ducha. Na dworze „bardzo chrześcijańskiego króla", który pod tym względem nadawał ze swego Wersalu ton całej Europie, święciło to jawne kłamstwo bezwstydne triumfy. Słuchało się pobożnie wielkich kaznodziejów, ale służyło się pokryjomu wyuzdanej rozpuście; spełniało się publicznie zewnętrzne praktyki katolickie, ale uprawiało się przytem czy to bezlitosny ucisk poddanych, czy brudne procedery niesumiennej polityki; zachowywało się z predylekcją formy i gesty chrześcijańskiego monarchy, działając równocześnie na wyraźną szkodę chrześcijaństwa i Kościoła. Kto umiałby był głęboko spojrzeć nie na blichtr, świecący nazewnątrz, ale w tajniki serc i w znaki czasów, temu nie byłoby było trudno odgadnąć ku czemu idzie Francja i Europa. Każdy myślący człowiek mógł widzieć wtedy, co my widzimy dzisiaj, że logicznym owocem tych destrukcyjnych sił, które pod koniec „złotego wieku" zaczynały odzywać się coraz silniej, nie mogło być nic innego, tylko gwałtowna i wszechstronna rewolucja, a z nią zupełna zagłada starego porządku.

Czy wobec tego stanu rzeczy ciche życzenie, z jakiem 16 czerwca 1675 roku zwrócił się Zbawiciel do św. Małgorzaty Marji, mogło być czem innem, jak „znakiem, któremu sprzeciwiać się będą?" Któż mógł w tym czasie uwierzyć w ten symbol i to źródło miłości, jakiem jest Serce Jezusowe? Któż był zdolny przyswoić sobie jego ducha? Nie zimny a ciasny jansenistyczny rygoryzm, nie oschła duma zgallikanizowanych teologów, nie systematyczny fałsz oficjalnego chrześcijaństwa, nie nowa filozofja, szukająca swych podstaw poza skarbcem katolickiej tradycji i wiedzy. I owszem, nawet najzdrowsza część Kościoła zgóry skazana była na to, by stanąć w opozycji do nowego, przez Chrystusa wyraźnie żądanego nabożeństwa, bo z jednej strony sama jego nowość i nieco szczególny charakter nakazywały ostrożność z drugiej można było słusznie się obawiać, czy nie odzywa

się w niem ta sama fałszywa mistyka, której świeżo, widziano kilka, dość niebezpiecznych przykładów. [1])

To też z pewnością sama nawet wybrana Sługa Chrystusowa, gdy wymawiała się Zbawicielowi, że nie czuje się na siłach do spełnienia jego rozkazu, t. j. do wprowadzenia w Kościół nabożeństwa do jego Serca, zaledwie w małej cząstce pojmowała, jak niesłychanie trudne było dzieło, jakiego podjąć się jej kazano. Spoglądając na siebie, myślała ona tylko o nieudolności własnej, a nie zdawała sobie sprawy z tego nieubłaganego przeciwieństwa, w jakiem kult Bożego Serca stał i stać musiał do ducha kończącego się wieku. Tam była prawda, tu rozwielmożnione kłamstwo, tam prostota, tu sztuczność i systematyczna obłuda, tam cicha słodycz, tu gorzka i twarda duma, tam szerokość najczystszej miłości, tu ciasnota zimnego egoizmu. A że przy tem wszystkiem Apostołka nowego nabożeństwa była po ludzku najzupełniej bezsilna, nie można było w przyrodzony sposób żywić najmniejszej nadziei, że zamiary Zbawiciela dadzą się w jakiejkolwiek mierze urzeczywistnić.

A jednak Opatrzność znalazła drogi i odpowiednie do celu narzędzia, pierwsze zaś z tych narzędzi wskazał św. Małgorzacie Marji sam Pan Jezus. Gdy żaliła się przed nim, że żadną miarą nie potrafi spełnić jego żądań, rzekł jej dosłownie co następuje: „Zwróć się do mego sługi, Ojca de la Colombière i powiedz mu ode mnie, żeby zrobił wszystko, co w jego mocy, dla wprowadzenia tego nabożeństwa i przypodobania się przez to memu Boskiemu Sercu. Niech nie

[1]) Jak niezmiernie ostrożne i powolne były władze kościelne w przyjęciu nowego objawienia, to powszechnie wiadomo. Mniej może jest znane, że nawet te dwa zakony, które Zbawiciel wśród innych obrał na szerzenie czci swego Serca, t. j. Zgromadzenie Wizytek i Towarzystwo Jezusowe przez 30 lat zgórą opierały się nowemu nabożeństwu przez centralne swe organa. I tak z macierzystego domu Wizytek w Annecy wydano kilka okólników, ostrzegających cały zakon przed wprowadzaniem specjalnych praktyk ku czci Najsł. Serca, tych właśnie, jakich żądał Pan Jezus od św. Małgorzaty, a w Towarzystwie Jezusowem podobne ostrzeżenie wydał kilkakrotnie Generał Tirso Gonzalez, który też sprzeciwił się ustanowieniu Bractwa Serca Zbawiciela i energicznie hamował zapał świątobliwego Ojca Croiset'a T. J. jednego z głównych promotorów tego nabożeństwa.

upada na duchu w trudnościach, jakie napotka, bo nie będzie mu na nich zbywać. Niech wie, że staje się wszechmocnym ten, kto w niczem nie liczy na siebie, a we mnie całą ufność pokłada".

Wiadomo, że O. de la Colombière nie był głuchy na życzenie Zbawiciela i że pierwszy przyłożył rękę do dzieła, które rozrosło się później do olbrzymich rozmiarów. Nabożeństwo do Serca Jezusowego wstępnym bojem zdobyło, rzec można, katolicki świat, a dwa pierwsze ludzkie narzędzia jego rozwoju stanęły dzięki niemu na ołtarzach, zdobne koroną błogosławionych lub świętych.

Im bardziej jednak zdumiewa ostatni kres przebieżonej drogi tem godniejsze uwagi są skromniutkie i nad wyraz trudne jej początki. W chwili więc, w której beatyfikacja Apostoła czci Bożego Serca, dokonana 16 czerwca b. r. w Rzymie, obiega echem cały świat katolicki, nie od rzeczy będzie przypatrzeć się nieco dokładniej, czem ten wierny sługa Zbawiciela przyczynił się do wyjednania jego Sercu czci publicznej i jak potrafił się wywiązać z powierzonego sobie przez Boga posłannictwa.

Zdolny kaznodzieja a nawet wykwintny nauczyciel wymowy, bystry teolog i poprawny pisarz, Ojciec de la Colombière był jednak przedewszystkiem kierownikiem dusz. Obdarzony przez Boga wielką miłością, nie tyle nawet ludzi jako takich, ile dzieł bożych dokonywających się w ich sercach, umiał z prawdziwem jasnowidzeniem przeglądać tajniki sumień i ujmować ster wewnętrznego ich życia ręką łagodną, lecz przy tem niezmiernie stanowczą. To też pierwszą, nad wyraz doniosłą usługą, jaką miał oddać nowemu nabożeństwu było utwierdzenie na dobrej drodze i pokierowanie ku wytkniętym przez Boga celom samej świętej Powiernicy, Serca Zbawiciela.

Przed przybyciem Błogosławionego do Paray-Le-Monial, t. j. przed początkiem lutego 1675 roku znajdowała się św. Marja Małgorzata w stanie zupełnego ze strony ludzi opuszczenia duchowego i bolesnej wewnętrznej rozterki. Prawie wszystkie Siostry zakonne miały ją za ofiarę własnych złudzeń albo i podstępów złego ducha, spowiednicy, a nawet specjalnie wzywani doradcy duchowni nietylko podzie-

lali to zdanie, ale nawet sądzili ją jeszcze bezwzględniej. Chcąc z jednej strony, w głębokiej swej pokorze, poddać się zapatrywaniu swych kierowników, a z drugiej strony nie mogąc się oprzeć coraz natarczywszym komunikacjom nadprzyrodzonym, biedna sługa Bożego Serca czuła się ogromnie nieszczęśliwą, wewnętrznie wykolejoną i zdezorjentowaną, bliską już zupełnego upadku na duchu.

Z chwilą, kiedy dane jej było zetknąć się z kapłanem, którego jej Pan Jezus dawno już był obiecał, jako „swego wiernego sługę i najoddańszego przyjaciela", smutny ten stan rzeczy uległ zupełnej zmianie. Pomimo młodego stosunkowo wieku — Błogosławiony liczył wówczas lat 34 — ujął on kierownictwo powierzonej sobie wybranej duszy z siłą i bystrością najdoświadczeńszego duchownego Ojca. Najpierw uwolnił ją od wszelkich niepokojów, zapewniając stanowczo, że rządzi nią tylko Duch Boży, potem poprowadził ją bez najmniejszego pobłażania na te szczyty całkowitego zaparcia, na jakie wewnętrznie wzywał ją Zbawiciel. To też ta opieka duchowna przyniosła św. Małgorzacie Marji nieobliczalne korzyści. Z jednej strony dała jej mocny punkt oparcia do całego tego cichego apostolstwa czci Bożego Serca, którem wypełniła odtąd resztę życia, z drugiej strony sprawiła w niej ogromne postępy w najwyższych cnotach. Był to istotnie śliczny widok, który w tej mierze rzadko kiedy powtórzył się w Kościele: dwa serca najściślej złączone w Bogu, z których każde pod innym względem służyło drugiemu za przewodnika. Ojciec de la Colombière wskazywał swej świętej penitentce wytknięte przez Boga drogi, jako urzędowy, w objektywne władze kapłańskie wyposażony kierownik, ona naodwrót ciągnęła go wgórę tak przykładem swych cnót heroicznych, jak zwłaszcza udzielaniem częstych wskazówek duchownych, które mu Zbawiciel przez jej pośrednictwo przysyłał. Wymownym symbolem a zarazem potwierdzeniem niebiańskiem tego wyjątkowego stosunku dwóch dusz wybranych było śliczne widzenie, udzielone Świętej wśród innych objawień. Ujrzała Serce Zbawiciela tak wypełnione żarem, że całe zdawało się być potężnem ogniskiem, a obok niego dwa inne serca, złączone z niem najściślej i płomieniami jego nawskroś przeniknięte, przyczem usłyszała głos

mówiący: „Czysta miłość moja tak jednoczy te trzy serca i zjednoczy je na zawsze". Owocem tego objawienia było uroczyste poświęcenie Sercu Jezusowemu, które św. Małgorzata i O. de la Colombière, jako pierwociny niezliczonych innych czcicieli wykonali równocześnie 21 czerwca 1675 r.

Na poczynające się nabożeństwo patrzało zewsząd tyle argusowych oczu, że trzeba było iście „wężowej roztropności" w udzielaniu nazewnątrz objawionego przez Pana Jezusa skarbu. Mimo to od chwili, kiedy zrozumiał w tej mierze wolę Bożą nie przestał już Błog. Klaudjusz rozsiewać wokoło siebie drobniutkich nasion nowego kultu i właściwego temu nabożeństwu ducha. Sposobności zaś do tej pracy dostarczało mu przedewszystkiem osobiste kierownictwo licznych, poczęści bardzo wybranych dusz, potem dość rozgałęziona korespondencja duchowna, wreszcie, lubo nie bez wielkiej ostrożności, egzorty do osób zakonnych i kazania.

W tem bezpośredniem działaniu Ojca de la Colombière w kierunku objawionych przez Chrystusa życzeń, dadzą się rozróżnić trzy jakby stopnie. Z osobami czy to już poprzednio wtajemniczonemi w zamiary Boże, np. z głośną Matką de Saumaise, czy też szczególnie zaufanemi, jak Matka de Thélis, albo własna jego siostra, wizytka, mówi o zaleconych przez Zbawiciela praktykach czci Najsł. Serca z zupełną jasnością, nie używając innych omówień, prócz tych, jakich wymagała, wówczas dość uzasadniona, obawa przed naruszeniem tajemnicy listowej. Do osób, których nie był tak pewny zwraca się inaczej. I im wprawdzie napomyka ostrożnie o Sercu Jezusowem, ale nie zdradzając właściwego źródła tego nowego kultu ani nie kładąc nacisku na specjalne sposoby wprowadzenia go w życie. Jeśli wreszcie przemawia lub pisze dla szerszej publiczności, to poprzestaje na ogólnych, mniej lub więcej przejrzystych, aluzjach, na drobnych, ledwie zrozumiałych wzmiankach czy wskazaniach, które robią wrażenie jasnych iskierek, wydobywających się prawie mimowoli z pełnego i rozpalonego miłością serca. Dużo częściej jeszcze można napotkać w jego listach i innych pismach rady i zasady duchowne, które tylko rzeczowo z nowem nabożeństwem się wiążą, a więc zachęty do częstej

komunji św., do niezachwianej ufności w miłość Bożą, do głębokiego wewnętrznego zaparcia.

Nowe pole do płodnej działalności apostolskiej dla szerzenia czci Serca Zbawiciela otwarło się przed Błogosławionym, gdy po powrocie z Anglji, z końcem roku 1679 powierzono mu w lyońskiem kolegjum Św. Trójcy kierownictwo duchowne młodych kleryków Towarzystwa Jezusowego, którzy tam oddawali się studjom zakonnym. Potrzeba było wprawdzie i tutaj niemałej ostrożności, bo, jak pisze jeden z współczesnych braci zakonnych, „wielu uprzedzonych przeciw temu nabożeństwu sprzeciwiało się uparcie jego rozpowszechnieniu", ale przemyślna miłość przecież umiała znaleźć drogi do zaszczepienia w młodych sercach gorącego pragnienia oddania Sercu Zbawiciela należnej mu czci i wynagrodzenia. Świadczy o tem wyraźnie syn duchowny Błogosławionego Klaudjusza a później jeden z głównych promotorów nabożeństwa do Najsł. Serca, O. Józef Gallifet, który w dziele swojem *De l'excellence de la dévotion au Coeur adorable de Jésus Christ,* po wiele razy wydanem i na przeróżne języki tłumaczonem, Ojcu de la Colombière przypisuje rozstrzygający w tym względzie wpływ na swą duszę. Że wpływ ten nie ograniczył się do jednego tylko dopiero wspomnianego pisarza, to łatwo stąd wywnioskować, że niemal bezpośrednio po latach, w których Błogosławiony pracę swą nad zakonnemi braćmi zakończył przedwczesną śmiercią, spostrzegamy w francuskich prowincjach Towarzystwa Jezusowego ten zwrot do czci Najsł. Serca, którego dzieła Ojców Croiset'a i Bouzonier'a są wymownym dowodem.[1])

Jeżeli jednak w ten sposób, mimo niezliczonych trudności, zaczęły powoli rozchodzić się po świecie te ciepłe fale, których kaplica klasztoru Wizytek w Paray-le-Monial była opatrznościowem źródłem, to główną w tym względzie

[1]) Swoją drogą, już pierwsze dzieła pisane w obronie nabożeństwa do Serca Jezusowego są wymownym dowodem, na jakie olbrzymie trudności natrafiał każdy niemal krok w tej sprawie podjęty. I tak wspomniane w tekście dzieło Ojca Gallifet, mimo że autor był w zakonie bardzo poważanym mężem i sprawował wszystkie wyższe urzędy, aż do Assystenta włącznie, choć napisane w r. 1696, mogło ujrzeć światło dzienne dopiero w r. 1726 w języku łacińskim, a w 1733 we francuskim. Dzieło Ojca Croi-

zasługę należy przypisać nie tyle słowom lub listom Błogosławionego, czy innym jego zewnętrznym wysiłkom, ile tej ogromnej pracy i ofierze, jaką wkładał w swe osobiste uświęcenie. Istotnie bowiem analizując całe jego życie i działanie, odnosi się wrażenie, że Pan Jezus chciał wystawić swemu Sercu pomnik chwały przedewszystkiem przez nadprzyrodzone dzieło, jakiego dokonał w duszy swego sługi. A że to dzieło było z wielu względów bardzo osobliwe, warto zastanowić się nad niem nieco dokładniej.

Kiedy się patrzy na znany, jeśli nie całkiem współczesny, to z pewnością na współczesnym wzorowany, portret Błogosławionego w wytwornej, koronkowej komży, z mile uśmiechniętą, ale niezbyt ascetyczną twarzą, wskazującego lekko pretensjonalnym gestem na obraz Serca Zbawiciela — mimowoli nasuwają się pewne wątpliwości. Czy to ma być ten wybrany przez samego Chrystusa apostoł, ten wierny przyjaciel Ukrzyżowanego Pana, ten godny a surowy spowiednik jednej z najbardziej umartwionych Świętych? A może nawet na myśl przychodzi pokusa, że człowiek, co tak wyglądał mógł być cenionym wychowawcą synów Colbert'a i uczestnikiem wykwintnych wieczorów literackich potężnego ministra, że mógł też wywiązywać się niemniej chlubnie z urzędu dworskiego kaznodziei księżnej York, z domu Beatricy d'Este, ale że nie mógł być wielkim bohaterem Chrystusowym, nie mógł być świętym.

Bo też w rzeczy samej jest coś w życiu naszego Błogosławionego, co zdawałoby się do tego sądu uprawniać. Urodzony na łonie pobożnej rodziny, był od samego dzieciństwa czystym i szlachetnym młodzieńcem, ale nie miał bynajmniej szczególnego pociągu do większej jakiejś ze siebie ofiary. Jeszcze pod koniec życia opisuje jednej ze swych

---

set'a, choć również był znanym i zasłużonym kapłanem, wydane w r. 1680 pod tytułem *La dévotion au Sacré Coeur de N. S. J. Ch.* i niebawem rozchwytane w kilku edycjach, w r. 1704 dostało się na indeks, który zdjęto zeń dopiero w czasach ostatnich za przyczyną tłumacza na język horwacki, biskupa Strossmajera. Najlepiej jeszcze powiodło się rozprawie Ojca Bouzonier (inaczej Bouzonié), może dzięki jej dialogowej formie. Wydano ją w r. 1697 p. t. *Entretien de Théotime et de Philotée sur la dévotion au Sacré Coeur de N. S.*

penitentek „okropny wstręt" *l'horrible aversion,* do tego zakonnego życia, któremu postanowił się poświęcić. I w samym jeszcze zakonie wcale nie odrazu skierował swe kroki na bardzo strome drogi. Przez szereg lat; przy nienagannej zresztą zakonności, nie potrafił jeszcze całkowicie zerwać z tem, co cechuje nawet pierwsze jego występy kaznodziejskie, tą odrobiną pretensjonalności, na którą tak łatwo bywają narażone zdolne i z natury wykwintne umysły. Pod tem usposobieniem jednak, zapowiadającem po ludzku raczej świetnego w oczach świata pracownika niż wielkiego przed Bogiem wyznawcę, kryło się coś, co rozstrzygnęło o dalszych jego kolejach. Była tam wola doprawdy żelazna, oparta o jasny konsekwentny umysł, oraz gotowość odpowiedzenia wszelkiej, choćby bardzo potężnej łasce Bożej. Ktoby był poznał go do głębi, ten byłby zdał sobie sprawę, że jeżeli Bóg wewnętrznie doń przemówi, to ten pogodny, dystyngowany zakonnik może zamienić się w jednej chwili na wielkiego bożego sługę.

I w rzeczy samej Bóg przemówił, a przemówił w sposób niezmiernie silny, lubo czysto wewnętrzny.

Działo się to pod koniec roku 1674, prawie równocześnie z pierwszemi większemi objawieniami św. Małgorzaty Marji. Błogosławiony Klaudjusz odprawiał w Lyonie ten rok powtórnego nowicjatu, który w Towarzystwie Jezusowem nazywa się trzecią próbą, a ma za zadanie ostateczne utwierdzenie w cnocie przyszłych pracowników apostolskich. Zdaje się, że już od początku tego roku skupienia, ale przedewszystkiem w czasie najważniejszej jego części, t. j. trzydziestodniowych rekolekcyj poczuł on natchnienie Boże do czynu, którego nie można nazwać inaczej, jak wysoce i prawie bezprzykładnie heroicznym. Pod szczególną łaską Bożą powziął on zamiar obowiązania się ślubem do ścisłego zachowania wszystkich ustaw, jakie Towarzystwo Jezusowe swym członkom przepisuje. Za pierwszą myślą poszedł bardzo gruntowny namysł, którego cały wątek — prawdziwy wzór rozumnego wyboru — zachował się nam na piśmie, a za namysłem wykonanie. Ubezpieczony zezwoleniem swego duchownego kierownika i ojca, prawdopodobnie w uro-

czystość Wszystkich Świętych wspomnianego roku złożył Bł. Klaudjusz Bogu swą bohaterską ofiarę.

Żeby ocenić całą jej doniosłość, trzeba zdać sobie sprawę, że reguły zakonu Jezuitów, przeważnie wyjęte z samych Konstytucyj św. Ignacego, nie poprzestają wogóle na zalecaniu jakichś zewnętrznych, dokładnie określonych czynów, ale sięgają niesłychanie głęboko, do najwewnętrzniejszych usposobień, wymagając aktów cnót niezmiernie wysokich, a różnorodnych. Regułami objęte są — żeby już nic nie mówić o przedmiocie ślubów — zupełne i nieustanne we wszystkiem umartwienie, gotowa na wszelką wzgardę i przeciwność, pokora, oderwanie od wszystkiego, co nawet w niewinny sposób trąci ciałem i krwią, albo miłością tego świata. Reguły więc integralnie zachować, a dopiero do ich ścisłego zachowania obowiązać się pod grzechem — to jest bezwzględna świętość, bo całkowite oderwanie się od siebie a przylgnięcie do Boga. Słusznie więc mógł pisać nasz Błogosławiony w prześlicznem ofiarowaniu siebie, którem zamyka akt całopalnego ślubowania: „Stałem się więc, mój Boże, zupełną własnością twoją! Serce moje całkowicie należeć będzie do Ciebie, a stworzenia nie będą w niem miały żadnego miejsca. Bądź więc, najsłodszy Jezu, moim ojcem, moim mistrzem, mojem wszystkiem. Jeśli Ty raczysz zadowalniać się mojem sercem, czy nie byłoby to szaleństwem, żebym ja na twojem sercu nie poprzestał?"

Ojciec de la Colombière nie taił przed sobą samym związanych z zachowaniem takiego ślubu trudności, ale z właściwą sobie energją wytknął swojemu życiu tę krótką, lecz wymowną zasadę działania: Boga zadowolnić muszę za wszelką cenę, *à quelque prix que ce soit, il faut que Dieu soit content.* I co przedsięwziął, tego dotrzymał. Poczęści z jego własnych, całkiem poufnych notatek, których nie zdołał zniszczyć przed śmiercią, poczęści z pilnej obserwacji naocznych świadków, możemy mieć moralną pewność, jak to bulla beatyfikacyjna stwierdza, że z heroicznego ślubu w heroiczny sposób się wywiązał. Te siedm prawie lat, które upłynęły do przedwczesnej jego śmierci były jednem pasmem najpełniejszego poświęcenia i praktyki wszelkich cnót w stopniu najwyższym. Od ukończenia trzeciej próby zginęło

w nim zupełnie wszystko, co mogło przedtem trącić odrobiną nie całkowicie opanowanej miłości własnej, a został tylko prawdziwie święty zakonnik, pełen, jak dawniej, wrodzonej dystynkcji i słodyczy w obejściu, ale do głębi umarły samemu sobie, by żyć jedynie tylko Bogu.

A świętość ta była tem właśnie osobliwa i szczególnie cenna, że najzupełniej ukryta. Nie znajdujemy w jego życiu ani jednego z tych promieni chwały, które zwykły towarzyszyć wielkiemu zbliżeniu do Boga, ani cudów, ani widzeń, ani nadzwyczajnych sposobów oddziaływania na dusze. Po niedługim pobycie w Angli i wycierpieniu tamże dość przykrego i upokarzającego więzienia, powraca do kraju z tak złamanem zdrowiem, że nie może już być użyty do innych, jak tylko do bardzo skromnych zajęć. Niebawem zostaje mu już tylko jedna praca, t. j. cierpliwe znoszenie ostatniej, bardzo dolegliwej choroby. Spełniło się na nim prawie dosłownie, co sam niegdyś do swego programu życia był dodał: „Trzeba żyć, jakby się już było umarłym i pogrzebanym. *Jestem zapomniany, jako umarły ze serca.* (Ps. 30, 13). Człowiek, o którym nikt już nie myśli, który niczem już nie jest na świecie, który utonął w nicości — oto stan, w jakim powinienem być na przyszłość i szczerze pragnę znaleźć się w nim rzeczywiście".

Otóż nie ulega wątpliwości, że przez tę świętość i to świętość tego właśnie typu, stał się Błogosławiony Klaudjusz najskuteczniejszem narzędziem do szerzenia czci Bożego Serca. A to nietylko dlatego, że ożywione tak potężnym nadprzyrodzonym duchem, każde, mówione czy pisane słowo jego musiało szczególnie do dusz przenikać i nie dlatego nawet, że wielkie wywierał wrażenie — wiemy to z zapisków współczesnych — wysoce budujący jego przykład. Ojciec de la Colombière stał się tak skutecznym apostołem nabożeństwa do Serca Zbawiciela przedewszystkiem przez dwie rzeczy. Najpierw przez to, że sam na sobie najlepiej wyraził potęgę i właściwe owoce łask, jakie Pan Jezus do czci swego Serca przywiązał, powtóre przez to, że heroiczną ze siebie ofiarą najwybitniej się uzdolnił, by móc modlitwą rozszerzeniu tego kultu dopomagać.

I tak, co dotyczy pierwszego z wymienionych względ-

dów, jest rzeczą zupełnie oczywistą, że Bł. Klaudjusz obok św. Małgorzaty Marji i zaraz po niej jest pierwszym i najwymowniejszym, przez samego Chrystusa danym dowodem, co może zdziałać w duszach zupełne oddanie się jego Sercu. Bo w rzeczy samej całe jego powołanie i kierunek, nadany przez Boga jego życiu zmierzają celowo tylko do tego, by mógł stać się apostołem nowego nabożeństwa; miłość Serca Zbawiciela jest główną sprężyną całego jego wewnętrznego wyrobienia; uczucia i usposobienia tego Serca są najwidoczniej wzorem, wedle którego wnętrze swoje formował. Bo tylko z tego źródła mógł zaczerpnąć to całkowite wyniszczenie siebie, to poświęcenie dla dusz i to ukrycie wszystkich darów bożych pod osłoną najgłębszej pokory. Jeśli Ojciec de la Colombière, nie wiedząc jeszcze nic o swej misji i nie znając objawień danych św. Małgorzacie, stosunek swój do Chrystusa, jak to widzieliśmy wyżej, ujmuje w słowa: Racz zadowolnić się mojem sercem, a ja niech na twojem Sercu poprzestanę — to wyraża w tem zdaniu myśl, która stała się najgłębszą treścią jego życia.

Ale powtóre ogromną rolę w jego apostolstwie na rzecz nabożeństwa do Serca Zbawiciela odgrywała modlitwa. Im trudniej szła żądana przez Chrystusa propaganda, im potężniejsze i po ludzku zupełnie niezwalczone stawały jej w drodze zapory, tem goręcej się modlił, by Bóg sam wziął w rękę sprawę swoją. A modlitwa ta była tak skuteczna, że św. Marja Małgorzata, oświecona z nieba, nie wahała się jej przypisać wszystkich pomocy, jakich ta sprawa doznawała w sposób nieraz zupełnie niezwykły. Nietylko bowiem sama składała swe prośby w ręce swego zmarłego Kierownika, na cześć, którego ułożyła piękne modlitwy, ale pisząc w roku 1689 do Matki de Saumaise powiada: „Wszystko, co dokonywa się na ziemi dla chwały Bożego Serca, to wyjednywa w niebie przyczyną swoją Ojciec Klaudjusz“ i w kilka miesięcy później znów pisze do Ojca Croiset'a: „Trzeba modlić się do tego wiernego Przyjaciela Najsł. Serca, jakim jest O. de la Colombiere, bo dana mu jest wielka władza i jemu zwierzył Bóg niejako całą troskę o rozwój tego nabożeństwa“.

Nie ulega więc wątpliwości, że wybrany przez Zbawi-

ciela Sługa Najsł. Serca posłannictwo swoje spełnił i położonego w sobie zaufania nie zawiódł. A jeśli tak, to nie mogła nie spełnić się na nim zapowiedź Chrystusowa: *Kto odda mi służbę, tego uczci Ojciec mój.* (Jan 12, 26). Ktokolwiek, świadom dróg Opatrzności bożej, przypatrywał się bacznem okiem rozwojowi nabożeństwa do Serca Jezusowego i miejscu, jakie ono zaczyna zajmować w Kościele, ten nie mógł wątpić, że po najwyższem uwielbieniu św. Marji Małgorzaty musi przyjść kolej na wywyższenie jej świątobliwego Kierownika. Długo bardzo, bo prawie 250 lat pozostawał w cieniu ukrycia, jakby jeszcze po śmierci praktykował to utonięcie w zapomnieniu, jakie przedsięwziął sobie za życia, ale nareszcie musiał nadejść przeznaczony mu od wieków dzień chwały. I nadszedł tego roku, pełem niezwykłego, zupełnie osobliwego blasku.

Przedewszystkiem już sam dzień triumfu miał swoją cichą, lecz znaczącą wymowę. 16 czerwca 1675 roku kazał Pan Jezus wiernej swej słudze zwrócić się o pomoc w szerzeniu czci Jego Serca do Ojca Klaudjusza de la Colombiere; 16 czerwca w 254 lat później przed wizerunkiem tego samego cichego zakonnika ukląkł po raz pierwszy Namiestnik Chrystusowy, oddając mu cześć Błogosławionym należną.

Ale powtóre w samej treści beatyfikacyjnego aktu było coś, co nadawało mu szczególne znaczenie. Bo to uroczyste słowo najwyższej kościelnej władzy, tak długo, tak tęsknie oczekiwane, odbiło się najradośniejszem echem nietylko w jednym kraju i nietylko w jednej cząstce owczarni Chrystusowej, do której praca apostolska jednego tylko zakonu dosięga. Wszyscy przeliczni, po całem świecie czciciele Bożego Serca pojęli ten akt jako nowy, potężny postęp umiłowanej sprawy i powitali go z najżywszą wdzięcznością. Przez beatyfikację Ojca Klaudjusza padł nowy promień potwierdzającego światła na ciche fakta nadprzyrodzone, którym nabożeństwo do Serca Zbawiciela zawdzięcza swe historyczne podstawy, a ten promień dodał całemu mnóstwu serc odwagi do dążenia w kierunku, jaki Pan Jezus zgórą dwa wieki temu wyraźnie wytknął i w jakim oddane sobie serca stale odtąd prowadzi.

A wreszcie chwili gdy święty Kierownik świętej Małgo-

rzaty Marji stanął na ołtarzach katolickich jako bohater nadprzyrodzonej cnoty, czyjeż myśli mogły nie pobiegnąć wstecz i nie porównać z dzisiejszemi tych smutnych czasów, w których Zbawiciel po raz pierwszy odkrył światu swe serce? Ile ódtąd drogi przebieżono! Ile trudności pokonano! Jak daleko pozostały wtyle jansenizm czy gallikanizm czy systematyczny fałsz bezdusznego chrześcijaństwa pozy i formy. Jak ogromne w całym Kościele pogłębienie duchownego życia! Jak obfite te ciepłe fale, które bijąc z jednego zawsze źródła, rozlewają się po całym świecie coraz szerzej i dalej!

Uczestnicy uroczystości rzymskiej opuszczali bazylikę św. Piotra nietylko z wielkiem przejęciem, ale z wyraźnem wrażeniem, że stało się coś, co w całem życiu Kościoła zostawi jawne ślady. Jesteśmy głęboko przekonani, że to wrażenie było niemylne. Kiedy beatyfikacja pierwszego apostoła czci Bożego Serca obiegnie już po całej ziemi tysiączne katolickie świątynie, niewątpliwie da się stwierdzić niemały krok naprzód na tej drodze, której kres wskazują słowa Apostoła: *Potrzeba, żeby Chrystus panował!*

Ks. Jan Rostworowski T. J.

Niebezpieczeństwo karteli międzypaństwowych dla Polski.[1])

Bezwzględnej równości niema i być nie może. Zdolności osobiste stworzyłyby między ludźmi nie dające się uniknąć różnice, nawet gdyby zapanowała na czas jakiś powszechna równość majątkowa. Państwo czy gmina posiada naturalny monopol w poczcie i telegrafie, w kolei, gazowniach, elektrowniach, tramwajach. W tych wszystkich dziedzinach monopol jest bądź nieunikniony, bądź po podporządkowaniu go interesowi publicznemu staje się bezwzględ-

[1]) Literatura (cytuję prace tylko najwybitniejsze):

Literatura polska:

Battaglia. O programie gospodarczym Polski. Warszawa, 1929.
„ Państwo a kartele, koncerny i trusty. Warszawa, 1929.
Iványka. Kartele, syndykaty, trusty a państwo (w „Zagadnieniach gospodarczych Polski współczesnej. Warszawa, 1928).
Gawroński. Zwalczanie trustów w Stanach Zjednoczonych. Warszawa, 1927.
Gliwic. Ewolucja Syndykatów I cz. Warszawa, 1916. II część Petersburg, 1916.
Gliwic. Międzynarodowa współzależność ekonomiczna a polska polityka gospodarcza. Warszawa-Kraków. 1928.
Szawleski. Polska na tle gospodarki światowej. Warszawa, 1928.
Zieleniewski. Koncentracja produkcji. Warszawa, 1929.

Literatura angielska:

Crowell. Trusts and competition 1915.
Federal Antitrust Laws. Washington, 1926.
Jenks. I. W. and Clark W. E., The trust problem 4 wyd. 1917.
Lloyd Henry Demarest. Wealth aganist commonwealth. 1894.
Moody John. The truth about the trusts. 1904.
The masters of capital. 1919.
Report of Committee on trusts, 1919.

dnie pożytecznym. Sprawa nie jest tak niewątpliwą w dziedzinie produkcji prywatnej.

Zmierza ona dziś na kuli ziemskiej wszędzie do koncentracji. Do niedawna rządziła rzekomo wolna wymiana,

Literatura francuska:

Grossmann. Systèmes de rapprochement économique. Genève, 1926 r.

Hirsch. Les monopoles nationaux et internationaux etc. Genève, 1926 r.

Mac Gregor. Les cartels internationaux. Genève, 1927.

Oualid. Les ententes industrielles internationales et leurs conséquences sociales. Génève, 1926.

de Rousiers. Les cartels et les trusts et leur évolution. Génève, 1927.

Rapport et actes de la conférence économique internationale tenue à Génève, 2 t. Génève, 1927.

Wiedenfeld. Les cartels et les trusts. Génève 1927.

Literatura niemiecka:

Bauer. Die rechtliche Struktur des Truste. Mannheim, 1927.

Beckerath. Industrielle Kartellprobleme der Gegenwart. Berlin, 1926.

Cassel. Neuere monopolistische Tendenzen in Industrie und Handel. Berlin, 1927.

Eulenburg. Probleme d. deutschen Handelspolitik. Jena, 1925.

Faulkner. Harold Underwood Amerikanische Wirtschaftgeschichte Carl Reissner. Dresden, 1929 — 2 tomy.

Gruntzel. Die wirtschaftliche Konzentration. Wien Springer, 1928.

Kestner-Lehnich. Der Organisationszwang 2 Aufl. Berlin, 1927.

Kleinwächter. Die Kartelle. Innsbruck, 1883.

Koch. Grundzüge d. englischen Kartellrechtes. Berlin, 1927.

Kohler. Der unlautere Wettbewerb. Berlin. 1925.

Lammers. Kartellgesetzgebung des Auslandes. Berlin, 1927.

Lehnich. Kartelle und Staat. Berlin, 1928.

„ -Fischer. Das deutsche Kartellgesetz Berlin, 1924.

Levy. Monopole, Kartelle und Trusts in der Geschichte und Gegenwart der englischen Industrie. 2 Aufl. Jena, 1927.

Liefman R. Kartelle, Konzerne und Trusts 7 Aufl. Stuttgart, 1927.

Mazeaud. Die rechtliche Behandlung d. Unternehmerzusammenfassungen in Frankreich. Berlin, 1927.

Metzner. Kartelle und Kartellpolitik. Berlin, 1926.

Saitzew. Horizontal und Vertikal im Wandel der letzten Jahrzehnte. Jena, 1927.

Tschierschky. Das Problem der staatlichen Kartellaufsicht. Mannheim, 1923.

Wiedenfeld. Kartelle und Konzerne. Berlin, 1927.

przedstawiana przez liberalizm gospodarczy jako ostatnie słowo mądrości ekonomicznej i mimo klęsk, jakie sprowadziła na państwa, obrońcy jej nie stracili nic z dawnej pewności siebie. Dowodem tego wystąpienie 170 bankierów świata w październiku 1926 r. i szereg głosów na Międzynarodowej Konferencji Ekonomicznej w Genewie w roku 1927.

Dawniej zaślepiona produkcja, nie oglądająca się na ilość i na jakość konkurentów ani na warunki zbytu, doprowadzała perjodycznie do strasznych katastrof, na których zyskiwali nie szczerzy wyznawcy „niezłomnego" prawa popytu i podaży, ale ci, którzy głosili hasła liberalizmu gospodarczego tylko dla drugich, sami zaś świadomie ograniczali produkcję, zmniejszając tem samem podaż i podtrzymując ceny, dalej ci, którzy część wyprodukowanych towarów magazynowali i ukrywali, wreszcie ci, którzy zdołali część swego zapotrzebowania odroczyć lub ograniczyć.

Katastrofy owe, nazwane przesileniami, pojawiały się w ciągu dziewiętnastego stulecia perjodycznie w pewnych odstępach czasu tak, że wystraszeni ekonomiści, chcący za wszelką cenę przerobić ekonomikę na naukę ścisłą, uznali przesilenia za rodzaj kataklizmów przyrodniczych, przeciw którym nie widzieli żadnego środka ratunku. Z deterministycznym fatalizmem rzucali tedy ludzkość całą pod miażdżący wóz Dżagernauta, wywodząc perjodyczne przesilenia nawet z plam na słońcu jak Stanley Jevons lub z perjodycznych nieurodzajów, jak Clément Juglar.

W dążeniu do analogji z naukami ścisłemi pominęli czynnik, który tam nie wchodzi w rachubę, ale w nauce historji i ekonomiki jest decydujący i czyni postępki ludzkie naogół nieprzewidzialnemi: wolę ludzką, wykluczającą wszelkie ścisłe przepowiednie i umożliwiającą jedynie przewidywanie mniej lub więcej prawdopodobnych możliwości.

Od tego przeświadczenia do naprawy stosunków był tylko jeden krok. Okazała się ona możliwą w drodze narzucenia pożądanych zmian ze strony woli zbiorowej samych producentów lub ze strony państwa. W każdym razie hasło wolnej wymiany i „prawo" popytu i podaży w tym stanie rzeczy okazało się pustym dźwiękiem. W miejsce wolnej

konkurencji, która wedle rzeczników liberalizmu stanowić miała klucz do gospodarczego raju, dziś objął ster rządów monopol i połowa kapitału świata jest w rękach syndykatów i trustów.

Pool'ami (kartelami czy ring'ami) pisarz amerykański Harold Underwood Faulkner nazywa związki przedsiębiorstw, których członkowie w drodze rozdziału zamówień, miejsc zbytu i targów, usiłują ceny regulować według ułożonego klucza; trustami nazywa organizacje powierzające większość akcyj szeregu przedsiębiorstw wspólnemu komitetowi, stwarzając w ten sposób monopol; spółkami dachowymi lub holdingowemi organizacje samoistne, dysponujące pakietami akcyj różnych przedsiębiorstw i wywierające w ten sposób wpływ na te przedsiębiorstwa, zmierzający również do uzyskania monopolu. Wszelkiego rodzaju organizacje producentów przyniosły zastosowanie najnowszych metod i specjalizacji w produkcji, lepsze zużytkowanie produktów ubocznych i większą oszczędność przy podziale pracy, zmniejszenie kosztów zarządu, możność przedsiębrania badań na największą skalę, częstokroć, choć niezawsze, wyeliminowanie fabryk, posługujących się staremi maszynami czy metodami, wspólny zakup surowców i wspólną sprzedaż gotowego produktu przy kontyngentowaniu całej produkcji i rozłożeniu jej na poszczególne fabryki, oraz przy wyznaczaniu kar do wspólnej „puli" w razie przekroczenia wyznaczonej dla każdego granicy.

Stabilizacja cen bądź w drodze złączenia kilku przedsiębiorstw w jedno większe czyli t. zw. fuzji, bądź luźniejszego związku w drodze wymiany akcyj, członków rad nadzorczych i dyrektorów albo wynajmowania sobie lokali fabrycznych, bądź też przy pomocy banków, finansujących poszczególne kartele lub spółki finansowej, *ad hoc* założonej a nazywanej w Stanach Zjednoczonych *holding company*, może przynieść największą korzyść, zabezpieczając przemysł przed perjodycznemi przesileniami. Poza tem za dużą korzyść karteli uznać należy umożliwienie przy ich pomocy standardyzacji wytworów, zabezpieczającej przed wszelkiego rodzaju naśladownictwem i oszustwem, niedbalstwem czy nieznajomością rzeczy poszczególnego producenta, pociągają-

cemi za sobą na targu światowym obniżenie cen i gorsze traktowanie wytworów, różniących się od powszechnego „typu".

Gdyby kierownictwo karteli i syndykatów działało przezornie, zużywałoby oszczędności, uzyskane w kosztach produkcji a wywołane racjonalizacją tejże, na obniżanie cen i podwyżkę płac robotniczych. Niestety działo się inaczej.

Wszędzie następowała niepokojąca podwyżka cen, która wskazuje, że utworzenie karteli czy syndykatów samo przez się nie usuwało bynajmniej przesileń, lecz owszem zaostrzało je jeszcze w kartelach, mających na celu monopoliczne zawładnięcie targiem czyli trustach (jak je określa Saitzew w rozprawie: *Horizontal und Vertikal im Wandel der letzten Jahrzehnte,* Jena 1927 tudzież Liefman w licznych swoich pracach), takich, jak w Niemczech trust przemysłu wyrobu farb, fotograficznego, wagonowego i wyrobu linoleum.

Trusty często dbają jednostronnie i to tylko na najbliższą chwilę o produkcję, pozostawiając los konsumentów i zatrudnionych w ich przedsiębiorstwach robotników na łasce obywatelskich uczuć i ekonomicznego wykształcenia oraz ciasnego lub szerokiego widnokręgu „kapitanów" przemysłu. Ponieważ nie ma nadziei, by jednostki dla których miarodajną i naturalną jest chęć indywidualnego zysku, zdobyły się na altruistyczną abnegację, przeto państwo musi tu zaprowadzić porządek

Musi ono wziąć w obronę: 1) producentów surowców przed nieusprawiedliwionem obniżaniem cen tychże surowców, 2) konsumentów przed bezzasadnem śrubowaniem cen gotowych wytworów, 3) robotników przed niesłusznem obniżaniem płac, 4) samych producentów przed grożącem im w następstwie własnego nieprzezornego działania obniżeniem produkcji, 5) majątek społeczeństwa przed obniżeniem powszechnej wytwórczości.

Do tych stron ujemnych, grożących w myśl przewidywań Marxa zawładnięciem produkcji przez garstkę największych kapitalistów, przybywa w kartelach, obejmujących produkcję kilku lub więcej państw szereg dalszych niebezpieczeństw. Wobec częściowej utraty klientów w krajach zamorskich, nazywanych dotąd kolonjami a wyzbywających się

kolejno tego upokarzającego miana w drodze usamodzielnienia się politycznego i gospodarczego, tudzież wobec utraty klienteli rosyjskiej, pochłaniającej przed wojną wyroby przemysłowe zachodu, przemysł państw zachodnio-europejskich usiłuje zastąpić doznany uszczerbek gospodarczym podbojem państw przemysłowo młodszych.

Idąc ku temu wytkniętemu celowi, bankierzy żalili się w swoim manifeście z października 1926 na „upadek wielkich jednostek politycznych w Europie" i na „fałszywe ideały interesu narodowego", ale mimo niewygasłych sympatyj tych bankierów dla Niemiec i Austro-Węgier szereg państw sukcesyjnych, m. in. i Polska nie ma oczywiście bynajmniej zamiaru uchylania „barjer celnych" i innych przeszkód, stawianych „wolnej i naturalnej wymianie towarów między państwami".

Jeżeli pojmuje się państwowe gospodarstwo społeczne jako związek solidarnych w gruncie rzeczy interesów klas i jednostek w obrębie danego państwa, to należy wykluczyć z uprawnień członków karteli wszelkie działania na szkodę państwa t. j. zorganizowanego w odrębną całość i wyposażonego w własną suwerenność społeczeństwa.

Kartele międzypaństwowe grożą zepchnięciem wszystkich państw — poza kilkoma uprzywilejowanemi — na poziom dostawców surowców i odbiorców produkcji przemysłowej owych uprzywilejowanych. Owładnąwszy przemysłem państw przemysłowo „młodszych", który wykupują lub finansują i uzależniając go tem samem od siebie, przy jego pomocy dążyć będą wytrwale do zniesienia ceł i utworzenia unji celnej europejskiej, od której będzie tylko jeden krok do Stanów Zjednoczonych Europy, zalecanych przez mędrców takich, jak Delaisi, autor książki *Les contraaictions du monde moderne* i Coudenhove-Callergi [1])

Spór byłby wtedy np. między Niemcami a Francją tylko o to, które państwo będzie miało prawo kogo i z jaką przy-

---

[1]) O pierwszym pisałem w rozprawie „Obrońcy liberalizmu Mises i Delaisi" (*Przegląd Powszechny* luty 1929), o drugim w „Myślach Japończyka o Polsce" (Zakład Ossolińskich, Lwów 1926).

prawą pochłonąć, co atoli, jak sądzę, dla pochłanianych byłoby serdecznie obojętne.

W ten sposób w kartelach międzypaństwowych do niebezpieczeństwa socjalnego: przewagi coraz mniej licznej mniejszości nad większością przybywa tedy pierwszorzędne niebezpieczeństwo polityczne przewagi państw dawniej uprzemysłowionych i narzucających w szczególności Europie wschodniej warunki egzystencji, które miałyby utrwalić chwilową jej niższość, przemieniając ją w zupełną i możliwie długotrwałą niewolę.

Powstanie międzynarodowego trustu pszennego, utworzonego w maju 1927 i zorganizowanego przez Kanadę i Australję, a do którego przystąpić mają także Stany Zjednoczone i Argentyna (pierwsza konferencja w Kansas-City), zagraża całej Europie a więc także i Polsce zasypaniem pszenicą i obniżeniem cen światowych, ewentualne zaś przyjście do skutku w przyszłości uchwalonej już w lutym 1927 t. zw. „Mac Nary Haugen Bill", której wejściu w życie przeszkodziło narazie veto prezydenta Coolidge'a, grozi tem samem następstwem także naszej kukurydzy i trzodzie chlewnej. Wówczas zaś Polska straciłaby rolę jednej z dostawczyń surowców, którą jej nawet liberalizm ekonomiczny pozostawiał łaskawie od czasów Ricarda.

Gorzej jeszcze o wiele jest z naszą bankowością i z wytworami naszego przemysłu. Nasza bankowość prywatna jest w rękach obcych a przynajmniej słuchać musi obcych wskazówek i poleceń. Niema dotąd ścisłych zestawień cyfrowych co do udziału kapitału zagranicznego w przemyśle, ale notorycznym jest przeważny udział kapitału zagranicznego w naszym przemyśle metalowym, górniczo-hutniczym (węgiel, nafta, cynk, żelazo) i włókienniczym. Przemysł zapałczany jest członkiem szwedzko-amerykańskiego trustu światowego, cukrownie nasze wykupują cudzoziemcy. Wobec niskich cen i wysokich ceł w Polsce obcy wykupują chętnie nasze fabryki lub zakładają nowe.

Przynosi to nam pewne korzyści: skarb pobiera podatki, robotnik a częściowo i inżynier polski znajduje na miejscu zatrudnienie, a bilans płatniczy w razie wydania ściślejszych przepisów, ograniczających pozostawienie zagra-

nicą względnie wysyłkę walut i dewiz z kraju poza kwotami mniejszymi dla potrzeb indywidualnych, mógłby się poprawić. Ale równocześnie ten stan rzeczy nakłada zarazem obowiązek szczególnej czujności wobec karteli międzypaństwowych. Jeżeli kapitał ruchomy wogóle nie ma ojczyzny, to kapitał obcy przychodzący do kraju często na wyjątkowo korzystnych warunkach, jak np. kapitał Harrimana do polskich kopalń cynku, nie będzie się w żadnym razie poczuwał do jakichkolwiek wobec Polski obowiązków poza przyjętymi *expressis verbis* w dokumencie koncesyjnym.

W szczególności niebezpiecznym tu jest kapitał niemiecki wobec niewątpliwego antagonizmu interesów między Polską a Niemcami, ale niebezpiecznym jest również każdy kapitał firmy zagranicznej, mogącej służyć za parawan dogodny dla firmy niemieckiej. Nie można być zupełnie pewnym nawet kapitału francuskiego, wobec tego, że co do stali i soli potasowych wszedł on już w kontakt i sprzymierzył się z niemieckim. Międzynarodowy kartel stalowy z 20 września 1926 r. obejmuje dziś oprócz Niemiec, Francji, Belgji i Luxemburga jeszcze Austrję, Czechosłowację i Węgry, a dopuszczeniu Polski czyni narazie trudności, dążąc do możliwie największego obniżenia cyfry polskiego eksportu, tem samem zaś przeszkadza dalszemu rozwojowi polskiego hutnictwa.

Syndykat soli potasowych niemiecko-francuski z 29 grudnia 1926 czyni wszystko, aby nie pozwolić na wzrost młodego przemysłu potasowego w Polsce. *Deutsches Kalisyndikat* zastrzegł dla siebie wyłącznie rynek wewnętrzny niemiecki; rynek wewnętrzny francuski przypada do monopolicznej eksploatacji spółce handlowej soli potasowych alzackich; wszystkie inne państwa, a pośród nich i Polska mają stać się przedmiotem podboju, a przemysł potasowy tych państw, między niemi i polski, ma być w tym celu poddany rozkazom potężnego syndykatu niemiecko-francuskiego.

Międzynarodowy kartel szyn podzielił między siebie Europę, tak samo uczyniły międzynarodowe kartele rur, żarówek, farb anilinowych, miedzi i drutów. Wisi w powietrzu przyjście do skutku kartelu wyrobów elektro-technicznych

i sztucznego jedwabiu. Wszędzie Polska przychodzi za późno, świat jest już podzielony.

Kartele międzynarodowe pozornie tylko służą pokojowi światowemu, faktycznie bowiem przeciwdziałają wysiłkom polityki celnej poszczególnych państw i ją krzyżują, torując drogę zagranicznemu dowozowi i wewnętrzną produkcję poddając tajnej komendzie kartelu. W ten sposób sprowadzają ekonomiczny podbój jednych społeczeństw przez drugie i tem samem pogłębiają narodowe antagonizmy, tworząc zarzewie przyszłych, nowych i krwawych wojen.

Starają się o przeciwdziałanie szkodom, jakiemi grożą kartele, ustawy poszczególnych państw, do których streszczenia obecnie przystępuję:

W *Stanach Zjed.* wedle ustawy Shermana z r. 1890 uznano wszelkie układy, trusty, kartele i tajne porozumienia, mające na celu ograniczenie lub przeszkodzenie handlowi między poszczególnymi stanami Ameryki Półn., lub między Stanami Zjednoczonymi a zagranicą za bezprawne a każde usiłowanie monopolizacji tego handlu w którejkolwiek gałęzi produkcji za występek karany grzywną, więzieniem i odszkodowaniem w wysokości trzykrotnej wyrządzonej szkody.

Ustawa ta pozostała bezskuteczną. Ustawa Claytona z r. 1914 zabraniała: 1) różnic w cenię przy sprzedaży towarów wobec różnych odbiorców w celu stworzenia monopolu dla pewnej kategorji ludzi, lub bodaj w celu osłabienia konkurencji przeciw nim wymierzonej, 2) t. zw. klauzuli wykluczającej konkurentów od prawa nabywania pewnego towaru, 3) spółkom akcyjnym nabywania akcyj innego przedsiębiorstwa w celu zmniejszenia konkurencji, 4) w spółkach handlowych o kapitale ponad miljon dolarów i w bankach o kapitale ponad pięć miljonów dolarów przyjmowania więcej niż jednego stanowiska dyrektora lub kierownika. Do kapitału wlicza się w obu wypadkach rezerwy, depozyty i zysk brutto.

Art. V. ust. z 10/IV. 1918, zwanej prawem *Webb Pomerene* wkłada w Stanach Zjedn. A. P. na wszystkie związki przemysłowe trudniące się wywozem, obowiązek przedkładania corocznie Komisji federalnej dla spraw handlowych *(Federal Trade Commission)*, mianowanej do walki z nielo-

jalną konkurencją ustawą z 26 września 1914 i złożonej z 5 członków, mianowanych na lat 7 przez prezydenta Stanów— szczegółowych dat, dotyczących lokalu, nazwisk i adresów urzędników i akcjonarjuszy, oraz tekstu, statutów lub umowy związkowej, niemniej wszelkich zmian, zaszłych w ciągu roku i udzielania Komisji wszystkich żądanych przez nią wyjaśnień w kierunku organizacji, zawieranych interesów, operacyj handlowych, zarządu i stosunku do innych stowarzyszeń, korporacyj i poszczególnych osób. Równocześnie orzeczono, że ustawa Shermana nie ma zastosowania do spółek zajmujących się wyłącznie handlem wywozowym, chyba żeby usiłowały stłumić konkurencję i zawładnąć nad cenami wewnętrznymi.

Wedle art. 3 prawa angielskiego z 19/VIII. 1919 przysługuje państwowemu urzędowi handlowemu *(Board of Trade)* prawo żądania wyjaśnień co do treści i zakresu działania wszelkich związków górniczych, przemysłowych, rękodzielniczych, handlowych, bankowych i przewozowych, zmierzających do tworzenia monopolów lub ograniczania handlu a to w kierunku kontroli cen, celem umożliwienia nabywania towarów i uzyskania sił pomocniczych, czy to pochodzących ze Zjednoczonego Królestwa czy przywożonych z zagranicy jako też w celu kontroli targów i cen przewozu (transportu). *Board of Trade* powołuje specjalny trybunał ze stałym prezesem prawnikiem, oraz z 2—7 członkami przez niego wyznaczonymi na podstawie listy, ułożonej przez prezesa urzędu handlowego z pomiędzy kandydatów, proponowanych przez organizacje przedsiębiorców i robotników oraz spółdzielnie. Zadaniem trybunału jest: 1) rozstrzyganie, czy dane przedsiębiorstwo indywidualne lub spółkowe odpowiada lub nie odpowiada interesowi publicznemu; 2) badanie ksiąg i dokumentów, przesłuchiwanie świadków pod przysięgą i przedsiębranie wszelkich zarządzeń dla wykrycia prawdy; 3) ujawnianie po ukończeniu śledztwa faktów, uznanych za szkodliwe dla społeczeństwa.

Ustawa niemiecka, ściślej rozporządzenie z 2 lutego 1923, wydane w państwie, w którem przewagę ma przemysł chemiczny a w szczególności soli potasowych (73% produkcji światowej), a w którem i inne gałęzie przemysłu od-

grywają pierwszorzędną rolę, przemysłowcy zaś są po największej części rodowitymi Niemcami i odznaczają się w wysokim stopniu patrjotyzmem a nawet szowinizmem, idzie o wiele dalej.

W szczególności wprowadza osobny sąd kartelowy, wyłącznie właściwy, przyznając mu:

1) prawo uznania umowy kartelowej, poszczególnej uchwały kartelu lub pewnego rodzaju metody przeprowadzenia umowy, czy uchwały w całości lub w części za nieważną w razie poczytania jej za zagrażającą całości gospodarstwa społecznego lub dobru publicznemu;

2) prawo uznania, że każdemu biorącemu udział w umowie lub w pewnej uchwale w takim wypadku (t. j. w razie słusznego uznania danego zarządzenia za szkodliwe j. w.) przysługuje prawo wypowiedzenia każdego czasu umowy lub jednostronnego odstąpienia od danej uchwały; naturalnie rzeczą sądu jest ocena, czy dane zarządzenie posiada istotnie cechy mu przez oponenta przypisywane;

3) prawo uznania wogóle, że strony pokrzywdzone mogą odstępywać od wszystkich umów o treści, zawierającej postanowienia tego samego rodzaju lub według okoliczności tylko od danego warunku lub ustalonej ceny.

Powyższe rozporządzenie uznaje za zagrożone gospodarstwo społeczne lub dobro publiczne w razie ograniczenia produkcji lub sprzedaży, śrubowania cen lub utrzymywania ich na wysokim poziomie albo doliczania w razie kalkulacji cen stałych osobnych dodatków z tytułu ryzyka, a to wszystko w sposób gospodarczo nieusprawiedliwiony, lub wreszcie w razie niesprawiedliwego skrępowania wolności obrotu w drodze kontyngentowania zakupna czy sprzedaży lub ustanawiania różniczkowych cen i warunków.

Zasada nieważności umów, sprzeciwiających się dobrym obyczajom, ustalona w kodeksie cywilnym niemieckim, ma tu odpowiednie zastosowanie.

Minister spraw gospodarczych a ewentualnie minister dla aprowizacji i rolnictwa może jednak poprzestać w jednym z powyższych wypadków także na zarządzeniu doręczania sobie odpisów wszystkich układów, uchwał i zarządzeń, mających na celu wykonanie umowy kartelowej z tym

skutkiem, że będą one mogły wejść w życie dopiero po dokonaniu owego doręczenia. Może to mieć skutek dla wszystkich umów, w przyszłości zawrzeć się mających, w których

1) uczestniczą te same osoby, bądź w komplecie, bądź bodaj w większości;

2) w których stanowiska kierownicze lub doradcze objęły lub objąć mają te same osoby, które uczestniczyły w umowach, uznanych raz przez sąd kartelowy lub ministra spraw gospodarczych za groźne, czy to dla gospodarstwa społecznego czy też dla publicznego dobra;

3) w których przedmiotem umowy są takie same towary czy świadczenia, co w wypadku konkretnego uznania umowy za nieważną.

Ponadto w interesie swobody gospodarczej przysługuje każdemu członkowi kartelu prawo wypowiedzenia umowy kartelowej w razie ważnej przyczyny. Za taką przyczynę uznać się winno niesprawiedliwe ograniczenie swobody ruchu uczestnika w szczególności w dziedzinie produkcji, odbytu lub kształtowania cen. O zasadności wypowiedzenia rozstrzyga w razie sporu sąd kartelowy.

Kartel nie może samoistnie t. j. bez zezwolenia prezesa sądu kartelowego przystępować do realizacji złożonych kaucyj, do zamykania skartelizowanych przedsiębiorstw lub zarządzania innych podobnych następstw. Gdyby to miało pociągnąć za sobą niebezpieczeństwo dla gospodarstwa społecznego lub publicznego dobra albo krępować w sposób niesprawiedliwy gospodarczą swobodę ruchu członka kartelu, w takim razie należałoby owego zezwolenia odmówić.

Grzywny, które sąd kartelowy orzeka w razie świadomego nieposłuszeństwa, mogą opiewać na największą wysokość bez ograniczenia. Wszelkie wyrządzanie szkody uczestnikowi kartelu zato, że tenże skorzystał z przysługującego mu prawa wystąpienia z kartelu lub z zamiarem wstrzymania go od zrobienia użytku z tego prawa, karane jest więzieniem i grzywną.

Ustawa kanadyjska z 13 czerwca 1923 r. zabrania wszelkiego istnienia karteli, fuzyj, trustów i monopoli, określając mianem karteli wszelkie układy, zawierane na szkodę albo wbrew interesowi publiczności, czy to konsumentów

czy producentów lub innych kategoryj odbiorców (zapewne pośredników) i wliczając do układów kartelowych także wypadki, gdy jedna osoba uzyskuje kontrolę nad różnemi przedsiębiorstwami tego samego rodzaju lub gdy w drodze kupna, dzierżawy lub innym sposobem nabywa w nich udział z intencją:

I. ograniczania transportu, fabrykacji, dostaw, sposobności do magazynowania czy handlu;

II. przeszkadzania, ograniczania lub uszczuplania fabrykacji czy wytwórczości;

III. ustalania jednolitej ceny, ceny odsprzedaży, jednolitej ceny dzierżawnej, czy jednolitych kosztów składu lub przewozu;

IV. podwyższania ceny, czynszu lub kosztów jakiegoś artykułu, składowego lub kosztów transportu;

V. przeszkadzania lub ograniczania wolnej konkurencji przy wytwarzaniu, fabrykacji, zakupnie, zamianie, sprzedaży, przechowaniu, przewozie, ubezpieczeniu lub dostawie bądź w obrębie pewnej przestrzeni, bądź wogóle lub uzyskania zupełnej kontroli w jednym z tych kierunków;

VI. ograniczania lub wyrządzania handlowi szkody w inny sposób.

Gronu 6-ciu obywateli brytyjskich, zamieszkałych w Kanadzie, którzy skończyli lat 21, służy prawo wniesienia skargi o istnienie lub tworzenie kartelu do registratora, który ma obowiązek wdrożyć dochodzenie i sprawdzić twierdzenie skarżących. W tym celu służy registratorowi prawo żądania wyjaśnień i sprawozdań od każdej osoby i każdego urzędnika danej spółki, przeprowadzania badań w lokalnościach przedsiębiorstwa i badania na miejscu wszelkich ksiąg, papierów i aktów, do tegoż przedsiębiorstwa należących.

W badaniach swoich może się registrator wyręczyć komisarzami, którym służą te same uprawnienia. Osobom tym, oraz przybranym przez nie rzeczoznawcom przysługuje prawo wglądu w wszelkie księgi i akta, a pierwszym nadto prawo podjęcia odpisów z tych ksiąg i aktów.

Registratorowi i komisarzom służą wszelkie uprawnienia sędziów śledczych, jako to przesłuchiwania świadków pod

przysięgą, wymuszania jawienia się świadków i przedkładania przez nich ksiąg i aktów.

O rezultacie dochodzenia donosi registrator dotyczącemu ministrowi, a tenże składa sprawozdanie gubernatorowi. Jeśli gubernator nabierze przekonania, że odnośnie do pewnego artykułu handlowego istnieje kartel w celu podwyższenia dochodów fabrykantów lub pośredników kosztem publiczności i że możnaby krzywdę tę złagodzić przez zwolnienie odnośnego artykułu od cła lub przez obniżenie tegoż, w takim razie gubernator może to zarządzić.

W razie, gdy właściciel patentu używa go w ten sposób, że ogranicza w nieodpowiednich rozmiarach możność przywozu, wytwarzania, fabrykacji, zaopatrzenia, składu lub handlu danym artykułem handlowym lub w ten sposób, że działaniem swojem ogranicza lub wyrządza szkodę handlowi danemi artykułami lub niewłaściwie ogranicza czy uszczupla rozmiary wytwarzania danego artykułu lub pędzi w górę cenę w sposób nieodpowiedni, albo niestosownie ogranicza czy też uszczupla konkurencję przy wytwarzaniu, fabrykacji, zakupnie, zamianie, sprzedaży, przewozie, składzie lub dostawie tegoż artykułu — w takim razie minister sprawiedliwości może postawić wniosek w właściwym sądzie w kierunku unieważnienia uzyskanego patentu.

Ustawa argentyńska z 23 sierpnia 1923 r. uznaje za występek wszelki układ, umowę, porozumienie, połączenie lub kojarzenie kapitałów z intencją stworzenia lub utrzymania w mocy monopolu bez jednoczesnego wprowadzenia postępu technicznego lub gospodarczego a to li celem osiągnięcia w ten sposób zysku materjalnego, niestosunkowego do istotnie włożonego kapitału, ewentualnie z intencją utrudniania wolnej konkurencji w drodze bądź

a) rozmyślnego niszczenia części towarów celem osiągania podwyżki cen pozostałych zapasów, bądź

b) w drodze zaniechania czyto uprawy roli czy też zaniechania prowadzenia fabryk czy kopalń, a to wskutek otrzymanego od trzecich osób odszkodowania, bądź

c) wskutek układu, wyznaczającego pewną przestrzeń jako wyłączne źródło sprzedaży czy zakupna pewnych wy-

tworów na korzyść danej jednostki lub spółki, bądź wreszcie

d) w drodze wykupywania towarów pierwszej potrzeby, układu dotyczącego zaniechania ich sprzedaży albo też ograniczenia produkcji, sprzedaży lub świadczenia usług poniżej kosztów własnych.

Wolno natomiast sprzedawać niżej własnych kosztów produkcji, o ile idzie o towary zepsute lub o wysprzedaż i o ile zawierający podobną umowę nie mieli na celu ograniczenia wolnej konkurencji bądź 1) w drodze nałożenia na kupujących obowiązku nie kupowania u kogoś innego czy też 2) dalszego sprzedawania tylko po oznaczonej zgóry cenie bądź 3) w drodze zawarcia układu, mianującego tę samą osobę dyrektorem, zarządcą lub zawiadowcą kilku spółek tej samej gałęzi produkcji czy handlu, o ile zobowiązanie takie mogłoby za sobą pociągnąć monopol lub ograniczenie wolnej konkurencji, bądź wreszcie 4) w drodze bezpośredniej lub pośredniej poręki za towar, dostarczony kupującym dla zatrudnionych u nich robotników.

Spółka akcyjna i wszelka osoba prawna traci w razie powtórzenia jednego z wymienionych przestępstw osobowość prawną, oraz wszelkie przywileje i koncesje, niezależnie od kar pieniężnych i więzienia dla dyrektorów, zawiadowców, zarządców lub członków firmy. W razie wdrożenia dochodzeń karnych następuje ponadto bezzwłocznie konfiskata towarów, przeznaczonych na zabezpieczenie grzywien i kosztów procesu.

Celem kontroli, czy nie nastąpiło wykupienie danego towaru w zamiarze wycofania go z obrotu i podniesienia cen, każdy producent, oraz przedsiębiorstwa kolejowe, właściciele magazynów i składów są obowiązani podać ministerstwu rolnictwa względnie generalnej dyrekcji handlu i przemysłu wiadomości, dotyczące przechowywanych u nich zapasów towarów, oraz miejsca ich przechowania celem umożliwienia sprawdzenia tych zapodań przez władzę.

Ustawa norweska z 12 marca 1926 r. wprowadza 1) urząd kontrolujący kartele z dyrektorem na czele, posiadającym kwalifikacje sędziego najwyższego trybunału, tudzież 2) radę kontrolującą, złożoną z prezesa i 4 członków i funkcjonującą wobec urzędu także jako druga instancja.

Wszelkie umowy między producentami, dotyczące cen, produkcji lub sprzedaży (z wyjątkiem umów dotyczących płac robotniczych), posiadające doniosłość dla targu tudzież wszelkie układy z celem lub skutkiem powyższym, niemniej poszczególni przedsiębiorcy, wywierający doniosły wpływ na targ norweski lub większą jego część, dalej przedsiębiorcy, będący tylko reprezentantami firm zagranicznych lub ich związku albo przynajmniej pozostający pod ich wpływem — mogą być zniewoleni przez urząd kontrolujący do zgłoszenia swoich przedsiębiorstw i udzielania mu wszelkich zażądanych wyjaśnień, oraz przedkładania do wglądu urzędowi ksiąg handlowych, urzędowych i wszelkich protokułów w oznaczonym przez urząd kontrolujący terminie.

Wskutek takiego zgłoszenia następuje rejestracja zgłoszeń t. j. wpisanie ich do ksiąg z pominięciem atoli szczegółów technicznych, które — udzielone jedynie dyrektorowi i prezesowi rady kontrolującej, a ewentualnie również przybranemu rzeczoznawcy — mają pozostać dla ogółu tajemnicą.

Przystęp do wypełnionego rejestru przysługuje zasadniczo tylko władzy kontrolującej. Za zgodą wszakże rady i trzecie osoby mogą być o treści rejestru zawiadamiane, o ile to będzie leżało bądź w interesie samej kontroli, bądź w interesie publicznym.

Rada kontrolująca może po wysłuchaniu interesowanych zabronić pobierania cen lub zarobków wygórowanych i w takim razie wydaje na wniosek urzędu postanowienia z oznaczeniem cen dopuszczalnych.

Umowy czy układy na wstępie wymienione mogą być zawierane najwyżej na przeciąg roku lub za wypowiedzeniem trzymiesięcznem.

W razie niezgłoszenia w oznaczonym terminie umowy czy układu wbrew nakazowi urzędu kontrolującego, obowiązki, wynikające z podpisania umowy nie wchodzą w życie aż do chwili dokonania przepisanego zgłoszenia. W ten sposób w drodze najdalej idącej i najskuteczniejszej sankcji ustawa zmusza do posłuszeństwa wobec nakazu zgłoszenia.

W razie, gdy przemysłowiec wnosi jakąś ofertę na dostawę i podaje w niej ceny lub warunki, stanowiące rezultat porozumienia z innymi przemysłowcami, winien o tem w ofercie wyraźnie nadmienić.

Gdyby w układzie, zawartym między kontrahentami, ustalono kary pieniężne lub inne na wypadek przekroczenia postanowień układu i na zabezpieczenie dotrzymania tych zobowiązań złożono weksle, skrypty dłużne lub innego rodzaju kaucje, w takim razie rada kontrolująca na propozycję urzędu rozstrzyga, czy postanowienia podobne odpowiadają słuszności i czy przyznanie środków przymusowych dla utrzymania ich w mocy odpowiada interesowi publicznemu. Tylko w takim razie zobowiązania i kaucje powyższe mają moc prawną.

Gdyby natomiast rada kontrolująca przyszła do przekonania, że dany układ lub poszczególne jego postanowienia wywierają wpływ niekorzystny na ceny, oraz warunki produkcji lub zbytu wewnątrz kraju albo też, że działalność związku uznać należy ogółem za nieodpowiednią, w takim razie może ona na wniosek urzędu kontrolującego rozwiązać dany związek lub spółkę do związku należącą lub nawet poszczególne przedsiębiorstwa, zobowiązane do zgłoszenia się do rejestracji ze względu bądź na wpływ ich na ceny bądź też na łączność ich z firmami zagranicznemi.

Decyzja k o ń c o w a rady kontrolującej podlega ostatecznemu orzeczeniu instancji odwoławczej, złożonej z przewodniczącego i 4 członków i to tak w razie przychylenia się do wniosku urzędu kontrolującego jak w razie odmówienia mu. Postanowienia rady kontrolującej, w t o k u postępowania zapadłe podlegają dalszemu odwołaniu tylko w razie, jeśli nie zapadły jednomyślnie.

Zawodowe bojkotowanie niecłonków t. j. odmowa utrzymywania z nimi stosunków handlowych pod zwykłemi warunkami może być zabroniona przez radę kontrolującą na wniosek urzędu kontrolującego w razie uznania takiego bojkotu przez nią bądź za przynoszący szkodę interesowi publicznemu, bądź za niesłuszny, bądź wreszcie jako niewłaściwy wobec bojkotowanego.

Zakaz dalszego uprawiania bojkotu wyda rada kontrolująca w razie, gdy bojkot miał na celu czy to 1) ograniczenie liczby producentów czy też 2) był spowodowany faktem, że druga strona jest spółdzielnią lub pozostaje ze spółdzielnią jakąś w stosunkach albo też, 3) gdy bojkotowany nie bierze udziału w kartelu albo 4) gdy dokonywa swoich transakcyj po innych cenach lub pod innemi warunkami, aniżeli te, jakie oznacza kartel, lub wreszcie 5) gdy nie chce pozostawać w stosunkach handlowych wyłącznie lub przeważnie z jednym tylko producentem lub ograniczoną liczbą tychże.

Zabronionym może być również przez radę kontrolującą układ, zastrzegający, że pewnemu kontrahentowi wolno wejść w stosunki handlowe bądź wyłącznie bądź przeważnie lub pod szczególnie korzystnemi warunkami tylko z jednym przemysłowcem lub tylko z ograniczoną liczbą przemysłowców czy konsumentów, jeśli musi się dojść do przekonania, że układ tego rodzaju byłby szkodliwy dla interesu publicznego lub niewłaściwy wobec wykluczonych.

Zarówno przyznanie jak i przyjęcie opustu ceny lub innej korzyści wzamian za przynależność do takiego zabronionego układu jako też wymuszenie stosunków handlowych tego rodzaju jest zabronione.

Rada kontrolująca może nawet zabronić poszczególnemu przemysłowcowi czynienia różnic między klientami, lub okolicami, w których klienci ci przebywają, co do cen lub innych warunków, jeśli sądzi, że w ten sposób wolna konkurencja byłaby niestosownie ograniczona lub utrudniona, a różnica owa nie byłaby wynikiem różnic kosztów przewozu lub odmiennego r y z y k a (z większemi szczegółami stanowi to samo art. 2 ustawy Claytona z 15 września 1914 r. dla Stanów Zjednoczonych).

Tak samo rada kontrolująca może zabronić sprzedaży towarów za cenę oczywiście niewystarczającą lub niezwykle wygórowaną, o ile dojdzie do przekonania, że przez takie ceny wolna konkurencja byłaby w sposób niestosowny ogra-

niczona lub utrudniona a widoczny byłby zamiar wyrządzenia szkody konkurentowi.

Wszelkie wnioski zakazów stawia w urzędzie kontrolującym wydział kontroli gminnej, utworzony na żądanie danej gminy przez króla i złożony zarówno z przedstawicieli przemysłowców jak i konsumentów.

(Dokończenie nastąpi)

Prof. Dr. Leopold Caro.

Sto lat od śmierci Leona XII-go.

Radosne i nieoczekiwane zdarzenia, które streszczają się w podpisaniu traktatu Lateraneńskiego, w odzyskaniu niepodległości przez Ojca Świętego, odsunęły na plan dalszy i pogrążyły w zapomnieniu stuletnią rocznicę faktu również związanego z Rzymem i z Watykanem i z całym wogóle światem chrześcijańskim. Fakt ten, to śmierć papieża Leona XII-go. Choć panował krótko, jest w jego dziejach kilka momentów, które dziś właśnie na pamięć zasługują.

Hannibal della Genga, Leon XII, umarł w lutym 1829 r. po pięcioletnich zaledwie rządach.

Pontyfikat jego przypadł na trudne, nieszczere i skomplikowane czasy Świętego Przymierza. I właśnie dlatego streszcza się on nieledwie cały w odprawieniu wielkiego jubileuszu 1825 roku.

Pierwszy to był jubileusz po pięćdziesięciu latach przerwy, po zupełnej zmianie stosunków politycznych, ekonomicznych, geograficznych i społecznych Europy, które zaciążyły również na religijnych uczuciach ludzi ówczesnych.

Po rozbiorach Polski i zajściu na horyzoncie północnowschodniej Europy ciężkiej i groźnej chmury potęgi nowych mocarstw Rosji i Prus, mocarstw nie katolickich i wrogich Kościołowi.

Po wielkiej rewolucji francuskiej, która dowcipy, marzenia, nienawiści i rozumowe teorje filozofów Oświecenia rozprowadziła jako drobną monetę w codziennych wymianach życia, myśli i uczuć całych narodów i w ten sposób osłabiła znacznie i wiarę i znaczenie Kościoła.

Po czasach wielkiego cesarstwa, które skruszyły resztki dawnego ustroju politycznego, wszystko w dziwny wir wprowadzając; spowodowały jako reakcję, upór nadmiaru ostrożności u przelęknionych monarchów i ich fałszywą grę działania na zwłokę, by osłabić siłę rozpętanego obrotu historji. W ten zaś sposób dostęp wpływu Kościoła do dusz ludzkich został mocno utrudniony.

To też Ojcu Świętemu, który chciał niezłomnie i z niemniejszym uporem jak owi władcy ale dla innych celów przywrócić starodawny obyczaj chrześcijański i znów udostępnić szerokim rzeszom wiernych dobrodziejstwa Łaskawego Roku, sprzeciwili się wszyscy. Tak państwa ościenne jak i wielu bliskich doradców starało się papieżowi wybić z głowy wielki jego projekt, a przynajmniej go udaremnić. Nie chciano tej powszechnej spowiedzi całego chrzecijaństwa, tak jak nie chciano później objawienia się Najświętszej Panny z Lourdes starając się, na darmo, policyjnie mu przeszkadzać. Nie chciano dopuścić, aby po tylu ruinach rzeczy świeckich i doczesnych triumfował odwieczny życiowy pęd Kościoła. A szczególniej, czyto znużenie tych, którzy z trudem powrócili na swe dawne trony władcze, czy zazdrość tych, którzy ciemiężyli świeżo wyzłoconem berłem podbite i oparkanione ludy, czyto nieufność tych, co te ludy chcieli podburzyć ku nowym hasłom walk i doświadczeń; dość, że nikt nie chciał, aby nawiązany został, ponad państwami i poza interesami chwili lub projektami nowych otumanień i zaborów, ścisły i bezpośredni kontakt Rzymskiego Pasterza z ogółem jego trzody. I to jest właśnie wielkość tego jubileuszu, o którym pisano sporo, któremu całe studja poświęcano, wielkość polegająca na zwróceniu się Ojca chrześcijaństwa do wielotysięcznych i nieledwie anonimowych dusz i serc, sumień i ludów.

Trzeba sobie wyobrazić tę krótkowzroczność i wyniosłą oligarchję kilku dyplomatów, złączonych właśnie w tak zw. „Świętem Przymierzu", by racje stanu ogłaszać jako najwyższe prawo moralne, aby zrozumieć śmiałość i doniosłość gestu Leona XII-go.

Właśnie niedawno Ks. biskup Godlewski udawadniał w świetle nowych dokumentów, jak bardzo starała się Sto-

lica Apostolska wyodrębnić swe czynności z pod przemożnych wpływów owego przymierza, prawdziwej loży masońskiej monarchów. Inicjatywa Leona XII-go ukazuje się nam zarówno jako odpowiedź na światowładcze zakusy owej loży, jak również jako przeciwwaga wobec rozradzających się tajnych lóż ludów przeciw monarchom. Zarzucano tylekroć razy Stolicy Apostolskiej, że łódź swą związała nieopatrznie, w poczuciu jakichś klasowych interesów własnych, z niepewnym promem owego „Świętego Przymierza". Zarzucano jej, że uprawniała legalne spiskowanie monarchów przeciw ludom.

Takiem jest, mniej więcej, stanowisko Słowackiego w młodzieńczych, pamiętnych a namiętnych scenach Kordjana. Jakże niesłuszne! Trudno jest doprawdy mierzyć stopą ludzką poczynań Stolicy Świętej, która religijnemi operuje walorami.

Ale stwierdzić należy, że w sprawie Jubileuszu 1825 r., walory te wyrażały się zwróceniem się jej u zarania dziejów najnowszych i po świeżo przebytych wówczas wstrząśnieniach, przedewszystkiem właśnie do rzesz, do ludów.

I aż dziwnie jest przypomnieć, że ten Jubileusz Ludów spotkał się w tym czasie z pierwszym rozkwitem nowego uczucia i nowej formy myśli, poezji i nowej estetyki, tej przedziwnie subtelnej domeny, gdzie spotykają się skrycie moralność i polityka, sprawy społeczne, filozofja i religja. Była to jakby sankcja boża, która miała wyrażać, że Chrystus — w swym Kościele — zawsze czyta na dnie serc i potrzeb ludzkich. Romantyzm właśnie, jakikolwiekby o nim sąd wydać, był również jakby jakimś wielkim Jubileuszem Ludów, jakby jakąś powszechną i publiczną spowiedzią ogólnych niemocy, utęsknień i żądz wolności, jakby dalekiem preludjum do bliskiego już marszu pogrzebowego na gruzach Świętego Przymierza.

Był inny w historji Jubileusz, który też dziwnie koincydował z wielkim faktem historji ducha ludzkiego: pierwszy jubileusz tysiąc trzechsetnego roku, w którym wybuchł genjusz Dantego, zagrały surmy „Boskiej Komedji" i roziskrzył się firmament nowoczesnych literatur narodowych.

Z czasów jubileuszu 1825 r. pozostały się różnojęzyczne

starannie wydane książeczki, które spotykać możemy po bibljotekach, tak jak z jubileuszu 1775 r. pozostały nam jeszcze odpustowe wydawnictwa dawnej Polski. I tak mamy listy pasterskie ówczesnego prymasa Woronicza o jubileuszu, w których jasno mówi, jak trudno było z jego ogłoszeniem.

Lecz wróćmy do samego papieża.

Karjera Leona XII przed wyniesieniem go na papiestwo niczem specjalnem się nie odznaczyła. I to jest nawet właśnie jeden z tych ciekawych momentów jego historji. Chrystus wczoraj, Chrystus jutro, Chrystus zawsze...

Okrzyk ten można stosować i do Papiestwa: Papież dzisiaj, Papież wczoraj, Papież zawsze. Boska chwała, siła i niezmienność Tego, którego Papież jest ustanowionym przedstawicielem na ziemi, osłania wśród zmiennych kolei spraw ziemskich następców św. Piotra, bez względu na to, że osobista miara umysłu, zdolności lub ich brak lub nawet charakter słabszy tego lub owego z pośród nich, zdawałyby się stać może w sprzeczności z ich niesłychanie wysokiem powołaniem. Oczywiście Leona XII nie można zaliczać do t. zw. wielkich papieży, ale właśnie dlatego dzieje tego „przeciętnego papieża" tak niezmiernie są ciekawe i pouczające, albowiem bije z nich wiecznie żywe światło „wzniesione na górze" Piotrowej opoki, bez względu na to, kto jest, że się tak wyrażę, kagańcem, na którym to światło zostało w danym wypadku osadzone. Ogłoszenie jubileuszu 1825 r. mogło być, zważywszy okoliczności epoki, czynem genjalnym. Stało się zaś ono prostem świadectwem religijnej świadomości Najwyższego Pasterza i tem bardziej jeszcze włącza ono w powszechny wątek historji to coś, to coś dziwnego i tajemniczego, które niekiedy odruchy genjuszów dają nam zdaleka przeczuwać, ale które dopiero sama ręka Boska w pełności sprawia.

Urodzony w 1760 r., a więc za czasów saskich Augusta III i w epoce Trianonu Ludwika XV, podczas gdy monarchja hiszpańska waliła się w gruzy zdziecinniałego jakiegoś zastoju, a stary Kaunitz regentował Marję Teresę nad modrym Dunajem, Hannibal della Genga pochodził ze starożytnej rodziny, został kapłanem mając 22 lat i szybko posuwał się w honorach kościelnych na kwiecistym dworze

(ale były to kwiaty nieco papierowe) Papieża Braschi, Piusa VI. W jakże innym świecie przyszło mu później rządzić! W niespokojnych latach wojen rewolucyjnych był — jeszcze według starego porządku — nuncjuszem w Kolonji, potem w Brukseli i wreszcie w Monachjum, mało co mogąc zdziałać dla swego urzędu. Wszędzie usuwał mu się już grunt pod nogami, tak zresztą jak i innym. Wojska rewolucyjne wyganiały go stale i pokolei z zajmowanych placówek. Chyba wspomnieć wypada jakieś podpisane i zniweczone zaraz przez bieg rzeczy konkordaty. Później karjera jego ulegała dziwnym przeciwnościom, a później jeszcze był gubernatorem Rzymu za powrotem z wygnania Piusa VII. Wogóle mało co ciekawego da się powiedzieć o samym człowieku i o jego życiu. Ale, mimo ułomności jakiej go nabawiła choroba, był to mąż silnej woli i uporczywych postanowień. To też, mimo sprzeciwów, uskutecznił on jako Papież swój plan i jubileusz 1825 r. stał się niejako racją jego bytu. Stał się ten jubileusz tem bardziej ewenementem historycznym, że aż do 1900 roku, aż do dni triumfów potężnego Leona XIII (który niegdyś jako chłopaczek przemawiał do dwunastego Leona) znów miało nie być jubileuszów.

Ilość pielgrzymów przybyłych w pamiętnym 1825 r. do Rzymu wynosiła trzysta siedemdziesiąt sześć tysięcy i trzysta siedemdziesiąt pięć dusz. Może zdawać się, że to niewiele wobec tłumów średniowiecznych i wobec późniejszego napływu, ale na owe czasy była to liczba znaczna. Był to jakgdyby powszechny i gromadny chrzest nowego porządku rzeczy po całym przewrocie dokonanym we wszystkich dziedzinach życia. W Notre-Dame w Paryżu Pius VII namaszczając Napoleona błogosławił niejako cesarstwo i pierwsze zaimprowizowanie próby odrodzenia. Ale cesarstwo zawiodło i rozwiało się w mgłę legend, znikło jak znikają wielkie hipotezy naukowe, spełniwszy pierwsze zadania pod względem odnalezienia szukanej odpowiedzi na zagadkę czasów. Teraz Leon XII znaczył znakiem krzyża świętego te tłumy, ten materjał doświadczeń, przetworów i wynalazków, który w swych mózgach i życiu miał eksperymentować prawdę i fałsz rzuconych haseł i być podstawą późniejszych prób rozwiązania nagromadzonych trudności tak społecznych

jak politycznych. Jak oliwa wypływa nad wodę, podobnie są chwile w życiu ludów, całego świata i poszczególnych osób, gdzie, przynajmniej na moment, głód dusz i prawdziwy pokarm dusz, Chrystusowa religja, wznosi się niezmożoną siłą ponad spiętrzone fale ludzkiego hałasu historji. Używając tu śmiałej analogji, powiedziałbym, że w 1825 r. Leon XII wrażał swą papieską dłonią formę ducha w tę materję nieogarnioną przeróżnych ludzkich odruchów i potrzeb i spełniał w ten sposób nieprzerwany akt „sakramentu historji".

W 1825 r. bywało w Rzymie i po pięćdziesiąt tysięcy pątników naraz. Ze wszystkich hospicjów przeznaczonych na ich przyjęcie najgłówniejszem było hospicjum della Trinità dei Pellegrini, organizowane przez arcybractwo tejże nazwy. Nazwa, zresztą, dziwnie to piękna, bo łącząca Trójcę Świętą z mianem pielgrzymim, tak jakby kojarząc te dwie rzeczy. Czyż Trójca, Bóg w Trójcy jedyny, nie zjawił się Abrahamowi w troistej pielgrzymiej postaci? Wszyscy jesteśmy pielgrzymami Trójcy św. A po deistycznym osiemnastym wieku i u wstępu ateistycznego wieku dziewiętnastego, potrzeba było specjalnie znaczyć ludzi znakiem życiodajnej Trójcy.

Przybywając do tego hospicjum, każdy podróżny wykazywał się swemi papierami, a imię jego zostawało odnotowane na specjalnym registrze. Wieczorem prowadzono nowoprzybyłych do wspólnej sali. Tam członkowie bractwa i zakonnice umywali im nogi i opatrywali rany i okaleczenia, które długa wówczas jeszcze podróż mogła była niejednemu wyrządzić. Poczem prowadzono pielgrzymów do refektarza. Siadali na ławkach umieszczonych wzdłuż ścian przy rozciągniętych wdal stołach. Jeśli chcemy to sobie wyobrazić, przypomnijmy sobie chociażby monumentalny jasnogórski refektarz... Każda taka stołownia była połączona z salą, w której gotowano zupę w kotłach wielkich rozmiarów. Zdarzyło się niekiedy, że czy to kardynał jaki, czy jakiś szlachcic w stroju pokutnym, przepasany białym fartuchem na purpurowej sutannie, czy też odziany w pokorę znaczony „saccone" t. j. worek, podawali pielgrzymom zupę w talerzach zgóry nato przygotowanych w ten sposób, że pierwsi usługający ją nalewali, a szereg członków

arcybractwa dostarczało ją na stół gościnny, podając ją sobie z rąk do rąk. Pielgrzymom usługiwały bezpośrednio również wysoko postawione osoby. Znów można tu było spostrzec kardynałów, biskupów, książąt krwi, patrycjuszy rzymskich, bogatych mieszczan Wiecznego Miasta lub też artystów. Cały ten dobrany personel uwijał się usłużnie przy pątnikach, mając oko i baczenie na każdą ich potrzebę i z całą prostotą spełniając tę ewangeliczną posługę. Zdarzało się znów czasem, że u wnijścia do sali coś się zakotłowało: To sam Ojciec święty wstępował do niej bez żadnego ceremonjału. Klękał on wówczas przed pierwszym z brzegu pielgrzymem, cześć w ten sposób Chrystusowi w duszach ludzkich oddając, a potem szedł brać udział w ogólnej i dobrowolnej posłudze na rzecz ubogich.

Gdy wieczorny posiłek był już skończony, pielgrzymi udawali się szeregami do sypialni i dormitarzy, śpiewając rodzaj dziękczynnego hymnu, a echo ich głosów i słów roznosiło się stłumionem brzmieniem po głębokich korytarzach. W ten sposób więc przybierał Rzym w czasie jubileuszu wygląd jakiegoś wielkiego klasztoru. Mnożyły się procesje po ulicach, a w dzień św. Filipa Nereusza, patrona miasta, sam papież pomimo zawsze złego stanu zdrowia, szedł boso w pokutnej procesji aż do Chiesa Nuova. Zdawało się, że dawne marzenia brata Hieronima z Ferrary spełniały się teraz w Rzymie, po trzech przeszło wiekach przepowiedzianych przezeń klęsk.

Tak wedle świeżo wydanej książki, wyglądał ostatni jubileusz w Rzymie jeszcze papieskim. Dziś możemy się cieszyć i papieskiem i wszechludzkiem „Miastem Watykanu" i jubileuszem nowym Piusa XI, którego łączy z Leonem XII silne napięcie woli.

A teraz inne momenty z tego pontyfikatu zamkniętego pieczęcią grobowców z przed setki lat. Zmieniają się papieże, lecz trwa ich panowanie i ten moment właśnie chcę podnieść w życiu papieża della Genga, zbliża go on bowiem niepomiernie do naszej chwili.

Poprostu ciekawem jest zdarzenie, że w jednem z uroczystych nabożeństw poprzedzających Rok Święty, a odbywanych na publicznych placach, dnia 15 sierpnia 1824 roku

Papież brał udział z balkonu rosyjskiego poselstwa, skąd potem zeszedłszy, siadł na tronie i błogosławił lud, mając posła rosyjskiego u boku. Ale wogóle jest znamiennem, że myśl Leona XII często zwracała się ku Rosji, bo wierzył w możliwość jej nawrócenia do powszechnej katolickiej jedności i nigdy specjalnie nie zaniedbywał przedsiębrać kroków, mogących do tego prowadzić. Rok 1825 był zresztą rokiem śmierci czy zniknięcia Aleksandra I.

Cokolwiek historja czy legenda o tem mówi, to pewna, że u schyłku swego panowania odczuwał głęboką tęsknotę za Rzymem. Jeśli świadectwo omówione i wydane przez O. Pierlinga wydaje się wiarogodnem, to w każdym razie Aleksander wysłał przed tajemniczą datą, w której przestał żyć czy też panować, swego adjutanta do Ojca św., z wyrazem swego hołdu i swych nadziei i pragnień. A tym papieżem był Leon XII. Ostatni kronikarz jego panowania przypomina, że jako młody prałat był przyszły papież świadkiem, jak późniejszy cesarz Paweł i jego żona, podróżując po Europie incognito i znajdując się w Rzymie w chwili wyjazdu Piusa VI do Wiednia, owijali go w powozie kosztownem futrem, specjalnie na ten cel przysłanem i jakoby własnoręcznie uszytem przez „Imperatorową" Katarzynę. Cokolwiek myśleć wypada historykowi, który choć cośkolwiek zna z zakulisowych sekretów dyplomacji, o tym miłym odruchu rosyjskiego dworu, to jednak nie można się tu oprzeć wrażeniu, że zawsze jakiś magnes ukryty przyciąga choćby powierzchowne fałdy duszy rosyjskiej do prawowitego ośrodka chrześcijaństwa. I właśnie takie wrażenie odniósł młody Hannibal della Genga. Zresztą za jego czasów papieże coraz częściej i coraz bezpośredniej musieli się Rosją zajmować i z jej rządem stykać. Historja bowiem podobna jest do biegu ziemi wokół słońca. Stosownie do pór roku inne połacie kontynentów i mórz, inne strefy, inne kraje, ziemie i ludy zbliżają się po odbiór najcieplejszych słońca promieni, aby wszędzie życie powstawało. Podobnie się rzecz ma z narodami wobec Stolicy Apostolskiej i Kościoła.

W każdym razie stanowisko cara Aleksandra mogło budzić pewne nadzieje i rozświecać wyobraźnie na przyjęcie orjentacyj nowych. W każdym razie zdaje się być pewnem,

że Leon XII, na którego czasy przypada głośne i namiętne wystąpienie Lamennais'ego w obronie prerogatyw papieskich i przeciw wszelkiemu lokalnemu zmaterjalizowaniu idei i rzeczywistości Kościoła, czy ono będzie się nazywało gallikanizmem czy też innem jakiem mianem, był tym, który w odległości perspektyw historycznych kreślił znak błogosławieństwa w stronę ludzi, którzyby o jedności kościelnej pomyśleli w Rosji.

Niestety, te dwa tak absolutne pojęcia pełni władztwa, a jednak tak odmienne, jakie panowały w Wiecznem Mieście i nad Newą, nie było bliskie spotkania. Leon XII nie miał doczekać koronacji cara Mikołaja na króla polskiego, dokonanej w Warszawie w roku jego śmierci i w trzy miesiące po jego zgonie. Konieczność polityczna zmuszała wprawdzie samowładcę do wstępowania w progi katolickiej świątymi i z tego punktu widzenia można w niej było jakiś daleki odgłos kroków boskich w historji przeczuwać, ale wiadomo z jakim oporem przeciwstawiał się Mikołaj tej potrzebie i jak bardzo umiał uniknąć i groźhie zlekceważyć wszystko, co byłoby mogło być choćby cieniem religijnej ceremonji. Zresztą cokolwiek mogło się dziać w Warszawie, w dalszych prowincjach polskich posiadłości rosyjskich Mikołaj I już zabierał się do bliskiego zniweczenia Unji. W lutym 1826 r. wyszedł ukaz, zabraniający kupcom unickim sprzedawania czy to na jarmarkach, czy na innych zebraniach ludowych książek religijnych grecko-katolickich. W 1828 zaś roku powstaje mocą nowego ukazu antykanoniczne petersburskie Kolegjum Kościelne grecko-katolickie. W rękach rządu będzie ono specjalnym instrumentem niweczenia Unji... Nie, nie z rządem rosyjskim będzie mogła Stolica Apostolska wejść w porozumienie. Trzeba będzie jej czekać, aż przyjdzie chwila przemawiania do narodu rosyjskiego, do duszy rosyjskiego ludu, tak jak w jubileuszu 1825 roku przemawiała wbrew mocarstwom Świętego Przymierza do katolickich narodów Europy. I przyszła już od tego czasu błogosławiona choćby pod tym względem chwila gdzie, podobnie jak w 1825 r. Namiestnik Chrystusowy, Leon XII, klękał przed ubogimi pątnikami i prostą posługę miłości im czynił, Pius XI w sto lat później, aczkolwiek nie osobiście ale przez swych wy-

słańców, pochylał się nad niedolą krwawą, nędzą i nieobliczalnem nieszczęściem rosyjskiego narodu.[1])

Lecz nietylko w stosunku do Rosji panowanie Leona XII zaznacza się cechami, które jego czasy do naszych czasów zbliżają. I w stosunku do Anglji pontyfikat papieża della Genga zdradza momenty, które tej historji z przed lat stu nadają cechy współczesności. Jeśli momentem zwrotnym dziejów Kościoła Katolickiego w Anglji od czasów zwycięstwa Reformacji jest ten skutek Rewolucji francuskiej, iż rzuciła mnóstwo kapłanów katolickich na gościnne brzegi Wielkiej Brytanji i w ten sposób podważyła zawory, które przeciwstawiały się na wyspach katolickiej propagandzie i katolickiej wolności sumienia, to rok 1829 odznaczył się pierwszym wielkim triumfem katolicyzmu w Anglji. Krótko po śmierci Leona XII parlament londyński uchwalił słynny Bill emancypacyjny dla katolików, względem których uchylano, z małymi wyjątkami, dawne ograniczenia prawne. Było to zwycięstwem Daniela O'Connella, przewrotem prawnym niesłychanie rozległym w następstwa, wywalczonym na opinji angielskiej przez katolicką Irlandję. Od tej chwili już nietylko Irlandja mogła odetchnąć swobodniej, ale otwierała się droga do Kościoła dla samych Anglików. Skorzystał z niej niebawem ruch Oxfordski, pod przewodnictwem Newmana; skorzysta i Wiseman, przyszły pierwszy biskup przywróconej hierarchji katolickiej w Anglji, który się tymczasem w Rzymie do swej opatrznościowej roli przygotowuje. Podbity i skrzywdzony naród irlandzki posłużył tu w swej walce o prawa sumienia za narzędzie duchowego oswobodzenia dla samych ciemiężycieli. Dziś, gdy sprawy religijne angielskie są dla katolików zagadnieniem niemniej aktualnem, jak sprawy religijne rosyjskie i wogóle wschodnie, wydaje nam się specjalnie godnem uwagi, że poczęły jednocześnie wypływać na szerszą widownię nadziei, żywionych przez Stolicę Apostolską, w czasie właśnie omawianego przez nas pontyfikatu. I w sprawie ruchu wywołanego tak skutecznie przez O'Connella staje się jasnem, że zarówno jak

[1]) Już po napisaniu tego szkicu zdarzyła się w wolnym Watykanie niepowszednia audjencja, na której Pius XI przyjmował cały zastęp Kozaków Kubańskich, przyczem dziękowano Papieżowi za tę łaskawość.

w jubileuszu 1825 roku tak i teraz Ojciec Święty Leon XII opierał się na szerokim ogóle wiernych i pojawiał się w dobie absolutyzmu św. Przymierza, jako wódz sumień, dusz i narodów.

Ten sam moment występuje w jego stosunku do ludów południowo-amerykańskich, które się świeżo wybiły z pod hiszpańskiego panowania. Nie zawahał się Leon XII mianować dla nich biskupów, pomijając hiszpańskie pretensje do ich prezenty. „Ponieważ naznaczamy biskupów tam, gdzie od lat dwunastu rządy Wasze ustały, pisze papież w tej sprawie do niezadowolonego i zazdrosnego króla hiszpańskiego, czyż potrzeba abyście i pozostałe w wierności względem Was kraje straszyli stosowaniem systemu szykan względem Stolicy Apostolskiej? Obowiązki nasze zgóry są nam dane". Piękne to słowa, największych papieży godne a zresztą niezmienne w ustach każdego następcy Piotrowego.

Za panowania Leona XII została też odbudowana prastara bazylika św. Pawła za murami w Rzymie. Kto ją widział nie zapomni tego lasu kolumn, tych pięciu równoległych naw, tej prostolinijnej jakgdyby pustynnej przestrzeni, która zdaje się wprowadzać duszę widza w dalekie blaski tajemnic boskich, które Paweł oglądał w zachwycie i w przestronne widnokręgi jego misyjnego apostolstwa. W głębi absydy wznosi się olbrzymi baldachim nad papieskim ołtarzem: dźwigają go, jakby na znak tęsknych naszych nadziei, cztery ogromne malachitowe kolumny, nadesłane z daru rosyjskiego cesarza. Odbudowanie w danym kształcie tej drogocennej świątyni, która nieszczęśliwie zgorzała w ostatnich dniach panowania Piusa VII, jest jakby znakiem przypomnienia się światu danym przez wielkiego Apostoła. Pius VII stanął na przełomie dwóch epok: starego porządku, wieku oświecenia, rewolucji, cesarstwa i porządku nowego. Leon XII wstąpił na Katedrę Piotrową już w nowym porządku rzeczy, kiedy Kościół miał się zwracać bardziej do indywiduów, do rzeszy i do narodów, aniżeli do państw i do mocarzy. Widzieliśmy, że zaświadczyły o tem wszystkie czyny Leona, chociaż on sam, jako człowiek, należał do minionej epoki. I na spotkanie się łodzi Piotrowej z tą nową falą życia wy-

szedł niejako na brzeg Apostoł Paweł. I to również jest nam bliskie.

Jeszcze jeden moment przychodzi nam w specjalny sposób zauważyć w krótkim okresie leonowych rządów. Oto zaznacza się u schyłku dni jego niezmiernie znamienny fakt, który w następstwie lat miał się rozwinąć w ruch tak wielki, fakt, że tak powiem nabożeństwa, gorącej miłości wiernych względem Papieża. Poszczególne osoby, indywidua oddawały się całkowicie na własność Ojcu Świętemu.

Przykładu tej heroicznej wierności, miłości, dostarczył później beatyfikowany zakonnik pasjonista, błogosławiony Wincenty Strambi, biskup z Maceraty. Zwolniony wskutek swych próśb i podeszłego wieku z obowiązku dalszego pełnienia swych czynności pasterskich, błogosławiony Strambi został przez Leona XII osadzony w Rzymie na Kwirynale, gdzie zamieszkiwał ówcześnie sam papież wraz ze swoim dworem. Było to w 1823 roku, na krótko po wyniesieniu Leona na najwyższe pasterstwo. Biskup z Maceraty miał służyć papieżowi za doradcę duchownego, pocieszyciela i nieledwie przewodnika. Ojciec Święty długie godziny u niego przebywać lubiał, nie dopuszczając wówczas nikogo do siebie. Ale zdarzyło się, że zawsze słaby Leon XII zachorzał śmiertelnie. Wszystko zdawało się zwiastować, że rychło nastąpi jego zgon. Wówczas Strambi zbliżył się do łoża papieskiego, mówiąc te słowa: „Ufności, Ojcze Święty, jest ktoś, który ofiaruje swe życie za życie Waszej Świątobliwości". Tą osobą był Strambi sam. Gdy następnego dnia odprawiał mszę świętą za jego wyzdrowienie, słyszano jak w czasie podniesienia wymawiał te słowa: „Panie! jeśli przyjmiesz moje życie za życie Ojca Świętego, chętnie Ci je ofiaruję". I wysłuchaną została prośba Sługi Bożego. Jeszcze odprawiał swe dziękczynienie, gdy zawołano go do papieża, gdzie się dowiedział, że chory ozdrowiał. Strambi odezwał się wówczas: „Otożeśmy otrzymali łaskę, o którąśmy prosili. Matka Najświętsza nas wysłuchała i Bóg przyjął naszą ofiarę". W kilka dni później umarł świątobliwy biskup, a papież panował jeszcze przepowiedzianą przez niego liczbę lat i mógł spełnić wielkie dzieło jubileuszu.

Błogosławiony Strambi znany jest i w Polsce, dzięki

cudowi, doznanemu za jego wstawiennictwem i to podczas jubileuszu 1925 roku przez jedną osobę z Polski, która nie od tak dawna przeszła na łono Kościoła z grona odłączonych braci wschodnich. Pisały o tem swego czasu gazety warszawskie. Fakt ten, jakby coś osobistego dla nas wkłada we wspomnienie dziejów Leona XII.

Nie myślałem tutaj omawiać je całe. Wybrałem tylko kilka charakterystycznych momentów, które z panowania papieża z przed stu lat czynią dla nas coś bardzo współczesnego: jubileusz, epokowe jego znaczenia, zwrócenie papieskiego wzroku na Rosję, początek powrotu Anglji do jedności katolickiej, myśl Kościoła zwrócona ku ludom, pierwsze rozbłyski nowoczesnego apostolstwa i wreszcie ten uroku pełen czyn błogosławionego Strambi, który jest jakgdyby znakiem rozpoczęcia się ciągłego pochodu miłości ku Stolicy Piotrowej i samej osobie Ojca Świętego.

Na tę miłość odpowie Sobór Watykański, jasno formułując katolicką zasadę i prawdę, że Ojciec Święty jest osobistym i bezpośrednim pasterzem każdego katolika, niczem w tem władzy biskupów nie ujmując, ale przeciwnie dając jej nierozerwalny fundament.

Rewolucja francuska rzuciła hasło wolności ludów i niepodległości każdej poszczególnej jednostki ludzkiej. Kościół skorzystał z tego, by każdą jednostkę tem mocniej i tem nierozerwalniej połączyć z najwyższym pasterzem, a przez to z Chrystusem samym.

On ją w ten sposób prawdziwie czynił niezawisłą, bo królującą z najwyższym Królem. Ludy zaś, jak nigdy może dotąd, od chwili ustalania się państw nowożytnych i ich absolutyzmu, zaczęły coraz swobodniej oddychać w sercu Kościoła. I tak zdarza się niejednokrotnie, że to, co przewroty ludzkie głoszą w jakiemś niejasnem przeczuciu, sprawdza się przez Kościół.

Pomimo trudności niejednokrotnych, o jakie musiał się wciąż potykać, Leon XII w zmienionej zawieruchami Europie starał się z poszczególnemi państwami pozostawać w dobrej zgodzie, zaś wewnątrz posiadłości papieskich specjalnie baczył na poprawę obyczajności publicznej, chociaż i tutaj sposoby, jakich się w tym celu imano, więcej świadczą o do-

brej woli, niż o zastosowaniu się do zmienionej sytuacji. Podobnie się i we Francji ówczesnej rzecz miała, np. z przywracaniem obowiązującej mocy pewnym przestarzałym prawom. W rządach Leona XII bowiem możemy łatwo odnaleźć i wszystko to, czem odznaczało się postępowanie wielu innych współczesnych mu rządów, ale przedewszystkiem jednak rozpoznamy to, czego próżno szukać gdzie indziej — a mianowicie niezmienność i wierność Rzymu w obowiązku spełniania powszechnego apostolstwa, a to częstokroć w formach wprost opatrznościowych, choć zupełnie przeciwnych możnym owych czasów. To właśnie tak uderza w postaci Leona XII „przeciętnego Papieża".

Nadmieniłem, że pierwszy romantyzm również na jego czasy przypada. Poeci i artyści zewsząd śpieszyli do Rzymu, który się pod ten czas staje ulubionem miejscem pielgrzymek (nie koniecznie w religijnem jeno znaczeniu) międzynarodowej inteligencji, oraz... zdetronizowanych monarchów. Co do artystów, osiadłych za Leona XII w Rzymie, to błyszczy pomiędzy nimi po Canowie, który jaśniał swym dość zimnym blaskiem za Piusa VII, Duńczyk Thorwaldsen, aż nadto dobrze znany Warszawie. To jeden z pierwszych konwertytów świata skandynawskiego. W Rzymie również gromadzili się jednocześnie niemieccy „Nazarejczycy" około Overbecka. I to również konwertyta. A „Nazarejczycy" starali się uzgodnić neo-klasycyzm form z natchnieniem starej sztuki chrześcijańskiej, czyli, mówiąc innym językiem, dorobek umysłowy i nawyki kulturalne owego czasokresu z religijną prawdą chrześcijańskiego życia. Do Rzymu chętnie też zajeżdżał król Ludwik bawarski, aby świadczyć i ludziom i rzeczom o swej miłości dla sztuki. Podwójny prąd ogarniał wówczas kraje germańskie, a mianowicie, przeżytki — ach, jak długowieczne! — ducha racjonalistycznego i oświeceniowego, a równocześnie jakiś pęd do średniowiecza katolickiego, tęsknota, którą tak pięknie wyraził Novalis. Za pontyfikatu Leona XII pojawił się również po raz pierwszy w Rzymie tak później głośny Lamennais. I on tak samo był konwertytą, konwertytą z indyferentyzmu religijnego do wiary. Właśnie jego „studja nad indyferentyzmem religijnym" poruszały nietylko Francję, ale i zagraniczne dwory. Lamen-

nais bowiem tak stanowczo i tak bezwzględnie głosił prymat Papieża, że upatrywano w nim niebezpiecznego buntownika wobec państwowych urojeń o protekcyjnym stosunku rządu do Kościoła. Ognisty temperament Lamennais'ego, przesiąknięty zresztą zbytnio jeszcze sentymentalizmem Rousseau'a i błędnem, nadto materjalnem pojmowaniem tradycji, nie wytrzymał później nieogarnionej dla ludzkiego rozumu i tak wielce zróżniczkowanej wielostronności kościelnego życia katolickiego. Jego naczelne myśli nie umiały ustąpić kroku prawdzie katolickiej, ale, jakkolwiek rzecz się miała, i on i wszystkie poprzednio przytoczone fakty stwierdzają, że po erze odstępstw jawnych czy skrytych, jakie cechują wiek XVIII, przyszła wciąż jeszcze się ciągnąca szczęśliwsza era nawróceń.

I tu Leon XII nawiązuje do współczesności. Za Leona XII jesteśmy już w całej pełni w w. XIX, co niezupełnie dałoby się powiedzieć jeszcze o Piusie VII i cesarstwie, za których kończą się częstokroć rachunki minionego stulecia. Wszystkie zaś odruchy i prądy, które cechować będą wiek XIX, minione dla nas, ale wówczas nowe jeszcze stulecie, już obecnie kiełkują za Papieża della Genga, lub przeżywają swe fazy bujnej, może niekiedy nieco dziecinnej młodości i to z dość znacznym nakładem retoryki i fantazji. I Byron przelotem wówczas w Rzymie bywał, zanim popłynął dać swe tęskne życie za wolność Grecji. I on — rzecz znamienna — musiał aż walczyć z nagabującą go myślą o prawdzie katolicyzmu. Katolicyzm wżerał się w owym czasie wszędzie, albo lepiej, odsłaniał swą powszechność na dnie dusz, tak jak oczyszczony staw z szuwarów okazuje nagle swe zwierciadło wodne.

Wogóle cały ten pontyfikat, przypadający na klasyczne chwile Restauracji francuskiej (koronowanie Karola X i hymn Lamartine'a) oraz Królestwa Kongresowego w Polsce (koronacja Mikołaja), zapowiada nadchodzący już okres odnowienia katolickiego życia i przygotowywa dalsze losy dusz w chrześcijaństwie. Tem to ciekawsze, że Opatrzność wybrała wówczas „przeciętnego Papieża" na swe narzędzie. Ale przygotowywał się tak samo i konflikt włoski, zakończony obecnie w Lateranie i rozwijała się działalność karbo-

narich wszelkich gatunków. Papież wielkiego jubileuszu pisał też ostrzegawczą i stanowczą encyklikę o masonerji. Z polskich opisów Rzymu mamy z owych czasów dziennik podróży Anny Potockiej. Niebawem zjedzie do Wiecznego Miasta i Mickiewicz.

Grób Leona XII znajduje się u św. Piotra. Nie jest to arcydzieło, jak i sam Hannibal della Genga nie był „wielkim Papieżem". Żaden z ówczesnych znakomitych artystów pomnika tego nie stworzył, ale i to jest symboliczne: Wielkiem jest Papiestwo i każde dzieło znakomitem przy nim się staje.

DOPISEK: Ogólne wiadomości o pontyfikacie Leona XII można zaczerpnąć z polskiego tłumaczenia Historji Kościoła kard. Hergenrothera, zrobionego wedle starszych wydań tego dzieła. Innych wiadomości bibljograficznych tu chwilowo nie podaję. Piękny opis jubileuszu zaczerpnięty jest z drastycznie i niesympatycznie napisanego dziełka francuskiego literata Hayward o stu ostatnich latach świeckiego panowania Papieży (1927). Szczęśliwym trafem w chwili wykończania tego szkicu znalazłem w bogatej bibljotece ks. metrop. Szeptyckiego ciekawy druk listów pasterskich i przemówień prymasa Woronicza (w Krakowie nakładem i drukiem J. Czecha 1832—33 i trzy tomiki pod tytułem: „Pisma Jana Pawła Woronicza") gdzie w pierwszym tomiku mamy odezwę o zgonie Piusa VII, a dalej pierwszy list pasterski, donoszący o zacząć się mającym jubileuszu, wydany w Warszawie dnia 14 sierpnia 1826 r., gdzie mowa o nadziei bliskiego rozpoczęcia tegoż „po tylu trudnościach" jak mówi, towarzyszących jego ogłoszeniu w Królestwie" . Po tym — idą dwa dalsze listy pasterskie o tymże przedmiocie, jako też i o przedłużeniu jubileuszu do dnia 1 marca 1827 roku. Wszędzie Woronicz występuje jeszcze jako biskup krakowski. W drugim liście dość jasno Woronicz daje do poznania jak wielkie mogą być skutki jubileuszu. Znajdujemy tam również obowiązujący wstęp do modlitwy „za błogie i najdłuższe panowanie najjaśniejszego Cesarza i Króla naszego Mikołaja I-go". — Dużo ciekawszą jest broszurka wydana w Wilnie w drukarni bazyljańskiej „o jubileuszu w Rzymsko-Unitskich Wileńskiej Metropoliczej i Brzeskiej djecezjach przez rok 1828 obchodzić się mającym". Imprimatur jest tu z 1825 roku. Ciekawe, że w „prowincjach zabranych" — udatniej poszło z uzyskaniem pozwolenia na ogłoszenie jubileuszu, niż w Królestwie. Czyżby rodzima polityka ówczesna antyreligijnego ministra oświaty w ten sposób swe owoce wydawała? Broszurka „Rzymsko-Unitska" (48 str.) ciekawa jest z różnych względów. Historyk Unji znajdzie tam okazy silnego zlatynizowania nabożeństwa wschodnio-katolickiego. Tak np. występuje Litanja do Wszystkich Świętych, gdzie jest i święty Wojciech i św. Florjan i św. Jacek i św. Stanisław Kostka i św. Ignacy Lojola i św. Franciszek Ksawery — jednem słowem wszelkie późniejsze, albo też wszystkie li tylko

polskie dodatki do litanji, ale gdzie Wschód i Ruś zaledwie są reprezentowane przez dwie inwokacje, jedną do św. Bazylego Wielkiego, a drugą do św. Mikołaja, biskupa Mireńskiego. Zresztą, przecie wiadomo że ta litanja jest łacińską jedynie. Nie od rzeczy będzie dodać, że w diecezjach tak latinizujących, Unja się nie ostała. Chwila historyczna zapisała się w tej broszurce modlitwą za Aleksandra I-go. Charakterystyczne dla ówczesnego reżymu politycznego jest, że modlitwa za monarchę poprzedza modlitwę za papieża, a już nieskończenie dziwacznie wyglądają długie litanje za pomyślność wszelkich możliwych członków rodziny cesarskiej, którzy również w hierarchji dozwolonej przez cenzurę występują przed Papieżem. Zresztą pełno w tem nabożeństwie unickiem bardzo pięknych modlitw, tylko rażą zupełnie nieodpowiednie transpozycje terminologji wschodnio-liturgicznej na polsko - łacińskie nazwy, jak komża, stuła i t. p. W każdym razie dwa te stare druki bezpośrednio wywołują przed naszą wyobraźnią to coś, co możnaby nazwać falami eteru, idącemi z faktów historji. W jakimś zakątku pobernardyńskiego Kościoła w Wilnie można jeszcze znaleźć drewnianą tablicę z cyfrą Leona XII i napisem — III-Kościół jubileuszowy. — To też pamiątka z wielkiej inicjatywy 1825 r. Rzecz ciekawa, z imieniem Leona XII wiąże się również świeżo po polsku wydany list do Papieża Hoene Wrońskiego, gdzie, jak przypomina o tem Charkiewicz, filozof rzuca myśli o powrocie Wschodu do jedności kościelnej — myśli bardzo trafne, zupełnie współczesne — i gdzie żywo kreśli przyszłość katolickiej Rosji, schodząc się w swych pojęciach z Sołowiewem. Tak więc tło epoki jeszcze bardziej pozwala nam widzieć w Leonie XII poprzednika nowszych poczynań papieskich względem Rosji i Unji.

Tadeusz Rzewuski.

Ukraina w poezji Słowackiego.

(Ciąg dalszy)

III.

Drugi okres twórczości Słowackiego przedstawia dla badacza wpływów ukraińskich skąpy teren obserwacyjny. Jest to okres coraz innych wrażeń, podróży. Szwajcarja — Włochy — Rzym — Neapol — Egipt — Piramidy — Ziemia Święta — Grecja — Florencja i Paryż, wypełniają tych osiem lat Słowackiemu, zasnuwają wspomnienia świeżemi widokami, nie dają myśli wstecz zawrócić, spokojnie się unieść ku swoim. Piętno tego gorączkowego życia wycisnęło się i na ówczesnej produkcji literackiej Słowackiego. Dramaty patrjotyczne — podaniowe — fantastyczne — psychologiczne, poematy wschodnie — szwajcarskie i ukraińskie, plotą się naprzemian. Wprawdzie, prócz początkowego *Mazepy* i końcowego *Wacława*, nie zajmuje się Słowacki zupełnie tematami ukraińskiemi, jednak nie opuszcza go nigdy wspomnienie Ukrainy. Zobaczymy zaraz, jak wśród zupełnie obcych warunków napada go tęsknota za krajem i poczyna sobie przypominać Ukrainę.

W najniewidoczniejszy nieraz sposób wplecione spostrzeżenia lat dziecinnych — gdyby nie same objaśnienia poety — nie odgadłe dzisiaj, ani wówczas nawet. Co nadewszystko cechuje ten okres, to coraz silniejszy wpływ języka ukraińskiego. Poprzednio, prawie nie używał słów ukraińskich; teraz nietylko pojawiają się coraz to częściej, ale poczyna polskie wedle nich tworzyć, ukraińskiem mianem chrzcić swoje utwory (*Änhelli*). Językiem zresztą zajmiemy się w osobnym rozdziale.

Zaznaczyć należy, w tym okresie, brak opisów szablonowych, martwych. Cokolwiek odnosi się do Ukrainy, jest żywe i czuć, że z pod serca wyrwane. Ukrainizm Słowackiego zaczyna się pogłębiać. Nabiera coraz to właściwszych soków z żyznej podolskiej gleby. Próbuje się i wychyla coraz to więcej, by wyruszyć z Beniowskim w stepy, na poszukiwanie lir żebraczych. Jeszcze nie nadszedł okres apoteozy kurhanu, a Ukraina staje się już wykładnikiem piękna, pionem estetyki dla zagranicznych widoków. Od *Mazepy* do *Wacława* przeskok szalony. Jest on tem samem dla drugiego okresu — czem *Duma* w pierwszym: przesłannikiem *Beniowskiego*. Dziwnie surową jest ta poezja Słowackiego, pozbawiona pierścionków i maneli *Żmiji*, roztęczonego jak rosa na ukraińskich bodjakach. Wdzięcznego tematu historji dziejów ukraińskich, w kierunku poezji narodowej polskiej, Słowacki nie wyzyskuje. Psychologiczne zawikłanie Mazepy nie stoi w żadnym związku z podaniem. Końcowa scena ukarania bynajmniej z tokiem akcji nie wiąże się, ani na nią nie wpływa:

MAZEPA:

Oddalam się, cokolwiek mię czeka za progiem.
Wychodzi. — Słychać, że go w korytarzu napadają ludzie zbrojni. — Szczęk krótkiej walki.

WOJEWODA:

Biorą go, wiążą...
Sznury się w mięso wpiły — koń ciało roztarga. —
Zimno mi.

Akt V, w. 191—201.

Możliwe, że w pierwszej redakcji było więcej ukraińskości, zastąpionej przez szlachetczyznę pana Paskową. Wogóle zapanuje później u Słowackiego poemat i dramat szlachecki na Ukrainie, przeplatany wątkiem ludowym ukraińskim. Przez cały czas pobytu w Genewie zajmuje go powyższy temat, poruszony przez Byrona. Zainteresowanie to wywiózł już z Paryża, o czem możemy wnioskować na podstawie korespondencji i wspomnianej już wzmianki w *Królu Ladawy*.[1]) Na tem wyczerpujemy wszystkie szczegóły co do *Mazepy*.

[1]) Ks. I. w. 150—160.

Inaczej ma się sprawa ze światem fantastycznym w *Balladynie*. Bardzo trudny do rozwikłania w poemacie, gdzie mieszają się wszystkie pierwiastki ludowe, polskie, ruskie, niemieckie i orjentalne, wpływy Szekspira i Zaleskiego, poplątane w rusałczaną nić goplanowego królestwa. W samym tekście pojawia się drobna, pseudo-historyczna wzmianka rządów Popiela: „Sąsiad ziemię kata na pośmiewisko zwie Rusią Czerwoną". [1]) Ciekawe, że tem mianem chrzci Słowacki — Polskę. Świat nadzmysłowy przypomina więcej literackie boginki, niż utwory fantazji ludowej. Zato dosyć szczegółów etnograficznych słowiańskich, mogących być tak dobrze polskiemi, jak ukraińskiemi: np. grająca fujarka, wycięta z drzewa posadzonego na grobie — błędne ogniki, włóczące dobrych ludzi po błotach — mogiła samobójcy na której „coś" straszy — podanie o jaskółkach, zimą spoczywających na dnie rzeki i drugie — o zabijaniu matek przez młode, odlatujące do ciepłych krajów i t. d., i t. d.

Niewątpliwie ukraiński, wschodni, podolski jest obraz w powiedzeniu Chochlika: „Pracuj jak koń pogański, pracuj całe lato a zimą śpij u chłopa za brudnym przypieckiem — między garnkami, babą szczerbatą i dzieckiem", [2]) choć w rdzennej Polsce nie brak i dziś podobnych obrazków. Pierwiastki ukraińskie są tak przemieszane, że niepodobna wprost ich wydzielić i stwierdzić, o ile ukraiński folklor wziął udział w tworzeniu *Balladyny*. Tak samo nie da się wyłączyć pierwiastku ludowego z przygotowania w *Kordjanie*, gdzie najbardziej uderza scena z czartowskim tyglem, podobna do ludowego obrzędu zamawiania czarów; nawet szpilek, służących u ludu do odczyniania uroków, kilkakrotnie czarownice Słowackiego do swoich praktyk używały. Zresztą niema w tem nic specjalnie ukraińskiego, raczej wpływ ludowy słowiański i *Makbet*.

Wstęp do *Balladyny* każe przypuszczać, że przy tworzeniu „jakaś niby tęcza z myśli" unosiła się nad ruinami zamku królowej Bony. Marzył Słowacki, dzieckiem jeszcze będąc, „że w ten wieniec wyszczerbionych murów nasypie widm, duchów, rycerzy, że odbuduje upadłe sale i oświeci je

[1]) Akt I, w. 77—78.
[2]) Akt I w. 207—209.

ogniem piorunowych nocy", [1]) — o ile to spełnił, niewiadomo. Może ów zamek Kirkora powstał z cegieł krzemienieckich ruin, a z fantastycznej myśli zaludnienia samotnej góry wyczarowała się nadgoplańska legenda? Przypuśćmy nawet — niczego to nam jeszcze nie wyjaśni.

Nieuchwytny pierwiastek ukraiński odczuwamy w *Horsztyńskim*. Ani jednego opisu, ani jednej wzmianki, a jednak czujemy, iż dzieje się to na Rusi, na wschodzie. Choć akcja tak blisko Wilna umiejscowiona, czuć go bardzo południowemi okolicami. Maryna „w długiej przepasanej koszuli z szarego płótna, której nie brakuje odwagi jeździć na koniu", jest raczej typem demonicznych mieszkanek futoru, niśli córki litewskiego rybaka. Dopiero z dalekich krain wschodu odczuje znowu Ukrainę i zwróci się do niej (ostatnią strofką IV pieśni).

Wogóle *Podróż na Wschód* jest przepełniona wspomnieniami dzieciństwa. Z tych, co nas bliżej obchodzą, mamy tu jeszcze wspomnienie Zofjówki, [2]) mające odżyć niebawem w jednym z najcharakterystyczniejszych poematów *Wacławie*. Operuje tutaj Słowacki takiemi porównaniami: „Stojąc w tej niszy, jak kozacka spisa", [3]) opisami, potrącającemi o przyrodę ukraińską, [4]) rodzinny krajobraz zaczyna odświeżać się w jego pamięci. Ale dopiero, jak lampka przyćmiona niespodziewanym blaskiem, zatoczy krąg świetlisty w *Wacławie*.

Motyw, poruszony przez Malczewskiego, zaprzątał żywo wyobraźnię poety, znał i pamiętał dobrze ogród tulczyński, przy zwiedzaniu którego cisnęła mu się na usta duma ludu, przeklinająca Potockiego. [5]) Rehabilituje Szczęsnego, może pod wpływem romantycznej przeszłości. Osnową jest otrucie Potockiego przez kochankę, motyw czysto ludowych pieśni ukraińskich, choćby tylekrotnie wspominanej dumki o Hryciu. Powszechnie utrzymują w zamku, „że ktoś na

[1]) *Balladyna*, Przedmowa.

[2]) Pieśń VI, w. 172.

[3]) P. VI, w. 214.

[4]) P. VI, w. 8.

[5]) Jedyna ze znanych, *Pisń o Bondarywni*, odnosi się do Mikołaja Potockiego. Przedmiotem: narzekanie na surowego starostę, który kazał pachołkom swoim uśmiercić Bondarywnę. (J. Turowski. Dodatek do zbiorów pieśni, Lwów, 1846; Szynbergowo, staromiejskie).

pana rzucił śmiertelne czary" i obwiniają o to grafinię. Widziano ją wieczorem, w grocie, z upiorem Wernyhory, który przyniósł truciznę, sporządzoną z prochu antenatów.[1]) Pierwsza to obszerniejsza wzmianka w poezji Słowackiego o Wernyhorze. Na samym początku mamy zapytanie: „Czy znasz prorocką dumę Wernyhory? czy wiesz co będzie w jarze Janczarychy?" [2]) poczem następuje opis czarodzieja: „Szata go długa w ciemności obiela, na głowie wianek stepowego ziela, na głowie siwej, porośniętej runem, wiąże się burzan czerwony z piołunem".[3]) Grafini cierpi wyrzuty sumienia, wszak męża otruć nie chciała:

Już czuję zgryzoty,
A przecież śmierci męża jam nie winna.
Ona to! ona, ta kobieta gminna
Musiała jakieś zemsty niepowszednie,
Lub spełnić jakie chłopskie przepowiednie;
A gdy ja chciałam, by ta wiedźma z piekła
Czarę miłosnem zaklęciem urzekła:
Ona...

W. 469—473.

Motyw często w dumach ludowych używany: napój miłosny, podstępnie zamieniony na truciznę. Osnowa poematu bliska miłosnych pieśni ludu ukraińskiego. Opisy liczne, żywe i barwne, z początku jakby echo *Marji*, już po kilkunastu wierszach wyswobadzają się najzupełniej:

Gdy zaleszeszczą powoju łańcuchy,
Albo gdy śmignie jaki złoty sumak
Myśli, że biały Puławskiego rumak,
Albo, gdy kosa o kamień zadzwoni,
Myśli, że Sawa jedzie w tysiąc koni.
Ale już w grobach są ci sławokraśni.
Ziemio — kurhanów nie marz o nich — zaśnij.

W. 20—26.

Niema tu już melancholji stepu, ale właściwy Słowackiemu rytm oddechu mogił. Pomijając liczne drobne, a plastyczne

[1]) Prochy ludzkie, jako środek trujący, ludowi ukraińskiemu nie znane. Prawdopodobnie jest to jakiś sposób włoski, gdzie trucicielstwo było wysoko rozwinięte i wyrafinowane. Lud ukraiński używa w tym celu zwyczajnie prochu z żab i węży, lub wyciągów roślinnych.

[2]) *Wacław*, w. 27—28.

[3]) *Wacław* w. 196—203.

jak nigdy dotąd, obrazki Ukrainy, np. ów „djaków i bab blady wianek", jakby klęczący przed naszemi oczyma, opisy dworu, wsi i parku tulczynieckiego, odczuwamy ów rytm stepowy, jak dźwięki marsza żałobnego:

Po ukraińskich syczą stepach żmije,
Pogrzeb się czarny z pochodniami wije,
A za pogrzebem groźny wicher wyje.
Smutno, posępnie przez kurhany płynie
Pogrzeb możnego pana w Ukrainie.
Z każdej mogiły ognista kolumna
Wytryska w niebo, gdy nadchodzi trumna.
Już przeminęła a jeszcze czerwono;
Wszystkie kurhany w Ukrainie płoną
I rozmawiają cicho o pogrzebie.

W. 955—964.

Poemat ten przesiąknięty Ukrainą, jak żaden z dotychczasowych i mało który potem. Jedyny w całej twórczości Słowackiego, w którym Ukraina dostała charakter jakiejś zbrodniczej, przez duchy własne przeklętej ziemi. Wszystko tu dzieje się nocą, przy upiornych blaskach czerwonych świateł, myśl mimowoli ucieka gdzieś i szuka, po tylu okropnościach, wypoczynku. Nawet najdrastyczniejsze sceny z rzezi gruszczynieckiej, tak silnego wrażenia nie zostawiają, jak tych kilka smug pomarańczowych, ogni ceglastych, zgniłych, na tle bronzowo-granatowej nocy.

Wszystko tu ma jakieś barwy trupie, zepsute, nawet rytm cały pogrzebowo dźwięczy. Zmartwychwstała oczom naszym ziemia przerażeń, stokroć okropniejsza, niż wszystkie okropności starannie skolekcjonowane przez Goszczyńskiego. Tutaj przemówiły już same mogiły. Ile pierwiastków ludowych potrafił Słowacki wplątać w wątek napoły historyczny, jak okrasić podanie i przyćmić mrocznemi abażurami świetliste komnaty pałacu, można ocenić dopiero po wielokrotnem rozczytaniu się w poemacie, zapoznanym jeszcze. Wiele jest braków — nikt nie zaprzeczy — ale też trudno zaprzeczyć, że są tu najświetniejsze ustępy z twórczości całego okresu. Można z *Wacławem* nie zgadzać się, krytykować, ale nie sposób nie odczytywać z niesłabnącem zainteresowaniem poszczególnych ustępów, jak zwykło się czytać *Beniowskiego* i *Króla-Ducha*. Słowacki dochodził do ostatnich

wrót artyzmu, poezji. Stworzył rzecz, napozór nic z ludowością nie mającą, a jednak bardziej ludową od samego *Żmiji*.

Gdyby nie własne słowa poety we wstępie do *Lilli Wenedy*, niktby się nie domyślił, że na pomysł uratowania życia głodnemu ojcu, zapomocą przyniesienia wianka lilij, wpłynęło wspomnienie osobiste: „Dawniej jeszcze, jadąc przez Pińskie błota, widziałem mnóstwo lilij wodnych i mnóstwo chłopów wychudłych od głodu; między chłopami a nenufarem litewskim taki był związek, że chłopstwo jadło kwiatów łodygi, nie mając chleba; łodygi te bowiem mają rdzeń słodką, gąbczastą. Co z tego pińskiego wspomnienia do tragedji wniknęło — zobaczysz". [1])

Biała Lilla, po wysłuchaniu prośby o odwiedzenie ojca morzonego głodem, w niezawiązanej koszuli, jedynie z wiankiem lilij na głowie, „tych wodnych kwiatów, które u nas kładą dziewicom zmarłym na ostygłe czoła", staje przed Gwinoną ze słowami:

Królowo! ojca mego nakarmiłam.
Mój ojciec do mnie należy, królowo!
Widzisz, powracam bez kwiatów, bez wieńca,
W liljach było mego ojca życie;
Ja życie ojca przyniosłam na głowie.
Nie wierzysz? spytaj każdego Weneda;
Lilje wodne nas od głodu bronią,
Ilekroć zboże roku nie dotrzyma.
Tyle nie wiedziałaś, że ten wieniec biały
Zdziecinniałemu będzie piersią matki,
Że on go będzie ssał, śmiał się i płakał,
Podnosząc puste powieki do nieba,
Bogu dziękował za córkę i kwiaty.

Akt IV, w. 189—202.

Tak widok nędzy poleskiej zrodził jeden z najpiękniejszych nenufarów naszej poezji. Później, w *Beniowskim*, powtórzą się dwa motywy, zaczerpnięte z pomysłu *Lilli Wenedy*: motyw złotej, cudownej harfy — tam liry Wernyhory, i zabicie Salmona harfami przez Wenedów — w *Beniowskim*: matkobójstwo Wernyhory lirą. Pierwiastki to nieludowe,

[1]) *Lilla Weneda*, do autora *Irydjona* List drugi, w. 154—160.

wszystkim ukraińskim legendom obce i niewiadomo skąd, najprędzej z samej fantazji Słowackiego wylęgłe. Na tem kończy się drugi okres tematów ukraińskich w poezji Słowackiego.

IV.

Ostatni okres twórczości Słowackiego zaznacza się w pierwszym rzędzie wpływami językowemi, następnie powrotem do tematów ukraińskich, przeważnie historycznych, wreszcie przesiąknięciem zupełnem poezją i pięknością stepu. Teraz dopiero otwarła Ukraina przed nim wszystkie swoje tajemnice: oczarował się i zapamiętał w metafizycznej kontemplacji kurhanów. Zrazu przemknął mu się „biały Puławskiego rumak", usłyszał tętent „Sawy w tysiąc koni" i widział „W szablach step jak w złotych kłosach" — aż hen, pod Korsuń, pole walk Żeleźniakowych z panami Potockimi. Wernyhora zjawia się i czaruje kule; poczynają błąkać się po mogiłach jakieś duchy i krwawe przepowiednie, step ukazuje swoje drugie oblicze — tajemniczości, i powleka się nieprzeniknioną zasłoną. Zaczynają się dziać cuda: Matki-Boskie ukazują się pastuszkom poleskim, konie mistyczne uganiają po kurhanach, nocami włóczą się duchy i zjawiska, liry zaklęte poczynają grać. Słowacki przeszedł ostatnio fazę o d c z u c i a poezji stepu — poczyna się w c z u w a ć: „Boże! Kto nie czuł Ciebie w Ukrainy błękitnych polach, gdzie tak smutno duszy"... Kurhany powlekają się mistyczną mgłą, step przemienia się Słowackiemu w urealnienienie nieistniejących krain. Wie i czuje, że Ukraina taka musi gdzieś istnieć. Odrywamy się prawie z kluczem żórawi — step, jako taki, nierealnieje dla nas. Raz jeszcze uderza nas płomień buntu chłopskiego i zawleka się wszystko poświatą księżycową; we śnie wysrebrza i eteryzuje coraz bardziej, aż wionie jakimś czwarto-wymiarowym obrazem Zawiszy. Tam to, po raz ostatni już, zjawił się step Słowackiemu jak niedościgniona *fatamorgana*; oddał go też całkiem fatamorganicznie. Widzimy i upajamy się nim — zbliżyć się nawet, a cóż dopiero uchwycić niesposób. Potem raz jeszcze, w przedśmiertnych swych godzinach, zwróci się, ale już li tylko do historji Rusi, w rapsodach *Króla-Ducha*.

Zukrainizowała się poezja, zukrainizowało się odczucie jego i pojęcia. W Pornic, nad oceanem, „ranunkuły z doliny, jak maki Ukrainy zdawały się" Słowackiemu. „Śni mu się jakaś wielka a przez wieki idąca powieść — i na wielką ciszę się przygotował... że żadnych stąd oklasków nie będzie, chyba gdzie, jakie pary... białe wodne łabędzie po stawach ukraińskich, które są echem kraju i muzykantami Niebios"... Skarży się wreszcie w jednym z ostatnich wierszy, jak prawdziwy lirnik ukraiński: „I ani mi na polu wzniesiono kurhanów"... Parę lat wstecz żalił się proroczo: „Że nie wiem, gdzie się w mogiłę położę — smutno mi Boże". Tymczasem jeszcze żył i upajał się Ukrainą. W pojęciach jego zaszła wielka zmiana. Niema już tych „Polaków-kozaków z *Króla Ladawy*, Słowacki najdokładniej rozróżnił pomiędzy dwoma narodami. W *Śnie Srebrnym* występuje już jako rzecznik ginącej Ukrainy. Na bunt chłopski spojrzał ze stanowiska ukraińskiego a okrucieństwom wymierzył sprawiedliwość obustronnie. Ciekawe, że np. w *Śnie Srebrnym* więcej ujemnych typów jest pomiędzy Polakami — Ukraińcy bardziej dodatnio scharakteryzowani: nawet Semenkę, który bezsprzecznie jest między nimi najciemniejszą plamą, rehabilituje w całości. Społeczne stanowisko Słowackiego względem kwestji ukraińskiej przyjdzie nam jeszcze bliżej omówić.

Towiański wywarł decydujący wpływ na step i poezję ukrainną Słowackiego. Nadał jej ten mistyczno-mglisty koloryt, rozcudownił i rozprzepowiednił kurhany. Lirnicy wyrośli na srebrnych wieszczów i rapsodów. Wernyhora ukazał się, jak jedno z widzeń św.-Janowych. Teraz Słowacki tworzy zupełnie odrębną poezję ukraińską, powiał z niej prawdziwy „duch od stepu" i przemówiła do nas urokiem niesamowitym. *Beniowski* kończy szał barw i szmery amarantowych bodjaków — rozpoczyna się poezja srebrnych księżyców. Patrzą trupio i upiornie, nie rumienią się już na przyjęcie Emirów, krwią chyba. Melancholji Ukrainy Słowacki nie posiada. Jakieś dziwne, za falą mgły widziane życie, gorączkowy pośpiech majaczącej masy i pustka, cisza, dal, martwota. Nie wieje z tego stepu smutek, lecz raczej spokój, ukojenie, zdeterminowanie na wszystko. Ukraina

ostatnich lat poezji Słowackiego odbiegła od poprzednich obrazów jak czterdziesty wiek męski od pacholęcej osiemnastki. Nie widzimy ogni kolorowych i wesołych pokrzyków kozactwa, szumnych czajek i białych żagli, sokołów śledzących brunatne grzbiety sumaków — słowem kozaczyzny; zjawia się natomiast jakiś mglisty, nieogarniony step, usiany kurhanami, rozświetlanemi blaskiem tajemniczych ogni po nocach, w których cieniu włóczą się białe konie, duchy i upiory — a ponad tem wszystkiem świeci blada twarz Słowackiego jak samotne, zadumane, jedyne oko księżyca.

Przypatrzmy się teraz bliżej utworom z tego okresu. W *Beniowskim* złożył Słowacki cały swój dotychczasowy siew i wyrastające zeń źdźbła przyszłego zboża. *Beniowski* jest historją szlachcica, rzuconego w czasy walk konfederackich. Przechodzi najrozmaitsze koleje losu w podróży do Krymu, po sprzedaniu rodzinnej wioski; sprawiwszy swoje poselstwo, powraca na Ukrainę. Tyle co do treści fabularnej *Beniowskiego*. Jest natomiast jeszcze druga, historyczna, wypływająca z tła podłożonego: bunt chłopski Żeleźniaka, czyli t. zw. „koliszczyzna". Około niej obraca się cała późniejsza akcja *Beniowskiego*, ona wypełnia niemal całkowicie treść dalszych pieśni.

Na samym początku już słyszymy ks. Marka rozkazującego: „Dla kozaka Sawy, który się bije z chłopami na moście, wypuścić rację", a trzysta wierszy dalej, roztaczają się przed nami szczegóły walki: Konfederaci zgromadzeni w zamku, Sawa pojmał Mohiłę i uwięził, zamierzone wymordowanie Ladawy nie dochodzi do skutku. Potem wątek historyczny urywa się. Widzimy raz jeszcze rozfalowaną od przeciągających wojsk purpurę burzanów — i koniec. Dopiero w VI pieśni rozgrywa się przed naszemi oczyma bunt cały: przybywają Sawie posiłki do futoru. Lirnicy i starszyzna, pokłoniwszy mu się, namawiają, by połączył się z Żeleźniakiem, a gdy odmawia, wiążą i rzucają w lesie. Dopiero przez przejeżdżającego mimo Wernyhorę uwolniony z więzów. Tymczasem niedalego Gruszczyniec, koło Śmiły, toczy się walka. Potocki już zwycięża, Żeleźniak pobity cofa się do taboru, jedynie czerwona rozbójniczka Hudyma rzuca się na wszystkie strony. Zaoczonych opodal

husarzy zabija, co widząc Potocki wydaje rozkaz: „Baby żywcem!" Oddział zapuścił się w wąwóz — nagle jego brzegi usiały się głowami i zobaczono wzniesione liry; to dobrze znamy kureń Sawy, który jednak niespodziewanie i zdradziecko rzuca się na Lachów; Potocki każe otrąbić odwrót, ale i ten już odcięty: koło kapliczki gruszczynieckiej tłum chłopów i bab z nożami. Walka rozpoczyna się na nowo, gdy nagłe zjawienie się Wernyhory rozdziela obie walczące strony:

Jechał przez burzanów morze
Kozak już stary; na mglistym szatirze
Rysował się tak, jak upiór — a Boże
Wiatry mu grały u siodła na lirze;
On jechał, zda się, obumarły, śpiący,
Blady — na białym koniu trup grający.
Bo rąk nie ruszał ani ust... Natężył
Ducha i prosto szedł na walki pole;
Zda się, że myśli swe wszystkie zorężył,
Ubrał w pioruny i skrzydła sokole
I wysłał... i duch kozaki zwyciężył
I przeląkł... sobą samym...

Pieśń VI, w. 470—481.

W następnej pieśni epizod dalszej akcji: w Korsuniu, za stołem siedzi Potocki ze starszyzną i przygotowują wyprawę na zbuntowane chłopstwo, obozujące opodal pod lasem. Sawa przybywa wraz ze swemi wojskami i spostrzega starego Gruszczyńskiego, nie wiedzącego nic o spaleniu rodzinnej wioski. Wernyhora kręci się pomiędzy wojskami i czaruje kule. Na tem urywa się fragment. W pieśni IX widzimy przyczynę klęski polskiej: zjawiają się pastuszkom poleskim dwie Matki-Boskie: Poczajowska i Częstochowska, rozmawiające nad niedolą zakrwawionego kraju. Przychodzi, duch księdza Marka, oburzony na Potockiego z powodu stosunków, łączących go z Wernyhorą i zaklina obie, błagając o zgnębienie tego, który odciąga mu z Baru wojsko, idące za srebrnym głosem liry. Lira zaś ta, to nie inna — jak własna, mityczna, sławna lira Bojanowa. Kiedy go pochowano wraz z nią w kurhanie, koń-Duch przyniósł Wernyhorę i zostawiwszy na mogile zniknął. Mówią, że ma jeszcze kiedyś zjawić się po wróża.

Wernyhora usiadł na grobie i rzekł:
Ludzie! Wy lirę Bojana
Schowali w grobie. Liry rozmaite
Brzęczą po świecie, tam gdzie żal doskwiera,
Lecz nie ma drugiej liry, jak ta lira...
Przyjechał ja tu po lirę Zaboja
Na białym koniu, hej — i nie odjadę.
„Oj, śpisz ty w grobie, córko, liro moja,
Taj ja się także w dół przy tobie kładę.
Albo ty zabrzęcz tak, jak stara zbroja,
Albo ty jęknij... ja dam tobie radę...
Wyciągnę z grobu... wstał i spojrzał dumnie:
Lira zaczęła grać pod piaskiem — w trumnie.
Pieśń XI, w. 109—120.

Od tej chwili lira cudowna należy do Wernyhory. Zamieszkał w zamku korsuńskim, a Suchodolski otaczał go takiem samem poszanowaniem jak Bojana i dalej spisywał przepowiednie. Aż razu jednego, przed rzezią chłopską, ukazała się jakaś krwawa mara, duchy jakieś przybyły do zamku i Wernyhora wraz zniknął. W VI pieśni widzieliśmy co stało się w międzyczasie: uwolnienie Sawy z więzów i przerwanie walki. Samo ukazanie się Wernyhory wytrąca chłopom z rąk noże. Wernyhora wchodzi do kapliczki i poczyna gromić rzezuniów, aż nagle z kąta słyszy głos klnący jego imię. Rzuca lirę i zabija — nie wiedzący — własną matkę. (W innych ustępach zabójstwo to przedstawia Słowacki jako rozmyślne). Na tem kończy się opis buntu Żeleźniaka.

Widzieliśmy już dwa główne motywy: powstania chłopskiego i cudownej liry Wernyhory. Postać jego, znaną dobrze podaniom ludowym na Ukrainie, przybrał Słowacki w nowe szaty i dodał nieznany im szczegół — białego konia-Ducha [1]) i cudownej liry. Wspominają dumy ukraińskie o Bojanowej, ale nie ma ona nic wspólnego z Wernyhorą. Prośba o spalenie liry i matkobójstwo są dalszemi akcesorjami, do-

[1]) Tretiak (Spraw. Akad. Um. — maj 1909. Nr. 5, str. 4) przypuszcza, że „takie motywy jak biały koń Wernyhory — zaczerpnął Słowacki z Tek Goszczyńskiego, mieszczących w sobie materjał podaniowy, zebrany niegdyś przez niego na Ukrainie". — Pomimo pilnych poszukiwań, nie udało nam się odnaleźć nic, coby mogło usprawiedliwić powyższą hipotezę.

danemi przez Słowackiego. Na dalszych pieśniach *Beniowskiego*, począwszy od objawienia się pastuszkom Matek-Boskich, tudzież ks. Marka, powiedzmy dziś, złożonego w transie, którego fluidy zabłąkały się do ich stóp, prosząc o wysłuchanie, wyciska mistycyzm wyraźne piętno. Cała pieśń XI, poświęcona Wernyhorze, zostaje pod znakiem proroctw i cudowności równie przypisywanych temuż, jak praktykowanych przez Towiańskiego i jego uczniów. Wernyhora przepowiada dalsze losy Beniowskiemu i Gruszczyńskiemu. Ta ostatnia przepowiednia rozwinie się obszerniej w osobne dzieło: *Sen srebrny Salomei.*

Ponadto jeszcze mamy w *Beniowskim* cały szereg drobniejszych motywów ukraińskich: porównania i powiedzenia rozmaite, jak np. „Rzeka pełna Rusałek", [1]) „Był jak Archanioł Michał, Ukrainy Patron", [2]) „Na zorzy cztery słońca świeciły" [3]) i t. p. Lud powszechnie astronomiczne zjawiska uważa za nieszczęśliwą wróżbę. Wierzenia w upiora, podania, jak o żórawiu, trzymającym kamień, by nie zasnąć, wróżby i t. p. Cały szereg opisów zapamiętanych jeszcze z Wierzchówki, np. scena ugaszczania wędrownych dziadów, pogrzeby stepowe, taniec kozaka, opisy Anielinek i Ladawy, dworu, ogrodu, futoru, stepów — wogóle całego Podola. Weźmy np. początek pieśni piątej:

Przez ciemne, smutne gościńce kurhanów
Niesie go czarny koń dniami i nocą.
Pod ziemią tętna zakopanych dzbanów
Z prochem rycerzy, na niebie łopocą
Kruki, jak stada posępne szatanów.
W czaharach zbroje rycerzy migocą
I dzidy błyszczą krwawemi płomyki.
Tam, na kurhanach, posępne lirniki
Siedzą i grają dumy dawnych czasów.
Tu siedzą wianki na polu czumaków,
I ogień palą wielki, jasny, chmurny;
Tam dalej wieńce podróżników ptaków,
A drop na straży, albo sęp bezpiórny. W. 1—20.

Co za rytm koloru i szmeru nocy stepowej, wczucie się w poezję samotnego jeźdźca, na głuchej, mrocznej prze-

[1]) P. III, w. 262.
[2]) P. VI, w. 100.
[3]) P. VI, w. 45.

strzeni! Słowacki wchłonął opary unoszące się z ziemi; oddychał szerokiem powietrzem stepu, upajał sie, patrząc, jak „burzan podobny do lasu purpurowemi podpływał bałwany, by morze"... i rzucał się w nie jak nurek, wyławiać co najpiękniejsze perły zagubionych łez i z krwi rycerskiej dawnych wieków wytrysłe korale kalin. Pruł trawy jak delfin i krzyczał w czerwone słońce: „komu ty jedziesz?" A kurhany tętniły echem zakopanych dzbanów i szumiały głuchą odpowiedź. Usłyszał Słowacki i rzucił, jak bursztynowe wyzwanie — krągłą, sprężystą, jak zapalona iskrą źrenica rumaka, oktawę:

Jadę księżycowi,
Aby się w konia przeglądał kopytach,
Wonnemu jadę na stepach kwiatowi,
Dziewannom, które w złotych stoją kitach;
Anioł mię srebrny, jasny w skrzydła łowi,
I leci za mną, jak sen po błękitach,
I goni mię w kurhany.

Pieśń V, w. 181—187.

Niedaleko już od tego zapamiętania się w uniesieniu stepowem do słonecznych krzyków o Boga Ukrainy.

Beniowski jest ostatnim poematem opisowym, w którym składa Słowacki swoje wspomnienia. Step wraz z całem Podolem, zmartwychwstaje przed naszemi oczyma i pyszni się krasą swoją w pełnem świetle dziennego słońca. Niema prawie żadnej rzeczy, któraby działa się lub znajdowała na na stepie, a którejby Słowacki nie uwiecznił w kryształowych strofach. Niema tu już, jak poprzednio, właściwego mu i uderzającego koloryzowania, przerysowywania i domalowywania krajobrazu: surowy, jak świeża grudka ziemi, jak bodjak prymitywny w swem pięknie, wytęcza się jedynie przez ów kryształ poezji, w jaki o p r a w i ł Słowacki, nie z a k l ą ł Ukrainę. Stąd ta szalona realistyka opisów i wierność malarsko-plastyczna krajobrazu. Słowacki widzi, odczuwa i wczuwa się w piękno stepu, co więcej, zaczyna przezeń w y c z u w a ć inną, abstrakcyjną poezję. Nie zna majestatu i całej potęgi niebieskiej.

Kto cię nie widział nigdy, Wielki Boże,
Na wielkim stepie, przy słońcu nieżywym,
Gdy wszystkich krzyżów mogilne podnoże

Wydaje się krwią i płomieniem krzywym...
A gdzieś daleko grzmi burzanów morze:
Mogiły głosem wołają straszliwym;
Szarańcza tęcze kirowe rozwinie,
Girlanda mogił gdzieś idzie, i ginie.

Pieśń V, w. 445—452.

Od tej chwili poczyna się step mglić, zacierać, poszczególne obrazy znikają, a pojawia się ogólne pojęcie, wrażenie, wyczucie stepu. Większych opisów coraz mniej, zato ciągle staje nam przed oczyma wielka, w szarości wieczoru odpoczywająca równina, z wypuszczonemi kretowiskami dziejów — kurhanami. Mistrzowskiem pociągnięciem rozgwieździ je nieraz dalekiemi ogniami na szczycie, spoglądnie czerwonem okiem księżyca, upiornie wyjrzy słońcem z za kirowej chmury. Ptaki tylko, długim czarnym szeregiem przeciągną, i ożywi się za chwilę martwota obozującym tatarskim oddziałem. A najczęściej tylko kozak samotny, jak strzała pierzasta burcząc kolorowemi wylotami na wietrze, przerźnie wskróś pustkowie. Taki jest step dalszych pieśni *Beniowskiego.*

Dzieją się na nim dziwy: odgłosy ruchawki Żeleźniakowej ucichły, wojska Sawy nie prują więcej purpurowych burzanów. Zato lud wylega gromadnie i towarzyszy długim, czarnym korowodom:

Wyszedł pogrzebu smętny regimentarz,
Djak — cały pogrzeb stepem wiódł na cmentarz.
W stepie jęczały głosy niezbyt śpiewne,
A jednak piękne harmonją płaczliwą;
Jasną girlandą chorągwie cerkiewne
Szły — burcząc z wiatrem: świece nieśli krzywo
Chłopięta... Nieraz widziałem te rzewne
Pogrzeby, stepem idące i niwą...
Dawno już świata ogłuszony zgrają,
A jeszcze teraz słyszę — jak śpiewają...

Pieśń XI, w. 39—48.

Słyszał i widział jeszcze dziwniejsze rzeczy: koń biały przynosi starego kozaka, a lira pochowana w trumnie zaczyna grać z pod mogiły. Tajemnicze jakieś postacie włóczą się i szepczą koło grobu Zaboja, ostatniego rapsoda: „Łyra, hde ty?“ — A potem rozdzwonione struny jęczą bolesną przepowiednią: „Oj, powiedział ci ja, panie Regimentarz“... Coraz to dziwniejsze rzeczy poczynają się dziać na stepie, co-

raz to więcej zacierają się jego kontury. Nawet taki tabor Beniowskiego posuwa się jak we mgle i majaczy w niepewnych błyskach. To już zapowiedź srebrnej poświaty *Snu Salomei*. Słowacki poczyna umetafizyczniać step. Rozebrał Ukrainę do naga i nacieszywszy się do syta, gwałtownie szuka jej duszy. Odpowiedziała mu już parę razy na gorące wołania. Ale to mało, musi się zlać, stopić w jedno i na każdy akord odebrzmić zgodnym dźwiękiem. Przykrywa ją mistycznym muślinem i wchodzi duszą do duszy. Słowacki wyzwolił się z kontemplacji ziemskiego piękna i zagrał koncert dusz. Zrozumiał się i pojął z Ukrainą, jak dwoje kochanków, nie ujarzmionych ani nie ujarzmiających się wzajem. Lecz już niebawem, duch jego wyklęty z lirą Wernyhory wyleje się na kurhany i wszystko sobą potłumi, przygłuszy, ujarzmi. Step, jak pies bity, rozczołga mu się u nóg. Narazie dopiero próbuje i poznaje ducha swego. Tak zaczął Słowacki trzeci okres swojej ukraińskiej twórczości.

Ten sam temat stanowi treść *Snu srebrnego Salomei*. Mamy znowu bunt chłopski, Wernyhorę i Sawę, Gruszczyńce, okrucieństwa rzezi, widma i duchy, pogrzeby, przepowiednie wspomnienia, a ponad tą całą Gehennę — łzy srebrne ostatniego Ukraińca-Polaka, jakich jeszcze szlachcic kresowy, Beniowski wylewać nie mógł. Głównym motywem, na którym oparł Słowacki akcję dramatu, jest rzeź gruszczyniecka i przepowiednie Wernyhory.

Stary Gruszczyński, w jednej ze swych wypraw, przybywa do futoru Wernyhory i słucha jego wróżb:

Plótł mi, zwyczajnie gaduła,
Że mi żonka moja spruła
Kaftanik dawno zaczęty...
Że co do mnie, będę wzięty
Przez dwie chorągiewki w stepie
Jak szczygieł i gil na lepie
W przerażeniu odrętwiały,
Że prócz głowy, będę cały
W grobie.

Sen, akt I, w. 92—100.

„Na te przepowiednie spogląda jak na brednie, nic z nich nie rokując złego" i odchodzi. Tymczasem zaczynają

się sprawdzać jedna po drugiej i właśnie to ich wypełnianie się stanowi dalszą akcję dramatu.

Pod koniec zjawia się Wernyhora. Wiedział o wszystkiem i wszystko przepowiedział, a teraz odchodzi hen, na Ukrainę. Kocha Polskę, jak swoją drugą ojczyznę, ale wobec ludu, z którego wyszedł, pozostaje lojalnym. Przybył jedynie poto, by oddać Sawie szlacheckie dokumenty Calińskich, których zaginięcie było przeszkodą w uznaniu oficjalnem ślubu Sawy z księżniczką. Chował je w swojej lirze, dopóki sądził, że Sawa zostanie hetmanem Zaporoża, teraz tłucze ją i oddaje papiery księżniczce, której, jeszcze jak była dzieckiem, stawił przed oczy całą, rozgrywającą się obecnie, scenę. Ciekawe, że wiedział ten widun wszystko, prócz tego, że Sawa nie będzie nigdy hetmanem. Jest to pewna niekonsekwencja w skreśleniu postaci Wernyhory. Rozporządził już wszystkiem, nad czem był panem: „Lirą, pieśnią, wychowanką, i hetmanem, i hetmanką", a teraz opuszcza ten próg szlachecki, gdzie tyle razy bywał, nie bez wzruszenia. Nieszczęście ludu jest i jego nieszczęściem, a po tem wszystkiem, co zaszło, nie może już on, lirny król, pozostać z tymi „trupami". Rzuca wizję zagłady szlachty, a następnie zmartwychwstania Polski w całej dawnej świetności na dźwięk jego liry — i odchodzi. Taka jest treść *Snu Srebrnego*, oparta na historji buntu chłopskiego na Ukrainie i przepowiedniach Wernyhory.

Pełno motywów powtórzonych, np. pogrzeb-wąż stepowy, mara widziana przed rzezią, wspomnienie wędrownych dziadów, ugoszczonych w Wierzchówce, koń biały Wernyhory i t. d. Pojawia się rzecz nowa: wiara w sny, obok wiary w przepowiednie, powszechna u ludu, tutaj jednak raczej z nauki Towiańskiego zaczerpnięta. Drobne opisy stepu i okolicy, charakterystyki kozaków i chłopstwa, wzmianki o obrzędach ukraińskich, jak o „wertepie" wigilijnym, (naszej szopce), kolędach-szczodriwkach i Jordanie:

Czasem z kurhanu,
Kiedy się futrem otulę,
Patrzę, jak wy na Trzy Króle
Święcicie wodę Jordanu.
Gdzieś, na srebrnym, rzecznym lodzie,

Co błyszczy, by złota blacha,
Pop wasz trojgiem świateł macha,
Ogniem rzuca po narodzie;
Z trzema płomieniami w dłoni
To wstanie, to się pokłoni,
To się pokłoni, to wstanie,
Aż z wody ognia dostanie
Zagaszoną wprzódy świeca;
I ten ogień mu rozchwycą,
Rozniosą wnet na różany
Lód, pomiędzy tulipany
Z chorągwi, gdzie mi w pamięci
Jeszcze dzisiaj widni Święci
Na dnach złotych malowani,
I te popy...

Akt III, w. 750—769.

Opisy dźwięczą tu kroplami rosy i chwytane wymykają się z pomiędzy palców. Dopiero w pełnem naczyniu możemy się przyglądnąć odbitemu krajobrazowi. Z całości wieje jakiś lot gołębi, krążący ponad skrwawionym stepem, zataczający to niższe, to wyższe kręgi, by nie uwalać piór. I w pogruchu tym słyszymy cały poemat; Słowacki pisze „Sen srebrny gołębio". Step stał się dla niego białym welonem, suto złotem i srebrem dzierżganym, i gdy tylko mu trzeba wyciąga zeń pojedyncze nici. Igra z Ukrainą, jak błękitna jaskółka z pisklętami. Jest dla niego serdecznem ukochaniem i dzieckiem wyhodowanem w marzeniach; nie posiada już step Słowackiego grozy i tajemniczości, tylko jakąś dziwną serdeczność i wyśpiewność. Jest cały łagodnosrebrny. Wypadki krwawe zapalają się i znikają, a step cichy i wymowny trwa.

Przy tem wszystkiem społeczne stanowisko Słowackiego względem Ukrainy poważnieje. Treść obu tych utworów oparta na czasach walk chłopskich 1768 r., temacie poruszonym już uprzednio przez Goszczyńskiego, Czajkowskiego i innych, tylko punkty wyjścia Słowackiego, a wymienionych są różne. Goszczyński np. potępia hajdamaczyznę, widzi w jej dziejach jedynie krwawy epizod historji, temat nasuwa mu obrazy przesiąkłe krwią i mordem, działa na czytelnika pierwiastkiem ujemnego piękna, grozy, wstrętu i przerażenia. Słowacki stosunkowo posługuje się tymże nie-

wiele. W *Beniowskim* maluje wojsko i bitwy, w *Śnie srebrnym* łagodzi okropne sceny Gruszczynieckie neutralną co najmniej charakterystyką chłopskich postaci, okrucieństwem Regimentarza względem Sawy i mistycznym urokiem, owiewającym ziemię ginących Wenedów. Zjawisko Wernyhory nadaje tym bojom coś tassowskiego. Bunt zwykły przemienia się w rozpaczliwą, samoobronną walkę ukraińskiego chłopstwa przed obcem, szlacheckiem, polskiem zawojowaniem. Jako Polak, sympatyzuje Słowacki zrazu z obozem Potockiego, wkrótce jednak zaczyna się rozbieżność, uosobiona w postaci Wernyhory. Nie wie, komu dopomóc do zwycięstwa, widzi niesprawiedliwość i okrucieństwo stron obu. Wylewa łzy nad ginącem plemieniem ukraińskiem, a zarazem karze przykładnie bunt. Wreszcie, zmęczony, rzuca promienny snop przepowiedni i znika, by się już więcej na polach krwią Żeleźniakową zbroczonych nie ukazać.

Adrjan Czermiński.

Problem Żydów wschodnich w powieściach J. J. Tharaud.

(Dokończenie)

Chcąc uzyskać ocenę dzieł braci Hieronima[1]) i Jana Tharaud, poświęconych Żydom wschodnim, zwrócimy kolejno uwagę na stopień wierności, z jaką malują rzeczywistość, a przedewszystkiem stopień wierności ich spostrzeżeń etnograficznych i psychologicznych, na stopień prawdy ich danych historycznych i nakoniec na zawartość ideową, związaną z pewnym, mniej lub więcej skrystalizowanym programem polityki Żydów i polityki chrześcijan względem Żydów. Oczywiście, w braku miejsca i przedewszystkiem należytej kompetencji, mogę ograniczyć się tylko do luźnych myśli, pozostawiając ostateczny sąd o książkach braci Tharaud ich czytelnikom.

Książki Tharaud, wśród nich zaś przedewszystkiem te, które mają wątek powieściowy, a za tło opowiadania wzięły osiedla żydowskie na Węgrzech, w Polsce i na Ukrainie, przepełnione są szczegółami etnograficznemi, opisem zwyczajów, przedewszystkiem związanych z charakterystycznym rytuałem żydowskim, zachowywanym ściślej w krajach wschodnio-europejskich i różniącym się znacznie od rytuału postępowych Żydów na zachodzie Europy. Autorzy wspominają w przedmowie do *Małej Historji Żydów,* że otrzymywali często listy od Żydów polskich i rosyjskich, którzy znalazłszy

[1]) W pierwszej części artykułu podano przez omyłkę imię Jakób (Jacques), zamiast Hieronim (Jérome).

ze zdumieniem w ich książkach wiele szczegółów ze swego życia domowego, dopytywali się z zainteresowaniem i sympatją, czy bracia Tharaud są ich współwyznawcami. Z drugiej strony znajdowali się czytelnicy żydowscy, którzy, nie znając wcale życia w ghetto, uważali, że obrazy i opisy w książkach omawianych pisarzy są przesadną karykaturą i mieli im za złe przedstawienie oczom publiczności życia, które uważają za śmieszne i którego śmieszność padać ma odblaskiem także i na nich. „Uważają za rzecz niemiłą prawdziwy obraz środowiska malowniczego i egzotycznego, które im wydaje się jednak tylko dziwaczny i upokarzający, tego środowiska, w którem żyli ich ojcowie i w którem i oni żyliby dotąd, gdyby ich nie wyrwał z niego przypadek". Przestali już odczuwać poezję tego świata. Dla Thaurad natomiast środowisko to wydaje się szczególnie pociągające właśnie przez swą egzotyczność, która zainteresowała wielu ludzi z Zachodniej Europy, przyjeżdżających w nasze strony i umieli odnaleźć w niem, poprzez rysy niesympatyczne i komiczne, sporą dozę poezji. Drogę, przez którą dotarli, mimo nieznajomości żargonu, do tej zamkniętej twierdzy, jaką jest ghetto, zdradza dedykacja *Róży Saronu*: „A notre ami Peter Ujvári qui a mené la vie des yéchiba". Nie sądzę, by ta dedykacja człowiekowi o charakterystycznem nazwisku (które możnaby przetłumaczyć na wzór tego rodzaju nazwisk żydowskich w Polsce, jako „Nowomiast", albo „Nowomiejski"), zarówno jak rozsiane w tekstach książek podobne wzmianki o przyjaznych stosunkach z innymi żydami, miały być mistyfikacją autorską. Tu więc zapewne znajduje się w znacznej mierze źródło zarówno zainteresowań i sympatyj żydowskich autora, jak również i jego informacyj etnograficznych.

Stwierdzanie wierności tych informacyj bezpośrednio nie jest mi możliwem, dlatego zwracam się o pomoc do bardzo drobiazgowych obserwacyj nieżyjącej już dzisiaj autorki, Reginy Lilienthalowej, ogłoszonych w wydawnictwach Polskiej Akademji Umiejętności p. t. *Święta żydowskie w przeszłości i teraźniejszości* (Rozprawy Akad. Umiej. Wydział filologiczny, tom 45, 52 i 58, Kraków, 1909, 1913, 1919) oraz *Dziecko żydowskie* (Prace Komisji Etnograficznej Pol. Akad.

Umiej. nr. 3, Kraków, 1927). Stosunek autorki, postępowe Żydówki, do starych zwyczajów jej narodu jest krytyczny, posiadamy więc gwarancję bezstronności przedstawienia. Opisy rytuału żydowskiego znajdziemy nadto m. i. w książce J. Bonsirven *Sur les ruines du Temple (Le Judaisme après Jésus-Christ)*, Paris, Grasset, 1928, nie wspominając o szkolnych podręcznikach żydowskich. Na próbę zestawiamy z temi opracowaniami opis świąt *Rosz-Haszana* (Nowy Rok) i *Jom Kippur* (Dzień odpuszczenia), który autor wplótł w powieść *Cień krzyża*. W opisie Rosz-Haszana autor wspomina o zasadniczych szczegółach, jak kąpiel rytualna, jak wiara ludu, że w tym dniu otwarte są przed Bogiem, zasiadającym na tronie sędziowskim trzy księgi: księga żywota, księga śmierci, w które wpisani są sprawiedliwi i grzeszni, oraz trzecia księga, w której są imiona letnich, jak wreszcie o uroczystem trąbieniu w róg barani, szofar.

Pomija natomiast zupełnie charakterystyczny, obrzęd ludowy *Thaszlich* polegający na wytrząsaniu okruchów, znajdujących się w kieszeniach do rzeki, lub stawu, którego znaczenie, mimo różnych prób objaśnienia, pozostaje dotychczas zagadkowem (por. Rozpr. Akad. Filol. t. 52, nr. 322/6), a podaje natomiast, że w pierwszy dzień Nowego Roku zebrani na modlitwę w synagodze pojawili się w śmiertelnych koszulach, co według Lilienthalowej ma miejsce jedynie w dniu Jom Kippur (por. o. c. str. 368). Czyżby uroczystości, urządzane w miejscu pobytu cadyka (jak jest w powieści *Cień krzyża*) miały nieco odmienną obrzędowość? Jest to możliwe zwłaszcza, że słusznie zapewne pominięto w tym wypadku obrzęd „Thaszlich", który wywołał, bezskuteczną zresztą, opozycję rabinów. Wzmianka o białych koszulach w pierwszy dzień Nowego Roku pochodzi może stąd, że w dniu tym każdy Żyd prawowierny przywdziewa nową koszulę, i że kobiety idą do bóżnicy w jasnych sukniach i z przypiętemi do peruk białemi kokardkami. W przeciwieństwie do Lilienthalowej pisze Bonsirven, że gorliwsi wkładają białe szaty zarówno w Rosz-Haszana, jak i Jom Kippur (o. c. 241). W opisie uczty w dzień Rosz-Haszana, której porę oznacza Tharaud trafnie na godzinę trzecią (o. c. str. 335), pomija autor obrzędowe potrawy, jak głowa barania i miód, pozostawia

natomiast wzmiankę o spożywaniu owoców „nowych", nie podkreśla wszakże owej nowości, a tylko zwraca uwagę na to, że są to owoce południowe i zastępuje wymawiane przy tej okazji błogosławieństwo, zwane *szehechejanu* zwykłą formułką noworoczną, pozdrowieniem: *Iszanah tobah thikotheb* („obyś był zapisany na dobry rok", o. c. str. 332).

Opis obchodu Jom Kippur jest w powieści *Cień krzyża* naogół zgodny z opisem Lilienthalowej i Bonsirven, chociaż i tu są drobne odstępstwa. A więc np. wspomina Tharaud o spożywaniu drobiu, obciążonego w dniu 9 miesiąca Tiszri rano grzechami *(kapparoth)*, jeszcze tego samego dnia wieczorem, przed rozpoczęciem postu, podczas, gdy według Lilienthalowej (str. 360) drób ten spożywają Żydzi dopiero nazajutrz, 10 Tiszri, po zakończeniu postu. Nie wspomina również autor o rozpoczynającej nabożeństwo modlitwie *Kol-Nidre*, która tyle zarzutów ściągnęła na synów Izraela, przez swą treść, anulującą na cały rok naprzód wszelkie lekkomyślne śluby i zobowiązania (Lilienthalowa str. 363, Bonsirven, str. 239), jak również zdaje się nic nie wiedzieć o obrzędach i mniemaniach, związanych z pamięcią o zmarłych w tym dniu, jak np. modlitwy i poczęstunek na cmentarzu, rano, 9 Tiszri (zwyczaj coprawda zanikający, por. Lilienthalowa, str. 358), jak mniemanie, że zmarli obecni są w bóżnicy podczas odmawiania Kol Nidre, jak wspominanie z płaczem zmarłych przodków przez stare niewiasty, robiące świece kipurowe, które palą się potem w bóżnicach przez 24 godziny (Tharaud pisze tylko w *Cieniu Krzyża*, że stara Sara, robiąc świece, płakała, myśląc o swych grzechach), jak wreszcie wiara, że podczas końcowej modlitwy kipurowej, *Neila*, duchy zmarłych wałęsają się po ziemi i nieszczęście spotkałoby tego, co odważyłby się wtedy wyjść na ulicę (o. c. str. 375).

Nietylko w dłuższych opisach, poświęconych tej, lub owej uroczystości, wykazuje autor znajomość obyczaju żydowskiego. W książkach jego rozsiany jest szereg szczegółów charakterystycznych, wplecionych w akcję w sposób naturalny i nadających opowiadaniom ów cenny, żywy, koloryt lokalny. I tak np. nieobce są autorowi, by wziąć parę szczegółów na chybi trafi, przepisy, dotyczące rytualnej

czystości kobiet, (*Cień krzyża*, str. 115 i 125), obowiązkowa ilość Żydów, konieczna, by ważną była modlitwa przedwieczorna *Min'ha* (o. c. str. 113), wie o błogosławieństwie wina, *kidusz* (o. c. str. 63), zna charakterystyczne wyrażenia, jak *Mazel tof* (pomyślności! str. 79), *Szalem alejszem* (Pokój wam, str. 113) i t. p. W charakterystyczne szczególiki tego rodzaju zdobny jest szczególnie opis pobytu jednego z bohaterów w Bełzie i posłuchanie u rabina cudotwórcy w *Cieniu krzyża* i cała opowieść o *Królestwie bożem*. Plastyka opisów potwierdza wielokrotne wzmianki autora, że opiera się na osobistych wspomnieniach z pobytu na Węgrzech i w Polsce, a wiadomości, zaczerpnięte z innych źródeł, mają, jak można sądzić, znaczenie pomocnicze. Świadczyłoby o tem, jak zauważono wyżej także i to, że w opisie np. obrzędów autor przytacza szereg szczegółów zewnętrznych, dobrze zaobserwowanych, wszakże niezawsze zdaje sobie sprawę z ich wewnętrznego liturgicznego znaczenia. Znaczniejszych błędów jednak, zdaje się, nie popełnia tak, że jego opisy dają wcale wierny obraz ciekawych, a niejednokrotnie już zanikających obyczajów żydowskiego świata. Oczywiście wybiera dla celów artystycznych niektóre tylko szczegóły, a nie będąc żydem nie może wniknąć głębiej w życie ghetta, daleko mu więc do drobiazgowości studjów specjalnych, poświęconych folklorowi żydowskiemu, jak np. wspomniane prace Lilienthalowej. Ta jednak niewielka ilość szczegółów, jakie zostały zanotowane, odznacza się znaczną poglądowością.

Oprócz opisu zwyczajów spotykamy opisy zewnętrznego wyglądu Żydów wschodnich, ich twarzy, postaci i stroju, ich gestów i ruchów, ich niezwykłej ruchliwości i namiętnej gadatliwości, ich całego sposobu bycia, ich straszliwego niechlujstwa. Autor maluje te zgarbione postaci, brudne chałaty, „wdzięk pięknych dzieci o dużych oczach i czerwonych ustach, ciężką miękkość ruchów kobiet, majestatyczność starców, ruchliwość twarzy, blask gorączkowy tych wszystkich oczu, które obiecują więcej inteligencji, niż jej posiadają naprawdę ci ludzie". — Widzimy ich domy z *mezuzą* u wejścia, ich bożnice i sklepy, ich kuczki, zdobne festonami i wycinankami, ich szkoły wyższe i niższe, ich konie i wozy — widzimy, jak tłoczą się w domu cadyka, jak biegają ruch-

liwie, niby czarne mrówki w pogoni za interesem, jak modlą się namiętnie i hałaśliwie, jak dyskutują zawzięcie w kwestjach talmudycznych, jak wybuchają w głośnej kłótni o lada drobnostkę, jak jedzą i jak się bawią. Wszystko to rzeczy, które częściowo możemy widzieć i słyszeć w Polsce nieustannie, nawet nie należąc do „wybranego narodu", i które, jak można stwierdzić na podstawie naszej codziennej obserwacji, autor widział na pewno sam i opisał wiernie i bez przesady. Kto wie nawet, czy niejednokrotnie opisy jego nie są zbyt optymistyczne, czy sentyment, który odczuwa dla narodu „o trzechtysiącletniej przeszłości" nie przesłonił mu oczu na różne szczegóły, w których przy najlepszej woli trudnoby doszukać się nietylko poezji, ale które wprost mogą budzić tylko wstręt i odrazę. Wystarczy tu zajrzeć choćby do tej kopalni obyczajów zabobonnych Żydów, jaką jest wspomniane studjum Lilienthalowej o *Dziecku żydowskiem.*

Obok trafnych naogół spostrzeżeń obyczajowych znajdują się w książkach Tharaud licznie rozsiane spostrzeżenia odnoszące się do psychologji Żydów wogóle, a Żydów wschodnich, żyjących w ghetto, w szczególności. Autor nie wchodzi w to, które właściwości charakteru Żydów są wrodzone, a które wytworzyły z biegiem czasu warunki ich życia. Konstatuje stan dzisiejszy. Niejednokrotnie daje jednak pośrednio do poznania, że wiele cech duszy żydowskiej powstało pod wpływem wiekowego wychowania talmudycznego z jednej strony, a nienormalnych warunków bytu politycznego z drugiej.

Dusza żydowska ujawnia, zdaniem autora, zdumiewające kontrasty. Z jednej strony oschłość, intelektualizm, ścisłość rozumowania, dochodząca do absurdu, z drugiej fantazja, bujająca swobodnie po dziedzinach mistyki, prowadząca do ekscesów. Z jednej strony tężyzna, optymizm, wieczna nadzieja, spodziewająca się wszelkiego rodzaju cudów, z drugiej neurasteniczne niezadowolenie ze wszystkiego. Z jednej strony przywiązanie do dóbr materjalnych i czynienie wszelkich godziwych, a nieraz i niegodziwych wysiłków dla ich zdobycia, z drugiej daleko idące wyrzeczenie się niezbędnych nawet potrzeb życiowych w imię przywiązania do studjum ksiąg świętych. Z jednej strony su-

rowość obyczajowa, puryzm nieomal przesadny u Żydów prawowiernych, z drugiej strony skrajny sensualizm i libertynizm moralny u wielu Żydów emancypowanych, przekraczający nieraz miarę nadużyć w tym zakresie, spotykanych u innych narodów. Z jednej strony miłosierdzie, z drugiej chciwość, zamykająca kabzę przed ubogim pod różnemi wykrętnemi pozorami. Z jednej strony ostrożność i hipokryzja, z drugiej gwałtowne wybuchy temperamentu i kłótliwość. Z jednej strony tchórzostwo, z drugiej zamiłowanie hazardu i rzucanie się w najbardziej ryzykowne przedsięwzięcia. Z jednej strony żarliwość w modlitwie i zachowaniu przepisów rytualnych, z drugiej formalizm i zmechanizowanie praktyk religijnych i obchodzenie w chytry sposób tych przepisów. Z jednej strony konserwatyzm, zamknięty w najciaśniejszych ramach, z drugiej namiętna ciekawość, zmienność umysłowa i bezkrytyczne chwytanie wszelkich nowych idej. Z jednej strony bezgraniczna pogarda i niekiedy nienawiść względem chrześcijan, z drugiej strony małpowanie ich obyczajowości i chęć brania udziału w ich życiu, jako wyższej formie współżycia towarzyskiego. — Rzecz przytem charakterystyczna, że te sprzeczności spotyka się nietylko w tej samej grupie społecznej, ale niejednokrotnie u jednego i tego samego osobnika.

Za dalsze cechy Żydów uważa autor solidarność, której towarzyszy wybujały egoizm narodowy (wszak uważają się za naród wybrany, przeznaczony do panowania nad innemi), próżność zarówno narodową, jak indywidualną, przedsiębiorczość i wytrwałość aż do uporu, aspołeczność w stosunku do innych narodów i wyznań, nielojalność wobec prawa innego, niż ich własne, kult księgi, a zupełne zamknięcie oczu na żywą przyrodę, wreszcie przenikliwość psychologiczną.

Siłę Żydów i częstą ich przewagę nad chrześcijanami widzi autor w ich optymizmie, w tem, że nawet w niepowodzeniu nie tracą ducha, albo — dodajmy — tracą go na krótko. Za najwybitniejszą natomiast ich cechę, która głównie sprawia trudność w ich aklimatyzacji i budzi niechęć ludów, wśród których żyją, uważa autor właściwość zdecydowanie ujemną: brak miary i smaku we wszystkiem, co

czynią i mówią. A oto garść aforyzmów i spostrzeżeń, wybranych z różnych miejsc książek naszego autora, wyliczonych swobodnie, bez systemu, które dadzą lepsze wyobrażenie o bystrości spostrzeżeń braci Tharaud, niż powyższe suche wyliczenie:

„Dlaczego Izrael jest tak potężny? pyta bohater *Róży Saronu*. Czyżby był inteligentniejszy, niż reszta świata?" „Słowo daję, że nie — odpowiada — znam go dobrze i znam dość dokładnie granice jego talentów. Izrael jest potężny, ponieważ najgorsza porażka nie zniechęca go i dlatego, że w najgłębszem nieszczęściu zdolny jest do śmiechu" (str. 75—6). „Izrael pełen jest iluzji i komizmu. Nawet żebrak uważa się za księcia, za pana świata, za bogacza" (tamże, str. 73). — Biblijną twardość karku zdradza bohater *Róży Saronu*: przyjąwszy obowiązki nauczyciela domowego otrzymał po raz pierwszy p a n a, „jeśli — dodaje autor — można wogóle użyć tego wyrażenia odnośnie do Żyda" (j. w. str. 182). „Nieśmiałość nie jest rysem charakteru żydów" (tamże str. 202). „...instynkt nomadów i zaufanie do siebie samych" (*Róża Saronu* str. 207). „Każdy Żyd jest przekonany, że nad nim świeci gwiazda" (*Królestwo Boże* str. 47). Żydzi „chwytają chciwie ręką lub umysłem wszystko, czego mogą dosięgnąć" (j. w. str. 14). „Żydzi zawsze uważni, by wyśledzić gest sąsiada, spojrzenie, nawet mniej jeszcze, wszystko to, co pozwala odgadnąć myśl, choćby najbardziej przelotną" (j. w. str. 92). „Umysły ruchliwe gotowe zawsze przejść z tą samą przesadą od rozpaczy do nadziei" (j. w. str. 222). „Najmniejsze zdarzenie budzi w nich stan gorączkowego podniecenia (str. 302). „Rozgrzani dyskusją tracą zwykłą hipokryzję i ostrożność" (j. w. str. 286). „Większość ...ma charakter zmienny i wiecznie są niezadowoleni" (j. w. str. 105).

Jakób Birnbaum mówi o sobie, o swych współwyznawcach, że każdy z nich posiada „odrobinę szaleństwa, jakiś zakątek księżyca, który nie przestaje nigdy krążyć w ich mózgach, jakby w nagrodę, lub kto wie? za karę zato, że tyle razy podnosili wzrok ku niemu w wieczór Nowiu. I to sprawia, że rzucają się w przedsięwzięcia, przed któremi cofa się nieco krótki zdrowy rozsądek innych ludów. My Żydzi jesteśmy ludźmi dwóch planet: ziemi i księżyca. Je-

steśmy równocześnie sceptykami i entuzjastami, nie wierzymy w nic i wiecznie na coś czekamy, na dolara, na kobietę, na zwyżkę akcyj naftowych, na powrót do Jerozolimy, na rewolucję powszechną, wreszcie na to, co nazywamy mesjaszem" (*W roku przyszłym,* str. 286). Tem właśnie „porażeniem księżycowem" można wytłumaczyć, że i on i inni Żydzi uwierzyli przez chwilę w realizację królestwa Syjonu. „To ciekawe — mówi z ironją i goryczą — że my, Żydzi, zwykle inteligentni (chociaż zwykle przesadnie się to ocenia, pozostawiając w cieniu inne zalety bardziej realne), że stajemy się nagle głupi z chwilą, gdy idzie o Judeę" (str. 288).

Ironja żydowska nie oszczędza nikogo, ani Żyda, ani chrześcijanina, ale ten „śmiech dziwny, okrutny, ostry, od wieków jest najpewniejszą obroną, najlepszą bronią Izraela" (*Cień krzyża,* str. 182).

„Wyśmiewamy się sami z siebie — mówi Żyd — bez litości, my, których skóra staje się bardzo wrażliwa z chwilą, gdy zacznie o nas mówić nie-żyd" (*Róża Saronu,* str. 87).

„Żydzi gotowi są wszystko odrazu zdeformować" (*W roku przyszłym,* j. w. str. 246).

Niesłychana nerwowość Żydów, ich zajęcze tchórzostwo, lękające się nawet cienia niebezpieczeństwa, przesada w rozdmuchiwaniu grożących im nieszczęść, lubowanie się w rozgłaszaniu wieści o doznanych prześladowaniach, poruszanie wszelkich możliwych sprężyn dla swych celów, bez względu na innych — to znamienne rysy, których opis stanowi właściwy temat powieści *Królestwo Boże.*

„Uczucie strachu nie należy do tych uczuć, któreby się szybko zacierały w duszy żydowskiej" (*W roku przyszłym w Jeruzalem,* str. 274).

Wielka szkoła nędzy, to „jedna z najpiękniejszych tajemnic Izraela" (j. w. str. 284).

Oto niektóre cechy charakteru Żydów wrodzone, lub nabyte dzięki warunkom życia w przeszłości. A jak wygląda religja Żydów i jej wpływ na kształcenie dusz?

„Ten lud tak przywiązany do nędznych dóbr ziemi, ceni jednak jako skarb najdroższy inteligencję i wiedzę" (*Królestwo Boże,* str. 169).

„Krótki wypoczynek w cieniu drzew... czyż może być niebezpieczny dla tego wszystkiego, czego uczyli Żydów od dwóch tysięcy lat ich doktorzy i sprawić, by zapomnieli, że wszystko na tym świecie, co nie jest człowiekiem, a w człowieku wszystko, co nie jest Bogiem, że to wszystko — to grzech?" (j. w. str. 117).

„Czy istnieje jakiś tekst jasny dla mózgu żydowskiego? Ci rabini byli nadzwyczajni w zaciemnianiu myśli najjaśniejszych" (str. 178, 179).

Właściwością umysłów talmudycznych jest niechęć do idei prostych, ludzkich, które stanowią właśnie to, co jest najciekawsze w Talmudzie. Umieją zawsze w prostotę wnieść to, co idzie często w parze: subtelność i nieład. (*Róża Saronu,* str. 47 i nast.). Autor potępia wiedzę szkół rabinackich daleką od życia realnego. Uczeń jeszyby wie o Jordanie i Eufracie, a nie wie o istnieniu Dunaju, przepływającego kraj, w którym mieszka (j. w. str. 110). Mimo wszystko nie uważa autor czasu, przebytego w jeszybach za stracony dla Żydów. „Ilekroć przypadek postawił na mej drodze jednego z tych zbiegów z jeszyby, rzuconego na pole interesów, znajdowałem w nim zawsze groźnego zucha, który, zapewniam was, nie stracił napróżno czasu, spędzonego w szkole rabina" (j. w. str. 50). „Dobrze skonstruowane sylogizmy zawsze będą prowadziły świat" (*W roku przyszłym,* str. 285). „Rzecz pisana wywiera na nas — mówi Żyd w powieści — tak silne wrażenie, jak na nikim w świecie. W religji naszej ważną jest nie wiara, lecz wiedza. Niema u nas dogmatów. Są tylko przepisy i polecenia. To, co Mojżesz przyniósł z góry Synaj, to nie tajemnica, to nic skomplikowanego, żadna mistyczna zagadka. To worek szykan i wybiegów, dar pożądany dla tych sędziów, tych adwokatów, dzielących włos na cztery części, jakimi są rabini". (*Róża Saronu,* str. 26).

Żydzi — to „lud, który tyle rozumował, sprzeczał się, gadał o każdem słowie swego Boga i każdym okrzyku swych proroków, że litera zabiła w nim rozum, zdusiła poryw serca pod stosem rozumowań komentatorów prawa i szalonych praktyk bez duszy". (*Królestwo Boże,* str. 4). Ich synagogi są „lodowate, a niezliczone *jeszyby* smutne, jak pola zimowe pod śniegiem" (j. w.). W pogoni za argumentami umysł tych

ludzi zyskał niewątpliwie z biegiem czasu niezwykłą zwinność, lecz dusze te umarły, wyobraźnie zgasły, serca zgnuśniały" (j. w. str. 6, 7). Z chwilą jednak, gdy powiał prąd mistyczny, „wszystko, co było w duszy żydowskiej pustem, bezczynnem, niezadowolonem od wieków, napełniło się nagle snami... dusza niekarna, na którą skarżył się już Mojżesz... wiecznie zbuntowana... uciekła w krainę entuzjazmu i szalonej gorączki mistycznej" (j. w. str. 10, 11).

Niejednokrotnie podnosi autor żarliwość religijną chasydów, u których słyszy akcenty Jeremjasza, Joba i Izajasza (*Cień krzyża,* str. 256), ale nie zamyka oczu na ciemne strony ich kultu, np. pijaństwo w synagogach (j. w. str. 241—9).

„Możnaby powiedzieć, że wstręt do wszystkiego, co piękne, a nawet tylko przyjemne, stanowi cząstkę kultu żydowskiego" (*W roku przyszłym,* str. 42).

Ich kult dla cadyków przedstawia się oczom autora, jakgdyby zbiorowe szaleństwo. Cadyk na namiętne ich prośby i pytania odpowiada kilku słowami zdrowego rozsądku; by jednak dać coś i szaleństwu tych ludzi, rozdaje po kawałku pergaminu z paru słowami Kabały, albo pozwala im pocierać o swą odzież monety, które stają się przez to talizmanami (j. w. str. 87 i nast.).

Za charakterystyczny rys Żydów wschodnich, niezmodernizowanych, uważa autor ich bardzo silne przywiązanie do Ziemi świętej, objawiające się w wędrówkach starców, pragnących w niej umrzeć (w czem jest zresztą i pewna doza próżności) jak również nader silną wiarę w realne przyjście Mesjasza, otoczone tysiącem legend, pojmujących je bardzo po ziemsku. (*W roku przyszłym w Jeruzalem,* str. 55 i nast.).

Niechęć do chrześcijaństwa, nienawiść do Chrystusa, zabobonna trwoga przed Chrystusem (j. w.), wpajanie tych uczuć małym dzieciom, wraz z kłamliwemi opowieściami o istocie naszej wiary kształtują również umysł Żydów wschodnich. (*Cień krzyża,* str. 148, 157 i poprz.).

Nie można powiedzieć, by autor miał wysokie wyobrażenie o etyce niektórych rabinów talmudycznych, tej etyce kontraktu, która mówi Panu Bogu, jakgdyby wspólnikowi handlowemu: *do, ut des.* Fałszywe i wykrętne tłumaczenie wielu nawet wzniosłych przepisów Talmudu prowadzi do

konfliktów nietylko z prawdziwą etyką, ale nawet z o wiele mniej subtelnem kryterjum, jakiem jest poprostu kodeks karny.

„Pożar, wzniecony dla zyskania sumy asekuracyjnej, tajne gorzelnie, lichwa, fałszowanie paszportów — to rzeczy które potępia wprawdzie prawo chrześcijan, ale których żaden Żyd z Szwarce Teme (siedziba cadyka) nie uważał w swem sumieniu za godne nagany" (*Królestwo Boże,* str. 55).

W *Królestwie Bożem* opisuje autor obszernie podstępy, używane przez Żydów w celu uchylenia się od służby wojskowej.

„Talmud mówi wyraźnie, że jedzenie potraw nieczystych nie jest cięższym grzechem, niż narażanie się na niebezpieczeństwo" (*Królestwo Boże,* str. 128).

Formalizm religijny daleki jest od prawdziwej etyki. Charakterystyczny przykład stanowi epizod z życia małego Rubena, który bez skrupułów kradnie maliny u sąsiada, ale ma wątpliwości, jakie błogosławieństwo należy odmówić przed zjedzeniem ich; czy dotyczące „płodów ziemi", czy „owoców drzewa" (*Cień krzyża,* str. 152).

Etyka kontraktu: Młoda Gitla dziwi się, że Bóg nie daj jej potomstwa, chociaż była zawsze wierną prawu (tamże, str. 125).

Żyd z ghetta woli żyć w nędzy, byle pracować minimalnie, bo pracę uważa za przekleństwo, rzucone na Adama, a wyżej ceni modlitwę i naukę. Stąd tyle u nich świąt, trwających tygodniami (j. w. str. 43).

W ten sposób pisze autor o właściwościach duchowych i poglądach Judy, objawiających się najsilniej, zdaniem jego, u Żydów wschodnich. Zkolei przytaczam parę zdań autora o cechach, jakie dostrzega w psychice Żyda, wyzwolonego z przepisów ghetta.

„Zawsze byliśmy skłonni — mówi bohater *Róży Saronu*— do rzucania się z furją na obce ideje i sądzę, że Nieśmiertelny poddał nas dlatego tak surowemu prawu, bo wiedział, jak jesteśmy zmienni i wiecznie gotowi iść za otaczającemi nas ludami. Naśladowaliśmy je wszystkie, składaliśmy ofiary wszystkim ich bogom"... (str. 121).

„Jesteśmy niewdzięcznikami. Niewdzięcznikami, jak wszyscy ludzie namiętni. Opuściłem wszystko bez żalu" — mówi ten sam Żyd, wspominając swój wyjazd z rodzinnego miasteczka (str. 19).

Żyd zmodernizowany, jakim jest adwokat w tejże powieści, nie czuje się szczęśliwy, ale i tak uważa modernizację za potrzebną (str. 203).

Autor jest przekonany, że Żyd, choćby od szeregu pokoleń zerwał z ghettem, choćby był nie wiem czem w świecie zachodnim, nie będzie podobny do reszty tego świata. „Zawsze będzie w nim coś dalekiego, odrębnego, czego nie potrafi wytłumaczyć ani on sam, ani inni. I ta pustka, ten żal bez powodu, ta neurastenja i choroba duszy — to stygmat owych długich wieczorów, spędzonych w klatce modlitwy, z której chciał się wyrwać całą siłą skrzydeł"... (*Cień krzyża,* str. 236).

Żyd zmodernizowany, pojawiający się symbolicznie, jako wizja przed obłąkanym soferem w *Cieniu krzyża,* nie chce pamiętać o przeszłości, a jednak wychowanie żydowskie było dlań doskonałą szkołą życia. Nie chce już Mesjasza, bo w pomyślności materjalnej znalazł zaspokojenie wszystkich tęsknot. Zerwał z religją, ale umarł dla poety (str. 303 i n.).

Najmilsza zabawa Żydów ghetta — to dysputy talmudyczne, bezsensowne dyskusje, piękny *pilpul.* „Ćwiczą tu z zapałem subtelną ironję, zręczność w obracaniu każdej kwestji na tysiące sposobów, które czynią ich tak groźnymi, gdy skierują przeciw wierzeniom obcych ludów swój zmysł krytyki i subtelności rozumowania, które wyćwiczyli w głębi zapadłych wiosek na tematach, których szalony bezsens miesza nam umysł" (j. w. str. 119).

Żyda renegata w *Róży Saronu* cechuje sceptycyzm, a nawet cynizm. Życie to dla niego *pilpul.* Nic nie jest prawdą, nic nie jest fałszem.

„Rewolucjoniści w miastach ...wyszli w większości z jakiegoś ghetta wiejskiego... Pewnego dnia gwałtownym wysiłkiem wyrwali się z jakiejś świętej gminy, z rytuału, z dziwacznych praktyk. I, zaprawdę, dumni z tego, że wyzwolili się z więzów Talmudu i Prawa, odpychają zarazem wszelką wogóle dyscyplinę i nasze ideje wydają im się równie sza-

lone, równie absurdalne i krępujące, jak ideje ich doktorów. Lecz przy bliższem przyjrzeniu się ci rewolucjoniści i ci czytelnicy Kabały czy bardzo się różnią między sobą? Jedni i drudzy żywią się tym samym pokarmem, żyją tą samą nadzieją. Ci czekają Mesjasza na białym koniu, tamci wierzą, że zjawi się on z czerwonym sztandarem!" *(Królestwo Boże,* (str. 148, 9).

Po pełnym temperamentu opisie dysputy talmudycznej w jeszybie na błahy temat, ale z wyciągnięciem ciężkich pocisków wszystkich uczonych w piśmie, stwierdza autor, że w tych wysiłkach, by „przeprowadzić wielbłąda przez ucho igielne" panuje „bezinteresowność i zapomnienie o dobrach tego świata". Uważa bowiem za absurd mniemanie, że Żydzi są narodem wyłącznie tylko ludzi praktycznych. Jest to— zdaniem jego — naród najbardziej fantastyczny, najbardziej kapryśny (chimerique) pod słońcem. W każdym geście tego ludu jest coś z szaleństwa... nieraz z pięknego szaleństwa. Jego powodzenie w interesach nie przeczy temu. To właśnie dlatego powodzi się Izraelowi, że wnosi i do interesów zuchwalstwo i wyobraźnię. (*Róża Saronu,* str. 46).

Obrazek z życia, który napotykamy w *Cieniu krzyża,* (str. 23—28) kreśli w ostrych rysach, jak Żyd ze swemi właściwościami duchowemi rądzi sobie w świecie. Oto jakiś biedny żydowin z przeludnionego ghetta galicyjskiego, przedostaje się na Węgry, z pomocą rodaków, którzy go przedtem na oczy nie widzieli, ale strażnikom granicznym mówią że to ich krewny. Bez funduszów, nie znając kraju, nie znając języka, żyje w sposób nieprawdopodobny. Przebiega okolicę, sprzedaje, kupuje byle co, nie dbając o żarty wiejskiej gawiedzi, zawsze z głową pełną wspaniałych pomysłów zarobienia paru groszy, brudny, obszarpany, międląc brodę w palcach, z okiem ruchliwem, uchem czujnem, wyglądem niespokojnym i niepokojącym, jakgdyby słuchał 20 tysięcy niezgodnych głosów aniołów i demonów, którzy stoją po obu jego bokach; marzyciel i śmiały nowator, przebiegły i prostoduszny, opiera swe życie na hazardzie; nosi z sobą od wsi do wsi gorycz pośmiewiska, które dzieli jego oficjalny tytuł syna wybranego narodu od jego prawdziwego położenia społecznego, żebraka, handełesa, lecz nie tracący

nigdy nadziei. Bo rysem charakterystycznym tego życia to mniej powodzenie, wygrana, (chociaż bywa niekiedy zdumiewająca) co raczej fantazja, niespodzianka, nienormalności, cud wreszcie, wieczny cud żydowski.

Ale jak ten cud wygląda? Żydek-handełes dorabia się powoli, kupuje sklep, pracuje wytrwale, płaci sumiennie swe zobowiązania, interes jego kwitnie. Takiemu człowiekowi można zawierzyć. Wierzyciel podnosi stopniowo swój kapitał, Żyd staje się jeszcze gorliwszym i pobożniejszym. I oto Nieśmiertelny — mówi z ironją autor — daje mu uczuć siłę swej ręki. Sklep ubezpieczony pada pastwą pożaru, albo kupiec ogłasza niewypłacalność.

Skrupułów sobie nie robi. „Czyż nie przestał być uczciwym? Czemże jest dla takiego Żyda z Galicji towarzystwo ubezpieczeń, które ubezpieczyło jego sklep, albo ten bank w Budapeszcie, który udzielał mu kredytu? Cóż go obchodzi krzywda, wyrządzona ludziom nieznanym, zbiorowisku anonimowych akcjonarjuszy? Czyż ma pojęcie o życiu społecznem? Któż, u djabła, wlałby mu te osobliwe myśli o uczciwości społecznej?"

Zresztą teraz wszedł w ziemię Chanaan. Kupuje teraz ziemię. Las za lasem, pole za polem. Synowie jego zamieszkują już w Nowym Jorku, w Londynie, lub w Paryżu. A kiedy im kto będzie opowiadał o małem miasteczku węgierskiem i o życiu, jakie się tam prowadzi, powiedzą: „„A to ciekawe?"" I oto jest ostatni cud: już zapomnieli!"

Ten świetnie podpatrzony zarys z życia zahacza o rolę Żydów w społeczeństwach chrześcijańskich. Trudno byłoby dopatrzyć się w pracach Tharaud dodatnich o niej sądów. Wspomniałam już w toku poprzednim, jak określa autor rolę tę, zwłaszcza w zakresie politycznym, społecznym i ekonomicznym, w szkicu historycznym *Gdy Izrael jest królem* i w *Małej historji Żydów*. Tutaj dodam jeszcze parę uwag Tharaudów o roli Żydów w ruchu umysłowym, zilustrowanych na przykładzie działalności grupy Hatwany'ego, kierownika węgierskiego miesięcznika literackiego *Nyugat* (Zachód), Żyda z bankierskiej rodziny, entuzjazmującego się niemieckimi literatami, nawet drugorzędnymi. „Pod pozorem hołdowania modernizmowi — mówi autor — ...zerwali roz-

myślnie z całą tradycją moralną i umysłową, która z Węgier rolniczych i pasterskich robi kraj dawny i szlachetny, kraj, do którego przywiązują się serca, podobnie, jak do naszej Prowancji. Z ich utworów bez przeszłości zginęły te wszystkie typy, które ożywiały dzieła pisarzy węgierskich... Ich utwory, zamglone podstarzałym symbolizmem, który czuć sklepem z tandetą, nie zawierają nic, coby przypominało ton radosny, a zarazem rozpaczliwy piosenki węgierskiej, w której marzenia i łzy łączą się na skraju upojenia. — Wiem dobrze, że byłoby pożałowania godnem, gdyby nasze sny dzisiejsze były podobne do ubrań dziecinnych, wykrawanych z szat praojców; lecz każda literatura musi być dalszym ciągiem czegoś, ta ich literatura zaś nie była dalszym ciągiem niczego". *(Gdy Izrael jest królem,* str. 121).

„Pod wpływem prasy żydowskiej (Żydzi zawsze przesadzą!) rozwinął się na Węgrzech skrajny nacjonalizm, który wywołał zadrażnienie stosunków między narodami, żyjącemi dotychczas w dość dobrej harmonji" (j. w. str. 174).

Stosunek Żydów do tradycji innych narodów malują, jakże boleśnie, te słowa: „Wystarczyło kilka tygodni, by zburzyć w Budapeszcie stary, przez wieki ustalony, porządek. Ludzie bez skrupułów, którzy z lekkiem sercem poświęcali to, czemu byli zupełnie obcy, zniszczyli wszystko, by później odbudowywać według własnych pomysłów. Na brzegach Dunaju wznosiła się nowa Jerozolima, według wzorów skonstruowanych w mózgu Żyda Karola Marksa i rękami żydowskiemi, zgodnie zresztą z odwieczną myślą żydowską. Od wieków i przez długie wieki marzenia mesjaniczne o państwie idealnem, w którem nie było ani biednych, ani bogatych i w którem panowałaby sprawiedliwość i równość zupełna, nigdy nie przestały pociągać wyobraźni Izraela... Trocki, Bela Kun i inni im podobni podjęli zkolei te marzenia swych przodków. Tylko, że zmęczeni szukaniem w niebie Królestwa Bożego, które jakoś nie nadchodzi, postanowili zaprowadzić je na ziemi. Doświadczenie wykazało, że prorocy Starego Zakonu, szukając Królestwa Bożego w niebiosach, byli na lepszej drodze". (Str. 238/9).

Jeszcze parę spostrzeżeń z życia. Opowiada autor o tem, jak Żydzi na Węgrzech usuwali się od wojska, jak uciekali

przed frontem, bogacili się w intendanturze i na spekulacji handlowej środkami koniecznej potrzeby, jak „ulegając oportunizmowi, który każe im być zawsze po stronie silniejszego" z otwartemi rękami witali najeźdzcę (Rumunów j. w. str. 283). Jest tu mowa niestety o większości, nie o wyjątkach.

Ciekawe wreszcie są uwagi o psychologji Żydówek i o ich roli w przewrotach umysłowych ich współbraci. Pozwólmy zabrać głos jeszcze raz bohaterowi *Róży Saronu.* „U nas — mówi — kobieta jest silnym czynnikiem zarówno konserwatyzmu jak i przewrotu. Jeżeli przeznaczenie pozostawi ją w jej przyrodzonem środowisku, to ona właśnie przez drobiazgową obserwację tysiąca przepisów odnoszących się do odzieży, pożywienia, do najdrobniejszych zdarzeń życia codziennego, utrzymuje nas w tem odosobnieniu, dzięki któremu jesteśmy jeszcze odrębną rasą wśród innych ludów. Ale wszystkim tym Rebekom i Rachelom... religja przyznaje miejsce bardzo skromne. Ani Biblja, ani Talmud nie dopuszcza kobiety przed Boga. Jej modlitwy nie interesowały nigdy Nieśmiertelnego. Pozostaje zawsze skazana na te drobiazgowe praktyki rytualne, w których serce jej może znaleźć szczęście, ale w których inteligencja jej nie znajduje żadnego pokarmu. To też z chwilą, gdy opuściła ghetto i to życie tradycyjne, które ją otaczało... napróżno szuka oparcia w religji. Dawne przepisy rytualne zdają się jej nieznośne i głupie. Jest jakby pustą formą, gotową przyjąć wszystko, co przyniesie jej wrodzona ciekawość i przypadek". (Str. 214). „Nasze prawo nie troszczy się zupełnie o wykształcenie kobiet". To też najczęściej chodzą do szkół świeckich i otrzymują wychowanie nowoczesne. Można sobie wyobrazić konflikty, które powstają, kiedy dziewczęta te poślubią mężczyzn, wychowanych w starych obyczajach żydowskich. Albo same wracają wtedy machinalnie do wiekowych przyzwyczajeń, albo nawracają mężów do obcego obyczaju — co jest najczęstsze. (Str. 215). Po krótkotrwałych nastrojach chrześcijańskich, nie opartych na prawdziwej znajomości naszej religji, Lea Braunstein, nie wierzyła już w nic. „Żydówka, która wyzwoliła się z odwiecznej religijności, nie zatrzymuje się długo przy tęsknotach chrześcijańskich". (Róża Saronu). W tych warunkach najbliższy konflikt

przynosi zupełne załamanie jej równowagi umysłowej. Naodwrót stara Frajdele z tejże powieści, która pozostała wierna przepisom, odznacza się ciasnotą horyzontów i nieznośną drobiazgowością, którą zadręcza siebie i otoczenie.

O roli Żydówek w stosunku do chrześcijan nie mówi autor wyraźnie. Zaznacza ją tylko. Młody bohater *Róży Saronu* zauważył w salonie Lei, że chrześcijanie tam bywający „nie zachowywali wobec Żydówek tych manjer, jakie mieli wobec kobiet ze swego świata". „Ze swej strony Żydówki okazywały się bardziej prowokujące, niż chrześcijanki" (str. 240). Lekkomyślny hrabia węgierski jest kochankiem zamężnej Lei Braunstein.

Na zakończenie charakterystyki Żydów obraz symboliczny w opisie Ściany płaczu w Jerozolimie:

„Ten tłum, poruszany ruchem modlitwy, bardziej anarchiczny, niż kiedykolwiek w swym bólu; ciasnota przejścia między Ścianą, a drugim murem, niskim, zbudowanym z drobnych kamieni i błota; ta ściana ogromna, złożona z olbrzymich głazów... błyszcząca, wyzłocona, spatynowana, u podstawy brudna wiekowym dotykiem czół, warg i rąk; to wielkie nagromadzenie bloków, których nic nie ożywia... ta masa twarda i naga, która oparła się wszystkim klęskom, jakie od wieków spadały na Jerozolimę; wszystko to symbolizuje dobrze to, co w religji Izraela jest abstrakcyjnem, prostem, pozbawionem ozdób i silnem...". Mur ten „dźwiga niewidzialne nadzieje Izraela, że upadek jego nie jest ostateczny i że dni chwały powrócą..." *(Na rok przyszły w Jeruzalem,* str. 49—50).

Przytoczone uwagi braci Tharaud o mentalności żydowskiej nie odznaczają się jak widzimy, jakąś specjalną głębią. Mniej więcej każdy inteligentny i myślący człowiek z pośród narodów, znających Żydów wschodnich z autopsji, mógłby je zapewne sformułować. Trafność spostrzeżeń jednak jest nieraz uderzająca. Znaczenie ich nadto polega na tem, że zostały w przystępnej formie powiedziane przez członka narodu, dla którego kwestja żydowska nie jest ciężkim problemem do rozwiązania. Pomogą one może jego czytelnikom, tak dalekim przeważnie od zajmowania się sprawami nieobchodzącemi bezpośrednio ich ojczyzny, do zrozumienia niektórych zawikłań i trudności, przed jakiemi

stoją kraje wschodniej Europy i zachodniej Azji i pozwoli wejrzeć zarówno w słabości, jak i w groźne zalety jednego z czynników, grających pierwsze skrzypce w tych zawikłaniach.

Tharaud nie był pierwszym w wypowiedzeniu niejednej ze swych uwag. Za daleko zaprowadziłoby nas poszukiwanie jego źródeł. Nawiasowo tylko wspominam, że potwierdzenie wielu jego spostrzeżeń można znaleźć w książce Bernarda Lazare'a *L'antisémitisme. Son histoire et ses causes,* Paris, 1894, z której niewątpliwie korzystał, a która na pewno nie odznacza się brakiem sympatji dla Żydów, jak i w wspomnianej już wyżej późniejszej książce Bonsirvena, z r. 1928, nacechowanej szczerą tolerancją i niepozbawioną również rysów sympatji dla wybranego narodu. I tak np. pierwszy z tych autorów stwierdza antispołeczne usposobienie Żydów (str. 3) pozytywizm religji żydowskiej z jednej strony, wybujałości mistyczne z drugiej (str. 50 i 51), energję, żywotność, pychę Żydów, ich chęć panowania (str. 112), ideę kontraktu, dominującą w teologji izraelskiej, (str. 309), omawia, zresztą w sposób nierównie głębszy, niż Tharaud, przyczyny leżące w naturze ich religijnej filozofji (materjalizm!), które pchają ich ku rewolucyjnym zapatrywaniom.

Tharaud nie wyzyskał jednak szeregu spostrzeżeń Lazare'a, obawiając się może poruszania spraw drażliwych, przed których oświetleniem nie cofnął się tamten autor. Pomija np. to, co Lazare mówi o zmaterjalizowaniu Żydów pod wpływem Talmudu (str. 117—8), o okrutnych przepisach Talmudu wobec obcych (str. 289 i n.), o patrjotyźmie Żydów, objawiającym się w niechęci do obcych (str. 292), o tem, że Żydzi zachowują swą narodowość tak długo, jak długo mają poczucie tej narodowości i przekonanie o swej wyższości nad otoczeniem (str. 293—4), nie dość może podkreślił fakt, że Żydzi są kosmopolitami i nie przywiązując się do żadnej ziemi, kochając tylko Syjon, wnoszą ducha obojętności względem kraju i są, zdaniem antysemitów, nietylko obcymi, ale obcymi szkodnikami. (str. 301).

Bonsirven w swej książce, która powstała później, niż dzieła Tharaud, potwierdza np. wiadomość o przewadze, danej studjum prawa, o braku niemal dogmatów w ich teologji, (str. 146—152), tłumaczy rozkwit kabalizmu brakiem ta-

jemniczości, interwencji nadprzyrodzonej, ofiar i sakramentów, słowem jednostronnym racjonalizmem w oficjalnej religji żydowskiej (str. 247), pisze o sprzecznościach w charakterze żydowskim (str. 96), o pogardzie dla chrześcijan i nienawiści do Chrystusa (str. 104—113), wogóle jednak mentalnością żydowską mało się zajmuje.

Do uwag braci Tharaud o roli Żydów w społeczeństwach chrześcijańskich, uwag, których słuszności, lub niesłuszności nie można sumarycznie rozstrzygać, pozwalam sobie dodać jedno spostrzeżenie — zapewne nie oryginalne — nasuwające mi się w związku z tym tematem. Żydzi liberalni są niebezpieczni dla społeczeństw chrześcijańskich głównie z tego powodu, że ze szczególnym uporem zwalczają ideje religijne i patrjotyczne. Skąd to pochodzi? Przedewszystkiem z warunków dotychczasowego ich życia. Znając tylko ciasną i oddaloną od życia realnego formę religji, jaką jest judaizm talmudyczny, albo bezsensowną mistykę Zoharu, pragną oswobodzić się z niej i... zwalczają religję wogóle, jako taką (n. b. rzadko zwracając się przeciw samej religji żydowskiej właśnie!). Nie zaznali słodyczy jarzma Chrystusowego i nie mogą pojąć istnienia religji liberalnej i przystosowanej do życia, a równocześnie surowej i wzniosłej. Nie znają również prawdziwej ojczyzny, związanej z ziemią; patrjotyzm przedstawia im się bądź w formie syjonizmu kulturalnego lub politycznego, jednej i drugiej niesłychanie trudnej do zrealizowania, bądź w formie bezmyślnego szowinizmu, którym inne narody dały im się we znaki, więc nic dziwnego, że go zwalczają.

Nie mogę wdawać się szczegółowo w ocenę historycznych wiadomości, zawartych w dziełach Tharaud, a w szczególności w jego *Małej historji Żydów*. Autor nie jest historykiem, chociaż chętnie porusza w swych powieściach zagadnienia historyczne, jak np. w *La tragèdie de Ravaillac*, jak w *La chronique des frères ennemis* (na tle początków kalwinizmu w Genewie) i innych. W *Małej historji Żydów* zmierza do syntezy, skreślonej w wielkich linjach, co mu się naogół udaje. Odczuwa się jednak jakgdyby brak przygotowania historycznego, czerpanie z drugiej ręki, co prowadzi czasem do zbyt pośpiesznych wniosków, opartych na nie-

dostatecznych przesłankach i staje się powodem błędnych informacyj. Klasycznym takim błędem we wspomnianej książce jest przedstawienie okrucieństw Chmielnickiego, jako rzekomo końcowego stadjum wzrastającej w Polsce XVII w. nietolerancji. Czytelnik, nie znający historji polskiej, nie może z przedstawienia rzeczy przez Tharaud dowiedzieć się, że działalność Chmielnickiego — to był bunt polityczny względem Polski z jednej strony, a rewolta socjalna i narodowościowa z drugiej; przeciwnie, czytelnik, który tych stosunków narodowościowych nie zna, może sądzić, że Chmielnicki był hetmanem polskim (sic!), masakrującym Żydów na czele ludności polskiej. O tem, że obok Żydów ginęli masowo wtedy Polacy, niema ani słówka. Co więcej, jako pośredni sprawcy pogromów Chmielnickiego przedstawieni są Jezuici, którzy mieli do nich doprowadzić przez swą nietolerancję względem Żydów. Trudno o większe pomieszanie pojęć i faktów. Jest ono tem dziwniejsze, że B. Lazare, z którego Thauraud zapożyczył całe ustępy, podkreśla, zgodnie z prawdą, że bandy Chmielnickiego mordowały narówni z Żydami katolików, a zwłaszcza Jezuitów (*Antisémitisme,* str. 152).

Wspomniałam i przedtem o wpływie książki Lazare'a na braci Tharaud. Zapożyczają oni istotnie z tego dzieła nietylko opisy faktów historycznych, ale również ich oświetlenie, oraz niektóre ideje ogólniejsze. Ze wspomnianego dzieła Lazare'a nasz autor zapożycza np. wiadomości o prześladowaniu Żydów w różnych krajach i o przyczynach tych prześladowań (str. 128 i nast.), o średniowiecznych przesądach co do odrażających chorób, właściwych Żydom (o. c. 180), oświetlenie postaci Majmonidesa i następstw jego nauki (str. 114—117), pomijając zresztą to, co Lazare mówi o zmaterjalizowaniu Żydów pod wpływem Talmudu, wreszcie wywody o znaczeniu żydowskiej krytyki ksiąg świętych dla genezy Reformacji (str. 335). Z Lazare'a zaczerpnął myśl porównania losu Żydów z losem chłopów w średniowieczu (str. 131), jak również stwierdzenie faktu, że ghetto jest terytorjum Żydów, ich ojczyzną (str. 285), z Lazare'a wziął również, niedorzeczne zresztą przypuszczenie, że Kościół oszczędzał Żydów, aby mieć w nich świadka swego triumfu (str. 88, 126). Jeden i drugi

autor zapomina tu, że mogły być w tem wyższe pobudki, niż czysto ziemskie, dyplomatyczne wyrachowanie. A przecież o kilka stron dalej stwierdza Lazare, że do ósmego wieku przyczyny walki z Żydami były tylko religijne, a dopiero w ósmym wieku po dołączeniu się przyczyn socjalnych zaczęły się prawdziwe prześladowania (str. 95). Tharaud pomija to milczeniem, podobnie jak nie wyzyskuje faktu, o którym wspomina Lazare, że Żydzi wszędzie chcieli zachować odrębność a równocześnie posiadać te same prawa, co inni obywatele (str. 101); podobnie nie wyzyskuje konstatacji Lazare'a, że Żydzi sami ograniczyli swą działalność do handlu złotem, ponieważ w obawie o całość swej religji zaczęli pod wpływem rabinów usuwać się od działalności naukowej świeckiej. Nie uwzględnił Tharaud całego szeregu stron działalności Żydów w przeszłości, które oświetla Lazare, a które trudno było pominąć w historji tego ludu i jego stosunku do otaczających społeczeństw. Jednem z ważniejszych takich zamilczeń jest zupełne przemilczenie roli idei żydowskich w rozwoju filozofji XVIII w. (tego „strasznego antychrystjanizmu", o. c. str. 336), działalności ich w tajnych stowarzyszeniach XVIII i XIX w. (str. 336 i nast.), ich współudziału w teoretycznem i praktycznem przygotowaniu Rewolucji francuskiej (może dlatego zresztą, że jest ona droga Francuzom, a przynajmniej niektórym ich kołom, jako ich narodowe dzieło). Nie wyzyskuje nasz autor obszernych wywodów Lazare'a o okrutnych przepisach Talmudu wobec obcych, jako jednej z przyczyn konfliktów między światem żydowskim a chrześcijańskim i w i. (str. 289 i nast.) i wogóle zdolności Żydów do nienawiści. Nie znalazły dostatecznego echa u Tharaudów głębokie myśli Lazare'a o przyczynach rewolucjonizmu u Żydów, wypływającego, zdaniem jego, z ich braku wiary w życie przyszłe i z pojęcia kontraktu w stosunku do Boga. Już tu na ziemi pragną nagrody za dobre czyny. Nie idea miłosierdzia panuje w ich religji, ale idea sprawiedliwości. Tworzy się idea, że Izrael ma realizować tę sprawiedliwość. W tem świetle sprawiedliwym ma być zawsze biedny, złym bogaty. [1]) Drugą przyczyną ich rewo-

[1]) Inny autor żydowski A. Nossig posuwa się dalej, upatrując zasady socjalistyczne w prawodawstwie mojżeszowem. W swojej broszurze „Integra-

lucyjności jest pojęcie Boga, jako jedynego władcy izraelitów, stąd bunt względem każdego innego rządu i wybujałe poczucie wolności osobistej jednostki.

Wychodząc poza ramy Lazare'a, jako źródła książek Tharaud, możnaby znaleść niejedno uogólnienie, powodujące nieścisłości historyczne. I tak np. niezbyt dokładna jest historja powstania Talmudu, brak rozróżnienia jego części i jego dwóch elementów (halaka i hagada), stąd może i charakterystyka Talmudu wypada jednostronnie (por. Bonsirven o. c. str. 16 i nast.), nie zasługiwali może na pominięcie Karaimi, jako kontynuatorzy idei saducejskich (o. c. str. 20). Autor pisze o prześladowaniach Żydów w Hiszpanji za Izabelli i Ferdynanda w XV w., ale zapomina o tem, że za Almohadów w w. XII i XIII byli Żydzi zmuszani do przyjmowania Islamu i chronili się wtedy właśnie w Kastylji, Leonie, Aragonji i Nawarze. Gorszem niż te, bądź co bądź drobiazgi, jest historyczne traktowanie całego średniowiecza, jako całości, bez względu na różnice w życiu społecznem i ustawodawstwie, zarówno czasowe, jak i terytorjalne, oraz równie niehistoryczne pojmowanie wielkich ruchów dziejowych, jako bezpośredniego wyniku jednego faktu, lub działalności jednego człowieka, widoczne szczególnie w rozdziale o Mendelsohnie; nie podkreśla ono, że raczej działalność poszczególnych ludzi jest wynikiem nurtujących społeczeństwa prądów, na które składają się pragnienia i dążenia wielu.

Ogólnie ma się wrażenie, czytając *Małą Historję Żydów*, że autor ulegał przy pisaniu sugestji liberalnych pisarzy żydowskich, dopatrujących się przyczyn konfliktów Żydów z otaczającem ich społeczeństwem li tylko w niechęci tegoż wobec żydowskiego odosobnienia i zacofania z jednej strony, a przewagi gospodarczej z drugiej. Nie zna poglądów antysemitów ideowych (których u nas reprezentuje m. i. Popławski), dopatrujących się przyczyny prześladowań i ograniczeń prawnych Żydów w ich agresywności i chęci narzucenia społeczeństwom chrześcijańskim swego prze-

les Judentum" (Wien, Berlin, New York 1922) — przykładzie, nawiasem mówiąc, megalomanji żydowskiej — uważa propagandę socjalizmu, równoznacznego, jego zdaniem z mozaizmem, za światowe zadanie Żydów. Podkreśla w niej korzyści, płynące dla Żydów ze zwycięstwa idej socjalistycznych.

wodnictwa w sprawach politycznych i ideowych, w myśl odwiecznych marzeń o panowaniu Izraela nad narodami. Nie moją sprawą rozstrzygać, kto ma tu słuszność. Nie jestem historykiem.

Podobnie nie mogę oznaczyć, ile jest prawdy w opowiadaniu Tharaud o rewolucji bolszewickiej na Węgrzech, tem bardziej, że dzieje to tak niedawne. Znamiennem jest wszakże dla tego, kto miał sposobność być na Węgrzech, wkrótce po tych wydarzeniach (a miałam tę sposobność) jak powszechnie zabarwia wspomnienia tych ciężkich miesięcy rewolucji akcent zgrozy, i nienawiści do jej sprawców. Inne szczegóły historyczne w tej książce, jak np. odnoszące się do roli Tiszy i jego charakteru, znajdują potwierdzenie m. i. w pamiętnikach polskich działaczy parlamentarnych w b. Austrji, jak Daszyńskiego i Bilińskiego.

Pozostawałoby zaznaczenie zgodności, lub niezgodności danych Tharaud, odnoszących się do kolonizacji Palestyny ze stanem rzeczywistym. Rzecz to niezmiernie trudna wobec rozbieżności świadectw zabarwionych subjektywnie, zależnie od poglądów piszącego na kwestję syjońską. Zdaje się jednak, że stanowisko autora, nie tającego trudności przedsięwzięcia, jest uzasadnione. Potwierdzają je np. druzgocące wywody syjonisty Kadmi-Cohena, który nie waha się pisać o „faillite sioniste", o zupełnem bankructwie dzisiejszych rządów syjonistów w Palestynie (*Mercure de France* 1. VI. 1928). Mimo polemicznego ostrza jego artykułów, zwróconych przeciw dzisiejszym działaczom syjonistycznym nie można, zdaje się, odmówić słuszności jego obliczeniom, bo sam prezes egzekutywy syjońskiej, N. Sokołow, również miał się wyrazić, że „cyfry są przeciw nam". Ale krytykując stan obecny Kadmi-Cohen, ten przeciwnik syjonizmu w dzisiejszej jego formie, (zarzuca mu przedewszystkiem niedołęstwo, nieodpowiedzialność i nieumiejętność realnego myślenia i prawdziwie państwowo-twórczej pracy, metodę żebraniny, zamiast posunięć dyplomatycznych, wprowadzenie nieładu społecznego i moralnego w Palestynie [1]), stwierdza mistyczny cha-

[1]) Najważniejsze jego zarzuty skierowane przeciw gospodarce syjonistów możnaby sformułować w ten sposób:

rakter tego prądu, jako wyrazu tęsknot mesjanistycznych Żydów, stojących u nich ponad właściwą ich religją i proponuje praktyczne rozwiązania w postaci rozszerzenia terytorjum dla kolonizacji żydowskiej poza granice Cisjordanji, a nawet i Palestyny, oraz przez współpracę Żydów z całym światem arabskim (*Mercure de France* 1. X. i 15. X. 1928).[1])

Zaledwo $^1/_3$ część ludności żydowskiej w Palestynie posiada trwałą podstawę ekonomiczną. Reszta to albo starcy modlący się, albo urzędnicy syjonistyczni, jedni i drudzy, skazani na pomoc z zewnątrz, albo nędzarze przejadający resztki kapitału, lub emigrujący.

Nowe kolonje, założone z ogromnym kosztem, nie przynoszą dochodów. Wskutek spekulacji ceny ziemi wzrosły do tego stopnia, że dziś dla zakupna choćby połowy terytorjum, trzebaby s e t e k m i l j o n ó w funtów szterlingów.

Koncesja elektryfikacyjna jest monopolem prywatnym, co paraliżuje wszelkie próby elektryfikacji kraju poza nią.

Przerost szkolnictwa (18% budżetu ogólnego) z zaniedbaniem bardziej potrzebnych inwestycyj.

Laicyzm syjonistów powodujący gwałtowną opozycję tradycjonalistyczną.

Walka klas, wniesiona zaraz z początku, paraliżuje pracę, pochłania kapitał pochodzący z żebraniny po całym świecie.

Przyczyny tego stanu to przedewszystkiem zła organizacja naczelnych władz syjonistycznych, pozbawiona kontroli finansowej i politycznej i usunięcie elity żydowskiej od udziału w kierownictwie. Brak planu, metod, władzy wykonawczej, zawodowego kierownictwa politycznego, specjalistów (np. znawców kwestji muzułmańskiej, geologów etc.). Za ostateczną przyczynę uważa autor, rzecz ciekawa, właściwości psychiczne ż y d o w s t w a w s c h o d n i e g o, z którego wyszli kierownicy organizacji. Szczególnie ostro atakuje Weizmanna, prezesa organizacji syjonistycznej, w ostatnim ze swych artykułów (Mercure de France z 1. X. 1929).

Trudno stawiać horoskopy na przyszłość co do zdolności Żydów do państwowo-twórczej pracy. Historja, o ile można wnioskować o przyszłości na podstawie doświadczeń historycznych, mogłaby usposobić sceptycznie. W popularnej nawet, szkolnej *Historji i literaturze żydowskiej dla klas wyższych szkół średnich* przez M. Bałabana (wyd. nowe tom I. Warszawa 1929), czyta się ze zdumieniem o ciągłych walkach bratobójczych, nawet w obliczu wroga, zdradzie, odstępstwach, odwoływaniu się do obcych potęg, tchórzostwie obok nielicznych tylko przykładów patrjotyzmu.

[1]) Postulaty Kadmi-Cohena odnośnie do najbliższych zadań organizacji syjonistycznej są następujące:

a) Reforma organizacji syjonistycznej: 1) zaniechanie niepotrzebnej propagandy, 2) ograniczenie działalności politycznej do ścisłego komitetu z zawodowym dyplomatą na czele, 3) stworzenie organizacji badań ekonomicznych i finansowych.

Artykuły jego są wyrazem głosów rewizjonistycznych, które wzmogły się zwłaszcza ostatnio po świeżych wypadkach — nie pierwszych zresztą — zbrojnych starć Żydów z arabami, jak to stwierdza m. i. żydowski miesięcznik *Naród* w ostatnim swym numerze (Listopad—grudzień 1929). Znajdują się tam nawoływania do realniejszego, niż dotychczas, stawiania kwestji wewnętrznego urządzenia się Żydów w Palestynie, do porzucenia mrzonek komunistycznych i organizowania normalnego państwa, na wzór państw europejskich, posiadających dostateczną władzę wykonawczą i siłę zbrojną. Że w Palestynie obecnej nie wszystko jest normalne i zdrowe odczuwają sami Żydzi tam mieszkający. Ton smutku, zmęczenia i tęsknoty góruje stanowczo nad tonami energji w zbiorku p. t. *Antologja najmłodszej poezji palestyńskiej w przekładzie i ze wstępem Szymona Wolfa*, Warszawa 1929. Dla nas, ludzi wzrosłych w normalnym stosunku do Ojczyzny, wydaje się czemś dziwnem, niemal niezrozumiałem, prawie oburzającem, że ci najmłodsi poeci hebrajscy powrót do ziemi „ojczystej", do Palestyny, i pracę na tej ziemi — zapewne że ciężką i żmudną — traktują jako najwyższe poświęcenie: mówi się ciągle o cierpieniu, o walce, o trupach tych, co giną za ojczyznę etc. a nie brak nawet złorzeczeń. Przecież, normalnie biorąc, taki powrót do kraju przodków, powinien być czemś do najwyższego stopnia radosnem. A tej radości, tej bezpośredniej łączności z ziemią, którą uważa się za swoją — niema. Jeden z poetów, pracujący na tej swojej ziemi, nie waha się nazwać się „tułaczem bezimiennym", u innych brzmi akord tęsknoty za porzuconym krajem, w którym wzrośli. Ma się wrażenie, że nie tyle warunki życia im ciężą, co ów charakter świeczników narodu: wszak jeden z poetów żałuje, że „język hebrajski jest świąteczny"

---

b) reforma pracy w Palestynie: 1) sanacja sytuacji przez stopniowe opuszczanie *kewuzoth* i zaniechanie subsydjów dla instytucyj niepotrzebnych i szkół, 2) stworzenie z uzyskanych oszczędności Towarzystwa studjów dla przedsiębiorstw plantacyjnych, leśnych, górniczych, transportowych, 3) finansowanie tych przedsiębiorstw z pomocą wielkich pożyczek narodowych żydowskich w Europie i Ameryce. Autor stawia Żydom za przykład Ormian, który w ciągu paru lat, bez hałaśliwej agitacji, osadzili w Syrji, na solidnych podstawach ekonomicznych 150.000 kolonistów.

i że nie może „w patetyczny swój śpiew, rzucić po hebrajsku w gniewie i zapale: „psiakrew!". Rzeczywiście trudno żyć na twardej roli świątecznością i patosem. — Ten ton dysharmonji nie wypływa, albo nietylko wypływa, z tego braku normalnego trybu życia, jakim jest np. charakterystyczny fakt, że w uniwersytecie hebrajskim, a raczej jego zaczątkach, wykłady odbywają się tylko po południu, bo przedpołudniem studenci pracują, jako robotnicy (por. ks. P. Stach, *Wrażenia z podróży do Ziemi Świętej*, Lwów, 1927). Trudno nie pomyśleć, czytając to, że z takich jednostek nie będzie zapewne ani tęgich uczonych, ani tęgich robotników, lecz raczej wykolejeńcy życiowi. Ten ton dysharmonji mogłam wyczuć także w rozmowie z jedną z osób, zajmujących pomocnicze stanowisko naukowe przy Uniwersytecie hebrajskim, a więc pracującej wyłącznie w kierunku zawodowym, do którego posiada odpowiednie przygotowanie. Taż sama osoba nazwała wspomnianą wyżej książkę ks. prof. Stacha pracą bezstronną i dobrze informującą o stosunkach palestyńskich. Otóż i w tej książce spotykamy niemal te same zarzuty i obrazy, co u braci Tharaud: stwierdzenie i braku idealizmu u przybyszów, z wyjątkiem nielicznych chaluców, których zapał przeważnie nie jest trwały i brak dostatecznych zasiłków ze strony żydostwa światowego i rozbicie na partje i zbytnią swobodę obyczajową i brak pierwiastka religijnego i nierealność w dziedzinie pomysłów społecznych i trudności, związane z warunkami geograficznemi. [1])

A nie trzeba zapominać, że autor ten, przed zwiedzeniem Palestyny powojennej, z głęboką sympatją, a nawet niemal z zapałem, odnosił się do idei odbudowy Palestyny, czemu dał wyraz w cyklu wykładów, przyjętych z uznaniem przez syjonistów polskich *(Syjonizm a odbudowa Palestyny w ostatniej dobie* Kraków, 1925) i że w tej samej książce podnosi działalność syjonistów na polu podniesienia gospodarczego kraju.

Mimochodem wspominam, mówiąc już o książce ks. prof. Stacha, że włożenie przez Tharaud wyrazów niechęci Żydów

[1]) Za główną jednak przyczynę słabych wyników myśli syjonistycznej uważa zdaje się, ks. prof. Stach brak dostatecznego idealizmu w masach żydowskich.

ortodoksyjnych względem syjonistów w usta nadrabina Sonnenfelda znajduje uzasadnienie w fakcie, że tenże przedstawiciel chasydów jerozolimskich w czasie pobytu w Jerozolimie kardynała angielskiego Bourne'a wręczył mu memorjał ze skargą na syjonistów i prosił go o poinformowanie Anglików po swym powrocie do kraju o właściwym stanie rzeczy na terenie religijnym w Palestynie. [1]) Natomiast nie jest przedstawiona przez Tharaud zupełnie ściśle sprawa współdziałania Żydów w odzyskaniu Palestyny. Nie ograniczono się do zorganizowania służby szpiegowskiej na rzecz Anglji, ale były próby tworzenia sił militarnych i pewien ich współudział w walkach na froncie (por. X. Stach: j. w. str. 50 i czasopismo *Naród*, nr. 9—10).

Inne szczegóły, podane przez Tharaud, można natomiast odnaleźć w książkach, i artykułach, z któremi zestawiam ich opisy Palestyny. I tak np. potwierdzenie wiadomości Tharaud, że na kolonjach żydowskich zarówno dawniejszych, jak i nowszych, założonych przez syjonistów, pracują robotnicy rolni Arabowie znajduje się u Kadmi-Cohena (Mercure de France 1, X 1929 str. 40). Ks. Stach potwierdza wiadomości o odrodzeniu języka hebrajskiego w Palestynie, przyczem jednak dodaje, że starsze pokolenie mówi jeszcze chętniej żargonem. Nastroje antysyjonistyczne wśród samych Żydów i ich uzasadnienie znajdują potwierdzenie choćby w licznych artykułach, spowodowanych ostatniemi wypadkami w Palestynie, że zacytuję, jako bardzo charakterystyczne: artykuł Dra Arnolda w *Czasie* krakowskim z dnia X. 1929 i artykuł A. Słonimskiego w *Wiadomościach Literackich* z 8 IX. 1929, głos — jeśli można z zastrzeżeniami, użyć tych określeń — burżuazyjnego asymilatora i głos liberalnego międzynarodowca. Nieco za słabo przedstawia Tharaud żądania Arabów palestyńskich, które krystalizują się, jak świadczy deklaracja Wielkiego muftiego Emina Husseina, ogłoszona w dziennikach (u nas *Il. Kurjer Codzienny*, 27 IX., 1929) w żądaniu uczestnictwa w rządzie w liczebnym stosunku do liczebności Arabów w Palestynie, uregulowania imigracji w drodze ustawodawczej i zaniechania

1) Por. X. Stach: *Wrażenia* j. w. str. 219.

polityki, zmierzającej do utworzenia siedziby narodowej żydowskiej w Ziemi św.

Czy sceptycyzm Tharaudów w stosunku do przyszłości syjonizmu jest uzasadniony, trudno oczywiście powiedzieć. Zdaje się, że gdyby nastąpiła sanacja stosunków w obrębie dzisiejszej organizacji syjonistycznej, gdyby wydała owoce współpraca syjonistów z niesyjonistami, dopuszczonemi na ostatnim, tegorocznym kongresie syjonistycznym w Zurychu do współudziału w pracy, gdyby nastąpiło zbliżenie między syjonizmem a ortodoksami, po zaniechaniu przez syjonistów niechętnego stosunku do religji, gdyby zostały zrealizowane możliwości meljoracyjne, wymagające olbrzymich kapitałów, jak m. i. elektryfikacja kraju według planów inżyniera Ruthenberga i eksploatacja Morza Martwego, oraz budowa portu na morzu Śródziemnem, gdyby nakoniec udało się rozszerzyć kolonizację żydowską na kraje pozapalestyńskie, jak Syrję, a przedewszystkiem nadać wszystkiemu należyte gwarancje międzynarodowe — to realizacja idei syjonistycznej miałaby wszelkie warunki powodzenia. Tych „gdyby" jest jednak, jak widzimy, bardzo wiele. Nie mówię tu już o projektach, brzmiących w obecnych warunkach nieco fantastycznie, które propaguje Kadmi-Cohen (*Mercure de France,* 1.X 1929) pansemityzmu judeo-arabskiego, który dawałby syjonizmowi istotnie olbrzymie możliwości. Bez względu jednak na realne owoce pracy, zasługuje syjonizm rzeczywisty (dążący do odbudowy Palestyny, nie ten rozagitowany na szkodę społeczeństw europejskich) na wysokie uznanie, jako poryw idealizmu. Nas, Polaków, obchodzą specjalnie losy tego prądu, jako jednego z remedjów na potworny przerost procentu Żydów w naszym kraju. Dlatego była tu mowa o syjonizmie może zbyt szczegółowo w stosunku do innych zagadnień.

Jak widzimy porusza Tharaud w swych książkach problemy różnorodne i doniosłe. Modernizacja Żydów wschoddnich, jej przyczyny i jej skutki, stosunek religji Żydów wschodnich do ich psychiki, stosunek tej religji do narodowości żydowskiej, syjonizm i odbudowa Palestyny, jako idea właściwa przedewszystkiem Żydom wschodnim, jako rozwiązanie praktyczne wielu konfliktów również obchodzące

tychże Żydów przedewszystkiem, jako ruch polityczny, kierowany przez tychże Żydów, stosunek Żydów-ortodoksów, do Żydów liberalnych, stosunek chrześcijan do Żydów w dziedzinie politycznej, ekonomicznej i społecznej, antysemityzm, stosunek Żydów do chrześcijan, ich rola w społeczeństwach otaczających, asymilacja umysłowa i obyczajowa i wiele innych spraw pierwszorzędnej doniosłości nietylko dla Żydów, ale i dla chrześcijan, przewija się przez karty książek francuskich autorów. Problemy te są pierwszorzędnej doniosłości dla krajów wschodniej Europy a przedewszystkiem dla nas, dla Polski, gdzie smutna spuścizna historji pozostawiła nadmierną masę Żydów, których żaden organizm narodowy nie zdołałby zasymilować naprawdę (nie można tu mówić o powierzchownej asymilacji obyczajowej i przedewszystkiem językowej, choć, pożal się Boże! jaki to nieraz ten język judeo-polski) i gdzie sam ten nadmierny procent Żydów (co i Żydzi sami przyznają) utrudnia do najwyższego stopnia ułożenie *modus vivendi,* a zagraża poważnie integralności kultury polskiej i chrześcijańskiej. Nie można jednak tracić nadziei, że wyzwolony naród polski zdoła rozwiązać problem Żydów w sposób zgodny zarówno ze swym interesem religijnym i narodowym, jak i zasadą sprawiedliwości.[1])

Wśród poruszonych przez braci Tharaud problemów, brak nadewszystko problemu Żydów wyznania chrześcijańskiego, narodowości żydowskiej, jak wogóle kwestja nawróceń żydowskich dotknięta jest bardzo powierzchownie i traktowana jedynie, jako odstępstwo od żydostwa: jest to dziwne u autora, mającego poza tem poważny pogląd na sprawy religji wogóle. Odnosi się wrażenie, że autor nie przewiduje ewentualności rozłamu między religją, a narodowością żydowską i związanych z tem licznych i ciekawych problemów.[2])

[1]) Trafne ujęcie trudności tego problemu (ale nie jego rozwiązanie) znajduje się w artykule E. Fournola. La question juive en Pologne. Une opinion française (*Le monde slave* 1927, N° 8). Trudno wdawać się tu w szczegóły kwestji, której należałoby poświęcić osobny artykuł.

[2]) Że możliwość tego rozłamu nie jest obcą samym Żydom, dowodzi program Ben Jehudy. Zdaniem jego religja nie jest wszystkiem u Izraela; to tylko forma przejściowa zmiennego ducha tej rasy, który wyrazi się z nową siłą po odnalezieniu języka i ojczyzny. Zapomina jednak Ben Jehuda, że sama ojczyzna bez religji wogóle nie wystarcza.

Dla niego rozłam ten oznacza co najwyżej utratę religijności wogóle. Nie przewiduje ewentualności zastąpienia u jednostki żydowskiej monoteizmu mojżeszowego monoteizmem wyższym, chrześcijańskim, bez zrywania z tradycjami narodu. — Z drugiej strony nie znajduje echa u Tharaud koncepcja politycznego pansemityzmu, może dlatego, że jest to myśl nowa, mało realna i daleka od obecnych stosunków wśród Żydów wschodnich. Nie porusza autor również stosunku Żydów zachodnio-europejskich, do Żydów wschodnich i silnej solidarności między temi grupami, którą tak podkreśla A. Hartglass w *Le monde slave* (1927, Nr. 8).

Rozwiązań problemów Tharaud nie głosi, a przynajmniej nie wypowiada sądów stanowczych. Tezy jego, o ile je wypowiada, możnaby ująć mniej więcej tak: Istota żydostwa przechowała się wśród Żydów wschodnich. Wierność starym obyczajom i starej religji jest synonimem idealizmu i integralności narodowej. Zerwanie z niemi oznacza materjalizm i często zatratę świadomości narodowej. Mimo to konieczna modernizacja i zbliżenie do otaczających społeczeństw (nie uzasadnia dlaczego?!). Ale o zupełnej asymilacji niema mowy. Żyd pozostaje Żydem zawsze. Dla możliwości zupełnej zgody i jedności trzebaby zmienić zupełnie charakter Żydów, przez usunięcie pierwiastków ujemnych.[1]) Prześladowanie Żydów w jakiejkolwiek formie wzmacnia ich odrębność narodową. Problemu wartości, ujemnej, czy dodatniej, Żydów zasymilowanych dla społeczeństw chrześcijańskich autor nie porusza. Natomiast wpływ Żydów niezasymilowanych na społeczeństwa chrześcijańskie uważa za szkodliwy.

Sąd o idei książek Tharaud jest trudny. Zabawnem było dla mnie słyszeć niedawno w ciągu kilku dni dwa sprzeczne sądy o nich: Żydówka-syjonistka, pracująca w Palestynie, określiła braci Tharaud, jako antysemitów, Polka-antysemitka, przebywająca stale we Francji zauważyła, że są „oczywiście filosemitami". Podobnie sprzeczne sądy o braciach Tharaud słyszałam częściej. I jedno i drugie zawiera nieco prawdy: wyobraźnia artystyczna braci Tharaud lubuje

[1]) Że zmiana ta mogłaby nastąpić, i często następuje, pod wpływem chrztu i przyjęcia etyki chrześcijańskiej, autor nie zaznacza, przynajmniej nie zaznacza wyraźnie.

się w egzotyczności środowiska, a przekonanie o ważności religji w życiu ludzkiem budzi sentyment dla gorliwości religijnej chasydów (oczywiście z krytycznem ustosunkowaniem się do formalistyki tej religijności). Równocześnie rozum, pobudzony do zastanowienia się nad wartością społeczną tego malowniczego środowiska, znajduje odpowiedzi raczej negatywne. Głównie jednak zajmował go opis; opis różnych stron życia i działalności Żydów. W *Cieniu krzyża* opisał ich pobożność, w *Królestwie Bożem* życie domowe z wszystkiemi zaletami, wadami i śmiesznościami, w *Róży Saronu* dążenie do wiedzy i do cywilizacji, w *Roku przyszłym* tendencje mesjanistyczne i narodowe, w *Gdy Izrael jest królem* ich ponurą działalność, gdy otrzymują przewagę polityczną.

W sumie można określić autora *Róży Saronu,* jako dobrego obserwatora, etnografa i psychologa, gorszego nieco historyka i polityka. Gdy wkracza na pole historji i polityki traci pewny grunt pod nogami. Sam mówi, że odkrył w życiu Żydów wschodnich „świat oryginalny i dziwaczny (un univers extravagant), którego malowniczość i tajemniczość oczarowały z miejsca jego wyobraźnię" (*W roku przyszłym...,* str. 279).

To też należy patrzeć na jego książki przedewszystkiem, jako na dzieła sztuki i to wysokiej sztuki, a ich autorów uważać za artystów, którzy jednak nie chcą poprzestać na obserwacji powierzchownych zjawisk życia, ale poznać ich głębsze sprężyny. Nie można jednak zapominać, że wyobraźnia artystyczna niejedno im ozłaca i upiększa ze szkodą dla prawdy. [1])

[1]) Nasze uczucie narodowe może razić fakt używania czasem przez autorów wyrazu „Polak" na oznaczenie Żyda z Polski, oraz fakt pisania o Polsce tak, jakby autor poza Żydami nikogo i niczego w naszym kraju nie widział. Jedynie w *Królestwie Bożem* sympatyczna postać Zaworskiego i emigrant z r. 1848 w *Roku przyszłym* pozwalają się domyślać istnienia Polaków nie mojżeszowego wyznania.

Dr. Zofja Ciechanowska.

Przegląd piśmiennictwa.

Ks. Dr. Antoni Szymański: Zagadnienie społeczne. 8⁰, str. 468 Lublin, 192), wyd. Wiedzy chrześcijańskiej.

Mamy przed sobą w niespełna cztery lata po ukazaniu się tegoż autora „Polityki społecznej" drugie równie poważne i sumiennie opracowane dzieło z zakresu kwestji socjalnej. Dzieło pomyślane przedewszystkiem jako podręcznik w tej dziedzinie dla uczniów seminarjów duchownych. W r. 1916 wydał ten sam Autor po raz pierwszy „Zagadnienie Społeczne", ale niemal połowa nakładu przepadła w zawierusze wojennej. Wobec czego Autor otrzymał w r. 1927 mandat od Zjazdu Związku polskich Zakładów Teologicznych do opracowania nowego wydania tego dzieła. Zdaje mi się, że zupełnie słusznie Zjazd zaszczycił Autora tym mandatem nietylko dlatego, że już miał tego rodzaju pracę za sobą, ale równie dobrze dlatego, że dotychczasowa niezwykle sumienna, możnaby rzec skrupulatna praca Autora na polu naukowem, dawała wszelkie szanse, iż nowe wydanie Zagadnień odpowie potrzebom najmłodszych adeptów pracy kapłańskiej i społecznych działaczy. Autor cel ten miał stale przed oczyma i trzeba przyznać, że w znacznej mierze spełnił swe zadanie chlubnie.

Uwzględnił więc zasadniczo i obszernie związek zagadnienia społecznego z katolicyzmem i w tok swych rozważań społecznych wciągnął niemal całą argumentację filozofji katolickiej, objawienia i historji Kościoła, owszem niezwykle śmiało i szczęśliwie umiał w swych dociekaniach skojarzyć tak biegunowo różne zjawiska, jak powszechny praktyczny materjalizm i chrześcijańską ascezę, kapitalizm i życie zakonne. Mając na oku zadanie duchowieństwa umoralniania społeczeństwa, nie ograniczył się do tego, by wskazać moralny czynnik odgrywający rolę w rozognianiu czy uśmierzaniu społecznego zagadnienia, ale w specjalnych rozdziałach omówił te zjawiska niemoralności, które mają charakter publiczny i znaczenie społeczne: pornografję, prostytucję, alkoholizm.

Ten punkt widzenia służył Autorowi za tło, na którem szczegółowo opracował problemy wścisłem słowa znaczeniu spo-

łeczne, a więc powstałe wskutek rozwoju techniki przemysłowej i przemysłu, a co zatem idzie — kapitalizmu i życia przemysłowych centrów i wielkomiejskiego.

W całem opracowaniu tych zagadnień, wprost uderza niezwykły objektywizm, chociaż autor swoją myśl katolicką prowadzi ustawicznie pomiędzy liberalizmem społecznym i socjalizmem. Ten spokojny i rzeczowy sposób analizowania poszczególnych zagadnień ma w tem dziele podwójną wartość, gdyż z jednej strony daje pracy charakter prawdziwie naukowy a następnie w podręczniku ma wielkie znaczenie dydaktyczno-pedagogiczne. Niewątpliwie do dziś dnia zagadnienie społeczne wyglądałoby znacznie inaczej, bezporównania lepiej, gdyby właśnie wszyscy ci, którzy przykładają rękę do jego rozwiązania, albo zamierzają je choćby teoretycznie opracować, umieli, wobec gorączki społecznych walk, zachować zimną krew, pozwalającą na rzeczową ocenę społecznych tarć.

Poza temi zaletami, odnoszącemi się do t r e ś c i dzieła należy również podkreślić m e t o d y c z n ą zaletę, która tkwi w trafnem naogół podziale materjału na części i rozdziały, co przy studjum i wykładach bardzo ułatwia częściowe i stopniowe wdrażanie się w zawikłane zresztą zagadnienia.

Autor dzieli swą pracę na pięć części. W pierwszej i drugiej omawia założenia społeczne i gospodarcze, odnoszące się do kwestji społecznej, jej powstania i charakteru, następnie obszernie w trzeciej części analizuje, bardzo trafnie i głęboko, zagadnienie pracy zależnej, w czwartej części niejako na krosnach procesu gospodarczego: wytwarzania, wymiany i podziału dóbr i spożycia, konkretnie ocenia fakty i możliwości zagadnień społecznych. W ostatnich dwóch dodatkowych częściach przedstawia społeczne zagadnienia kulturalno-umysłowe i sumarycznie historję doktryn społecznych. Słowem można powiedzieć, że daje w swej pracy studentowi bardzo dużo.

Jednak, gdy chodzi o ten zasadniczy podział, to ośmielamy się przypuszczać, że podział, jakim się Czcigodny Autor kierował w pierwszym wydaniu był znacznie przejrzystszy i — praktyczniejszy w szczególności część II p. t. „Poszczególne przejawy zagadnienia społecznego", w której Autor kolejno przechodził zagadnienia społeczne istniejące w przemyśle, rzemiośle, w handlu i rolnictwie.

Mamy też wrażenie, że niekiedy w pracy Autora przebija się fakt, że dzieło przygotowywał pod naciskiem życzenia, by jak najprędzej wyszło z druku. Temu faktowi przypisujemy takie np. drobne usterki, jak na str. 11, gdzie Autor cytuje pisarzy, przedstawiających wygląd ustroju socjalistycznego i — w równej linji stawia dzieło Cathreina i Bebla, albo na str. 19—20, kiedy autor wyjaśnia pojęcie i podział sprawiedliwości na sprawiedliwość zamienną, szafującą i społeczną, by kilka wierszy niżej po-

święcić cały ustęp dowodzeniu, że pojęcie sprawiedliwości społecznej jest niewłaściwe, a następnie znowu ustęp uzasadniający, że właściwszą jest nazwa sprawiedliwość społeczna, niż sprawiedliwość legalna. Prawda, że niema w tem wszystkiem żadnej sprzeczności, ale nam się zdaje, że jest niejasność, na pewno zbyteczna w podręczniku. Temu pośpiechowi przypisujemy też takie np. zjawisko, że Autor w swem dziele pomieścił w dwóch różnych rozdziałach zupełnie identyczne tytuły ustępów: Rozdział kapitału i pracy (str. 138 i 162), znów nie brak konsekwencji w treści, ale niejasność. Albo tego rodzaju *inadaequata divisio*, jaką spotykamy w paragrafie 34 zatytułowanym: „Czynniki postępu społecznego": „I Wina, II Akcja robotnicza, III Akcja jednostek i grup społecznych wraz z akcją kościołów, IV Akcja ustawodawcza, V Rozwój życia gospodarczego i opanowanie kryzysów". Gdybyśmy bowiem nawet przyjęli, że rozwój życia gospodarczego jest rzeczywiście czynnikiem postępu społecznego, biorąc go pod kątem widzenia społecznego zagadnienia, to w każdym razie musimy powiedzieć, że opanowanie kryzysów jest rezultatem i faktem społecznego postępu, a wina, tak jak ją Autor przedstawia, była czynnikiem społecznego wstecznictwa. Ale znowu musimy dodać, że cały paragraf jest bardzo logicznie opracowany, a tylko pospiesznie pokrajany.

Co się tyczy samej treści, to również ośmielam się podnieść pewne wątpliwości, które być może w tym wypadku są bardziej subjektywne niż objektywne, ale zupełna lojalność każe je poruszyć. Autor na str. 50 twierdzi, że „usprawiedliwienie z motywu dobra materjalnego jest usprawiedliwieniem prawa zysku", a mnie się zdaje, że tylko prawa korzyści, ale w supozycji, że zysk dochodzi do skutku tylko przy kontrakcie, a jest usprawiedliwiony moralnie tylko wtedy, kiedy obydwie strony działają z pełną wolną wolą i świadomością. Na str. 108 Autor chcąc dowieść obowiązku pracy, ciążącego na wszystkich, czyni to w ten sposób: „Człowiek musi pracować, aby utrzymać swe życie i spełnić różne obowiązki. Dlatego praca ma charakter moralny. Stąd równanie: praca — obowiązek — zarobek, a nie tylko: praca — zarobek". Na podstawie tego równania każdy może powiedzieć, że skoro praca równa się obowiązkowi, a zarobek równa się też obowiązkowi, to kto zarobku nie potrzebuje, ten też nie potrzebuje i pracy, czyli nie jest do niej obowiązany bo praca równa się zarobkowi. Słowem mamy wrażenie, że obowiązek pracy należy zupełnie z innego źródła udawadniać i nie wciągać w dowodzenie zarobku.

Sądzimy jednak, że te wątpliwości i niejasności, któreśmy pozwolili sobie poruszyć, bez najmniejszej trudności usunie każdy, wykładający kwestję społeczną w seminarjach i nawet w swych wyjaśnieniach może doskonale korzystać z samegoż tutaj omawianego dzieła, przewróciwszy kilka kart wstecz, albo naprzód.

Mamy nadzieję, że po następnem wydaniu nawet tego nie będzie potrzebował robić i serdecznie życzymy W. Ks. Profesorowi, żeby jak najprędzej zaszła potrzeba opracowania nowego wydania.

Ks. R. Moskała.

Leon Halban: Społeczne ideały chrześcijaństwa w pierwszych wiekach. Księgarnia św. Wojciecha, 1929, str. 155.

Lubo pierwsze źródła odnoszące się do początków chrześcijaństwa są tak nieliczne, że bardzo łatwo opanować się dadzą, czasy te są pod każdym względem polem badania niezmiernie trudnem. A to nietylko dlatego, że nie łatwa jest względem tak odległej epoki rekonstrukcja pojęć i stosunków, ale przedewszystkiem dlatego, że niema w całych dziejach ludzkości drugiego momentu, koło którego mrowiłoby się takie mnóstwo sprzecznych poglądów, niema literatury, której każdy tekst i nieomal każde słowo każdego tekstu byłyby przedmiotem tylu nie kończących się roztrząsań. Ze strony Dra Halbana był to więc akt niemałej odwagi zapuścić się w tę dziedzinę, zwłaszcza, że dotąd nie była ona przedmiotem specjalnych jego studjów. Żeby należycie ocenić rezultat podjętego przezeń wysiłku, trzeba pamiętać, że praca niniejsza jest zbiorem odczytów nieco obrobionych i udokumentowanych, ale wreszcie odczytów publicznych, mających zatem charakter i przywileje popularyzatorskiej roboty. I w tem założeniu zasługuje ta książka na pełną pochwałę, bo jest jasna, treściwa, dobrze zbudowana. A że tu i ówdzie zbyt lekko prześlizga się pióro nad niejedną trudnością, że pomija niejeden ważny tekst, a z analizą innych załatwia się zbyt sumarycznie, że bardzo szybko uogólnia i wnosi nieraz w dawne wieki późniejsze koncepcje — to rzecz w tym rodzaju studjów łatwo zrozumiała i nieunikniona. W każdym razie książka ta, tak jak jest, odda niejednemu umysłowi poważne usługi i dopomoże do zrozumienia tej olbrzymiej nowości, jaką przyniosło ze sobą chrześcijaństwo.

Ks. J. Rostworowski.

Ks. St. Bross: Akcja katolicka a Polska. Str. 34.
Ks. Stanisław Adamski: Akcja katolicka a duchowieństwo. Str. 57.
Ks. Guerry: Kodeks Akcji Katolickiej. Str. XXIII + 191.
Ks. R. Mäder: Katolikiem jestem! Str. 147.
Wydanie zbiorowe „Książnica Akcji Kat." Poznań, Księgarnia św. Wojciecha, 1929.
Prof. K. Muth: Epiphania. Myśli człowieka świeckiego o Akcji Kat. Kraków, Księgarnia Krakowska, 1929, str. 26. Przełożył i uwagami zaopatrzył Ks. Jan Korzonkiewicz.

Akcja Katolicka — współpraca katolików świeckich z hierarchją kościelną w dziele apostolskiem — sięga zamierzchłych czasów, ale weszła w nową fazę za rządów obecnego Ojca św.,

który popiera energicznie jej rozwój. Wezwanie jego spotkało się w całym świecie z żywem echem, wobec ogromu i trudności zadania zabrano się jednak przedewszystkiem do prac przygotowawczych; rozpoczęła się wymiana zdań, powstała spora literatura. W kraju naszym została w tym celu stworzona świeżo Centrala Akcji Katolickiej w Poznaniu, której dyrektorem zamianował Episkopat polski ks. Infułata St. Adamskiego. Przystąpił on bezwłocznie do pracy, czego dowodem jest ukazanie się już czterech książek na temat Akcji Kat., które omawiamy właśnie poniżej.

Ogólny pogląd na rozwój Akcji Kat. za Piusa XI, oraz niektóre jej wytyczne daje broszura p. t. Akcja Katolicka a Polska, opracowana przez ks. dra St. Brossa. Wstęp do niej jest treściwem zestawieniem różnych enuncjacyj Ojca św. o Akcji Kat., poczem następuje List w tej materji, wystosowany z Watykanu do J. E. Ks. Kardynała Hlonda z dn. 10. IV b. r. w tekście włoskim i w tłumaczeniu polskiem, z objaśnieniami autora.

Podczas kiedy ks. Bross zwraca raczej uwagę na historyczny stan rzeczy i dokumenty, to ks. St. Adamski zajmuje się w swej broszurze Akcja Kat. a duchowieństwo więcej teoretyczną stroną Akcji Kat., racją jej bytu na tle obecnych stosunków, oraz różnemi szczegółami organizacyjnemi. Autor zwraca się przedewszystkiem do duchowieństwa, które wzywa do pracy i podkreśla konieczność głębszego przygotowania wewnętrznego, tak własnego jak u osób świeckich.

Akcja Kat. rozciąga się jednak na różne dziedziny życia i katolik, który bierze w niej udział, powinien orjentować się doskonale w nauce Kościoła, dotyczącej każdego zagadnienia. Orjentację tę ułatwi mu ogromnie Kodeks Akcji Kat., zestawiony pracowicie przez ks. Dra Guerry i przetłumaczony z francuskiego. Kodeks ten podaje zwięźle ujęte (przeważnie teksty z urzędowych dokumentów Kościoła), wyjaśnienia i zasady, odnoszące się do: Kościoła, Akcji Kat., praw jednostki i społecznych, małżeństwa, rodziny, wychowania i szkoły, państwa, kwestji społecznej, spraw międzynarodowych. Podwójny spis, porządkowy i rzeczowy, umożliwia znalezienie szukanego przedmiotu. W pouczającym wstępie daje nadto autor uzasadnienie obowiązku ludzi świeckich, brania udziału w Akcji Kat., oraz wyjaśnia ich stosunek do hierarchji kościelnej.

Ostatnią książkę ks. R. Mäder'a Katolikiem jestem! można nazwać apelem do katolików świeckich, aby lepiej poznali swą wiarę, mężniej wyznawali i stanęli dziś odważnie do jej obrony. W szeregu ustępów, urozmaiconych przykładami i pisanych stylem energicznym, wyjaśnia autor obowiązki katolika w tym względzie i głosi wiarę w ostateczne zwycięstwo.

Powyższe cztery książki stanowią początek specjalnej bibljoteki, wydawanej staraniem Krajowej Centrali Akcji Katolickiej

w Poznaniu. Z pośród innych prac na ten temat pragniemy tu nadmienić dłuższą rozprawę ks. Dra A. Mytkowicza Akcja Katolicka u podstaw i w praktyce w *Gazecie Kościelnej* (Lwów 1929, nr. 36 i nast.), która przypuszczamy, ukaże się w osobnej odbitce, oraz niewielką ale pożyteczną broszurkę prof. K. Muth'a, redaktora katolickiego miesięcznika *Hochland*, pt. Epiphania. Myśli człowieka świeckiego o Akcji Kat. Jest ona szczególnie interesująca dlatego, że autor, człowiek świecki, zgłasza pełną gotowość na wezwanie Kościoła, równocześnie jednak śmiało przedkłada nasuwające się trudności, a zwłaszcza pewne postulaty w sprawie wzajemnego ustosunkowania się duchowieństwa i inteligencji świeckiej.

Ks. St. Podoleński.

VII. Tydzień Społeczny Stowarzyszenia młodzieży akademickiej „Odrodzenie" w Lublinie 19—26 sierpnia 1928 r. Nakł. Związku Senjorów Odrodzenia, Lublin, Uniwersytet, 1929. Str. IV+132.

Cykl odczytów w powyższym „Tygodniu Społecznym" dzieli się zasadniczo na trzy działy: filozoficzny, religijny, społeczny. Filozoficzny obejmuje tylko jeden referat, mianowicie ks. dr. Kowalskiego: „Wartość filozofji św. Tomasza i św. Augustyna dla życia umysłowego XX w.", gdzie autor rozwija problem epistemologiczny św. Tomasza, stawiając go jako pogłębienie i udoskonalenie teorji św. Augustyna, a przeciwstawiając go Kantowi, Schopenhauerowi, Nietzchemu, Beryschsonowi i Schelerowi, widzi w nim punkt wyjścia dla odrodzenia się życia umysłowego i naukowego współczesnej ludzkości. Dział religijny zajmuje się przedewszystkiem osobą i działalnością Apostoła narodów. „Św. Paweł jako organizator życia katolickiego", ks. dr. Kruszyńskiego, „Św. Pawła myśli i czyny misyjne", referat ks. dr. Abta, ks. Morawskiego T. J. „W Chrystusie", mistyka św. Pawła — mają podać wzór pracy apostolskiej tak dla tych, co się poświęcają współczesnemu duszpasterstwu „ex professo", jak również działaczom świeckim w akcji katolickiej. Ostatni referat z działu religijnego ks. Turowskiego P. S. M. omawia dorobek wysiłków misyjnych Kościoła katolickiego w obecnej chwili, niebezpieczeństwa, jakie grożą misjom, nawołuje do współpracy. Wreszcie dział ostatni, społeczny, zajmuje się kwestją, o ile nauka Kościoła katolickiego może i powinna się przyczynić do rozwiązania zagadnień społecznych. Na pierwszy plan wysunięte są tu referaty ks. Wojsy: „Społeczny charakter katolicyzmu"; ks. dr. Szymańskiego: „Kapitalizm w świetle nauki katolickiej"; w streszczeniu podany jest referat dr. A. Bilika: „Wychowanie organizacyjne", ściśle, wychowanie organizacyjne w „Odrodzeniu".

Nie wdając się w merytoryczną ocenę poszczególnych referatów o tak różnorakiej treści, chcę tylko na tem miejscu pod-

nieść ich wielkie znaczenie dla współczesnego życia katolickiego i przypomnieć o ich istnieniu tym, którzy obrobienia podobnych tematów szukać będą dla poruszenia ich w swoich organizacjach.

Ks. J. G.

Karl Sudbrack S. J.: Die Schmiede der katholischen Aktion. Exerzitienapostel an die Front! Köln-Deutz, Fr. Paffenholz, str. 48.

Współczesne życie stało się w szeregu swoich objawów pogańskiem, a raczej laickiem, nie chce uznawać etyki chrześcijańskiej. Żeby je zpowrotem odzyskać dla religji objawionej — i to na wszystkich jego odcinkach — rzucił obecny Papież hasło „akcji katolickiej", któraby wszędzie dotarła. Do wykonania wielkiego programu, który się mieści w tem haśle, niezbędna jest czynna pomoc, a raczej stałe współdziałanie katolików świeckich. Muszą to być jednak ludzie pod względem katolickim nieprzeciętni, wyborowi.

Gdzież jest „kuźnica", w którejby ich wykuwano, że się tak wyrazimy. W rekolekcjach zamkniętych. Tam się powinno kształtować umysły i serca tak, żeby z nich wychodzili apostołowie świeccy. I autor, będący sam wielkim propagatorem rekolekcyj w Niemczech, napisał tę broszurę przedewszystkiem dla rekolektantów, żeby sami żyli i działali w duchu rekolekcyjnym i żeby je propagowali usilnie. Zawiera ona następujące rozdziały: 1) Rekolekcje w świetle prawdy. Co o nich mówią papieże, biskupi, święci i głosy wiernych? 2) Modlitwa za rekolekcje. 3) Z akcji werbunkowej. 4) Sprawy finansowe. 5) Zachowanie owoców z rekolekcyj. 6) Apostolstwo rekolektantów. — Jest to dobra broszura propagandowa, zawierająca dużo praktycznych wskazówek i przykładów. I u nas wobec budzącej się „akcji katolickiej", tego rodzaju broszura ustrzegłaby ją od wielu niepowodzeń. Albowiem „akcję katolicką", w przeciwstawieniu do wszelkiej innej, muszą prowadzić ludzie naprawdę po katolicku myślący, czujący i działający. A dobre, gruntowne rekolekcje są istotnie kuźnicą tego rodzaju ludzi. *Ks. J. Andrasz.*

Helena Polaczkówna: Stemmata Polonica, rękopis nr. 1114 Klejnotów Długosza w Bibljotece Arsenału w Paryżu. Prace Sekcji historji sztuki i kultury Towarzystwa Naukowego we Lwowie, tom I, zeszyt 2, Lwów 1927, str. 161—250.

Badania nad heraldyką polską średniowieczną wkroczyły od czasów Piekosińskiego i Małeckiego na tory zupełnie nowe i otwierające wielkie naukowe horyzonty. Z jednej strony dokładne wniknięcie w treść materjału źródłowego przekonało dowodnie, iż na wielkie konstrukcje syntetyczne jeszcze nie nadszedł czas, z drugiej zaś strony prąd wydawniczy począł się toczyć

wartkim nurtem, przynosząc pierwszorzędne wyniki. Jednakże obok działalności wydawniczej, zmierzającej do ogłoszenia nieznanych dotąd zupełnie materjałów, coraz wyraźniej dawała się odczuwać potrzeba rewizji dotychczasowych poglądów, zwłaszcza Piekosińskiego, na charakter i wartość źródeł pozornie znanych, lecz bardzo niedokładnie i nie z pierwszej ręki, a przez to i niezupełnie wykorzystanych. Tego wdzięcznego, lecz niezmiernie trudnego zadania podjęła się autorka pracy w nagłówku wymienionej. W krótkich tylko rysach streściwszy wyniki swoich dochodzeń w komunikacie „Najstarsze źródła heraldyki polskiej średniowiecznej (Archiwum T. N. we] Lwowie, dział II, tom II, zesz. 3, Lwów 1924), przystąpiła z prawdziwym pietyzmem do wydania niezmiernie cennego zabytku heraldycznego, znanego pod nazwą „Herbarz Arsenalski".

Rękopis ten, przechowany w Bibljotece Arsenału w Paryżu, składa się z tekstu, opartego o Klejnoty Długoszowe, oraz rycin, przedstawiające barwne wizerunki herbów w liczbie 178—w tem 138 szlacheckich, 22 ziemskie. Rękopis można podzielić na dwie części — polską, opatrzoną tekstem, sięgającą do karty 78, i bezteksłową, od karty 82 do 99, zawierającą przeważnie herby szlachty litewskiej, i dlatego zwaną litewską.

Co do genezy herbarza Arsenalskiego, istniały dwie hipotezy. Baron de Watteville [1]) domyślał się, że jest to herbarz, spisany dla Henryka Walezego, a przez to umieszczał datę powstania herbarza po r. 1574.

Natomiast Piekosiński [2]) oznaczył czas powstania herbarza najpóźniej na r. 1530. Kierował się w tym wypadku wizerunkiem, umieszczonym na karcie 82, przedstawiającym jego zdaniem portret Zygmunta Augusta jako księcia litewskiego, a w takim razie pochodzącym z czasów przed jego koronacją.

Tymczasem Dr Polaczkówna doszła do zupełnie odmiennych rezultatów. Pierwotnie przyjmowała, [3]) że herbarz w dzisiejszej swojej postaci pochodzi z początków XVII w. i jest kopją starszego rękopisu, powstałego w latach 1535—1555. Świadczy o tem szereg herbów biskupów wileńskich, kończący się na biskupie Pawle Aligmuncie księciu Holszańskim, który zasiadał na stolcu biskupim właśnie w latach 1535—1555.

Jednakże we wstępie do Stemmata Polonica [4]) zmienia znacznie swoje pierwotne zapatrywanie. O ile poprzednio mniemała, iż herbarz cały w tej postaci, jaka do naszych czasów trwała — więc tekst i ilustracje — powstał jako kopja w XVII wieku, te-

[1]) Armorial Équestre de la Toison d'or et de l'Europe au le siècle publié par Lorédlan Larchey, Paris, 1890, str. 85.

[2]) Piekosiński, Heraldyka polska wieków średnich, Kraków 1894, str. 18—19.

[3]) Polaczkówna: Najstarsze źródła str. 31.

[4]) Polaczkówna: Stemmata Polonica str. 162—163.

raz sądzi, iż część ilustracyjna została wykonana w połowie XVI wieku, a ponieważ nie zmienia poprzednio wyrażonego zapatrywania, że herbarz był „spisany i zdobiony jednocześnie od ręki", więc i tekst herbarza przesuwa wstecz do połowy XVI wieku. Tekst uważa za składnik historycznie wcześniejszy, za spadek XV wieku, ryciny za twór późniejszy, pochodzący z XVI wieku a niezawsze będący „interpretacją malarską tekstu, lecz niejednokrotnie wręcz mu się przeciwstawiający". [1])

Najzupełniej słusznie określa Dr Polaczkówna datę powstania części ilustracyjnej herbarza. Część ta musiała powstać przed rokiem 1555. Co do powstania części rękopiśmiennej, t. zn. tekstu, to możnaby postawić hipotezę, że nie musi on pochodzić z połowy XVI wieku, ponieważ pismo herbarza Arsenalskiego — jak świadczy podany przez wydawcę wzór pisma, nie dozwalający jednak z powodu swej szczupłości na żadne szczegółowe paleograficzne wnioski — nie musi pochodzić wyłącznie z XVI w. W takim jednak razie mogłaby zachodzić różnica paleograficzna między napisami nad herbami a resztą tekstu. Dr Polaczkówna na żadnem miejscu o niej nie wspomina, więc uznać trzeba, że herbarz powstał jako całość przed r. 1553.

Streściliśmy rozdział I wstępu. Wątpliwości w tym rozdziale budzić może genealogja tekstu herbarza Arsenalskiego, ułożona przez autorkę w „domniemany schemat" A—oryginał Długosza, B—pierwowzór herbarza Arsenalskiego, C—sam rękopis Arsenalski. Oznaczenie literą B pierwowzoru tekstu Arsenalskiego może wzbudzić w czytelniku mniemanie, iż pochodzi on bezpośrednio od A—od Długoszowego oryginału. Tymczasem tego rodzaju zrozumienie filjacji rękopisów nie leżało zapewne w intencjach autorki.

W drugim rozdziale przedstawia autorka na szerokiem tle genezę zjawisk heraldycznych, uzasadnia ich symbolikę i podkreśla konieczność ustalenia polskiej terminologji heraldycznej. Niestety terminologja ta daleka jest od owej zwięzłości i precyzji wyrażeń i zwrotów, jaką może chlubić się np. heraldyka francuska. W dużej ilości terminów heraldycznych brak u nas nieprzerwanej nici rozwojowej i to niezmiernie utrudnia proces ustalenia terminologji. Mam wrażenie, że podobnie jak w pierwszym, tak i w tym rozdziale autorka, idąc śladami Gevaerta, [2]) zbyt wiele wagi przypisuje w zjawiskach heraldycznych momentom estetycznym.

Trzeci rozdział wstępu poświęcony jest omówieniu zasad wydawniczych przy publikacji herbarza.

Przechodząc obecnie do właściwej treści herbarza trzeba powiedzieć, iż głębsze wniknięcie w jego układ i porównanie tekstu

[1]) Ibidem, str. 163.

[2]) Gevaert Emile, l' Héraldique, son esprit, son langage et ses applications, Bruxelles — Paris, b. d.

z rycinami, nasuwa szereg uwag, które autorka pominęła milczeniem.

Układ herbarza w części pierwszej, w której obok wizerunków znajdują się i tekst, przedstawia się w ten sposób, iż co parę kart lub częściej tekst urywa się, a następują tylko same wizerunki herbów, opatrzone jedynie napisem, wymieniającym nazwę herbu. Przerwy te spotykamy 11 razy, dla przejrzystości podaję ich zestawienie:

Karty 2r—4v, 17v—18r, 28r. 29rv, 50r, 66v, 67v, 70v, 72r, 73r—75v, 76v—77v zawierają beztekstowe wizerunki herbów:

Porównanie wizerunków z opisami, umieszczonemi obok rycin, wykazuje, gdy chodzi o barwy heraldyczne, w siedmiu wypadkach różnice.[1]) I tak:

1) Tarnawa kart. 19v. tekst—lunaalba, ryc. — księżyc złoty
2) Działosza kart. 21v. tekst — in campo albo, ryc. — w polu czerwonem.
3) Korcbok kart. 32v. tekst — in campo rubro, ryc. — w polu srebrnem
4) Sulima kart. 35r. tekst — in campo rubro, ryc. — pole dzielone wpoprzek złote i czerwone
5) Janina kart. 44r. tekst — in campo rubro clipeus brunaticus, ryc. — w polu czerwonem tarcza błękitna
6) Wesele kart. 50v. tekst — campi paztim albi partim aurei ryc. — szachownica czerwono-srebrna
7) Kuszaba kart. 53v—54r. tekst — in campo albo, ryc. — w polu czerwonem.

Odliczywszy z tego zestawienia dwa herby, w których różnicę między tekstem a ryciną można uznać za drugorzędną, otrzymamy w każdym razie 5 herbów, w których opis słowny i rycina sprzeciwiają się sobie. Już Dr Polaczkówna zwróciła uwagę, iż kopista nie przepisywał zbyt dokładnie, a jednak w tych wypadkach nie możemy przypuszczać błędu przepisującego lub rysownika. Oto bowiem różnice pomiędzy opisem herbu a jego ryciną w herbarzu Arsenalskim znajdują swoje potwierdzenie w innych źródłach heraldyki polskiej średniowiecznej. Ma to zaś doniosłe znaczenie dla oceny genezy herbarza Arsenalskiego. Różnice te wraz z poprzednio wymienionemi lukami tekstu skłaniają do przypuszczenia, iż praca rysownika i malarza wyprzedziła dzieło pisarza, że najpierw powstały barwne wizerunki herbów, a następnie dopisywano do nich tekst. Gdybyśmy bowiem postawili kwestję odwrotnie i przypuścili, iż ryciny herbów powstały jako ilustracja już istniejącego tekstu, to jako dalszą kon-

[1]) Na tej zapewne podstawie osądziła Dr Polaczkówna, iż ryciny są malarską interpretacją tekstu, niejednokrotnie wręcz mu się przeciwstawiającą. (Stemmata Polonica str. 163), lecz poprzestała tylko na tem spostrzeżeniu.

sekwencję trzebaby uznać, iż ten, kto tekst pisał, nie umieszczał go na kartach księgi w nieprzerwanym ciągu, lecz dowolnie opuszczał raz jedną tylko stronę, raz całą kartę, niekiedy kilka kart, i na nich potem spoczęły beztekstowe ryciny. Tego rodzaju hipoteza wygląda dość sztucznie i ryzykownie, bezporównania więcej prawdopodobieństwa ma za sobą przypuszczenie, iż herbarz Arsenalski powstał drogą dopisania tekstu do gotowych już rycin.

Jeżeli zaś uznamy to przypuszczenie za słuszne, to na tej podstawie należy w herbarzu Arsenalskim wyróżnić dwie odrębne części składowe, dwa źródła heraldyczne, tekst i ryciny. Różnice bowiem między opisami a rysunkami herbów najtrafniej mogą znaleźć wytłumaczenie w tej okoliczności, iż ilustrator rysował herby na podstawie rycin czy opisów, różnych niejednokrotnie pod względem barw heraldycznych od tych źródeł, na jakich oparł się pisarz. Czy ilustrator i pisarz byli jedną osobą, jaki czas upłynął między powstaniem rycin i tekstu, trudno orzec.

Wypowiedzieliśmy nasze przypuszczenia dlatego, by wyczerpać wszelkie możliwości, do jakich badanie herbarza Arsenalskiego daje podstawę, oraz dlatego, iż dla nas są one najwięcej prawdopodobne. Czy słuszne, sąd do innych należy. Jedno jednak jest dla nas pewnem — to mianowicie, iż pisarz i rysownik korzystali z dwu odrębnych, niejednokrotnie różnych od siebie źródeł. Przemawia zatem nietylko zaznaczona wyżej różnica między rycinami a tekstem w niektórych herbach, lecz także fakt, iż niejednokrotnie opisy herbu w tekście w porównaniu z ryciną są tak niedokładne, iż żadną miarą nie mogły być wyłączną podstawą dla pracy ilustratora. Musiał się on opierać na innem źródle czy źródłach, na wizerunkach lub opisach dokładniejszych. Dlatego też trzeba widzieć w treści herbarza Arsenalskiego dwa różne, od siebie niejednokrotnie niezależne źródła heraldyczne.

Wkońcu należy zwrócić uwagę na jeszcze jedną okoliczność. Tekst herbarza Arsenalskiego jest daleki genealogicznie od wcześniejszych rękopisów Klejnotów Długosza, natomiast w niektórych wypadkach zdradza silne pokrewieństwo z opisami w Herbach Paprockiego.[1]) To samo można powiedzieć i o wizerunkach. Dlatego i w tekście i w rycinach herbarza Arsenalskiego nie trzeba doszukiwać się źródła heraldycznego z przed wieku XVI.

Powyższe — bardzo niewyczerpujące wskutek szczupłości wyznaczonego dla recenzji miejsca — uwagi na marginesie ciekawych wywodów Dr Polaczkówny, w niczem nie rzucają cienia na Jej zasługę w udostępnieniu szerokiemu kołu badaczy tego cennego źródła heraldycznego, jakim jest herbarz Arsenalski, za-

---

[1]) Por. np. herb Janina. Klejnoty Długosza opisują ten herb „clipens in campo rubro", herbarz Arsenalski „clipens brunaticus in campo rubro", Paprocki w Herbach i Bielski w Kronice Polskiej str. 56 „tarcza brunatna w polu czerwonem".

mykający poczet barwnych pomników heraldyki polskiej do czasów Paprockiego. To też trzeba wyrazić słowa prawdziwej wdzięczności przedewszystkiem Dr Polaczkównie, iż nie szczędziła trudów, by w pełnej postaci „odkryć" herbarz Arsenalski, następnie zaś Towarzystwu Naukowemu we Lwowie, że nie skąpiło funduszów na nadanie temu wydawnictwu prawdziwie pięknej szaty zewnętrznej. I na zakończenie recenzji wypada wyrazić gorące życzenie, by flamandzki herbarz Gelrego, mieszczący ciekawą i cenną partję polską, jak najrychlej doczekał się wydania w opracowaniu Dr Polaczkówny, zajmującej się nim oddawna i bardzo do tego powołanej. Pomnoży tem autorka swe zasługi i zyska nowy tytuł do wdzięczności.

Dr Silvio Mikucki.

Ks. biskup Bougaud: Jezus Chrystus. Wyd. Nakł. Księgarni św. Wojciecha Str. 533.
Ks. Jan Rostworowski T. J.: Obrazki z życia Zbawiciela. Wyd. IV. Nakł. Wyd. Księży Jezuitów, Kraków 1929.

Dwa nowe wydania książek o Jezusie Chrystusie przybywają w porę polskiej literaturze religijnej wobec zamachów na osobę Jezusa, wymierzonych przez Ludwiga. Mniejsza o to, że wielu czytelników książkę Ludwiga uważa za zbiór legend, że może nawet przypadkiem i taka książka pisana tendencyjnie, z oburzającem pomijaniem tekstów Ewangelji o bóstwie Chrystusa, a więc z karygodnem fałszowaniem dokumentu historycznego, może wywołać u kogoś religijne zbudowanie. W każdym razie zasługuje na potępienie ze względu na przewrotną tendencję i fałszywe oświetlenie osoby Jezusa. Gdyby przynajmniej w literaturze polskiej nie było książek napisanych z talentem o osobie Jezusa, możnaby wyrozumieć objawy entuzjazmu o książce Ludwiga! Dzieła takie polska literatura religijna posiada.

Życie Jezusa Chrystusa, skreślone przez księdza biskupa Bougand'a nosi na sobie wszystkie wartości, jakich domaga się współczesna krytyka literacka. Jest oparte na źródłach, których autentyczność wykazaną jest nie w suchem tylko zestawieniu manuskryptów i dat, ale rzec można w barwnem opowiadaniu. Opowiadanie samego życia, ujęte w chronologję i na podstawie harmonicznego zestawienia tekstów Ewangelij, nie przedstawia się jako chaotyczna gmatwanina czynów i słów, ale jako doskonała całość, która podaje żywy obraz historycznej działalności i nauk Jezusowych. Intuicyjne uzupełnienie treści, gdzie Ewangelje przedstawiają pewne luki, głębokie i trafne uwagi sprawiają, że czyta się książkę Bougaud'a z wielkiem zainteresowaniem, a dla ducha z ogromnym pożytkiem. Świetne charakterystyki osób, wypadków, gry uczuć, konfliktów między starym światem a zjawiającym się na widowni nowym Mistrzem, barwne odmalowanie tła historycznego i topograficznego nadaje książce zabarwienie powieści, nie wy-

snutej z fantazji, ale tej rzeczywistej a najwspanialszej, jaka rozegrała się ongiś nad brzegami jeziora Genezaret i w murach św. Jerozolimy.

Druga książka o Chrystusie Panu znaną jest również wielu czytelnikom. „Obrazki z życia Zbawiciela" ks. Rostworowskiego nie opierają się wprawdzie zewnętrznie na aparacie naukowym, jak książka Bougauda, nie dają syntetycznego ujęcia życia Jezusa, jak zresztą wskazuje tytuł, nie daje nawet ks. Rostworowski odnośników do tekstów, które cytuje, natomiast występuje w „Obrazkach" głębokie wyczucie chrześcijańskiej duszy owych pamiętnych i najważniejszych zdarzeń z życia Zbawiciela. Nie jest to jednak dowolne a pobieżne fantazjowanie, coś w rodzaju apokryficznych opowieści. Opowiadanie opiera się na znajomości ówczesnego świata i warunków miejscowych, na danych ewangelicznych, tylko że wnikliwy a kontemplacyjny umysł, głęboko czujące i kochające serce, zdarzenia owe podane w lakonicznej nieraz notatce Ewangelistów potrafiły okrasić czarem poezji, nadać im ciepło serdecznego ukochania i wydobyć z nich wszystko, co dusza chrześcijańska o danych faktach wiedzieć, myśleć i co w nich wyczuwać winna. Wydanie IV zostało rozszerzone przez dodanie opowiadań o uzdrowieniu chorego z nad sadzawki Betsajdy, o córce Jaira, o jawnogrzesznicy i o uzdrowieniu ślepego od urodzenia. Ponadto najnowsze, t. j. IV wydanie zdobi 20 reprodukcyj, w rotograwurze wykonanych, arcydzieł pędzla.

Ks. J. G.

Hardy Schilgen S. J.: Du und Er. Des Mädchens Stellung zum Jungmann. Düsseldorf. L. Schwann, str. 274.

Znany jest u nas wcale szeroko O. Schilgen ze swoich wybornych prac na temat etyki płciowej. Trzy z nich ukazały się w polskim przekładzie pod następującemi tytułami: 1) „Na usługach Stwórcy". Wskazówki dla katolickich nowożeńców i małżonków. 2) „Ty i Ona". O stosunku młodzieńca do dziewczęcia. 3) „O czystość młodzieży". Książka pouczająca rodziców, wychowawców i duszpasterzy, jak w pozytywny sposób mają wychowywać młodzież w tej ponętnej a tak trudnej cnocie.

Najnowsza jego praca: „Du und Er" stanowi równobieżnik do „Ty i Ona", jego uzupełnienie. Omawia bowiem stosunek dorastającego dziewczęcia do młodego człowieka. Autor traktuje ten trudny i drażliwy temat z naturalną prostotą, ale i z chrześcijańską delikatnością. Jak poprzednie jego prace, tak i tę charakteryzuje ujęcie przedmiotu bynajmniej nie szablonowe, ale tryskające znajomością współczesnego życia i duszy dzisiejszych panien. Niebezpieczeństwa, grożące im w tym okresie życia, jakiemi są nadmierna chęć podobania się, uleganie marzeniom, flirt, przyjaźnie, lektura, kino, taniec, moda, sport — wszystko to przedstawia autor żywo, językiem współczesnym. Poważne przestrogi,

których udziela swoim czytelniczkom, działają krzepiąco i zachęcająco. Każda z nich czytając tę książkę poczuje, że została zrozumiana w sprawie dla niej zarówno bardzo żywotnej, jak i bardzo trudnej. Odczuje również, że autor ma na oku jedynie prawdziwe jej dobro.

Książka skierowana jest wprawdzie dla młodzieży żeńskiej i to dojrzalszej, ale i każdy wychowawca powinien się z nią zapoznać. Można o niej powiedzieć z całym spokojem, że odda wielkie przysługi zdrowiu moralnemu. Przekład polski książeczki niebawem ukaże się w Wydawnictwie Ks. Jezuitów w Krakowie.

Ks. J. Andrasz.

Dr. Linus Bopp: Liturgische Erziehung. Mit drei Bildertafeln. Herder, Freiburg im Breisgau 1929, str. XII+124.

Dr. L. Bopp, profesor uniwersytetu we Fryburgu w Breisgau i autor paru prac z dziedziny wychowania, podaje nam obecnie pewne jakby uzupełnienie, wydanej w ubiegłym roku swej książki „O wychowawczych wartościach Kościoła katolickiego". Po krótkim historycznym wstępie, w którym wykazuje, że młodzież brała od najdawniejszych czasów czynny udział w życiu obrzędowem Kościoła, przechodzi autor do bliższego objaśnienia podstawowych pojęć. Tłumaczy istotę Liturgji, jej rozciągłość co do czasu i przestrzeni, pokazuje, jak ona ogarnia całe życie i wszystkie niemal czynności człowieka, jak przez to staje się do pewnego stopnia odzwierciedleniem katolickiego poglądu na świat.

Przechodząc do właściwego tematu, poprzedza go autor głęboko i wszechstronnie ujętym wstępem o wychowaniu wogóle, poczem przystępuje do pierwszego punktu: wychowania przez liturgję. Zastrzega wprawdzie, że wychowanie człowieka jest tylko drugorzędnym jej celem, ale dodaje, że go spełnia jednak rzeczywiście, gdyż przyczynia się do duchowego wyrobienia i uszlachetnienia młodzieży. Dalszy rozdział zajmuje się sprawą wychowania do życia liturgicznego. Autor poleca otoczyć młodzież możliwie czystą atmosferą w domu i w szkole i prowadzić ją stopniowo do zrozumienia liturgji kościelnej, odczucia jej i ukochania. Wskazuje, jak należy pouczać o niej, jak wykorzystać odpowiednie okoliczności; daje cenne uwagi co do wprowadzania młodzieży do słuchania mszy św., udziału w obrzędach religijnych, uczęszczania do Komunji św. W zakończeniu zachęca autor do większego uwzględnienia liturgji w szkole i w wychowaniu młodzieży i dodaje, że domaga się tego duch czasu, ponieważ ruch liturgiczny budzi się dziś nawet poza Kościołem.

Ks. St. Podoleński.

Jędrzej Giertych: My, nowe pokolenie! O harcerskiej służbie w Polsce. Warszawa, „Ossolineum", 1929. Str. 189.

Autor, magister praw, harcmistrz i członek czynny Głównej Kwatery męskiej Związku Harcerstwa Polskiego, pisze tę książkę przedewszystkiem dla harcerzy, rekrutujących się z pośród młodzieży akademickiej i wyższego gimnazjum. Pisze na podstawie doświadczenia, materjał zebrał z różnych odczytów, instrukcyj i rozmów. Zamiarem jego jest podać ideologję harcerza polskiego i jego obowiązki.

Ponieważ przyrzeczenie harcerskie brzmi: „Mam szczerą wolę całem życiem pełnić służbę Bogu i Ojczyźnie", autor rozpoczyna od obowiązków względem Boga. Wylicza je, zachęca do wypełnienia, pokazuje, jak życie harcerskie na łonie natury szczególnie im sprzyja. Zaraz potem przechodzi obowiązki wobec ojczyzny, konkretne nasze potrzeby, zalety i wady polskiej natury. Szereg dalszych ustępów zajmuje się różnemi zagadnieniami, z któremi styka się w życiu młody człowiek: ważność pracy naukowej, obowiązek pracy społecznej, służba wojskowa, polityka, ustosunkowanie się do kobiety i moralność osobista, stosunek do rodziców, założenie własnego ogniska rodzinnego, przyjaźń i koleżeństwo, rozrywka i sport, abstynencja od alkoholu i palenia. Ostatni ustęp jest wykładem o harcerstwie, jego celach wychowawczych, o obowiązku dostarczania krajowi ludzi, pełnych duchowej i fizycznej tężyzny. Do strzeżenia ideologji harcerstwa, a na pierwszem miejscu obowiązków względem Boga i ojczyzny, wzywa tem silniej, że nie brak dziś czynników, które od zewnątrz i od wewnątrz starają się podkopać ducha harcerstwa polskiego.

Książka naprawdę piękna i godna polecenia dla wszystkich, nawet nie harcerzy, ze względu na wzniosłe i otwarte ujęcie obowiązków młodego człowieka, i przedstawienie ich barwne i pełne życia.

Ks. St. Podoleński.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Nakładem Krakowskiej Spółki Wydawniczej:

Marjan Kukiel: Zarys historji wojskowości w Polsce. Str. VIII + 356.

Św. Augustyn: Wyznania. Przełożyła i wstępem zaopatrzyła Dr. Krystyna Wisłocka-Remerowa. Str. XXIII + 330.

Teksty Źródłowe do nauki historji w szkole średniej: Nr 31 Zygmunt August; Nr 34 Osłabienie władzy monarszej w Polsce. Po str. 32.

Walter Scott: Waverley. Przeł. T. Świderska, oprac. A. Tretiak. (Bibljoteka narodowa ser. II, Nr 56). Str. LIII + 547.

T. M. Plautus: Żołnierz Samochwał. Przeł. i oprac. G. Przychocki, (Bibl. narod. ser. II, Nr 53). Str. XLVIII + 134.

Klementyna Tańska: Dziennik Franciszki Krasińskiej. Oprac. Ida Kotowa. (Bibl. narod. ser. I, Nr 119). Str. LXX + 168.

Adam Krzyżanowski: Polska konjunktura gospodarcza, Str. 47.

Feliks Konopka: Słowa w ciemności. Poezje. Str. 55.

Nakładem Polskiej Akademji Umiejętności, Kraków:

Bulletin International... des Sciences et des Lettres. Nr 1—2, B. II, Janvier-Fevrier 1929. Nr 7 A. Juillet 1929; Nr 1 B, Janvier 1929.

Stefan Pawlik: Polskie Instruktarze ekonomiczne, wyd.... Tom II, Str. XXXVIII + 251.

Rozprawy Wydziału matem.-przyrodniczego. Tom 68. Dział B. 1928. Numery 1—3.

Nakł. Wojskowego Instytutu naukowo-wydawn., Warszawa.

Marjan Zaruski: Na pokładzie „Iskry". 1929, str. 53.

Ant. Ślósarczyk: Piechur a czołgi. („Bibljoteczka Żołnierza pol." t. VI.) Str. 83.

Karol Kleczke: Okopywanie się. („Bibl. Żołnierza pol." t. VII). Str. 115.

Ant. Bogusławski: Na biwaku. („Bibl. Żołnierza pol." t. VIII). Str. 72.

Nakładem różnych.

Księga pamiątkowa ku uczczeniu CCCL rocznicy założenia i X wskrzeszenia Uniwersytetu Wileńskiego, Nakł. Uniw. St. Bat. Tom I-szy. Str. VII + 438; tom II str. 114.

Ks. St. Bednarski T. J.: Geneza Akademji wileńskiej. (Odb. z „Księgi pamiątkowej" jak wyżej). Str. 22.

St. Szczutowski: Opoka Piotrowa. Rzecz o Stolicy Ap. i Ojczyźnie naszej. Wydawn. „Zorzy". Warszawa, 1929, str. 120.

Ks. H. Ruchniewicz: Święty nowoczesny. Żywot Contarda Ferriniego. Pelplin, 1930, str. 16.

Heinrich Straubinger: Einführung in die Religionsphilosophie. Herder, Freiburg, str. 132.

Zygmunt Wasilewski: Pieśń w górach. Nakładem „Patria". Warszawa, str. 171.

Edmund Wolski: Ave Patria! Poezje. Włocławek, 1929, str. 114.

Eug. Stan. Stec: Święci przydrożni. Poezje. Skład główny: Gebethner i Wolff, str. 55.

Jan Stan. Bystroń: Polacy w Ziemi św., Syrji i Egipcie. Kraków, nakł. Księg. „Orbis", 1930, str. 311 z licznemi ilustracjami.

Projekt nowelizacji rozp. p. Prezydenta Rzplitej... o przerachowaniu zobowiązań prywatno-prawnych. Nakł. Stow. Obrony wierzytelności. Warszawa, Hoża 41, str. 32.

Rudolf M. Fierro Torres: Po przez niwę pedagogiczną. Konferencje o systemie wychowawczym ks. J. Bosko. Warszawa, nakł. ks. Salezjanów, 1929, str. 246.

Ks. Dr. Henryk Cichowski: Ks. Stanisław Sokołowski a Kościół Wschodni. Studjum z dziejów teologji w Polsce w w. XVI. Lwów. nakł. autora, 1929, str. 176.

Ks. bp. Z. Waitz: Wieść z Konnersreuth. Przeł. ks. S. Sobalkowski. Kielce. nakł. Księg. „Jedność", str. 40.

Prof. L. Kopler: Kościół a polityka. Spolszczył ks. J. Korzonkiewicz. Nakł. „Księgarni krakowskiej", str. 106.

Materjały odnoszące się do działalności rządu za r. 1928 Sprawozdania Ministerstw. Warszawa, 1929, nakł. Prezydjum Rady Ministrów. Str. XVI + 851.

Dr. M. Kacprzak: Zdrowie w chacie wiejskiej. Wyd. 2. Włocławek, 1929. str. 112.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Pierwszy Międzynarodowy Zjazd Filologów Słowiańskich w Pradze.

(Od dnia 6 do 13 października 1929 roku).

(Historja zwołania Zjazdu. — Inauguracja Zjazdu. — Prace i roztrząsania w sekcjach. — Gościna. — Berno i Bratysława. — Wycieczka na Dziewin. — Żywa nauka).

Osobliwość Międzynarodowego Zjazdu Filologów Słowiańskich w Pradze, stanowiła ta okoliczność, że był on wogóle pierwszym, co w powodzi różnych kongresów jest cechą rzadką. Dopiero w 10 lat po zakończeniu wielkiej wojny przyszła pora na zrealizowanie myśli, oddawna już poruszonej. Już bowiem w roku 1903 wyszła inicjatywa takiego zjazdu z Petersburga, zaaprobowana przez cara Mikołaja II, ale przeszkodził jej urzeczywistnieniu wybuch wojny rosyjsko-japońskiej i niepokoje wewnętrzne w państwie carów.

Dopiero po wojnie wrócono do myśli urządzenia kongresu — w warunkach niepospolicie zmienionych. Wybrano Pragę jako miejsce pierwszego zjazdu, ze względu na wielkie znaczenie stolicy Czechosłowacji w dziedzinie studjów slawistycznych, a następnie złączono kongres z obchodem setnej rocznicy śmierci ks. Józefa Dobrowskiego, autora epokowej książki p. t.: „Institutiones linguae slavicae dialecti veteris“ (wyd. w r. 1822).

Faktycznie Zjazd Slawistów rozpoczął się 6 października, gdy jeszcze nie przebrzmiały echa uroczystości świętowacławskich. Otwarcie odbyło się w reprezentacyjnym gmachu miasta Pragi. Po odegraniu na organach hymnu czeskiego i słowackiego przemówił prezes prof. Murko; przypomniał historję zwołania kongresu i zaznaczył międzysłowiańskość językową Zjazdu. Było to rzeczywiście wielką osobliwością, że, tak na inauguracji, jak i na posiedzeniach, każdy z Słowian mówił swym językiem, a ponadto

słyszało się język francuski, angielski, niemiecki i włoski. Imieniem Czeskiej Akademji przemówił prof. Zubaty, a następnie reprezentant rządu, minister oświaty Dr A. Sztefanek, witając Zjazd poświęcił cały, serdecznem odczuciem nacechowany, ustęp znaczeniu filologji ojczystej i jej nauczycieli w życiu narodów słowiańskich.

Przemówienia oficjalne reprezentantów państw zajęły dość dużo czasu, gdyż było ich dwadzieścia dwa. Nowością było wystąpienie prof. Msgr. Vajsa, składającego Kongresowi życzenia imieniem Stolicy Apostolskiej. Raz tylko usłyszeliśmy łacinę, gdy prof. Endzelins z Rygi przemawiał imieniem Łotwy. Dzisiejsze rozproszenie Rosjan uwydatniło się już w części oficjalnej; prof. Mikołaj Trubecki, niedawno jeszcze teoretyk Eurazji, reprezentował uniwersytet wiedeński i republikę austrjacką, to też przemówił po niemiecku. Polski mówca, prof. Nitsch, odbiegając od stereotypowych formuł, przypomniał stosunki między Polakami a innemi narodami słowiańskiemi przed wojną, przypomniał również międzysłowiańskość „Ruchu Slawistycznego", którą kontynuuje obecnie praska „Slavia", Po reprezentantach państw otrzymał głos prof. Studziński ze Lwowa, imieniem Ukraińców i ks. Urban, imieniem Łużyczan.

Cieplejszy odcień niż wielkie zebranie inauguracyjne miało przyjęcie popołudniowe, urządzone przez Instytut Słowiański (Ustav Slovansky), na którem przemówił jego prezes prof. Lubor Niederle. Idea Kollarowej wzajemności Słowian, wspominana już na porannem zebraniu, została tu oświetlona przez wielkiego uczonego, jako przedewszystkiem dążność do wzajemnego poznania, bez ubocznych celów politycznych.

Właściwe obrady Kongresu trwały przez cztery dni; uczestnicy podzielili się na trzy sekcje: literacką, językoznawczą i pedagogiczno-dydaktyczną, przyczem dwie pierwsze rzadko obradowały (raczej dyskutowały) *in pleno*, pracując zasadniczo każda w trzech subsekcjach. Z natury rzeczy subsekcje zajmowały się dość szczegółowemi zagadnieniami, które jednak zawsze obracały się dokoła pewnych związków językowych czy literackich między narodami słowiańskiemi.

Oczywiście, że językoznawcy mieli tu dużo więcej wspólnot niż literaci; badania te zawsze schodzą się na jednej podstawie ongiś już przez Dobrowskiego umocnionej. Poza tem chodziło o porozumienie się przy badaniach pokrewnych, prowadzonych na różnych terytorjach (badania nazw miejscowych, ogólnosłowiański atlas lingwistyczny i in). Żywą dyskusję wywołał referat prof. J. Czekanowskiego (Lwów) i prof. T. Lehr Spławińskiego (Kraków) ujmujący metodą rachunkową stosunki pokrewieństw między narodami słowiańskiemi z różnemi ich przesunięciami od III—XX wieku. Zarówno metoda prof. Czekanowskiego jak i przesunięcie pola zainteresowań na zagadnienia poczęści prehisto-

ryczne dodały dyskusji bodźca; podobnie referat prof. Vasmera z Berlina o starych nazwach geograficznych między Łabą a Wisłą obudził specyficzne zajęcie.

W subsekcjach literackich zajmowano się przeważnie drobniejszemi objawami związków kulturalnych, podczas gdy dwa plenarne zebrania poświęcono zasadniczym rozważaniom na temat porównawczego traktowania literatur słowiańskich. Przemawiali na ten temat prof. Máchal (Praga) i prof. Arne Nowak (Berno), a ponadto prof. F. Wollman (Berno). Mimo trudności, jakie napotyka się w poszukiwaniu bezwzględnie wspólnej podstawy literatur słowiańskich, mieszczących się w dwóch kręgach kulturalnych, wykazano szereg związków łączących np. średniowieczną i nowożytną literaturę polską i czeską. Zwłaszcza prof. A. Nowak szereg przykładów zaczerpnął z literatury polskiej, cytując dzieło prof. Zdziechowskiego o Byronie (niestety! oddawna wyczerpane!), a potem zestawiając poezję rewolucyjną czy proletarjacką w Rosji, w Polsce i Czechach. Tak obok zasady chronologicznej wysunięto ciekawsze jeszcze studjum motywów pokrewnych, które u różnych narodów słowiańskich różne przybierają formy.

Drugie plenarne posiedzenie sekcji literackiej zajęła przedewszystkiem sprawa nowych metod badań literackich przedstawiona z wielką rozwagą i umiarem przez prof. Otokara Fischera (Praga) zresztą germanistę. I on i prof. Horak jak również prof. Wollman interesują się żywo nowemi prądami w badaniu literackiem tak silnemi i w Niemczech i w Rosji. To też referat prof. Fischera dotyczył takich zagadnień, jak: generacja i jej literacka fizjognomja, cechy charakterystyczne rasy odźwierciedlające się w literaturze, stosunki społeczne i ich wpływ na twórczość, psychologja i charakterologja, a wreszcie rozpatrywanie dzieła literackiego jako autonomicznego tworu sztuki. Każdemu, który zna choćby informacyjny artykuł Oskara Bendy: Der gegenwärtige Stand der deutschen Literaturwissenschaft (Wien — Leipzig 1928), wiadomo, że nowość i rozliczność stanowisk jest tu bardzo wielka, jak również degeneracje pewnych teoryj bardzo oczywiste. Nic też dziwnego, że w dyskusji reprezentowane były różne stanowiska; prof. Ljackij (Praga) polemizował z marksizmem w historji literatury reprezentowanym przez prof. Sakulina (Moskwa), prof. A. Nowak sięgnął do wspomnień dawniejszej historji literatury, sposobu traktowania „pozytywistycznego", forytowanego ongiś przez Masaryka; prof. Hysek bronił historji literatury nie uciekającej od biografji i historji motywów. Dyskusja była żywa, ale wykazała raczej fermentację niż konsolidację — w czem zresztą nic niema dziwnego. Kryzys nauk humanistycznych uwydatniał się również w dyskusji na sekcji lingwistycznej.

Uchwały końcowe obu Sekcyj dotyczyły przedewszystkiem technicznych ułatwień w pracach slawistów, jako to: wydawanie

tekstów, porozumienia w sprawie wspólnej bibljografji czy badań toponomastycznych czy wreszcie badań folkloru.

Najskromniejsza sekcja pedagogiczno-dydaktyczna obradowała właśnie nad sposobami zbliżenia słowiańskiego na terenie szkoły zarówno wyższej jak średniej. Postulaty lektoratów języków słowiańskich na uniwersytetach, stypendjów zamiennych, względnie podręczników czy antologij omawiano i uchwalano z zapałem. Rezultatem ostatecznym było ukonstytuowanie się komitetu porozumiewawczego nauczycieli języków słowiańskich dokonane w Bernie.

Część towarzyską Zjazdu przygotowali gospodarze bardzo starannie. Osobny komitet pań zajął się żonami uczonych przybyłych na zjazd i umilił im pobyt w Pradze, między innemi wycieczką do Karlsteinu. Kongresiści zwiedzili Pragę w jedyne wolne popołudnie niedzielne; poza tem in gremio zapoznali się z pamiątkami po Dobrowskim na specjalnej wystawie w Muzeum Czeskiem. Znużonych obradami profesorów podejmowali bankietami kolejno: minister oświaty Dr Sztefanek, minister spraw zagranicznych Dr Benesz, burmistrz miasta Pragi Dr Baxa, a wreszcie w ostatni wieczór pobytu w Pradze, Komitet Zjazdowy na Słowiańskim Ostrowie. Uczta ta ożywiona wspomnieniem zjazdu w 1848 r. była zakończeniem głównego działu prac kongresu niewątpliwie udanego; na nim też, po przemowie prof. Murki, zabrał głos minister Benesz i w bardzo zręcznej mowie zwrócił się do uczestników kongresu jako ludzi robiących solidną niepolityczną politykę przez współpracę intelektualną między narodami.

Nazajutrz (dn. 11 października) wypadło opuścić piękną stolicę Czech, imponującą nietylko położeniem i wspaniałemi budowlami Hradczyna i Małej Strany, ale również niezwykłym rozmachem pracy i prawdziwą „rozbudową". Obrady Zjazdu odbywały się w bardzo wygodnym i ładnym gmachu fakultetu filozoficznego, wystawionym w ostatnich latach, jak również w Seminarjum Słowiańskiem (Brzehowa 5). Pod tą skromną nazwą kryje się kilkanaście katedr z całym aparatem pomocniczym asystentur i lektoratów wraz z dużą bibljoteką, pomieszczonych w gmachu niewiele mniejszym od krakowskiego „Collegium novum".

Odwiedziny Berna, które wypadły w piątek i sobotę połączono ze zjazdem dlatego, gdyż w stolicy Moraw umarł i został pochowany patron zjazdu, Józef Dobrowski. W sobotnie przedpołudnie (12 października) stanęli u grobu jego uczestnicy zjazdu, przedewszystkiem zagraniczni, by wysłuchać pochwał zmarłego głoszonych przez reprezentantów wszystkich narodów. Nie starczyło już czasu na odwiedzenie groźnych i tak dla nas pamiętnych kazamat Grajgóry (Spielbergu) zarysowującej się tak charakterystycznie w krajobrazie morawskiego Manchesteru.

Skoro Zjazd przyjął gościnę młodego uniwersytetu Masaryka w Bernie wypadało także odwiedzić równie młodą (założoną

w r. 1919) wszechnicę Komeńskiego w stolicy Słowaczyzny, Bratysławie. Dawna, koronacyjna (od 1563 do 1835 r.) stolica Węgier rozsiadła się szeroko na stokach Karpat, spadających ku Dunajowi a pokrytych na ogromnych przestrzeniach gęstwą winnic. Granica państwa czesko-słowackiego przechodzi tu Dunaj i wcina się ostrym klinem między dzierżawy dwóch niedawnych hegemonów, Austrji i Węgier.

Samo miasto o ludności bardzo narodowościowo niejednolitej ma już posmak południa. Kręte uliczki czepiające się stoków góry Zamkowej, zaułki ul. Petöfiego czy Kapitulnej, czy wreszcie piękny dziedziniec ratusza (obecnie muzeum) zostawiają niezatarte wrażenie. Z przykrością patrzy się tylko na zeszpeconą wieżę tumu wznoszącego się u granicy dawnego Ghetta.

Zebrań odbyło się tu dwa, z nich ostatnie, niedzielne było urzędowem zamknięciem zjazdu. Formalnie przyjęto tylko do wiadomości zawiązanie komitetu porozumiewawczego nauczycieli języków słowiańskich w szkołach średnich; prof. Murko złożył serdeczne podziękowanie wszystkim, którzy przyczynili się do udania się Kongresu i oficjalnie go zamknął, życząc powodzenia następnemu, na który prof. Lehr-Spławiński zaprosił, jeszcze w Pradze, do Polski.

Wycieczka Dunajem na ruiny Dziewina stanowiła niezwykle efektowny epilog kongresu slawistów. Na ogromnej skale, wznoszącej się u spływu Morawy z Dunajem, stanęła gromada intelektualistów, by spojrzeć na wielką, znaną im z nauki, scenę historycznych wypadków. Na zachodzie w ostatnich promieniach zachodzącego słońca połyskiwał Dunaj; stamtąd to, od zachodu, w latach Chrystusowych wysyłał Tyberjusz legjony na podbój tej gigantycznej bramy Dunaju między najdalszą odnogą Alp i południowym stokiem Karpat.-Tu, na Dziewinie, rezydowali organizatorowie państwa wielkomorawskiego; tam, na równinie, rozciągającej się ku północnemu zachodowi, na historycznych polach Morawy, starły się zwycięsko w wieku trzynastym siły Czechów z tymi najezdnikami madziarskimi, którzy ongiś, z końcem IX w. położyli kres władzy Słowian na tych ziemiach. Naprawdę wieki patrzą z tych ogromnych lesistych pagórów na dziwny a tak piękny kraj, gdzie i dziś stykają się trzy szczepowo różne organizacje państwowe.

Wieczorem rozjeżdżali się już uczestnicy Kongresu; jeszcze krótka pożegnalna herbatka w klubie Słowiańskim i myśl ucieka bezapelacyjnie do zajęć poniedziałkowych, ale już w domu. Na wsiadanem epizod przemówienia p. Iwanki, wychwalającego język Puszkina i Dostojewskiego jako słowiańskie esperanto; epizod, o ile nietaktowny wobec kongresu przez cały czas kierowanego i kierującego się wielką kurtuazją, o tyle bardzo charakterystyczny dla nastrojów społeczeństwa czeskiego, został zresztą załatwiony przez delegację polską i prezydjum na miejscu.

W toaście wypowiedzianym podczas wieczerzy, wydanej przez burmistrza Bratysławy ks. prałata Okanika, nawiązał prof. Bystroń do głębokich słów św. Pawła o literze i o duchu; filologowie zajmują się słowem, obrazem żywej mowy, odbiciem życia i w tem ich wielka rola w pracy duchowej narodów. Właśnie Zjazd niewątpliwie przyczynił się nietylko w części oficjalnej do zbliżenia i wzajemnego życiowego, nie książkowego, poznania uczonych i ludzi. Przegląd ten mógł nasunąć wiele refleksyj przedewszystkiem przyszłym gospodarzom zjazdu, Polakom, reprezentowanym zresztą najliczniej wśród uczestników zagranicznych.

Franciszek Bielak.

Z działalności naszych Towarzystw naukowych.

(Dokończenie)

Towarzystwo Naukowe Warszawskie powstało w roku 1907, nawiązując po 76-letniej przerwie do świetnych tradycyj dawnego Warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Powstało, by „rozwijać i popierać badania we wszystkich gałęziach wiedzy".

Organizacja Towarzystwa jest niezmiernie zbliżona do organizacji Polskiej Akademji Umiejętności. Pierwotny statut organizacyjny Towarzystwa uległ poważnym zmianom w roku 1927, a wprowadzono je, rozumiejąc doskonale, iż „tylko przystosowanie się do nowych warunków i usilna praca nad rozwojem działaności zapewnić może Towarzystwu poważne stanowisko w świecie naukowym polskim". W miejsce dawnych trzech wydziałów wprowadzono cztery: wydział językoznawstwa i literatury, wydział nauk historycznych, społecznych, filozoficznych i antropologicznych, wydział nauk matematyczno - przyrodniczych i wydział nauk biologicznych. Następnie dawny podział członków na honorowych i czynnych zastąpiono nowym na członków zwyczajnych i korespondentów. Członkowie zwyczajni dzielą się na miejscowych i zamiejscowych, a liczba członków każdej kategorji nie może przenosić 20, tak iż każdy wydział liczy najwyżej 60 członków. Wkońcu reorganizacja ustroju Towarzystwa zmierza do innego niż poprzednio uregulowania stosunku Towarzystwa do licznych pracowni i zakładów, pierwotnie ściśle z Towarzystwem złączonych.

W obrębie każdego wydziału istnieje pewna liczba komisyj. Przy wydziale I komisja do badań nad historją literatury i oświaty, przy wydziale II komisje: atlasu historycznego Polski, bibljograficzna, historji nauk i filozofji, historyczna, oraz sekcje Instytutu nauk antropologicznych i orjentalistyczna, przy wydziale III sekcja meteorologiczna.

Dla tem intensywniejszego prowadzenia badań naukowych posiada Towarzystwo szereg gabinetów: filologiczny, matematyczny, meteorologiczny, nauk historycznych — oraz liczne zakłady naukowe, mniej lub więcej ściśle z Towarzystwem złączone. Należą tutaj: Instytut biologji doświadczalnej im. Nenckiego, mający w swojem łonie zakłady: biologji ogólnej, biometryki, fizjologji, morfologji doświadczalnej i stację hydrobiologiczną. Instytut nauk antropologicznych obejmuje zakład antropologji wraz z muzeum, zakład etnologji, archeologji i bibljotekę. Z Instytutem nauk antropologicznych łączą się jako autonomiczne jednostki muzeum archeologiczne i sekcja orjentalistyczna. Cztery pracownie: fizyczna, mineralogiczna, neurobiologiczna, radjologiczna wraz z oddziałem chemji koloidów, oraz obserwatorjum astronomiczne uzupełniają długi szereg warsztatów pracy naukowej Towarzystwa. Z bibljotek na pierwsze miejsce wysuwa się Bibljoteka Centralna, licząca około 13.000 tomów. Nadto każdy niemal zakład posiada własne zbiory bibljoteczne, o łącznej sumie około 30.000 tomów.

Ten krótki rys ustroju Towarzystwa Naukowego Warszawskiego uwidacznia bardzo wyraźnie, iż organizacja jego jest silnie rozbudowana i obliczona na bardzo różnorodną twórczość naukową. Ten rys przebija się też do pewnego stopnia i w działalności wydawniczej Towarzystwa. Z pośród nich żywe zainteresowanie wśród szerszego koła wykształconych czytelników mogą wzbudzić Rozprawy historyczne, zawierające szereg czasem bardzo ciekawych prac z dziejów Polski średniowiecznej i nowożytnej. Niektóre z nich stoją na prawdziwie wysokim poziomie naukowym i posiadają prawdziwie cenną wartość, jak praca prof. J. Dąbrowskiego o Władysławie I Jagiellończyku na Węgrzech, lub rozprawa dra Kazimierza Dobrowolskiego o kulcie św. Florjana w Polsce. Ta ostatnia jest tem cenniejsza, że wkracza na tak rzadko nawiedzany u nas przez badaczy teren hagiografji polskiej. Z pośród innych wydawnictw Towarzystwa należy przedewszystkiem wymienić Prace komisji do badań nad historją literatury i oświaty w Polsce (3 tomy), Światowid — poświęcony zagadnieniom archeologji i prehistorji, Archiwum nauk antropologicznych, mieszczące w 4 tomach bogate materjały antropologiczne, prehistoryczne i etnograficzne, Prace Instytutu im. Nenckiego (4 tomy), Pamiętnik fizjograficzny, Archiwum pracowni mineralogicznej, Sprawozdania stacji hydrobiologicznej na Wigrach, Acta biologiae experimentalis. Z dzieł osobno wydanych zasługuje przedewszystkiem na wspomnienie prof. J. K. Kochanowskiego Codex diplomaticus et commemorationum Masoviae generalis — wydawnictwo zakrojone na prawdziwie wielką miarę, mające objąć cały materjał źródłowy dyplomatyczny i rocznikarsko-kronikarski do dziejów Mazowsza, oraz również na daleką obliczone metę wydanie ksiąg sądowych mazowieckich.

Towarzystwo Przyjaciół Nauk we Wilnie powstało niemal równocześnie z Towarzystwem Naukowem Warszawskiem, by ożywić ruch naukowy w stolicy życia umysłowego Litwy, obrabowanej przez rząd rosyjski w iście barbarzyński sposób z wszelkich przybytków wiedzy i nauki. Zamknięcie Uniwersytetu, zniesienie Akademji nauk lekarskich, wreszcie przeniesienie Akademji duchownej do Petersburga stworzyło groźną lukę w tradycjach Wilna, jako ośrodka ożywionej pracy naukowej i kulturalnej.

Skoro więc tylko zezwoliły warunki polityczne, powstało w Wilnie Towarzystwo Przyjaciół Nauk, mające za cel „pielęgnowanie nauk, umiejętności i literatury w języku polskim, w szczególności zaś badanie kraju pod względem przyrodniczym, etnograficznym, historycznym, ekonomicznym i statystycznym". Cele te postanowiło Towarzystwo spełniać przez działalność naukową, wydawniczą i muzealną, oraz przez urządzanie odczytów naukowych i wycieczek krajoznawczych. Równocześnie zorganizowano przy Towarzystwie bibljotekę, powstałą przeważnie z darów, archiwum, zawierające niekiedy ciekawe materjały do stosunków kulturalnych zwłaszcza XIX wieku, oraz muzeum.

Pierwotna organizacja Towarzystwa przetrwała do roku 1923. Wojna światowa, wybuch rewolucji bolszewickiej, następnie niepewne stosunki polityczne osłabiły na pewien czas działalność Towarzystwa. Skoro jednak ostatecznie ustaliły się losy ziemi wileńskiej, postanowiło Towarzystwo przygotować nowe podstawy organizacyjne do wzmożonej pracy. Nowe warunki, w których się znalazło — odzyskanie niepodległości, wskrzeszenie sławnej Akademji Batorjańskiej pod nazwą Uniwersytetu Stefana Batorego — nie mogły pozostać bez silnego wpływu na dotychczasowy ustrój Towarzystwa. Jakoż w roku 1922 przychodzi do skutku zmiana statutu. Istota tej zmiany polega na zorganizowaniu Towarzystwa w trzy wydziały: wydział filologji, literatury i sztuki, wydział nauk matematyczno-przyrodniczych i lekarskich, oraz wydział historji, filozofji i nauk prawno-społecznych. Jak dawniej organem Towarzystwa, poświęconym nietylko działalności sprawozdawczej, lecz także naukowo-wydawniczej, był przedewszystkiem Rocznik, tak obecnie praca naukowa, zogniskowana w poszczególnych wydziałach, znajduje swój wyraz w wydawnictwach każdego wydziału, mianowicie w Rozprawach. Wydział trzeci historyczno-filozoficzno-prawny posiada ponadto swój specjalny organ, Ateneum Wileńskie. Poświęcone jest ono pracom konstrukcyjnym z dziedziny historji politycznej i kulturalnej, historji ustroju, miejskiej organizacji i cechów, dziejów kościelnych i społecznych Ziemi wileńskiej i Litwy. Cenne uzupełnienie tego wydawnictwa stanowi dość obfity dział przyczynków o charakterze źródłowym, zatytułowany Miscellanea, oraz recenzje.

Pokaźna liczba dzieł osobno wydanych, obejmuje niemal wyłącznie prace z dziedziny filologji i historji.

Towarzystwo Przyjaciół Nauk na Śląsku powstało w r. 1920 w drodze reorganizacji istniejącego od roku 1892 Towarzystwa Literackiego. Pierwotną siedzibą Towarzystwa był Bytom. Skoro jednak w roku 1921 dokonano rozdziału Śląska w ten sposób, iż Bytom pozostał po stronie niemieckiej, Towarzystwo przeniosło się do Katowic. Celem nowego Towarzystwa jest „ożywienie nauki i sztuki polskiej na Śląsku przez zbieranie i utrzymywanie bibljoteki, gromadzenie zabytków kultury na Śląsku, urządzanie wykładów naukowych, utrzymywanie czytelni naukowej". Główną troską Towarzystwa było dotychczas stworzenie publicznej bibljoteki naukowej. Rozumiało bowiem Towarzystwo doskonale, iż, jeżeli praca naukowa polska na terenie Śląska i o Śląsku ma iść należytym torem i stać na tym poziomie, by nietylko zrównoważyć, ale równocześnie i zdemaskować obfitą, lecz przeważnie skrajnie tendencyjną w tej dziedzinie, literaturę naukową niemiecką, trzeba dać pracownikom naukowym odpowiednio wyposażony i zorganizowany warsztat pracy. Po długich staraniach udało się wkońcu Towarzystwu zdobyć szczupły lokal i zbiory bibljoteczne spoczęły wreszcie pod dachem, jednak niema mowy, by w tym stanie rzeczy mogły stanowić pożyteczny warsztat pracy. I chociaż Sejm Śląski, stwarzając z wielkim nakładem finansowym swoją bibljotekę, pracuje w podobnym kierunku, żałować trzeba, iż zamiar Towarzystwa daleki jest od pełnego urzeczywistnienia. Dla pracy kulturalnej i naukowej polskiej na terenie prastarej dzielnicy piastowskiej nigdy nie będzie za dużo wysiłków, a im więcej będzie silnych jej podstaw i instytucyj o nią się troszczących, tem piękniejsze i obfitsze będą jej wyniki.

Bibljoteka Towarzystwa liczy wcale już pokaźną liczbę około 20.000 tomów. Główna wartość jej polega na tem, iż jest w niej wcale bogaty dział Silesiaca, należący poza bibljoteką Sejmu Śląskiego do rzadkości w naszych zbiorach bibljotecznych, tak iż do niedawna wiele dzieł i czasopism, odnoszących się do Śląska, trzeba było sprowadzać z bibljotek niemieckich.

Organem Towarzystwa są Roczniki, których tom I ukazał się w roku 1929. Treść Rocznika oddaje wiernie pragnienie Towarzystwa, by „jednakową uwagę poświęcać badaniom historycznym nad Śląskiem i studjom nad jego życiem obecnem". Referaty naukowe, pomieszczone w tym tomie Rocznika, tematami swojemi sięgają w bardzo różnorodne dziedziny. Obok historji w ścisłem tego słowa znaczeniu reprezentowana jest tu i historja sztuki, historja szkolnictwa, społeczna, etnografja, skarbowość i górnictwo. Obfity dział recenzyj i sprawozdań poświęcony jest nietylko dziełom, Śląska dotyczącym, a ciekawem dopełnieniem treści Rocznika jest kronika życia umysłowego Śląska. Ten pierwszy tom Rocznі-

ków świadczy pięknie o wysiłkach Towarzystwa, które mimo wielkich trudności i zawodów nie upadło na duchu i nie opuściło rąk bezczynnie. Równocześnie jednak jest ten tom świadectwem żywotności Towarzystwa i jego racji bytu, płynącej z istotnych potrzeb nauki i kultury polskiej na ziemi śląskiej.

Powyższy wykaz danych statystycznych, mający na celu zobrazowanie dziejów powstania i działalności polskich towarzystw naukowych, nie byłby zupełny, gdyby brakło w nim cyfr, oświetlających podstawy finansowe, na których się działalność tych towarzystw opiera. Cyfry te z natury rzeczy nie mogą być zbyt dokładne i najświeższe. Odpowiadają one mniej więcej okresowi lat 1925—1926. Nie są jednak na tyle przestarzałe i nieścisłe, by trzeba je uważać za zupełnie iluzoryczne dla dzisiejszej doby. Roczny budżet Polskiej Akademji Umiejętności wynosi około 250.000 zł., Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu 60.000 zł.; Towarzystwo Toruńskie nie posiada jeszcze ustalonego ostatecznie budżetu, Towarzystwo Płockie w podobnem znajduje się położeniu. Budżet Towarzystwa Lwowskiego waha się około sumy 40.000 zł, budżet Towarzystwa Śląskiego nie przekracza 4.000 zł., Towarzystwo Warszawskie rozporządza budżetem 100.000 zł., Wileńskie 25.000 zł. Porządkując towarzystwa naukowe polskie według wysokości ich rocznego budżetu, otrzymamy następujący szereg: Polska Akademja Umiejętności, Towarzystwo Naukowe Warszawskie, Poznańskie, Lwowskie, Wileńskie, Przemyskie, Śląskie. Z towarzystw o nieustalonym budżecie na pierwszym miejscu przyjdzie umieścić Toruńskie, po nim Płockie.

To zestawienie finansowej podstawy naszych towarzystw naukowych jest niezmiernie pouczające. Pierwszym wnioskiem, jaki sam przez się z niego się narzuca, jest stwierdzenie tej bardzo zresztą pospolitej zasady, iż działalność naukowo-wydawnicza każdego towarzystwa łączy się jak najściślej z tym zasobem funduszów, jakim towarzystwo rozporządza. Dalej, gdy bliżej przypatrzymy się tym cyfrom, ujrzymy, że są one stosunkowo małe. Najwyższy budżet roczny posiada Polska Akademja Umiejętności. A jednak w stosunku do tych wielkich zadań i prac, jakie podejmuje, suma ta jest nieproporcjonalna. Musi ona wystarczyć na pokrycie działalności naukowo-wydawniczej, bibljotecznej, muzealnej, musi wystarczyć na wyjazdy i zbieranie materjałów w kraju i zagranicą, musi wystarczyć na stypendja i zapomogi dla pracowników naukowych, wogóle na wszystkie potrzeby naukowe i administracyjne. W znacznie gorszem położeniu znajdują się inne towarzystwa naukowe, stojące wprawdzie przed mniejszemi znacznie zadaniami.

Jest rzeczą zupełnie jasną, iż stan tego rodzaju prowadzi za sobą nieraz ujemne objawy w działalności towarzystw naukowych. Tam, gdzie brak funduszów, lub trzeba je bardzo oszczędzać, nie można niejednokrotnie myśleć o tworzeniu precyzyjnego, w szcze-

gółach przemyślanego planu działalności naukowej i organizacji pracy naukowej. Niejednokrotnie musi się iść od wypadku do wypadku, liczyć się przedewszystkiem z realnemi możliwościami, nie zaś wyłącznie tylko z potrzebami i dobrem nauki. A niestety potrzeb tych jest jeszcze bardzo wiele i bardzo różnorodnych. Niektóre zaś są wprost piekące. Znaczna przyczyna ich leży w stosunkach minionej doby, w fatalnych stosunkach politycznych, należących już dzisiaj do niepowrotnej Bogu dzięki przeszłości. Natomiast wojna przyniosła wraz z sobą dwa bardzo ujemne w tej dziedzinie objawy: zobojętnienie znaczne społeczeństwa dla spraw i zagadnień nauki, oraz powszechne zubożenie społeczne. W każdej dziedzinie życia społecznego i narodowego braki finansowe utrudniają działalność na prawdziwie wielką miarę i daleką obliczone metę. Muszą na tem cierpieć też towarzystwa naukowe, czerpiące swe fundusze z majątku społecznego i narodowego. Jednakże społeczeństwo musi przyjść w pomoc nauce prędzej czy później, by kryzys ten przezwyciężyła, bo osłabienie trwałe działalności naukowej oznacza groźne obniżenie się naukowych i kulturalnych wartości społeczeństwa. Towarzystwa bowiem naukowe są, jak już na wstępie podniesiono, koniecznym postulatem i warunkiem rozwoju naukowo-kulturalnego każdego narodu. Rola ich jest naprawdę doniosła wobec organizacji i specjalizacji nowoczesnych metod pracy naukowej. Tak towarzystwa, składające się wyłącznie z ludzi najwyższych wartości naukowych, uzupełniające się wyłącznie drogą wyboru przez dotychczasowych członków, jak i te organizacje naukowe, które otwierają swoje szeregi dla wszystkich, chcących pracą umysłową, lub pomocą finansową służyć sprawie nauki — jedne i drugie istnieć i działać muszą, jeżeli społeczeństwo nie chce tylko żyć dotychczasowym dorobkiem naukowym i kulturalnym, lecz iść naprzód i tworzyć nowe wartości.

Do tych zaś postulatów naukowo-kulturalnych dołącza się jeszcze jeden, niemniej ważny i dzisiaj równie aktualny, choć dość daleko od sfery nauki leżący. Trzeba mianowicie zawsze mieć w pamięci fakt, iż istnienie w Toruniu, Katowicach, Lwowie i Wilnie polskich towarzystw naukowych, przeważnie początkiem swoim sięgających jeszcze w lata niewoli i rozwijających ożywioną działalność, jest świadectwem prawdziwie polskiego samopoczucia i charakteru tych ziem, które towarzystwa zasięgiem swoim obejmują. Zarazem jednak światło i ciepło kultury polskiej, promieniujące z tych ognisk, przyciąga tych, którzy bez niego skłonni są trwać w separatyzmie i szukać izolacji. W ten sposób wzmacnia się polskie pozycje obronne w zagrożonych szańcach Wschodu i Zachodu, a równocześnie można przez kordony graniczne słać pokrzepienie i moc wytrwania tym, którym przeznaczonem było zostać po drugiej stronie granicy.

O ile chodzi o charakterystykę dotychczasowej działalności

polskich towarzystw naukowych, to należy w tym względzie rozróżnić dwie epoki, do roku 1918 i od roku 1918.

W epoce pierwszej, kryjącej się już dla dzisiejszego oka w mrokach niewoli, towarzystwa naukowe spełniły należycie swoje zadanie. Jednak mimo swych znakomitych wysiłków nie mogły ustrzec się pewnej jednostronności, wynikającej z położenia narodu i najistotniejszych ówczesnej doby potrzeb. Pierwszym postulatem było wówczas ratowanie ducha narodowego i utwierdzanie samowiedzy narodowej. Stąd w pracy naukowej naszych towarzystw najwięcej stosunkowo uwagi poświęcano zagadnieniom nauk historycznych, przeszłości dziejowej, językowej, literackiej narodu. Wskutek tego badania humanistyczne wyprzedziły poniekąd pracę w dziedzinie nauk matematyczno-przyrodniczych.

Dalszem następstwem zależności politycznej i rozdziału społeczeństwa pomiędzy trzy państwa zaborcze był brak należytego skoordynowania pracy naukowej. Zdawano sobie z tego sprawę już bardzo wcześnie i starano się temu jak najusilniej zapobiec, nie zdołano jednak tych braków w zupełności usunąć.

Gdy chodzi o nauki historyczne, to anormalny stan polityczny wywołał w tej dziedzinie inne ujemne zjawisko. Oto przewaga prac szuka tematu w naszych własnych dziejach, jeżeli zaś przekracza tę granicę, to zazwyczaj wówczas, gdy chodzi o fakta historyczne, postacie lub państwa, w ścisłej pozostające łączności z naszemi dziejami. Zacieśnianie się to przynosiło czasem zjawisko niezmiernie dla nas szkodliwe — brakło często udziału uczonych polskich w sumie wysiłków naukowych, zmuszających do rozwiązania zagadnień o znaczeniu międzynarodowem.

Z drugiej jednak strony trzeba podkreślić, iż udział ten był niezmiernie utrudniony przez oficjalną „anonimowość" nauki polskiej. Jedynie Akademja Umiejętności była w tem uprzywilejowanem położeniu, iż jawnie na cały świat i wobec wszystkich występowała jako przedstawicielka nauki polskiej. Inne towarzystwa naukowe i uczeni w nich zgrupowani w zaborze pruskim i rosyjskim byli na zjazdach i konferencjach międzynarodowych uważani za przedstawicieli nauki niemieckiej lub rosyjskiej i tylko prywatnie mogli informować świat o stanie i postępach pracy naukowej w Polsce.

Epokowe wydarzenia lat 1914—1918, przedewszystkiem odzyskanie niepodległości, wpłynęły bardzo silnie na warunki i zadania pracy naukowej w Polsce. Wpływ ten zaznaczył się także wyraźnie w organizacji i programie pracy towarzystw naukowych i jest jednym więcej dowodem ścisłej i nierozerwalnej ich łączności z całością objawów życia narodowego.

Upadek anormalnych stosunków politycznych stanowi podstawę skierowania pracy towarzystw naukowych na zupełnie normalne tory.

Pierwszą troską pracy naukowej stało się nawiązanie jak najściślejszej łączności z zagranicą. Nie znaczy to, by polska twórczość naukowa dopiero po 1918 roku przyswoiła sobie metody i zdobycze naukowe zachodnio-europejskie. Pod tym względem szła nauka nasza stale równym krokiem z zagranicą, a nawet niejednokrotnie ją wyprzedzała. Łączność z zagranicą przejawiła się teraz w dążności do jak najdokładniejszego zapoznania obcych z dotychczasowym dorobkiem naukowym polskim, a następnie w czynnym udziale nauki polskiej w wielkich poczynaniach naukowych międzynarodowych — teraz pod własnym już sztandarem i na własny rachunek. Tej właśnie działalności służą przedewszystkiem Polskie Komitety Unij Międzynarodowych.

Fakt ten wpłynął równocześnie silnie na twórczość naukową polską. Udział w pracach międzynarodowych skłonił nasze towarzystwa naukowe do badań zagadnień międzynarodowych nietylko w dziedzinie nauk matematyczno-przyrodniczych, lecz także filologicznych, historycznych, historji sztuki, archeologji, prawa. Niemal z każdym rokiem zacieśnia się węzeł, wiążący naukę polską z problemami pracy naukowej międzynarodowej. Coraz częściej pojawiają się na posiedzeniach naszych towarzystw naukowych referaty, poświęcone tym właśnie zagadnieniom. Nierzadko też prace tego rodzaju ukazują się w ich wydawnictwach. Dowodem tego są prace Komisji orjentalistycznej Polskiej Akademji Umiejętności, monografje z dziejów włoskich średniowiecznych, lub piękne dzieło prof. Bieńkowskiego: Les Celtes dans les arts mineurs gréco-romains. Analogiczne zjawiska łatwo wskazać wśród wydawnictw Towarzystw Lwowskiego, Poznańskiego i Warszawskiego.

Gdyby chcieć krótko określić i ocenić działalność naszych towarzystw naukowych w obecnej chwili, trzebaby powiedzieć, że znajdują się one poniekąd w stadjum oczekiwania. Jak już wspomniano, odzyskanie niepodległości stanowi podstawę do normalnego rozwoju pracy tych towarzystw, a trzeba ufać, iż te niepomyślne warunki, jakie dzisiaj działalność naukową hamują, z pomocą Bożą i przy dobrej woli i poparciu społeczeństwa miną, nie wyrządziwszy znaczniejszej szkody. Nie należy jednak ukrywać, iż praca, jakiej mają dokonać nasze towarzystwa naukowe, jest olbrzymia. W różnych towarzystwach będzie ona różna. Zależeć będzie od tych zasobów materjalnych i intelektualnych, jakiemi każde z nich rozporządza. Jednakże każda praca — czy na wielką podjęta miarę i na daleką obliczona metę, czy skromna w miarę sił i możności — jeżeli będzie wykonana według wymogów dzisiejszych metod i środków badania naukowego, wzbogaci polski dorobek kulturalny i zjedna twórczym siłom narodu prawdziwy tytuł do wdzięczności.

Synteza wiedzy i kultury każdego narodu da się stworzyć tylko przez wytrwały i skoordynowany wysiłek przygotowawczy.

Wszelką syntezę musi wyprzedzić praca systematyki i analizy. Zebranie i ugrupowanie materjałów, krytyczna ocena ich — oto szczeble, prowadzące ku syntezie. I tutaj właśnie otwiera się szerokie pole dla pracy towarzystw naukowych. Gdy Towarzystwo Warszawskie przy pomocy Płockiego spełni swe zadanie na obszarze Mazowsza, Wileńskie na obszarze Litwy, Toruńskie na Pomorzu, Poznańskie w Wielkopolsce, Lwowskie wraz z Przemyskiem na obszarze ziem południowo-wschodnich, gdy — nie wyrzekając się prac nad zagadnieniami ogólnemi — spełnią swe zadanie, wynikające z przeszłości historycznej ziem, w których działają i postulatów naukowych dzisiejszej chwili, wówczas stworzą trwałe i pewne fundamenty, na których oprze się niezachwianie gmach wiedzy i kultury polskiej. I wówczas pod auspicjami Polskiej Akademji Umiejętności, rozporządzającej najdoskonalszemi sposobami działania i najznakomitszemi siłami twórczemi, będzie można przystąpić do budowania wielkiej syntezy naszego dorobku naukowego i kulturalnego, stanowiącego ostateczną i prawdziwie trwałą miarę wartości naszej w wielkiej rodzinie narodów.

Dr. S. Mikucki.

REDAKTOR I WYDAWCA: *KS. JAN URBAN T. J.*

Druk ukończono dnia 2 grudnia 1929 r.

Spis rzeczy tomu 184.

Artykuły.

Str.

Ks. J. Urban T. J.: Uniwersytet Batorego 3

R. Bystrzyński: Dzisiejsze oblicze bolszewizmu rosyjskiego (Dokończenie) 10

Ks. Dr. Wł. Rosłan: Papieże o św. Augustynie 38

A. Misiążanka: Kilka uwag o grobowcu Łokietka 46

Dr. W. Wiliński: Jerzy Krzyżanicz a Polska. 61

Ks. J. Urban T. J.: O misję religijną Polski na kresach wschodnich 129

C. Z.: Na marginesie I-go Zjazdu Polaków z zagranicy 150

A. Waśkowski: Sztuki piękne w życiu 168

A. Czermiński: Ukraina w poezji Słowackiego 176, 317

Ks. Dr. A. Petrani: Doktór nieszczęśliwych. 201

Dr. Z. Ciechanowska: Problem Żydów wschodnich w powieściach J. J. Tharaud. (Ciąg dalszy i dok.) 211, 336

Ks. J. Urban T. J.: Pius XI a Rosja dysydencka 257

Ks. J. Rostworowski T. J.: Apostoł czci Bożego Serca . . 267

Prof. Dr. L. Caro: Niebezpieczeństwo karteli międzypaństwowych dla Polski 281

T. Rzewuski: Sto lat od śmierci Leona XII-go 300

Przegląd piśmiennictwa.

Ks. Henryk Pinard de la Boullaye T. J.: Chrystus wobec historji. Przetłum. H. Lutostańska. (Ks. E. Kosibowicz) 87

Dr. Arnold Rademacher: Religion und Leben. II Aufl. (Ks. J. Andrasz) 88

Ks. Feliks Hortyński: Życie w świetle nauki i objawienia (E. K.) 89

Dr. Rudolf Allers: Das Werden der sittlichen Person. Wesen und Erziehung des Charakters (Ks. St. Podoleński) 89

Louis Ponnel et Louis Bordet: Saint Philippe Neri et la Société Romaine de son temps (Ks. J. Rostworowski) 90

Str.

J. Pfitzner: Besiedlungs-Verfassungs und Vervaltungsgeschichte des Breslauer Bistumlandes. I. Teil. (Dr. M. Niwiński) 92

Walerjan Charkiewicz: Zmierzch Unji kościelnej na Litwie i Białorusi. (Ks. J. Urban). 93

Stan. Małachowski-Łempicki: Wykaz polskich lóż wolnomularskich, oraz ich członków w latach 1738—1821. (Ks. J. Urban) . . 93

Święty Franciszek z Assyżu. Zbiór odczytów. (Ks. J. Godaczewski) 94

O. Pius od imienia Marji: Żywot św. Pawła od Krzyża. (Ks. J. Andrasz) 95

Stefan S. Komornicki: Muzeum książąt Czartoryskich w Krakowie. (Ks. J. Tuszowski) 95

Wiktor Piotrowicz: Z zagadnień wyznaniowych w Polsce. (Ks. J. Urban) 96

Ks. Dr. A. Niemancewicz: Bolszewizm a wychowanie (Ks. St. Podoleński) 97

Pamiętnik kursu duszpasterskiego, urządzonego w Krakowie w dniach od 5 do 9 listopada 1928 r. (Ks. St. Podoleński) . . . 98

Ks. Bp. Karol Józef Fischer: Kazania i przemówienia przygodne i różne, t. I. (Ks. J. Godaczewski) 99

Roman Dyboski, prof. Uniw. Jagiel.: O Anglji i Anglikach (A. Tretiak) 234

Ks. Dr. Eustachy Jełowicki: Studja nad amerykanizmem. I. Izaak Hecker i jego doktryna. (Ks. J. Rostworowski) 239

Emil Ludwig: Syn człowieczy. Przeł. Paweł Hulka-Laskowski. (Ks. J. Urban) 240

Max. Pribilla: Um kirchliche Einheit. (Ks. J. Urban) 241

Fryderyk Lama: Ojciec Święty. Żywot i czyny Papieża Piusa XI. Przeł. z niem. M. Tarnowski. (Ks. J. Urban) 243

Marjan Pachucki: Papież Pius XI. Żywot i rządy. (Ks. J. Godaczewski) 243

Opuscula et textus historiam Ecclesiae eiusque vitam atque doctrinam illustrantia. Series scholastica. (Ks. Fr. Kwiatkowski). . 244

Platon: Rzeczpospolita. Przeł. wstępem i obj. zaopatrzył Stan. Lisiecki. (J. U.) 245

Wrotny-Klimowiczowa: Kraina pustego grobu. (J. U.) 245

Bibljoteczka sportowa, Nr 1—7. (S.) 245

Ks. Dr. A. Szymański: Zagadnienie społeczne. (Ks. R. Moskała) 368

Leon Halban: Społeczne ideały chrześcijaństwa w pierwszych wiekach. (Ks. J. Rostworowski). 371

Ks. St. Bross: Akcja katolicka a Polska. — Ks. St. Adamski: Akcja katolicka a duchowieństwo. — Ks. Guerry: Kodeks Akcji katolickiej. — Ks. R. Mäder: Katolikiem jestem! — Prof. L Muth: Epiphania. (Ks. St. Podoleński) 371

Sir

VII Tydzień Społeczny Stowarzyszenia Młodzieży katolickiej „Odrodzenie" w Lublinie. (Ks. J. G.) 373
Karl Sudbrack S. J.: Die Schmiede der katholischen Aktion. (K s. J. A n d r a s z) 374
Helena Polaczkówna: Stemmata Polonica. (D r. S. M i k u c k i). 374
Ks. bp. Bougaud: Jezus Chrystus. — Ks. Jan Rostworowski T. J.: Obrazki z życia Zbawiciela. (Ks. J. G.) 379
Hardy Schilgen S. J.: Du und er. (K s. J. A n d r a s z) 380
Dr. L. Bopp: Liturgische Erziehung. (K s. S t. P o d o l e ń s k i . 381
J. Giertych: My, nowe pokolenie. (K s. S t. P o d o l e ń s k i) . 382
Nadesłane 99, 246, 382

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła:

P a ź d z i e r n i k: Wrześniowe zjazdy w Poznaniu. — Decydująca faza w rozwoju „Akcji katolickiej" w Polsce. — Po jubileuszu emancypacji katolików angielskich. (K s. J. U r b a n) 101
Sprawa małżeństwa i rodziny na ostatnim Kongresie katolików niemieckich. (K s. St. P o d o l e ń s k i) 106
Międzynarodowy Kongres Bibljotek w Rzymie. (D r. J. C i e c h a n o w s k a) 110
Pierwszy Międzynarodowy Zjazd Filologów słowiańskich w Pradze. (F r. B i e l a k) 384
Z działalności naszych Towarzystw naukowych. (D r. S. M i k u c k i) 246, 389